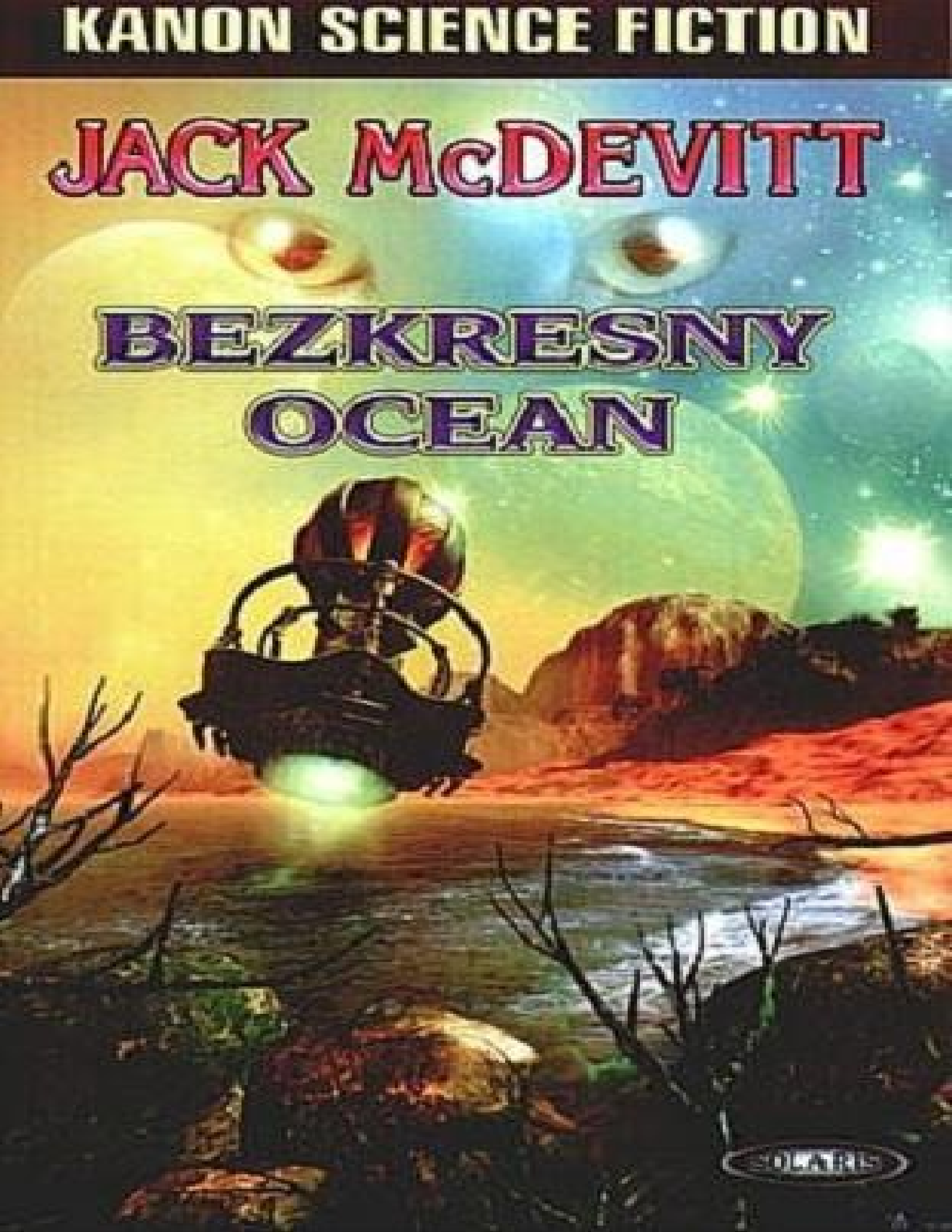


KANON SCIENCE FICTION

JACK McDEVITT

**BEZKRESNY
OCEAN**



СОВАРИС

Jack McDevitt

Bezkresny ocean

Infinity Beach

Przełożyła
Agnieszka Jacewicz



Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

Brunswickiej piątce:

Ted'owi Bartonowi,

John'owi Goffowi,

Jack'owi Krausowi,

Ron'owi Peifferowi

i George'owi Tindle.

Jeszcze nie rozszyfrowali tajemnicy tycia,

Ale już wiedzą, że ma ona coś wspólnego z lunchem.

Podziękowania

Jestem wdzięczny za rady i pomoc, jakiej udzielili mi Jeffrey Hall z Obserwatorium Lowella; Jimmy Durden, koroner z Glynn County z stanie Georgia; mój agent i przyjaciel Ralph Vicinanza; mój syn Chris McDevitt, pomysłodawca WUNDZ-a oraz pisarze Walt Cuirle i Brian A. Hopkins, doradzający mi przy wstępnych wersjach maszynopisu. Dziękuję także Willowi Jenkinsowi – Murrayowi Leinsterowi za „First Contact” oraz za inne jego wyprawy w krainę wyobraźni; Caitlin Blasdell, mojemu wydawcy z Harper–Prism; Rebecce Springer; no i oczywiście Maureen.

Plaża nad bezkresnym oceanem – granica, która nas zawsze zatrzymywała. Ocean nas wzywał, lecz przez całe wieki mogliśmy jedynie podziwiać jego ogrom dzięki teleskopom i wyobraźni. Z czasem nauczyliśmy się budować łodzie i dotarliśmy do kilku najbliższych wysp. Dziś wreszcie mamy prawdziwy czteromasztowiec, okręt, który zabierze nas za wszelkie horyzonty.

*– Khalid Alniri, fragment przemówienia
w Wesleyan z „Infinity Beach”*

Od dawna wiedzieliśmy, że kiedyś dojdzie do kontaktu, że być może jest on nieunikniony. Miał wszystko zmienić: naszą technologię, tożsamość, wyobrażenie tego, czym jest świat. Przez 1100 lat patrzyliśmy na zbliżający się zygzak tego pioruna, zastanawiając się jednocześnie, jakie będzie miał dla nas znaczenie. Wyobrażaliśmy sobie istnienie innych rozumnych istot, przedstawialiśmy je jako straszne lub przyjazne, dziwaczne lub podobne nam, boskie, odległe lub obojętne. Zastanawiam się, czy piorun ten uderzy już wkrótce, a ty i ja znajdziemy się w punkcie uderzenia.

*– Sal Hobbs do Kim Brandywine, podczas wspólnej
wyprawy w rejon Alnitaka*

Większość dat podano według kalendarza Greenway, którego pierwszy rok przypada na pierwsze lądowanie ludzi na tej planecie. Nastąpiło ono w 2411 roku naszej ery. Długość lat na Greenway i Ziemi jest niemal identyczna, co było jednym z powodów, dla których świat ten wybrano na ludzką siedzibę.

Prolog

3 kwietnia, 573

– Nie rób tego. – Zakrwawiony Kane stanął w drzwiach.

– Nie mam wyboru – odkrzyknął Tripley w chwili, gdy flyer startował z lądowiska. – Zrób dla niej co w twojej mocy.

Jego obawy się potwierdziły. Dranie nie pokazali się na radarze. Dostrzegął za to ich dziwnego towarzysza, widmową istotę unoszącą się na tle światła księżyca. Sunęła na północny-zachód w kierunku Mount Hope. Domyślał się, że ich eskortowała. Tylna straż.

Miasto zostało z tyłu. Był nad jeziorem. Włączył ręczne sterowanie, wspiał się na tysiąc pięćset metrów i dodał gazu, choć możliwości miał niewielkie. Flyer zatrzęsł się i zatrzeszczał, ale posłusznie przyspieszył do dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Tripley ze zdumieniem stwierdził, że dystans się zmniejszył.

Czy to możliwe? A może to ten dziwny twór zwolnił, żeby go zmylić?

Trzy księżycy Greenway, w pierwszej kwadrze, wisały na bezchmurnym niebie oświetlając odległe szczyty, chłodną i mroczną taflę jeziora, zaporę oraz jeden, umykający obłok.

Co to było?

Przyjęło niemal kulisty kształt i ciągnęło za sobą długie, mgliste wąsy. Przypominało kometę – pomyślał – inną od tych, które dotychczas mijaly ten świat. Zdradziecką, niebezpieczną i piękną w swej surowości. Zawieszoną ponad ośnieżonymi górskimi szczytami.

Odczyt radaru stawał się coraz wyraźniejszy. Naprawdę ich doganiał.

To były pierwsze spokojne chwile, odkąd wszystko zaczęło się walić. Tripley wsłuchiwał się w szum wiatru i pomruki elektroniki. Tak bardzo chciał cofnąć czas i zmienić bieg wydarzeń.

Odległy kształt komety poruszał się coraz wolniej. W końcu zaczął się rozpraszać.

Tripley zahamował.

Wiedział, że statek sunął na wprost. Roześmiał się, myśląc o tym w takich kategoriach.

Statek, którego nikt nie mógł zobaczyć, który nie pokazywał się na monitorach, który mógł zgubić się gdzieś w przestrzeni bez obaw, że ktoś go znajdzie.

W tym właśnie tkwił problem. Tripley mógł podążać jego śladem, tylko śledząc zdradziecką chmurę. Ale żeby przeżyć, musiał tę chmurę zabić. Dlaczego, do diabła, wszystko się tak potwornie pogmatwało?

Zabić chmurę.

Czy ten przeklęty twór w ogóle żył?

Przelecieli nad północno-zachodnim brzegiem. Pod nimi ciągnął się ciemny las, daleko z przodu wyrastały Góry Szare.

Chmura zawróciła szykując się na spotkanie z nim.

Widział, jak puchnie na tle nocnego nieba, otwiera się przed nim, rozwija niczym pąk kwiatu i czeka na niego. Za oświetlonymi przez księżyc ogonami coś miarowo pulsowało.

Żywiciel, życiodajna siła.

Zawahał się przez moment, nagle ogarnięty strachem. Potem ponownie zwiększył prędkość do maksymalnej. Wiedział, że albo zabije to draństwo, albo sam zginie.

Zamknął otwory wentylacyjne. Sprawdził okna i drzwi. Nie chciał, aby choć odrobina tego czegoś dostała się do kabiny.

To była noc straconych szans. Wciąż dokonywał złych wyborów, przez niego zginęli ludzie i kto wie, co sprowadził na ten świat. Ale może miał jeszcze szansę to naprawić.

Wiatr wył, napotykał opór krótkich skrzydeł pojazdu. Istota unosiła się w świetle księżyca. Czekala. W jej woalach widział całe konstelacje.

Była niewypowiedzianie piękna – połączenie mgły i gwiazdnego blasku. Bez trudu poruszała się z wiatrem. Wycelował w sam środek. Chciał przeorać ją na wylot, zawrócić i ponownie się w nią wedrzeć. Rozdzierać ją kawałek po kawałku, dopóki nie rozrzuci jej po całym niebie.

Dopiero potem mógł ruszyć za uciekającym statkiem. Na pewno istniał jakiś sposób, by go strącić na ziemię. Ale nie wszystko naraz.

Brzęczyk komunikatora zasygnalizował, że ktoś próbuje się z nim skontaktować.

Kane.

Osobliwa chmura zaczęła się przesuwać, próbując umknąć w bok. Tripley poczuł falę radości. Bała się go. *Nie, ty sukinsynu.* Ponownie wycelował dziobem w jej stronę, kierując się wyimaginowanym celownikiem.

Znowu usłyszał dźwięk brzęczyka.

Wiedział co powie Kane. *Ona nie żyje. Daj spokój.* Ale było już za późno na zdrowy rozsądek. A przecież Kane powtarzał od samego początku: postępujcie rozsądnie. Tylko skąd mogli wiedzieć, co robić...

Tripley zaparł się piętami w podłogę, nie wiedząc, czego się spodziewać. Chmura rzedła w miarę, jak się do niej zbliżał, ale to mogło być tylko złudzenie. Pomyślał, że mgła też nie wydaje się tak gęsta, gdy się w nią wejdzie.

– Przepraszam – powiedział na głos. Nie miał pojęcia, do kogo mówił.

Wdarł się w obłok. Przebił go na wylot. Przed sobą miał czyste, rozgwieżdżone niebo.

Obejrzał się do tyłu. Wyrwał dziurę w samym sercu chmury. Mgliste strzępy dryfowały z wiatrem.

Gwałtownie przesunął ster w prawo, zataczając krąg i szykując się do drugiego podejścia.

Wiedział już, że nie mogła go zranić. Znikła gdzieś jej miękkość. Traciła siły.

Pomknął ku niej raz jeszcze, pod innym kątem. Posłał podarte smugi w mrok nocy, sycąc się smakiem zemsty.

To za Yoshi.

A to...

Wszystkie systemy stanęły. Miękki pomruk urządzeń przeszedł w wycie i zamilkł.

Konsola mrugnęła i zgasła. Nagle jedynym słyszalnym dźwiękiem stał się szept wiatru.

Flyer zaczął spadać w mrok.

Tripley szarpał dźwignie, w panice próbując uruchomić silniki. Drzewa zbliżały się ze straszną prędkością. Ponad nim, na tle Glorii, największego księżyca, chmura próbowała odzyskać pierwotny

kształt. W ostatnich chwilach, ogarnięty strachem i rozpaczą, zobaczył lśniące, białe światło wybuchu na zboczu Mount Hope. Drugie słońce. Patrzył, jak rośnie i ogarnia świat.

Poczuł satysfakcję. To musiał być statek. A zatem nie walczył na próżno. Przynajmniej tamci zginęli.

Po chwili nie miało to już znaczenia.

Nowy Rok, 599

Możemy teraz bez przeszkód zakładać, że narodziny życia na Ziemi były jedynym takim wydarzeniem w historii wszechświata. Niektórzy mogą temu zaprzeczać, twierdząc, że widzieliśmy jedynie kilka tysięcy spośród bilionów światów dryfujących w lekko zakrzywionych korytarzach, dawniej zwanych biosferami. Ale odwiedziliśmy już zbyt wiele ciepłych plaż i oceanów, nad którymi nie krążą mewy i które nie wyrzucają na brzeg muszli ani wstążek wodorostów. Granice spokojnych mórz wyznaczają tylko skały i piasek.

Wszechświat jest wspaniały, lecz sterylny, niczym ocean bez przyjaznych brzegów, żagli ani śladów, że ktoś przed nami płynął tym samym szlakiem.

Bezradnie drżymy w szarym świetle tych wielkich przestrzeni. Może właśnie dlatego zmieniamy wielkie, międzygwiazdne liniowce w muzea albo sprzedajemy je na części. Zaczęliśmy się wycofywać, Dziewięć Światów to już tylko sześć, graniczny mur się rozpada, a my wracamy do domu, na naszą wyspę.

W końcu powracamy na Ziemię. Do naszych dziewiczych puszczy. Ku brzegom nocy. Tam, gdzie nie musimy słuchać wiatru zrodzonego z oceanu pustki.

Żegnaj Centaurusie. Żegnajcie marzenia o tym, czego już nie osiągniemy.

– Elio Kardi, „Brzegi nocy”, Podróżni, 571 rok

– Trzy minuty do wybuchu nowej.

Doktor Kimberly Brandywine spojrzała na kilkanaście twarzy osób zgromadzonych na sali odpraw. Czuła na sobie oczy kamer, wysyłających obraz do wszystkich sieci. Za nią wyświetlano hasła: WITAJ WSZECHŚWIECIE I STUK, PUK, CZY JEST TAM KTOŚ?

Płaskie monitory na ścianach pokazywały techników na terminalach *Trenta*. Należeli do zespołów, które miały wywołać eksplozję nowej. Zdjęcia przedstawiały wydarzenia sprzed czternastu godzin, bo właśnie tyle czasu trwał przekaz sygnału podprzestrzennego do widzów na powierzchni planety.

Wszyscy obecni wyglądali młodo i atrakcyjnie. Tylko ich oczy nie pasowały do reszty.

Nawet u najbardziej energicznych osób zdradzały prawdziwy wiek. W miarę upływu lat we wzroku człowieka pojawiała się surowość, a spojrzenie traciło głębię i radość. Kim miała trzydzieści kilka lat, piękne rysy twarzy i kruczoczarne włosy. W minionych epokach niejeden statek nosiłby jej imię. Teraz była po prostu jedną z twarzy w tłumie.

– Skoro dotąd nikogo nie znaleźliśmy – odezwał się nagle przedstawiciel Telekomunikacji Seabright – to dlatego, że nie ma tam kogo szukać. A jeśli jest, to tak daleko, że dla nas nie ma to żadnego znaczenia.

Przerwała ogólne milczenie uwagą, że w ciągu ośmiu wieków ludzie zdołali zbadać zaledwie kilka tysięcy układów planetarnych.

– Niewykluczone, że ma pan rację – przyznała. – Może rzeczywiście jesteśmy sami. Ale nikt nie wie tego na pewno. Dlatego nie przestaniemy próbować.

Już dawno temu doszła do wniosku, że ci z Seabright mieli rację. Dotąd nie znaleziono we wszechświecie nawet zwykłego pierwotniaka. Na początku Ery Kosmicznej spekulowano na temat istnienia życia w morzach Europy albo w obłokach otaczających Jowisza.

Znaleziono nawet fragment meteorytu, który miał zawierać ślady marsjańskich bakterii.

Wtedy byli najbliżej odkrycia pozaziemskiego życia.

Kim nadal widziała kilka rąk w górze.

– Ostatnie pytanie – oznajmiła.

Wskazała Kanona Woodbridge'a, naukowego doradcę Wielkiej Rady Republiki. Był wysoki, śniady i brodaty, o niemal diabelskim wyglądzie, ale wyjątkowo sympatyczny. Nigdy nie życzył źle innym.

– Kim, jak sądzisz, dlaczego tak bardzo obawiamy się tego, że jesteśmy sami? Dlaczego chcemy gdzieś tam znaleźć własne odbicie? – Spojrzał w kierunku ekranów, na których w skupieniu pracowali technicy.

Skąd miała wiedzieć?

– Nie mam pojęcia, Kanon – odparła.

– Ale bardzo zaangażowałaś się w projekt Latarnia, a twoja siostra poświęciła życie temu samemu celowi.

– Może mamy to w genach – powiedziała. Miała tylko siedem lat, gdy jej klon, Emily, zaginęła. Kim milczała przez chwilę, próbując ułożyć rozsądną odpowiedź, coś o ludzkiej potrzebie komunikacji i pogoni za nieznanym. – Podejrzewam, że gdyby naprawdę nic tam nie było, gdyby wszechświat był pusty, przynajmniej w części, która dostępna jest naszemu poznaniu, wielu czułoby, że poszukiwania nie mają sensu.

Wiedziała, że to nie wszystko, że w grę wchodziła pierwotna potrzeba zaprzeczenia własnej samotności. Gdy jednak próbowała ubrać to w słowa, zaczęła się plątać. W końcu się poddała i spojrzała na zegarek.

Została jeszcze minuta do północy. Nowy Rok. Dwieście jedenasty rok Republiki, sześćsetna rocznica lądowania Marquanda. Minuta do wybuchu.

– Ile czasu zostało? – spytał jeden z dziennikarzy. – Wszystko idzie zgodnie z planem?

– Tak – odparła Kim. – Zaczęło się o dziesiątej dzisiejszego ranka. – Sygnał hiperkomu z

Trenta docierał na Greenway w czternaście godzin i kilka minut. Tyle zabierało mu pokonanie 580 lat świetlnych od miejsca, w którym zaplanowano eksplozję. – Jestem pewna, że za chwilę będziemy świadkami wybuchu nowej.

Włączyła ekran nad głowami zebranych. Pokazał się na nim cel operacji: Alfa Maxim – typ widmowy A-0 z wyraźnie widocznymi liniami wodorowymi. Temperatura powierzchni 11000° C. Jaskrawość sześciokrotnie większa od jasności Heliosa. Pięć planet. Wszystkie bez śladów życia, podobnie jak każdy poznany dotąd świat poza tymi kilkoma, na których osiedlili się ludzie.

Miała to być pierwsza z sześciu nowych. Pozostałe znajdowały się w przestrzeni obejmującej mniej więcej pięćset sześciennych lat świetlnych. Planowano je detonować po kolei w odstępach sześćdziesięciu dni. W ten sposób ludzie chcieli zwrócić uwagę każdego, kto przypadkiem patrzył w tę stronę. Wysyłali między gwiazdy sygnał: *Jesteśmy tutaj*.

Kim, podobnie jak większość pozostałych, wierzyła, że pomimo tych wysiłków, nadal będzie ich otaczała wielka cisza.

Żyjemy na brzegach nocy,
Na skraju wiecznego oceanu.

Próby te zyskały miano projektu Latarnia. Sponsorował je pracodawca Kim, Instytut Seabright. Ale nawet tu, wśród ludzi zaangażowanych w realizację planu, którzy przez lata pracowali nad jego urzeczywistnieniem, przeważał głęboki, paraliżujący pesymizm. Może wynikał ze świadomości, że wszyscy obecni umrą, zanim nadejdzie odpowiedź. Jeśli nadejdzie. A może, jak sądziła Kim, zrodził się z poczucia, że był to ostateczny gest, który bardziej przypominał pożegnanie, niż poważną próbę skontaktowania się z innymi mieszkańcami kosmosu.

Emily, która poświęciła tym poszukiwaniom całe życie, wstydziłaby się teraz za siostrę. Kim pomyślała, że DNA miało jednak niewielkie znaczenie.

Trent stacjonował w odległości pięciu jednostek astronomicznych od celu. Był starym transportowcem specjalnie przerobionym do celów projektu Latarnia. Bezpośrednio przed detonacją jego załoga i technicy mieli się przenieść na inny statek i wejść w nadprzestrzeń, aby uniknąć niebezpieczeństwa. *Trent* zostawał na miejscu, prowadząc pomiary i badania aż do momentu zniszczenia go przez wybuch nowej.

Kim wcisnęła przełącznik i pośrodku sali pojawiła się komputerowa projekcja starego transportowca LK6. Niósł on ładunek antimaterii zamknięty w magnetycznej bańce.

Podróżował w nadprzestrzeni i za kilka sekund miał z niej wyjść, trafiając w samo jądro gwiazdy. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, wybuch statku powinien zaburzyć jej równowagę i zgodnie z teorią, spowodować pierwszą, sztucznie wywołaną eksplozję nowej.

Zegar w prawym, dolnym rogu pokazywał czas rejestracji obrazu. Odliczał ostatnie sekundy do wejścia LK6 w normalną przestrzeń i jednocześnie ostatnie sekundy wieku.

Kim patrzyła jak cyfry zbliżają się do zera. W polu roku pojawiła się liczba 600 i jednocześnie statek z cennym ładunkiem wszedł w serce gwiazdy.

Za drzwiami rozległy się oklaski pracowników Instytutu. Na sali konferencyjnej zapanował dziwny, niemal ponury nastrój. Maxim był starszy od Heliosa i wielu ludzi uważało unicestwienie go za poważny błąd.

– Panie i panowie – odezwała się Kim. – Rejestracja wydarzeń dotrze do nas jutro i zostanie pokazana podczas konferencji prasowej. – Podziękowała wszystkim obecnym za przybycie i zeszła z mównicy. Zebrani ruszyli do wyjścia.

Woodbridge został chwilę dłużej. Patrzył przez okno na okolice Instytutu. Wszystko pokrywała cienka warstwa śniegu. Zaczekał, aż Kim do niego podejdzie.

– Nie wiem, czy powinniśmy obwieszczać w ten sposób swoje istnienie, zanim dowiemy się, kogo mamy za sąsiadów – powiedział. Miał na sobie brunatną oponczę przewiązaną srebrną szarfą. W oczach koloru morskiej zieleni Kim dostrzegła troskę.

– Cenna uwaga, Kanon, ale nie sądzisz, że gdyby jakieś inteligentne istoty wymyśliły sposób na pokonywanie przestrzeni kosmicznej, to już mielibyśmy je na karku?

– Trudno powiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Jeśli nasze przypuszczenia są błędne, możemy słono za nie zapłacić. – Spojrzał w górę, na bezchmurne, jasne niebo. – Przecież to oczywiste, że Ten, kto stworzył kosmos, tak wszystko pomyślał, by Jego stworzenia znalazły się od siebie jak

najdalej.

Oboje włożyli kurtki i wyszli na taras. Noc była chłodna.

Miasto Seabright znajdowało się zaledwie kilkaset kilometrów na północ od równika, ale Greenway nie należała do najcieplejszych planet. Większość jej mieszkańców skupiała się w pasie okołorównikowym.

W północnym krańcu tarasu, z dala od budynków, ustawiono szereg teleskopów. Przy jednym z nich stała konstruktorka z dziewczynką. Oko teleskopu wycelowano na południowy-wschód, w stronę Alfa Maxima, który z tej odległości nie był większy niż świecąca główka szpilki.

Dziewczynka miała na imię Lyra. Była córką konstruktorki. Mogła mieć najwyżej dziesięć lat i przed sobą jeszcze co najmniej dwa stulecia.

– Ciekawe czy mała chce zobaczyć nową – powiedział Woodbridge.

Kim odsunęła się na bok.

– Sam ją spytaj.

Kiedy to zrobił, Lyra uśmiechnęła się pogardliwie tak, jak dzieci uśmiechają się wtedy, gdy sądzą, że dorośli traktują je protekcyjnie.

– Nie – odparła. – Za mego życia Alfa Maxim się nie zmieni.

Jej mama wyglądała na zadowoloną z odpowiedzi córki.

Kim pomyślała, że nie stanie się to pewnie także za życia dzieci Lyry. Światło było takie powolne.

Woodbridge ponownie odwrócił się do niej.

– Kim, czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Oczywiście.

– Wiesz coś o tym, co się stało z Emily?

Zaskoczył ją. Z pozoru pytanie nie miało związku z ich rozmową. Kiedy jednak się zastanowiła, doszła do wniosku, że Emily chciałyby tego dnia być z nimi. Woodbridge ją znał i wiedział o tym.

– Nie – odparła. – Wiem jedynie, że wsiadła do taksówki i nigdy nie trafiła do hotelu. Nic więcej. – Spojrzała w dal, poza teleskopy. Matka Lyry uznała, że zrobiło się za zimno i zabrała małą do środka. – Nigdy się do nas nie odezwała.

Woodbridge pokiwał głową.

– Trudno zrozumieć, jak coś takiego mogło się zdarzyć.

Żyli w społeczeństwie, w którym przestępstwa były wielką rzadkością.

– Wiem. Moja rodzina ciężko to przeżyła. – Kim podniosła kołnierz dla ochrony przed nocnym chłodem. – Emily popierałaby projekt Latarnia, ale na pewno nie potrafiłaby beczynnienie czekać.

– Dlaczego?

– To za długo trwa. Witamy się z kosmosem w naukowy sposób, ale nikt z nas nie spodziewa się odpowiedzi przez następne tysiąclecia. I to tylko jeśli dopisze nam szczęście.

Ona chciałyby widzieć efekty jeszcze tego samego wieczoru.

– A ty?

– Co ja?

– Jak ty to wszystko odbierasz? Nie wierzę, że jesteś zadowolona z Latarni.

Spojrzała na niebo. *Zupełnie puste, jak okiem sięgnąć.*

– Chciałabym znać prawdę, ale nie jest to najważniejsze w moim życiu. – Nie jestem taka, jak moja siostra.

– Ja myślę podobnie. Przyznaję, że chciałbym, aby ludzie byli sami. Tak jest o wiele bezpieczniej.

Kim skinęła głową.

– Dlaczego spytałeś mnie akurat o nią? O Emily?

– Bez powodu. Jesteś do niej taka podobna. Obie pasjonujecie się tym samym. Kiedy dziś ciebie słuchałem, miałem wrażenie, jakby to ona wróciła.

Kim wezwała taksówkę i wyszła na dach. Czekaając, sprawdziła pocztę i znalazła wiadomość od Sala: *Nie zapomnij, że jutro ruszamy.*

Sal był jednym z pilotów Instytutu i podobnie jak ona uwielbiał nurkowanie. Umówili się kilka dni wcześniej, że razem wybiorą się obejrzeć wrak *Caledoniana*. Mieli wyruszyć późno po południu, po transmisji z *Trenta* i uroczystości zorganizowanej, by uczcić to wydarzenie oraz po tym, jak przedstawiciele mediów opuszczą Instytut, żeby przygotować relacje.

Kim już wcześniej schodziła do wraku *Caledonian*, stary rybacki kuter, leżał na głębokości dwudziestu sążni w pobliżu Wyspy Capelo, od strony oceanu. Podobało jej się wrażenie ponadczasowości, jakie ogarniało ją na widok zniszczonego statku i uczucie, że żyje jednocześnie w różnych epokach. Miała nadzieję, że podczas wycieczki odpocznie trochę po długich godzinach pracy. Kilka ostatnich tygodni kosztowało ją sporo wysiłku.

Taksówka wylądowała i Kim wspięła się do kabiny. Bransoletką dotknęła czytnika i kazała się zawieźć do domu. Pojazd podniósł się z lądowiska, szerokim łukiem skręcił na wschód i przyspieszył. Już w powietrzu dobiegło ją trąbienie. Ktoś wiwatował na cześć nowej albo nadejścia Nowego Roku. Chwilę później Kim leciała nad drzewami. Na północy lśniły światła wież Seabright. Park ustąpił miejsca piaszczystej plaży i taksówka znalazła się nad wodą.

Większość powierzchni Greenway stanowił ocean. Jedynym kontynentem była Equatoria.

Seabright wznosiło się na jej wschodnim wybrzeżu. W najszerszym miejscu ląd miał zaledwie siedemset kilometrów. Zajmujący resztę globu ocean był bezimienny.

Lecąc nisko nad wodą taksówka minęła ujście Bagby i korty do gry w ognistą piłkę.

Potem przemknęli nad kanałem, zostawili z tyłu kilka jachtów i zaczęli schodzić ku Wyspie Korbee, dwukilometrowemu paskowi lądu tak wąskiemu, że wiele domów miało widok na ocean z obu stron.

Dom Kim wyglądał tak jak wiele innych budynków w okolicy – skromny, dwupiętrowy, z tarasem oplatającym niższy poziom. Miał zaokrąglone rogi, aby stawiać mniejszy opór silnym wiatrom, które niemal bez przerwy wiały znad oceanu.

Taksówka opuściła się na małe lądowisko za domem, na platformie wznoszącej się ponad wody przyływu. Kim wysiadła i przez chwilę stała, wsłuchując się w szum morza.

Większość wyspy tonęła w ciemnościach i ciszy. Tylko Dickensonowie wciąż świętowali nadejście Nowego Roku. Na plaży zauważyła ognisko. Wokół bawiły się dzieci.

– Miała za sobą długi dzień. Cieszyła się, że wreszcie jest u siebie. Szesnaście czy siedemnaście godzin, które upłynęły odkąd rankiem opuściła dom, nie zmęczyły jej tak bardzo, jak świadomość, że oto dotarła do końca jakiegoś ważnego etapu. Projekt Latarnia się rozpoczął i odtąd

kto inny miał się zajmować jego oprawą medialną. Kim wracała do swoich zwykłych obowiązków, czyli do zdobywania funduszy na różne cele. Beznadziejna kariera jak dla wykształconej pani astrofizyk. Ale prawdę mówiąc, doktor Brandywine nie należała do orłów w swojej specjalności, za to potrafiła przekonywać ludzi, by finansowali różne przedsięwzięcia.

Taksówka odleciała. Kim ruszyła do domu. W środku zapaliły się światła i drzwi się otworzyły.

– *Dobry wieczór, Kim* – powitał ją Shepard, domowa sztuczna inteligencja. – *Domyślam się, że poszło ci doskonale.*

– Tak, Shep. Z tego co wiemy, wszystko przebiega zgodnie z planem – odpowiedziała.

Teoretycznie, jednostki SI nie posiadały samoświadomości. Wszystko było symulacją. Istota prawdziwej sztucznej inteligencji nadal umykała naukowcom i coraz częściej pojawiały się opinie, że jej stworzenie było po prostu niemożliwe. Mimo to, nigdy nie dało się przewidzieć, jak zakończy się każda symulacja. – Oczywiście pewność zyskamy dopiero za dwanaście godzin.

– *Było kilka telefonów* – oznajmił Shepard. – *Większość z gratulacjami.* – Wymienił listę nazwisk przyjaciół, kolegów z pracy i kilkorga krewnych.

– I co najmniej jeden bez gratulacji, tak?

– *W zasadzie on także chwalił twoje osiągnięcia, ale nie dlatego dzwonił. Sheyel Tolliver.*

Sheyel? Imię z przeszłości. Sheyel Tolliver wykładał historię na uniwersytecie, na którym Kim studiowała. Należał do wspaniałych profesorów. Zwrócił na nią uwagę, choć jako główny przedmiot wybrała fizykę. W tamtym okresie czuła się trochę zagubiona. Jej rodzice zginęli w katastrofie flyera, pierwszej i jedynej, jaką zarejestrowano w Seabright w ciągu pięciu lat. Ona studiowała wtedy na drugim roku. Sheyel pomagał jej, jak mógł. Zawsze miał dla niej czas, gdy chciała z kimś pogadać, zachęcał ją i wspierał, aż w końcu sprawił, że w siebie uwierzyła. Ale od tamtego czasu upłynęło już piętnaście lat.

– Wspominał o co chodzi?

– *Mówił tylko, że chce z tobą porozmawiać. Nie wyglądał najlepiej.*

– Gdzie jest?

– *W Tempest.* – Trzysta kilometrów od Seabright.

Cieszyła się, że o niej pamiętał. Nie wiedziała tylko, dlaczego odzywał się teraz, po tylu latach.

– To dziwne – przyznała.

– *Prosił, żebyś zadzwoniła do niego, jak tylko wrócisz do domu.*

Spojrzała na komunikator. Minęła już pierwsza w nocy.

– Skontaktuję się z nim z samego rana.

– *Kim, on nalegał.*

– To może poczekać. Na pewno nie życzyłby sobie, abym zrywała go z łóżka w środku nocy. – Poszła do kuchni i zrobiła sobie kawę. Jeszcze dwadzieścia minut gawędziła z SI, po czym postanowiła położyć się spać.

Wzięła prysznic, zgasiła światła i stanęła w oknie przyglądając się falom. Alfa Maxim znajdował się teraz dokładnie nad dachem, więc nie mogła go widzieć. Ognisko na plaży paliło się jeszcze, ale wszyscy już poszli do domów. Patrzyła, jak iskry unoszą się ku niebu.

– *Jest tak pięknie* – powiedział Shepard.

Poczuła dziwny ból. Nie miała pojęcia, skąd się wziął. Nadal trwał odpływ i morze milczało.

W takich chwilach niemal wierzyła, że ocean nie zaczynał się tuż za jej progiem, że odszedł w mrok razem z Emily.

Nie potrafiła zapomnieć o siostrze, zwłaszcza w taką noc. Ostatni wspólny dzień spędziły bawiąc się w morzu. Miały nadmuchiwanego konika morskiego, z którego Kim celowo ześlizgiwała się do wody. *Emily, ratunku*. Za każdym razem piękna kobieta, której wygląd miała siostrzyczka miała pewnego dnia odziedziczyć, udawała zdumienie i z pluskiem ruszała Kim na pomoc. Mała Kim czuła się niezmiernie szczęśliwa i dumna z tego, że kiedyś będzie taka jak Emily. Kiedy całą rodziną oglądali zdjęcia siedmioletniej Emily, mama zawsze kręciła głową z niedowierzaniem.

– Tylko popatrzcie, czy to nie nasza Kim? – mówiła, choć doskonale wiedziała, kto był na fotografiach.

Kiedy tamto popołudnie zbliżało się do końca, Emily powiedziała jej, że wyjeżdża na piętnaście miesięcy. Dla dziecka to cała wieczność. Kim była zła. W taksówce, przez całą drogę do domu nie odezwała się do siostry ani słowem.

Wtedy widziała ją po raz ostatni. Potem niemal każdego dnia żałowała, że nie może się cofnąć do tamtej chwili.

Kilka miesięcy później Kim właśnie wychodziła do szkoły, gdy mama zatrzymała ją i powiedziała, że coś się stało. Nie wiedzieli dokładnie co, ale... nikt nie mógł znaleźć Emily.

Wróciła na Greenway dużo wcześniej niż planowano. Ze Sky Harbor zjechała do Terminal City i razem z inną kobietą wsiadła do taksówki, która miała je zawieźć do hotelu. Nigdy tam nie dotarła. I nikt nie wiedział, co się z nią stało.

Ktoś chodził po plaży. Kobieta z psem. W taki ziąb. Kim przyglądała się sylwetkom, dopóki nie znikły w miejscu, gdzie brzeg i pas pływiczny lekko zakręcały. Plaża znowu opustoszała.

– Rzeczywiście, jest pięknie, Shep – powiedziała Kim.

Włożyła świeżą piżamę podłączoną do systemów Sheparda. Dzięki temu mogła stymulować różne uczucia. Firanki zaszeleściły poruszone nagłym podmuchem wiatru. Kim położyła się do łóżka. Shepard zgasił światło.

– *Mam zaprogramować noc, Kim?*

– Tak, proszę.

– *Chcesz, żebym sam coś wybrał?* – Zwykle zdawała się na niego. Tak było ciekawiej.

– Tak.

– *Dobranoc, Kim.*

W głosie Cyrusa usłyszała żal.

– *Kim, połączenie nie zdaje egzaminu. To znaczy, że program jest bezużyteczny.* – W przyćmionym świetle centrum sterowania wyglądał niewiarygodnie przystojnie.

– *Czyli, że nie możemy zdetonować ładunku.*

– *Właśnie.*

Spojrzała na ekrany, na których jarzył się Alfa Maxim.

– *Nie mamy czasu na wprowadzanie kodu od początku.*

Przytaknął.

– *Pełna klapa.*

– *Niekoniecznie* – powiedziała. – *Możemy spróbować zrobić to na wycucie.*

– *Kim, oboje wiemy, że to niemożliwe.* – Spojrzał na nią uważnie. – *Powinniśmy dać sobie spokój i postarać się jak najlepiej wykorzystać moment...*

– *Cyrus...*

– *Kocham cię, Kim. Co nam zależy, czy ta gwiazda wybuchnie, czy nie?*

Shepard obudził ją o siódmej. Czekwały na nią tosty i sok pomarańczowy.

– *Wiesz, on nie jest odpowiedzialnym dowódcą* – zauważył.

– *Wiem.*

– *Może chcesz, żebym...?*

Sok był pyszny.

– *Zostaw wszystko, tak jak jest* – powiedziała.

– *Jak sobie życzysz, Kim.* – Shep śmiał się z niej. – *Poza tym masz telefon. Dzwoni profesor Tolliver.*

O siódmej rano?

– *Połącz go* – poprosiła.

Sheyel się postarzał. Wyglądał tak, jakby wyparowała z niego cała energia. Twarz miała ziemistą barwę. Broda, niegdyś czarna, zupełnie posiwiała. Na widok Kim mężczyzna się uśmiechnął.

– *Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Chciałem się z tobą skontaktować, zanim wyjdiesz do pracy.*

– *Cieszę się, że znowu mam okazję z panem porozmawiać, profesorze. Minęło już tyle lat.*

– *Owszem.* – Siedział w pięknie rzeźbionym fotelu z poręczami w kształcie smoczych łap.

Plecy opierał o poduszki. – *Widziałem cię wczoraj wieczorem. Wypadłaś doskonale.* – Wystąpienie Kim transmitowała większość agencji informacyjnych. – *A tak w ogóle, powinienem ci pogratulować. Wiele osiągnęłaś.*

Przed nim nie musiała kryć, że nie lubi swojej pracy.

– *Nie o takim zajęciu marzyłam.*

– *Wiem.* – *Sprawił wrażenie zakłopotanego.* – *Nigdy nie wiadomo, co nam przyniesie życie. Pamiętam, że chciałaś zostać astronomem.*

– *Astrofizykiem.*

– *Ale za mównicą radzisz sobie świetnie. Zawsze uważałem, że byłby z ciebie całkiem niezły historyk.*

– *Dziękuję. Miło mi.*

Profesor sposepniał.

– *Chciałbym z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym i proszę, abyś mnie wysłuchała.*

– *O co chodzi?*

– *Na kilka minut powstrzymaj się od pytań, Kim. Pozwól, że to ja najpierw cię spytam o projekt Latarnia. Masz jakiś wpływ na jego przebieg?*

– *Żadnego* – przyznała. – *Zajmowałam się jedynie kontaktem z mediami.*

– *Szkoda.* – *Pokiwał głową.*

– *Dlaczego?*

Długo się zastanawiał nad odpowiedzią.

– Chciałbym, aby go przerwano.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Jak to? – Wprawdzie istniały jakieś grupy sprzeciwiające się całemu przedsięwzięciu, głosząc, że wysadzanie gwiazd jest niemoralne, nawet jeśli na otaczających je planetach nie znaleziono żadnego ekosystemu. Kim jednak nie mogła uwierzyć, że jej profesor utożsamiał się z *takimi* ludźmi.

Sheyel poprawił poduszki.

– Kim, uważam, że obwieszczenie wszem i wobec naszej obecności nie jest rozsądne, skoro nie wiemy, co tam jest.

W jednej chwili jej szacunek do wykładowcy zmaleł o kilka stopni. Takie sentymentalne podejście mogła zrozumieć u Woodbridge'a, według którego nauka służyła jedynie udoskonalaniu maszyn. Ale Sheyel był przecież zupełnie innym człowiekiem.

– Naprawdę uważam, że wszelkie tego typu obawy są zupełnie bezpodstawne, profesorze.

Palcem wskazującym podparł brodę.

– Łączy nas więź, o której pewnie nie wiesz, Kim. Yoshi była moją wnuczką.

– Yoshi...?

– ...Amara.

Kim na moment zabrakło tchu. Yoshi Amara była kobietą, która jechała taksówką razem z Emily. Towarzyszyła też siostrze Kim na *Hunterze* w jego ostatniej misji.

Obie kobiety wróciły razem z resztą załogi po kolejnej bezowocnej wyprawie, podczas której poszukiwano życia pozaziemskiego. Misję skrócono z powodu awarii jakichś urządzeń.

Windą zjechały do Terminal City, gdzie ulokowano je w hotelu Royal Palms. Potem zamówiły taksówkę i znikły z planety.

– Ma pan rację – odezwała się Kim. – Nie wiedziałam o tym.

Sięgnął ręką w bok, podniósł kubek i napił się. Kim dostrzegła smugę pary.

– Pamiętam, że kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, pomyślałem, że bardzo przypominasz Emily. Ale wtedy byłaś bardzo młoda. Teraz wyglądasz identycznie jak ona. Jesteś jej klonem? Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego pytania.

– Rzeczywiście – odparła. – Było nas sporo na przestrzeni czterech pokoleń. – Różniły się tylko szczegółami wyrazu twarzy i fryzurami. – A zatem znał pan Emily, tak?

– Spotkałem ją tylko raz. Na pożegnalnym przyjęciu przed rozpoczęciem misji. Zaprosiła mnie Yoshi. Twoja siostra była wspaniałą kobietą. Wydała mi się pasjonatką, ale w tym nie różniła się od Yoshi.

– Chyba wszyscy mamy w sobie odrobinę pasji, profesorze. Przynajmniej ci, których warto znać.

– Tak, to prawda. – Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej uważnie. – Co wiesz o ich ostatniej podróży? Ostatniej misji *Huntera*?

Prawdę mówiąc, wiedziała niewiele. Nie miała nawet pojęcia czy jest coś, co powinna wiedzieć. Emily chciała znaleźć pozaziemskie formy życia. Najlepiej *inteligentne*. Liczyło się dla niej tylko to i Kim. Miała za sobą dwa małżeństwa z mężczyznami, których drażniły stałe wyjazdy

żony. Wielokrotnie brała udział w misjach *Huntera*. Wyprawy często trwały ponad rok. Niczego podczas nich nie odkryto, ale Emily zawsze wracała do domu przekonana, że następnym razem będzie inaczej.

– Wiem tylko, że nie dotarli daleko. Mieli kłopoty z silnikiem i musieli zawrócić. – Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Czego profesor się po niej spodziewał?

Jego uśmiech sprawił, że znowu poczuła się jak studentka. Czy naprawdę upłynęło już tyle czasu, odkąd wspólnie słuchali pieśni z ówczesnie badanej ery terraformowania Greenway do potrzeb ludzi? W jego sali wykładowej stale rozbrzmiewały dźwięki „Granitowego Johna” i „Pochowaj mnie w głębokim, niebieskim oceanie”.

– Mam powody przypuszczać, że to nie wszystko – powiedział profesor. – Myślę, że coś znaleźli.

– Coś? Co?

– To, czego szukali.

Gdyby to był kto inny, natychmiast znalazłaby jakąś wymówkę, aby jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Profesorze Tolliver, jeśli tak było, to po powrocie zapomnieli to ogłosić.

– Wiem. Trzymali to w tajemnicy.

– Dlaczego? – Powiedziała to tonem nakazującym zachowanie rozsądku.

– Nie wiem. Może przeraziło ich to, co znaleźli.

Przeraziło? Statkiem dowodził Markis Kane. Bohater wojenny, któremu poświęcono całe skrzydło Muzeum Pamięci Wielkiej Trójki. Zginął przed kilkoma laty ratując dzieci podczas pożaru lasu w Ameryce Północnej.

– Trudno mi w to uwierzyć – przyznała Kim.

– Tym niemniej, sądzę, że właśnie tak było.

Na *Hunterze* znajdowały się tylko cztery osoby. Kane, Emily, Yoshi i Kil Tripley, przewodniczący Fundacji Tripleya, która sponsorowała misję. On także zniknął w dziwnych okolicznościach. Tripley i Kane mieszkali w Severin, w górzystym regionie na zachodzie Equatorii. Trzy dni po powrocie *Huntera* z misji i po tajemniczym zniknięciu kobiet, wybuch, którego przyczyn do dziś nie ustalono, rozdarł wschodnie zbocze Mount Hope. Zrównał z ziemią wszystko, co było w dolinie Severin i zabił trzysta osób. Po tym wydarzeniu Tripleya nie odnaleziono i przypuszczano, że zginął podczas katastrofy.

Większość ekspertów w Instytucie uważała, że wybuch spowodowało uderzenie meteorytu, ale nie znaleziono nawet najmniejszych jego śladów. Eksplozja dorównywała siłą detonacji niewielkiej bomby jądrowej.

– Misja *Huntera*, zniknięcia, wybuch, to wszystko jest ze sobą powiązane – powiedział Tolliver.

Takie historie opowiadano od lat. Był to ulubiony temat autorów teorii spisku. Być może nie we wszystkim się mylili, ale brakowało dowodów. Kim czuła się niezręcznie siedząc naprzeciwko profesora Sheyela i rozmawiając o Mount Hope. Z przykrością stwierdziła, że jej dawny nauczyciel dołączył do grona osób dających wiarę opowieściom o ukrywaniu prawdy i wizytach istot z innych światów.

O incydencie w Severin krążyło mnóstwo lunatycznych teorii. Niektórzy twierdzili, że na

powierzchni planety utworzyła się czarna mikro–dziura. Przestudiowano dzienniki pokładowe statków morskich i powietrznych badających przeciwległą półkulę Greenway, szukając potwierdzenia tego, że anomalia mogła mieć początek w oceanie. Podobnie zachowywali się badacze przed tysiącem lat, po wydarzeniach w Tunguska. Jak się okazało, w górnych warstwach atmosfery rzeczywiście powstała dziwna rytna. Po tym odkryciu teorię zaczęto uważać za wiarygodną, choć wszyscy wiedzieli, że nie istnieje nic takiego jak czarna mikro–dziura.

Niektórzy wierzyli, że to jeden z eksperymentów rządowych wymknął się spod kontroli.

Jedna z grup utrzymywała, że rzekomo dotyczył on badań nad podróżowaniem w czasie; inna, że przenoszenia masy. Byli też tacy, co twierdzili, że podczas próby lądowania obcego statku doszło do eksplozji antymaterii.

– Kim, co wiesz o Kilu Tripleyu? – spytał profesor.

– Był bogatym zapaleńcem szukającym sławy. – Tripley zarządzał korporacją Interstellar, która specjalizowała się w naprawach i konserwacji silników skoku, pozwalających statkom kosmicznym wchodzić w nadprzestrzeń i opuszczać ją.

– Niezwykle uparty człowiek. W swojej branży musiał taki być – stwierdził Tolliver. – Czytałaś może biografię Korkela?

Nie czytała.

– Jasno z niej wynika, że Tripley nie zadowoliliby się znalezieniem w kosmosie byle bakterii. Chciał trafić na myślącą istotę. Na *cywilizację*. Właśnie to Fundacja stawiała sobie za główny cel, który stał się też celem jego życia.

Podobnie jak i Emily.

Jednym z najbardziej przygnębiających miejsc we wszystkich Dziewięciu Światach była opuszczona grupa radioteleskopów na niewidocznej z Ziemi półkuli Księżyca.

Zaprojektowano ją wyłącznie po to, by szukała w przestrzeni sztucznych sygnałów radiowych. Niezwykle nowoczesna jak na owe czasy, po stu pięćdziesięciu latach bezskutecznych prób zaprzestała poszukiwań życia pozaziemskiego i została przeznaczona do innych celów. Teraz jej urządzenia były przestarzałe. Stały się pomnikiem utraconych marzeń. *Jesteśmy sami*.

Nigdy nie odebrano sygnału. Nie odnaleziono ani jednego śladu supercywilizacji zdolnej do zbudowania kul Dysona. Nie doczekano się żadnego gościa. Wniosek był tylko jeden.

Bezradnie rozłożyła ręce, zastanawiając się, jak przerwać rozmowę.

– Profesorze...

– Mam na imię Sheyel.

– Sheyel. Jestem skłonna przyjąć to, co mówisz jako prawdopodobne, tylko dlatego, że darzę cię szacunkiem. Ale nie mogę zapomnieć o...

– ...ryzyku, jakie wiąże się ze zbytnią wiarą w nieomylność źródła, gdy ocena wiarygodności argumentu nakazuje co innego. – Oczywiście teraz możesz zaliczyć mnie do kategorii tych, którym nie powinnaś wierzyć.

– Właśnie się nad tym zastanawiam – przyznała. – Na pewno jest coś, o czym mi nie powiedziałaś.

– To prawda. – poprawił poduszki. – *Hunter* opuścił St. Johns dwunastego lutego 573 roku. – St. Johns było stacją kosmiczną w systemie Cynex, ostatnim punktem uzupełnienia zapasów przed skokiem w nieznane. – Skierował się na Złoty Kielich w Mgławicy Drum.

Skupisko starych, żółtych gwiazd. Na pierwszy przystanek wybrali... – Spojrzał w dół na coś, czego Kim nie widziała na ekranie. – QCY440187, typ widma G. Ale, oczywiście, nigdy nie dotarli tak daleko.

– Mieli problemy z napędem skoku – wtrąciła Kim.

– Tak brzmi oficjalna wersja. Rzekomo musieli opuścić nadprzestrzeń, dokonali niezbędnych napraw i zawrócili. Ale nie do St. Johns. Kane uznał, że tam nie naprawią usterek. Dlatego przylecieli aż do portu macierzystego w Sky Harbor. Weszli do doku trzydziestego marca. Jak na ironię *Hunter*, którego właściciel zbił fortunę na budowie i konserwacji silników skokowych, miał awarię właśnie tego napędu. Tym niemniej...

Kim dostrzegła swoją szansę.

– W porządku, rozumiem – powiedziała tonem, który świadczył, że nie widziała w tamtych wydarzeniach nic dziwnego.

Sheyel pokazał jej jeszcze jedno zdjęcie. Yoshi, Tripley i Emily w kombinezonach Fundacji. Yoshi miała wyraźnie zaznaczone kości policzkowe i fascynujące, ciemne oczy.

Biel apaszki podkreślała młodość dziewczyny. Kim zauważyła monogram na materiale i spytała co oznaczał.

– To półksiężyc – wyjaśnił. Zamyślił się na chwilę. – Yoshi uwielbiała półksiężycy.

Kolekcjonowała je. Miała biżuterię w ich kształcie i ozdabiała stroje ich monogramami. Ale, wracając do naszej rozmowy, jakąś godzinę po wejściu do doku w Sky Harbor, Yoshi

zadzwoiła do mnie.

To zwróciło uwagę Kim.

– Co powiedziała?

– Dziadku, trafiliśmy na złoto.

– *Złoto?*

– Właśnie tak. Obiecała, że później się do mnie odezwie, bo nie mogła swobodnie rozmawiać. Prosiła, żebym nikomu o niczym nie wspominał.

– Sheyel...

– To mogło oznaczać tylko jedno.

– Może po prostu się zakochała. – Kim próbowała ukryć frustrację.

– Użyła liczby mnogiej.

– Rozmawiałeś z Kane'em?

– Oczywiście. Twierdził, że nie stało się nic niezwykłego. Było mu przykro, że pozostała trójka znikła w kilka dni po lądowaniu, ale nie miał pojęcia, co się z nimi stało.

Przyglądała się profesorowi przez dłuższą chwilę.

– Sheyel – powiedziała w końcu – nie mam pojęcia, czego ode mnie oczekujesz w związku z tą sprawą.

– No tak. – Jego twarz niczego nie zdradzała. – Rozumiem.

– Prawdę mówiąc, nie słyszałam nic, co wskazywałoby na to, że doszło do kontaktu. Bo właśnie to sugerujesz, prawda?

– Dziękuję, że poświęciłaś mi chwilę, Kim. – Wyciągnął rękę, aby się rozłączyć.

– Zaczekaj – powiedziała. – Oboje straciliśmy wtedy bliskie nam osoby. To boli.

Zwłaszcza, że nie wiadomo co się z nimi stało. Moją mamę prześladowało to aż do śmierci. – Odetchnęła głęboko wiedząc, że to dobry moment na przerwanie rozmowy. – Czy jest może coś, co przede mną zataiłeś?

Patrzył na nią długo.

– Wspomniałaś o kontakcie. Sądzę, że oni coś ze sobą przywieźli.

Rozmowa miała dziwny przebieg. Kim sądziła, że profesor niczym już jej nie zaskoczy, tymczasem ostatnim zdaniem niemal mu się to udało.

– Jak to, *coś*?

– Nie wiem. – Zamrugał oczami tak, jakby stracił ostrość widzenia. – Przeczytaj relacje z późniejszych wydarzeń w Severin. Przez wiele lat po wybuchu ludzie twierdzili, że widywali coś w lasach. Światła, duchy, sam nie wiem. Mówiono, że konie i psy zachowywały się w tamtej okolicy niespokojnie.

Kim krępowało jego nastawienie. Widział to.

– Wszyscy wyjechali z miasta – powiedział. – Opuścili je.

– Wynieśli się stamtąd, bo wybuch naruszył zaporę. Naprawy kosztowałyby zbyt wiele, więc władze zachęcały mieszkańców, by opuścili okolice. Prócz tego ludzie mieli złe wspomnienia.

– Rozebrali tamę, bo wszyscy wyjeżdżali. Osobiście odwiedziłem tamte strony. Tam coś jest.

Chwilę słuchała szumu powietrza krążącego po pokoju.

– *Widziałeś coś, Sheyel?*

– Czuję to. Jedź tam i sama się przekonaj. Po zmroku. Zrób choć tyle. O nic więcej cię nie proszę.

– Sheyel...

– Ale nie jedź tam sama.

Być może nigdy się nie dowiemy, co zaszło w Mount Hope. O, którzy twierdzą, że to tajny projekt rządu tamtej kwietniowej nocy przybrał katastrofalny obrót, muszą wyjaśnić jakim cudem rząd, zwykle niezdolny do utrzymania jakiegokolwiek tajemnicy, nie zdradził nic przez tak wiele lat. Również teorii o czarnej mikro-dziurze nie da się obronić, dopóki ktoś nie dowiedzie, że tak osobliwe zjawisko w ogóle istnieje. A co do możliwości eksplozji antymaterii, po drobiazgowym śledztwie komisja stwierdziła, że nie ma źródła, które mogłoby do tego doprowadzić. Dlatego powodów wydarzeń w Mount Hope nie da się wyjaśnić w zadowalającym stopniu, przynajmniej na razie.

– Raport Komisji Konsyliarnej, 3 marca, 584

Patrząc z boku można było pomyśleć, że Kim wraz z grupą dziennikarzy, sponsorów i polityków unosili się w pustce, w niewielkiej odległości od gwiazdy Alfa Maxim. Zajmowali cztery rzędy foteli. Niektórzy goście popijali kawę lub sok owocowy, a kilku zagłębiło się w siedzenia, tak jakby w innej pozycji ryzykowali upadkiem. Blask słońca był przyćmiony. Alfa Maxim miał wielkość dwa razy większą niż Helios w południe.

Dwa zegary, umieszczone wśród projekcji gwiazd, odliczały czas do zapłonu.

Kim zajęła miejsce z tyłu i komentowała obraz.

– LK6 ma jeszcze dwie minuty do skoku w jądro słońca. Kiedy to nastąpi, statek podejmie próbę materializacji w miejscu o dużej gęstości materii.

Siedzący z przodu Kanon Woodbridge rozmawiał przez telefon, jednocześnie obserwując wydarzenie.

– Samo to wystarczyłoby do wywołania eksplozji. Ale LK6 niesie dodatkowy ładunek antymaterii. Dojdzie do reakcji, która spowoduje destabilizację gwiazdy.

Technik obok niej dał znak, że operacja nadal przebiega zgodnie z planem.

– Otrzymaliśmy raport z *McColluma*, że ostatni członkowie załogi opuścili już pokład *Trenta*. *McCollum* zaczął się oddalać. Jeden z obserwatorów spytał, jaki jest margines bezpieczeństwa. Ile czasu upłynie, zanim fala uderzeniowa dotrze do *Trenta*?

– Załozdze nic nie zagraża. Wszyscy będą wystarczająco daleko, kiedy pierwsze zjawiska towarzyszące wybuchowi nowej dotrą do ich byłej jednostki. Prawdę mówiąc, *Trenta* nie zniszczy fala uderzeniowa, tylko światło, które dotrze do niego jako pierwsze.

Poproszono ją o wyjaśnienia.

– Nowa emituje mnóstwo fotonów. Wyobraźcie sobie niemal zwartą ścianę, która porusza się z szybkością światła...

Na zegarze pokazał się szereg zer.

– Operacja wprowadzenia LK6 do jądra została zakończona – poinformowała Kim.

– Ile czasu upłynie, zanim zobaczymy pierwsze skutki eksplozji? – spytała przedstawicielka korporacji, która niemal rutynowo wspierała wszystkie przedsięwzięcia Instytutu.

– Nie mamy pewności, Anno. Prawdę mówiąc, nie wiemy ile to potrwa.

Wśród obserwatorów wydarzenia nie brakowało sceptyków, którzy uważali, że Instytut

przecenił swoje możliwości. Twierdzili, że wywołanie eksplozji gwiazdy przerastało ludzkie możliwości. Kim wiedziała, że wielu z nich z satysfakcją powitałoby niepowodzenie przedsięwzięcia. Jedni nie darzyli sympatią samego Instytutu, innym nie podobał się jego dyrektor. Jeszcze inni niechętnie myśleli o tym, że ludzie mogą osiąść taką moc. Do tych ostatnich zaliczał się Woodbridge. Pomimo tego, co powiedział poprzedniego wieczoru, Kim wiedziała, że tak naprawdę jego obawy wynikały z nieufności wobec ludzkiej natury.

Upływały minuty i nic się nie działo. Kim usłyszała, jak coś pada i uderza o niewidzialną podłogę. Obecni zaczęli się niepokoić. Wszystkie eksplozje, które dotąd widzieli, następowały w chwili ich wywołania.

Pierwsze zmiany dostrzegli dopiero po osiemnastu minutach. Wokół pasa Alfa Maxima zaczęły się pojawiać jasne linie. W chromosferze dochodziło do widocznych turbulencji. Z powierzchni gwiazdy wytryskały fontanny światła.

W dwudziestej drugiej minucie Alfa Maxim zaczął się rozszerzać. Proces przebiegał powoli: przypominał stopniowe wypełnianie balonu wodą. Prądy o gigantycznej sile zaczęły zmieniać kulisty kształt słońca, spłaszczając je, szarpiąc i wywołując olbrzymie wstrząsy.

Po dwudziestu sześciu minutach i jedenastu sekundach, gwiazda eksplodowała.

Zwykle dało się mniej więcej ocenić wiek danej osoby na podstawie cech fizycznych, jakie wybrali dla niej rodzice. W różnych okresach preferowano odmienne odcienie skóry, typy budowy i kolor włosów. Pojęcie piękna stale się zmieniało: kobiety z jednego pokolenia miały pełniejsze kształty i, jak stwierdził kiedyś Sal Hobbs, środki ciężkości kilkanaście centymetrów przed nimi; natomiast w innym pokoleniu preferowano wiotkie panny o niemal chłopięcych figurach. Moda wśród mężczyzn także się zmieniała, fundując im sylwetki od masywnych po szczupłe. Zgodnie z obecnie obowiązującym trendem zbyt duża masa mięśniowa była w złym guście. Chłopcy, którzy rodzili się teraz i przez następne kilka lat, mieli w przyszłości wyglądać jak tancerze baletowi. W latach osiemdziesiątych rodzice obojga płci woleli klasyczne rysy, dłuższą linię szczęki, szeroko rozstawione oczy i proste nosy. Dlatego obecne nastolatki wyglądały tak, jakby właśnie zeszyły z cokołów Akropolu. Kim urodziła się w okresie, gdy panowała moda na elfi wygląd. Próbowwała jakoś to kompensować rzeczowym podejściem do życia i unikając zaprogramowanej tendencji do przekrzywiania głowy na bok i układania warg w słodki uśmiech. Wybrała też fryzurę, która trochę zasłaniała elfie uszy.

Salomon Hobbs przyszedł na świat w czasach królowania bicepsów i szerokich ramion, ale trochę zaniedbał sylwetkę. Był jednym z czterech pilotów statków kosmicznych Instytutu.

Kim poznała go prywatnie. Oboje pasjonowali się nurkowaniem. Sal był już członkiem Rycerzy Głębin, gdy Kim postanowiła się do nich przyłączyć.

Miał jasnoniebieskie oczy i brązowe, wiecznie rozczochrane włosy. Beztroską i dobroduszością wyróżniał się w środowisku, które zabawę traktowało jak ciężką pracę, jak coś, co człowiek musiał robić, by utrzymać prawidłową równowagę psychiki.

Kiedy zapalono światła, a goście opuścili salę projekcyjną, Kim złapała taksówkę i pojechała do Sala. Wysiadła na jego pomoście. Oboje zamierzali na swój sposób uczcić początek Nowego Roku, schodząc pod wodę do *Caledoniana*. Od tygodni niecierpliwie czekali na tę chwilę. Kiedy

płynąc pod chłodny wiatr, okrążali Wyspę Capelo, Kim opowiedziała przyjacielowi o rozmowie z Sheyelem. Mówienie o tym nie przychodziło jej łatwo, ponieważ nie chciała przedstawiać swego byłego profesora jako szaleńca. Mimo to czuła, że musi się wygadać przed Salem. Gdy skończyła, cicho spytał, w jakim stopniu ufała Tolliverowi.

– Gdybyś zadał mi to pytanie dwa dni temu...

– Ludzie z wiekiem dziwaczejają. – Sal zmrużył oczy, odwracając się ku słońcu. Łódź uniosła się na fali i wraz z nią opadła. – Tak bywa.

Wysłuchali się w szum morza.

– Mam wrażenie, że mam dług wobec Emily i powinnam *coś* zrobić – przyznała Kim.

– Emily powiedziałyby ci, żebyś dała sobie spokój.

Kim się roześmiała. Zabawne. Jej siostra nie należała do osób, które bez wahania realizowały każdy dziwaczny pomysł, ale miała w sobie coś, co pchało ją poza granice rzeczywistego, namacalnego wszechświata. Gdyby musiała wybierać między światłem dnia i ciemnościami, za każdym razem wolałaby noc.

– Nie. Emily chciałyby, żebym *coś* zrobiła. Nie pozwoliłaby mi tak tego zostawić.

– Chodzi ci o wyprawę do Severin?

– Wiem, co sobie myślisz. Nawet zastanawianie się nad tym jest głupie. – Kim skrzywiła się nieznacznie.

Sal wzruszył ramionami.

– Zrób z tego wakacyjną wycieczkę.

– Będę musiała oddzwonić do Sheyela. Nie podoba mi się sposób, w jaki zakończyliśmy rozmowę.

– A nie chcesz zadzwonić i przyznać, że...

– Właśnie. Że nie chciało mi się nawet przejść po tamtym lesie.

Oboje się roześmieli. Wiatr trysnął na pokład niewielką fontanną kropel.

– Mogę po prostu powiedzieć, że nie miałam czasu tam pojechać. Że zajmę się tym, jak tylko będę mogła.

– Pamiętam, jak mówiłaś, że ten facet był całkiem niezłym wykładowcą.

– Tak. Był dobry.

– I chcesz mu powiedzieć, że nie miałaś czasu sprawdzić czegoś, o co cię prosił? Że miałaś za dużo pracy? Zamierzasz tak to zostawić, chociaż chodzi także o twoją siostrę?

– Sal, naprawdę nie chcę dać się w to wciągnąć.

– To się nie daj. – Wrak pokazał się na monitorze czujnika. Sal odrobinę wyostrzył kurs do linii wiatru. – Zaraz znajdziemy się nad nim.

– Ale co pomyślą inni, gdy rozejdzie się wieść, że polowałam na duchy?

– Kim, dlaczego nie wierzysz mu na słowo? Oboje wiemy, że nie będziesz mogła spać spokojnie, dopóki tego nie zrobisz. Do Severin można dotrzeć w kilka godzin. Według niego tam straszy, tak?

– Tego nie powiedział. Twierdził tylko, że „tam coś jest”.

– Czyli, że możesz się spodziewać wszystkiego.

– Chyba chciał mi dać do zrozumienia, że sama się zorientuję, gdy to zobaczę.

– No to spróbuj. Jeśli nic nie znajdziesz, będziesz mu mogła powiedzieć, że próbowałaś.

Rzucił kotwicę i oboje przebrali się w skafandry nurków. Kim złożyła ubranie na koi w kabinie, a potem zdjęła srebrne kolczyki i położyła je na bluzce. Miały kształt delfinów.

Dostała je dawno temu od chłopca, którego słabo pamiętała. Gdy była gotowa, usiadła obok Sala na pokładzie. Zaczęli wkładać płetwy i regulować termostaty, jednocześnie wracając do przerwanej rozmowy. Kim wiedziała, że nie zejda pod wodę, dopóki nie zapadnie decyzja w sprawie Tollivera.

– Uważasz, że jestem mu to winna – stwierdziła.

– Uważam, że jesteś to winna sobie. – Włożył maskę i dopasował ją, potem przyczepił konwerter i odetchnął głęboko. – Pojadę tam z tobą, jeśli chcesz.

– Naprawdę?

– Przez kilka tygodni pracujemy na zmiany i mam mnóstwo wolnego czasu, więc gdybyś chciała jechać ze mną...

Bardzo chciała.

– Dobrze – powiedziała. – Pojutrze mam spotkanie z Towarzystwem Relewancji. To będzie środa. W następną sobotę zbieramy fundusze w Sky Harbor.

– Co to za okazja?

– Chrzest *Star Queen*. Pasowałby mi wyjazd w ten weekend.

– Chyba nie chcę wiedzieć czym, zajmują się członkowie Towarzystwa Relewancji.

– Są *nieobojętni* na to, co się dzieje wokół nich.

– Wybierasz się z nimi na lunch? – Sal uśmiechnął się znacząco.

– Tak.

– Po co czekać do weekendu? W Eagle Point jest wtedy mnóstwo turystów. Taniej byłoby pojechać tam teraz. Może w środę po południu? Po twoim spotkaniu z tym relewantnym towarzystwem?

– Relewancji.

– Wszystko jedno.

– Dlaczego tak nagle zaczęło cię to interesować?

– Noc w dolinie Severin z piękną kobietą? Czemu miałbym się nie interesować?

Z Salem łączył ją czysto platoniczny związek. Poznała go, gdy jeszcze był żonaty. Zostali przyjaciółmi, zanim mogli zostać kochankami. Od początku go polubiła. Potem, gdy jego żona i on nie odnowili więzów małżeństwa, Kim rozważała czy powinna mu powiedzieć, że interesuje ją nie tylko jako przyjaciel. Ale odniosła wrażenie, że nie palił się do tego.

Twierdził, że to najszybsza droga do kłótni. Zastanawiała się, czy nie prowadził jakiejś potajemnej gry. Może miał inną kobietę? Albo naprawdę wierzył w to, co mówił. W końcu zaczęła traktować ich układ jako najzupełniej naturalny.

– Dziś rano, po rozmowie z Sheyelem, skorzystałam z wirtualnej projekcji – przyznała, mocując konwerter na plecach i podłączając go. – Przez godzinę patrzyłam na lasy w Severin.

Widziałam tylko drzewa.

– To nie to samo, co być tam naprawdę – powiedział Sal.

Pod łodzią przeszła fala, kołysząc nią z boku na bok. Sal zanurzył maskę w wodzie, po czym założył ją ponownie.

– A Kane? Co się z nim stało?

– Po tamtej misji *Huntera* odszedł z floty. Pewnie wolał żyć w samotności. Nie jestem pewna, jeszcze tego nie sprawdziłam.

– Aha.

– Jak to „aha”? Co chcesz przez to powiedzieć?

– „Jeszcze” tego nie sprawdziłaś. Czyli interesujesz się tą sprawą, mam rację?

Przewróciła oczami.

– To tylko zwykła ciekawość. Wiem, że został w Severin, dopóki wszystkich stamtąd nie ewakuowano. Wyjechał zanim zburzono zaporę. Przeniósł się do Terminal City, a potem dalej. W końcu zagnało go na Ziemię. Do Kanady. Pewnie utrzymywał się z emerytury.

– Nadal żyje?

– Zginął kilka lat temu, ratując jakieś dzieci podczas pożaru lasu.

– I zawsze trzymał się tej samej wersji? – spytał Sal wciągając płetwy.

– Ciągłe nękali go jacyś szaleńcy zbzikowani na punkcie teorii spisku. Chyba dlatego opuścił Greenway. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak”. Twierdził, że podczas misji

Huntera nie stało się nic niezwykłego. Wylecieli. Okazało się, że mają problemy z silnikami.

Wrócili. Nie wiedział, co się stało z kobietami. Przypuszczał, że Tripley zginął podczas eksplozji.

– Mount Hope.

– Tak.

Sal opuścił się do wody. W słuchawkach usłyszała jego głos.

– Chyba wiem, z kim powinnaś pogadać.

Patrzyła, jak schodzi w dół i po chwili ruszyła za nim.

– Z kim?

– Nazywa się Benton Tripley. Jest synem Kila. Ma biuro w Sky Harbor. Będziesz tam w następny weekend. Może przy okazji go odwiedzisz? Niewykluczone, że dowiesz się czegoś więcej.

– Sama nie wiem. – Zeszła pod powierzchnię i kilka razy odetchnęła, aby mieć pewność, że konwerter działa prawidłowo. Powietrze było słodkie i chłodne. Zadowolona z rezultatu popłynęła w dół. – Chyba wystarczy mi wyprawa do lasu. Potem dam sobie z tym spokój.

Smugi słońca szybko się rozproszyły. Obok przemknęła długa ryba w tęczowych barwach. Ocean Greenway był pełen homarów, tarponów, wielorybów, alg i wodorostów.

Schodziła coraz niżej, mijając naprzemienne chłodne i ciepłe prądy. Sal, sunąc tuż za nią, włączył latarkę przymocowaną do przegubu ręki.

Według oficjalnej wersji, *Caledonian* płynął między wyspami ku brzegom kontynentu, kiedy zaskoczył go potężny sztorm. Na pokładzie miał dziewiętnastu pasażerów i trzech członków załogi. Wydarzenie to przeszło do historii, ponieważ na jachcie znajdowało się kilka sław. Przeżyły tylko dwie osoby. Jedną z nich był nieszczęsny kapitan, któremu komisja dochodzeniowa zarzuciła zaniedbanie obowiązków, złe przeszkolenie załogi, błędne prowadzenie jednostki i nie zastosowanie się do procedur ratunkowych. Co gorsza, podejrzewano, że w noc wypadku, zabawiał się w swojej

kajucie z zamężną pasażerką.

Koło sterowe jachtu trafiło na wystawę Muzeum Morskiego w Seabright. Wielu nurków schodziło do wraku, zabierając z niego wszystko, co się dało. Nawet Kim, zwykle szanująca pamięć takich miejsc, zabrała zasuwę drzwi jednej z kabin. Teraz „pamiątka” tkwiła wewnątrz kryształowego bloku, który Kim trzymała w sypialni, ponieważ goście często dawali jej do zrozumienia, że nie pochwalają tego, co zrobiła.

Obecnie starano się o nadanie miejscu, gdzie leżał *Caledonian*, statusu parku morskiego i zainstalowanie kamer monitorujących wrak. W ten sposób próbowano ochronić go przed kolejnymi amatorami pamiątek. Kim, z hipokryzją nieodłączną ludzkiej naturze, popierała ten projekt. Uspokajała sumienie obiecując, że przekaże zasuwę muzeum. Oczywiście, gdy przyjdzie na to pora.

Płynąc z Salem nie włączała swojej lampy, delektując się ciemnością, samotnością i dotykiem wody. Po chwili dostrzegła dno. Obok przepłynęła ławica ryb zwabiona światłem latarki Sala.

Przed sobą widzieli zarysy wraku. Leżał na prawej burcie, do połowy pogrążony w mule.

Brakowało steru, masztów i desek pokładu. Zabrano wszystko, co zdołano unieść, mimo to *Caledonian* zachował dziwnie żalobną godność.

Na Ziemi dna oceaniczne zaśmiecone były wrakami statków, które zatoneły w ciągu tysięcy lat podróży i wojen. Dno oceanu Greenway wyglądało inaczej. Na palcach obu rąk dało się policzyć wszystkie jednostki, które na przestrzeni pięciu wieków zatoneły u wschodnich wybrzeży kontynentu. Tylko *Caledonian* był jachtem z prawdziwego zdarzenia.

Pozostałe należały do różnego typu motorowych ślizgaczy. Łodzie szły na dno tak rzadko, że niemal natychmiast trafiały do popularnych opowieści i legend.

Zbliżali się do wraku od strony dziobu. Kim włączyła latarkę.

– Ciągle tak samo straszny – stwierdził Sal.

Ona nazwałaby go inaczej. *Samotny* albo *opuszczony*.

Może jednak Sal miał rację.

Płynąc z prądem, znaleźli się na wysokości przedniego pokładu.

Drugi z rozbitków, którzy przeżyli sztorm zeznał, że Jon Halvert, kapitan jachtu, zrobił wszystko, co mógł. Latarnią sygnalizował pasażerom drogę do łodzi ratunkowych. Dzieła inspirowane tamtym wydarzeniem zwykle przedstawiały go, jak wysoko podnosząc światło pomaga mężczyznom i kobietom opuścić zagrożony jacht. Niestety, było już za późno.

Caledonian w ciągu kilku sekund przewrócił się i poszedł na dno. Historycy, wbrew opinii komisji dochodzeniowej, uważali, że kapitan nie mógł zrobić nic, co w znaczący sposób zmieniłoby bieg wydarzeń. Ale ludzie, jak zawsze, szukali odpowiedzialnego. Musieli na kogoś zrzucić winę.

Kim darzyła tego człowieka szczególnym sentymentem. Według niej Halvert reprezentował ludzkość zmagającą się z okolicznościami przerastającymi jej siły, obwinianą o niedoskonałość i bez względu na wszystko trzymającą w górze latarnię. Na próżno.

W rok po katastrofie Halvert zmarł, a narodziła się legenda, według której jego duch stale krążył w pobliżu wraku. Kim dobrze ją znała:

Nurkowie winni odwiedzać Caledoniana tylko przy dobrej pogodzie. Jeśli wybierzesz się tam, gdy wiatr smaga fale, a nad horyzontem wiszą deszczowe chmury, z powierzchni dostrzeżesz blask latarni kapitana, który krąży po pokładzie i schodzi po drabinkach, wskazując pasażerom drogę do łodzi.

Przeczytała to w *Duchach Equatorii*. Według jednej z wersji opowieści, kapitan miał tam zostać całą wieczność, dopóki nie ocali ostatniej ofiary.

Sal chyba domyślił się, co chodziło jej po głowie.

– Zobacz tam – powiedział, wskazując lśniącą meduzę ponad lewą burtą.

Podpłynęli do kabiny nawigatora i prześliznęli się przez puste otwory okien. W środku nie pozostało już nic. Zabrano nawet podstawę koła steru. Mimo to, bez trudu wyobrazili sobie tamtą noc, podróżnych odpoczywających na pokładzie i cieszących się perspektywą tygodniowego rejsu po morzu. Groźne chmury pojawiły się zniemacka.

Wyłynęli od prawej burty i ruszyli ku rufie. Kim latarką oświetlała wnętrze jachtu.

Kabiny były puste i nagie.

Czterdzieści minut później wyszli na powierzchnię, wspięli się na pokład łodzi i przebrali się w zwykłe stroje. Potem zjedli kolację: indyka z sałatą i zimne piwo. Zaczynało się ściemniać. Niebo było bezchmurne, a morze przypominało szklaną tafelę.

– Tutaj się czuje, jak ważna jest odpowiednia oprawa – powiedział Sal. – Mam wrażenie, że w tym miejscu mogą się dziać rzeczy nierzeczywiste. Tamte opowieści to oczywiście czysta fantazja, ale kiedy jestem w pobliżu wraku, tracę tę pewność. Tak samo będzie w lasach Severin.

– Tu rządzą inne prawa – przyznała Kim. – Po zmroku, wydaje ci się, że wilkołaki naprawdę istnieją. – Dotknęła jednego z klawiszy i z głośników popłynęła delikatna muzyka.

Siedzieli w kabinie przy nakrytym stole. Na horyzoncie rysowało się kilka wysp. Jakaś łódź sunęła na granicy zasięgu ich wzroku. Sal zrobił sobie kanapkę i ugryzł kawałek.

– Kim – odezwał się, gdy przełknął już większość – wierzysz, że duchy naprawdę istnieją?

Przyjrzała mu się i doszła do wniosku, że pytał poważnie.

– Spotkanie z prawdziwym duchem zburzyłoby wszystko, w co wierzymy, całe pojęcie tego, jak działa wszechświat.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Dlaczego?

– Kiedyś służyłem na pokładzie *Persepolisa*. Mesę oficerską nawiedzały duchy.

– Jak to?

– Słysząc w niej było dziwne hałasy. Głosy, których nikt nie potrafił wyjaśnić.

Przechodziły przez nią zimne prądy.

– Byłeś tego świadkiem?

Zastanowił się nad pytaniem.

– Tak. Pamiętam, jak kiedyś w czasie wachty przechodziłem obok. Ze środka dobiegały głosy.

– Może to pasażerowie.

– Nie wpuszczano już tam pasażerów. Zamieniono mesę na magazyn.

– Zagładałeś do środka?

– Parę razy na samym początku. Niczego nie zauważyłem. Potem nauczyłem się nie zwracać na to uwagi.

– Nie myśl, że ci nie wierzę – powiedziała. – Po prostu musiałabym to zobaczyć na własne oczy.

Jedli w milczeniu. Sal patrzył na kontynent ledwo widoczny na wschodzie.

– Platon wierzył w duchy – powiedział w końcu.

– Platon? – zdziwiła się Kim.

– Uważał, że rodziły się ze zbyt dużej ilości wypitego wina. – Roześmiał się widząc jej reakcję.

– To prawda. W którejś z rozpraw twierdzi, że kiedy ludzie zbyt przywiązują się do swojej ziemskiej egzystencji, za dobrze się bawią i za często kochają, ich dusze tak wtapiają się w ciało, że po śmierci nie mogą się uwolnić. Według niego, właśnie dlatego duchy trzymają się cmentarzy. Są w pewnym sensie przywiązane do ciała.

Kim skończyła kanapkę, oblizwała łyżkę po żurawinach i popiła wszystko piwem.

– Nie możesz zapomnieć o tej sprawie z Severin, co?

– Nie o to chodzi. Po prostu po zachodzie słońca, świat staje się zupełnie inny. – Sal ponownie napełnił szklanki.

– Niezłe podejście, jak na pilota statków kosmicznych – zauważyła Kim.

– Może za często przebywałem w ciemnościach – odparł i zajął się piciem piwa.

Eksplozja Alfa Maxima miała być widoczna w promieniu miliarda lat świetlnych. Gdyby jednak odpowiedź szła aż z tak daleka, na planecie nie pozostałby już żaden człowiek, by ją odebrać. Gatunek ludzki prędzej wyewoluowałby w jakąś inną formę.

W wiadomościach przedstawiano relacje z przebiegu projektu Latarnia, przerywając je fragmentami rozmów ze znanymi postaciami ze świata religii i z naturalistami, którzy stworzyli dziwną unię, głosząc, że wysadzanie gwiazd jest aktem skierowanym przeciwko Bogu lub wbrew naturze.

Kim rozumiała ludzkie oburzenie niszczeniem gwiazd, nawet tych, których układy planetarne mogły mieścić jedynie żelazo i metan. Zanim ruszył projekt Latarnia, po orbicie Maxima od niepamiętnych czasów krążyły planety. Poprzedniego wieczoru w jednej chwili znikły. Ich unicestwienie wydawało się niemoralne.

Uznała, że lepiej przerwać te błędne rozważania i skupić się na Sheyelu Tolliverze. Po powrocie z *Caledoniana* kusilo ją, by do niego zadzwonić i pogadać, zapominając o rozmowie poprzedniego wieczoru. Chciała sprawdzić czy u niego wszystko w porządku i czy nie żywił do niej urazy. Uznała jednak, że lepiej z tym poczekać.

Następny dzień spędziła na sali konferencyjnej z Mattem Flexnerem obmyślając strategię, która pozwoliłaby im wycisnąć dodatkowe fundusze od centralnego rządu. Wybory zbliżały się wielkimi krokami. Dotychczasowy Premier zdawał sobie sprawę, że jego ewentualni przeciwnicy chętnie podadzą dofinansowanie Instytutu jako przykład marnowania rządowych pieniędzy.

Według Kim, należało przede wszystkim udowodnić wartość Instytutu dla zwykłych podatników, którzy postrzegali tę instytucję jako sposób na tworzenie posad dla przemądrzałych naukowców nie mających widoków na znalezienie pracy gdzie indziej.

Niechętnie przyznawała się do tego, że nie była przekonana czy ci ludzie bardzo się mylili.

Oczywiście nie wspomniała o tym Mattowi. Tylko Sal wiedział, co czuła.

Matt Flexner niemal od wieku związany był z Instytutem Seabright. Jako trzydziestolatek i światowej klasy fizyk należał do najznakomitszych pracowników. Prowadził przełomowe badania nad strukturami transwymiarowymi. Niestety, wydłużenie życia człowieka uwydatniło to, o czym naukowcy zawsze wiedzieli – najbardziej twórczy okres przypadał na lata młodości. Geniusz wiądnął

równie szybko, co różnie podczas upału. Żadne genetyczne usprawnienia nie zdołały zmienić tej smutnej rzeczywistości.

Matt umiał się dostosować. Przekazał niedokończone dzieło w ręce młodszych kolegów i zajął się mniej wymagającymi dziedzinami. Głównie dbaniem o publiczny wizerunek Instytutu. Kim ze smutkiem myślała, że jej zdolności nigdy nie wyszły poza fazę pąku. Matt, choć musiał zrezygnować przed ukończeniem pracy, przynajmniej miał w niej swój udział.

Zapisał się w ludzkiej pamięci.

Oczywiście nadal wyglądał na trzydzieści lat. Miał szerokie czoło, szelmowski uśmiech, długie nos oraz czarne włosy i brodę. Doskonale grał w tenisa.

Kim traktował jak swego adiutanta.

Zawiadomiła szefa, że wyjeżdża na kilka dni. Sama ustalała sobie godziny pracy. Nikt nie przejmował się tym, kiedy i jak długo pracowała, byle tylko wykonywała powierzane jej zadania. Teraz miała przede wszystkim przekonać członków Towarzystwa Relewancji, że postąpią słusznie dofinansowując Instytut.

Pomyślała, że nie zaszkodziłoby odkryć w lasach Severin jakieś nadprzyrodzone zjawisko. Otworzyłoby to zupełnie nowe pole badań naukowych.

Do domu wróciła wcześniej. Zdrzemnęła się godzinę, potem przyrządziła sobie czekoladę na gorąco i zabrała ją do pokoju.

– Shep, w danych o Markisie Kane sprawdź, co robił po 573 roku – poprosiła.

– *Wykonuję.*

Niebo było szare i zimne. W ściany domu uderzały poddmuchy silnego wiatru.

– *Nie ma tego wiele. Był średnio znanym artystą.*

– Artystą? Jesteś pewien, że chodzi o tego samego człowieka?

– *O tak. To ta sama osoba. Podobno jego prace cieszą się umiarkowaną popularnością.*

– Rozumiem. Co jeszcze znalazłeś?

– *Opuścił Greenway w czerwcu 579 roku. Poleciał na Ziemię. Kilka lat pracował w Kanadzie jako konsultant przy projektowaniu wnętrza statków kosmicznych. W 591 roku odszedł na emeryturę. Przeniósł się do Old Wisconsin. Zmarł w 596.*

– I po misji *Huntera* już nigdy nie służył na żadnej jednostce jako kapitan?

– *Nie mam takich informacji*

Dziwne. Trzy osoby znikły, a czwarta zrezygnowała z kariery zawodowej.

W Severin pozostało tylko kilka budynków sterczących z jeziora, które powstało po rozebraniu zapory. Ochrzczono je Jeziorem Żalu, uznając, że to odpowiednia nazwa. Było dość duże. W najszerszym miejscu miało dwadzieścia kilometrów. Otaczał je las.

Gdzieniedzie na brzegach leżały sterty wyrwanych z korzeniami drzew.

– Shepard, zabierz mnie tam – powiedziała.

Pokój znikł, a w jego miejsce pojawiła się plaża.

– *Jakie warunki pogodowe?*

– Takie jak wiosną. W kwietniu. Możesz dodać lekki deszcz.

Fotel Kim znajdował się na samym skraju wody. Wiatr się wzmaczał. Mała łódź z dwoma wędkarzami płynęła do lądu. Ściana deszczu przesuwiała się po jeziorze, zmierzając w jej stronę.

Niedaleko od brzegu ponad powierzchnię sterczały ceglane ściany i kominy.

Długo siedziała bez ruchu. Nie włożyła stroju do symulacji, więc nie poczułaby deszczu i iluzja straciłaby moc. Shepard celowo zatrzymał deszczową chmurę na północy.

Jedynym sztucznym źródłem światła był reflektor na łodzi.

– Najbliższe miasto? – spytała Kim.

– *Eagle Point. Około siedemnastu tysięcy mieszkańców. Przybliżona odległość od Severin, trzydzieści trzy kilometry.*

Eagle Point. W tamtejszej Galerii Goulda znajdowało się kilka szkiców autorstwa Kane'a.

Kim przez chwilę się wahała.

– Shep – powiedziała w końcu – chcę porozmawiać z Emily.

Usłyszała elektroniczny pomruk.

– *Jesteś pewna, Kim?* – Od ostatniego razu minęło wiele lat.

– Zrób to, Shep.

Światła na chwilę rozjaśniły się, po czym ponownie przygasły. Kim wciąż siedziała na brzegu Jeziora Żalu, ale teraz nie była już sama.

– *Witaj, Kimberly.* – Emily miała na sobie taki sam strój co Kim, szeroką, białą koszulkę i powyciągane spodnie. Obie były boso. Przedtem, gdy wzywała zaginioną siostrę wyglądało to zupełnie inaczej. Dawniej nastolatka rozmawiała z dorosłą kobietą. Teraz obie wyglądały podobnie.

– Witaj, Emily. Cieszę się, że cię znowu widzę. – Minione lata nie zdołały stłumić żalu.

Ciała Emily nigdy nie odnaleziono, a Kim nie porzuciła nadziei, że jej siostra, *jej drugie ja*, kiedyś wróci.

– *Przecież widzisz mnie w każdym lustrze. Co u ciebie?*

– Całkiem nieźle. Pracuję w Instytucie Seabright.

– *Wspaniale. Czym się zajmujesz?*

– Kontaktem z mediami Zbieraniem funduszy.

– *Co?*

– Wiem, że nie o tym marzyłam, ale jestem dobra w tym co robię. No i nieźle mi płacą.

– *To dobrze.* – Emily przysiadła na pniu drzewa. – *Dlaczego tutaj jestem? Czy coś się stało?*

– Nie. Tak. Pamiętasz Yoshi Amare?

– *Oczywiście. Była czwartym członkiem załogi podczas ostatniego lotu.*

– Dzwonił do mnie mój dawny profesor. Okazało się, że jest krewnym Yoshi.

– *Naprawdę? Czego chciał?*

– Prosił, żebym zbadała sprawę jej zniknięcia.

– *Ach tak.*

– *Co się z tobą stało, Emily? Dokąd się wybrałaś tamtej nocy?*

– *Sama chciałabym wiedzieć. Naprawdę.* – Piętą narysowała na piasku linię. – *Czy ten profesor wpadł na coś, o czym dotąd nie pomyślano?*

– Znasz historie o Mount Hope.

– *Wiem, że Markis Kane nigdy nie skradłby ogniwi paliwowych. A gdyby rzeczywiście to zrobił, nie spartaczyłby roboty i nie wysadził wszystkich w powietrze* Kim, siedząc w fotelu,

pochyliła się do przodu. Pragnęła objąć Emily, przytulić się do niej, zapobiec jej nieuchronnemu odejściu w krainę cieni.

– Sheyel twierdzi, że w dolinie znajduje się coś dziwnego. Uważa, że przywieźliście to coś ze sobą. I że wam uciekło.

– *Co mam ci na to odpowiedzieć?* – westchnęła Emily. – *Twój dawny profesor nie powinien sam wychodzić z domu.*

Kim spojrzała nad ramieniem siostry na jezioro.

– Emily, czy miałaś kiedyś powód, żeby nie ufać któremuś z nich? Kane'owi lub Tripleyowi?

– *Nie. Kil był trochę roztrzepany, ale bez wahania powierzyła bym mu życie.*

– A Kane?

– *Markis był mężczyzną, jakiego kobieta może spotkać tylko raz w życiu. Mam nadzieję, że pewnego dnia też tego doświadczysz.*

– A co możesz mi powiedzieć o Yoshi?

– *Prawdę mówiąc niewiele. Przed ostatnią misją prawie jej nie znałam. Wydawała się w porządku. Może trochę próżna. Ale była jeszcze bardzo młoda.*

Rozmawiały już o zniknięciu przed laty. Kim wiedziała, że z Shepa raczej nie wyciągnie nowych informacji, ale wypytywanie siostry pomagało jej myśleć.

– Zgodziłam się pojechać z Salem do doliny Severin.

– *Dlaczego?*

– Żeby poszukać tego, co ze sobą przywieźliście z ostatniej wyprawy.

– *Mam nadzieję, że Sal jest dobrym kompanem, bo czeka cię nudna podróż.* – Emily przechyliła głowę. – *Zimno tutaj.*

Kim czuła tylko ciepło pokoju.

– Tęsknię za tobą, Emily. Chciałabym, żebyś wróciła.

– *Wiem... przykro mi. Żałuję, że nie ma sposobu na cofnięcie czasu. I na zmianę biegu wydarzeń.*

*Kiedy słuchałem, jak mówił astronom
Kiedy siedziałem w sali, a wszyscy bili mu brawo,
Nie wiem dlaczego czułem się znużony,
Póki nie wyszedłem stamtąd,
A idąc wśród wilgotnej, tajemniczej nocy,
W milczeniu spoglądałem w gwiazdy.*

*Walt Whitman, Żdźbła trawy, 1865, n.e.
Przekład Roman Gorzelski*

W każdą pierwszą sobotę miesiąca Towarzystwo Relewancji organizowało uroczysty lunch w hotelu Pioneer, w centrum Seabright. Na co dzień zajmowało się przyznawaniem stypendiów najzdolniejszym studentom, wspieraniem ludzi u kresu drogi życia i urządzaniem Karnawału Środzimy. Co miesiąc starało się też nagrodzić kogoś za niezwykle dokonania.

Tego dnia, gdy Kim brała udział w uroczystości, nagrodę otrzymała dziewiętnastolatka, która podczas wysokogórskiej wspinaczki ocaliła kolegę przed śmiertelnym upadkiem.

Kobieta musiała przez niemal dziesięć minut trzymać współtowarzysza, który wisiał nad przepaścią. Kim zaimponował ten wyczyn.

Na myśl o takich górskich przygodach czuła ciarki na plecach. Wątpiła czy kiedykolwiek byłoby ją stać na podobne poświęcenie. Tymczasem młoda kobieta, której w górach nie brakowało odwagi, bardzo się denerwowała stojąc przed widzami. Z nisko spuszczoną głową wymamrotała słowa podziękowania. Kim poczuła cień dziwnej satysfakcji. *Każdy miał swoje demony.*

Po dekoracji przeczytano sprawozdanie z ostatniego spotkania, przedstawiono kilka wniosków i wysłuchano wyników corocznej wyprzedaży drzew, organizowanej w połowie zimy. Potem przyszła kolej Kim.

Prowadzący odczytał jej krótką biografię z karty, którą mu wcześniej dała. Przedstawiała Kim jako astrofizyka specjalizującego się w ewolucji galaktyk. Odwołując się do wcześniejszych stwierdzeń, że towarzystwo powinno poważnie się zastanowić nad większą skalą działalności, prowadzący uraczył zebranych kulawym dowcipem. Stwierdził, że doktor Brandywine jest osobą, jakiej potrzebowali, ponieważ trudno o skalę większą niż rozmiary galaktyki. Kim podniosła się w chwili, gdy rozległy się uprzejme brawa.

Zebrani okazali się doskonałą publicznością. Zwykle przy takich okazjach miała doskonały start. Wszyscy spodziewali się nudnego wystąpienia astrofizyka, tymczasem ona już dawno temu przekonała się, że na początek najlepiej obalić stare przekonanie dobrym żartem. Zaczynała z zamiarem podbicia słuchaczy i zawsze jej się to udawało, ponieważ potrafiła wyrazić podziw dla pracy obecnych i wychwalała ich osiągnięcia przy każdej okazji.

Przemawiając przed grupą bibliotekarzy nazywała ich strażnikami cywilizacji. Nauczyciele, w jej pojęciu, stawali w pierwszej linii obrony ludzkości. Podobnie podchodziła do organizacji takich jak Towarzystwo Relewancji.

Najpierw pogratulowała młodej alpinistce odwagi.

– Obecnie panuje powszechna opinia, że społeczeństwu grozi upadek – powiedziała. – Ale dopóki są wśród nas ludzie tacy, jak Amy, możemy się nie obawiać. – Twarz dziewczyny oblał ładny rumieniec. – Gdybym mogła mieć pewność, że za sto lat Towarzystwo Relewancji wciąż będzie wyławiało spośród nas młodych bohaterów i służyło pomocą tam, gdzie jej potrzeba, nie obawiałabym się o przyszłość Republiki.

Teraz już miała ich w garści.

Przyrównała ich cele do celów Instytutu, odrobinę naciągając fakty, ponieważ Instytut nie starał się za wszelką cenę pomagać, a przynajmniej nie robił tego wprost. Ale nie kłamała.

Ludzie na dłuższą metę odnosili korzyści z postępu naukowego, choć powszechnie wiadomo było, że zmiany następowały wolniej niż kiedyś. Jej słuchaczy martwił nie zbyt wolny postęp, lecz kierunek, w jakim zmierzało społeczeństwo. Interesowali się też projektem Latarnia zapewniając, że nie należą do grona osób traktujących gwiazdy jak świętość.

– Gdyby program zakończył się sukcesem – podsumowała Kim – i ktoś by nas odwiedził pchany pragnieniem odkrycia, jacy jesteśmy, zabrałabym go tutaj, do was na lunch. Jestem pewna, że dzięki temu ta nowa znajomość zaczęłaby się doskonale. Dziękuję wam bardzo. – Zeszła z mównicy, a na sali rozległy się gorące oklaski. Całe przemówienie trwało mniej więcej trzynaście minut.

Sal czekał na nią przy wejściu. Słyszał większość jej mowy.

– Nie masz wstydu – powiedział, gdy byli sami.

Uśmiechnęła się.

– Prawdę mówiąc, gdybym mogła naszych pierwszych gości zaprosić na lunch do Towarzystwa Relewancji zamiast do Rady, zrobiłabym to bez wahania.

Sal wynajął zielonkawego Steirlighta o podwójnym napędzie. Windą wjechali na dach budynku i wsiedli do pojazdu.

– Sądziłam, że pojedziemy do Severin pociągiem.

– Ciągłe jeździmy pociągami. Pomyślałem, że dla odmiany fajnie będzie polecieć.

– W porządku. Co powiesz na to, żebyśmy najpierw wpadli do Eagle Point i zostawili tam bagaże.

Sal włączył magnetyczny napęd i pojazd uniósł się z lądowiska, kierując się na zachód.

Poprzedni wieczór Kim poświęciła na studiowanie legend i ludowych opowieści z regionu Severin. Wśród nich znalazła także historie o zjawach, dziwnych światłach i głosach w lesie. Znano je od lat, jeszcze zanim doszło do tragedii na Mount Hope. Wprawdzie od tamtej pory opowiadano je częściej, ale niewykluczone, że to mieszkańcy Eagle Point próbowali zwabić do siebie więcej turystów.

Przed katastrofą Severin chlubiło się tym, że w mieście miał swój dom Markis Kane.

Artysta, bohater wojenny, kapitan statków kosmicznych. Jedyne członek załogi *Huntera*, który przeżył.

No i do tego wielbiciel klasycznych opowieści o przygodach detektyw Weroniki King, postaci stworzonej przez Evę Colon. Kane został nawet przewodniczącym Towarzystwa Szkarłatnego Rękawa, fanklubu panny King, który nazwano na cześć jednego z najbardziej znanych jej wyczynów.

Podczas wojny z Pacyfiką, jedyne zbrojnego konfliktu w dziejach Greenway, Kane dowodził słynną jednostką 376, znaną z ataku na *Hammurabiego*. Tylko eskortowiec 376

zdołał samodzielnie wykluczyć z akcji duży statek wojenny.

Po podpisaniu rozejmu, Kane odszedł z floty i przez kolejne pół wieku pilotował różne jednostki latając w przestrzeni Dziewięciu Światów oraz podróżując na stacje kosmiczne.

Cieszył się doskonałą opinią, nigdy nie skarżył się na niego żaden pracodawca. Jego załogi były wyjątkowo lojalne i nikt nie mógł powiedzieć o nim złego słowa.

Korzystając z SI Starlighta, Kim wyświetliła zdjęcia. Kane w szkole pilotów na Księżycu, Kane jako młody porucznik w jednostkach obronnych Greenway, Kane za sterami holownika, Kane w galowym mundurze. Znalazła sześć fotografii ze ślubów i sześć różnych żon; oficjalne podziękowania Towarzystwa Artystycznego Severin i zdjęcie z ceremonii ukończenia szkoły, na którym osiemnastoletni Kane uśmiechał się szelmowsko. Doszukała się też wielu listów pochwalnych. Doskonały pilot nie stracił kontroli nad sterami transportowca po dekompresji głównych silników. Uratował dziecko podczas powodzi w dolinie Severin. Zapobiegł też samobójczej próbie mężczyzny, który chciał wyskoczyć przez okno.

Najchętniej ubierał się w kolorowe koszule i luźne spodnie z nogawkami wetkniętymi w buty za kostkę. Nosił też jaskrawe tuniki z szerokimi szarfami. Na zdjęciach z późniejszego okresu, po odejściu z Fundacji Tripleya, miał czarną brodę i włosy do ramion. Kim dostrzegła w jego postaci coś mroczniejszego, bardziej intensywnego. Starszy Markis Kane patrzył z fotografii z mieszaniną pogardy i rezygnacji.

Był też Kane – artysta. Malował głównie portrety, krajobrazy i kilka obrazów eksperymentalnych. Na większości portretów przedstawiał kobiety. Jeden z nich, namalowany w 575 roku, dwa lata po misji *Huntera*, zaszokował Kim.

– To ty – powiedział Sal.

– Mój Boże. – To była Emily.

– Twoja siostra mu pozowała?

Kim raz jeszcze spojrzała na datę.

– Mniej więcej. Pewnie skorzystał z wirtualnego obrazu. Portret powstał dwa lata po jej zniknięciu.

Emily z obrazu stała przy oknie z widokiem na las w barwach późnego lata, stosy opadłych liści i dryfującą ponad drzewami planetę otoczoną pierścieniem. Na ramiona niedbale narzuciła żakiet, odsłaniając jedną z piersi, ale portret nie miał podtekstu erotycznego. Emily wydawała się piękna i samotna. Dzieło miało tytuł *Jesień*.

– Widać cię tu więcej niż zwykle – stwierdził Sal.

Jesień i inne obrazy Kane'a znajdowały się w galerii w Eagle Point. Kim pomyślała, że powinna ją odwiedzić.

– Dlaczego nadal malował Emily? – spytała na głos.

Twarz Sala wydawała się zielona w poświacie tablicy przyrządów.

– Myślę, że nie robiłby tego, gdyby...

– Gdyby co?

– Sądzę, że był w niej zakochany.

– Albo ona nadal żyła.

– Może i jedno, i drugie. Nie możemy niczego wykluczyć.

Według wiadomości datowanej na 576 rok, czyli w trzy lata po katastrofie, Kane spłacił długi,

polikwidował konta i pożegnał się z kilkorgiem przyjaciół. Był obecny przy tym, jak wody Severin zalały jego willę po rozebraniu zapory. Potem przeniósł się do Terminal City.

Minęli rzekę Takonda, która dzieliła Equatorię mniej więcej na połowę. Chwilę potem znaleźli się w strugach deszczu i popołudniowe powietrze się ochłodziło. Salowi tego dnia nie zamykały się usta. Ciągle mówił o Mount Hope. Spodziewał się, że w Severin naprawdę coś znajdą. Kim miała mieszane uczucia. Chciała rozwikłać dawną zagadkę i zrobiłaby wszystko, aby dowiedzieć się, co się stało z Emily. Z drugiej jednak strony wiedziała, że nie ma ochoty na spotkanie z tym, co wyprowadziło z równowagi Sheyela.

Lecieli ku ciemniejącemu niebu. Krajobraz stawał się coraz bardziej surowy. Wokół piętrzyły się góry. Sztorm się wzmaczał. Silne podmuchy wiatru uderzały w pojazd. Sal wzniósł się ponad strefę turbulencji.

W końcu zobaczyli pod sobą pola, zabudowania farm, silosy i jeziora. Nad wierzchołkami drzew, w gęstniejącym zmierzchu gładko sunął pociąg. Oni także znaleźli się nad lasem, który od czasu do czasu robił miejsce samotnemu domowi, kortowi tenisowemu albo basenowi, które nie wiadomo skąd się tam wzięły. W okolicy nie było dróg.

Ponad 75 procent ludności Greenway mieszkało w miastach, rozrzuconych na tysiącach wysp planety lub ukrytych w lasach Equatorii. W kilku głównych ośrodkach miejskich Republiki skupili się ludzie preferujący aktywne kariery zawodowe albo poszukujący partnerów. Reszta zadowalała się życiem blisko natury, w miejscach, do których pociągi docierały raz dziennie. Mieszkańcy takich okolic całe popołudnia spędzali, łowiąc ryby.

Eagle Point, według miejscowych standardów, był małą metropolią. Miasto zajmowało oba brzegi rzeki Severin i leżało trzydzieści trzy kilometry na północ od Mount Hope. Obie części łączyła para przepięknie zaprojektowanych mostów. Tutejsi mieszkańcy twierdzili, że ludzie z całej planety przyjeżdżali je oglądać. Eagle Point przyciągało turystów doskonałymi trasami narciarskimi, światowej klasy stokami górskimi, naturalnymi, gorącymi źródłami, wspaniałą przeprawą na wysokości siedmiuset metrów ponad Przepaścią Nieboszczyka, siedmioma dużymi kasynami oraz Halą Słynnych Rysowników.

Kim i Sal dotarli na miejsce o zmroku. Wylądowali na dachu Gospody Pod Bramą, zajęli pokoje i dowiedzieli się, jak dotrzeć do Galerii Goulda. Zajmowała najniższe piętro budynku odległego o przecznicę od hotelu. Gdy tam dotarli, mężczyzna w czarnym swetrze właśnie kończył rozmawiać z klientem. Jego wygląd nie zdradzał wieku, ale oszczędność ruchów kazała przypuszczać, że miał już za sobą sporą część drugiego stulecia życia.

– Pan Gould? – spytała Kim.

Mężczyzna uśmiechnął się i lekko skłonił głowę.

– Tak – odparł. – Proszę, mówcie mi Jorge. Napijcie się czegoś?

Poprosili o cydr. Kim przedstawiła siebie i Sala.

Na wystawie galerii znajdowała się reprodukcja *Wieczoru na Lyrze* Lisy Barton – doskonałego przykładu szkoły empirejskiej. Jej przedstawiciele osiągnęli zamierzony efekt, czerpiąc tematy z kosmosu. Dzieło Barton było autoportretem. Artystka przedstawiła siebie w fotelu na groźnie wyglądającym księżycu. Spoglądała na kulisty kształt unoszący się nad łańcuchem gór. Kim czytała gdzieś, że malarka uwieczniła na tym obrazie mgławicę w gwiazdozbiore Węża, odległym od Greenway o dwadzieścia siedem tysięcy lat świetlnych.

Obraz budził podziw, ale promieniował samotnością.

Właściciel galerii dostrzegł jej zainteresowanie.

– Istnieje tylko sto reprodukcji tego dzieła – powiedział. – Artystka własnoręcznie je sygnowała. Mógłbym sprzedać tę za rozsądną cenę.

– Dziękuję, ale nie. Interesuje mnie Markis Kane. Wiem, że ma pan tu jego *Jesień*.

– O tak. To jedna z jego najlepszych prac. – Spojrzał na Kim, zmarszczył brwi i ze świstem wciągnął powietrze. – Niezwykłe – wyszeptał. – To naprawdę pani?

– Jego głos zadrżał nieznacznie.

Kim po raz pierwszy widziała tego mężczyznę, więc nie miała pewności, jak ma rozumieć jego reakcję.

– Emily – powiedział. Sal powoli podszedł do Kim.

Właściciel galerii miał na myśli modelkę, która pozowała do *Jesieni*.

– Nie – uśmiechnęła się Kim. – To nie ja.

Gould cofnął się, aby lepiej się jej przyjrzeć. Zaciśnął wargi i pokiwał głową.

– No tak. Słyszałem, że zginęła zanim namalował obraz. – Pokręcił głową. – Tym niemniej, jest pani do niej bardzo podobna. Czy łączy was jakieś pokrewieństwo?

– Jestem jej siostrą.

Ciasno owinął się swetrem, tak jakby nagle poczuł chłód.

– Przepraszam, zachowałem się bezmyślnie.

– Nic nie szkodzi. Minęło już sporo czasu.

– No tak, oczywiście. – Przyjrzał się jej uważnie.

– Jest pani równie piękna, jak ona.

– Dziękuję, bardzo mi miło.

Gould przez chwilę milczał, próbując nad sobą zapanować.

– Tak jak mówiłem, mam *Jesień*, ale obraz nie jest na sprzedaż.

Sal spojrzał na Kim, dając jej do zrozumienia, że właściciel chce dostać dobrą cenę.

– Czy moglibyśmy go zobaczyć? – poprosiła Kim.

– Oczywiście. – Gould wciąż nie ruszał się z miejsca studiując rysy Kim.

Chciała jakoś przerwać jego paraliż.

– Proszę mi opowiedzieć o Markisie Kane – powiedziała.

– Mam pięć oryginałów jego prac. Prócz *Jesieni* jest jeszcze *Glona*, do której także pozowała Emily. – Poprowadził ich do pomieszczeń na tyłach budynku i włączył światła.

Jesień oprawiona w ręcznie rzeźbione, drewniane ramy spoczywała na sztalugach. Błysnęło jeszcze kilka świateł umieszczonych tak, aby dzieło wywarło na patrzących jak największy efekt.

Kim nie mogła oderwać od niego wzroku. Kobieta w oknie. Namalowana mrozem linia.

Pokryty liśćmi trawnik. Otoczona pierścieniami planeta niemal dotykająca wierzchołków drzew. Za chwilę jej kula miała się skryć za horyzontem. Kim była tego niemal pewna, choć nic w obrazie na to nie wskazywało. W gęstniejącym mroku dryfowało kilka sierpów księżyców, których nie pamiętała z reprodukcji oglądanej na monitorze w domu.

Jesień tchnęła osamotnieniem. Poskręcane ciemnym wiatrem drzewa, gigantyczna planeta w barwach października, a nawet pierścienie wokół niej mówiły o rozłące.

Emily wyglądała pięknie i smutno.

– Był bardzo dobry jak na pilota – ocenił Sal.

– To jeden z najlepszych naszych artystów i świat dopiero zaczyna się na nim poznawać – stwierdził Gould.

Gloria została tak zatytułowana na cześć największego satelity planety Greenway. Emily stała rozmarzona na tle oświetlonej przez księżyc wody. Nagie ramiona, dłoń na policzku, świetliste, zamyślane oczy. Obraz powstał trzy lata przed ostatnią wyprawą.

Tora była portretem córki Kane'a, gdy dziewczynka miała mniej więcej dziesięć lat. W

Podróży z nurtem rzeki, kilku mężczyzn na tratwach próbowało pokonać usiany skałami i spieniony odcinek rzecznej koryta. *Nocny lot* przedstawiał gwiazdny liniowiec mijający kobaltowo-niebieskiego gazowego olbrzyma.

Kim spytała o daty. Wszystkie cztery dzieła powstały przed tym, co się zdarzyło na

Hunterze.

– Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też naprawdę jego wcześniejsze prace mają inną wymowę od późniejszych? – spytała Goulda.

– Och, nie ma co do tego wątpliwości. – Dotknął klawiatury. Ekran błysnął i wszyscy troje spojrzeli na *Wieści z podróży*, obraz frachtowca przelatującego przez mgławicę. Okręt był szeroki, szary i posepny. Jego migoczące światła wyławiały z mgły dziwne cienie. Mgławica naśladowała kształt statku, emitując niebieskawy blask. – To ostatnia z jego znanych prac.

– Wszystko, co namalował po Mount Hope wydaje się przygnębiające – zauważył Sal.

– To prawda. Począwszy od tego. – Wywołał na ekran namalowany krajobraz. – To był początek mrocznego okresu twórczości, z którego artysta nigdy się nie otrząsnął. Ten obraz nosi tytuł *Ostrzeżenie przed sztormem* i powstał w 574 roku. – Patrzyli na zniekształcone drzewa i ruiny, których kontury odznaczały się na tle ołowianych, burzowych chmur. – Kiedy Kane zostanie zaliczony do wielkich artystów, ludzie uznają to dzieło za pierwszą znaczącą pracę gotyckiej fazy jego twórczości.

– Znał go pan? – spytała Kim. – Osobiście?

– Nawet dość dobrze. Zwłaszcza kiedy mieszkał w tych okolicach.

– Ma pan reprodukcję *Ostrzeżenia przed sztormem*?

Gould zajrzał do katalogu.

– Tak. Zostały mi jeszcze dwie. Ale żadna nie jest podpisana.

– To nic – Kim odetchnęła z ulgą myśląc, że to powinno obniżyć ich cenę. – Ile kosztuje?

– Dwieście.

– Nietanio – stwierdził Sal.

– Wezmę ją.

– Tych prac nie ma wiele – zamruczał Gould uspokajająco. – Zaręczam, że nie stracą na wartości. – Przeprosił ich i wąskimi schodami wspiał się na górę.

– Wydajesz fortunę – jęknął Sal.

– Wiem. Ale jeśli chcemy usłyszeć od niego więcej, musimy coś kupić.

Wskazał obraz tańczącej nago kobiety.

– Akurat – odparła.

Gould wrócił z reprodukcją i pokazał ją Kim.

– Jest bardzo piękna – powiedział. – Przekona się pani, że to doskonała inwestycja. Czy mam ją oprawić w ramy?

– Nie, dziękuję. Wezmą ją tak, jak jest. – Zastanawiała się, gdzie ją powiesi i zaczynała już żałować, że nie zdecydowała się na jakąś pracę z wcześniejszego okresu twórczości Kane'a. Przez chwilę wszyscy troje podziwiali reprodukcję. Potem Gould zwinął ją i wsunął do tuby.

– Czy Kane był przygnębiony po katastrofie na Mount Hope? – spytał Sal od niechcienia.

Gould przycisnął palce do skroni, tak jakby wspomnienie tamtych wydarzeń sprawiało mu ból.

– O tak. Już nigdy później nie był sobą.

– Jak to?

– Trudno to wyjaśnić. Zawsze był serdeczny, towarzyski i rozmowny. No, może trochę przesadzam, ale nie należał do trudnych ludzi, jakimi często są utalentowani artyści. Tylko że później to wszystko znikło. Stał się zamknięty w sobie. W tamtym okresie niemal co wieczór odwiedzałem Severin. Moja żona tam mieszkała. Jeszcze wtedy nie byliśmy małżeństwem, rozumiecie państwo. Często wstępowałem do Kane'a, żeby zobaczyć jak się trzyma.

Wówczas nie był tak sławny, ale zawsze wiedziałem, że pewnego dnia jego nazwisko stanie się znane. W mojej galerii sprzedawał swoje prace. W tamtym okresie niewiele na nich zarabiał. Na pewno nie osiągały takich cen, jak obecnie. Zresztą, nie malował dla pieniędzy.

Po prostu to lubił. Wiedzą państwo, co mam na myśli?

Kim przytaknęła.

– Czy wspominałem już, że byłem tam wtedy, gdy to się stało? Kiedy góra wyleciała w powietrze? To wyglądało okropnie. Miasto leżało dużo niżej i było częściowo osłonięte, więc podczas eksplozji, fala uderzeniowa nie trafiła w nie bezpośrednio. Za to z nieba spadały kawałki skał i całe drzewa. Nie mieliśmy pojęcia, co się stało. Potem zasypał nas pył. Ludzie dławili się i umierali... – Oczy Goulda zapatrzyły się gdzieś w dal. – Sasza i ja robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale... – Rozłożył ręce. – Pewnie państwo nie mają ochoty tego słuchać.

Kim i Sal stali cicho, czekając na dalszy ciąg.

– Już wtedy gromadziłem jego prace. Kupowałem obrazy sam, ponieważ wiedziałem, że są warte o wiele więcej. Przywiozłem je wszystkie tutaj i czekałem, aż ich wartość wzrośnie.

Teraz osiągają cenę trzydziesto–, czterdziestokrotnie wyższą niż wtedy. I sądzę, że to jeszcze nie koniec. – Odwrócił się w stronę *Jesieni*. – Spójrzcie tylko na to. Czy widzieliście kiedyś kogoś, kto malowałby z takim rozmachem? Może Crabbe. Może Hoskin. Nie, Hoskin nie. – Jorge gwałtownie pokręcił głową.

– Znał pan może Kila Tripleya? – spytała Kim.

– Tripleya? Nie. On mieszkał z dala od innych. Nie zniżał się do poziomu zwykłych, szarych ludzi.

– Sądzi pan, że on i Kane się przyjaźnili?

– Nieszczególnie. Nie.

– Tripley był pracodawcą Kane'a – zauważyła.

– To nie to samo, co przyjaźń.

Wzrok Kim stale wędrował ku *Jesieni*.

– Jeszcze jedno, panie Gould. Ciekawi mnie, co zapoczątkowało ten mroczny okres w malarstwie Kane'a. Czy było to coś więcej niż tamten wybuch? Może stracił ukochaną kobietę?

– Wiem, że to, co się z nią stało, miało na niego ogromny wpływ. – Gould spojrział wymownie na portret Emily.

– Sam to panu powiedział?

– Nigdy wprost. Ale widać to w jego pracach.

– Czy było coś jeszcze?

– Poza tym, o czym już państwu opowiedziałem, nie. Miałem wrażenie, że zamknął się w swojej skorupie. Miotał się sam po tym wielkim domu. Nikogo nie wpuszczał do pracowni w dobudówce.

– Do pracowni? Jak to?

– Wcześniej, gdy do niego wpadałem, zapraszał mnie tam i siedzieliśmy sobie, popijając drinki. Opowiadał mi zwykle o najnowszych projektach. Salon był zbyt formalny i sztywny, Kane go nie lubił. Ale od tamtych wydarzeń nigdy nie widziałem jego pracowni. Zapraszał mnie już tylko do salonu. Nie sądzę, aby to coś znaczyło, ale dziwiłem się. Zachowywał się tak, jakby ukrył tam kochankę.

Kolację zjedli w jadłodajni W Drodze. Zaczynał padać śnieg i wiał zimny wiatr. Sal spokojnie zajadał się mięsem i jarzynami.

– Powinniśmy ruszyć zaraz po kolacji – powiedział.

– Właśnie. Zanim pogoda jeszcze bardziej się pogorszy. – Prognozy zapowiadały, że śnieg przestanie padać około północy, ale mróz miał się utrzymać dłużej.

– Zdziwił mnie twój wybór – przyznał Sal.

– Dlaczego? Obraz jest całkiem ładny.

– Sądziłem, że zechcesz mieć jeden z tych, na których jest Emily. Na przykład *Jesień*.

Zrobił na tobie ogromne wrażenie.

Podniosła kieliszek z winem. Błyszczał w blasku ognia płonącego na kominku.

– Raczej nie – odparła. – Chciałam mieć coś, co można powiesić na ścianie.

Sal przyjrzał się jej.

– Rany jeszcze się nie zabiły?

– Aha. – Wzruszyła ramionami. – A do tego jeszcze ta nagość.

– Nie sądziłem, że jesteś pruderyjna.

– Jestem. Szczególnie, gdy modelka tak bardzo mnie przypomina.

Przyjaźniła się z Salem od dawna. Tego wieczoru bardzo ją pociągał. Może dlatego, że przyjechał tu z nią, choć uważał, iż goniła za iluzją. Prawdę mówiąc, ona też się tego obawiała.

Stali razem w pasażu z widokiem na Eagle Point. Za oknem padał śnieg, a kilka kilometrów dalej rozciągały się lasy Severin. Poddając się nastrojowi chwili niemal zaproponowała mu, by spędzili tę noc razem. Mogli odłożyć spotkanie z duchem na później.

Ale gdy Sal powiedział, że robi się późno i powinni już ruszać, porzuciła tę myśl i zapięła kurtkę.

...Najśłynniejszą ze zjaw jest bez wątpienia Duch Severin, nawiedzający ruiny miejscowości, której imieniem go nazwano. Przez ostatnie ćwierć wieku widziano go tam ponad dwieście razy. Podobno spowodował śmierć wielu osób. Dziś niewielu jest na tyle nierozsądnych, aby zapuszczać się w dolinę po zmroku.

TERI KAPER, *Legandy z Północnego-Zachodu, 597*

Z dachu hotelu Pod Bramą wystartowali po wpół do dwunastej. Skierowali się na południe.

Śnieg padał bez przerwy. Burza rozmazywała światła kasyn i klubów, które szybko zbladły, gdy Starlight zaczął piąć się w górę. Radar wskazywał, że w powietrzu ruch był niewielki.

– Ty też czujesz się trochę głupio? – spytała Kim.

Sal popijał kawę, pozwalając SI kierować samolotem.

– Każda wymówka jest dobra, żeby choć na chwilę wyrwać się z miasta – stwierdził. – Pomyśl tylko, jak ciepłe będzie ci się wydawało łóżko, gdy położysz się spać.

Czujniki pokazały rzekę. Płynęła między szerokimi, zalesionymi brzegami. Kim spojrzała w upstrzoną śniegiem ciemność i dostrzegła parę świateł zbliżających się z zachodu.

Przypuszczała, że to pociąg, ale nie miała pewności.

Wyjęła mapę, którą wydrukowała z komputera przed podróżą i zajęła się jej studiowaniem.

– W Severin chciałabym zrobić coś więcej, niż tylko wylądować i przez chwilę tam pobycć.

– W takiej śnieżycy? Co ci chodzi po głowie?

– Skorzystajmy z okazji i sprawdźmy willę Tripleya.

– Po co?

– Kto wie, co tam znajdziemy?

– Po dwudziestu siedmiu latach?

– Nic na tym nie stracimy.

– W porządku – zgodził się Sal. – Zrobimy, jak zechcesz. Ale nie sądzisz, że gdyby było tam coś, co łączyłoby go z eksplozją albo z zaginięciem kobiet, policja już dawno temu by to znalazła?

– Z raportów wynika, że policja nigdy tam nie zaglądała.

– Nie? Dlaczego?

– Nikomu nie przyszło to do głowy. Pewnie nie mieli powodów przypuszczać, że Tripley miał jakiś związek z którymkolwiek z tych wydarzeń. Poza tym jego rodzina była nieźle ustawiona.

– No dobrze. Jak chcesz, to tam zajrzemy. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak się akurat składa, że zaznaczyłam willę. Tutaj. – Uśmiechnęła się, stukając piórem w mapę.

– Co tak skromnie? Tylko dom Tripleya? Skoro już tu jesteśmy, możemy zajrzeć też do Kane'a.

Starlight trafił w strumień silnego przeciwnego wiatru.

– Dom Kane'a zalała woda. – Kim pokazała miejsce na mapie.

– Chyba nie sądzisz, że mówiłem poważnie – przyznał.

– Ty nigdy nie mówisz poważnie.

– Na pewno nie podczas polowań na duchy. – W kabinie zrobiło się chłodno. Sal szczelniej owinał się kurtką. Kim nastawiła temperaturę o kilka stopni wyżej.

– Gdybym wiedział, że z tego taka wyprawa, wolałbym ją odbyć za dnia – stwierdził Sal.

Kim zastanawiała się, co powie nazajutrz Sheyelowi. Wybraliśmy się do doliny.

Pochodziliśmy trochę po lesie. Zajrzeliśmy nawet do willi Tripleya. Nie znaleźliśmy *nic*.

Chciała załatwić wszystko za jednym zamachem. Nie uśmiechała jej się druga wyprawa z samego rana.

Na skraju monitora radaru krótkiego zasięgu pojawił się sygnał patrolowca. Samolot zmierzał w przeciwnym kierunku. Minał ich w odległości dwustu metrów, ale widzieli go jedynie na ekranie.

Eagle Point znikło w ciemnościach. W okolicy nie widzieli już żadnych świateł. SI pokierowała samolotem na południe, wzdłuż rzeki Severin, przez cały czas pokazując na monitorze jej kręte koryto. Stopniowo się zwężało, a w końcu rzeka nikła w pierwszym z wielu wąwozów urozmaicających jej bieg.

Lecieli coraz głębiej w noc. W myślach Kim coraz częściej pojawiały się sceny z legend.

Nawet Salowi udzielił się jej nastrój. Rozmawiali przyciszonymi głosami, tak jak ludzie w pustych kościołach. Kim stwierdziła, że odruchowo otula się szczelniej kurtką, choć w kabinie zrobiło się ciepło. Żartowali sobie, że żaden szanujący się duch nie wybierałby się nigdzie w taką pogodę i śmiała się z Salą, któremu się wydawało, że dostrzegł jakiś ruch w lesie. Ha, ha.

Kim przypomniawszy sobie historię z nawiedzoną mesą. W takiej chwili, w wirach płatków śniegu, przy świetle konsoli, takie rzeczy wydawały się możliwe.

Znajdowali się zaledwie kilkaset metrów nad ziemią, kiedy w końcu wydostali się ze strefy sztormowej. Przed nimi rysowały się kontury tego, co zostało z zapory w Severin.

Nie rozebrano całej tamy. Usunięto tylko słabsze jej elementy, a resztę zostawiono. Rzeka z hukiem pieniała się wokół stosów gruzu i betonowych płyt. Kim odniosła wrażenie, że płyty się ruszają. Efekt ten wywołały światła samolotu odbijające się w powierzchni wody. Zeszli na niższy pułap. Kilka ostatnich płatków śniegu zatańczyło w powietrzu.

Przelecieli nad ruinami. Po stronie południowej rzeka płynęła wąskim korytarzem, znikając w Jeziorze Żalu. Niebo wciąż przesłaniały ciężkie chmury, dlatego jezioro zobaczyli dopiero, gdy znaleźli się bezpośrednio nad nim.

Sal poinstruował pokładową sztuczną inteligencję, by zmieniła ustawienie reflektorów.

Bliźniacze strumienie światła przecięły ciemność, ale nie natrafiły na nic prócz wody.

– Wielkie jak śródlądowe morze – stwierdziła Kim, przypominając sobie, że w najszerszym miejscu jezioro miało ponad dwadzieścia kilometrów szerokości.

Lecieli pod nocnym, ciężkim od chmur niebem. Niewiele mówili. W końcu na ekranie pokazała się linia brzegowa. Głównie lasy. Kilka wzgórz. Niewiele otwartej przestrzeni.

Wreszcie Kim dostrzegła kilka kamiennych murów i zniszczonych domów wystających nad powierzchnię wody na płyciźnie.

Miasteczko zajmowało kiedyś południowy brzeg dawnego jeziora, które wówczas nazywano po prostu Severin. Po rozebraniu zapory zbiornik urósł, pochłaniając większą część dawnych zabudowań.

Kim spojrzała w dół na pokryty śniegiem świat.

– Dziwię się, że nikt nie stara się o prawo własności do tych terenów – powiedział Sal. – Niewiele trzeba, żeby wszystko odbudować.

Zatoczyli krąg, próbując zlokalizować willę Tripleya. Według mapy, dom stał na szczycie niewielkiego wzniesienia tuż za granicami miasteczka, mniej więcej sto metrów na północ za stajniami Scotta Randała, który przed katastrofą był znanym hodowcą koni wyścigowych.

Znaleźli stadninę. Zostało z niej tylko kilka rozwalających się budynków i parę płotów.

Stamtąd poszło jak po sznurku.

– Mamy problem – powiedział Sal. – Nie widzę w pobliżu żadnej otwartej przestrzeni.

– Tam. – Wskazała plażę.

Sal spojrzał niechętnie na piaszczysty pas lądu.

– Czeka nas długi spacer – stwierdził. Niestety, nie mogli wylądować bliżej. SI posadziła maszynę na ziemi.

Stanęli w śniegu. Kim nałożyła kaptur i dopasowała maskę ochronną. Sal zmienił buty.

Reflektory oświetlały wzburzoną powierzchnię jeziora. Kiedy Kim otworzyła drzwi, wiatr niemal wyrwał je z jej ręki.

Widzieli jedynie fragment miasteczka, kilka domów zatopionych w wodzie. Stara wieża ratownicza wznosiła się tuż przy granicy lasu. Biały budynek z napisem „BAR NA PLAŻY” zapadał się w piasek.

– To plaża Cabry. – Kim odczytała nazwę z mapy.

Sal zszedł na ziemię i rozejrzał się. Podmuch wiatru przesłonił mu oczy włosami.

– Nie masz nic na głowę? – spytała Kim.

– Nie. Nie miałem pojęcia, że wybieramy się na spacer.

– Zamarzniesz. – Spojrzała na tylne siedzenie. – Mam tu gdzieś czapkę.

– Daj spokój, Kim. Nic mi nie będzie.

Znalazła nakrycie głowy i podała mu je, ale Sal spojrzał na nią z wyrzutem. Wzruszyła ramionami i zapaliła przyczepioną do nadgarstka latarkę.

– W takim razie, może powinieneś tu na mnie zaczekać?

– Chodźmy już – mruknął, stawiając kołnierz kurtki i chowając ręce w kieszeniach.

Kim włączyła ogrzewanie sztormiaka. Ruszyli w kierunku drzew. Pod butami skrzypiał śnieg. Wiatr wiał nieprzerwanie od strony jeziora. Mieli je teraz za plecami. Żadne nie odezwało się ani słowem, dopóki nie znaleźli się pod osłoną drzew.

– Wszystko w porządku? – spytał Sal, gdy weszli w las. Włosy miał przysypane śniegiem unoszonym z ziemi przez podmuchy wiatru.

– Tak. – Kim chowała głowę w głębokim kapturze. Czuła się tak, jakby patrzyła na świat z tunelu.

Sal wskazał drogę i ruszył pierwszy. Nad ich głowami coś strząsnęło śnieg z gałęzi.

Kim spojrzała w górę zastanawiając się, co czekało na nich w lesie.

– Sal – wyszeptała – myślisz, że tu są jakieś zwierzęta, których powinniśmy się bać? Może kuguary? Albo niedźwiedzie? – Przewidujący założyciele o niczym nie zapomnieli. Na Greenway

były nawet komary.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Nie mam pojęcia.

– Masz przy sobie jakąś broń?

– Nie. Jeśli napotkamy jakiegoś zwierza, mamy tylko kije.

– Wspaniale – uśmiechnęła się. – Nic tak nie poprawia nastroju, jak świadomość, że jesteśmy dobrze przygotowani.

Przedarli się przez gęstwinę drzew i krzewów, minęli polanę, aż w końcu trafili na ścieżkę, która według ich oceny prowadziła w dobrym kierunku.

Przeszli obok powalonego domu, zaplątanego w młode drzewa. Dostrzegli go dopiero, gdy znaleźli się kilka metrów od niego. Dalej zauważyli ławkę stojącą w dziwnym miejscu, w pewnej odległości od ścieżki.

– Być może dawniej ludzie chodzili tędy na plażę – powiedział Sal.

Wyjęła mapę.

– Tak. Jest tu zaznaczony szlak.

– Jak sobie radzimy?

– Idziemy w dobrą stronę. To już niedaleko.

– Może powinniśmy wrócić tutaj jutro rano?

– Skoro już tu jesteśmy, możemy się chwilę rozejrzeć. Przynajmniej będę mogła Sheyelowi powiedzieć, że widziałam to miejsce. Potem zawrócimy.

Po zniknięciu Tripleya willa i jej wyposażenie przypadły Sarze Baines, jego matce. Kim wiedziała, że Sara zamknęła dom, ale nie zdołała go sprzedać. Miasteczko powoli pustoszało; ludzie mieli zbyt wiele złych wspomnień związanych z tym miejscem. Obawiali się, że zawali się reszta góry. Zapora także mogła puścić w każdej chwili.

Odkąd Tripley wrócił z ostatniej misji, w willi nikt nie mieszkał.

Na polanie z zawałoną szopą zeszli ze szlaku, pokonali strumień, ześliznęli się po niewielkim zboczu i zabłądzili. Żadne nie zabrało kompasu.

– Nie zrzucaj winy na mnie – powiedział Sal. – Myślałem, że tylko posiedzimy w kabinie i popatrzymy na jezioro.

Kim wysunęła się przed niego. Znowu weszli za zasłonę drzew. W niektórych miejscach śnieg sięgał ponad jej buty. Zimne płatki dostały się za cholewki. Zaczęły jej marznąć stopy.

W lesie łatwo było stracić orientację. Trafili na pas bagien biegnący wzdłuż brzegu jeziora. Zawrócili, przeszli po własnych śladach mniej więcej sto metrów, po czym skręcili w inną stronę. Kim nigdy nie lubiła pieszych wędrówek i właśnie miała zaproponować, by zawrócili, kiedy teren zaczął się wznosić.

– Może jesteśmy już blisko – powiedziała. – Willa podobno stała na szczycie wzniesienia.

Droga pod górę była śliska. Co chwila padali. W pewnej chwili zaczęli się tarzać w śniegu. Sal, choć próbował wyglądać na zirytowanego, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

W końcu dotarli na szczyt i znaleźli dom!

Jeśli dawniej za obłazącym z farby, drewnianym płotem znajdował się trawnik, zupełnie zniknął pod zaroślami i chwastami. Willę otaczała platanina świerków i młodych dębów.

Ściany znikły zasłonięte pnączami. Wiatr zerwał dach. Brakowało drzwi wejściowych.

Kim omiotła dom snopem światła latarki i porównała go ze zdjęciami, które ze sobą przywiozła.

– Tak, to ten. Nie ma wątpliwości.

Okrzyżyli willę, podchodząc do niej od tyłu. Boczna ściana się zapadła. Szyby w oknach były pobite, framugi potrzaskane. Jeden z dębów już prawie powalił wschodnie skrzydło domu.

Większą część budynku wzniesiono z cegieł. Dwa piętra, szklana kopuła, owalne okna, rotunda i wieżyczka. Kil Tripley najwyraźniej gardził tanią, masową produkcją. Kim stała w śniegu i wpatrywała się w ruiny jak zaczarowana.

– O czym myślisz?

– O tym, jak wszystko się zmienia. Zastanawiałam się czy była tu kiedyś Emily.

Kim przekroczyła próg i weszła do rotundy. Sal ruszył za nią. Miło było schować się przed wiatrem. Oświetliła latarką wnętrze zniszczone przez żywioły. Szklana kopuła dwa piętra nad nimi ginęła pod piaskiem i roślinnością. Gdy mieszkał tu Tripley, pewnie widać było przez nią gwiazdy.

Poplamione tynki odpadały ze ścian. Wisząca klatka schodowa łukiem pięła się na drugie piętro, gdzie łączyła się z okrągłym balkonem. Na obu poziomach znajdowało się wiele pokoi. Na dole dostrzegli kominek.

Jedne drzwi wisiały wyrwane z zawiasów. Pozostałych w ogóle nie było. Centralny korytarz otwierał się naprzeciwko Kim, prowadząc z rotundy do domu. Sal skierował latarkę w tamtą stronę i w głębi ujrzeli schody wiodące na dół.

Podłoga zaskrzypiała.

– Uważaj gdzie stąpasz – przestrzegł.

Wszystko pokrywały liście i brud. Pomieszczenia na parterze były puste. Kim zaświeciła w górę, próbując dojrzeć coś przez otwory drzwiowe na piętrze. Na ścianach poruszały się cienie.

– Chyba nic tu nie znajdziemy – stwierdził Sal.

Po twardej posadzce zaskrzypiała pazury. Jakieś zwierzę umknęło przed snopem światła.

Kim nie zdążyła zobaczyć, co to było.

– Pewnie wiewiórka – powiedział Sal.

– Albo szczur.

Wiatr wył wokół domu. Konary drzew trzeszczały.

Gdyby była sama, od razu by zrezygnowała i wróciła do pojazdu. Już i tak spełniła obietnicę daną Sheyelowi. I Emily.

Ale skoro przeszli taki kawał drogi, Sal pewnie spodziewał się, że przynajmniej sprawdzą pokoje.

Najpierw schody. Musiała wejść na górę i stawić czoło szczurowi. Sal szedł pierwszy, sprawdzając każdy stopień, zanim na nim stanął. Cała konstrukcja kołysała się i ugiwała pod ich ciężarem. U szczytu, jedna z desek się złamała. Sal stracił równowagę i chwycił się barierki, która przechyliła się niebezpiecznie na zewnątrz. Poleciałby w dół, gdyby Kim w porę go nie chwyciła i nie wciągnęła z powrotem na schody. Przez chwilę z satysfakcją porównywała się z młodą kobietą z Towarzystwa Relewancji.

– To chyba jednak nie był najlepszy pomysł – stwierdził zdenerwowany Sal. Ostrożnie pokonali resztę stopni i zajrzeli do wszystkich pomieszczeń na górze. W niektórych brakowało sufitu. Pokoje pełne były brudu i suchych liści. Dywany zgniły.

Znaleźli tylko połamaną ramę, biurko bez szuflad, roztrzaskany stolik i kilka krzesel. W całym domu śmierdziało.

Ze zniszczonych ścian sterczały rury. Zlewy, wanny i prysznice wypełniały nagromadzone przez trzy dekady osady.

Wrócili na dół.

Pokoje na parterze nie wyglądały aż tak potwornie. Były mniej narażone na działanie wiatru i wody. Ale i tutaj nie został nawet jeden cały mebel. Z sufitów zwisały przewody, podłogi w wielu miejscach przegniły. W kącie, za połamanym stołem, znaleźli martwą, na wpół zjedzoną wiewiórkę. Kim wytarła blat, odsłaniając wzór szachownicy. Czytała gdzieś, że Kane lubił grać w szachy. Zastanawiała się, czy on i Tripley rozegrali tu kiedyś partię, a jeśli tak, to kto wygrał.

Przeszła przez kuchnię i jadalnię. Znalazła połamane krzesło i pobite talerze. Przez szpary w podłodze przeciskały się chwasty.

Sal stał pośrodku rotundy, od niechcienia świecąc wokół latarką. Był znudzony, przemarznięty i chciał już wracać.

Kim podeszła do schodów w głębi domu.

– Zajrzyjmy na chwilę na dół – powiedziała sprawdzając stan poręczy.

– Uważaj – przestrzegł ją Sal.

Stopnie ugięły się pod jej ciężarem.

– Ty lepiej zostań tutaj – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy ciebie utrzymają.

Chwilę się zastanawiał, przyglądając się schodom. Pchnął poręcz. Cała konstrukcja się zakołysała. Sal zaśwycił latarką do pomieszczenia na dole. Wyglądało zwyczajnie. Pośrodku stał długi stół i kilka krzesel. Pod ścianami dostrzegł worki ze śmieciami.

– Chyba powinniśmy dać sobie spokój – powiedział.

– Zejdę tam tylko na chwilę. – Ruszyła na dół, stąpając ostrożnie. Z ulgą zeszła z ostatniego stopnia. W piwnicy było cieplej i bardziej sucho niż w pozostałych częściach domu.

Były tam trzy izby i łazienka. W jednym z pokoi stała połamana, spleśniała kanapa, w drugim kilka zwiniętych dywanów.

Na stole leżały zasilacze, obudowy i przewody elektryczne. Z sufitu wystawał uchwyt.

Pewnie dawniej przytrzymał urządzenie do wirtualnych projekcji.

– Widzisz coś ciekawego? – spytał Sal. Snop światła jego latarki oświetlił klatkę schodową.

– Kiedyś musiała tu być pracownia albo laboratorium. Jeszcze chwila. Zaraz do ciebie wracam.

Ściany obito cedrową boazerią, która przetrwała w dość dobrym stanie. Podłogę wyłożono panelami ze wzorem cegieł. W miejscach, gdzie dawniej wisały obrazy lub tablice, pozostały magnesy.

– Hm. To dziwne.

– Co? – zawołał Sal.

Schody zaczęły się kołysać.

– Nie próbuj schodzić w dół – uprzedziła go. – Znalazłam kontener na odpady. – Na ścianie widniało oznaczenie MJE 4471886. Kim sprawdziła notatki: to był desygnator

Huntera.

Kosz do połowy wypełniały metalowe części, pognieciony papier i szmaty. Zauważyła zużyte zbiorniki po sprężonym powietrzu, pojemniki płynu czyszczącego i pustą butelkę po winie. Znalazła też opakowania po żywności i dyskietkach oraz ryzy wydruków.

Były to głównie listy nazwisk, prawdopodobnie sponsorów Fundacji; sprawozdania finansowe; rejestry zakupów; wyniki testów silników o różnych konfiguracjach i mnóstwo innych danych, których Kim nie potrafiła rozszyfrować. Wszystkie opatrzone datami.

Najpóźniejszy zapis pochodził z 8 stycznia 573 roku. Sprzed ostatniej podróży *Huntera*.

Wiele worków rozerwano. Prawdopodobnie zrobiły to zwierzęta. Kim podniosła jeden z nich i wysypała zawartość na ziemię. Zawierał pokryte rdzą kable, zeszywniałe ręczniki, ścierki, zniszczone obudowy monitorów i interfejsów oraz kartony po sokach.

Może bardziej drobiazgowa osoba metodycznie przejrzałaby zawartość wszystkich worków ze śmieciami. Kto wie, co kryły? Ale Kim zaczynała marznąć, a poza tym wydało jej się to bez sensu.

Wiatr hulał po domu, dobywając ze ścian różne hałasy. Gałęzie drzew uderzały w okna na piętrze. Kim omiotła wnętrze światłem latarki patrząc jak ciemność ustępuje, by po chwili wrócić na miejsce.

– Chyba tu nic nie ma – powiedziała do Sala. – Za chwilę będę na górze. – Usiadła na stole, zdjęła buty i skarpety i zaczęła rozcierać zdrętwiałe stopy. Kiedy zdołała przywrócić w nich krążenie, wyróciła skarpety na lewą stronę. Niewiele to pomogło, bo były zimne i sztywne.

Gdy skończyła, opuściła stopy na podłogę. Wśród śmieci dostrzegła but. Nie miała pojęcia, jaki kolor miał dawniej. Zwróciła uwagę na włóknistą podeszwę. Nigdy wcześniej takiej nie widziała.

Do czego mógł służyć?

Włożyła but do torby.

– Kim. – W głosie Sala usłyszała nutę zniecierpliwienia. – Idziemy?

– Już wracam – odparła.

Poświecił jej, ustawiając latarkę tak, aby jej nie oślepić. Poprosił, by uważała. Miała wrażenie, że wstrzymał oddech, obawiając się o wytrzymałość stopni. Była w połowie, kiedy złamała się podpora i cała konstrukcja osunęła się o kilka centymetrów. Kim chwyciła się poręczy. Sal pochylił się, gotowy iść jej z pomocą, ale uznał, że lepiej dodatkowo nie obciążać schodów. W chwili, gdy światło jej latarki padło na jego postać, zobaczyła, jak coś cofa się w mrok.

Zamarła, zupełnie zapominając o kołyszących się schodach.

– Wchodź powoli – nakazał Sal.

Była pewna, że to nie złudzenie.

Miała wrażenie, że fragment wszechobecnej w tym domu ciemności, kawałek czerni oderwał się od reszty i cofnął w głąb budynku.

Kiedy weszła na górę, oświetliła latarką kuchnię, zajrzała do wszystkich pomieszczeń i wyszła na środek rotundy, żeby zbadać górne piętro domu.

– Co się dzieje? – spytał Sal.

Wszędzie czały się cienie.

– Nic takiego – odparła.

Czuł, że coś się stało, ale wolał o nic więcej nie pytać. Powędrował wzrokiem za jej oczami.

– Chyba niczego nie znalazłaś?

– Widziałeś kiedyś takie coś? – Pokazała mu but.

Oświetlił go latarką.

– Pewnie. To specjalny but o przyczepnej podeszwie.

– Co?

– Przyczepny but. – Wyjął go z rąk Kim i przytknął do ściany. But na moment przywarł do muru i dopiero po chwili od niego odpadł. – Ten jest trochę zniszczony. Zwykle używa się takich na statkach kosmicznych w stanie nieważkości.

– Na statkach. – Przymierzyła go do własnej stopy. Był za mały. Nie mogła go nosić Emily.

– O czym myślisz, Kim?

– Zastanawiam się, do kogo należał?

Wiatr przycichł trochę. Chmury nieco się rozproszyły. Nad taflą jeziora jeden z księżyców przebił się przez ich zasłonę.

Wrócili po własnych śladach w dół wzgórza na skraj lasu. Znaleźli odcinek, którym wcześniej przeszli już dwa razy i skręcili w ścieżkę oddalającą się od rzeki. Ślady ich butów były głębokie i wyraźne. Szli ostrożnie, ale szybko, poganiani świadomością, że w samolocie jest ciepło i sucho.

Nagle szlak odcisków butów się urwał. Po środku ścieżki w jednym miejscu je widzieli, a potem, w połowie między jednym krokiem, a drugim, ślady zniknęły.

– To na pewno wina wiatru – stwierdził Sal.

Tu gdzie stali, były bardzo wyraźne: jego duże, jej małe. Metr dalej po prostu ginęły.

Oboje włączyli latarki. Niewiarygodne. Wyglądało to tak, jakby pojawili się znikąd.

Zmaterializowali się nagle pośrodku ścieżki, Sal stawiając najpierw lewą stopę, Kim prawą, a za nimi została nietknięta warstwa śniegu.

Kim obejrzała się za siebie, oświetlając latarką drzewa i ścieżkę. Wszystko trwało w bezruchu.

– Tak – odparła – to musiał być wiatr.

Pospiesznie ruszyli przed siebie, spodziewając się za chwilę ponownie zobaczyć swoje ślady. Kręgi światła latarek kołysały się przed nimi. Nie odzywali się. Sal, podobnie jak Kim, zaczął co chwila oglądać się za siebie.

– Pamiętam ten dąb – stwierdziła Kim. – Przechodziliśmy tuż obok niego. Jestem tego pewna. – Wokół drzewa leżała głęboka i gładka warstwa śniegu.

Doszli do rozwidlenia ścieżki i przystanęli niepewni, co dalej robić.

– Którędy? – spytała Kim.

– Jezioro mamy po lewej – wyszeptał Sal. – Lepiej trzymajmy się w jego pobliżu. – Jego niepokój zupełnie przeraził Kim.

Zgubili się. W takich warunkach nie dało się tego uniknąć. Po drodze Kim zaczepiła kurtką o krzak dzikiej róży, rozdierając materiał.

W końcu dotarli na polanę z walącą się szopą. Na śniegu znowu pojawiły się ślady. Kim powinna się ucieszyć na ich widok, ale odciski butów pojawiały się pośrodku polany znikąd.

Za nimi nie było nic prócz gładkiej powierzchni śniegu, tak jakby Kim i Sal sprzed godziny po prostu znikli z tego świata. Ten widok zmroził ją do szpiku kości.

– Nie zatrzymuj się – powiedział Sal.

Ta część umysłu, która zwykle nie poddaje się strachowi i chłodno ocenia emocjonalne sytuacje, podpowiadała teraz Kim, że znaleźli się w wirtualnym scenariuszu, bo to, czego doświadczali nie mogło się zdarzyć w rzeczywistości.

Chyba że Sheyel się nie mylił.

Wyszli z lasu. Przed sobą mieli jezioro i samolot. Kim zdusiła w sobie chęć ruszenia pędem w tamtą stronę. Szybko szli plażą. Ich pośpiech wydawał się komiczny.

Za plecami zostawili ciemną i milczącą ścianę lasu. W oddali, na wschodzie, na tle nieba poruszały się strumienie światła. Pociąg z Wyspy Terminal zbliżał się do Eagle Point. Sal wcisnął guzik zdalnego pilota i włączył światła samolotu. Luk otworzył się i ze środka opuściła się drabinka.

Daleko od nich, na powierzchni jeziora coś błysnęło. Odbicie. Latarnia. *Coś.*

Kim dokładnie się upewniła czy tylne siedzenie jest puste, zanim wdrapała się do środka.

Sal wszedł za nią i zamknąłabinę. W normalnych okolicznościach myślałaby przede wszystkim o zrzućeniu mokrych butów i skarpet. Ale tym razem siedziała bez ruchu, patrząc jak Sal wsuwa kartę do czytnika i wybiera komendę GO.

– *Salomonie* – odezwała się pokładowa SI. – *Proszę o określenie portu docelowego.*

– Po prostu ruszaj – nakazał Sal. – W górę.

Ludzi, którzy wspinają się na najwyższe szczyble organizacji i żyją tylko dla władzy, bez wątpienia dręczy słabe ego, a potrzeba bezustannego udowadniania swojej wartości spędza im sen z powiek. Waśnie dlatego tak łatwo ulegają strachowi i manipulacjom. I dlatego są tak niebezpieczni.

Sheyel Tolliver, Notatki, 482

– Naprawdę nie wytrąciło cię to z równowagi?

Sal zamknął oczy i ze smutkiem pokręcił głową, tak jakby przyszło mu stawić czoła bezgranicznej nieświadomości.

– Nie, naprawdę nie wytrąciło mnie to z równowagi. Trząśłem się z zimna.

Siedzieli w hotelowej restauracji Top, nad kawą, sałatką i świeżymi owocami. W porannym słońcu wierzchołki gór wydawały się ostre i wyraźne. Niebo już zapełniło się turystami. Pociąg właśnie okrążył Białą Górę i sunął ponad wierzchołkami drzew.

– Rozumiem – stwierdziła. – Ja też.

Teraz, w świetle dnia, nie mogła uwierzyć, że poprzedniej nocy tak bardzo się bała.

Dowiedziała się o sobie czegoś, o czym nie wiedziała i nie chciała wiedzieć: była tchórzem.

– Ale te ślady rzeczywiście wyglądały dziwnie – przyznał.

– Właśnie.

Zmarszczył czoło i machnął ręką, tak jakby chciał o tym zapomnieć.

– Gdzie powiesz reprodukcję Kane'a?

– Nie wiem. Jest trochę ponura jak na mój gust.

– To dlaczego nie kupiłaś jakiejś innej?

– Wiem, że powinnam – zgodziła się.

Prawie godzinę jedli śniadanie, podziwiając góry i wąwozy widoczne z okna. Kim czuła ulgę, że uwolniła się od zobowiązania wobec Sheyela. Z czystym sumieniem mogła mu powiedzieć, że sprawdzili las i nic się nie stało. Absolutnie nic. Przypuszczała, że go rozczaruje. Ale może potrzebował mocnej dawki rzeczywistości.

Sal właśnie opowiadał jej, że nigdy dotąd nie jeździł na nartach. Spytał, jak ona radziła sobie z parą desek. Odparła, że wcale. Zdziwiła się, kiedy zaproponował, aby kiedyś razem tu wrócili i zafundowali sobie lekcje.

– Na stokach działa szkołka narciarska – dodał.

Kim uważała, że jest już za stara na naukę, ale...

– Chętnie spróbuję razem z tobą.

Nagrodził jej odwagę uśmiechem.

Kiedy wrócili do pokoju hotelowego, Sal zaczął się pakować, a Kim od razu zadzwoniła do Sheyela, żeby mieć to za sobą. Wstukała jego kod i usiadła na kanapie. Odpowiedziała jej sztuczna inteligencja, spytała o imię i natychmiast połączyła Kim z profesorem.

– Kim – usłyszała zadowolony głos Sheyela. – Cieszę się, że tak szybko do mnie zadzwoniłaś. –

Nie przełączył ich na wizję.

– Jestem właśnie w Eagle Point – powiedziała.

– Wybierasz się do doliny?

– Byłam tam zeszłej nocy.

– Wspaniale. Och, a tak przy okazji, wybacz mi, że nie włączyłem obrazu. Nie jestem ubrany.

– W porządku, Sheyel.

– Widziałaś coś?

– Na przykład co?

– *Cokolwiek*. Coś niezwykłego.

Nagle stwierdziła, że nie może skłamać.

– Nie jestem pewna – odparła, zapominając o wcześniej ułożonej odpowiedzi.

Opowiedziała mu o znikających śladach. Chciała też wspomnieć o ruchomym cieniu, który dostrzegła za Salem, ale bała się, że zabrzmiałoby to zupełnie niedorzecznie.

– Tak. Właśnie takie rzeczy się tam zdarzają. To znaczy zdarzały się, gdy w okolicy mieszkali ludzie. – Sheyel podał jej tytuły książek, które dokładniej o tym pisały, a na koniec spytał czy nadal uważała, że w Severin nie działo się nic dziwnego.

– To był tylko wiatr – odparła.

– Naprawdę w to wierzysz? No trudno. Co teraz zamierzasz?

– Tu chyba nie mam nic do roboty. – Czekwała na jego reakcję, ale Sheyel milczał. – Może ty mógłbyś coś dla mnie zrobić.

– Jeśli tylko zdołam.

– Sprawdzisz dla mnie rozmiar buta Yoshi?

Sheyel zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Nie będzie to łatwe – odparł w końcu. – Zniknęła dawno temu. Wątpię, czy zatrzymano jakieś jej buty.

– Była klonem?

– Tak. Ach, już rozumiem, co masz na myśli. Oczywiście.

– Kiedy się czegoś dowiesz, zostaw informację Shepowi.

– W porządku. Załatwię to jeszcze dziś. – Do pokoju wszedł Sal. Był gotowy do drogi. – Mogę spytać, po co ci ta informacja?

– Powiem ci, jeśli coś z tego wyniknie.

Kim zaproponowała, aby w drodze powrotnej przelecieli nad doliną Severin. Sal się zgodził. Ponownie ruszyli na południe szlakiem wyznaczonym przez bieg rzeki, ale tym razem widzieli ją w świetle dnia. Poranek był jasny i bezchmurny. Dość ciepły, jak na tę porę roku. Patrzyli, jak z tunelu Culbertson, na południowy-zachód od miasta, wyłania się pociąg.

Culbertson był najdłuższym korytarzem magnetycznej lewitacji na świecie.

Lecieli nisko, przyglądając się okolicy. Prześlizgiwali się nad kanionami i rozpadlinami.

Wszystko pokrywał śnieg, który spadł poprzedniego wieczoru. Tuż przed zaporą ujrzeli parę jeleni, spokojnie pokonujących przestrzeń polany. Za namową Kim, Sal zawrócił Starlighta, ale zwierzęta znikły już między drzewami.

Opuścili się nisko nad powierzchnię jeziora. Niedaleko od brzegu, przy plaży Cabry zobaczyli tratwę, pozostawioną tam jeszcze w czasach, gdy w Severin roilo się od pływaków.

Kołysała się łagodnie, tak jakby czekała na powrót właściciela.

Obrali kurs na willę Tripleya i przez kilka minut przyglądali się jej z powietrza. Za dnia wyglądała jeszcze bardziej ponuro.

Okolice była opuszczona i piękna, ozdobiona świeżą pierzynką śniegu, świerkami, dębami i strzelistymi szczytami. Powierzchnia Jeziora Żalu lśniła w słońcu. Szkielety domów przypominały o ulotności wszystkiego, ale jednocześnie dodawały widokowi majestatu. Kim zastanawiała się, dlaczego pustkowie tak bardzo ją pociągały.

– Napatrzyłaś się już? – spytał Sal. Latanie w kółko nie było dla niego żadną atrakcją.

Przytaknęła. Sal nakazał SI zabrać ich z powrotem do Seabright.

Pierwsze kilkanaście minut podróży upłynęło w milczeniu. Potem Sal sięgnął do tyłu po kawę, napełnił dwa kubki i podał Kim jeden z nich.

– Jak udało ci się załatwić nam miejsce na *Star Queen*? – spytał.

Kim nie mogła przestać myśleć o brakujących śladach. Stale próbowała znaleźć jakieś wyjaśnienie. Nie mogła wykluczyć żadnej możliwości. Skoncentrowany podmuch wiatru.

Miejscowi oszuści.

Nie od razu dotarło do niej pytanie Sala. Musiała powtórzyć je sobie w myślach.

– Matt ma przyjaciół wszędzie – powiedziała w końcu. – Wiele ważnych osobistości zapowiedziało udział, więc uznał, że to dla nas doskonała okazja. – Stary liniowiec przekształcono w hotel. Wielkie otwarcie miało się odbyć w sobotę.

– Zastanawiałaś się nad moją sugestią?

– Jaką sugestią? – Jezioro Żalu znikło w oddali.

– Porozmawiaj z Bentonem Tripleyem. Skoro i tak wybierasz się do Sky Harbor, załatwisz to przy okazji. Może dowiesz się czegoś o jego ojcu i o misji *Huntera*.

– Myślisz, że zgodzi się ze mną porozmawiać?

– Pewnie. Dlaczego nie? Podobno jest bardzo bezpośredni.

– Chyba masz rację – stwierdziła. – Nie mam nic do stracenia. Muszę tylko pojechać tam dzień wcześniej, ale chyba warto spróbować. – Wyszukała numer korporacji Interstellar i wstukała go w komlink.

– Sekretariat Interstellar – odezwał się męski głos.

– Halo, mówi doktor Kim Brandywine. Pracuję dla Instytutu Seabright. W następny piątek wybieram się do Sky Harbor i zastanawiałam się, czy możliwe byłoby zorganizowanie spotkania z panem Tripleyem? Oczywiście, jeśli nie jest zajęty.

Sal przewrócił oczami.

– Czego miałyby to spotkanie dotyczyć, doktor Brandywine?

– Chciałabym porozmawiać z nim o incydencie na Mount Hope.

– Rozumiem. I zależy pani na spotkaniu w piątek?

– Tak.

Na chwilę zapadła cisza.

– Przykro mi – odezwał się w końcu głos. – To niemożliwe. Pan Tripley ma wypełniony kalendarz spotkań na kilka tygodni naprzód. Mogę panią umówić na jedenastego sierpnia.

– Sierpnia?

– Tak. To pierwszy wolny termin.

– W takim razie rezygnuję. – Rozłączyła się i spojrzała pytająco na Sala. – Co?

Wzruszył ramionami.

– No nie – zaprotestowała. – Tak się nie robi. Jeśli masz coś do powiedzenia, słucham.

– Kim, on jest dyrektorem. Musisz się trochę bardziej postarać. Nie wystarczy spytać, czy jest akurat wolny albo powiedzieć, że chciałabyś się z nim spotkać, jeśli to możliwe.

– O co ci chodzi?

– Nie bądź taka niepewna. I wymyśl jakiś lepszy powód niż Mount Hope. Może powiedz, że piszesz książkę i potrzebna ci jest jego opinia w jakiejś sprawie.

– Łatwo ci powiedzieć. – Kim wskazała na komunikator. – Chcesz sam spróbować szczęścia? Zobaczymy, czy uda ci się mnie z nim umówić.

– Już za późno. Szansa przepadła. Musisz opracować inny plan działania.

Spojrzała na niego, czekając na propozycje.

– Daj mu jakąś nagrodę – zasugerował Sal.

– Co?

– Daj mu nagrodę. Myśl jak specjalistka od kreowania publicznego wizerunku. Czy Interstellar robi coś dla Instytutu?

– Tak. Jest jednym z ważniejszych sponsorów. Oczywiście nie wynika to z ich hojności.

Odliczają sobie darowizny od podatków. Poza tym zdobywają w ten sposób przychyłność opinii publicznej.

– No właśnie. Wymyśl jakąś formę oficjalnego uznania ich wkładu. Może tablicę z jego nazwiskiem. Zawieszysz mu to osobiście.

– Nagroda imienia Solomona J. Hobbsa – powiedziała.

– Nieźle by było.

– Za wspaniałą służbę we wszystkich wymiarach.

– Dokładnie tak to widzę.

Prawdę mówiąc, pomysł nie był zły. Nie kosztowałoby to prawie nic. Tyle, co sama nagroda. Musiała tylko zdobyć zgodę Matta. Wiedziała, że wystarczy minuta, by go przekonać.

– Sądysz, że Tripley na to pójdzie? Nie dajemy mu za mało czasu na przygotowanie?

– Pytasz poważnie? Tacy jak on stoją na szczycie wielkich organizacji. Nigdy nie spudłujesz, przypochlebiając się ich ego.

Niepotrzebnie opierała się takiemu rozwiązaniu. Od początku powinna była obrać podobną taktykę. Sal miał rację. Napisała kilka wersji dedykacji, zastanawiając się, jak nazwać nagrodę, po czym przygotowała pisemną propozycję.

Ponieważ czas naglił, od razu zadzwoniła do Matta i o wszystkim mu powiedziała.

Wysłuchał jej uważnie. Tak jak sądziła, pomysł mu się spodobał. Przypomniał jej, że za kilka dni miała spotkanie z Miejską Opieką Społeczną i obiecał skontaktować się z nią później.

Odezwał się po dwudziestu minutach.

– Wszystko załatwione – stwierdził. – Jesteś umówiona w apartamentach Interstellar w piątek o drugiej po południu.

– Wspaniale – odparła. Rozmawiali na kanale audio, więc mogła sobie pozwolić na triumfalny uśmiech.

– Naprawdę zaczyna cię to wciągać – zauważył Sal.

Niebo było bezchmurne. W oddali Kim dostrzegła samolot. Zmierzał na północ.

Połączyła się z Shepardem.

– *Halo Kim* – odezwał się jej domowy opiekun. – *W czym mogę ci pomóc?*

– Masz już jakieś wieści od Sheyela Tollivera?

– *Nie. Mam cię zawiadomić, jeśli się odezwie?*

– Tak, proszę.

– *Coś jeszcze?*

– Co możesz mi powiedzieć o *Hunterze*? Należał do Fundacji Tripleya? Masz coś na ten temat?

Shep odezwał się po krótkiej pauzie.

– *Fundacja Kila Tripleya już nie istnieje. Trzydzieści lat temu zlikwidował ją Ben Tripley, ustanawiając w zamian...*

– Nieważne – stwierdziła Kim. – Co masz o statku.

– *Hunter rozpoczął loty dla Fundacji 3 Śródzimie 544 roku. – Śródzimie było na Greenway trzynastym miesiącem, dodanym po grudniu, by dostosować kalendarz do długości roku. Zwykle miało dwadzieścia dwa dni, ale od czasu do czasu skracano je o jeden dzień, podobnie jak na Ziemi luty wydłużano o jeden dzień, synchronizując kalendarz ziemski z gwiazdny. – Brał udział głównie w długotrwałych ekspedycjach w uprzednio nie zbadane regiony. Fundacja sprzedała go Instytutowi Badawczemu Alway w 578 roku.*

– Gdzie jest teraz?

– *Obecnie należy do Worldwide Interior. Stoi w ich dokach w Sky Harbor.*

– No proszę, ty to masz szczęście – stwierdził Sal.

Kim włączyła monitor pomocniczy.

– Możemy mu się przyjrzeć, Shep? Jak wyglądał w 573?

Na ekranie pojawił się indeks. Kim przejrzała serię diagramów. Pojazd był mały jak na jednostki odbywające dalekie podróże. Przypominał bardziej ekskluzywny jacht. Tripley sam go zaprojektował. Wyglądał jak duplikat jego domu na Cedrowej Wyspie. Główny pokład na drugim poziomie, zaprojektowano z centralnym punktem galerii i schodami biegnącymi po obu jej stronach. *Hunter* miał luksusowe wykładziny, salę gier, gabinet, główną kabinę pilota i kabinę nawigacyjną na górnym piętrze. Nie zapomniano o wieżach i tarasach na zewnątrz.

Niemal wszędzie zamontowano panele widokowe, od środka tworząc standardową iluzję okien, a na zewnętrznych pokładach instalując okalające cały kadłub pasy czujników. Dzięki temu można było siedzieć w kabinie i patrzeć na kosmos tak, jakby panele były ze szkła.

Główny napęd i silniki skokowe znajdowały się z tyłu. Ładownie, magazyny i dok zajmowały najniższy poziom.

Kim obróciła projekcję statku i zdjęła jego górną część.

- Masz sprawę – stwierdził Sal.
- W czym?
- W gromadzeniu danych i korzystaniu z nich.
- Z tego żyję. Chyba nie sądzisz, że wybieramy potencjalnych sponsorów na chybił trafił.
- Naprawdę sprawdzacie tych gości?
- Pewnie. Sponsorowanie Instytutu pochłania masę pieniędzy. Nie możemy sobie pozwolić na grę w ciuciubabkę.
- A co z prawami chroniącymi prywatność?
- Są niezbyt precyzyjne. Niemal wszystko co robięś, jest gdzieś zarejestrowane i trzeba tylko wiedzieć, jak tego szukać. Mam ci pokazać kilka przykładów z twego życia?
- Daj spokój.

Uśmiechnęła się, wywołała na monitor zbliżenie przedniej części *Huntera* i przyjrzała się wnętrzu. Luksus. Skórzane meble. Rośliny. Obrazy na ścianach. Klasyczna rezydencja dyrektora dbającego o wygodę także z dala od domu.

Kim była na międzygwiazdnym liniowcu tylko raz. Miała mniej więcej dwanaście lat i towarzyszyła rodzinie w podróży do Minagwa, gdzie mieszkali krewni jej mamy. Podróż w jedną stronę trwała jedenaście dni. Jeśli pamięć jej nie myliła, kabiny były małe, koje miały brudnoszarą barwę, a lot dłużył się niemiłosiernie. Ekscytujący wydał się jej tylko moment, gdy opuścili nadprzestrzeń i znaleźli się w pobliżu wspaniałego, złotego słońca. Minagwa okazała się pięknym miejscem. Były to bliźniacze światy. Oba zamieszkane, oba miały swoje oceany. Kim uznała jednak, że ich widok nie wynagradzał niewygód podróży. Kiedy dwa miesiące później wróciła na Greenway, obiecała sobie, że więcej nie wybierze się w taką podróż. Obietnicy dotrzymała. Ale na pewno dałaby się skusić, gdyby ktoś zaproponował jej lot na *Hunterze*.

W 574 roku kupił go dyrektor destylarni. Przez następne sześć lat jednostka wielokrotnie zmieniała właścicieli, aż w końcu przejął ją Worldwide jako spłatę części długu firmy, która zbankrutowała. Później używano go głównie jako limuzyny dyrektorskiej, a od czasu do czasu przewożono nim znanych polityków.

Kim przejrzała dane, zwracając uwagę na szczegóły dotyczące napędu, systemów nawigacji, podtrzymania życia, pokładowej SI oraz wszystkiego, co mogło się jej w przyszłości przydać. Ze zdumieniem stwierdziła, że statek wyposażono w dookólny nadajnik radiowy z możliwością wzmocnienia sygnału.

Uznała to za dziwne, ale potem przypomniała sobie cel misji *Huntera* i oczekiwania jego załogi. Oni nie szukali byle form życia, pragnęli znaleźć istoty *rozumne*. Za sukces uznaliby jedną z dwóch możliwości: odkrycie miasta albo spotkanie z obcym statkiem kosmicznym.

Gdyby natrafili na miasto, musieli mieć możliwość nadawania na szerokim paśmie. Mogliby wtedy wysłać powitanie do wszystkich naraz. Kim była pod wrażeniem. Marzenia tych ludzi nie miały granic.

- Shepard, połącz mnie z Worldwide – poprosiła.

Wykonał polecenie i na monitorze pojawiło się logo Worldwide: animowany statek kosmiczny uśmiechał się lecąc ku żeglującej po orbicie bazie korporacji. Dok utworzył się, tryskając strumieniem światła. Ludzka ręka złotymi literami napisała motto Worldwide: STYL I SENS. Po chwili Kim patrzyła na młodą kobietę, wysoką blondynkę o chłodnych rysach twarzy.

– Dobry wieczór, doktor Brandywine – odezwała się recepcjonistka, odczytując nazwisko Kim z ekranu. – Nazywam się Melissa. W czym mogę pomóc?

– Witaj Melisso. Prowadzę badania dla Instytutu Seabright. Bardzo chciałabym zwiedzić *Huntera*. Osobiście.

Blondynka uśmiechnęła się i spojrzała na coś poza zasięgiem oka kamery.

– Oczywiście. Jest to jak najbardziej możliwe. Kiedy chciałaby nas pani odwiedzić?

– Może w piątek?

– Doskonale. Czy odpowiadałoby pani popołudnie, powiedzmy czwartą?

– Tak – odparła Kim. – Dziękuję. Aha, jeszcze jedno... Bardzo interesuje mnie historia tego statku.

– Rozumiem. – W kącikach ust Melissy pojawił się uśmiech. – Chodzi o incydent na Mount Hope.

– To także. Czy będę mogła zajrzeć do dzienników pokładowych z ostatniej podróży organizowanej przez Fundację Tripleya?

– Och, obawiam się, że to niemożliwe, doktor Brandywine. Nie dysponujemy takimi materiałami. Nigdy nie mieliśmy tu tych dzienników.

– Tak? A kto je ma?

– Przypuszczam, że gdy jednostka po raz pierwszy zmieniała właściciela, przekazano je do Archiwów. Tego wymaga prawo.

– Dziękuję Melisso. – Kim się rozłączyła i ponownie wezwała Sheparda. – Chciałabym nadać wiadomość korzystając z hiperkomu.

– *Do kogo?*

– Nie jestem pewna. Może do Kontroli lotów w St. Johns. Sprawdź ich strukturę organizacji i sam zdecyduj, do kogo to powinno trafić.

– *W porządku. A treść wiadomości?*

– Prośba o plan lotu *Huntera* podczas ostatniej misji pod patronatem Fundacji Tripleya, rok 573 według kalendarza Greenway. Sprawdź datę i wszystkie potrzebne dane, a potem to wyślij.

– *Mam dokonać transmisji natychmiast?*

– Jak tylko przygotujesz materiał.

– *Transmisja w obie strony zajmie około czterech dni Kim. Do tego trzeba jeszcze dodać czas, jakiego potrzebują na przygotowanie odpowiedzi.*

– W porządku. Teraz połącz mnie z Archiwami.

Na monitorze pojawiła się okrągła pieczęć Republiki: biała gwiazda na zielonym polu. Na brzegu w górnej połowie pierścienia wygrawerowano napis: WIELKA REPUBLIKA EQUATORII, a w dolnej motto, POKÓJ, SPRAWIEDLIWOŚĆ, WOLNOŚĆ. Pod gwiazdą Kim dostrzegła nazwę ARCHIWA NARODOWE. Po chwili pieczęć znikła. Młody mężczyzna patrzył na Kim zza biurka. Miał zaintrygowany wyraz twarzy, z czego wywnioskowała, że był wirtualnym sekretarzem.

– Dobry wieczór, doktor Brandywine – powitał ją. – Nazywam się Harvey Stratton. Jak mogę pani pomóc?

– Panie Stratton, czy to prawda, że w Archiwach magazynowane są dzienniki pokładowe z wypraw w inne galaktyki?

– Także z podróży interplanetarnych, pani doktor.

– A czy mogłabym zobaczyć dzienniki z wyprawy, która zakończyła się w roku 573?

– Och. – Jego twarz spoważniała. – To obwarowane jest różnymi przepisami o ochronie prywatności. Niestety, musi pani mieć pozwolenie sądowe.

– Pozwolenie sądowe?

– Tak. Wszystkie dzienniki jednostek objęte są ustawą o ochronie danych. Czy jest pani oficerem służb rządowych?

– Nie, zajmuję się gromadzeniem danych.

Sala ogromnie śmieszyła ta rozmowa.

– Istnieje pewien przepis przewidujący umożliwienie dostępu do danych szerszej publice – przyznał sekretarz.

– Czyli, że będę mogła zajrzeć do tych dzienników?

Sprawdził informacje na ekranie.

– W przypadku jednostek znajdujących się w prywatnych rękach... – Zawahał się przez chwilę, wreszcie znalazł to, czego szukał. – Wygląda na to, że po czterdziestu pięciu latach od daty zakupu.

– I...?

– Zostaną one udostępnione za osiemnaście lat. – Asystent uśmiechnął się. – Obawiam się, że to niewiele pani pomoże.

Wymienił różne powody, które mogłyby nakłonić sąd do wydania zezwolenia. Zwykle udzielali go, gdy chodziło o postępowanie dochodzeniowe albo o szczegóły projektu. Ani słowa o zwykłej ciekawości. Kim zrezygnowała i przerwała połączenie.

– *Co teraz?* – spytał Shep.

– A ty co proponujesz?

– *Mam wrażenie, że w ten sposób nie osiągniesz celu. Małe zielone ludziki. Duchy. Mogłabyś spędzać czas bardziej produktywnie.*

Oczy Sala błysnęły wesoło.

– Twój sztuczny inteligent prawi ci kazania?

Kim zignorowała jego pytanie.

– Co się stało na Mount Hope, Shep?

– *Nie wiem. Mogę jedynie spekulować.*

– W takim razie, słucham.

– *Nie można wykluczyć tego, że ktoś postąpił nieostrożnie z niewielką ilością antymaterii. Trudno podać inny racjonalny powód eksplozji o takiej sile przy braku śladów meteorytu.*

– Co ktoś robił z antymaterią na zboczu góry?

– *Może próbował uciec przed pościgiem. Wybuch nastąpił trzy dni po tym, jak Kane i Tripley powrócili do domu z Huntera. Obaj mieszkali w tym regionie. Jeden zniknął.*

Niewykluczone, że sugeruje to kradzież, która się nie powiodła.

– Sądysz, że Tripley ukradł własne paliwo? Po co?

– *Możliwe, że wziął je Kane, Tripley je odzyskał, ale antymateria uległa destabilizacji.*

Oczywiście, to tylko przypuszczenia nie poparte żadnymi dowodami.

– Co wiesz o Bentonie Tripleyu? – spytała Kim.

Shepard wyświetlił wszystkie informacje na monitorze. Benton był klonem swego ojca.

W tamtym okresie niemal połowa populacji Greenway przyszła na świat dzięki klonowaniu.

Benton Tripley zbliżał się do czterdziestki, nie ożenił się jeszcze, ale miał opinię kobieciarza.

Był członkiem zarządu kilku wpływowych organizacji, bliskim przyjacielem premiera, odbiorcą kilkunastu ważnych nagród za działalność dobroczynną, dyrektorem korporacji Interstellar i przewodniczącym Przegranej Sprawy, organizacji, która zastąpiła Fundację Tripleya. Jej członkowie zajmowali się zbieraniem funduszy na rozmaite przedsięwzięcia.

Wprawdzie na świecie nie było już biednych, ale nadal ktoś się musiał opiekować sierotami i opuszczonymi dziećmi, osobami, które potrzebowały bardziej zaawansowanego systemu kształcenia oraz ludźmi szukającymi sponsorów badań. Przegrana Sprawa zawsze przodowała w takich akcjach.

Organizacja ta pomogła również Kim, przyznając jej stypendium, po śmierci rodziców.

Ale poza tym, niewiele o niej wiedziała. Kontakty ograniczały się do rzadkich wizyt psychologa, który sprawdzał, jak sobie radziła, no i przekazy pieniężne przychodziły regularnie co miesiąc. Po jakimś czasie spłaciła swój dług wobec fundacji, ale nigdy nie przestała być jej wdzięczna za pomoc w okresie, gdy najbardziej tego potrzebowała.

Benton Tripley bardzo przypominał swego ojca. W przeciwieństwie do Kila, Ben gładko golił twarz. Był wysoki, opalony, miał brązowe, lekko kręcone włosy, zwykle zaczesane do tyłu i sympatyczny uśmiech, na który Kim nie dała się nabrać ani przez chwilę. Dostrzegła jeszcze jedną różnicę: Kil wyglądał na uczciwego. Bentonowi nie mogłaby zaufać.

Shepard pokazał jej szereg zdjęć. Tripley ściskający dłonie przedsiębiorców i polityków, otoczony przez kobiety w różnych popularnych kurortach wakacyjnych, występujący w sądzie we własnej obronie, obalający zarzuty o działanie na szkodę innych. Był wszędzie.

TRIPPLEY WITA DELEGACJĘ Z WYSPY BARRINGER. TRIPLEY NARADZA SIĘ Z KIPEM ESTERHAUSEM Z NOWEGO JORKU. TRIPLEY OPROWADZA GRUPĘ STUDENTÓW PO SKY HARBOR.

Przeglądając fotografie, coś zauważyła. Dostrzegła trzy modele statków kosmicznych w jego biurze. *Trzy.*

Już wiedziała, od czego zacząć.

Shepard odezwał się ponownie gdy zbliżali się do wyspy Korbee.

– *Wiadomość od Sheyela Tollivera* – oznajmił.

– Odtwórz.

Usłyszała głos Sheyela. Podał jej numer buta, o który prosiła.

– *Coś jeszcze?* – spytał Shep.

Kim spojrzała na Salę i dała mu znak, że znaleziony but był w tym samym rozmiarze.

– Tak. Zaparz kawę.

– To o niczym nie świadczy – stwierdził Sal. – Ile kobiet nosi taki rozmiar buta?

– Sporo – przyznała. – Ale jak sądzisz, ile z nich chodzi po statkach kosmicznych?

Nie Jesteśmy sami.

Gdzieś tam, w miejscach tak odległych, że umykają naszej wyobraźni, światła miast zapalają się w mroku, a wieże wznoszą się ponad postrzępionymi liniami brzegów. Jeszcze nie wiemy i nie potrafimy zgadnąć, kto zamieszkuje te odległe miasta i patrzy z dalekich wież. Ale pewnego dnia trafimy na ich niebo i poznamy naszych braci i siostry.

Shim Padwa, Dalekie wieże, 321

– Powinniśmy robić to częściej – stwierdził Matt.

– Musimy działać z wyprzedzeniem. Rozdawać nagrody. W ten sposób Instytut zyska więcej przyjaciół.

Dobrze sytuowanych przyjaciół. Zarząd zaakceptował nagrodę nadając jej imię Mortona Cable'a, człowieka, którego praca doprowadziła do przełomu w lotach nadprzestrzennych.

Cable miał także powiązania z Instytutem.

Kim chętnie na to przystała – „świetny pomysł, Matt” – i zaproponowała aby zamiast, jak zwykle, korzystać ze standardowej tablicy, nadać nagrodzie formę modelu statku kosmicznego, ponieważ Tripley takie kolekcjonował. Matt się zgodził i resztę pozostawił jej.

W piątkowy rano przyleciała po nią taksówka. Nad oceanem wciąż jeszcze unosiła się mgła. Pojazd uniósł się ku krystalicznie czystemu niebu i zawrócił w stronę kontynentu. Na Greenway było niewiele prywatnych środków transportu, ponieważ taksówki były tanie, w dobrym stanie i zawsze stawiały się na zawołanie. Kim dostrzegła na morzu tylko jeden jacht zmierzający na zachód. Kilka taryf krążyło bez celu nad wyspami, czekając na wezwanie.

Matt postanowił, że nagrodę wręczy Tripleyowi Averill Hopkin. Był on zdobywcą nagród i znanym specjalistą w dziedzinie napędu pojazdów w nadprzestrzeni. Do Sky Harbor poleciał wcześniej, aby przeprowadzić jakąś ekspertyzę dla Interstellar. Wszystko doskonale się składało. Hopkin miał śniadą skórę i ciemne oczy. Kim wydawał się powierzchowny. Jego życie zaczynało się i kończyło na fizyce. Wątpiła, czy wiedział, co to dobra zabawa.

Taksówka zawiozła ją na stację. Piętnaście minut później Kim siedziała już w Seahawku.

Wagony sunęły magnetycznym torem ponad lasami otaczającymi Seabright.

Minęli Instytut po prawej stronie. Po lewej zostały z tyłu plaże. Gdy pociąg opuścił granice miasta, bezszelestnie przyspieszył do sześciuset kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu prześlizgiwali się ponad wodą, pozostawiając za sobą wzburzony kilwater.

Za oknem brzegi oceanu, lasy i rzeki się zamazały. Pasażerowie pozasłaniali okna i zajęli się wysyłaniem wiadomości lub lekturą książek. Niektórzy drzemali, inni w wirtualnych projektorach oglądali wybrane dzieła z pociągowej biblioteki.

Kim wywołała *Jesień* na monitor znajdujący się przed jej siedzeniem i długo przyglądała się swemu wizerunkowi. Patrząc na obraz, czuła zimne dreszcze, ale jednocześnie miała dziwną świadomość własnego piękna i siły. Nietrudno było się domyśleć, co Markis czuł do modelki.

Jakaś pasażerka przystanęła w przejściu obok. Kim, zmieszana, wyłączyła monitor.

Przez pierwsze lata po zniknięciu Emily, od czasu do czasu towarzyszyła matce podczas

rozmów z wirtualną projekcją zaginionej córki. Ojciec się temu sprzeciwiał. Mówił, że Emily była także jego dzieckiem i że dla wszystkich byłoby najlepiej, gdyby pozwolono jej odejść w spokoju. Miał rację. Wirtualne spotkania były przerażające. Kim przysięgła sobie, że sama nigdy czegoś takiego nie robi. Jeśli ktoś odchodził, to na dobre. Korzystanie z osiągnięć techniki, by zatrzymać bliską osobę, wydało się jej *chore*. Okazało się jednak, że składanie przysiężek jest łatwiejsze niż ich dotrzymanie. Gdy dorastała, wielokrotnie rozmawiała z siostrą, a po śmiertelnym wypadku rodziców, także z nimi. Podczas tych sesji ojciec karmił ją i namawiał, aby dała temu spokój.

– *Musisz żyć własnym życiem, Kimberly* – mówił, marszcząc brwi. – *Wiesz, że dasz sobie radę sama.*

Po takich spotkaniach zawsze wracał ból. Osiągnięcie dojrzałości wymagało uwolnienia się od złudzeń. Stwierdziła, że aby tego dokonać, musi stawić czoło rzeczywistości, pogodzić się z tym, że jej bliscy naprawdę odeszli. Zdawała sobie sprawę, że w pewnym stopniu krzywdziła siebie tymi rozmowami, zwłaszcza gdy przywoływała obraz Emily. Siostra zniknęła, gdy Kim miała za mało lat, by ją dobrze zapamiętać, ale towarzyszyła jej jeszcze przez kilkanaście lat jako wirtualna projekcja. Dopiero gdy Kimberly zdołała się od tych spotkań uwolnić, w pełni uświadomiła sobie głębię straty.

Znalazła zdjęcie Emily, Yoshi i Tripleya, zrobione podczas pożegnalnego przyjęcia, na krótko przed wylotem *Huntera*. Emily wybrała na tę okazję doskonale skrojone, ciemnozielone spodnie, jasnozieloną bluzkę i kremowy żakiet. Strój podkreślał piękno jej ciemnych oczu, w których połyskiwały złote plamki.

Zanim starsza córka Brandywine'ów przyłączyła się do Fundacji Tripleya, zdażyła sobie zapracować na opinię zaradnej, młodej dyrektorki firmy komunikacyjnej. Kim wysłuchiwała kilkuminutowego przemówienia, które jej siostra wygłosiła w wynajętym klubie, przedstawiając cele Fundacji, jej dotychczasowe osiągnięcia i plany na przyszłość, kończąc słowami: – Gdzieś tam istnieje życie. I z waszą pomocą zamierzamy je znaleźć Emily Brandywine zarażała słuchaczy entuzjazmem i doskonale potrafiła wyczuć dobry moment na dowcip. Miała wszystkie cechy dobrego mówcy: dokładnie wiedziała, co chce osiągnąć, potrafiła żartować na swój temat i miała talent do zabawnych i zwięzłych podsumowań. Każde jej przemówienie nagradzano długimi brawami. Gdyby chciała, mogłaby zdobyć poparcie każdego.

Dwukrotnie wychodziła za mąż, ale tuż przed zaginięciem nie była z nikim związana. Nie miała dzieci.

Terminal City znajdowało się na wyspie położonej na równiku, dwa kilometry od głównego lądu. Seahawk opuścił kontynent w Mikai, przeleciał nad rzędem skalistych przylądków i zaczął zwalniać, zbliżając się do Tunelu Chibatsu. Światła w przedziałach błysnęły jaśniej. Za oknem pojawiło się kilka mew. Ptaki nauczyły się nie zbliżać za bardzo do pociągów. Pozwalały sobie na to tylko wtedy, gdy wagony jechały z bezpieczną prędkością. Właśnie wjeżdżali w rejon zewnętrznych wysp i pociąg to przyspieszał, to znów zwalniał w rytmie tuneli na drodze. Jechali wzdłuż równika na zachód.

Kim zajęła się lekturą książki o przygodach ulubionej przez Markisa Kane'a pani detektyw, Weroniki King. Przez tydzień po powrocie z doliny Severin przeczytała cztery powieści. Podczas podróży wielokrotnie próbowała zacząć piątą, ale nie mogła się na niej skupić. Myślała o czekającym ją wywiadzie z Bentonem Tripleyem. Układała pytania.

Zatrzymali się na Wyspie Cleavis. Przedziały opróżniły się niemal zupełnie, ale po chwili dosiadło się sporo osób. Kiedy pociąg znowu ruszył, Kim przeszła do wagonu restauracyjnego i zamówiła lunch.

Gdy kończyła danie z warzyw i kurczaka, pociąg właśnie wyjeżdżał z ostatniego tunelu.

Przemknął przez Zatokę Morgantown i wjechał w strefę burzową. Na tym odcinku góry schodziły bezpośrednio do morza. Seahawk zanurkował w jeden z kanionów i minął Wąwóz Edmoutona biegnący wśród szczytów i rozpadlin.

Sunęli dwadzieścia metrów nad powierzchnią oceanu wzdłuż przybrzeżnych klifów. Kim wróciła do lektury przygód Weroniki King w „Lampie Demonów”. W takich powieściach rozwiązanie tajemnicy zwykle kryło się w oczywistych szczegółach. Akcja toczyła się na wielkiej, pustynnej wyspie Kawahl, w miejscu, gdzie pracowali archeolodzy.

Zamordowano dwie osoby, a motyw podobno krył się w wieży. Problem polegał na tym, że na spieczonej ziemi nigdzie nie było żadnej wieży. To znaczy w pewnym sensie była, bo właśnie na jej miejscu prowadzono wykopaliska. Setki lat i zmiana klimatu sprawiły, że znikła z powierzchni.

Kim skończyła powieść w chwili, gdy Seahawk zaczął powoli się obniżać do poziomu morza. Góry zostały w tyle. Wiedziała, że mniej więcej z tego miejsca widać było podniebny hak, ale siedziała po złej stronie.

Za każdym razem osoby, które widziały go po raz pierwszy, głośno wzdychały z podziwu. Haki podniebnej windy były jeśli nie najwspanialszym osiągnięciem inżynierii, to na pewno najbardziej spektakularnym. Istniały na pięciu spośród dziewięciu ludzkich światów, a kolejny właśnie powstawał na Tigris. Hak na Greenway, połączony z Terminal City, znajdował się teraz w odległości dwunastu kilometrów. Jego ogromny korpus wyrastaj wprost z centrum miasta i krył się w chmurach.

Pasażerowie wstali z miejsc, tłocząc się po prawej stronie pociągu. Kim przez chwilę widziała konstrukcję i słońce odbijające się w lekko zniszczonej powierzchni. Widok haka zawsze przepełniał ją niewytłumaczalną dumą.

Kilka minut później pociąg zatrzymał się wewnątrz budynku stacji. Pasażerowie wysypali się z wagonów, znikając w wielkiej aglomeracji sklepów, hal dworcowych, poczekalni i restauracji. Chwilę trwało, zanim Kim zorientowała się, w którą stronę ma iść. Potem spokojnie ruszyła do windy. Mijali ją ludzie rozdający książki o tematyce religijnej albo namawiający do podpisania się pod politycznymi czy społecznymi kampaniami. Inni domagali się usunięcia przewodniczącego zarządu jednej z linii kolejowych lub próbowali zdobyć poparcie dla badań nad wydłużeniem ludzkiego życia.

Nie musiała się spieszyć. Na głównej promenadzie kupiła sobie szklankę soku owocowego. Powoli docierało do niej, że znalazła się w takim samym położeniu, co Sheyel: musiała postępować rozważnie, aby Benton Tripley nie uznał jej za wariatkę.

Winda kursowała co godzinę. Jej powierzchnię podzielono na salę poczekalni, pomieszczenia wirtualnych projekcji, sklep z pamiątkami sprzedający kubki i t-shirty z widokiem Sky Harbor, kawiarnię oraz Cztery Księżycy – prywatny klub, w którym tylko członkowie mogli odpocząć przy obitym skórą barze, pograć w bilard, wynająć kabinę WR lub się zdrzemnąć.

Kawiarnia nosiła nazwę U Nika. Wszystko tam było drogie, kanapki smakowały jak plastik, ale parzyli dobrą kawę. Na ścianach wisiały zdjęcia sławnych ludzi, którzy odwiedzili lokal, opatrzone ich autografami. Kim po wejściu na pokład windy natychmiast się tam skierowała i zajęła stolik w kącie.

Winda miała nośność obliczoną na 120 osób. Tego dnia jechało nią najwyżej sześćdziesiąt. Kim zamówiła kawę i melona. Przez okno wyrzała na ogromną przestrzeń centrum handlowego. Podano informację, że za chwilę ruszają. Wejście zamknęło się z cichym stukiem.

Podłoga zadrżała, gdy włączono niewidzialne silniki. Zatłoczony pasaż z jaskrawymi witrynami sklepów zaczął się oddalać. Po chwili mijali już płataninę prętów i przewodów.

Tylko tyle mogli widzieć przez niemal dziesięć minut. Winda wznosiła się wewnątrz głównej podpory dopóki nie minęła dolnych warstw atmosfery. Opuszczała osłonę dopiero poza strefą niszczącego działania czynników atmosferycznych.

Wielu pasażerów, tak jak ona, wybierało się na *Star Queen*. Dokończyła kawę, zostawiła większość melona i wstała od stolika, żeby przywitać się z tymi, których znała. Spotkała McWilliama z Extron Industries, Larry'ego Dixona z Krajowego Towarzystwa Filantropów i Jazza White'a, mistrza kontrapłki, który brał udział w kampanii reklamowej *Star Queen*.

Winda wzniosła się ponad osłonę i kawiarnię zalało światło słońca.

Kim przeszła do pomieszczenia wypoczynkowego i zajęła miękką ławkę. Niektórzy pasażerowie kupowali pamiątki. Większość dzieci okupowała salę WR. Pozostałe stały przy oknach, podziwiając widoki.

Podobnie jak na *Hunterze*, „okna” były po prostu ekranami, na których wyświetlano obraz z zewnętrznych kamer. Przezrocyste panele były najsłabszym punktem hermetycznych pomieszczeń, dlatego już dawno temu z nich zrezygnowano. Zastąpiono je specjalnymi monitorami i tylko przy dokładnych oględzinach dało się dostrzec różnicę.

Matt wytargował zaproszenie na *Star Queen*, przypominając organizatorom, że silniki liniowca zaprojektował Max Esterly, niegdysiejszy dyrektor Instytutu, którego reprezentacja powinna być obecna w dniu, kiedy okręt rozpoczynał nowe życie jako hotel. Zadbano nawet o to, by w głównym lobby znalazła się tablica pamiątkową z imieniem Esterlego. Tak naprawdę Flexner chciał uzmysłowić prominentom, jakie przyjemności płyną z rozwoju technologii i podkreślić, że nic nie przychodzi darmo. Kim miała za zadanie zdobyć ich poparcie.

Matt dał jej szkic mowy: społeczeństwu, które się nie rozwija, grozi upadek; nasza społeczność już upada; musimy zmienić sposób działania i właśnie Instytut jest główną siłą w nowoczesnych badaniach naukowych. Taka opinia była prawdopodobnie przesadzona, ale powtarzano ją przy tak wielu okazjach, że zyskała pozory prawdy.

Kim niezupełnie zgadzała się z Mattem. W każdej epoce uważano, że społeczeństwo chyliło się ku upadkowi. Ludzie zawsze wierzyli, że żyją w świecie, który się wali.

Oczywiście oni sami byli w porządku, tylko wszyscy wokół nich się staczali. Kim uważała, że to stara śpiewka i obawiała się, że mówiąc o tym podczas otwarcia hotelu *Star Queen*, zanudzi słuchaczy.

Jednocześnie jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że rzeczywiście działo się coś złego.

Nie chodziło o zaprzestanie badań naukowych ani o to, że społeczność dążyła przede wszystkim do własnej przyjemności, odsuwając inne sprawy na dalszy plan. Niektórzy wierzyli w ostateczną zagładę twierdząc, że ludzka rasa po prostu się zestarzała, wypaliła się w sensie metafizycznym. Ludzie potrzebowali nowych wyzwań. Może musieli znaleźć wśród gwiazd inne, sobie podobne istoty, z którymi mogliby się porównywać i konkurować. I opowiadać wojenne historie. Bo teraz tylko trwali beczynniami i czekali na zbawienie.

Głównym źródłem pesymizmu była Ziemia, na której, według standardowego kalendarza,

dobiegało końca już trzecie tysiąclecie. Historia mówiła, że w takich czasach zawsze wierzono, iż ludzki gatunek znalazł się u kresu drogi.

Nieważne, kto miał rację, Kim po prostu uważała, że moment przecięcia wstęgi w hotelu *Star Queen* nie jest najlepszą chwilą na ponure rozważania.

Wynalezienie sztucznej grawitacji wyeliminowało wprawdzie konieczność budowania stacji kosmicznych na planie koła, ale w większości nadal korzystano z tradycyjnego układu.

Tylko najnowsze jednostki powstające na Tigris wyglądały inaczej. Kiedyś wierzono, że uda się także stworzyć antygravitację, ale próby zakończyły się niepowodzeniem i obecnie powszechnie uważano, że jest to niemożliwe. Szkoda. Właśnie taki cel pozwoliłby Instytutowi wzbudzić entuzjazm zgromadzonego na *Star Queen* tłumu.

Kim przyglądała się krawędziom chmur i widzianemu w dole łukowi planety. Winda zaczęła zwalniać. Pasażerowie zbierali bagaże, robili ostatnie zakupy i pomagali dzieciom włożyć kurtki. Rodzice nadal się upierali, że na stacji Sky Harbor panowały przeciągi. Silniki jęknęły, winda stanęła i wyjście się otworzyło. Podróżni wysypali się do lobby hotelu Starview. Większość wsuwała karty w rejestracyjne czytniki. Kim odebrała przesyłkę, którą nadała z planety, po czym udała się do pokoju i wzięła prysznic. Potem obmyśliła plan wieczornego przemówienia. Z okna miała widok na koniec Sky Harbor oraz na wielką przeciwwagę windy, lekko zakrzywioną w stronę Larka, najbliższego księżyca Greenway.

Najpierw miała w planach przyznanie nagrody Tripleyowi.

Pozwoliła sobie na krótką drzemkę. Potem się ubrała i przejrzała w lustrze. Z zadowoleniem stwierdziła, że wygląda całkiem nieźle. Gdy była gotowa, zjechała na poziom C, na którym znajdowała się większość apartamentów korporacji.

Tę część stacji urządzone luksusowo. Znajdowała się daleko od stref turystycznych i pomieszczeń operacyjnych. Ciemna boazeria, rośliny w doniczkach i grube wykładziny sprawiały, że korytarze wyglądały elegancko. Na ścianach wisiały widoki krajobrazów, a z ukrytych głośników płynęła cicha muzyka. W stonowanym świetle wyraźnie odcinały się cyfrowe panele na drzwiach poszczególnych gabinetów.

Korporacja Interstellar mieściła się za parą drzwi z piaskowanego szkła. Gdy Kim weszła do środka, napotkała wzrok młodej, ciemnoskórej kobiety siedzącej za biurkiem.

– Dobry wieczór, doktor Brandywine – usłyszała powitanie. – Czekaliśmy na panią. Proszę za mną.

Zaprowadziła Kim do niewielkiej salki konferencyjnej. Ekipa, która miała uwiecznić wydarzenie już pracowała, ustawiając wszystko do zdjęć. Averill Hopkin wszedł na salę tuż za nią. Wyglądał na potwornie zmęczonego. Po minucie rozmowy Kim zrozumiała, że nie cierpiał wręczania nagród. Denerwował się i irytował. Wcale nie palił się do udziału w publicznym forum. Niestety, nie miał wyjścia. Stał, spoglądając to na Kim, to na mównicę, to znów na zegarek.

– Nienawidzę takich okazji – powiedział do niej.

– Taka jest cena sławy – odparła, starając się, aby jej głos nie zdradzał rozbawienia. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu, że odpowiedni wizerunek publiczny w 90 procentach gwarantował sukces każdego przedsięwzięcia, ale roztropnie się powstrzymała.

– Mam ważniejsze rzeczy na głowie, Kim – stwierdził. Położyła dłoń na jego ramieniu.

Był spięty. – Nie jestem dobry w takich rzeczach.

– Odpreż się, Avy. – Posłała mu uspokajający uśmiech. Jeden z najlepszych, na jakie było ją stać. – Nie musisz tu niczego udowadniać. Oni oczekują tylko twojej obecności. Mógłbyś potknąć się o krzesło, a ci tutaj pomyśleliby tylko, że tak zachowuje się geniusz.

Skinął głową z powagą, nieskromnie przyjmując pochwałę.

Mównicę ustawiono na niskim podium z przodu sali konferencyjnej. Otaczały ją cztery krzesła i niewielki stolik. W głębi, na ścianie, dumnie wisiała tablica ze znakiem korporacji.

Po bokach zatknięto niebiesko–białe flagi – barwy Interstellar. Kim zostawiła nagrodę w pudełku. Pokazała ją Hopkinowi i postawiła na stoliku.

Pracownicy korporacji zaczęli się gromadzić na sali. Rozpoznała kilku dyrektorów i przedstawiła im fizyka. Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem jego osiągnięć i ogromnie go wychwalali. Kim z zadowoleniem zauważyła, że Hopkin nieco się odpreżył.

Na salę weszła wysoka blondynka i wszyscy natychmiast umilkli. Kim poznała ją. Była to Magda Kenneal, główna asystentka Tripleya. Od razu wzięła sprawy w swoje ręce. Sama przedstawiła się Hopkinowi, dyskretnie przywitała się z Kim i zaczęła wydawać polecenia.

Na sali znajdowało się około dwudziestu osób. Na prośbę asystentki wszyscy zajęli miejsca.

Magda najwyraźniej otrzymała jakiś sygnał, bo skinęła głową i stanęła przed mównicą. W tej samej chwili rozmowy ustały.

– Panie i panowie. Chciałam was wszystkich serdecznie powitać. Jak zapewne wiecie, pan Tripley od dawna gorąco popierał przedsięwzięcia Instytutu Seabright...

W podobnym tonie przemawiała jeszcze kilka minut, wychwalając działania, jakie jej szef podejmował w słusznych sprawach i z korzyścią dla świata. Potem odsunęła się na bok.

Za nią otworzyły się drzwi i na salę wszedł sam Benton Tripley.

Zebrani zaczęli entuzjastycznie bić brawo. Nietrudno było się domyślić, kto tu komu płacił.

Tripley, ubrany w uroczyستی biały strój, usiadł po lewej stronie Kim. Uśmiechnął się do niej łaskawie, a ona odpowiedziała mu tym samym. Nigdy dotąd nie miała okazji go poznać.

Podczas spotkań w Instytucie, fundację Przegrana Sprawa reprezentowała zawsze Magda.

Siedząc tak blisko Tripleya, Kim wyczuła, że miał on bardziej elektryzującą osobowość niż jego ojciec. Z wszystkich wizualnych materiałów o Kilu, które dotąd widziała, wywnioskowała, że był poważnym, surowym i często obcesowym intelektualistą. Ale nie sprawiał wrażenia człowieka, który ukrywał prawdziwą osobowość. Młody Tripley wyglądał wprawdzie o wiele sympatyczniej, ale w jego oczach Kim dostrzegła martwość, która ją przeraziła.

Nie chciałyby gościć go u siebie. Miał jednak niezaprzeczalny urok, któremu się poddała, gdy Tripley uraczył ją szerokim uśmiechem. Bardzo chciała, aby jej instynktowna niechęć wobec tego człowieka okazała się niesłuszna.

Magda krótko zaprezentowała Kim i oficjalnie przedstawiła Hopkina, który sprawiał wrażenie złąknionego. Niezdarnie podszedł do mównicy, z szelestem rozłożył na pulpicie notatki i zaczął mówić. Powiedział o projekcie Latarnia i wspomniał o kilku najnowszych inicjatywach. Wyjaśnił, dlaczego pomoc prywatnych instytucji była niezbędna do kontynuacji pracy naukowej w czasach, gdy wszyscy musieli zaciskać pasa. Zaczął też opisywać badania, które chciał szczególnie polecić zebranym jako wyjątkowo interesujące. Na szczęście spojrział na Kim, która dała mu znak, że powinien się streszczać. Hopkin zrozumiał i przerwał w pół zdania.

– Ale nie o tym dzisiaj mamy mówić – zakończył niezręcznie. – Zebraliśmy się tutaj, aby

wręczyć panu Tripleyowi nagrodę imienia Mortona Cable'a, w uznaniu jego wkładu w rozwój nauki.

Tripley wstał i dołączył do fizyka, stając za mównicą.

Kim podniosła pudełko i przed podaniem go Hopkinowi odblokowała wieko. Fizyk otworzył je i wyjął model *Huntera* wzorowany na tym, jak statek wyglądał około roku 573.

Aluminiowe wieżyczki i dysze napędowe zaśnityły w świetle lamp. Hopkin podniósł nagrodę tak, by wszyscy mogli ją obejrzyć. Gdy oklaski umilkły, odczytał dedykację: Nagroda im. Mortona Cable'a Przyznana przez Instytut Seabright Bentonowi Tripleyowi w uznaniu jego wielkiego wkładu w rozwój nauki 12 styczeń, 600

Podał model Tripleyowi, uścisnął mu dłoń i usiadł.

Tripley pochylił się ku mikrofonowi.

– Wspaniała – powiedział z wdzięcznością. – Mój ojciec byłby teraz dumny.

Potem dodał kilka uwag stosownych do okazji. Obiecał, że korporacja Interstellar zamierza nadal wspierać badania naukowe i że przekazywanie pieniędzy na dobre cele to przyjemność. Na koniec w kilku słowach podziękował wszystkim za przybycie i przy akompaniamencie oklasków zszedł z mównicy, ustępując miejsca Magdzie.

Po uroczystości zaprosił Hopkinsa i Kim do swego gabinetu i pokazał im miejsce, gdzie zamierzał umieścić najnowszą nagrodę: tuż obok *Regala*, okrętu flagowego dowodzonego przez ben-Haddena, który poprowadził flotę Greenway w wojnie z Pacyfiką.

Wyglądał na zmęczonego. Może znużyła go zbyt wielka liczba ceremonii odbywających się tego dnia. Odbył za dużo spotkań z osobami takimi jak Kim. Wyczuła, że działał jak automat. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że poza podium górę brała u niego zupełnie inna osobowość. Tym niemniej, Kim widziała, że model *Huntera* zrobił na nim wrażenie.

Wcześniej nie miała pewności, czy to doceni.

Gabinet był duży jak na biura w Sky Harbor. Urządzono go ze smakiem, ale bez ekstrawagancji. Wszędzie wisiały pamiątkowe odznaczenia, oprawione w ramki dyplomy i zdjęcia Tripleya w towarzystwie znanych osobistości. Z zajmującego całą ścianę okna roztaczał się widok na planetę. Większą część widocznego kontynentu pokrywał śnieg.

Na biurku rzucał się w oczy portret dziewczynki bawiącej się z psem. Tripley powiedział, że to jego córka, Choela. Na kominku płonął wirtualny ogień. Dwie ściany zajmowały półki z książkami. Wśród nich znajdowało się około osiemdziesięciu oprawionych w skórę, starych tomów. Prócz *Huntera* i *Regala* Kim dostrzegła modele trzech innych statków kosmicznych.

– Odrobiła pani pracę domową – powiedział wskazując *Huntera*. – Napiją się państwo kawy?

– Tak, proszę. Czarną – odparła.

Hopkin podziękował.

Tripley pochylił się i przez interkom przekazał komuś jej prośbę.

– Cieszę się, że model się panu podoba – powiedziała Kim.

– Będzie doskonale pasował do floty – oznajmił. Jego twarz rozjaśniła się, a oczy błysnęły ożywieniem. Kim pomyślała, że nadal był dużym chłopcem.

Regal zajmował oddzielną półkę. Drugi model stał w szklanej gablotce na stole, zaprojektowanym właśnie w tym celu. Dwa pozostałe trafiły w przeciwległe kąty gabinetu, jeden na mały stolik przy fotelu, a drugi na półkę w ścianie.

– Wyglądają jak prawdziwe – powiedział Hopkin, podchodząc po kolei do każdego. Kim przypuszczała, że zupełnie go nie interesowały, po prostu fizyk nie wiedział, jak ma się zachować w towarzystwie.

– Dziękuję.

Przyniesiono filiżanki. Hopkin patrzył, jak pozostała dwójka próbuje kawy i chwali ją.

– Masz tu sprawnie działającą organizację, Benton – powiedział tonem, który świadczył, że za chwilę zamierza przejść do poważnych spraw. – Ale zastanawiałem się, czy mógłbym coś zasugerować...?

– Oczywiście.

– Chodzi mi o konstrukcję silników... – Hopkin skrzywił się z dezaprobatą. – Można się postarać o lepsze.

– To standardowe modele – odparł zdumiony Tripley.

Hopkin miał pomysł na zwiększenie mocy wyjściowej. Kim pogubiła się już na początku rozmowy, przy opisie intensyfikacji pól magnetycznych w chwili penetracji nadprzestrzeni.

Za słabo znała fizykę, aby zrozumieć logikę wyjaśnień, ale Tripley słuchał uważnie, robił notatki i od czasu do czasu pytał o szczegóły. W końcu pokiwał głową.

– Proszę przygotować projekt i przedstawić mi go – powiedział.

Kim zwróciła uwagę, że ani razu nie zapytał o koszty.

Podstawowy problem lotów w nadprzestrzeni polegał na tym, że nie dało się przekroczyć górnej granicy prędkości, która w normalnej przestrzeni odpowiadałaby dystansowi 38,1 lat świetlnych przebytych w ciągu standardowego dnia. Zwano to granicą Karisa. Taka szybkość wystarczała do podróżowania w obrębie Dziewięciu Światów i strefie bezpośrednio je otaczającej, ale badacze chcieli dotrzeć także w inne miejsca. Na przykład do wnętrza galaktyki. Podróż w obie strony zabierała cztery i pół roku. Kim spytała czy pomysł Hopkina pomógłby pojazdowi przekroczyć granicę Karisa.

– Nie. Nie sądzę, by to było możliwe. Zdołamy za to znacznie ograniczyć zużycie paliwa, a zatem ogromnie zwiększymy zakres podróży.

Kim koniecznie chciała skierować rozmowę na wydarzenia na Mount Hope.

– Założę się, że *Hunter* wiele by dał za taki napęd.

Hopkin zamrugnął niepewnie, nie rozumiejąc związku jej uwagi z tym, o czym dotychczas rozmawiali.

– Przepraszam Benton – powiedział – przykro mi, ale naprawdę muszę już iść. – Wstał i uśmiechnął się dobrotliwie. – Miło było znowu cię zobaczyć, Kim. – Pochylił się ku niej i pocałował ją w policzek, po czym uściśnął dłoń Tripleya i opuścił gabinet.

– Jeśli to, o czym mówi, jest możliwe, bardzo się nam przysłuży – stwierdził Tripley.

Podniósł wzrok znad notatek i spojrzał na *Huntera*. – Rozumiem, że to pani wybrała formę nagrody?

– Uznaliśmy, że taka będzie najbardziej odpowiednia. To najszlachetniejsza z jednostek Fundacji.

Pojawiła się taca z serami. Kim spróbowała kawałek.

– Zaimponowało mi to, że wiedziała pani o modelach – przyznał.

– Są wyjątkowo dekoracyjne, panie Tripley. Czy wszystkie są wzorowane na prawdziwych

statkach kosmicznych?

– Proszę mi mówić Ben. Czy ja też mogę się do pani zwracać po imieniu?

– Oczywiście.

Zmarszczył brwi spoglądając na *Regala*. Statek był długi i smukły. Linie jego kształtów zakrzywiały się w zaskakujący sposób. Zaprojektowano go tak, by nie pojawiał się na radarach wroga. Piękna jednostka. Kim zastanawiała się dlaczego okręty wojenne, niezależnie od rodzaju, zawsze wydawały się takie niezwykle. Czy sprawiała to ich natura, fakt że zostały stworzone do jednego celu? Przyszła jej na myśl eisenstadowska definicja pięknej kobiety, która w tym przypadku wydawała się odpowiednia.

– Mój dziadek na nim służył – powiedział Tripley.

– W czasie wojny?

– Był pilotem ben-Haddena. – W głosie Tripleya zabrzmiała duma. Przez chwilę siedział w milczeniu, dając jej czas na dokładniejsze obejrzenie modelu.

Pozostałe robiły równie wielkie wrażenie.

Jeden miał kształt spodka.

– To *Choela* – powiedział, spoglądając jednocześnie na zdjęcie małej dziewczynki z psem.

– Własność korporacji. Obecnie mamy takie dwa.

No i był jeszcze liniowiec.

– *Buckman*. Niestety, zakończył służbę wiele lat temu. Pierwszy kontrakt korporacji Interstellar. Jednostka została zakupiona jeszcze za czasów mego ojca. Można powiedzieć, że to od niej rozpoczął się nasz sukces.

Ostatni model przypominał lśniąca łzę na platformie w kształcie elipsy. Kim nie dostrzegła dysz napędowych. Statek wyglądał trochę jak skorupa żółwia.

– Model należał do mego ojca. Jest tworem wyobraźni, jak pewnie sama widzisz.

– Nie ma dysz – zauważyła.

Skinął głową.

– Nie jest to szczególnie dobrze pomyślany projekt, ale to dzięki niemu zainteresowałem się modelarstwem.

– Zabawka z dzieciństwa? – spytała Kim.

– Tak.

– Jak się nazywa?

Nie sądziła, że Tripleyowi zdarza się rumienić.

– Nazywałem go *Valiantem*.

– To nazwa dobra dla okrętu wojennego. Ten na taki nie wygląda. – Wojenne statki-zabawki zwykle najeżone były bronią.

– Dla małego chłopca wszystko może być wojennym okrętem.

Spośród pięciu modeli właśnie ten miał najbardziej skomplikowaną konstrukcję, realistycznie wyglądające anteny, talerze czujników i luki. Ciemny korpus odbijał światło. W

migotliwym blasku kominka czasami wydawał się czarny, a czasem purpurowy. Kim dotknęła go. W palcach poczuła mrowienie podobne do tego, które towarzyszyło dotykowi szlifowanego

marmuru.

– Myślę że *Valiant* to doskonała nazwa.

– Dawno temu – Tripley uśmiechnął się – wyruszał na spotkanie z piratami i różnymi potworami. – Zdjął model z półki i przytrzymał go oburącz, tak jakby chciał przypomnieć sobie dzieciństwo. – Przekazała mi go babcia.

– A potem odkryłeś, że nie ma piratów.

– Niestety. Przynajmniej nie na statkach kosmicznych. – Jego palce zatrzymały się na lśniącym kadłubie. – Jak brzmiało tamto stare powiedzenie? O tym z czego wykute są marzenia?

Wśród książek na regałach stały *Zasady formacji galaktyk* Harcourta, *Sami we wszechświecie* Al Kafira, *Brzegi nocy* McAdamsa, *Jak okiem sięgnąć* Magrudera i *Granice poznania* Ravakama.

Nie takie lektury spodziewała się znaleźć u człowieka, który kierował wielką korporacją.

Nigdy nie należało oceniać ludzi, zanim się ich nie poznało.

Od strony kominka dobiegło ją skwierczenie. Jedno z drzew pękło. Iskry strzeliły w górę.

– *Hunter* jest wspaniałym statkiem – powiedziała, próbując pokierować rozmową i podjąć temat Kila Tripleya.

– To prawda. W dzieciństwie byłem na nim wielokrotnie. Niestety, nigdy nim nie leciałem. Bardzo żałuję.

– Należał do Fundacji Tripleya przez czterdzieści kilka lat, prawda?

– Dokładnie czterdzieści trzy lata i siedem miesięcy.

– Został sprzedany po śmierci twego ojca? – Celowo przekreśliła fakty, aby nie pomyślał, że zna za wiele szczegółów.

– Po jego zaginięciu – poprawił ją. – Ciało ojca nigdy nie zostało odnalezione. Ale to prawda, że statek sprzedano kilka lat później. Nie było sensu trzymać go dłużej. Nikt już się nie interesował badaniami w kosmosie. Przynajmniej nie ludzie, z którymi się liczone. Na pewno wiesz, że właśnie do tego na początku służył.

– Tak. – Pamiętała, że Benton Tripley miał jedenaście lat, kiedy stracił ojca. Mieszkał wówczas z matką i podobno rzadko widywał wiecznie nieobecne Kila. – Ciebie też interesuje badanie kosmosu?

– Niespecjalnie. – Wzruszył ramionami. – Ojciec szukał tam obcych form życia. Jeśli rzeczywiście istnieją, chciałbym być tym, który na nie trafi. Ale nie potrafiłbym temu poświęcić całego czasu i pieniędzy. I bez tego mam sporo roboty, a szanse powodzenia są zbyt małe.

– Spojrzał na komunikator sprawdzając, która jest godzina i dając jej w ten sposób do zrozumienia, że ich spotkanie zbliżało się do końca.

– Ben, sądzisz, że *Hunter* jest w jakiś sposób powiązany z wybuchem na Mount Hope?

Kim nie była pewna, czy jego twarz znieruchomiała. Za to głos Tripleya bez wątpienia zabrzmiał chłodniej.

– Nie mam pojęcia. Ale raczej nie widzę takiej możliwości.

– Sporo się wtedy mówiło o antymaterii.

Na jego twarzy dostrzegła podejrliwość.

– Jestem pewien, że szczegóły znajdziesz w odpowiednich rejestrach. Ja też słyszałem tamte pogłoski. Dorastałem wśród spekulacji. Ale szczerze mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, po co

Markis albo mój ojciec mieliby zabierać paliwo z *Huntera* i wysadzać nim górę. A przy tym zupełnie nie wiem, *jak* mogliby tego dokonać. Jeśli spróbujesz wyjąć ogniwo paliwowe z magnetycznego pojemnika, wybuchnie na miejscu. – Przeszył ją spojrzeniem, w którym nie dostrzegła złości, tylko zmęczenie i rozczarowanie. – A według ciebie, co się tam stało, Kim?

Spojrzała w bok.

– Nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Eksplozję spowodowała antymateria...

– Nie ma na to dowodów.

– Tak wynikało z pomiarów siły wybuchu.

Pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że zwątpił w jej zdrowy rozsądek. Chciała wyjaśnić mu, dlaczego tak myślała, powiedzieć, że jedynymi ludźmi w okolicy, którzy mieli dostęp do antymaterii byli Kane i jego ojciec, ale nie chciała zupełnie go do siebie zrazić.

Poza tym, nie miała pewności, czy na Mount Hope nie było nikogo więcej.

– Jak mam to rozumieć? Sugerujesz, że mój ojciec i Kane prowadzili tam jakiś eksperyment, który się nie powiódł? Albo, że byli zamieszani w kradzież?

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale jasno dałaś do zrozumienia. – Popatrzył na nią ostro. – Nic podobnego nie miało miejsca. Mój ojciec nie zajmował się eksperymentalną fizyką. Był inżynierem. Na pewno nie wmieszałby się w coś takiego. Nie mógłby.

– A Markis?

– Kane był kapitanem statku kosmicznego. – Tripley na powrót zagłębił się w oparcie fotela. – Nie. Zapomnij o tych domysłach. Wiem to, co wszyscy, ale jestem przekonany, że mój ojciec nie ryzykowałby kradzieży ogniw paliwowych. To musiał być meteor. Zwyczajny meteor.

– Ben, wiesz może, czy Yoshi Amara była w willi twego ojca tuż przed wybuchem?

Spojrzał na nią ostro.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Taki zarzut słyszę po raz pierwszy.

Posunęła się za daleko. Co miała mu powiedzieć? Że znalazła *but* w jej rozmiarze?

– Są pewne wskazówki – powiedziała brnąc na oślep.

Tripley wyglądał jak ktoś, kogo opadła chmara komarów.

– Mogę spytać jakie?

– Część odzieży. Prawdopodobnie należała do niej. Nie mam pewności.

– Rozumiem. – Spojrzał na *Huntera*. – Nie brzmi to przekonująco. Mam nadzieję, że nie zaczniesz ponownie wywlekać tamtych spraw, Kim. Wszystko jedno, co się wówczas zdarzyło, główni aktorzy nie żyją.

Przytaknęła.

– Tak, ale nie wszyscy. Niektórzy wciąż się zastanawiają, co się stało z ich krewnymi.

Klasnął w dłonie.

– Wszystko jasne – powiedział. – Dlatego tak bardzo przypominasz Emily.

– Tak.

– Jesteś jej siostrą? Córką?

– Siostrą.

– Przykro mi. Naprawdę. Na pewno rozumiesz, jak ja się czuję. Ale oboje musimy się pogodzić ze stratą.

– Okrążył biurko i odprowadził ją do drzwi. – Daj temu spokój, Kim. Tak samo jak ty, nie wiem, co się z nimi stało, ale zdołałem jakoś się uporać ze wspomnieniami. Proponuję, abys ty też to zrobiła.

Firma Worldwide Interior specjalizowała się w wyposażaniu prywatnych i korporacyjnych jachtów oraz pojazdów o różnym przeznaczeniu i rozmiarze. Jej pracownicy z upodobaniem powtarzali, że gdy Interstellar kończył instalację elektroniki, oni tworzyli nastrój i zmieniali każde wnętrze w dom.

Kim towarzyszył Jacob Isaacs, rzecznik medialny firmy. Isaacs był, jak popularnie mówiono, w czwartej kwadrze. Oznaczało to, że miał ponad sto pięćdziesiąt lat. Zaczął już siwieć, a jego ruchom brakowało sprężystości.

– Według nich dodają firmie godności – zwierzył się Kim z uśmiechem. Rzeczywiście tak to wyglądało. W społeczeństwie, w którym niemal wszyscy wyglądali młodo, osoby zdradzające pierwsze oznaki wieku były w cenie i często proponowano im preferencyjne warunki zatrudnienia i awansów, co wielu uważało za niesprawiedliwe.

Kim i Isaacs zwiedzali wirtualnego *Huntera*. Jacob opisywał wyposażenie statku, pomijając konstrukcję czujników i systemów napędu, a przechodząc od razu do aspektów kosmetycznych. Skupił się na projekcie kadłuba i ogólnym wyglądzie statku. Zwrócił uwagę Kim na zrównoważone proporcje architrawy i portyku. Pokazał tarasy na drugim poziomie.

Taki statek mógł spokojnie stanąć na eleganckiej działce w najbardziej wytwornej okolicy Maratonu. Pasowałby doskonale, jeśli oczywiście pominąć wystające z tyłu dysze.

No i lądownik połączony ze spodem statku.

Kim wyjaśniła, że bada historię floty korporacyjnej obejmującą ostatnie półwiecze i właśnie dlatego zainteresowała się firmą Worldwide. Spytała, dlaczego specjalizowali się w odnawianiu wnętrz statków kosmicznych.

– Założycielka firmy, Ester DelSol, zaczynała od dystrybucji żywności. Spółka nazywała się DelSol i Winnet.

– Isaacs spojrział na Kim, spodziewając się, że zna tę nazwę. Przytaknęła, choć nigdy wcześniej o niej nie słyszała. – Podobno kiedyś wybrała się do rodziny na Ziemię i stwierdziła, że jedzenie na statku było okropne. Dostrzegła w tym szansę dla siebie. Przejęła firmę aprowizacyjną i zaczęła dostarczać na liniowce posiłki pierwszej klasy po rozsądnych cenach. Potem postanowiła poszerzyć działalność. Wiele korporacji zajmowało się serwisem silników i instalacją elektroniki, ale o estetykę wystroju przewoźnicy musieli dbać sami.

Pochłaniało to mnóstwo pieniędzy, ale było konieczne. Niestety zwykle robiono to metodą prób i błędów.

– A teraz Worldwide jest w stanie dostarczyć całe wyposażenie wnętrza.

– Także zewnętrznych pokładów. Oczywiście mówimy wyłącznie o wystroju.

Zrezygnowaliśmy też z aprowizowania. Ten oddział firmy został sprzedany wiele lat temu.

Poza tym, zajmujemy się wszystkim.

Jacob zaprowadził ją na dół, aby mogła na własne oczy zobaczyć statek. Unosił się w doku połączony z konstrukcją nośną. Dwóch techników właśnie wymieniało antenę.

– Czy *Hunter* dokądś się wybiera? – spytała Kim.

– Jutro wyrusza na Pacyfikę.

Weszli w korytarz prowadzący do doku.

– Chciałaby pani zajrzeć do środka?

– Bardzo.

Przeszli przez służbę powietrzną i znaleźli się na głównym pokładzie, w galerii. Kim zauważyła kilkanaście drzwi. Do górnego poziomu przymocowana była składana klatka schodowa. Druga, znajdująca się dokładnie naprzeciwko pierwszej, prowadziła na niższy pokład.

Wnętrze wyglądało elegancko. Wykładziny i meble były najwyższego gatunku. Armatura sprawiała wrażenie srebrnej. W oknach zaciągnięto zasłony, meble wypolerowano, a ściany ozdobiono fotografiami z niedawnej przeszłości *Huntera*. Kim nie znalazła nic z okresu, gdy jednostka należała do Fundacji Tripleya. Zdumiał ją kontrast między *Hunterem* a bezbarwnymi, spartańskimi pojazdami, którymi technicy Instytutu docierali do najbliższych gwiazd.

Centrum kontroli lotów zajmowało większą część głównego pokładu. Kim i Jacob zajrzeli także do jadalni i pomieszczeń wypoczynkowych.

Kabina pilota znajdowała się na górze. Stając w wejściu, Kim niemal poczuła powiew historii. Tutaj Markis Kane spędził ostatnią misję jako kapitan *Huntera*. Wewnątrz stała para skórzanych foteli, zwrócona przodem do konsoli i serii monitorów. Kim podeszła do nich i usiadła po lewej stronie, na miejscu pilota.

Resztę górnego poziomu zajmowały prywatne kabiny. Zastanawiała się, która należała do Emily.

Ładownia, magazyny i system podtrzymania życia znajdowały się na najniższym pokładzie. Był dość przestronny, zważywszy niewielkie rozmiary jednostki. Podzielono go na pięć hermetycznych pomieszczeń, między którymi, wzdłuż osi statku, biegł korytarz.

– Kil Tripley od początku wiedział, że chce wyruszać na długie wyprawy – powiedział Isaacs. – Dlatego *Hunter ma*. tak pojemne magazyny. Wyposażono go także w system filtracji wody, który w tamtych latach znacznie wyprzedzał powszechnie stosowane rozwiązania technologiczne.

Z obu stron korytarza znajdowały się ładownie. Każda miała własne wejście załadowcze, dźwig, sortownik i ruchome pomosty. Jacob pokazał Kim chłodnię.

– Teraz rzadko z niej korzystamy. Nie jest potrzebna podczas krótkich lotów lokalnych.

Luk prowadzący do ładowni po lewej stronie miał szerokość całego pomieszczenia.

– Tripley zawsze wierzył, że znajdzie gdzieś jakieś ruiny, coś, czego nie zbudowaliśmy my, ludzie. Nie chciał się martwić, że nie będzie mógł zabrać na statek fragmentów, bo nie wejdą przez luk.

– Chciał znaleźć *ruiny*?

– Tak, tak. Był przekonany, że inne cywilizacje istniały, ale przypuszczał, że nie przetrwały. Uważał, że szanse natrafienia na żyjącą są niewielkie. Nie wątpił, że ludzka także zmierza ku końcowi. – Stali tuż przy doku mieszczącym ładownik. Kokpit ładownika wybrzuszał się ponad poziom pokładu, wchodząc w specjalną obudowę. – I oczywiście miał rację.

– Jak to, miał rację? – zdumiała się.

Jej reakcja zdziwiła Jacoba.

– No bo przecież wszyscy zmierzamy ku zagładzie, doktor Brandywine. Chyba to pani widzi.

Każdy dba tylko o siebie. Nie to co kiedyś.

– Ach tak.

Powoli szli ku rufie statku, nie przerywając rozmowy. Kim przytakiwała Isaacsowi, choć tak naprawdę nie wierzyła, że wszystko zmierza ku gorszemu. Korytarz kończył się wejściem do maszynowni.

– Czy mogłabym zajrzeć do wykazu prac konserwacyjnych? – Od Sala wiedziała, że pełne rejestry serwisów i napraw trzymano na statkach przez cały okres ich użytkowania, w przeciwieństwie do dzienników pokładowych.

– Skoro pani chce, chyba mogę je pani pokazać. – Wystukał kod na klawiaturze panelu kontrolnego zamontowanego przy drzwiach. Otworzyły się, wpuszczając ich do środka.

Isaacs usiadł za konsolą. – Dziwię się tylko, bo to nudna lektura.

– Chcę lepiej poznać tę dziedzinę. Przeglądając rejestry może zdołam sobie wyobrazić, czego potrzeba, aby taki statek działał bez zarzutu.

– Może wezwać szefa serwisu? On na pewno odpowie na wszystkie pani pytania.

– Nie. Dam sobie radę. Nie chciałabym nikomu przeszkadzać.

Isaacs wzruszył ramionami i wywołał na monitor indeks. Chwilę trwało, zanim znalazł wreszcie to, czego szukał. W końcu był tylko pracownikiem działu informacyjnego. Po kilku minutach poszukiwań, byli w rejestrze inżynierii Międzygwiazdnej Jednostki Equatorii (MJE) 4471886. Jacob wstał, ustępując jej miejsca.

Kim przeglądała wykazy, starając się robić to bez pośpiechu. Od czasu do czasu na głos odczytywała informacje dotyczące stopnia smarowania oraz okresów między kolejnymi kontrolami silników, dając Isaacsowi do zrozumienia, że interesowała się tylko ogółami.

Przewinęła rejestr do samego początku. *Hunter* rozpoczął loty 3 śródzimia 544 roku.

– Potrzeba mnóstwo pracy, żeby utrzymać takie jednostki w formie – stwierdziła niewinnie.

Isaacs przytaknęła. Przeszła do dalszych partii rejestrów, zapoznając się z systemem oznaczeń rodzajów napraw i z sygnaturami mechaników. Zauważyła, że pod koniec 572 roku, przed wylotem na St. Johns, przeprowadzono dokładny serwis wszystkich systemów jednostki. Oficjalną inspekcję zakończono kilka tygodni później już na stacji orbitalnej. Po niej *Hunter* mógł ruszać na poszukiwania Graala.

30 marca statek powrócił do Sky Harbor i przeprowadzono kolejną ogólną kontrolę. Kim szybko przejrzała poszczególne pozycje, stwierdzając, że w ładowni wymieniono luk śluzy, a silniki skokowe wymagały naprawy. Zastanawiała się, co się mogło stać z lukiem, ale rejestry nic na ten temat nie mówiły. Co do silników, za mało się orientowała w tej dziedzinie, aby zrozumieć stopień uszkodzeń. Widziała jedynie, że dokonano wymiany części opatrzonych indywidualnymi numerami i stwierdzono, że silniki są sprawne.

Technik, który przeprowadzał naprawy, nazywał się Gaerhard. Pierwszego imienia nie mogła odszyfrować, ale sądziła, że nie będzie to miało znaczenia.

Przejrzała jeszcze kilka stron, podziękowała Jacobowi i wyszła.

Ten sen i chwała gdzie, o, gdzie zniknęły?

**William Wordsworth,
Oda o przeczuciach nieśmiertelności... 1807 n.e.
Przekład Zygmunt Kubiak**

Następnego wieczoru Kim złapała prom do hotelu *Star Queen*. Dawny liniowiec tonął w światłach. Na zdjęciach wykonanych z powierzchni planety przypominał nową gwiazdę, która zabłysła na niebie na jedną noc.

Każdy kosmiczny statek pasażerski wyglądał inaczej. Nawet jednostki, które powstały w oparciu o ten sam podstawowy projekt, inaczej malowano i wyposażano, aby nikt nie miał wątpliwości, że są wyjątkowe. Niektóre wykańczano w stylu rokoko, upodabniając je do wielkich posiadłości z minionej epoki; inne przypominały centra handlowe i miały własne pasażerów oraz parki; a jeszcze innym nadawano dynamikę nowoczesnych kompleksów hotelowych. Statki kosmiczne mogły mieć niemal każdą formę, pod warunkiem, że była odporna na duże prędkości i zmiany kursu.

Star Queen przypominała małe miasto na talerzu. Tunel dojazdowy został tak pomyślany, aby podróżni mieli z niego jak najlepszy widok na dawny liniowiec. Kim oglądała wcześniej wirtualne projekcje „Królowej”, ale rzeczywistość zapierała dech w piersiach.

Nowi właściciele starali się stworzyć wrażenie, że statek nadal żyje, tak jakby za chwilę miał polecieć ku Siriusowi lub Sol. Ogromna cyfrowa tablica umieszczona pośrodku kadłuba wyświetlała nazwę dumnymi, czarnymi literami.

Na promie znajdowało się kilkanaście osób. Przypuszczała, że większość z nich pracowała na wysokich stanowiskach w różnych korporacjach Sky Harbor. Wszyscy wybierali się na uroczyste otwarcie. Jeden z mężczyzn próbował zająć ją rozmową, ale patrzyła w ziemię i wierciła się tak długo, aż w końcu dał jej spokój. Zwykle nie miała nic przeciwko małemu urozmaiceniu podróży, ale teraz za bardzo zajmowały ją własne myśli i nie chciała psuć sobie nastroju, opędzając się przed szukającym okazji samcem.

W doku grała muzyka. Automatyczni portierzy i przedstawiciele hotelu czekali, gotowi służyć pomocą. Ekipa wiadomości stała z boku, nagrywając wywiad z kimś, kogo Kim ze swego miejsca nie widziała.

Już kiedyś była na „Królowej”, zaraz po studiach, kiedy zaczynała staż w Instytucie.

Przechadzając się teraz po udostępnionych gościom salach ożywiała wspomnienia tamtej wizyty. Zauważyła memoriał poświęcony Maxowi Esterley'emu. Przedstawiono go pochylonego nad konsolą komputera, prawdopodobnie projektującego silniki, które umożliwiły produkcję liniowców tej klasy, co *Star Queen*. Obejrzała też apartament prezydencki, w którym Jennifer Granville stworzyła „Prawa”. Na szklanym pokładzie, zwanym tak ze względu na roztaczający się z niego widok, zamachowiec zabił Piusa XIX, ostatniego z powszechnie uznawanych papieży. Specjalna tablica w jadalni upamiętniała miejsce, gdzie oddział rangersów rozpoczął akcję przeciwko minagwańskim terrorystom, którzy na siedemnaście potwornych dni przejęli kontrolę nad liniowcom, nawet nie przypuszczając, że ich występki da początek wojnie.

Ali Bakai i Narimoto Dobry potajemnie spotkali się na *Star Queen*, aby zawrzeć pokój, zwany

„Paktem Ahrimańskim”, którego nie chciała żadna ze stron konfliktu. Legendarny Yakima Tai dał swój ostatni koncert na sali balowej, po czym zabił żonę i popełnił samobójstwo. W barze na środkowym pokładzie umieszczono tablicę wyznaczającą fikcyjne miejsce, w którym Weronika King spotkała długoletniego partnera, strażnika i biografę, Archimedesę Smitha. Inna tablica informowała, że w tej sali Del Dellasandro napisał książkę *Hipochondrycy też chorują*. W głównym holu olejny obraz upamiętniał najdumniejszy moment w historii *Star Queen*: chwilę, gdy „Królowa” przewożąca techników, żywność i części zamienne rebeliantom na Pacyfice została zaatakowana przez wojenne jednostki Pandika II.

Kim spojrzała na monitor, sprawdzając numer przydzielonego jej pokoju. Czekał tam na nią bukiet orchidei z pozdrowieniami od Cole'a Mendelсона, koordynatora wieczornych uroczystości. Pokój był niewielki, tak jak kabiny na międzygwiazdnych liniowcach.

Wyposażono go luksusowo, ale za bardzo ozdobnie. Wystrój wnętrza, zasłony, narzuta i meble, wszystko wydawało się zbyt krzykliwe.

Zwykle Kim od razu brała prysznic, ale tym razem padła na łóżko i zrzuciła buty.

Połączyła się z terminalem, wpisując nazwisko Gaerhard i wybierając komendę wyszukiwania w kategoriach MECHANIKA, SILNIKI SKOKOWE.

Odpowiedź otrzymała niemal natychmiast. Komputer odnalazł Walta Gaerharda, który pasował do podanej charakterystyki. Pracował dla Interstellar w Sky Harbor.

Kim połączyła się z recepcją korporacji i trafiła na klona Melissy.

– Szukam Waltera Gaerharda – powiedziała.

Druga Melissa spojrzała na monitor i odczytała identyfikator Kim.

– Przykro mi, doktor Brandywine. Pan Gaerhard nie pracuje na tej zmianie.

– Czy mogłaby mnie pani połączyć z jego kwaterą?

– Nie mamy tego w zwyczaju. Czy chodzi o jakąś awarię?

– Nie. Nic podobnego. Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy mogłabym się z nim spotkać.

– Chwileczkę. – Recepcjonistka dotknęła klawiatury, ponownie spojrzała na monitor i zacisnęła wargi.

– Jutro pracuje na dzienną zmianę. Czy chciałaby pani zostawić mu wiadomość?

– Nie, dziękuję. – Kim wolała pójść tam bez uprzedzenia. Jeśli w przeszłości miało miejsce coś niezwykłego, wolała nikogo nie alarmować.

Uroczystość odbywała się w głównej sali restauracyjnej. W jednym jej krańcu, na podwyższeniu, ustawiono stół dla osób, które miały przemawiać oraz dla gości specjalnych.

Na ścianach wisiały proporce i flagi. Wszędzie pełno było kwiatów i wstążek.

Kim włożyła suknię w kolorze głębokiej czerwieni, ozdabiając ją orchideą z bukietu Cole'a. Dekolt był skromny, ale materiał stroju przylegał do ciała. Wchodząc na salę od razu zauważyła, że przyćmione światło na podium dodatkowo podkreśli jej figurę. Doświadczenie podpowiadało jej, że wpływowym osobom zaszczycającym rozmaite ceremonie Instytut kojarzył się z nudą, przeżytkiem i zacofaniem. Kim zawsze starała się obalić ten stereotyp.

Przekonała się, że kobiecy urok nie przeszkadzał jej w tym zadaniu, a zwykle budził w sponsorach niezwykłą hojność.

Cole stał w głębi sali, rozmawiając z kimś. Kiedy dostrzegł Kim, pomachał do niej i zaczął się

przeciskać w jej kierunku. Jego wieku nie dało się określić. Miał rude włosy, delikatne dłonie o długich palcach i serdeczny, choć odrobinę próżny wyraz twarzy, który był chyba częścią oficjalnego umundurowania specjalistów od wizerunku publicznego. Kim uśmiechnęła się do niego. Wiedziała, że Cole tak samo oceniał ją.

– Dobrze cię znowu widzieć, Kimberly. – Objęli się. Kim pocałowała Cole'a w policzek i podziękowała mu za kwiaty.

Poznali się podczas oficjalnego lunchu, na jednym z serii przyjęć, które Cole organizował przez cały miniony rok, nawiązując kontakty, zachwalając zalety *Star Queen* przed organizatorami konferencji i uspokajając obawy wszystkich, którzy denerwowali się za każdym razem, gdy odrywali się od powierzchni planety nawet w zwykłej windzie. Był doskonałym handlowcem. Potrafił patrzeć ludziom prosto w oczy i mówić nawet najbardziej nedorzeczne twierdzenia. Na szczęście robił to z humorem i przymrużeniem oka, tak jakby sygnalizował rozmówcy: „Ty i ja dobrze wiemy, że odrobinę przesadzam, ale to przecież nic złego. Jeśli towar nie jest najwyższej jakości, jest na pewno bardzo dobry i wart swojej ceny.

Cole przedstawiał ją po kolei obecnym. Kim starała się zapamiętać nazwiska i twarze, wiedząc, że przyda się jej to nie tylko podczas wieczornego przyjęcia. Nie jest łatwo zbyć kogoś, kto został ci przedstawiony.

– Chcę cię przedstawić komuś wyjątkowemu – powiedział Cole, popychając ją przez salę.

Szli w stronę Bena Tripleya. Zauważył ich i przeprosił towarzyszy odwracając się do Kim.

Przez chwilę jego sylwetka zamazała się, tak jakby rozpadł się na fragmenty, a ona nie mogła wszystkich naraz objąć wzrokiem. Tripley popatrzył na jej nagie ramiona, a potem spojrział jej prosto w oczy. Odniosła wrażenie, że choć tego nie okazywał, uznał ją za istotę mniejszej wagi i za nic nie zamierzał zmienić zdania.

– Miło cię znowu widzieć, Kim – powitał ją uprzejmie.

Odpowiedziała mu w podobnym tonie. Cole ucieszył się, że nie musiał ich ze sobą zapoznawać.

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi – uśmiechnął się Tripley. W trudny do określenia sposób zdołał nią zawładnąć. Wrażenie to trwało tylko chwilę. – Musiałem tu przyjść, kiedy dowiedziałem się, że masz przemawiać – powiedział. Ich spojrzenia ponownie się spotkały.

Potem Tripley zauważył w tłumie kogoś, z kim koniecznie musiał się naradzić. Przeprosił ją i Cole'a i odszedł. Kim z ulgą stwierdziła, że znowu może swobodniej oddychać.

Gdy dano sygnał do rozpoczęcia, na sali było około czterysta osób. Sami znakomici goście. Wszyscy odziani w satynę i jedwab. Mężczyźni z zawiązanymi wokół szyi białymi lub złotymi chustkami i w modnych szarfach. Kobiety w dopasowanych sukniach, które u niektórych niewiele pozostawiały wyobraźni.

Kelnerzy wnieśli tace z mięsem, warzywami i owocami. Kim nagle zobaczyła przed sobą butelkę wina, którą od razu przekazała dalej. Postanowiła wypić toast dopiero po przemówieniu. Posadzono ją w pobliżu mównicy, po prawej stronie dyrektorki hotelu, Taliki McKay. Była niską brunetką o anielskich oczach, łagodnym uśmiechu, ujmującym sposobie bycia i charakterze rekina. Kim dwukrotnie widziała ją w akcji po nieudanej kampanii reklamowej.

Tripley zajmował miejsce pośrodku sali. Prowadził ożywioną rozmowę z innymi gośćmi przy stoliku, ale od czasu do czasu szukał jej wzrokiem. Kiedy wpatrywał się w nią intensywnie, miała wrażenie, że cała sala się zamazuje, a jego sylwetka rośnie i nabiera ostrych konturów *Znam twoją tajemnicę, zdawał się mówić. Jesteś tą, która ugania się za duchami. Udajesz naukowca, który coś*

osiągnął, ale tak naprawdę jesteś tylko atrakcyjna i nic poza tym.

Miejsca przy głównym stole przewidziano dla McKay, Kim, przewodniczącej Związku Turystyki Greenway i Abla Donnera, który nadzorował przekształcanie statku w hotel.

McKay pełniła rolę mistrza ceremonii.

Kiedy goście skończyli kolację, prowadząca stanęła za mównicą i powitała wszystkich na wielkim otwarciu hotelu *Star Queen*, akcentując słowo „hotel”. Obiecała, że będzie on kontynuował wspaniałe tradycje znakomitego liniowca. W skrócie przedstawiła możliwości *Star Queen*, polecając sale organizatorom szkoleń zawodowych. Potem przedstawiła dyrektora oraz przewodniczącego zarządu. Obaj panowie krótko wyrazili zadowolenie z uczestnictwa w takiej uroczystości.

McKay opisała niektóre z ofert wakacyjnych, jakie hotel zamierzał udostępnić turystom, podkreśliła szczególne więzi, jakie łączyły *Star Queen* z Instytutem Seabright i zwróciła się do Kim, która starała się domyślić o jakie „szczególne więzi” chodziło.

– Głównym mówcą dzisiejszego wieczoru jest...

Kim doskonale wiedziała, że to polityka przywiodła ją tego wieczoru na uroczyste otwarcie hotelu. Ktoś ze *Star Queen* był winien komuś z Instytutu przysługę. Hotel potrzebował reprezentanta, a Instytutowi zależało na zdobyciu popularności i *voilà*, oto Brandywine znalazła się za mównicą. Wszyscy wiedzieli, że wspomni o Instytucie, ale oczekiwano od niej także, że powie wiele dobrego o hotelu.

Nadał korzystano z tradycyjnych mównic, choć postęp technologii sprawił, że nie były już potrzebne. Służyły teraz jako zasłona, za którą prelegent mógł się schować. Kim właśnie z tego powodu ich nie lubiła: tworzyły barierę między nią a słuchaczami. Gdyby mogła, odsunęłaby to pudło na bok.

– Dziękuję bardzo, doktor McKay – powiedziała. Tradycyjnie wszystkich powitała, powiedziała kilka żartów o sobie i opisała swoją poprzednią wizytę na pokładzie *Star Queen*.

– Odbywałam wówczas staż w Instytucie. Mieliśmy lecieć do laboratoriów naszych fizyków na Larku. Tak się złożyło, że „Królowa” akurat weszła do doku. Wracała z Karibe. To tylko taki szczegół, ale nigdy tego nie zapomnę. Jak daleko jest Karibe? Osiemdziesiąt kilka lat świetlnych? Na pokład wpuszczano zwiedzających i choć mieliśmy mało czasu, postanowiliśmy obejrzeć liniowiec. Weszliśmy tamtym wejściem. Tym, przy którym stoją teraz paprocie. Znaleźliśmy się na tej sali. Kapitan i kilku oficerów właśnie wymieniali uściski dłoni z pasażerami. Żegnali się. Próbowałam sobie wyobrazić, jak daleką drogę przebyli. Greenway dzieli od Karibe tak wielka przestrzeń.

– Wszyscy wiemy, że dawno temu ludzie uważali taką podróż za niemożliwą. Myśleli, że tak będzie zawsze. Mogli jedynie marzyć o wyprawach, które dla nas są rzeczywistością.

Dziewięćset lat temu wysłali bezzałogową sondę z Ziemi w kierunku Alfa Centauri. Jak zapewne wszyscy państwo wiecie, Alfa Centauri znajduje się zaledwie cztery lata świetlne od Słońca. Cztery. Ale ta sonda wciąż jest w drodze. Nie pokonała dotąd nawet połowy dystansu.

Pytamy, po co to zrobili? Wiedzieli, że umrą zanim sonda dotrze na miejsce. Musieliby żyć dwa tysiące lat, by tego doczekać. Dlaczego ludzie zdobywają się na takie gesty?

– Dlaczego niedawno wywołaliśmy eksplozję Alfa Maxima? Minie tysiące lat zanim, być może, ludzkość doczeka się efektów tego przedsięwzięcia. – Przerwała na chwilę i upiła łyk wody. – Otóż powiem wam dlaczego. Kiedyś wysłaliśmy sondę na Alfa Centauri z tych samych powodów, dla których budujemy silniki skokowe dawniej napędzające *Star Queen*.

Nie lubimy nieprzekraczalnych horyzontów. Nie lubimy granic. Zawsze chcemy sięgać poza nie.

Nie zatrzymujemy się na brzegu wody, prawda? Czym jest dla nas plaża nad oceanem, jeśli nie miejscem, z którego możemy wyruszyć w przyszłość?

Tripley nie uważał. Wpatrywał się w jakiś punkt obok lamp na suficie.

– Zebraliśmy się dziś tutaj, aby uczcić odejście jednego z najwspanialszych symboli naszych marzeń. „Królowa” przez półtora wieku przewoziła ludzi i ładunki w przestrzeni Dziewięciu Światów. Zasłużyła sobie na odpoczynek. I cieszę się, że trafiła w miejsce, gdzie przyszłe pokolenia będą mogły ją poznać. Zobaczycie choć w części, jaką dawniej była.

Kim porównała *Star Queen* do statków badawczych należących do Instytutu, wspomniała wkład Maxa Esterly'ego w opracowanie technologii budowy silników skokowych i zakończyła zapewniając, że statki kosmiczne będą docierały coraz dalej.

– Niektórzy z nas zastanawiają się, dlaczego kosmos jest tak wielki, tak niewyobrażalnie ogromny, że możemy zobaczyć zaledwie jego cząstkę. Gdzieś tam czeka na nas całe uniwersum światła, które nie miało czasu do nas dotrzeć. Aby je dojrzeć nie wystarczy silny teleskop. Piętnaście miliardów lat to wciąż za mało. Może więc świat jest taki, jaki jest, abyśmy mieli pewność, że bez względu na to, jak daleko dotrzemy, zawsze będzie przed nami horyzont nowych wyzwań. Zawsze natrafimy na kolejny zakręt rzeki.

Tripley powrócił na ziemię, zauważył, że Kim mu się przygląda i próbował wywołać na twarzy wyraz przyjaznego zainteresowania.

Po części oficjalnej sporo osób podchodziło do Kim, pytając o najnowsze przedsięwzięcia Instytutu. To zawsze oznaczało, że prezentacja dobrze poszła. Zainteresowanym opowiadała głównie o projekcie Latarnia. Dyrektorka Biura Podróży Greenway, piękna blondynka w zielono-białej sukni, zastanawiała się, czy podobny plan można przeprowadzić w nadprzestrzeni, wysyłając sygnał we wszystkich kierunkach. Może wtedy nie trzeba by było czekać dwóch milionów lat na odpowiedź.

– Problem polega na kierunkowości sygnału – powiedziała Kim. – Nie można nadać transmisji, która będzie się rozchodziła we wszystkie strony jednakowo. Komunikacja w nadprzestrzeni wymaga nadania przekazu w konkretnym paśmie. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie znajduje się obca cywilizacja, moglibyśmy się z nią porozumieć.

Kiedy ostatnia z zainteresowanych osób odeszła, Cole i McKay uścisnęli dłoń Kim.

Tripley podszedł do nich.

– Całkiem nieźle, Kim – powiedział, gdy zostali sami. – Ale jestem pewien, że tak naprawdę w to nie wierzysz.

– W co nie wierzysz? – spytała chłodno.

– W to, że nie *zatrzymamy się* nad brzegiem wody. Że nie lubimy granic. – Ton jego głosu sugerował, że uważał jej słowa za naiwne.

Kim wprawdzie potrafiła nagiąć prawdę, gdy musiała zebrać fundusze, ale szczerze wierzyła, że ciekawość i pogoń za nieznanym stanowiły podstawowe cechy charakteru człowieka.

– A ty? – zapytała.

– Co ja?

– Akceptujesz granice?

– To zupełnie co innego.

– Dlaczego?

– Bo ja to ja. My mówimy o całości rodzaju ludzkiego.

– Wszyscy jesteśmy do siebie podobni, Ben. Kiedy zostawisz wszystko tak, jak jest i będziesz spokojnie odpoczywał na werandzie, daj mi znać, bo chciałabym to zobaczyć.

– Stara sztuczka retoryczna. Obracasz pytanie przeciwko mnie. Czas spojrzeć prawdzie w oczy, Kim. Minęliśmy już szczyt naszych możliwości. To co się tu dzieje – rozejrzał się po sali bankietowej – jest przygnębiające. Liniowce międzygwiazdne wracają do domu. Nie podoba mi się to, ale tak już jest. Cofamy się w obręb Dziewięciu Światów. Wielkie statki nie są już potrzebne. Mówię to tylko tobie, a jeśli komuś powtórzysz, wszystkiemu zaprzeczę. Te marzenia, o których wcześniej mówiłaś, umarły, zanim ty przyszedłaś na świat. Tylko ich trupy jeszcze nie do końca wystygły.

– Masz rację – przyznała Kim. – Nie mamy przyszłości, ale ja jeszcze nie jestem gotowa odłożyć kart na stół i poddać się.

– Dobrze. – W jego głosie zabrzmiała nuta chłodu.

– Ale pamiętaj, że nie bierzesz pod uwagę faktów. Greenway i pozostałe światy nie chcą już niczego zmieniać. Nikt się nigdzie nie wybiera. Życie większości ludzi stało się zbyt wygodne. Wolą siedzieć w domu i się bawić. Pozwalają, aby maszyny kierowały wszystkim.

Powiem ci, co myślę o projekcie Latarnia. Nawet jeśli ktoś nam odpowie jutro i nie okaże się niebezpieczny, nikogo to nie będzie obchodziło.

Kim piła mikondę o smaku truskawkowym. Napój był chłodny, a jednocześnie rozgrzewający. Dobry.

– Wierysz, że odtąd jedyna droga prowadzi w dół?

– Ostatnie dni imperium. W takich czasach dobrze się żyje, oczywiście poza samym końcem. Zwłaszcza hedoniści mogą używać do woli, a wszyscy mężczyźni nimi są.

– A ty Ben?

Zastanowił się.

– Nie – odparł w końcu. Jego oczy wwierciły się w Kim. – Lepiej mnie nie myl z hedonistą.

Przez resztę wieczoru starała się porozmawiać z jak największą liczbą gości. Wszystkich zapraszała do odwiedzenia Instytutu, obiecując prywatnych przewodników i zapewniając, że każdy będzie mógł poznać zespół, który opracował projekt Latarnia. Do pokoju trafiła o drugiej nad ranem. Pomimo zmęczenia i lekkich zawrotów głowy, była zadowolona. Jej szef powiedziałby, że się świetnie spisała.

Po sześciu godzinach wyczerpanej pracy nie miała ochoty tak od razu kłaść się spać.

Wzięła kubek gorącej czekolady z automatu, przebrała się w piżamę, przejrzała biblioteczkę i wybrała *Królową w ogniu*, opowieść o służbie liniowca podczas wojny przeciwko Pacyfice. Czytała jakieś pół godziny, po czym poprosiła o wyłączenie światła.

Przyciemniły się i zgasły. Kobięcy głos spytał ją, czy życzyła sobie jeszcze czegoś.

Kim zastanowiła się przez chwilę i wydała kilka poleceń.

Potem leżała, wpatrując się w ciemność i zastanawiała się nad tym, co powiedział Tripley. *Ostatnie dni imperium*. Ludzie chyba zawsze mówili takie rzeczy. Niezmiennie wierzyli, że żyją w walącym się świecie.

Wokół niej zmaterializowała się kabina pilota *Star Queen*.

– *Kapitanie, mamy towarzystwo*. – Głos Cyrusa Kleina brzmiał spokojnie.

Monitor wyświetlił ich położenie. Osiem migających punktów zbliżało się ku nim zbieżnym kursem z lewej burty.

Kim usiadła wygodniej w fotelu dowódcy.

– *Czy może ich pan zidentyfikować, panie Klein?*

– *Chwileczkę, Kapitanie.* – Zmrużył oczy czekając, aż sygnał stanie się bardziej wyraźny.

– *Musimy się przygotować na najgorsze* – powiedziała Kim. – *Cała naprzód. Wszyscy na stanowiska. Włączyć osłony. Gdzie się podziła nasza eskorta?*

Prawda jest jak nagość: czasem jest nieodzowna, ale wiąże się z ryzykiem i nie powinno się otwarcie obnażać. Dodaje ona życiu wspaniałości, ale to dzięki fikcji jest ono do zniesienia.

Randle Abram, Listy do syna, 241

Rano Kim zjadła śniadanie w towarzystwie Cole'a, podziękowała mu za gościnność, nadała bagaż do Terminal City i złapała prom do Sky Harbor.

Dział operacji Interstellar mieścił się w dolnej bazie na Poziomie Purpurowym, zwanym tak ze względu na kolor ścian. Kim podeszła do obsługi i spytała, czy mogłaby porozmawiać z Walterem Gaerhardem. Podała swoje imię i usiadła. Kilka minut później umięśniony mężczyzna o skórze koloru czarnej kości słoniowej zajrzał do pomieszczenia.

– Doktor Brandywine? – spytał.

– Pan Gaerhard?

Uśmiechnął się i podał jej rękę.

– Chciała się pani ze mną widzieć?

– Zabiorę panu tylko kilka minut.

– Nie zamierzam niczego kupować.

– Nie tym się zajmuję. Czy mogłabym zaprosić pana na lunch?

Przyjrzał się jej uważnie, próbując się domyślić celu jej wizyty.

– Za wcześnie na lunch, ale dziękuję za zaproszenie. Co mogę dla pani zrobić?

– Jak dobrą ma pan pamięć?

– Znośną. – Wskazał jej drzwi do bocznego gabinetu. – Jest pani z personalnego?

– Nie. Nie pracuję dla tej firmy.

Poprosił ją by usiadła i przysunął sobie drugie krzesło.

– Co mam sobie dla pani przypomnieć?

– Chciałabym, żebyśmy się cofnęli o dwadzieścia siedem lat.

– Sporo.

– Naprawiał pan silniki skokowe na jednostce należącej do Fundacji Tripleya, *Hunterze*.

Mięśnie jego twarzy znieruchomiały.

– Nie pamiętam – powiedział. – Dwadzieścia siedem lat to kawał czasu.

– Interstellar na pewno ma jakieś rejestry. Może odświeżą panu pamięć.

– Na pewno nie do tego stopnia.

– Nie pamięta pan napraw *Huntera*? W ogóle?

– Nie. – Podniósł się z miejsca. – Jak mogła pani tego ode mnie oczekiwać? O co w ogóle chodzi?

– Zbieram materiały na temat Fundacji Tripleya. *Hunter* jest kluczową częścią tej historii.

Był osobistym statkiem Kila Tripleya.

– Nie sięgam pamięcią tak daleko wstecz. – Oparł się o drzwi, wyraźnie dając znak, że chce

odejść. – Coś jeszcze? – spytał – Nie jestem z policji – zapewniła go Kim. – I nie szukam błędów.

– Przykro mi, że muszę zakończyć naszą rozmowę, ale powinienem wracać do pracy – rzucił i dosłownie wypadł z pokoju. Kim ze zdumieniem odprowadziła go wzrokiem.

Incydent, w którym zginęli rodzice Kim, w ogóle nie powinien się wydarzyć. Ludzie ginęli wprawdzie w wypadkach: spadali ze skalnych ścian podczas wspinaczki, trafiali w strefy sztormów albo dostawali skurczów podczas pływania, ale publiczny transport gwarantował niemal stuprocentowe bezpieczeństwo. Niemal.

Po ich śmierci Kim zamieszkała z ciotką Jessicą. Właśnie ona zaraziła siostrzenicę pociągiem do tajemnic. Za to za sprawą Markisa Kane'a zainteresowała się Weroniką King.

W drodze do Seabright, w pociągu, zupełnie pochłonęła ją lektura *Horroru Parkingtona*, opisująca jedną z wcześniejszych przygód ekscentrycznej pani detektyw. Na jej rodzinnej wyspie Moore nie brakowało pamiątek z wczesnego okresu osadnictwa. Dramaty rozgrywały się w tajemniczej atmosferze wśród ruin, w pobliżu oceanu lub w górskich samotniach z krzywymi lukarnami i ciemnymi oknami, w których odbijało się szaleństwo ich twórców.

Kim nie potrafiła jednak zapomnieć o rozmowach z Tripleyem i Gaerhardem. Dyrektor Interstellar dał jej do zrozumienia, że jeśli coś się wydarzyło podczas ostatniej misji, on nic o tym nie wiedział i nie chciał wiedzieć.

Za to Gaerhard coś ukrywał. Zastanawiała się, jakiej tajemnicy strzegł. Sądząc po jego reakcji, był to sekret, który jeszcze teraz, po tylu latach, mógł go wpędzić w kłopoty.

Pozostały jej jedynie domysły. Może *Hunter* nie miał żadnych mechanicznych usterek albo zupełnie inne niż te, o których wspominały oficjalne raporty. Mechanik mógł sfalszować rejestry. To z kolei oznaczałoby, że ktoś go przekupił, a *Hunter* wrócił na Greenway nie dlatego, że trzeba było go naprawić. Tylko dlaczego?

Nawet jeśli Sheyel miał rację i rzeczywiście doszło do kontaktu, po co ta cała konspiracja?

Seahawk zaczął się łagodnie kołysać. Morska bryza wcisnęła się do przedziału. Od czasu do czasu z hukiem mijaly ich pociągi zmierzające w przeciwnym kierunku.

Kim połączyła się z biurem.

– Witaj, Kim – pozdrowiła ją Andra. – Jak ci poszło na *Star Queen*?

– Nieziemsko. Jesteś bardzo zajęta?

– Pewnie. Zawsze po uszy tkwię w robocie. Sama wiesz.

– No tak. Kiedy uda ci się wydostać spod stert dokumentów, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. W 573 roku w dolinie Severin doszło do eksplozji. Całe zbocze góry wyleciało w powietrze. Zginęło mnóstwo osób. Słyszałaś o tym?

– Coś niecoś. – To oznaczało, że wcale.

– Miało to miejsce na Mount Hope. Chcę, żebyś znalazła o tym wszystko, co tylko zdołasz: relacje w mediach, raporty policyjne, wszystko. Jedną z ofiar był Kil Tripley.

Zaledwie dwa dni wcześniej wrócił z misji kosmicznej *Huntera*. Dwie kobiety z tej samej załogi zaginęły mniej więcej w tym samym czasie. – Kim podała sekretarce nazwiska. – Znajdź o nich jak najwięcej informacji. Co robiły w wolnym czasie, jakich miały przyjaciół, wszystko, co zdołasz. I o Tripleyem też. Był dyrektorem Interstellar. Chciałabym wiedzieć, czy kogoś aresztowano i oskarżono w związku z tą sprawą.

– Dobrze. Mogę spytać, po co ci to? – Sekretarka konspiracyjnie ściszyła głos.

– Sama jeszcze nie wiem, Andra. Zrobisz to dla mnie jeszcze dziś?

– Jeśli tak ci na tym zależy.

– Proszę. Materiały wyślij do mnie do domu. Jadę bezpośrednio do siebie. Aha, jeszcze jedno, Andra?

– Tak?

– W Zatoce Wheeling pracuje pewna pani archeolog. Nazywa się Kane. Tora Kane. Sprawdź, czy mogłabym tam jutro wpaść i z nią porozmawiać.

Kim wyprostowała się, kładąc e-booka na kolana. Zamknęła oczy. Przez plecy przebiegł jej dreszcz emocji.

Po powrocie do domu otrzymała wiadomość od Matta. Gratulował jej „doskonałych wyników”, dodając, że wszyscy tak uważali. Kim znalazła też informację, że następnego dnia o trzeciej ma spotkanie z Torą Kane w miejscu o nazwie Colson. Do notki dołączono kod lokacyjny dla taksówki.

Nie licząc byłych żon, Markis Kane miał tylko jedną bliską krewną, z którą utrzymywał bliskie stosunki – córkę Torę. W rejestrach przytaczano słowa Tory Kane. Podobno po wydarzeniach na Mount Hope jej ojciec już nigdy nie był taki jak dawniej. Na początku chciał zostać w Severin. Miał nadzieję, że miasto się odbuduje, ale wszyscy się poddali.

Prześladowało ich tam zbyt wiele złych wspomnień. A potem nadeszła wiadomość, że zamierzano rozebrać zapórę.

Wszystkie eks-żony żyły własnym życiem. Nie żywiły do Kane'a żalu.

Kim właśnie przeglądała wizualne dane na temat Tory Kane, kiedy otrzymała informacje o Emily, Yoshi i Mount Hope.

Na kolację wybrała ser i świeże owoce. Zabrała tacę do pokoju, postawiła ją na stole i wróciła po wino. Dopiero potem dała Shepardowi znak, że może zaczynać.

Dobrze znała większość informacji o Emily: szkoły, artykuły do prasy, posada wicedyrektora firmy Widebase Communications Systems a w końcu propozycja pracy dla Fundacji.

Czytając felietony, przyglądając się zdjęciom, analizując to, co mówili o siostrze jej koleldzy, Kim uświadomiła sobie, że nigdy nie rozumiała, jaka naprawdę była Emily Brandywine.

Fragment jednego z jej esejów zdradzał, jak bardzo angażowała się w swoją pracę: Gdzieś tam, obce oczy patrzą na gwiazdy. Uwierzmy w to. W przeciwnym razie musielibyśmy przyznać, że nasze istnienie nie ma wielkiego sensu. Jedzenie, picie i prokreacja to nie wszystko. Przyszliśmy na świat na skraju bezkresnego oceanu. Twórcza moc, dzięki której powstał, na pewno dopilnowała, byśmy nie byli samotni. Mieliśmy sporządzić mapy tego oceanu, zbadać jego prądy, głębiny i wyspy, a w końcu spotkać na nim innych żeglarzy.

Niestety, owe wyspy są od siebie bardziej odległe niż myśleliśmy. Wielu uważa, że powinniśmy się poddać i zostać u siebie, zadowolić się blaskiem i ciepłem naszych własnych słońc. Spacerować po plaży. Ale zapewniam was, że jeśli obierzemy taką drogę, utracimy tę część człowieczeństwa, którą warto zachować: pragnienie pogoni za nieznanym. Jeśli chcemy być wobec siebie szczerzy, uwierzmy, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy wzniesiemy toast wraz braćmi i siostrami urodzonymi pod obcymi gwiazdami.

Napisane z odrobiną przesady, ale z najszczerzszymi intencjami. Emily nie była naukowcem. Wyciągała wnioski kierując się emocjami, a nie dowodami naukowymi. Ludzka rasa nie mogła żyć sama w tak wielkim wszechświecie. Wierzyła, że gdzieś istniał ktoś, z kim mogliibyśmy porównać

doświadczenia.

Tymczasem nie należało zapominać, że powstanie życia na Ziemi wymagało splotu niezwykle i przypadkowych okoliczności. Mogło być wydarzeniem unikalnym w skali wszechświata. Nikt nie mógł z całą pewnością stwierdzić, że ludzie nie są jedynym rozumnym gatunkiem w całym kosmosie. W mroku nocy takie właśnie myśli plątały się po głowie Kim. Nie przyznałyby się do nich nawet przed Salem. Zbyt wiele lat poświęciła przekonując innych, że jest na odwrót i próbując zaciekawić innych projektem Latarnia, który jako jedyne z przedsięwzięć Instytutu wzbudzał zainteresowanie publiki.

Yoshi Amara nie zostawiła po sobie żadnych dokumentów pisemnych prócz pracy doktorskiej o termodynamice atmosferycznej. Miała dwadzieścia kilka lat, gdy dołączyła do zespołu Tripleya. Z zebranych informacji wynikało, że ekspedycja *Huntera* była pierwszą wyprawą dziewczyny poza granice macierzystego świata.

Kim obejrzała kilka taśm z nagraniami przemówień siostry. Emily angażowała się w różne przedsięwzięcia: namawiała Izbę Handlową Algondy do wsparcia publicznych funduszy dla starszych obywateli; prowadziła szkolenie dla kierowników firmy przewozowej Transport Bez Granic; przemawiała na spotkaniu rocznika 71 na Uniwersytecie Mellinda i uczestniczyła w sympozjum pod hasłem „Dokąd zmierzamy?” – które dotyczyło ujemnego przyrostu demograficznego, a nie badaniu kosmosu, jak mogła sugerować nazwa – z zapałem tłumacząc, że wspólnie powinniśmy zadbać, by na świat przychodziło więcej dzieci.

Kim włączyła plik Tripleya. Obejrzała materiał ze statutowego spotkania Fundacji. Kil wyjaśniał podczas niego, dlaczego poszukiwania obcych istot mają tak wielkie znaczenie. Ani przez chwilę nie wątpił w ich istnienie. Czasem brakowało mu słów, bo uzasadnienie takiego twierdzenia nie było łatwe. Któryś ze słuchaczy powiedział, że jeśli rzeczywiście gdzieś istnieją obcy, którzy zachowują się tak jak ludzie, być może lepiej zrezygnować z poszukiwań. Niech sobie siedzą u siebie.

Do północy Kim zyskała pewność, że Emily i jej towarzysze z *Huntera* – Tripley, Amara i Kane – nie mieli żadnych ukrytych zamiarów. Z całej czwórki jedynie Kane wydawał się w miarę zwyczajny. Pozostali, także Emily, zachowywali się jak fanatycy, ale Kim nie miała wątpiwości, że gdyby udało im się zebrać dowody na istnienie obcych cywilizacji albo znaleźć jakieś formy życia poza stacją orbitalną St. Johns, na pewno ogłosiliby to całemu światu.

Sheyel musiał się mylić.

Ale czy na pewno? But, który Kim znalazła w willi, mógł należeć do Yoshi.

Gaerhard coś ukrywał. Według rejestrów dokonał rutynowych napraw *Huntera* niemal trzydzieści lat wcześniej, ale kiedy Kim o tym wspomniała, od razu wiedział, o co chodziło.

Andra zebrała kilkaset relacji z wybuchu Mount Hope i jego następstw.

Kim dokładnie obejrzała zdjęcia okolicy przed eksplozją i tuż po niej. W ziemi powstał krater o średnicy 1250 metrów, tak jakby ktoś zrzucił w tym miejscu bombę atomową.

Ogromne połacie lasu zostały wypalone lub powalone. Dolina wyglądała potwornie.

Zrobiono dosłownie setki zdjęć zniszczeń, zrujnowanych domów, pożarów, napływających zewsząd ekip ratowniczych oraz ludzi, którzy przeżyli katastrofę i zdezorientowani błądzili wśród ciał zabitych.

Specjaliści oceniali siłę wybuchu na kilka kiloton. Ale nie wykryto żadnego promieniowania. Komisja rządowa w końcu opatrzyła akta napisem „niewyjaśnione” i przerwała śledztwo.

Na żadnym statku nie brakowało ogniw paliwowych, nie stwierdzono też przypadku nieprawidłowego składowania zużytych komórek. Złoczyńca mógł oczywiście zatrzeć ślady, a sfałszowanie rejestrów nie było trudne.

Władze wszczęły niezależne dochodzenia w sprawach zniknięcia kobiet oraz eksplozji.

Żadne z nich nie przyniosło rezultatów.

Muzeum Pamięci Wielkiej Trójki poświęcono dokonaniom Trzeciej Floty podczas krótkotrwałej, ale krwawej wojny z Pacyfiką. Dawniej wierzono, że nigdy nie dojdzie do wojny w przestrzeni kosmicznej. Argumentów podawano wiele: ograniczenia zużycia energii, problemy z zapanowaniem nad wrogą populacją planety, niemożność zmuszenia floty gwiazdnej przeciwnika do bezpośredniej walki i fakt, że cena wysiłku znacznie przewyższała wartość ewentualnych zysków. Niestety, błędnie zakładano, że wojna miała racjonalne przyczyny i prowadzono ją w uzasadnionych celach.

Tymczasem niewielu historycznych wodzów sporządzało bilanse, zanim wdało się w walkę. Królowie często celowo wywoływali wojny, aby żywić swoje oddziały czymś kosztem albo usunąć z kraju dziesiątki tysięcy malkontentów, kierując ich gdzie indziej.

Właśnie tak to wyglądało podczas wypraw krzyżowych i znacznie później na Tigris podczas wojen andreańskich.

Historycy nadal spierali się o szczegóły wydarzeń sprzed wybuchu wojny między Greenway i Pacyfiką, jedynej w jakiej wzięły udział dwa różne układy planetarne. Żadna ze stron nie chciała tego konfliktu. Wszyscy wierzyli, że nie mogło dojść do zbrojnego starcia i to przekonanie okazało się zgubne, ponieważ obie strony sądziły, iż mogą bezkarnie uciekać się do pogroźek i pozerstwa.

Do pierwszej strzelaniny doszło, gdy niszczyciel PacForce wziął zwykły statek turystyczny za jednostkę wywiadu i otworzył ogień, zabijając 212 pasażerów i większość członków załogi. Gdy rząd Pacyfiki odmówił przeprosin – twierdząc, że liniowiec rzekomo zboczył z trasy – wystarczyła już tylko iskra.

Konflikt trwał osiemnaście miesięcy. Doszło do wielu poważnych bitew. Nakładano embarga na neutralne państwa, przeprowadzano naloty na cele wojskowe, zabijając przy tym dziesiątki tysięcy cywilów. W wyniku działań wojennych stale odcinano dopływ mocy do sieci energetycznych i systemów komputerowych.

Podczas wojny Markis Kane stał się sławny. Zaczynał jako kapitan eskortowca, a skończył w randze dowódcy szwadronu niszczycieli. Przyznano mu pół tuzina różnych odznaczeń. Pomścił najokropniejszą zbrodnię wojenną – atak terrorystyczny na Khatalan, podczas którego zginęło sześćdziesiąt tysięcy osób – niszcząc *Hammurabiego*, wojenny krążownik, który dokonał zamachu. Ale jego imię wiązano przede wszystkim z bitwą o Armagon, w której jego szwadron przerwał linię nacierających niszczycieli. Jednostka 376, którą wówczas dowodził, została poważnie uszkodzona. Kane wrócił na Greenway statkiem z podziurawionym kadłubem, niesprawnymi systemami sterowania, bez broni i połowy załogi.

Ale na niebie ponad rodzinną planetą pojawił się pod triumfalnie powiewającymi banderami.

Jego wyczyn trafił do podręczników historii i do popularnych pieśni. Pisano o nim książki. Chyba nie było na Greenway dziecka, które nie bawiłoby się w Markisa Kane'a.

Trzecia Flota była główną siłą natarcia Greenway. Odniosła wiele zwycięstw i pochłonęła najwięcej ofiar. Jej naczelny dowódca wykazał się wyjątkowym hartem ducha i determinacją, a weterani „Trójki” nadal organizowali spotkania na całym świecie.

Muzeum Pamięci Wielkiej Trójki wzniesiono na wzgórzu, po zachodniej stronie Seabright, na miejscu pierwszego legendarnego lądowania załogi z Ziemi. Przed budynkiem znajdował się basen z lustrzaną taflą i doskonale utrzymany trawnik poprzecinany siatką alejek. Lądowiska mieściły setki pojazdów. Muzeum codziennie zwiedzało mnóstwo gości.

Kim wysiadła z taksówki i ruszyła do budynku żwirową ścieżką wijącą się między pniami prastarych dębów. Podobno dwa spośród nich zostały zasadzone przez załogę pierwszego lądownika ze statku *Konstelacja*. Ale tamto wydarzenie miało miejsce przed sześćdziesiąt laty, a drzewa miały najwyżej trzysta. Mimo to, była to wspaniała legenda i nikt jej nie kwestionował.

Dzień był piękny, słoneczny. Powietrze pachniało morzem. Wokół siebie Kim widziała mnóstwo dzieci, turystów i studentów. Weszła do muzeum, zajrzała do przewodnika i udała się do wschodniego skrzydła. Całe zajmowała wystawa upamiętniająca wyczyny jednostki 376 i Markisa Kane'a.

Prezentowano tam zdjęcia bohatera, części okrętu i makietę pokładu. Oryginalny fotel dowódcy tkwił za przeszkloną ścianą. Jedno z laserowych dział stało naprzeciwko wyjścia na korytarz. W gablotach wystawiano osobiste rzeczy załogi, wśród których znajdowała się kurtka Kane'a. Trafiły tu także dzienniki pokładowe: dwa dyski połyskujące diamentowo na poręczy fotela dowódcy. Sklep muzealny sprzedawał ich kopie. W gablocie umieszczono także pas zakrwawionego materiału, którym inżynier jednostki umocował przewód paliwowy, gdy 376 została trafiona.

Kim przeczytała kopię listu wysłanego rodzicom jednego z żołnierzy, którzy zginęli na wojnie.

Weszła do kabiny wirtualnej i obejrzała wszystko oczami Kane'a. Wyszła stamtąd wstrząśnięta i pełna podziwu dla jego odwagi i uporu.

Kane na pewno nie wziąłby udziału w oszustwie. Kim nie potrafiła sobie wyobrazić żadnych okoliczności, w jakich by się do tego zniżył. Dlatego, jeśli powiedział Sheyelowi, że nic się nie stało, to tak było. A mimo to...

– Ach, Kim. – Odwróciła się i zobaczyła przyjazną twarz Mikela Alaama, dyrektora muzeum. – Jak miło znowu cię widzieć.

– Dzień dobry, Mikelu. – Objęła go i podstawiła policzek do pocałowania. – Co u ciebie?

Alaam miał włosy do ramion. Traktował innych z powściągliwością charakterystyczną dla muzealników, pisarzy i pracowników zakładu pogrzebowego.

– Wszystko w porządku, dziękuję. Co cię sprowadza do Wielkiej Trójki?

– Interesuje mnie Markis Kane.

– Ach tak. Fascynujący człowiek. Był tu na otwarciu wystawy. A wcześniej jako doradca pomagał nam w jej przygotowaniu. – Muzeum miało zdjęcia z tamtego okresu. Uwieczniono Kane'a jak pił kawę w towarzystwie dwóch techników, przytrzymał reflektor i śmiał się otoczony dziećmi.

– Naprawdę? Kiedy to było?

– O, dawno temu. Wtedy pracowałem tu jako stażysta, ale miałem okazję go spotkać.

Nawet wymieniliśmy uścisk dłoni. – Spojrzał zamyślony na swoją rękę.

– Co o nim wiesz?

– Niewiele. Przyjaźnił się z Artem Wescottem, który w tamtym czasie był dyrektorem muzeum. Miałem wrażenie, że czuł się trochę niepewnie w całym tym zamieszaniu. Ale cieszyliśmy się, że mógł nam pomóc. Mniej więcej w tamtym okresie odbyła się ceremonia nadania muzeum imienia.

– Czyli, że było to...?

– Około 575. No tak, to był nasz pierwszy rok. – Mikel spojrział na makietę pokładu. – Tak, tak. Oglądał wszystko, rozmawiał z każdym, rozdawał autografy. Porządny człowiek.

Nie to co niektórzy...

Sala jaśniała od słońca. Kane lśnił przykładem.

Taksówka leciała szarym niebem na północ, wzdłuż wybrzeża.

Przed sobą Kim miała Morghani, górę wznoszącą się na samym brzegu i pochylającą się nad Zatoką Wheeling. Morghani stała się fortecą wielu dyktatorów rządzących imperium wyspy przez długie lata. W jej zboczach Esther Hox kazała wykuć Czarną Salę, twierdzę, z której dowodziła operacjami przeciwko bandom rebeliantów, przez cztery dekady bezskutecznie próbujących pozbawić ją władzy.

W późniejszym okresie, Morghani z jej fortyfikacjami oraz zatoka, do której dostępu strzegła góra, stały się doskonałym tłem dla Seabright. Czarna Sala przyciągała turystów i była ogromnie ważnym miejscem dla archeologów.

Budowla miała czterysta lat. Powstała w mrocznej epoce dziejów, która nastąpiła zaraz po tym, jak planeta Greenway zyskała formalną odrębność polityczną. W okolicznych górach nadal znajdowały się lasery i wyrzutnie rakiet oraz główna kwatera, z której Hox osobiście dowodziła obroną. Co roku przybywały tu dziesiątki tysięcy turystów.

Czarna Sala stała się głównym symbolem tamtej epoki oraz, z niewyjaśnionych przyczyn, także romantyczności tamtego okresu. Kim uwielbiała to miejsce. Pieczę sprawowało nad nim Towarzystwo Historyczne Seabright. Większą część fortecy zagrodzono, uniemożliwiając zwiedzającym wstęp, ponieważ była niebezpieczna. Za to na głównym dziedzińcu nadal dwa razy dziennie odbywały się musztry oddziałów w charakterystycznych dla tamtego okresu mundurach. Goście mogli zwiedzać królewskie kwatery, galerię sztuki i bibliotekę. Hox i jej następcy zlecili wykonanie wielu dzieł, a jeszcze więcej ukradli. Teraz wszystko trafiło na wystawę.

Ocean burzył się u podnóża Morghani. Fale waliły w skały, mewy bez końca zataczały kręgi na niebie, a na kamienistych plażach dzieci zbierały muszle.

Taksówka minęła Czarną Salę i pozęgłowała ponad zatoką. Pomosty i przystanie wciskały się w wodę, a na brzegu tłoczyły się hangary. Po okresie walk cywilizacja ruszyła na południe. Większość porzuconych budynków kruszyła się napoczęta przez czas. Niektóre wyrosły na ruinach sprzed pięciuset lat. Przez wieki buszowali tu wandale i złodzieje.

Współczesne ekipy archeologów próbowały poznać jak najwięcej szczegółów codziennego życia pod rządami dyktatorów.

Pojazd obniżył lot schodząc nad wodę, przeleciał kawałek wzdłuż brzegu na zachód i w końcu wylądował między modułowymi schroniskami, obok kilku podniszczonych flyerów z rejestracjami Towarzystwa Historycznego Seabright. Kim otworzyła drzwi i zeszła na podłoże z ubitej gliny, rzadko porośniętej trawą. Znad morza wiał wilgotny, chłodny wiatr.

W wykopanym rowie pracowało wielu archeologów. Wyciągali stamtąd kawałki drzewa, pokruszonego betonu i stalowych wsporników. Kilku mężczyzn podniosło głowy, przyjrzało się Kim, po czym wymieniło aprobujące spojrzenia między sobą.

Młody chłopak, prawdopodobnie student, oczyszczał z piasku fragment urządzenia elektronicznego. Na widok Kim przerwał pracę i podszedł.

– Czy mogę pani w czymś pomóc?

– Szukam doktor Kane – odparła Kim.

Praktykant dotknął komunikatora.

– Toro, masz gościa – powiedział.

– Zaraz tam będę – odezwał się kobiecy głos. Chwilę później z jednego z baraków wyszła kobieta w kapeluszu z szerokim rondem i kombinezonie. Student kiwnięciem głowy skwitował podziękowanie Kim i wrócił do pracy.

– Doktor Brandywine? – spytała kobieta wyciągając dłoń. – Nazywam się Tora Kane. – Kim zauważyła logo Glorii na kapeluszu. Tora powędrowała oczami za jej wzrokiem. – To

Arbuckle – wyjaśniła.

Arbuckle był frachtowcem, który zaginął na Glorii niemal pięć wieków wcześniej, stając się tym samym jednym z najstarszych odkryć archeologicznych w całym systemie. Kim wiedziała, że strefę wypadku zmieniono w rezerwat i tylko naukowcy posiadający specjalne uprawnienia, mogli tam przebywać.

Tora była mniej więcej wzrostu Kim. Miała kasztanowe, ściągnięte do tyłu włosy, pełne wargi i duże piersi wyraźnie zaznaczające się pod kombinezonem. Ciemne, wnikliwie patrzące oczy przypominały oczy jej ojca. Spoglądając w nie Kim niemal udało się zapomnieć o reszcie i uwierzyć, że ma przed sobą dawnego kapitana statków kosmicznych.

– Dziękuję, że zgodziła się pani poświęcić mi trochę czasu – powiedziała, ściskając wyciągniętą dłoń.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Tora przeniosła wzrok z Kim na taksówkę. – Czyżbym coś wygrała?

Obie poczuły nagły podmuch wiatru.

– Czy zgodzi się pani odpowiedzieć na kilka pytań o pani ojca?

– Ach tak – odparła Tora tonem, który sugerował, że mogła się tego spodziewać. – Dlaczego panią interesuje?

– Emily Brandywine była moją siostrą.

Mięśnie szyi Tory napięły się.

– Powinam poznać panią po nazwisku. No i po wyglądzie.

– Bardzo bym chciała się dowiedzieć, co się z nią stało.

– Rozumiem. – Tora odwróciła się ku ujściu zatoki. Kim nie widziała teraz jej twarzy. – Żałuję, ale nie mogę pani pomóc. Nic nie wiem. Kiedy *Hunter* wrócił, mój ojciec został na pokładzie, żeby dopilnować kwestii formalnych. Pozostała trójka opuściła statek i już się nie spotkali.

– Jest pani pewna?

– Tak, jestem pewna.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale skąd pani o tym wie?

– Od niego. Sądzi pani, że on się tym nie przejął? Wszystko spadło na niego niemal jednocześnie: katastrofa w miasteczku, zaginięcie Tripleya i obu kobiet. – Wiatr popychał je w stronę wykopalisk. – Może odeśle pani taksówkę i schronimy się do środka? – zaproponowała Tora.

Kim się zgodziła i ruszyła za gospodynią do baru.

– Nie jest najwygodniejszy, ale przynajmniej chroni przed chłodem – powiedziała Tora.

Otworzyła drzwi przed gościem i Kim poczuła strumień ciepłego powietrza.

Wnętrze było zatłoczone i pachniało stęchlizną. Pokój i łazienka. Na ścianach wisiały mapy wybrzeża. Na dwóch stołach piętrzyły się słoiki, fragmenty urządzeń elektronicznych, monety, narzędzia, świece, zabawki i niewielkie kawałki rzeźb.

– Jak postępują prace? – spytała Kim.

– Nieźle. Chyba natrafiliśmy na prywatną rezydencję Gabriellego.

– Gabriellego?

– Jednego z doradców Esther Hox. Jeśli się nie mylę, być może zdołamy się w końcu dowiedzieć, dlaczego kazali zamordować Rentzlera. Ale co tam, pani to nie interesuje. – Tora przyłożyła podgrzany ręcznik do twarzy, podała drugi Kim i usiadła na rozkładanym krzeselku z płóciennym oparciem. – Wszyscy tracimy bliskich – powiedziała smutnym tonem.

– Nie chcę udawać, że to co stało się z moim ojcem można porównywać z tym, w jaki sposób straciła pani siostrę, ale jego życie także się rozpadło po tamtych wydarzeniach.

– Jak to?

– Wiele osób zginęło. Pojawiły się pogłoski o antymaterii. Wszyscy pozostali członkowie misji zaginęli. Podejrzewano go o spisek. Ludzie lubią mieć kogoś, kogo mogliby obarczyć winą. Tylko on został przy życiu, a raczej tylko on nie znikł. Dlatego wszystko spadło na niego.

– Rejestry nic o tym nie wspominają.

– Jego przyjaciele zaczęli się od niego odsuwać. Ludzie, których znał przez lata, odwracali się od niego i patrzyli w drugą stronę, gdy przypadkiem spotykali go na ulicy.

Niektórzy próbowali pozwać go do sądu, ale brakowało dowodów. W końcu opuścił dolinę, ale ta sprawa szła za nim jak cień. Proszę wybaczyć, że tak mówię, ale osoby takie, jak pani, zaczęły nękać go pytaniami. O nic bezpośrednio nie oskarżały, ale pozwalały sobie na różne sugestie. Mój ojciec był porządnym człowiekiem. Nigdy nikogo nie skrzywdził i nie wzięłyby udziału w żadnym ze spisków, o jakie go posądzono.

– Na przykład o kradzież ogniwi paliwowych.

– Tak. Właśnie tak. – Tora wstała, napełniła kawą dwa kubki i jeden z nich podała Kim. – Obawiam się, że nie wiem nic, co mogłoby pani pomóc.

Do środka weszły dwie osoby, przedstawiły się i zaraz potem wyszły.

– Według pani powrót *Huntera* i katastrofa na Mount Hope nie są ze sobą powiązane? – spytała Kim.

– Nie. Rozumiem, dlaczego ludzie kojarzą te wydarzenia. Ale przecież sprawdzono

Huntera. Miał nienaruszony zapas antymaterii. Wszyscy o tym zapominają. Mój ojciec nie zrobił nic złego. Miał w życiu wszystko, czego pragnął. Nie musiał kraść ogniwi paliwowych ani niczego innego.

– A według pani co się tam stało?

– Nie mam własnej teorii. Wiem, że to wszystko zniszczyło mego ojca. Już nigdy później nie usiadł za sterami statku kosmicznego. Wiedziała pani o tym?

– Tak.

– Po śmierci Tripleya Fundacja odwołała wszystkie jego loty, a nikt inny nie chciał go zatrudnić. Oczywiście nikt nie wspominał o Mount Hope. Ojciec słyszał tylko: „Nie, nie szukamy w tej chwili pilotów”. Doskonale wiem, że to boli. Ale radzę pani zostawić to w spokoju.

– *Doktor Flexner próbował się z tobą połączyć, Kim*

Zdjęła kurtkę i opadła na kanapę.

– Spróbuj go namierzyć, Shep.

– *Dzwonił kilka minut temu. Był u siebie w biurze.*

Nalała sobie szklanekę soku jabłkowego i usiadła przy pulpicie.

– *Wydawał się poirytowany.*

– W jakim sensie?

– *Zdenerwowany. Zły. O, mamy połączenie.*

Ściany znikły i Kim siedziała w biurze Matta. Rzeczywiście wyglądał tak, jakby go coś ugryzło.

– Cześć Matt – powiedziała.

– Witaj, Kim. – Siedział za biurkiem i coś pisał. – Mam do ciebie pytanie – powiedział nie patrząc na nią, ale odkładając pióro.

– Słucham.

Dopiero teraz podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

– Co zrobiłaś Bentonowi Tripleyowi?

– O co ci chodzi?

– Wezwał mnie dziś do siebie Phil. Podobno dzwonił do niego Tripley. Jest wściekły.

– Dlaczego?

– Dokładnie nie wiem, ale ma to związek z tobą. Czy podczas wręczania mu nagrody pytałaś go o incydent w Mount Hope?

– Rzeczywiście, mówiliśmy o tym.

– Sugerowałaś, że jego ojciec był zamieszany w jakieś przestępstwa?

Próbowała sobie przypomnieć rozmowę.

– Nie – odparła. – Dlaczego miałabym tak mówić?

– Właśnie sam miałem cię o to spytać.

– Nic takiego nie miało miejsca.

– To dobrze. Bo to co zyskaliśmy dając mu nagrodę Cable'a Mortona, teraz przepadło.

– Matt...

– Naprawdę włamałaś się do jego domu?

– *Nie!*

– On twierdzi, że tak.

Kim poczuła, jak narasta w niej gniew. Wzięła głęboki oddech i próbowała nad sobą zapanować.

– Obejrzałam budynek w Severin, ale to już nie należy do niego. Cała okolica jest opuszczona.

– Jesteś tego pewna? Sprawdziłaś akt własności, zanim tam weszłaś?

– Nie...

– Tak właśnie myślałem. Dyrektor musiał go dziś rano przeproszać.

– *Przeproszać?* – Przed oczami stanął jej uśmiechnięty Tripley. – Za co? Nie dbam o to, co jest w papierach. Tam nikt nie mieszka.

– Tripley uważa, że Instytut próbuje wtykać nos w jego interesy. – Matt westchnął. – Zapewniliśmy go, że doszło do jakiegoś nieporozumienia, Kim. Koniec sprawy. Zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi. Ale więcej do tego nie dojdzie, mam rację?

– Matt, zajmuję się tym prywatnie.

– Nie, Kim. *Ty* niczego nie robisz prywatnie. Reprezentujesz Instytut. Na litość boską, przecież przemawiasz w naszym imieniu kilka razy w tygodniu. – Popatrzył na nią nieustępliwie. – Zrezygnujesz z tego i nie będziesz się już tym zajmowała. Rozumiesz?

Spojrzała na niego z takim samym uporem.

– Matt, wczoraj rozmawiałam z jednym z inżynierów Interstellaru. Chodziło o naprawy *Huntera* po powrocie z wyprawy. Ten człowiek kłamał.

– Skąd wiesz?

– Widziałam to w jego twarzy.

– Wspaniale. To doskonały dowód, jeśli ktoś będzie cię w tej sprawie przesłuchiwał...

– Posłuchaj Matt, jeśli nic się nie stało, to dlaczego Tripley tak się wije? Co próbuje ukryć?

– Nietrudno zgadnąć. W eksplozji zginęło mnóstwo ludzi. Gdyby się okazało, że jego ojciec miał z tym coś wspólnego, zaraz pojawiłoby się całe mnóstwo pozwów o odszkodowania.

– Po tylu latach?

– Nie jestem prawnikiem, ale sądzę, że sporo by stracił, gdybyś znalazła coś wskazującego na winę jego ojca.

Ktoś wszedł do gabinetu. Drzwi znajdowały się z tyłu, więc nie widziała, kto to był. Matt spojrzał groźnie ponad jej ramieniem na przybysza. Kim usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Szef znowu popatrzył na nią.

– Matt, naprawdę nie mogę tak tego zostawić.

Odchrząknął.

– Rozumiem chyba, co to dla ciebie znaczy, Kim...

– Nieprawda, nie masz pojęcia...

– W porządku. Przepraszam. Wiem. Problem w tym, że nigdzie nie ma dowodów, które wskazywałyby na konieczność wszczęcia dochodzenia. Jeśli nie przestaniesz się upierać, osiągniesz tylko tyle, że Instytut na tym ucierpi, a ty wylądujesz na ulicy.

Potrzebowała chwili, aby zapanować nad głosem.

– A jak zdobyć dowody, jeśli się ich nie szuka?

Zrobił urażoną minę.

– Nie wiem, Kim, ale musisz pamiętać, że reprezentujesz Instytut. Zawsze i wszędzie. To co robisz ty, świadczy także o nas. – Oparł łokcie o blat i podparł splecionymi dłońmi brodę. – Rozumiem, że nie postępujemy wobec ciebie sprawiedliwie, lecz ty też musisz zrozumieć, że ryzyko jest zbyt wielkie.

– Chodzi o pieniądze.

– Mnóstwo pieniędzy.

Zamknęła oczy.

– Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko.

– Dzięki – powiedziała i przerwała połączenie. Pokój wokół odzyskał zwykłe kształty.

Wstała, wzięła kurtkę i wyszła na taras.

Ocean był szary i zimny.

*Płyń za mną w mgliste przestrzenie
Poza widnokrąg, za którym znika słońce,
Na zachód od St. Johns...*

Cres Viliard, Na zachód od St. Johns, 487

Instytut chciał jak najlepiej wykorzystać zainteresowanie projektem Latarnia. Matt już zorganizował wywiady z załogą *Trenta*. Wyglądało to dziwnie, ponieważ sporo czasu trwało, zanim sygnał hipercomu pokonał dystans do statku i z powrotem. W rezultacie, dziennikarze musieli zadać pytania jednego dnia, a dopiero następnego mogli usłyszeć odpowiedzi. Nici ze spontaniczności i płynnej rozmowy, w której odpowiedź w naturalny sposób prowadzi do kolejnego pytania.

Z tego powodu nikt się nie kwapił do rozmowy z członkami załogi *Trenta*. W misji nie brał udziału żaden przedstawiciel mediów. Wyprawa za długo trwała i nie uważano jej za tak wielkie wydarzenie. Wszystko działo się za daleko. Poza tym, nikt już nie traktował poważnie teorii o kosmitach. Zainteresowanie nie wynikało z motywów eksperymentu, ale z faktu, że ludzie dowiedli iż potrafią spowodować wybuch nowej.

Instytutowy zespół kontaktów z mediami postanowił się skupić właśnie na tym aspekcie wydarzenia oraz na korzyściach, jakie mogło kiedyś przynieść ludzkości. Niestety, nikomu żadne nie przychodziły do głowy. Może tylko udoskonalenie projektu butli magnetycznej.

Fakt, potwierdziło się, że ludzie coraz lepiej radzą sobie z kontrolą antimaterii. Istniała też możliwość opracowania systemów niwelowania grawitacji, dzięki którym urządzenia elektroniczne mogły działać tam, gdzie siła ciężenia była większa.

Cray Elliot, specjalista od kreowania wizerunku publicznego firmy, jeden z młodszych członków zespołu, kiwając głową, spisywał wszystkie pomysły. Kim nie kryła niepokoju.

– Stale próbujemy sprzedawać naukę, mówiąc, że ktoś gdzieś będzie miał dzięki temu lepszą szczoteczkę do zębów – mruknęła. – Gdzie się podziała zwykła ludzka ciekawość?

– Musimy być praktyczni – odparł Cray. Był inteligentny, pełen życia i entuzjazmu. Kim nie miała ochoty tłumaczyć nic takim wesołkom.

Ludzie mieli wszystko w zasięgu ręki, wystarczyło się tylko rozejrzeć: coraz łatwiej podróżowało się w kosmosie, ogniwa paliwowe dostarczające ciepła i światła całym miastom, miały szansę stać się bardziej wydajne i bezpieczne.

– Problem w tym, że wszędzie ogranicza się ilość wypraw kosmicznych – zauważyła Kim.

– A energii i tak mamy więcej, niż nam potrzeba. O wypadkach z ogniwami paliwowymi nic mi nie wiadomo. – Być może tylko w Mount Hope, dodała w myślach.

– Nieważne – stwierdził Matt. – To szczegóły. Na takie drobnostki nikt nie zwraca uwagi.

Może miał rację. Nie po raz pierwszy próbowali trochę naciągnąć prawdę. Przed dwoma laty Instytut nie zrobił nic, aby sprostować pogłoski, jakoby zbliżano się do przełomowego odkrycia w dziedzinie antygravitacji, choć nie prowadzono wówczas żadnych takich badań, a wszyscy fizycy, których Kim знаła, uważali, że antygravitacja nie jest możliwa. Plotki uznano za wiarygodne, ponieważ ludzie wierzyli, że skoro dało się sztucznie wywoływać siłę ciężenia, tak samo możliwe

musiało być zniesienie skutków jej działania. Tymczasem jedno z drugim nie miało żadnego związku. Aby ludzie mogli się swobodnie poruszać po pokładach statków kosmicznych, wystarczyło stworzyć odpowiednie pola magnetyczne i nie trzeba było naginać reguł rządzących czasem i przestrzenią.

Kim wtedy przypuszczała, że to osoby odpowiedzialne za wizerunek publiczny Instytutu dały początek plotkom. Kiedy wspomniała o tym Mattowi, wszystkiemu zaprzeczył.

Gwałtowność jego zapewnień zawsze była znakiem, że kłamał.

Teraz słuchała poleceń szefa zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie rzuciła pracy.

Instytut dobrze płacił i miał przyzwoite cele, a ona czerpała satysfakcję z tego, że była bardzo dobra w swojej pracy. Ale zostając tu, mogła się pożegnać z wymarzoną karierą, do której się przygotowywała.

Pamiętała, jak się usprawiedliwiała przed Sheyelem, mówiąc gdzie pracowała. *„Nie taką dziedzinę sobie wybierałam.*

Chyba było mu wtedy przykro.

– *Nigdy nie wiadomo, jak potoczą się nasze sprawy.*

Takie rozmowy zawsze wyglądały podobnie. Dlatego nigdy nie jeździła na spotkania absolwentów.

Po powrocie do biura zastała komunikat od Sheparda.

– *Jest odpowiedź z St. Johns* – poinformował.

– Wyświetl.

– *Oczywiście. Pamiętaj tylko, że zmieniłem wszystkie daty na Centralną Strefę Czasową Greenway.*

Od: Szefa Działu Rejestrów Do: Dr Kimberly Brandywine Data: poniedziałek. 15 stycznia, 600

Dotyczy: Planu lotów *Huntera* W odpowiedzi na pani prośbę przesyłam dostępne informacje dotyczące planu lotu

Huntera nr MJE4471886, zarejestrowanego 11 lutego 573 roku.

Wylot z St. Johns 12 lutego 573, 03:58.

17 kwietnia 573 – dotarcie do QCY4149187. Rozpoczęcie ogólnego skanu gwiazdozbioru Żłoty Kielich.

Planowany odlot ze strefy miał zostać zgłoszony po ostatecznym jego ustaleniu, ale podano przybliżoną datę 1 czerwca 574 roku.

J. B. Stanley Szef Rejestrów Cała misja miała trwać piętnaście miesięcy. Kim wcisnęła guzik z numerem Sala.

– Cześć Kim. – Twarz przyjaciela rozjaśniła ekran.

– Jak ci poszło na spotkaniu?

– Jak zwykle. Mam do ciebie pytanie.

– Słucham.

– Powinam cię spytać o to wcześniej. Czy przed startem *Huntera* z St. Johns powinni sprawdzić silniki skokowe statku?

– Masz na myśli obsługę stacji?

– Tak.

– Tylko na wyraźne życzenie. Kontrolę silników powinni przeprowadzić fachowcy z Fundacji jeszcze przed opuszczeniem Sky Harbor. Jeśli zastanawiasz się nad prawdopodobieństwem awarii na samym początku podróży, przyznaję, że jest niewielkie. Ale tak się stało. Prawdę mówiąc silniki skokowe podczas podróży dostają trochę w kość.

Wystarczy małe niedopatrzenie i pojawia się problem.

– Co się dzieje, jeśli silniki ulegną awarii w nadprzestrzeni?

– To koniec, chyba że uda się je naprawić.

– A łączność?

– Nie ma żadnej. Statek musi przeskoczyć w normalną przestrzeń, zanim załoga zdoła się z kimś porozumieć.

– Chyba ktoś niezbyt dobrze to wymyślił.

Sal wzruszył ramionami.

– Fizyka ma swoje prawa, kochana.

– Czy zdarzyła się kiedyś taka awaria?

– Nie wiem. Od czasu do czasu traciliśmy jednostki.

– Obserwował ją, czekając na jakąś reakcję, ale Kim nie zmieniła wyrazu twarzy. – Dlaczego pytasz? Masz coś?

– Zupełnie nic.

Na monitorze wyświetliła mapę nieba, łącząc linią St. Johns z docelową gwiazdą 187.

Gdzieś po drodze silniki statku zgasły. *Hunter* wyszedł z nadprzestrzeni, dokonał niezbędnych napraw i zawrócił na Greenway. Nigdy nie dotarli w pobliże Żłotego Kielicha.

Powrót do Sky Harbor z najbliższego obiektu położonego w pobliżu nakreślonego kursu zabrałby mniej więcej czterdzieści dni. Dlatego nie mogli być w drodze dłużej niż tydzień, zanim odkryli problem.

Tydzień.

W ciągu siedmiu dni statek kosmiczny mógł pokonać 270 lat świetlnych. To ogromna odległość.

Kim zaznaczyła odpowiednie miejsce na linii wytyczonego kursu. Gdzieś między jej znakiem, a St. Johns problem z silnikami kazał im opuścić nadprzestrzeń.

– Co z tego? – spytał Sal, tak, jakby czytał jej w myślach. – Wiemy, że mieli awarię. Co za różnica, gdzie to się stało?

– Zacznijmy od początku.

– Czyli od czego?

– Od „złota”, na które podobno trafili. Sheyel jest przekonany, że doszło do jakiegoś kontaktu z obcą cywilizacją. Załóżmy, że ma rację i *Hunter* rzeczywiście na coś się tam natknął. Wtedy pozostaje tylko pytanie, gdzie to nastąpiło?

– Ty mi powiedz. Gdzie wtedy byli?

– W pobliżu gwiazdy.

– Skąd wiadomo? – spytał Sal.

– Jeśli doszło do kontaktu z istotami na jakiejś planecie albo z jakąś jednostką orbitującą, mówimy *ipso facto* o układzie planetarnym. Jeżeli natomiast natrafili na statek kosmiczny, musimy

zadać sobie pytanie, czy znajdował się on w jakimś systemie planet, czy też w pustej przestrzeni. Co robiliby w pustej przestrzeni?

– Naprawiał silniki? – zasugerował Sal, widząc do czego Kim zmierza.

– Właśnie. Jakie jest prawdopodobieństwo tego, że dwa statki ulegną awarii i trafią w to samo miejsce w próżni? Według mnie, cokolwiek się stało, musieli być w pobliżu gwiazdy.

Kim przyjrzała się wytyczonemu kursowi *Huntera*.

– Naliczyłam siedem gwiazd w miarę blisko miejsca, do którego mogli dotrzeć. Jeśli na coś się natknęli, musiało się to wydarzyć obok jednej z tej siódemki.

Sal pokręcił głową.

– No dobrze – powiedział. – Przypuśćmy, że masz rację. Przypuśćmy, że naprawdę doszło do jakiegoś spotkania. Miało to miejsce dwadzieścia siedem lat temu. Sądzisz, że obcy jeszcze się stamtąd nie zabrali?

– Przecież nie musiał to być obcy *statek*. Może odkryli cywilizację.

Sal przysiadł na krawędzi biurka i przez chwilę rozważał taką możliwość.

– Tak – powiedział w końcu. – Mogło się tak zdarzyć.

– Mamy tylko siedem gwiazd – powtórzyła Kim. – Siedem.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz ubiegać się o pozwolenie na wyprawę.

– Nie.

– To dobrze.

– Matt pomyślałby, że zupełnie mi odbiło.

– Aha. I sądzę, że wcale by się tak bardzo nie mylił. Opierasz się wyłącznie na przypuszczeniach, Kim, a na poparcie swojej teorii nie masz nic prócz buta i telefonu dziewczyny z załogi, której tajemnicze słowa mogły zupełnie nic nie znaczyć. Możliwe, że Sheyel opacznie ją zrozumiał. Nie przyszło ci do głowy, że mogła mówić o Złotym Kielichu?

– Nie dotarli nawet w jego pobliże.

– Rozumiem. – Wzruszył ramionami. – Ale jeśli coś znaleźli, na przykład drzewo albo *miasto*, dlaczego nie powiedziała tego wprost? Po co ta tajemniczość?

Na to Kim nie potrafiła odpowiedzieć.

Sal spojrział na zegarek.

– Muszę kończyć. Czas zamknąć pilne raporty.

Widziała, że odetchnął z ulgą. Bał się pewnie, że Kim robi z siebie idiotkę, próbując przekonać Matta, by Instytut wysłał w tamten region grupę badawczą.

– Sal, czy po przekazaniu dzienników pokładowych do Archiwów ktoś je jeszcze sprawdza?

– W normalnych okolicznościach nie ma takiej potrzeby. Ale tobie pewnie chodzi o to, czy sprawdzano dzienniki *Huntera* po wyprawie do Złotego Kielicha. Możesz być tego prawie pewna.

– Z powodu tamtych zniknięć.

– Tak. Policja szukała na pewno wskazówek, czy podczas misji nie wydarzyło się nic niezwykłego. Ale fakt, że nie poprowadzono sprawy dalej i nie przeszukano domu Tripleya oznacza, iż w dziennikach nic nie znaleźli.

– Może ktoś im zapłacił.

– Niewykluczone. – Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. – Kim – odezwał się w końcu Sal.

– Matt ma rację. Daj temu spokój.

Chciałaby. Niechętnie myślała o konfrontacji z szefem. Musiałaby mu wypomnieć to, że poparł Tripleya i sugerował Salowi, iż Kim zaczyna ulegać obsesji.

Tymczasem ona była przekonana, że zniknięcie Emily miało jakiś związek z wyprawą.

– Nie mogę tak po prostu tego zostawić – powiedziała. – Chcę wiedzieć, co się stało. I mam gdzieś to, czy ktoś się obrazi albo poda kogoś do sądu.

Sal przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

– Daj mi znać, jeśli będę ci mógł jakoś pomóc.

– Możesz. Jak moglibyśmy zajrzeć do tych dzienników?

Odetchnął głęboko.

– Musielibyśmy kogoś przekupić.

Przekupić?

– Nie ma na to innego sposobu? Bez łamania prawa?

– Ja żadnego nie znam. Powinnaś się najpierw zastanowić, czy naprawdę tak bardzo ci na tym zależy. Jeśli tak, to... – Wzruszył ramionami.

Kim nigdy dotąd nie złamała prawa świadomie.

– Nie możemy tego zrobić – powiedziała.

– Tak właśnie sądziłem. – Sal spojrział na nią z monitora, próbując wzrokiem dodać jej otuchy.

– Muszę już kończyć – powiedział.

Ekran zgasł. Przez moment siedziała skulona w fotelu i wpatrywała się w pustkę. Po chwili wywołała na monitor *Jesień*. Z obrazu patrzyły na nią zamyślane oczy Emily.

Gdzie jesteś?

Kim przypomniawszy sobie potworne dni zaraz po zniknięciu siostry, kiedy czekali na wiadomość. Rodzice próbowali chronić młodszą córkę, zapewniali ją, że Emily wróci, że pojechała gdzieś na wyprawę i już niedługo odezwie się do rodziny. Ale Kim widziała pustkę w ich oczach, wyczuwała napięcie w głosach. Wiedziała.

Od początku musieli podejrzewać, że nie znajdą jej żywej. W Equatorii morderstwa zdarzały się niezmiernie rzadko. W sześciomilionowej populacji notowano najwyżej kilka w ciągu roku. Najczęściej zdarzały się zabójstwa w rodzinach, ale od czasu do czasu trafiali się też maniakalni mordercy. Tacy jak Święty Łukasz, przewany tak, ponieważ do ciał ofiar przypinał wersety z Biblii. Przez dwa lata kręcił się w rejonie północno-zachodnim.

Zamordował w sumie siedem osób. Był najgorszym z zabójców znanych w czasach nowożytnych.

Rodzice Kim dziwili się, że tajemnica nigdy nie została wyjaśniona. Nie znaleziono ciała.

Czym było niewielkie przekupstwo wobec morderstwa?

Wstukała numer Sala i na monitorze zobaczyła twarz przyjaciela. Wbrew jej oczekiwaniom nie wyglądał wcale na zaskoczonego.

– Możemy to jakoś załatwić? – spytała.

Spojrział na nią z dezaprobatą.

– Czyżby moja piękna towarzyszka zupełnie straciła głowę?

– Tak. Skoro tak trzeba. Da się to załatwić?

– Znam pewnego człowieka...

– Ile to będzie kosztowało?

– Nie wiem. Pewnie kilka setek. Pozwól, że najpierw wykonam kilka telefonów. Potem się do ciebie odezwę.

Kim miała zaplanowany lunch z przedstawicielem Towarzystwa Teozoficznego, bratem Kendrickiem. Tym razem jej zadanie nie polegało na zdobyciu sponsorów, ale na przekonaniu Towarzystwa, że projekt Latarnia nie będzie miał żadnych szkodliwych długoterminowych skutków. Miała nakłonić ich, aby zrezygnowali z jawnego i głośnego sprzeciwu wobec Instytutu.

Umówili się w Kaszmirze, restauracji serwującej dania z kuchni Wysp Sebastiana. Brat Kendrick przedstawił stanowisko Towarzystwa. Jego członkowie obawiali się, że seria wybuchów nowych zamieni przestrzeń ośmiu milionów sześciennych lat świetlnych w jałową pustkę, nie nadającą się do zamieszkania.

Kim stwierdziła, że nigdzie w pobliżu miejsca zwanego przez inżynierów sześcianem docelowym nie było żadnych ludzkich siedzib.

– A siedziby nie ludzi? – spytał jej rozmówca.

Pytanie zmroziło ją.

Wiek brata Kendricka nie dało się określić, tak jak miało to miejsce w przypadku niemal wszystkich mieszkańców Greenway. Miał skłonność do prawienia morałów. Nie umiał zwyczajnie rozmawiać. Jego postawa zdradzała źle skrywane poczucie wyższości. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Kim. Nosił równo przystrzyżoną, czarną brodę i długie włosy.

Teozofowie nie zaliczali się do ludzi ślepo podążających za modą.

– W tym regionie nie ma żadnych. Dla pewności przeprowadziliśmy dokładne badania...

– Jak wiele systemów planetarnych znajduje się w rejonie planowanych eksplozji?

– Kilkaset.

– Kilkaset – powtórzył tonem, który sugerował, że uważał poczynania Instytutu za świętokradztwo. – I sprawdziliśmy światy we wszystkich tych systemach?

– Nie we wszystkich – przyznała. – Większość z nich to gwiazdy wielokrotne, wokół których planety nie mogłyby krążyć po stałych orbitach. W innych nie istnieje biosfera...

– Pani doktor. – Brat Kendrick wyprostował się jak struna. Kim odniosła wrażenie, że składał się z samej brody, oczu i kręgosłupa. – Prawda jest taka, że nadał niewiele wiemy o tym, jak powstaje życie, dlatego zarozumiałstwem byłoby twierdzenie, a nawet tylko przypuszczenie, iż wiemy, jakie warunki są do tego konieczne. Pewność możemy mieć jedynie co do tego, że kilkaset systemom zafundujemy kąpiel promieni, w której będą tkwiły przez następny wiek albo dłużej. Możliwe, że zniszczymy to, czego szukamy.

Do stolika podszedł kelner. Kim poprosiła tylko o sałatkę. Podczas takich konfrontacji opuszczał ją apetyt. Jej towarzysz zamówił ryż gotowany na parze i węgorza cabana.

– Bracie Kendrick, od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę z zagrożeń i dlatego przez czternaście lat prowadziliśmy szeroko zakrojone badania, aby zyskać pewność, że nic przez nas nie ucierpi.

– Wiem, że chcecie postąpić słusznie. – Głos Kendricka złagodniał. – Ale według nas ludzie pozwalają sobie na zbyt wiele. – Kelner przyniósł wino. Kim zaproponowała toast na cześć Towarzystwa Teozoficznego. Brat Kendrick się zawahał. – W tej sytuacji byłoby to chyba niestosowne. Lepiej wypijmy za pani zdrowie, doktor Brandywine.

Wino miało nijaki smak.

– Zapewniam pana, że zrobiliśmy wszystko w granicach rozsądku – upierała się Kim.

– Ale nie zaprzestaliście eksperymentu. – Kendrick miał na sobie białą koszulę, szarą krawatę i szarą marynarkę. Jego oczy miały ten sam kolor. Prawdę mówiąc, całą jego postać spowijała dziwna szarość, tak jakby stracił wiarę w ludzką naturę i dawno już przestała go ona zdumiewać. Kim poczuła ciężar jego moralnego osądu. – Kiedy po raz pierwszy przeprowadzano doświadczenia z bombą wodorową – podjął Kendrick – istniały obawy, że wybuch mógłby spowodować reakcję łańcuchową. Cała planeta mogła wylecieć w powietrze.

Naukowcy jednak uznali, że takie ryzyko jest niewielkie. Rzucili na szalę to, kim byliśmy i kim mogliśmy się jeszcze stać. – Przyjrzał się zawartości kieliszka, po czym wychylił wino do dna. – Czym, według pani, różni się to od eksperymentu, jaki rozpoczął Instytut?

– W tamtym regionie nikogo nie ma – raz jeszcze powtórzyła Kim. – Nikogo, kto mógłby na tym ucierpieć.

Promienie światła padły na surowe rysy mężczyzny.

– Miejmy nadzieję, że się pani nie myli.

Z ulgą wróciła do biura. Gdy Matt zapytał ją, jak minął lunch, poskarżyła się, że Brat Kendrick pozostał niewzruszony. Nie przekonywały go żadne argumenty o warunkach, jakie musiały zaistnieć, zanim pojawiła się pierwsza cząsteczka organiczna. – Stwierdził, że nawet gdybyśmy wszystko sprawdzili, to by i tak nie wystarczyło.

– Przykro mi – powiedział Matt. – Musieliśmy spróbować.

– Następnym razem sam się nim zajmij.

– Już z nim rozmawiałem. – Postukał palcem w blat biurka. – Myślałem, że może okaże się wrażliwy na wdzięk kobiety.

– Musisz mi się za to zrewanżować.

Skinął głową.

– Jutro zapraszam cię na lunch. A tak przy okazji, Sal próbował cię złapać.

Sal brał udział w seminarium, więc musiała poczekać do wieczora. Właśnie szykowała się do wyjścia z pracy, kiedy na monitorze pojawiła się jego twarz.

– Nic z tego – powiedział.

– Z Archiwum? Myślałam, że znasz kogoś stamtąd.

– Sporo się tam pozmieniało. Podobno kogoś złapali, jak przelewał fundusze Archiwum na prywatne konto. – Sal wzruszył ramionami. – Przykro mi.

Na kolację wybrała się na Wyspę Calico w towarzystwie młodego mężczyzny, którego poznała przez Rycerzy Głębin. Należał do osób, które nie interesowały się karierą, ale nie potrafiły też

poświęcić życia wyłącznie na przyjemności. Wielu ludzi wybierało taki właśnie styl, unikając wszystkiego, co w jakiś sposób ograniczałoby ich czas lub wpędzało w rutynę.

Woleli angażować się w rozmaite przedsięwzięcia naukowe, zajmowali się teatrem, szachami albo uprawianiem sportów. Jeśli pozwalały im na to finanse, krążyli między plażami świata.

Życie było krótkie, twierdził towarzysz Kim, choć ludzie nigdy dotąd nie żyli tak długo. On sam poświęcił się poszukiwaniom *Mamory*, brygu, który zaginął gdzieś na północy po drugiej stronie globu.

– Jeśli odnajdę *Mamorę*, moje życie nie pójdzie na marne – oświadczył.

Mówił jak Kil Tripley.

I jak Emily.

Może także jak ona sama.

Ludzie są tak naiwni i tak łatwo ulegają chwilowym pragnieniom, że ten, kto zechce dopuścić się oszustwa, zawsze znajdzie chętną ofiarę.

Niccolo Machiavelli, 1513 n.e.

Owdowiała matka Kila Tripleya, Sara Tripley Baines, nadal mieszkała w Eagle Point, w tym samym domu, który zajmowała, gdy *Hunter* ruszał na ostatnią misję. W bazach danych Kim znalazła sporo wzmianek o niej i kilka najświeższych zdjęć. Pani Tripley lubiła formalne stroje i nadal wspaniale wyglądała, pomimo dość podeszłego wieku. W pełni zdawała sobie sprawę ze swego uroku.

Była przewodniczącą Klubu Architektów, który co roku przyznawał nagrodę za najlepszy projektu na budynek użyteczności publicznej. Należała też do zarządu Uniwersytetu Tupla i nadal aktywnie uczestniczyła w zawodach gimnastycznych. Kim obejrzała projekcję WR z wystąpienia pani Tripley podczas przyjęcia zorganizowanego na cele dobroczynne. Sara próbowała przekonać uczestników, aby wsparli pewien projekt budowy. Wypadła odrobinę sztywno, ale za to ogromnie szczerze.

W ogólnym rejestrze Kim znalazła jej numer telefonu. Z Instytutu zabrała jeden z wirtualnych projektorów i udała się do publicznej komkabin, aby nikt nie domyślił się, że maczała w tym palce. Z listy projektora wybrała jeden z dostępnych modeli – wysoką, rudowłosą, arystokratycznie wyglądającą kobietę – po czym wystukała numer Sary na klawiaturze, wybierając połączenie audio, co w kontaktach z nieznanymi uważano za zupełnie normalne.

Odpowiedziała jej domowa SI.

– Halo – powiedziała Kim. – Mówi Kay Braddock. Chciałabym rozmawiać z Sarą Baines.

– *Czy wolno mi spytać, jaką sprawę ma pani do pani Baines?*

Kim zawahała się na moment.

– Pracuję nad książką o dolinie Severin. Z tego co wiem, pani Baines była naocznym świadkiem wydarzeń na Mount Hope. Zastanawiałam się, czy nie mogłaby mi poświęcić kilku minut i opowiedzieć o szczegółach.

SI poprosiła ją, by chwilę poczekała. Kim skrzywiła się. Najpierw łapówka, a teraz to. Co potem? Kradzież?

– Kay Braddock? – Kim rozpoznała głos Sary. Mówiła z idealną dykcją. – Chyba jeszcze o pani nie słyszałam.

Kim włączyła wizję. Przed Sarą pojawiła się arystokratyczna, rudowłosa kobieta.

– Dlaczego skontaktowała się pani właśnie ze mną? – spytała Sara.

– W zeszłym roku słuchałam pani przemówienia o projekcie ekspansji. Tego, które wygłosiła pani do absolwentów Tupli. Pani uwagi wydały mi się bardzo wnikliwe i odniosłam wrażenie, że bardzo przejmuję się pani dobrem i historią naszego społeczeństwa.

– Dziękuję. Miło mi to słyszeć. – Obraz Sary pokazał się na monitorze. Siedziała w szarym polineksowym fotelu, a na jej kolanach spał zwinięty w kłębek, czarny kot. Była wysoka, jasnooka, rzeczowa i przyzwyczajona do wydawania poleceń, ale wyraźnie spodobał się jej pomysł

wystąpienia w książce. – Jaki ma być temat pracy? Nie wyobrażam sobie, co jeszcze można by dodać do materiałów, które dotąd zebrano na temat Mount Hope.

– Chcę przedstawić te wydarzenia z perspektywy kobiety. Interesuje mnie długotrwały wpływ katastrofy na rodziny ofiar, które wówczas zginęły.

– Ach tak. – Głos Sary zabrzmiał mało sympatycznie. Nie uspokoiło to rosnącego poczucia winy Kim.

– O tym rzeczywiście mogę pani opowiedzieć.

Sara uprzedziła Kim, że nie widziała katastrofy na własne oczy. Dotarła na miejsce zaraz po eksplozji. Wszystko jeszcze płonęło. Pierwsze godziny opisała bardzo ogólnie. Agonia, ciała zabitych, histeria i przerażenie wypełniające oczy ocalałych bezdenną pustką. Unikała mówienia o tym, co sama czuła, gdy się okazało, że prawdopodobnie straciła syna.

– Tak – ciągnęła. – Wiedziałam, że Kil wrócił z *Huntera*. Zadzwoił do mnie już z domu.

Wcześniej po każdej wyprawie zwykle zostawał kilka dni w Terminal City. Spotykał się z ludźmi z Fundacji i razem analizowali przebieg misji. Pewnie też trochę świętowali. Taki już był. Lubił ludzi. Miał wielu przyjaciół. Szkoda, że tym razem nie postąpił tak, jak zwykle. Nie byłoby go w domu, kiedy góra wyleciała w powietrze.

– Najpierw pojechała pani do domu syna? – spytała Kim.

– Oczywiście.

– Czy był zniszczony?

– Tylko przez wodę. Całą okolicę polewano, gasząc pożary. Ale poza tym nic się nie stało. Willa przetrwała w nienaruszonym stanie.

– Nikogo w niej nie było?

– Nie. – Zniżyła głos do szeptu. – Nie było go. Biedny Kil. Nigdy go nie odnaleziono. – Oczy Sary zaszyły mgłą. – Nie znaleźli też jego flyera. Musiał być w powietrzu, gdzieś niedaleko miejsca eksplozji. Wylatywał sobie w góry, żeby się odprężyć. Lubił to.

– Przykro mi, pani Baines. – Kim patrzyła, jak Sara przygląda się swojej bluzce, szukając czegoś, co mogłaby poprawić. Biały wzór na zielonym tle przypominał nuty. Całkiem ładny.

– Już w porządku. Minęło tyle czasu. – Osuszyła oczy.

Po raz pierwszy w dorosłym życiu Kim poczuła, że postępuje okrutnie. Mimo to nie zrezygnowała.

– Proszę mi opowiedzieć, co pani myślała i czuła, gdy wtedy weszła pani do domu syna?

– Chyba sama może się pani tego domyślić, pani Braddock.

– Bała się pani?

– Oczywiście.

– Czy znalazła pani coś, co wskazywałoby na to, dokąd syn się udał?

– Nie.

– Nic niezwykłego?

Sara spojrzała na nią podejrzliwie.

– Nie – odparła. – Biorąc pod uwagę to, co się działo na zewnątrz, willa wyglądała całkiem normalnie. Poza tym, że nie było w niej mego syna.

– Ile czasu upłynęło od wybuchu?

– Około dwóch godzin. Na pewno nie więcej. Wciąż przybywały nowe ekipy ratownicze.

– Sara na moment umilkła i pokręciła głową. – Takie rzeczy się zdarzają – powiedziała. – Kil był dobrym synem. I wrażliwym człowiekiem.

– Pani Baines, czy zauważyła może pani jakieś notatki lub nagrania z ostatniej misji? Coś, co pomogłoby w... – Kim zająknęła się, niepewna jak zakończyć zdanie.

Rysy twarzy Sary zeszywniały.

– Słyszałam wszystkie plotki, pani Braddock. Zapewniam panią, że gdyby wydarzyło się tam coś niezwykłego, wiedziałabym o tym jako pierwsza. W domu syna nie było nic, co miało jakikolwiek związek z tamtą wyprawą. Przynajmniej ja nic takiego nie zauważyłam.

Żadnych raportów. Żadnych nagrań. Nic.

– Rozumiem.

– Cieszę się. – Sara Baines już się domyśliła, jaki był główny cel Kim, ale nie poczuła się z tego powodu urażona. – Kiedy to wszystko się skończyło, próbowałam sprzedać willę.

Niestety, na początku żądałam zbyt wiele i straciłam okazję pozbycia się domu. Potem nikt go już nie chciał. W końcu przekazałam go jakiejś religijnej grupie. Z tego co wiem, nadal mają prawo własności. Przypuszczam, że czekają, aż ludzie wrócą do doliny.

– Zatrzymała pani prywatne rzeczy syna?

– Głównie jego książki. I kilka przedmiotów. Część mebli oddałam, ale większość zostawiłam w domu. – Sara zamyśliła się. – Miał też rzeźbę przedstawiającą parę jastrzębi.

Wiedziałam, że Mara chciałyby...

– Mara?

– Matka Bentona. Zatrzymałam też lampę. Dałam ją Kilowi na urodziny. Benowi dałam komplet podpórek do książek i model statku kosmicznego.

– *Valianta* – wtrąciła Kim.

– Tak. Skąd pani wie?

Kim uśmiechnęła się i nagle przyszła jej do głowy szalona myśl. *Po co ktoś miał*

poświęcać mnóstwo czasu na budowę modelu statku i zapominać o dyszach napędowych?

Może Tripley zrobił serię zdjęć obcego statku i w oparciu o nie zbudował o wiele mniejszą replikę? To by dopiero było, gdyby Benton siedział sobie w gabinecie, mając przed sobą na półce wielką tajemnicę.

– Kiedyś miałam przyjemność poznać Bena – powiedziała spokojnie. – Wiem, że model wiele dla niego znaczył.

– Tak. – W oczach Sary pojawiły się łzy. – Nic więcej nie zostało. Niewiele, jak na całe życie.

Kim chciała wprost zapytać, czy Sara widziała w willi jakieś ślady obecności Yoshi, wskazówki, że w domu syna była kobieta. Nie wiedziała jednak, jak to zrobić, aby nie zrazić do siebie rozmówczyni. Sara i tak nigdy by jej tego nie powiedziała.

– Dziękuję za rozmowę, pani Baines – powiedziała w końcu.

– Jaki będzie tytuł? – spytała Sara.

– Tytuł czego?

– Pani książki?

– Ach tak. – Przez chwilę zastanawiała się. – *Co nam zostało.*

– Proszę mi wysłać egzemplarz.

– Oczywiście. Zrobię to z przyjemnością.

Archiwa Narodowe znajdowały się w Centrum Kaydon w Salonice, stolicy Republiki, 120 kilometrów na zachód od Seabright. Salonika była miastem na pokaz, z powietrznymi chodnikami, fontannami i marmurowymi pomnikami upamiętniającymi wydarzenia z historii Greenway. Stał tu George Patkin, ogłaszający narodziny Republiki, i Millicent Hodge, wypuszczający pierwszą ławicę łososi do zbiornika, który później nazwano Jeziorem Makor.

W parku Liberty Green, dawny astronom Shepard Pappadopoulo – którego imieniem Kim nazwała domową sztuczną inteligencję – celował w Henry'ego Hoxa, syna dyktatora, w scenie z Bitwy o Dwie Rzeki.

Archiwa mieściły się w długim, dwupiętrowym, praktycznym budynku, z promenadą i lśniąca taflą basenu od frontu. Akwen otaczały świerki. Między zadbanymi trawnikami wiły się ścieżki. Szerokie, marmurowe stopnie prowadziły do głównego wejścia strzeżonego przez Erika Kaydona, pierwszego premiera.

Kim westchnęła i raz jeszcze spojrzała na zdjęcie Manvila Plymoutha, asystenta Komisarza Rejestrów Transportu. Plymouth znał Sala, więc to Kim musiała wykonać brudną robotę.

Włożyła srebrną perukę i szkła kontaktowe zmieniające kolor oczu.

Pamiętała, co mówił Sal. *Pod koniec dnia Plymouth zawsze wychodził przez Salę Wolności.* Podczas przygotowań jej przyjaciel czuł się niezręcznie. Stale powtarzał, że Kim zachowuje się obsesyjnie. Namawiał ją, aby raz jeszcze zastanowiła się, co robi, pomyślała o swojej i jego karierze. Nawet groził, że zostawi ją z tym wszystkim samą. Wtedy nie miałyby szans na powodzenie i dobrze o tym wiedział. W końcu, kiedy przekonał się, że Kim i tak zamierza zrealizować swój plan, pomógł jej.

Sala Wolności znajdowała się w środkowej rotundzie budynku. Tutaj trzymano najważniejsze dokumenty w historii Republiki: Akt Praw Człowieka, który znosił władzę absolutną Gregory'ego Hoxa, czwartego i ostatniego z dyktatorów; Statut Republiki, ustanawiający zasady, jakimi miał się kierować rząd i określający prawa oraz obowiązki obywateli; a także wygłoszoną w Canbury mowę Josepha Allbrighta, która w najczarniejszych dniach rewolucji tchnęła nową nadzieję w rebeliantów.

Prócz tego znajdowało się tu mnóstwo prasy, listów, dzienników i wszelkich dowodów dokumentujących 327 lat historii Republiki: uwieczniony moment powitania Bordeura przez Stanfielda, po zniesieniu przez Ziemię stuletniego embarga; odręczne notatki Amahla, w których wymieniał poświęcenie lekarzy z Dubois; a także *dzienniki* pokładowe z *Regala*, pierwszego międzygwiazdowego statku Republiki.

Kim od niechcienia krążyła po Galerii, udając, że przygląda się przedmiotom wystawionym w oświetlonych gablotach.

Sal twierdził, że z całego budynku tylko w tej sali zainstalowano system alarmowy z prawdziwego zdarzenia. Pomieszczenia pilnowano dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na szczęście zwykle rejestry, nie będące własnością rządu, trzymano we wschodnim skrzydle.

Nigdy nie zdarzyło się tam nic niezwykłego, więc nie przejmowano się zbytnio ryzykiem kradzieży. Ale najpierw Kim musiała się dostać do środka. Przy każdym wejściu skaner identyfikował DNA wchodzącego i dopiero potem zezwalał na wstęp.

Właśnie do tego potrzebowała Manvila Plymoutha.

Czekała na niego tylko kilka minut. Wszedł do hali od strony wschodniego skrzydła.

Zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem przemierzył rotundę, nie rozglądając się wokół.

Kim raz jeszcze porównała go ze zdjęciem. Dopiero gdy zyskała pewność, że to ten sam człowiek, ruszyła za nim, wychodząc z budynku na Aleję Republiki.

Plymouth był fanatykiem ćwiczeń fizycznych. Codziennie odwiedzał centrum sportowe Blockhouse.

Blask słońca zaczynał już blednąć. W tym rejonie miasta znajdowało się wiele budynków sektora państwowego: ratusz, sąd, siedziba komisji przyznającej licencje, izba handlowa, legislatura i Narodowa Galeria Sztuki. Plymouth szedł szybko. Jego długie nogi dosłownie połykały metry chodnika. Kim musiała przyspieszyć, starając się za nim nadążyć. Przy jednym z drzew dostrzegła Sala.

Niestety, Plymouth szedł w złą stronę. Skręcił na północ, oddalając się od centrum sportu, przeszedł aleję, minął park i fontannę, a w końcu skręcił do sklepu z odzieżą. Po kilku chwilach wyszedł stamtąd z plastikową torbą. Potem zatrzymał się raz jeszcze, żeby kupić coś w sklepie elektrycznym.

Przy każdym ruchu jego mięśnie napinały się wyraźnie. Nawet w świecie wysportowanych ludzi wydawał się wyjątkowo muskularny. Był niesłychanie wąski w pasie i szeroki w ramionach. Tylko raz obejrzał się za siebie. Kim udała wtedy, że przygląda się wierzchołkom drzew. Tymczasem on odwrócił się i ruszył tym razem na południe. Minął Muzeum Klacknera i za nim skręcił w długą alejkę prowadzącą przez niewielki lasek wprost do centrum Blockhouse. Tym razem wiedziała, dokąd zmierzał. Specjalnie została z tyłu i trzymała się w bezpiecznej odległości, tak, by jej nie widział.

Wbrew nazwie, budynki bazy sportowej miały ozdobną i nieregularną konstrukcję. Od frontu wznosiły się na trzy piętra, z tyłu były niższe, z mnóstwem przyciemnionego szkła.

Kilkanaście szerokich stopni prowadziło do wejścia. Plymouth pokonał je błyskawicznie, przeskakując po dwa naraz i znikł wewnątrz budynku.

Kim swobodnym krokiem ruszyła za nim. W holu już go nie było. Udał się do męskiej przebieralni. Wiedziała jednak, dokąd trafi.

W damskiej szatni było około dwudziestu pań, które brały prysznic lub zmieniały stroje.

Kim zajęła jedną z szafek, wzięła ręcznik, przebrała się w kostium gimnastyczny i posłuszna wskazówkom Sala, udała się do sekcji ćwiczeń ogólnych. Kilkanaście osób obu płci korzystało z maszyn siłowni. Wśród nich nie dostrzegła Plymoutha.

Czekając na niego, zrobiła kilka rozluźniających przysiadów. W końcu pojawił się ubrany w szorty i bluzę, z ręcznikiem zawiniętym wokół szyi. Kiedy na nią spojrzał, uśmiechnęła się zachęcająco.

– Witam – powiedział. – Chyba cię jeszcze tutaj nie widziałem.

– Jestem tu pierwszy raz. Postanowiłam spróbować.

– Dobrze wybrałaś. – Wyciągnął do niej rękę. – Mam na imię Mike. – Wiedziała, że nie lubił imienia Manvil i nigdy go nie używał.

– Witaj Mike – odparła, ściskając jego dłoń. – Kay Braddock.

– Mieszkasz w tej okolicy od niedawna, Kay? – Oboje wybrali durofleksy i wspięli się na ławy.

– Właśnie się przeprowadziłam. Z Terminal City.

– Spodoba ci się w Salonice. To miasto kultury. Zająć tu nie brak. Może nie jest aż tak komercyjne... – Zawahał się, kiedy uświadomił sobie, że może się poczuć urażona jego uwagą, ale zabrnął za daleko, aby się wycofać. – Aż tak komercyjne, jak większość miast.

Wiedziała, że chciał powiedzieć *niż Terminal City*. Nie był zbyt bystry. Tym lepiej dla niej. Skinęła głową, nastawiła licznik na dwadzieścia minut i weszła do urządzenia. Jeśli on po tym czasie siedziałby jeszcze w swoim durofleksie, po prostu zamierzała dodać kilka minut.

Maszyna dostosowała się do jej wymiarów. Wokół nadgarstków i kostek owinęły się czujniki. Elektrody przycisnęły się do ud i pośladków.

– Często to robisz? – zawołał do niej Plymouth. Trudno było prowadzić rozmowę, przekrzykując urządzenia, ale jego to nie zniechęcało.

Durofleks zaczął się poruszać, na początek powoli i delikatnie, lekko pociągając ramiona i nogi, krążąc ramionami, ściskając kolana i masując pośladki.

– Tak – odparła. – Lubię ćwiczyć.

Potem już tylko słuchała o teatrach i muzeach, o tym, jak przyjechał do Saloniki pod koniec wojny, znalazł tu dom i poczuł, że nie chciałby mieszkać w żadnym innym miejscu, i że tu zawsze dopisywała pogoda. W końcu zdobył się na odwagę i zaprosił ją na kolację.

– Znam taką miłą knajpkę nad jeziorem...

Był na tyle miły, że zapomniała o swoich uprzedzeniach wobec biurokratów, do których sama się zaliczała. Plymouth miał sporo uroku osobistego.

– Chętnie – odparła. – Będzie mi bardzo miło. – Wspólnej kolacji nie uważała za wielkie poświęcenie. Zadowolony z jej odpowiedzi wreszcie umilkł, całkowicie poddając się ruchom maszyny.

Kim poszła za jego przykładem.

Durofleks po chwili zwiększył tempo. Rozciągał całe grupy mięśni i włączył program serii szybkich przysiadów. Za każdym razem, gdy zmieniał ustawienia, rozlegał się sygnał.

Kolejny dźwięk i teraz wykonywała skłony dotykając dłońmi stóp.

Poddała się urządzeniu. Zamknęła oczy i odprężyła się, czując przyjemność płynącą z ćwiczeń fizycznych. Kim nie należała do entuzjastów maszyn. Woląла ćwiczyć sama w tradycyjny sposób, ale ten system bez wątplenia miał zalety. Można było niemal przez sen ćwiczyć pompki.

Po jakimś czasie zaczęły ją boleć mięśnie. Wyczuwając jej dyskomfort maszyna trochę zwolniła, ale nie na tyle, by Kim poczuła ulgę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że urządzenie Plymoutha się zatrzymało. Właśnie z niego wychodził. Był zupełnie mokry od potu. Ręcznikiem wytarł głowę i kark.

– Zobaczmy się w holu? – spytał.

Urządzenie właśnie włączyło serię ćwiczeń z uginaniem kolan. W tej sytuacji trudno jej było zachować godność albo chociaż zdobyć się na w miarę zrozumiałą odpowiedź. Oboje się roześmieli, a Mike zerknął na jej licznik, na którym widniało jeszcze sześć minut. Skinęła głową na znak, że dołączy do niego, jak tylko maszyna się zatrzyma.

– Dobrze. – Plymouth wrzucił ręcznik do kosza, uśmiechnął się do niej szeroko i wyszedł z sali. Jak tylko znikł jej z oczu, wcisnęła guzik STOP. Durofleks stanął i wypuścił ją.

Miała ochotę poleżeć spokojnie w urządzeniu i poczekać, aż przestaną ją boleć plecy i ramiona. Niestety, czas na to nie pozwalał. Zeszła na podłogę i utykając podeszła do kosza.

Sala opustoszała. Żadna z trzech czy czterech osób, które nadal kiwały się w przód i tył w swoich maszynach, nie zwracała na nią uwagi. Kim przesłoniła swoim ręcznikiem pojemnik, wyciągnęła stamtąd ręcznik Plymoutha i wrzuciła do środka własny.

Dziesięć minut później przekazała czekającemu w holu Salowi pakunek, a potem zaczekała na Mike'a.

Pod koniec wieczoru z niechęcią myślała o tym, że wykorzystuje tak miłego człowieka.

Wybrana przez Mike'a restauracja okazała się nietuzinkowym, małym bistro o nazwie „Furtka”. Z okien roztaczał się wspaniały widok na jezioro i wzgórza. Całą salę oświetlono świecami, w tle grała łagodna muzyka, a na kominku płonął ogień. Jedzenie było dobre i nie żalowali sobie wina. Odkryła w Mike’u melancholię, która najpierw ją zdumiała, a potem zupełnie oczarowała.

Urodził się na Pacyfice. Był na wojnie.

– Po *ich* stronie...? – spytała.

– Oczywiście. – Los przypadkiem zetknął go z Kane'em. Mike bił się na *Hammurabim*, gdy szwadron Kane'a zaatakował. Potem długo dryfował w kapsule ratunkowej. Dopiero po jedenastu dniach uratowała go łódź patrolowa „Greeni”. – Już nigdy nie wróciłem do domu – wyjaśnił.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem. Tutaj znalazłem przyjaciół. Podobało mi się to miejsce. Wszyscy mnie zaakceptowali. Poza tym, zmieniło mnie to, co przeżyłem w kapsule.

– Jak to?

– Chyba lepiej zrozumiałem, czego oczekuję od życia. Zdecydowałem, co naprawdę się liczy.

– A co się liczy?

– Przyjaciele. – Uśmiechnął się znacząco. – Piękne kobiety. I dobre wino. – Przeniósł wzrok na świecę płonącą w świeczniku na ścianie. – Zapach topiącego się wosku.

Takiego mężczyznę mogła polubić.

Mój Boże – powtarzała sobie w myślach – przecież to biurokrata. A co gorsza pracuje dla rządu. Ma świra na punkcie sprawności fizycznej. A takie sztuczki stosuje pewnie wobec wszystkich kobiet.

Mike wyciągnął rękę i nieśmiało dotknął jej dłoni. Wstrzymała oddech. Jej serce zaczęło szybciej bić. Wyobraziła sobie, jak Plymouth zabiera ją gdzieś na wyspę. Zobaczyła siebie i jego podczas spaceru oświetloną przez księżyc plażą.

Akurat! Drugi raz nie spojrzałby na kobietę, która zamierzała zrobić z niego głupca.

Przez chwilę zastanawiała się czy nie powinna zrezygnować z przedsięwzięcia. Nie. Nie mogła. Za nic. Zresztą, już i tak było na to za późno. Podała mu nieprawdziwe imię.

Mimo to zaczęła się zastanawiać, co powiedziałby Sal, gdyby na noc nie wróciła do hotelu.

Wyszli z „Furtki”. Przez godzinę spacerowali brzegiem jeziora. Rozmowa stawała się coraz bardziej intymna. Kim dostrzegała w jego oczach dziwną tęsknotę i wylawiała subtelne podteksty z opowieści o pracy w Archiwach i o trzech kundelkach, których był właścicielem.

– Lubię żeglować – powiedział. – Trzymam jacht na jeziorze Winslett.

– Nurkowałeś kiedyś? – spytała.

– Nie, ale chciałbym spróbować. A ty?

Skinęła głową.

– Według mnie nie wyglądasz jak rządowy biurokrata. – Od razu zrozumiała, że nie powinna tak mówić. Żałowała, że nie może cofnąć ostatniego zdania.

On jednak tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się, tak jakby był przyzwyczajony do takich uwag. Wyjaśnił, że nie pracował w Archiwach tylko ze względu na wyższe zarobki.

Naprawdę lubił statystykę i porządek. Podobała mu się odpowiedzialność za dzielenie historii, która – według niego – była okropnie chaotyczna, na dzienniki, roczniki, raporty dochodzeniowe i rejestry przeprowadzonych transakcji. Potem odpowiednio sortował dokumenty.

– Katalogowanie wydarzeń daje mi coś w rodzaju poczucia, że nad tym panuję. Ale wiem, jak inni to widzą.

W innych okolicznościach uznałaby, że to beznadziejnie nudny zawód. Ale gdy o nim mówił, w jego głosie pojawiała się wesoła nuta. Poza tym, chyba się domyślał, co ona o tym sądziła.

– Jestem doskonałym materiałem na bibliotekarza – powiedział.

Kim sporo się napociła, aby dotrzymać mu kroku w rozmowie. Stwarzając fałszywe imię musiała oprawić je w serię kłamstw. Powiedziała, że jest nauczycielką. Uczyła matematyki.

Dostała posadę na Uniwersytecie Danforth i za dwa tygodnie zaczynała zajęcia. Z trudem przypomniała sobie fałszywe imię Kay. Wszystko zaczęło jej się mieszać.

Pod koniec wieczoru nie pamiętała, w jakiej gałęzi matematyki się specjalizuje, jaką nazwę nosiła szkoła, w której rzekomo pracowała, mieszkając w Terminal City, ani nawet kiedy przyjechała do Saloniki. Czy w ogóle o tym mówili? Była pewna, że tak.

Skąd pochodziła?

– Z Eagle Point.

– Mój brat tam mieszka. Z jakiej części Eagle Point?

Czy znała jakąś dzielnicę? Musiała zmyślić nazwę.

– Z Camulet – powiedziała mając nadzieję, że Mike wiedział o tym mieście równie niewiele.

– Ach tak. – Po jego reakcji domyśliła się, że dobrze znał tamte strony. Droczył się z nią?

A może też coś ukrywał?

Zaczęła sobie uświadamiać, że nigdy nie zapomni tego wieczoru. Widziała siebie, jak po latach wspomina Mike'a Plymoutha i gnębiona wyrzutami sumienia zastanawia się, co się z nim stało.

– Powinam już wracać do domu – powiedziała w końcu.

– Rzeczywiście, zrobiło się późno.

Uparł się ją odwiedzić. Podała więc nazwę hotelu – oczywiście nie tego, w którym się zatrzymała z Salem – i pojechali tam taksówką. Po drodze oboje milczeli. Pojazd mknął zachmurzonym niebem.

– Zobaczymy się jeszcze? – spytał Mike, tak jakby coś przeczuwał i wiedział, że drugiej randki nie będzie.

– Zadzwoń do mnie do hotelu – odparła.

Ponownie zapadła cisza. Wokół nich pojawiły się światła. Kim wiedziała, że oboje czują się zakłopotani, ale tylko ona znała prawdziwą przyczynę. Taksówka wylądowała. Kim wysiadła i poczuła chłodny wiatr. Mike dołączył do niej. Przez chwilę stali, trzymając się za ręce i patrząc na siebie.

– To był cudowny wieczór – powiedziała w końcu Kim.

– Czy coś zrobiłem nie tak?

– Nie. Jestem tylko zmęczona. Mam za sobą długi dzień.

Pocałował ją lekko. Zesztywniała, a on uśmiechnął się do niej smutno, wyczuwając jej chłód.

– Cieszę się, że cię poznałem, Kay – powiedział.

Ścisnął jej dłoń, spojrzał w kierunku windy i przeniósł wzrok na czekającą taksówkę.

– Bardzo chciałbym jutro to powtórzyć.

– Tak. Byłoby miło – powiedziała. Wołała, żeby nie dzwonił do niej w ciągu dnia. Mógł się za wcześnie dowiedzieć, że tu nie mieszkała. – Przyjedź po mnie o dziewiątej – poprosiła.

– Możesz na to liczyć.

– Dobrze. A tak na wszelki wypadek, daj mi swój numer.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Kay.

Stał przy taksówce, odprowadzając ją wzrokiem do windy. Wsiadła do kabiny i wcisnęła guzik recepcji. Pomachał jej, ona także podniosła rękę. Drzwi się zamknęły.

Jesteś idiotką, Kay.

– Jak poszło? – spytał Sal.

– W porządku. – Wzruszyła ramionami.

– Chyba się nie zorientował, co?

– Nie. Nie ma o niczym pojęcia.

– To dobrze. Przekazałem paczkę Alanowi. Wcale się nie cieszył.

Alan był przyjacielem Sala. Pracował w laboratorium Instytutu.

– Wie, że robimy coś nielegalnego i jeśli wpadniemy, jemu też się dostanie.

– Przecież go nie wsypujemy.

– Nie musimy. Nie trzeba geniusza, żeby się domyślić, kto nam pomagał.

Coraz bardziej nie podobał się jej obrót spraw.

– Na dziś skończyłem – oznajmił Sal. – Jutro powinniśmy dostać wszystko z powrotem i możemy w nocy ruszać.

– Zaczynam się zastanawiać, czy warto – powiedziała.

Nie krył przed nią, że wcale go to nie dziwiło.

– Dobrze wiesz, co ja o tym myślę. Powiedz tylko słowo i natychmiast kończymy. Nie sądzę, abyś coś na tym zyskała. Niczego nowego pewnie się nie dowiesz. Yoshi rzeczywiście mogła być w domu Tripleya, ale to można wyjaśnić zupełnie zwyczajnie. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby została u niego kilka dni.

– Miała jechać do hotelu z Emily.

Wzruszył ramionami.

– Nikt nigdy nie dowiedział, że obie wsiadły do tamtej taksówki. Użyły identyfikatora Emily. Yoshi mogła pojechać do Tripleya. Potem znalazła się w miejscu eksplozji. Pewnie nadal gdzieś tam jest. Nie wiedzieli o niej, więc w ogóle jej nie szukali.

Ale podczas ogólnych poszukiwań natrafiliby na jej ciało.

– Jeśli chcesz zrezygnować, powinnaś to zrobić teraz.

Nagle Kim przyszła do głowy dziwna myśl: Sal wprawdzie chciał, aby się poddała, ale

jednocześnie rozczarowałyby go, rezygnując.

Zrozumiała jeszcze jedno – już nie mogła się wycofać. Przez resztę życia zastanawiałaby się, co naprawdę się zdarzyło.

W każdym uczciwym człowieku drzemie złodziej. Wystarczy go tylko obudzić.

Della Thomas, Roczniki Karibejskie, 449

Paczka dotarła do nich po południu. Zawierała jedną, cienutką rękawiczkę szczelnie zapakowaną w przezroczyste pudełko. Kim włożyła je do wewnętrznej kieszeni żakietu.

W dzień próbowali zwiedzać miasto, ale Kim za bardzo się denerwowała i była rozkojarzona. Podczas posiłków ledwie skubała dania. Pod wieczór, jednym z powietrznych, ruchomych chodników udali się do Centrum Kaydona. Robiło się chłodniej i wzmagał się wiatr.

W twardym świetle zmierzchu Archiwa wyglądały ponuro. Z budynku wychodzili ostatni zwiedzający, szczelnie otulając się płaszczami. Z kamiennych ścieżek i z lądowiska zamieciono śnieg. Kim i Sal zbliżyli się do wejścia od strony zwierciadła basenu. Na jego powierzchni utworzyła się cienka warstwa lodu. Spod budynku właśnie startowała taksówka.

Sal był dziwnie nieswój.

– Jesteś pewien, że kamery nas nie rejestrują? – spytała Kim po raz trzeci lub czwarty.

– Tak – odparł. – Stale monitorują tylko Salę Wolności. Pozostałe włączają się tylko, jeśli system nie rozpozna twego DNA.

Wolała nie wiedzieć, co by było, gdyby złapano ją na gorącym uczynku. Przez cały dzień nie mogła myśleć o niczym innym. Czułaby się lepiej, mając do dyspozycji flyera w razie, gdyby musieli jak najszybciej się stąd ulotnić. Ale zwróciliby na siebie uwagę, parkując pojazd na lądowisku. Poza tym Sal twierdził, że gdyby coś poszło niezgodnie z planem, flyer i tak by im nie pomógł. Policja znałaby tożsamość intruzów jeszcze zanim zdążyliby opuścić budynek.

– Nadal jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – spytał ją po raz kolejny.

– Co nam zrobią, jeśli nas złapią?

– Kilka miesięcy na farmie. Może kilka dni w boksie. – Boks był przezroczystym sześcianem ustawionym w publicznym miejscu, aby każdy kto znał przestępcę, mógł sobie popatrzeć, jak nisko można upaść. Powiadamy wszystkich członków rodziny i przyjaciół, aby mogli przyjść osobiście albo popatrzeć na czyjeś upokorzenie, nie wychodząc z domu.

Kim zawsze uważała, że to wyjątkowo okrutna kara jak na społeczeństwo, które uważało się za oświecone.

Już widziała nagłówki gazet: RZECZNICZKA INSTYTUTU ARESZTOWANA ZA KRADZIEŻ; PSYCHOLOGOWIE TŁUMACZĄ, DLACZEGO BRANDYWINE WYBRAŁA DROGĘ PRZESTĘPCZĄ?

Zbliżyli się do frontowego wejścia, po czym skręcili w prawo, alejką, która biegła dookoła budynku.

– Nie ma sensu, żebyśmy tam wchodzili oboje – powiedziała Kim. – Wiem, czego mam szukać. Może powinieneś zaczekać na zewnątrz? Przecież...

– ...i tak tu jestem – powiedział Sal. – Poza tym, możesz mnie potrzebować.

Skierowali się ku bocznemu wejściu i zatrzymali się na podeście przed przeszkłonymi drzwiami. Wewnątrz budynku widzieli korytarz z rzędami drzwi prowadzących do biur.

Z cichym stukiem otworzył się czytnik, a obok wyświetliły się instrukcje: PROSZĘ PRZYTKNAĆ OPUSZKI PALCÓW DO OBIEKTYWU I NIE ODRYWAĆ ICH AŻ DO ZAKOŃCZENIA PROCEDURY.

Kim rozejrzała się wokół, sprawdzając czy nie są obserwowani. Z kieszeni wyjęła pojemnik, wyciągnęła rękawiczkę, wsunęła w nią dłoń, mocno naciągnęła i pokazała ją Salowi.

– Idealna – powiedział.

Przytknęła palce do wyznaczonego miejsca. Rozległ się cichy trzask zamka i drzwi się otworzyły. Weszła z Salem do środka. Drzwi natychmiast zasunęły się za nimi.

Przed sobą mieli długi, mroczny korytarz z rzędami drzwi po obu stronach. Szary sufit dopominał się o remont. Panele drzwi były półprzezroczyste. Kiedy je mijali, na wyświetlaczach pojawiały się cyfry i nazwy mówiące, co się znajdowało za każdym z nich.

Minęli Normy, Personalny, Serwis, Planowanie, Ochronę i Operacje specjalne.

Budynek wydawał się pusty.

– Pracuje tu jakieś dziewięć lub dziesięć osób – powiedział Sal. – Oczywiście w normalnych godzinach.

– Pełnomocnicy rządowi?

– Tak. Kilku dyrektorów. I analityków systemowych. Każdy ma jakiś tytuł. Rutynowe zadania są zautomatyzowane. Z tego co udało mi się dowiedzieć, nikt tu nie przesiaduje po zamknięciu.

Wypowiedział to w złą godziną. Zaledwie przeszli kilka metrów, kiedy usłyszeli za sobą trzask zamka. Dobiegł od strony Sali Wolności. Drzwi jednego z biur otworzyły się i zobaczyli mężczyznę w zielonym kombinezonie. Nieznajomy przyjrzał im się ze zdziwieniem.

Serce Kim stanęło. Miała ochotę rzucić się do ucieczki.

– Idź, jak gdyby nigdy nic – szepnął Sal, mocno chwytając ją za rękę. Sprawdził jeden z wyświetlaczy, pokiwał głową jakby znalazł to, czego szukał, po czym odwrócił się wprost ku nieznanemu.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Miał oliwkową skórę, szerokie ramiona i wyraz zmęczenia na twarzy, który sugerował, że tego dnia praca nie szła mu najlepiej.

– Witam – odezwał się. – Czy mogę w czymś pomóc?

Sal pokazał mu z daleka identyfikator.

– Rutynowa kontrola ochrony – odparł. – Tutaj wszystko w porządku?

– Chyba tak.

– To dobrze. – Sal spojrzał znacząco na jedne z drzwi. – Dzięki. – Pchnął je lekko i z zadowoleniem skinął głową, kiedy nie ustąpiły pod naciskiem. Kim natychmiast odczytała jego intencje i sprawdziła drzwi po drugiej stronie korytarza. Wyminęli mężczyznę w kombinezonie i ruszyli dalej korytarzem raz po raz sprawdzając wejścia do biur.

Nieznajomy obserwował ich, dopóki nie skręcili w boczne przejście, znikając mu z oczu.

– Co ty na to, Sal? – spytała Kim.

– Nie wiem. Chyba wypadliśmy niezbyt naturalnie. – Przez chwilę nasłuchiwali kroków.

Kiedy nic nie usłyszeli, Kim wyjrzała zza rogu. Mężczyzna właśnie wychodził z budynku.

– Teren czysty – stwierdziła.

Sal zajrzał do notatek, poprowadził do następnego przejścia i skręcił w lewo. Znaleźli się przed

działem REJESTRÓW i odszukali drzwi oznaczone tabliczką INTERSTELLAR – LOTY PRYWATNE.

Sal wyjął pęk uniwersalnych kluczy. Były to plastikowe karty. Każda zawierała kody otwierające wewnętrzne zamki, jakich używano we wszystkich instytucjach. Wypróbował cztery lub pięć, zanim zamek ustąpił i drzwi się otworzyły.

– Byłbyś niezłym włamywaczem – stwierdziła Kim.

Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Oni po prostu nie obawiają się włamań. Nie tutaj. Bardziej pilnują od frontu, tam gdzie trzymane są dokumenty państwowe. Nawet komar uruchomi tam alarm. Natychmiast pojawia się straż, a wejścia są awaryjnie zamykane. Tutaj to zupełnie inna zabawa. Nikt się nie przejmuje starymi rejestrami.

Weszli do pomieszczenia i zamknęli za sobą drzwi.

Nie było duże. Niewielkie okno wychodziło na maleńki dziedziniec. Kim usiadła przy terminalu i wywołała główne menu. Znalezienie dziennika pokładowego lotu MJE4471886

Huntera z datą powrotu 30 marca, 573 roku zabrało jej niecałe dwie minuty.

– Mam. – Włożyła dyskietkę i wydała komputerowi polecenie zapisu danych.

Sal położył palec na ustach. Usłyszeli czyjeś kroki na zewnątrz. Sal schował się za drzwiami, aby zaglądając z zewnątrz do środka, nie można go było dostrzec. Kim skuliła się za biurkiem.

Głosy.

Dwie osoby. Rozmowa, a potem śmiech. Zaczęły się oddalać.

Kim ze zdumieniem stwierdziła, że jest podekscytowana. Ścisnęła ramię Sala.

– Co? – spytał.

– Powinniśmy to robić częściej – powiedziała.

Sheyel poprawił poduszki i wygodniej usiadł w rzeźbionym fotelu.

– Kim, jak miło, że się do mnie odezwałaś. Masz jakieś wieści?

– Raczej nie. Chciałam ci podziękować za wiadomość o rozmiarze buta Yoshi.

– Żaden kłopot. Powiesz mi wreszcie, do czego ci to było potrzebne?

– Znalezliśmy but z przyczepną podeszwą w willi Kila. Rozmiar się zgadza.

– Tak?

– Na razie nic więcej nie mamy. Poza tym, to pewnie nic nie znaczy.

Milczał.

– Potrzebuję więcej informacji – powiedziała Kim.

– Oczywiście. Jeśli tylko mogę pomóc.

– Czy Yoshi miała coś sztucznego w organizmie? Coś, co wykryłyby czujniki?

Zamknął powieki.

– Nie sądzę.

– Może coś sobie poprawiała? Albo coś jej wymieniono?

– Nie. O niczym takim nie wiem. Kiedyś podczas gry w węża miała mały wypadek.

Musieli jej założyć koronki na zęby.

– To nam chyba nic nie da. No trudno. Spróbuję czegoś się dowiedzieć w inny sposób. A jeśli

tobie coś się przypomni, daj mi znać.

Pokiwał głową.

– Dziękuję ci, Kim. Doceniam to, co robisz.

Wyłączyła się. Nadała sobie drinka, przez moment wpatrywała się w numer kodu zapisany na kawałku papieru, po czym wystukała go na klawiaturze.

– Halo? – usłyszała głos Mike'a Plymoutha. Nie włączyła wizji.

– Cześć, Mike. – Starła się, by jej głos brzmiał jak najłagodniej.

– Witaj, Kay. Miałem nadzieję, że się do mnie odezwiesz.

– Przykro mi, ale dziś nie mogę się z tobą spotkać.

– Ach tak. Trudno. U ciebie wszystko w porządku?

– Tak.

– Może spotkamy się kiedy indziej?

Wcześniej wyprosiła Sala z pokoju, teraz żałowała, że nie ma go z nią.

– Raczej nie. Chyba nie ma to sensu.

– Hm. – Mike nie wiedział, co powiedzieć. Zastanawiał się, jak wyjść z twarzą z takiej sytuacji.

– Przykro mi. – Chciała na poczekaniu coś zmyślić, jakoś mu pomóc. Powiedzieć, że kogoś ma, że poprzedniego wieczoru tylko udawała. Ale nie zrobiła tego. – Mam teraz mnóstwo pracy.

– Rozumiem. – W pokoju zapadła cisza. – Żegnaj Kay.

Wyłączył się. Kim patrzyła w monitor.

– Żegnaj Mike.

W hotelu zamówili ser i wino do pokoju. Gdy oboje wygodnie usiedli, Kim wsunęła dyskietkę z dziennikami *Huntera* do portu, ustawiła ekran i spróbowała sera.

– Gotowy? – spytała, odwracając się do Sala.

Skinął głową. Włączyła program.

Zobaczyli napisy identyfikujące jednostkę, określające czas, miejsce i przewożone w celach handlowych towary („zero”). Poniżej pojawił się ogólny opis celu wyprawy i data – 12

lutego – według kalendarza Seabright. W tym dniu statek wyruszył z St. Johns.

Pierwsze zapisy wizualne pochodziły ze stacji, pokazywały inżynierów i personel pracujący przy *Hunterze*. Sal tłumaczył jej, co robili. Jedni sprawdzali system podtrzymywania życia, inni uzupełniali zapasy wody.

– Mamy tu dwa rodzaje danych – wyjaśnił. – Jedne, to stałe odczyty z różnych systemów pokładowych: podtrzymywania życia, nawigacji, zasilania i tak dalej. Drugie, to wizualna rejestracja tego, co dzieje się na mostku. Kamery rejestrują obraz tylko wtedy, gdy ktoś jest w kabinie. Jeśli jest ona pusta, albo jeśli pilot śpi – Sal podniósł ręce do góry – nic.

– Jak dużo pracy ma pilot?

– To trudny zawód. Trzeba być niezwykle inteligentnym, mieć ogromną wiedzę, świetny refleks...

– Sal... – Kim zamknęła oczy.

– Tajemnica służbowa!

– Chyba mnie możesz zaufać.

– Mogłabyś wyrzucić pilota w każdej chwili, a i tak byłabyś zupełnie bezpieczna.

– Naprawdę?

– Pewnie. Pilot robi trzy rzeczy: rozmawia z obsługą naziemną, instruuje SI dokąd ma lecieć i przejmuje stery, jeśli SI nawali, a to się nigdy nie zdarza.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle. Aha, SI też może komunikować się z ziemią. – Sal przewinął całą sekwencję z przeglądem technicznym. Pracownicy stacji w przyspieszonym tempie wykonali swoje zadania i zniknęli. Monitor przez moment nic nie pokazywał. Zegar przeskoczył o dwie godziny do przodu. Zobaczyli Markisa Kane'a wchodzącego do kabiny pilota.

Był wtedy o ponad czterdzieści lat starszy niż w czasie wojny, ale fizycznie Kane z

Huntera prawie nic się nie różnił od Kane'a z portretu w Muzeum Wielkiej Trójki. Wydawał się odrobinę mniej szczupły, a jego rysy stały się bardziej surowe. Poza tym, wyglądał tak samo.

Miał na sobie niebieski kombinezon. Na jednym z pagonów widniało logo *Huntera* na tle planety otoczonej pierścieniami, a pod spodem motto: WYTRWAŁOŚĆ.

Czarne włosy strzygł krótko i miał gładko ogoloną twarz. Kim pomyślała, że dzięki naturalnej młodości i witalności wyglądał dość atrakcyjnie. Był wojennym bohaterem i miał duszę artysty. Niezły życiorys.

Kabina pilota nie różniła się bardzo od tej, którą Kim zwiedziła podczas wizyty na

Hunterze. Oba fotele były inne, wykładzina jaśniejsza, a ściany ciemniejsze. Ale układ przyrządów się nie zmienił.

Kane usiadł w fotelu po lewej stronie i wziął do ręki notes. Kim patrzyła, jak metodycznie sprawdzał wszystkie pozycje z listy. Trwało to mniej więcej dziesięć minut. Po skończeniu wstał i opuściłabinę. Przypomniała sobie plan *Huntera*. Pamiętała, że z mostku wychodziło się na górny poziom galerii. Kamera zatrzymała nagrywanie. Zegar przesunął się o kolejne szesnaście minut i do kabiny ponownie wszedł Kane. Zajął fotel i zaczął dotykać migających kontroltek.

– Hunter *gotowy do lotu*.

– Hunter *masz pozwolenie na start*

Pilot dotknął dźwigni w poręczy fotela.

– *Za trzydzieści sekund odchodzimy. Pozapinajcie się.* – Jego szelki wysunęły się ponad ramieniem i samoczynnie wpięły na miejsce. Fotel odwrócił się frontem do konsoli.

W czasach, gdy *Hunter* wyruszał w ostatnią misję, baza St. Johns znajdowała się na krańcach zbadanej przestrzeni. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Dotąd nie powstała żadna bardziej odległa stacja. Wiele jednostek zapuszczało się dalej w kosmos, ale ich liczba wydawała się śmiesznie mała w porównaniu z jego ogromem. W Dziewięciu Światach spierano się o to, kto powinien ponosić koszty utrzymania bazy. Ruch statków kosmicznych gwałtownie zmalał i stacja już na siebie nie zarabiała. Mówiono nawet o jej zamknięciu.

Hunter lekko szarpnął do przodu. Kim patrzyła, jak od jego kadłuba odpadają rozmaite przewody. Widoczny na głównym ekranie i bocznych monitorach dok zaczął się przesuwać do tyłu coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zupełnie znikł. Statek przyspieszył, wciskając Kane'a w fotel. Kapitan zamienił kilka słów z obsługą stacji i dla porządku zarejestrował w dzienniku pokładowym, że jednostka obrała wytyczony kurs, a odczyty wszystkich przyrządów były znamionowe.

Sal przewinął nagranie do przodu. Kane nadal był w kabinie sam. Kontrolował instrumenty i od

czasu do czasu rozmawiał z SI. Mniej więcej kwadrans od wylotu ponownie odezwał się przez interkom.

– *Za pięć minut zaczynamy przyspieszanie do skoku. Emily i Kil już wiedzą, jak to wygląda. Yoshi, do zakończenia procesu nie będziesz się mogła ruszać. Zwykle trwa to około dwudziestu pięciu minut. Jeśli musisz coś załatwić, najlepiej zrób to teraz.*

– Silniki skokowe czerpią moc z głównego źródła zasilania – wyjaśnił Sal. – Większość systemów musi przez mniej więcej pół godziny spokojnie przyspieszać, zanim osiągną moc potrzebną do wykonania skoku w nadprzestrzeń.

Kane otworzył prywatny kanał komunikacji i powiedział Tripleyowi, że *Hunter* po powrocie powinien przejść gruntowny przegląd. Kim przewinęła rejestr do chwili, gdy konsolę rozjaśniło zielone światło.

– *Wchodzimy w nadprzestrzeń* – poinformował Kane.

Lampki zamrugały, przygasły, rozjaśniły się i znowu mrugnęły.

Kane sprawdził instrumenty pomiarowe i z wyraźnym zadowoleniem oznajmił pasażerom, że skok został wykonany prawidłowo. Poprosił wszystkich o zameldowanie się i poinformował, że mogli poruszać się swobodnie. Sam wstał, przeciągnął się i wyszedł z kabiny. Rejestrator się wyłączył.

Zegar odliczył siedemnaście minut i na monitorze pojawił się Tripley. Dowódca misji ponownie rozważał cele wyprawy i zastanawiał się, czy nie powinni polecieć *tutaj* zamiast

tam. W jednym regionie widział sporo starych gwiazd typu G, w innym za sprawą pobliskich młodych olbrzymów powstało zbyt wielkie promieniowanie. Sporządził nową listę miejsc, które chciał odwiedzić. Cele ostateczne pozostawały bez zmian, ale Kil chciał w kilku miejscach zboczyć z kursu. Spytał Kane'a, czy można to zrobić, nie utrudniając sobie za bardzo życia.

Kapitan poprosił go o listę.

– *Nie ma problemu, Kil* – powiedział. – *Musimy się tylko zastanowić, czy nie wydłuży to wyprawy. Poza tym...* – Rozłożył ręce dając do zrozumienia, że jest skłonny przystać na wszystkie propozycje Kila.

Kabina pilota często była pusta. Zegar przeskakiwał wielogodzinne odcinki. Kalendarz zaczął odliczać kolejne dni. Codziennie rano, dokładnie o ósmej, pojawiał się Kane, czasami sam, a czasem w towarzystwie jednego z członków załogi. Po kolei sprawdzał przyrządy i konsultował się z SI, pytając czy pojawiły się jakieś anomalie, czy system przewidywał trudności lub czy kapitan powinien czemuś się bliżej przyjrzeć. Z czasem te wymiany zdań nabrały niemal ceremonialnego charakteru.

– *To środki ostrożności* – powiedział Sal. – *Tak nakazują przepisy. Systemy mają wielokrotne zabezpieczenia i spore rezerwy. Nie umiem sobie wyobrazić serii wydarzeń, która doprowadziłyby do katastrofy, nie uruchamiając przy tym po drodze żadnego z alarmów. Mimo to, piloci muszą pilnować rutyny. Sądzę, że tak naprawdę ma ona dać im poczucie, że coś robią.*

Kim po raz pierwszy zobaczyła „na żywo” Yoshi Amarę. Dziewczyna była energiczna, pełna życia, entuzjastycznie nastawiona do misji i absolutnie przekonana o tym, że odniosą sukces. Mieli przed sobą piękną, młodą kobietę. Jej ciemne włosy i oczy kontrastowały ze złotem łańcucha i bransolety, z którymi się nie rozstawała.

– *Pieniędzy jej pewnie nie brakowało* – stwierdził Sal.

Tripleyowi chyba podobała się kabina pilota, bo po kapitanie spędzał tu najwięcej czasu.

Często tkwił w fotelu po prawej stronie, pogrążony w lekturze. Czasem robił notatki. Gdy w kabinie był Kane lub jedna z koleżanek, zwykle snuli razem przypuszczenia o tym, co by się stało, gdyby właśnie się znajdowali na progu nowego świata. W mroku dostrzegliby iskry światła na kontynentach.

Kim przypuszczała, że Tripley wiele razy przekraczał progi nowych światów, ale noc niezmiennie pozostawała czarna. Dotąd żaden człowiek nie zobaczył światła obcej cywilizacji.

– *Możecie sobie wyobrazić, jakie to będzie miało znaczenie, gdy uda się nam ich znaleźć?*

– powtarzał bez końca. Nie zastanawiał się „czy naprawdę tam są”, tylko myślał „gdy uda się nam ich znaleźć”.

Kim wyraźnie widziała to, czego Tripley nie dostrzegał: Kane nie wierzył, że w kosmosie coś znajdują. Nawet gdyby rzeczywiście istniało tam obce życie, jakie mieli szanse odnaleźć je wśród milionów gwiazd? Mogli bez końca podróżować coraz dalej i dalej. Wszystko na próżno. Przypuszczał, że w końcu się poddadzą i znajdą bardziej pożyteczny cel dla pieniędzy Fundacji.

Najwyraźniej jednak wiedział, że i tak nie zniechęci Tripleya. Potwierdził tylko, że Żółty Kielich rzeczywiście pełen jest obiektów klasy G, żółtych słońc podobnych do Sol i Heliosa.

Czas podróży między nimi byłby dość krótki. W ciągu roku zdołaliby zbadać dużą przestrzeń.

– *I tak zrobimy* – stwierdził Tripley. – *Tym razem nam się uda, Markis. Jestem pewien* Kane jak zwykle odpowiedział skinieniem głowy i spojrzeniem zamyślonych oczu.

Przytakiwał Tripleyowi, ale Kim widziała, że takie rozmowy odbywali już wielokrotnie. I nikt nigdy nic nie znalazł.

Stale szukała oznak napięcia między obydwojma mężczyznami, ale wszystko wskazywało na to, że doskonale się porozumiewają, pomimo zupełnie odmiennych osobowości. Kane sprawiał wrażenie opanowanego, rozważnego, sceptycznego i metodycznego. Tripley natomiast należał do entuzjastów chętnie poddających się emocjom. Ale instynkt go nie zawodził i nie licząc jego obsesji na punkcie istot z kosmosu, zwykle zachowywał się racjonalnie. Miał własną wizję świata i nie pozwalał, aby rzeczywistość mu ją zakłóciła.

Gdyby poświęcił się jakiejś religii, należałby do tych, którzy żarliwie zapewnialiby, że Bóg i niebo istniały, bo w przeciwnym razie, jaki byłby sens życia? Kim uznała go za człowieka, który nigdy do końca nie wydorósł. Ale od razu stwierdziła, że nie kierował się złościwością ani złą wolą. Odrzuciła przypuszczenia, że mógł zabić Yoshi lub kogokolwiek innego.

Spojrzała na jego dane. Miał za sobą dwadzieścia dziewięć misji w poszukiwaniu Graala, w sumie spędził dwadzieścia pięć lat poza macierzystą planetą. Już samo to kwalifikowało go do grona fanatyków, *Ahabów*. Nic dziwnego, że motto *Huntera* brzmiało: *Wytrwałość*.

Później w rozmowie z Emily Kane pozwolił sobie na więcej szczerości.

– *Musielibyśmy mieć sto takich jednostek* – powiedział. – *Może nawet tysiąc. Każda z nich badałaby inną część wszechświata. Może wtedy mielibyśmy jakąś szansę.*

Emily także doskonale zdawała sobie sprawę z realiów.

Kim po raz pierwszy widziała siostrę wśród przyjaciół. Pierwszy raz weszła do kabiny pilota dopiero w trzy dni po starcie. Kane już tam był i przeprowadzał rutynową kontrolę.

Emily podeszła do niego od tyłu i ścisnęła go za ramię. Kane się obejrzał i wtedy Kim zrozumiała, że dla tych dwojga kamera była intruzem.

Sal zerknął na nią, ale nic nie powiedział.

Emily z gracją przysiadła na fotelu po prawej stronie. Miała na sobie służbowy kombinezon z niewielkim rozcięciem przy szyi, które odrobinę odsłaniało krągłość jej piersi.

Kane powiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem. Była to zupełnie zwyczajna uwaga, ale jego głos zabrzmiał o oktawę niżej.

– Są kochankami. – Kim powiedziała to bardziej do siebie niż do Sala.

W ich zachowaniu nie dało się dostrzec nic oczywistego. Kane i Emily spoglądali na siebie z wymuszoną obojętnością, jaką zdradzają zwykle zakochani, którzy próbują ukryć swoją miłość przed innymi.

Yoshi była jeszcze bardzo młoda. Jej wyniki wyglądały obiecująco, ale za bardzo pochłonęła ją pogoń za marzeniem. Przy każdej sposobności Kane niestrudzenie tłumaczył jej, że ekspedycje wyruszały już nie raz. Na początku wszystko wydawało się łatwe, skoro wokół było mnóstwo gwiazd typu widmowego G. Wystarczyło tylko znaleźć tę właściwą, ale nikt nie dawał gwarancji, że ona naprawdę istniała. Nie mieli pewności, czy Słońce nie było jedyną gwiazdą, pod którą narodziło się życie. Yoshi musiała się pogodzić z taką możliwością.

– *Może jesteśmy sami* – mówił Kane.

– *Nieemożliwe* – odpowiadała. – *Nauka dowodzi, że nic nie jest jedyne w swoim rodzaju.*

Kim zrozumiała, że nikomu z załogi *Huntera* nie zależało na znalezieniu byle pierwotniaka. Zastanawiali się, jak postępować przy pierwszym kontakcie, jakiej technologii szukać, jakich niebezpieczeństw oczekiwać ze strony zaawansowanej cywilizacji. To oznaczało, że odkrycie żdźbła trawy – ambicja wszystkich innych badaczy – dla tego grona byłoby wielkim rozczarowaniem. Mieli nadzieję natrafić gdzieś przynajmniej na ruiny, dowody istnienia rozumnych istot.

– *Dopóki nie dowiedzimy, że życie mogło powstać niezależnie w innej części kosmosu* – powiedział Kane – *musimy przyjąć możliwość, że ludzki gatunek jest tworem boskim.*

Dziewczyna roześmiała się słysząc te słowa, a on odpowiedział jej uśmiechem.

– *Jak inaczej byś to wyjaśniła?* – spytał. – *Wszechświatowa zмова milczenia?*

Na to nie potrafiła odpowiedzieć.

Kim słuchała uważnie, gdy mówili o strategii. Po pierwsze, należało na podstawie wyliczeń ustalić wielkość biosfery danego słońca, a dopiero potem można było szukać nieuchwytnego dotąd żdźbła trawy. Gdyby natrafili na żyjącą planetę, mieli polować na dowody istnienia rozumnych istot, przeszłych lub teraźniejszych.

Wszystko to brzmiało niezwykle optymistycznie. Ale, jak kiedyś powiedział Tripley, tylko trudne zadania budziły ludzką ciekawość.

– *Nie mielibyśmy z tego takiej frajdy, gdyby w każdym obcym systemie istniało życie, prawda?*

O czwartej nad ranem Kim i Sal podsumowali pierwsze sześć dni misji, szukając oznak spięcia między członkami załogi albo śladów czegoś, co mogło później doprowadzić do morderstwa. Oczywiście słuchali jedynie rozmów, które odbywały się w kabinie pilota, gdzie rozmówcy doskonale zdawali sobie sprawę z monitoringu. Ale i tak było wyraźnie widać, że zespół doskonale się dogadywał. Tylko raz w konwersacji wzięły udział więcej niż dwie osoby, gdy Yoshi i Tripley zajrzeli do Kane'a przynosząc mu kanapki i piwo.

Zdarzały się między nimi drobne różnice zdań, nieuniknione w grupie ludzi rozmawiających o polityce, historii, nauce i filozofii. Czasem kłócili się dyskutując o lekturach, albo grając w rozmaite

gry wirtualne. Kim i Sal nigdy nie mieli okazji obserwować tych potyczek, ale z późniejszych rozmów mogli się domyślać, że pojawiały się w nich seksualne podteksty. Nie zauważyli jednak żadnych oznak napięć między Kanem i Tripleyem, ani między obiema paniami. Dało się zauważyć pewną hierarchię, ale Kim nie miała pewności, czego dotyczyła.

Sal zasnął. Kim czuła się zmęczona, ale chciała się przekonać, co wówczas zaszło. Jeśli coś zaszło. Zaczęła przewijać konwersacje, planując wrócić do nich później i wysłuchać ich uważnie. Czasami Kane był na mostku sam, czytał, robił notatki, czasem coś szkicował w bloku, który trzymał na bocznym stoliku. Kim wydawało się, że zauważyła tam studium do *Jesieni*.

Przewijając nagranie na podglądzie po raz pierwszy zobaczyła *пустą* kabinę pilota.

Dzwonił alarm i mrugały światła. Zanotowała czas 23:17, 17 lutego, piątego dnia wyprawy.

Obraz podzielił się na dwie części, obok kabiny pilota pokazał się obraz cienistego pomieszczenia, w którym Kim rozpoznała maszynownię.

Obudziła Sala.

– Wygląda na jakiś problem z silnikami skoku – powiedział.

– Ale przecież poruszają się ruchem bezwładnym. Silniki skokowe nie są używane.

– Mimo to są cały czas włączone – wyjaśnił Sal. – Mnóstwo rzeczy może w takiej chwili nawalić. – Wywołał na monitor strumień danych i przez kilka minut studiował je uważnie. – To system dodatkowego zasilania – powiedział. – Zbyteczne zabezpieczenie. Monitoruje regulację przepływu antymaterii podczas skoku. Jeśli pojawia się jakiś problem, przejmuje kontrolę.

– Czyli że silniki pracowałyby bezproblemowo bez tego systemu?

– Pewnie. Ale lepiej tego nie robić.

– Dlaczego nie?

– Bo antymateria to niebezpieczne paliwo. Potrafi przepalać regulatory. Bez wtórnego systemu zabezpieczającego, jeśli dojdzie do jakiegokolwiek przeciążenia, możesz się pożegnać z życiem.

Sal z powrotem włączył obraz akurat w chwili, gdy Kane schodził po schodach do maszynowni. Owinięta szlafrokiem Emily stała za nim. Zatrzymali się przed konsolą, dotknął jej i alarm umilkł.

– *Wszystko w porządku* – powiedział. – *Nie ma niebezpieczeństwa.*

Usiadł przed monitorem i zaczął przeglądać dane. W tym czasie nadeszła pozostała dwójka.

– *Nawalił pomocniczy układ zasilania* – wyjaśnił Kane. – *Będziemy musieli zrezygnować z misji*

– *Zrezygnować?* – Emily miała zawiedzioną minę. – *Czy to naprawdę takie poważne? Nie możemy tego naprawić?*

Kim pomyślała, że ona sama przede wszystkim bałaby się, czy nic im nie grozi.

– *Mogę połączyć to tymczasowo. Ale lepiej nie pętać się po kosmosie z uszkodzonym systemem pomocniczym*

– *Dlaczego?* – zapytał Tripley. – *Czym to grozi?*

– *Trudno mi to oceniać. Nawaliło zabezpieczenie, którego nie potrzebujemy, dopóki go nie potrzebujemy. Nie wiem, czy mnie rozumiecie. Zresztą, moje zdanie nie ma tu znaczenia.*

Regulamin nakazuje nam zawrócić

– *Ale kto by się o tym dowiedział?*

– *Wystarczy, że ja wiem. Jeśli gdzieś tam zginiemy, ja będę za to odpowiedzialny.* – Kane

westchnął głęboko. – *Świat się na tym nie kończy. Będą następne wyprawy.*

– *Aha.* – Tripley wpatrywał się w silnik tak, jakby urządzenie celowo zrobiło mu na złość.

– *No dobra, to co teraz robimy?*

– *Potrzebuję kilku godzin. Naprawię to tymczasowo. Zajmę się tym, jak wyjdziemy z nadprzestrzeni. Kiedy skończę, znowu wykonamy skok i zawrócimy do domu.*

– *Trafiony, zatopiony* – powiedziała Kim. – *Właśnie tutaj doszło do kontaktu.*

– *Do domu?* – spytał Tripley. – *Dlaczego nie do St. Johns? Po co mamy się ciągnąć aż do domu?*

– *To poważna sprawa. Nie da się jej załatwić na stacji. Tam mogliby zrobić tylko tyle, co ja teraz, połatać wszystko tymczasowo. Żeby dostać nowe zezwolenie na lot musimy wrócić do Sky Harbor.*

Emily spojrzała na Tripleya.

– *Przykro mi, Kil.* – Jej oczy wyrażały współczucie.

– *Trudno* – powiedział. – *Jak trzeba, to trzeba. Cholera.*

Kane wywołał SI.

– *Hunter, wychodzimy z nadprzestrzeni. Wykonać.*

– *Chwileczkę* – odezwała się Kim. – *Czy oni znajdują się w pobliżu jakiejś gwiazdy?*

– *Nie wiem* – przyznał Sal. – *To zależy, co rozumiesz przez słowo „w pobliżu”. Jeśli zastanawiasz się, czy są w jakimś systemie planetarnym, powiedziałbym, że to wielce nieprawdopodobne.*

– *W takim razie coś się nie zgadza. Powinni odbyć chociaż jakiś mały rekonesans.*

Musieli wyjść z nadprzestrzeni gdzieś blisko jednej z tych siedmiu gwiazd.

Sal pokręcił głową.

– *Nic z tego.*

Kim patrzyła, jak Tripley wychodzi z kabiny pilota. Emily i Kane zapięli się w fotelach.

SI odliczała czas do wyjścia. Wyśliznęli się z nadprzestrzeni. Trafili w rejon Oriona. Niebo roilo się od wielkich chmur gwiazd. Monitor pokazywał zbyt mały fragment, aby określić, czy gdzieś niedaleko znajdowało się słońce.

Przewinęli nagranie do przodu. Naprawy zajęły Kane'owi dwie godziny. Potem powiadomił pozostałych, że są gotowi do drogi. Zaczęli przyspieszać do prędkości wymaganej przy skoku. Dwadzieścia pięć minut później bez żadnych przygód weszli w nadprzestrzeń i wyruszyli w długą drogę powrotną do Sky Harbor.

Niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Bardziej gwałtowny podmuch wiatru zastukał w szyby.

– *Nie mogę w to uwierzyć* – powiedziała Kim.

Sal wyłączył komputer, spojrzał na nią znacząco, osunął się na kanapę i zamknął oczy.

– *Wygląda na to, że to był fałszywy trop* – stwierdził.

Obudził ją komlink.

– *Kim?* – usłyszała głos Matta. Brzmiał ponuro. To wzbudziło jej niepokój. – *Gdzie ty się podziewasz?*

– W Salonice.

– Czy zamierzałaś się może zameldować wkrótce w pracy?

– Sądziłam, że jeśli będziesz mnie potrzebował, to zadzwonisz, Matt. – Zostawiła terminal tylko na audio.

– Jesteś mi tu potrzebna.

Westchnęła.

– Dobrze. O co chodzi?

– Jutro przyjeżdża delegacja lekarzy i chirurgów. Zaproponowaliśmy im wycieczkę po Instytucie.

– W porządku. Przyjadę. O której?

– O dziesiątej.

– Zaraz wyruszam.

– Będziesz miała okazję działać trochę dla dobra naszego wizerunku. Media też w tym uczestniczą. No i Johnson.

Światowej sławy kosmolog. To gwarantowało wielkie zainteresowanie publiki.

– Mamy umówiony lunch. Chciałbym, abys towarzyszyła grupie podczas zwiedzania i pogadała z nimi przy sałacie.

Wysłuchiwała go spokojnie, obiecała, że się tym zajmie i chciała się rozłączyć.

– Jeszcze nie skończyłem.

– O co chodzi, Matt?

Sal zapukał cicho i wetknął głowę do pokoju. Dała mu znak, aby wszedł do środka.

– Czy przypadkiem nie węszyłaś wokół Sary Baines? Nie wypytywałaś ją o nic?

– Kim jest Sara Baines? – Spojrzała na Sala rozpaczliwie.

Bezgłośnie powiedział: *Wszystkiemu zaprzeczaj.*

– Babcia Tripleya. Złożył kolejną skargę. Twierdzi, że ktoś skontaktował się z nią, rzekomo szukając materiałów do książki. Niestety nie pamięta ona tytułu. Mam wrażenie, że Tripley tobie nie ufa. Pokazał babci twoje zdjęcie.

– I co?

– Powiedziała, że to nie ty, ale on i tak uważa, że to twoja sprawka. Jak było naprawdę?

– Przyznaję się, to byłem ja, Matt.

Usłyszała jak ze świstem wypuścił powietrze.

– Kim, co ja mam z tobą zrobić? Czy uparłaś się stracić pracę? Przecież już to przerabialiśmy. Mam nadzieję, że to ostatni raz. Masz się trzymać z dala od Tripleya.

Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Nie mów do mnie takim tonem. Stawiasz na szali swoją karierę. Jeśli podobna bzdura wydarzy się po raz trzeci, będę zmuszony wyrzucić cię na ulicę.

– Matt, ja naprawdę nie mam wyboru...

– Właśnie że masz, do cholery. Nie chcę ci prawić kazań, ale twojej siostry nie ma już od dawna wśród żywych. Pogódź się z tym, dobrze? Zrób to dla dobra wszystkich.

Wpatrywała się w wyświetlacz.

– Matt, przypuszczam, że w willi Tripleya w Severin znaleźliśmy jeden z butów Yoshi.

Na długą chwilę zapadło milczenie.

– Masz pozytywny wynik porównania DNA?

– Nie. Znamy tylko jej rozmiar. Ale to but z przyczepną podeszwą.

Niemal słyszała jego myśli.

– To mi pachnie pozwem do sądu. Kim, mówimy przecież o czymś, co miało miejsce dawno temu. Chwytasz się brzytwy.

– Wiem. Zobaczymy się jutro – powiedziała i rozłączyła się.

– On ma rację – stwierdził Sal.

Spojrzała na niego.

– Musimy znaleźć ciało – powiedziała.

– Ciało Yoshi? Jak zamierzasz tego dokonać?

– Może wcale nie okaże się to takie trudne. Lubiła nosić złoto.

*Wszystkiego kres, wszystkiego koniec
Skoro miłość wygaśnie
Nie prosz kochanka dawnego, bo nie
Zniży się do przyjaźni!*

Arthur Symons, „Po miłości”, 1910 n.e.

Kim zdążyła na lot do Seabright i podczas oficjalnego lunchu w Instytucie wygłosiła przemowę do lekarzy i chirurgów. Wypadło niezłe. Matt po cichu powiedział, że miło ją znowu widzieć. W jego tonie brzmiał niepokój i wyrzut. Zawsze umiał wywołać w niej poczucie winy. Wyjaśniła, że ostatnio ma sporo roboty i umknęła mu, zanim zaczął wypytywać o szczegóły. Po skończonej części oficjalnej pojechała na stację i wsiadła w pierwszy pociąg do Wakonda, gdzie znajdował się Uniwersytet Amberlaina. Sal czekał na nią na wydziale fizyki. Wypożyczył stamtąd niewielki czujnik, który technicy właśnie ustawiali na wykrywanie złota.

Na pytanie, czy trafili gdzieś na żyłę, Kim odparła, że ona i Sal wkrótce ogromnie się wzbogacą.

Urządzenie miało zasięg trzydziestu metrów i reagowało na ilość kruszcu porównywalną z bransoletką wielkości takiej, jaką nosiła Yoshi.

Razem zdążyli na Snowhawka, pociąg łączący pół tuzina miast w centralnym pasie Republiki, od Seabright na wschodzie, poprzez Eaglepoint, po Algonde na zachodzie.

Zajęli przedział w pierwszej klasie i w kilka minut po tym, jak pociąg ruszył ze stacji, wrócili do przeglądania dzienników pokładowych *Huntera*.

Gdy wyjeżdżali z centralnego dworca w Wakonda, słońce właśnie zachodziło. Pociąg stopniowo zwiększał prędkość, aż w końcu krajobraz za oknami zamazał się zupełnie. Sal rozsiadł się wygodnie na wyściełanym fotelu. Kim przysiadła na poprzecznej ławce, oplatając ramionami podciągnięte kolana.

Przewinęli nagranie do miejsca, w którym *Hunter* opuścił nadprzestrzeń i przyjrzeni się jak Kane naprawia pomocnicze zasilanie systemu.

Potem obejrzeni ten fragment raz jeszcze, tym razem wolniej.

Kane skończył, powiadomił o tym SI i znikł z ekranu. Czterdzieści minut później, umyty i przebrany w czysty uniform, zjawił się w kabinie pilota. Dołączyła do niego Emily i oboje zaczęli się przyglądać olbrzymim chmurom gwiazd.

– *Gdzieś tam* – powiedziała Emily, wyobrażając sobie istoty z kosmosu.

– *Może* – przyznał Kane. Był z nią o wiele bardziej szczerzy niż z Tripleyem. – *Ale trzeba mieć więcej niż jedno życie, aby ich znaleźć, chyba że dopisze ci ogromne szczęście.*

Emily zajęła fotel z prawej strony.

– *Osiem minut do skoku* – powiadomił ich statek.

Kane odsunął się i do połowy przymknął powieki.

– *Los nam sprzyja* – powiedzieli. – *To pierwsza poważniejsza usterka techniczna na – ile? – tuzin wypraw? Nie jest tak źle.*

Spojrzała na niego, wyraźnie przygnębiona. Nie chciała wracać do domu.

– *O wiele więcej niż tuzin. Jak sądzisz, ile czasu potrważą naprawy?*

Zastanowił się chwilę.

– *Muszą wymienić urządzenie na nowe. To zabierze kilka dni. Na pewno nie więcej. Ale statek powinien przejść ogólny przegląd przed kolejną wyprawą* Kontynuowali rozmowę, podczas gdy SI odliczała czas do skoku. Po dziesięciu minutach oboje umilkli, a Kane zajął się konsolą. W tle dało się słyszeć hałas zwykle towarzyszący zwiększaniu mocy przed przejściem w nadprzestrzeń.

Po trzydziestu sekundach główne silniki wyłączyły się i *Hunter* przeszedł w ślizg.

– Nic tu nie ma – powiedział Sal z cieniem rozczarowania, tak jakby po raz pierwszy oglądali tę część nagrania i nie wiedzieli, co się stało. Procedura skoku zaszła już za daleko, aby ją zatrzymać. Nawet gdyby kosmici trzymali się tuż przy *Hunterze*, teraz nie mogliby już nic zrobić.

Gdy *Hunter* znalazł się w nadprzestrzeni, Emily zapatrzyła się na gwiazdy za oknem.

Snowhawk właśnie przejeżdżał przez dolinę. Dwa księżycy Greenway wspięły się już na niebo i dryfowały między smugami chmur. Po obu stronach pociągu ciągnęły się mroczne zbocza. Wierzchołki drzew uginały się szarpane siłą pędu mijających je wagonów. Na północy Kim dostrzegła lunę miasta.

– *Chyba nie sądziłaś, że tak od razu coś znajdziesz* – powiedział Markis. – *Musimy być cierpliwi.*

– *Przecież byliśmy cierpliwi*

– Dość tego – odezwał się Sal. – Problem kosmitów się rozwiązał. Teraz tylko musimy znaleźć motyw morderstwa. – Spojrzał na Kim. – *Sądzisz, że ktoś, kto zabił Yoshi i Emily, nie zabrał złota?*

– Nie mówimy o zwykłej kradzieży. Głównym podejrzanym jest Tripley. Myślisz, że on zabiłby dla jakiejś tam biżuterii?

– Naprawdę sądzisz, że to on?

– Nie, ale jakoś nie mogę uwierzyć, że zrobił to jakiś złodziej. Sądzę, że Yoshi, gdziekolwiek jest, nadal ma na sobie swoje złoto.

Oglądając dalszą część nagrania, przewijali na podglądzie większość konwersacji.

Rozmowy stały się rutynowe, zwyczajne. Emily i pozostali zastanawiali się, co będzie po powrocie do domu i na co przeznaczą wolny czas, którego się nie spodziewali. Tripley nie krył, że zamierza jak najszybciej przygotować następną misję.

Miał nadzieję zatrzymać wszystkich towarzyszących mu członków zespołu. Nie powiedział tego wprost, ale z atmosfery i rozmów w kabinie pilota dało się wywnioskować, że dał to pozostałym do zrozumienia gdzieś poza zasięgiem kamer. Wszyscy planowali wrócić razem z nim.

To ich trochę pocieszyło, zwłaszcza Yoshi, która brała udział w wyprawie jako stażystka i bała się pewnie, że nie zaproszą jej ponownie. Z upływem tygodni nastroje się poprawiały.

Ogólne morale załogi wróciło do normy, zanim *Hunter* dotarł do Sity Harbor.

Już w doku Yoshi poinformowała Kane'a, że spędzi noc razem z Emily w hotelu Royal Palms w Terminal City, a potem pojedzie do rodziny. Chciała spędzić trochę czasu z bliskimi przed kolejną wyprawą *Huntera*. Kim nie dostrzegła żadnej wskazówki, żadnego niewerbalnego sygnału, który świadczyłby o tym, że dziewczyna nie mówiła prawdy.

Tripley obiecał przyspieszyć naprawy. Oceniał, że nowa misja ruszy mniej więcej za miesiąc.

Spytał, czy Kane'owi to odpowiadało?

W zupełności.

Tripley poinformował go jeszcze, że otrzyma premię za doskonałą pracę, po czym zostawił go samego w kabinie pilota.

Kane jeszcze przez kilka minut sprawdzał przyrządy, po czym zebrał szkicowniki i wyszedł. Kamera się wyłączyła.

Nagranie dobiegło końca.

– Możesz to oglądać niezliczoną ilość razy, a i tak niczego nie zmienisz – powiedział Sal.

– Nic się tam nie wydarzyło.

Podróż *Huntera* do domu trwała czterdzieści jeden dni. Cofnęli zapis i przejrzeni go ponownie. Nie wiedzieli, czego jeszcze szukali. Zauważyli, że kiedy Tripley mówił o Yoshi, w jego głosie słyszało się szczerą sympatię. Poza tym sprawiał wrażenie ogromnie poczciwego. Nie byłoby go stać na fizyczną lub psychiczną przemoc wobec kogokolwiek.

Kim pomyślała, że syn, który był jego klonem, należał do zupełnie innego gatunku ludzi.

Przeanalizowała z Salem rozmowy Kane'a z pozostałymi członkami załogi. Słuchali i przewijali. Kim widziała blask, jaki emanował z Emily. Podziwiała energię i zaangażowanie siostry w wielkie poszukiwania. Taka była zaledwie kilka dni przed zaginięciem.

Stopniowo z nagrań zaczęła się wyłaniać pewna nieścisłość. Kim z zaciekawieniem obserwowała relacje między Kanem i Emilią, wróciła do rozmów, jakie prowadzili w pierwszej części misji i porównała je z późniejszymi.

– Ty też to dostrzegasz? – spytała Sala.

Pochylił się do przodu i mrużąc oczy popatrzył w ekran. Kim po kolei zatrzymywała klatki nagrania zarejestrowanego na kilka dni przed końcem wyprawy. Para dyskutowała o tym, że powinni rozważyć zabranie na następną wyprawę programów ćwiczeń fizycznych.

– Co? – spytał Sal. – Nic tu nie widzę.

– Gdzie się podziało uczucie?

– Jakie uczucie?

– Według ciebie ci dwoje rozmawiają tu ze sobą jak kochankowie?

– Nigdy nie zauważyłem, by tak rozmawiali.

– No co ty, Sal, wcześniej starali się to ukrywać. Może przed pozostałą dwójką, a może przed kamerami. Może nawet przed sobą. A tutaj tego po prostu nie ma.

– Może się pokłócili. Dobrze wiesz, że w nagraniu wiele nie zobaczysz.

– Nie o tym mówię. W drodze powrotnej już nie ma między nimi napięcia. Nie tak zachowują się ludzie, którzy ze sobą zerwali. To mi po prostu wygląda na serdeczne relacje bliskich przyjaciół. Zupełnie inne niż na początku.

Za oknem pojawiły się przedmieścia Eagle Point.

– O co ci chodzi?

Kim zamknęła program, ale nie przestała się wpatrywać w monitor, dopóki pociąg się nie zatrzymał.

– Nie jestem pewna – odparła.

Zatrzymali się w hotelu Gateway. Kim przez większość nocy wciąż na nowo oglądała rozmowy

Kane'a i Emily. Na początku wyprawy ich uczucie było oczywiste. Kane kochał jej siostrę. Widziała to w jego oczach, w każdym geście, słyszała w głosie. Zastanawiała się, jak się zachowywali poza zasięgiem kamer.

W drodze powrotnej wszystko wyglądało inaczej. Nie dlatego, że się pokłócili, jak zasugerował Sal. Gdyby tak było, zachowywaliby się wobec siebie chłodno. Mowa ciała stałaby się przesadna. Przynajmniej jedno z nich, a prawdopodobnie oboje, odnosiliby się do siebie z niechęcią.

Ale nic takiego nie widziała. Ich wzajemne relacje wyglądały tak, jak między dobrymi przyjaciółmi. Ni mniej, ni więcej.

Raz po raz Kim słuchała ich ostatniej rozmowy nagranej, gdy *Hunter* zbliżał się do Sky Harbor.

– *Dziękuję Markis.*

– *Za co?*

– *Za to, że dowiozłeś nas cało z powrotem. Przepraszam, że nalegałam, by nie przerywać misji.*

– *Nie ma sprawy. Spodziewałem się tego.*

Na półkuli Greenway widocznej ze statku akurat panowała noc. Stacja kosmiczna przypominała świecącą ozdobę choinkową. Lśniły także jej dwie odnogi, jedna prowadząca w stronę Lark, a druga nurkująca w chmurach.

– *Jak zawsze, miło spędziłam z tobą czas.*

Kim pokręciła głową. To zdanie zabrzmiało sztucznie. W głosie Emily było tyle uczucia, co w kalafiorze.

– *Mnie też było miło, Emily. Pewnie za dwa tygodnie znowu się spotkamy.*

– *Mam nadzieję. Męczy mnie, że za każdym razem wracam do domu z pustymi rękami.*

Stacja rosła na monitorach. *Hunter* zaczął się zbliżać do jednego z doków. W sekcji operacyjnej już czekali ludzie z obsługi, a ubrani w skafandry ciśnieniowe technicy trzymali w gotowości przewód startowy. Lekkie szarpnięcie dało znać, że statek stanął. Światelka konsoli zamrugały gwałtownie, po czym zaświeciły pomarańczowo.

– *Czas wracać do domu* – powiedział Kane. Rozpięli pasy i wyszli z kabiny pilota. Emily szła przodem. Jeśli mówili coś jeszcze do siebie, rejestrator tego nie wychwycił.

Sal wyszedł z sypialni na kilka minut przed końcem nagrania. Owinął się bladożółtym szlafrokiem.

– Po wejściu do doku Kane został na statku jeszcze kilka godzin, żeby dopełnić papierkowych formalności – stwierdził. – Potem pojechał do Terminal City i zatrzymał się w hotelu. Tripley poleciał do domu, a Yoshi i twoja siostra złapały taksówkę, kazały się zawieźć do Royal Palms, ale nigdy tam nie dotarły.

– Tak wygląda scenariusz.

– Tylko, że według nas Yoshi jakimś cudem trafiła do Severin. Czyli możliwe jest, że Emily też tam była.

– Prawdopodobnie.

– No dobrze. Jeśli chcemy jutro wyruszyć na poszukiwania, powinniśmy trochę odpocząć.

Na dworze wciąż jeszcze było ciemno.

Przez sieć wypożyczyli sprzęt do nurkowania i ponton z wielobranżowej wypożyczalni

Emporium i flyera z Air Service. Potem oboje zjedli późne śniadanie. Gdy skończyli, flyer ze sprzętem w środku już na nich czekał.

Kim podłączyła wykrywacz złota do konsoli, sprzęgając go z pokładowym systemem naprowadzania. Wyniki przeszukiwania wyświetlały się na dodatkowym monitorze.

Kilka minut po dwunastej wystartowali z dachu hotelu Gateway i skierowali się na południe, w stronę Severin. Dzień był zimny i bezchmurny.

– Pomyśl tylko, jaki to zbieg okoliczności, że Kane i Tripley mieszkali obaj w tej samej miejscowości – stwierdził Sal, gdy wznieśli się dostatecznie wysoko.

– Tripley tu nie mieszkał – sprostowała Kim. – Severin było miejscowością turystyczną, a on spędzał tutaj wakacje. Przyjeżdżał tu także poza sezonem, żeby odpocząć. Lubił być sam.

Kane natomiast przyjechał do Severin po raz pierwszy w 559, kiedy odziedziczył willę po krewnej, która zapisała mu ją w uznaniu jego wojennych wyczynów. Zaczynał zdobywać sławę jako artysta. Uznał, że to będzie idealne miejsce do pracy. Wówczas miasteczko miało zaledwie tysiąc mieszkańców, nic więc dziwnego, że w końcu obaj się spotkali. Gdy Tripley szukał pilota do *Huntera*, Kane był pod ręką.

Mount Hope górowała nad grupą szczytów na południowym zachodzie. Zbliżali się do Severin. Lecieli nisko, zaledwie tysiąc metrów nad ziemią. Rzeka w tym odcinku nie nadawała się do żeglugi. Serią wodospadów opadała ku zaporze. Po obu stronach gęsty las porastał brzegi aż po samą wodę. Gdzieś tam stały pojedyncze farmy. Wszystkie były zniszczone. Krajobraz krył się pod grubym śniegiem.

Kim spojrzała na pociąg towarowy jadący na zachód. Sunął tuż nad wierzchołkami drzew, które falą kłaniały mu się, rozstępując się przed lokomotywą, a zamykając za ostatnim wagonem. Jechał do tunelu Culbertson, który przebijał się przez skalne zbocze na drugą stronę góry. Ze swego miejsca nie widziała wylotu tunelu, ale pociąg zaczął już zwalniać.

Nie знаła dokładnych współrzędnych willi Tripleya, więc nad Jeziorem Żalu przeszła na ręczne sterowanie. Zbiornik przypominał szklaną taflę.

Sal uruchomił czujnik. Najpierw wyświetliły się tabele danych konfiguracji, potem monitor zgasł, a po chwili rozbłysnął na zielono. Odczyt negatywny.

Przed nimi, na samotnym wzgórzu stała willa Tripleya.

Miejsce to wyglądało jak odcięte od rzeczywistego świata. Przypominało czarną dziurę, osobliwość naginającą odrobinę prawa fizyki. Strefę, w której znikają ślady stóp.

Zeszli do poziomu wierzchołków drzew i przelecieli dokładnie nad dachem. Monitor pozostał zielony.

Nie pokazał niczego także nad budynkiem gospodarczym.

Zbadali najbliższe otoczenie, okrążając atoll willi. Większość terenów, które dawniej należały do Tripleya porastał młody las i gęste krzewy. Ogródzenia się rozpadły. Grupa świerków po wschodniej stronie chyba uschła.

Kim poszerzyła obszar poszukiwań o kilka kilometrów na zachód. Lecąc zygzakiem skanowała ziemię aż do pasma gór, które ochroniło miasto w noc eksplozji. Przeleciała wzdłuż szczytów, sprawdziła przeciwległe zbocza i lasy aż do miejsca, w którym teren stał się skalisty.

Spoglądając na mapę zawróciła i ponownie przeleciała nad miastem. Centrum Severin znajdowało się pod wodą. Zeszła tak nisko, że aż zamoczyła płozy. Monitor pozostawał zielony.

– Chyba nie sądziłaś, że zabójca ukryje ciało przy samym ratuszu, co? – spytał Sal.

– Jeżeli był szaleńcem, kto wie, do czego mógł się posunąć.

Morderca najprawdopodobniej pozbył się ciała, wrzucając je do rzeki lub do jeziora, które wówczas było o wiele mniejsze. Mógł też zakopać je na północ od miasta, w miejscu, które stało się później dnem Jeziora Żalu. Tak czy inaczej, musieli szukać w wodzie. Kim metodycznie przelatywała nad powierzchnią, skreślając na mapie kolejne kwadraty. Po godzinie sprawdzili wszystkie.

Wykluczyli najbardziej prawdopodobne miejsca.

Kim skierowała flyera na wschód, lecąc wzdłuż południowego wybrzeża. Niemal natychmiast na czytniku pojawił się migający punkt.

– Coś mamy – powiedział Sal. Punkt przesuwał się to w jedną, to w drugą stronę, gdy manewrowała pojazdem.

Tutaj.

Tylko las.

– Widzę żelazne ogrodzenie – powiedziała Kim.

– I jakieś nagrobki. – Przesłaniał je gęszcz zarośli i drzew.

Zobaczyli kutą żelazną bramę.

– Cmentarz – stwierdził Sal. Zapisał położenie miejsca na wypadek, gdyby znalazło się ono poza zasięgiem skanera.

Kim podeszła ślizgiem do lądowania jakieś sto metrów dalej. Przez chwilę spierali się, kto ma iść, a kto zostać.

– To moja wyprawa – upierała się Kim.

Sal wzruszył ramionami.

– Masz przez cały czas do mnie mówić – nakazał.

– Nic mi nie będzie.

Zapięła i uszczelniła kurtkę, zeszła z flyera na ziemię i zagłębiła się w las. Dzień był zimny i surowy, a powietrze zupełnie nieruchome. Pod stopami skrzypiał śnieg.

Niemal od razu zabłądziła i musiała wrócić po swoich śladach. Sal widział cel na wprost przed sobą, ale nie brał pod uwagę płotów, gęstych zarośli, strumieni ani innych przeszkód.

Przy drugiej próbie znalazła bramę. Na łuku ponad nią widniały słowa KRES DROGI.

– Tutejsi ludzie mieli dziwne poczucie humoru – powiedziała Salowi.

– Co masz na myśli?

– Później ci wyjaśnię.

– Jesteś już na miejscu?

– Tak. Podaj mi jakieś namiary.

Sal sprawdził sporządzoną wcześniej mapkę i porównał ją z pozycją Kim.

– Jakies sześćdziesiąt stopni na prawo od ciebie.

Stała wśród grobów. Cały cmentarz porastała gęsta roślinność. Kim ruszyła w kierunku wskazanym przez Sala.

– Dobrze – powiedział. – Idź prosto przed siebie.

Zerkała na mijane płyty nagrobne. Niektóre pochodziły sprzed dwóch wieków.

– Jesteś na miejscu – oznajmił Sal. – Powinnaś się znajdować dokładnie nad tym.

Miała przed sobą kamiennego anioła.

– Tu jest tylko grób – powiedziała. – Bardzo stary. Mąż i żona. Oboje pochowani na początku ubiegłego stulecia.

– To musi być tam.

Rozejrzała się. Miała przed sobą kilka wiązów, parę grobowców i mnóstwo płyt ledwo widocznych za roślinną zasłoną.

– Niemożliwe.

– Na pewno. Idealne miejsce. Nikomu by się nie chciało tutaj kopać.

– Ale morderca musiałby naruszyć nagrobek. Ktoś by to przecież zauważył. – Może małżeństwo pochowano, nie zdejmując im obrączek. – W takich miejscach nie chowa się ciała ofiary, Sal. Ukrywa się je w lesie albo obciążone wrzuca się do jeziora.

Wróciła do flyera i ponownie wznieśli się do góry. Wrócili na poprzedni kurs wzdłuż południowego brzegu, a potem skręcili na wschód. Instruuąc SI, aby kontynuowała poszukiwania, posilili się plastrami wieprzowiny i jabłka. Popołudnie dobiegało końca.

O zachodzie słońca Sal się poddał.

– Chyba już nic nie znajdziemy.

– Gdzie jeszcze nie szukaliśmy?

– Tripley miał flyera.

– Tak.

– Gdybym ja miał samolot i chciał się pozbyć ciała, chyba nie bawiłbym się w kopanie dziur. Za dużo pracy i za wielkie ryzyko, że cię złapią.

– Przecież sprawdziliśmy jezioro.

– Do diabła z jeziorem. Ja wyleciałbym nad morze i tam bym je wyrzucił.

– Jeśli tak zrobił, to mamy pecha. – Kim zastukała palcem wskazującym w konsolę. – Do eksplozji doszło w trzy dni po ich powrocie. Przypuśćmy, że wszystko działo się szybko i musiał się pozbyć ciała w tej okolicy. – Słońce właśnie dotknęło wierzchołka Mount Hope.

– Na szczycie góry? – zasugerował Sal.

– Tam nie ma nic prócz granitu. Nie mógłby ukryć ofiary.

– To może w rzece, ale w górę jej biegu. Po drugiej stronie zapory.

– Ty byś wrzucił tam ciało.

– W tym miejscu woda jest głębsza. Sama sprawdź na mapie.

Duże fragmenty tamy pozostały nienaruszone. Przez otwarte śluzy i wyrwy w betonie rzeka przelewała się z rykiem, wytryskając po południowej stronie i opadając pięćdziesiąt metrów do niższego kanionu.

Przelecieli nisko nad zaporą. Kim stęknęła, gdy zakołysał nimi wiatr, a SI za późno ostrzegła, że w tej strefie często występowały turbulencje.

– *Doradzam zachowanie ostrożności*

Ruiny tamy wyglądały według Kim, jak pozostałości monolitycznego ołtarza albo jak wielka szczęka, którą ktoś zostawił w rzece.

Pokładowa SI przeprosiła za niewygodną podróż i zapewniła ich, że będzie bardziej uważała. Dodała też, że wyznaczony przez nich górny pułap nie pozwalał się wznieść na bardziej komfortową wysokość.

Kim i Sal przyjrzeni się tamie. W górnej części nurtu rzeka przypominała patchwork zszyty ze skrawków spienionego nurtu, wirów, piaszczystych brzegów i połamanych drzew.

Woda pędziła przez potrzaskaną zaporę, przewalała się przez nią i spadała z prawie pięćdziesięciu metrów do kanionu, skąd trafiała do Jeziora Żalu.

Sal poinstruował SI, aby zeszła niżej, ale w odpowiedzi usłyszał tylko skargę, że takie posunięcie byłoby nieostrożne.

– *Za silny wiatr. Powinniśmy zostać na tej wysokości*

– Kim – westchnął Sal. – Zamień się ze mną miejscami.

Pokręciła głową.

– Przejście na ręczne nic nie da. Jeśli nie spodoba się jej to, co robisz, z powrotem przejmie sterowanie.

– Zamień się ze mną – powtórzył.

Posłuchała. Nagimnastykowali się trochę przy zamianie miejsc. Nie zwracali uwagi na prośby automatu o instrukcje. Sal usiadł w fotelu, po lewej stronie odszukał panel z oznaczeniem A-DATA i otworzył go.

– Co robisz? – spytała Kim.

– Wyłączam SI. – Pokazał jej żółty przewód i wyjął go z czarnej skrzynki. Flyer w jednej chwili stanął i zaczął tracić wysokość. Sal wcisnął kilka przełączników. Z pokładu wysunęło się jarzmo steru. Wypróbował je, pociągnął dźwignię ku sobie i wyrównał lot.

– Nie wiedziałam, że tak można – powiedziała Kim.

Uśmiechnął się.

– Człowiek codziennie się czegoś uczy. Jesteś gotowa?

– Na co? Chyba nie planujesz opuścić nas do rzeki, co?

– Nic się nie bój.

– No dobra. Mój los w twoich rękach...

Sal wybrał jeden z większych fragmentów zapory. Opuścił się w dół wzdłuż północnego zbocza i zatrzymał nad samą powierzchnią wody. Zejście okazało się bardziej spokojne, niż Kim się spodziewała.

– Świetnie – powiedziała.

Pokiwał głową.

– Nie ma to jak profesjonalista...

Monitor zaczął migać.

– Mamy trafienie – stwierdziła Kim.

– Wygląda na to, że cel znajduje się dokładnie przy zaporze. – To miało sens. Wystarczyło wrzucić coś do wody w tym odcinku, odpowiednio to obciążając, a w końcu zaklinowałyby się gdzieś przy betonowej ścianie.

Sal spojrział na ciemniejące niebo.

– Jest już za późno, żeby zrobić coś więcej – powiedział. – Może wrócimy tu jutro? Za dnia?

– Ale jesteśmy tak blisko. Zajmie nam to tylko kilka minut. Miejmy to już za sobą.

Sprawdźmy, co tam jest.

Zmarszczył brwi.

– Wzburzona rzeka i betonowa zapora to za dużo nawet dla świetnego nurka.

– Będziemy ostrożni. Zresztą, na pewno nie jest to aż tak niebezpieczne, jak nam się zdaje.

– Wygląda na bardzo groźne.

Rozejrzeli się wokół szukając miejsca, w którym mogliby wylądować.

– Tam – powiedział Sal. Wskazał kawał betonu w rzece. Płyta leżała niemal płasko. Jeden koniec zanurzał się w wodzie, drugi wystawał nad powierzchnię pod kątem mniej więcej dziesięciu stopni. Miejsce w sam raz dla flyera.

– Nie możemy wylądować gdzie indziej? – spytała Kim.

– Możemy – powiedział, patrząc na piaszczyste plaże – ale mielibyśmy kłopot z dostaniem się do tej części rzeki.

Płyta znajdowała się w idealnym miejscu. Musieli tylko na niej wylądować. Sal powoli zszedł niżej, próbując ustawić flyera równolegle do kąta nachylenia, przodem w górę.

– Trzymaj się – ostrzegł.

Kim miała wrażenie, że badał beton tak ostrożnie, jak człowiek stąpający w ciemnościach. Gwałtowny podmuch wiatru pchnął ich za daleko w bok. Sal ponownie wspiął się wyżej, wyrównał lot i spróbował raz jeszcze.

Kim złapała się na tym, że próbuje siłą woli sprowadzić pojazd w dół. *Spokojnie, powoli* powtarzała w myślach. Musnęli blok, unieśli się znowu i jeszcze raz dotknęli betonu. Sal nie zmniejszył mocy. Tylna część pojazdu trafiła na miejsce. Przez chwilę wydawało im się, że płyta leży bardziej stromo i że ześlizną się do rzeki.

Moment później flyer stanął pewnie na betonie.

Sal jeszcze przez minutę nie wyłączał silnika. Gdy nic się nie stało, zgasił go i odetchnął głęboko.

– Pestka – powiedział.

Serce Kim wracało do normalnego rytmu.

– Wiedziałam, że ci się uda.

Sal otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz i pochylił się ku wyższej stronie płyty.

– Jest ślisko – ostrzegł.

Jedno z nich musiało zostać przy wykrywaczu, aby nakierować nurka. Kim zaczęła zdejmować kolczyki. Sal spojrzał na nią i pokręcił głową.

– Ty siedź tutaj.

– Dlaczego?

– Tylko spójrz na rzekę. – Musiał przekrzykiwać ryk wiatru i huk wody.

Kim wysiadła, pewnie stanęła na betonie i skinęła głową.

– Jest trochę niespokojnie – przyznała. – I właśnie dlatego ty powinieneś tu zostać.

– Jak to?

Cel znajdował się zaledwie kilka metrów od nich. Nieźle. Podniosła linkę bezpieczeństwa.

– Jeśli zejdziesz do wody i coś ci się stanie, nie zdołam cię wyciągnąć. Mięśnie potrzebne są tutaj.

Przeszył ją wzrokiem.

– Idiotyczny argument.

– Kto tak twierdzi? Zresztą, to mój plan. Czułabym się o wiele pewniej, wiedząc, że jesteś tutaj i możesz mi pomóc, gdybym tego potrzebowała. Ja w razie niebezpieczeństwa nie dałabym rady cię uratować.

Nie spuszczał z niej wzroku. Widziała, jak narasta w nim irytacja. Wiedział, że miała rację. Wyciągnęła z flyera skafander płetwonurka.

– Miejmy to już za sobą.

– Nie podoba mi się to.

Z betonu wystawała para żelaznych klamer.

– Spokojnie – powiedziała Kim. Przymocowała jeden koniec linki do klamry, a drugi przypięła do pasa.

– Gdyby coś poszło nie tak, będziesz mnie mógł wyciągnąć.

Kłócili się jeszcze kilka minut. W końcu Sal się poddał. Kim spojrzała na pędzącą rzekę.

Woda gwałtownie przelewała się ponad przeciwległym krańcem betonowego bloku. Przez chwilę zastanawiała się, czy to dobry pomysł, czy nie powinni raczej poczekać i kiedy indziej zanurkować razem. Już miała się wycofać, ale spojrzała na Sala. Kręcąc głową, opuścił do wody radiodbiornik i groźnie popatrzył na Kim.

– Głupota – mruknął.

– Nic mi się nie stanie.

Skrzywił się. Chyba nie słyszał jej wyraźnie. Kim wzruszyła ramionami.

– Na głębokości kilku metrów nie będzie tak źle – powiedziała do nadajnika w masce.

Skinął głową i raz jeszcze bezgłośnie powiedział *Głupota*.

Naciągnęła płetwy, przytroczyła do pasa dysze wspomagające, po czym założyła latarkę na przegub i konwerter na plecy.

– Powodzenia – powiedział Sal z urazą.

Odpowiedziała mu uśmiechem, który miał go udobruchać, włożyła maskę i opuściła się do rzeki.

– Nie jest tak źle – powiedziała.

– Blok osłabia siłę nurtu. Zaraz wyjdiesz z za zasłony.

Zanurkowała pod wodę, usłyszała charakterystyczny dźwięk konwertera, który zaczął odyskiwać tlen z wody. Gwałtownie uderzyły w nią prądy szarpiąc to w jedną, to w drugą stronę. Sprawdziła łączność radiową. Sal odpowiedział. Włączyła latarkę i zaczęła schodzić w dół, tuż przy bloku, przez cały czas badając gładką powierzchnię betonu dłońmi. Widoczność w mętnej wodzie była niemal zerowa. Kim zeszła aż na zamulone i kamieniste dno.

– Prosto przed tobą – powiedział Sal. – Jakies dwanaście metrów, a przynajmniej tak to wygląda.

Z początku woda wydawała się w miarę spokojna. Kim odsunęła się od betonowej ściany,

starając się nie stracić kontaktu z dnem. Wymijała rozmaite szczątki, zatopione drzewa, fragmenty maszyn i kawałki betonu. Nurt szarpał nią to w jedną, to w drugą stronę, w końcu przycisnął ją do dna. Straciła orientację.

Na szczęście nie miało to znaczenia. Sal widział na monitorze i nurka, i cel.

– Za mocno odbijasz w prawo – powiedział.

Prąd stawał się coraz silniejszy. Musiała pomóc sobie, włączając jedną z dysz. Przy tak słabej widoczności było to niebezpieczne.

– Znowu odpadasz w prawo. Cel masz osiem metrów przed sobą, dokładnie na wprost.

Nurt ponownie pchnął ją do przodu. Rzeka napierała na nią, próbowała unieść ze sobą.

Kim przytrzymała się leżącej na dnie obudowy silnika i próbowała złapać oddech.

– Jak widoczność, Kim?

– Na pół metra.

– Rozumiem. Powinnaś to mieć dokładnie pod sobą. Latarka dawała tylko rozmytą poświatę.

– Niczego nie widzę.

– Ale to tam jest.

– Może zakopane.

– Nie zdziwiłbym się. Lepiej już wychodź. Jutro ściągniemy tu ekipę pletwonurków i odpowiedni sprzęt.

Strumień światła odbił się od czegoś. Na prawo od niej. Mocno zapała stopy w dnie, niechętnie puściła wąsy wodorostów i zaczęła czołgać się naprzód. Natrafiła na kawałek folii wystający z mułu.

– Chyba coś mamy, Sal.

– Co to takiego? Co widzisz? Zajrzała pod folię.

– But.

– Jesteś pewna? – Tak. Pociągnęła.

– Sal, to *stopa*.

– Dobrze, zachowaj spokój.

– Tu jest *człowiek*.

– Widzisz ciało?

– Chyba tak.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Zwariowałaś? Mam tylko nogę. Nic więcej.

– Rozumiem. Dobrze się czujesz? Wiedziała o co mu chodziło.

– Nic mi nie jest.

– Jak wygląda? – spytał, starając się, by jego głos zabrzmiał rzeczowo.

– Stopa jest mała. Przypuszczam, że to kobieta. Albo dziecko. – Wyjęła linkę z za pasa, żeby przywiązać ją do folii. W tej samej chwili straciła równowagę. Rzeka porwała ją ze sobą i Kim przekoziółkowała.

Głos Sala brzmiał spokojnie.

– Kim, podaj położenie. Co się dzieje?

Uderzyła o jakiś twardy przedmiot i wreszcie natrafiła na coś, czego mogła się chwycić.

– Kim?

– Porwał mnie prąd. – Trzymała się gałęzi drzewa.

– Mam do ciebie zejść?

– Nie. Absolutnie nie.

Prąd próbował zderzyć jej maskę. Przytrzymała ją i z powrotem przycisnęła do twarzy.

Przez chwilę wsłuchiwała się we własny oddech.

– Chyba powinnaś już wyjść na powierzchnię. Rano zawiadomimy władze. Niech inni zajmą się resztą.

– Gdzie jest góra, a gdzie dół? – spytała. Bynajmniej nie żartowała. Potrzebowała wskazówek, aby nie wypłynąć w złym miejscu, ryzykując, że zostanie wessana przez uszkodzoną zaporę.

– Powinnaś się przemieścić mniej więcej sześć metrów w prawo. W ten sposób wyjdiesz dokładnie przede mną. W najspokojniejszym miejscu.

Niewiele jej to mówiło.

W nurcie rzeki trudno było trzymać się wskazówek. Kim zaczęła odczuwać zmęczenie.

Jak długo była pod wodą?

Użyła dysz wspomagających, żeby przemieścić się w prawo.

– Stop – zawołał Sal ostrzegawczo. – Idziesz w złą stronę.

Niestety, rzeka już ją porwała. Kim chwyciła się czegoś, jakiegoś kawałka żelaza i przytrzymała się.

– Co się dzieje, Kim?

Od razu się zorientowała w pomyłce. Jej prawa strona nie była jego prawą stroną.

– Przepraszam – powiedział, także domyślając się przyczyny błędu. – To moja wina. Nic ci nie jest?

– Nie.

– Nie musisz się przejmować tym, że cię znosi. Mam przecież linkę.

Bolały ją ramiona. Trafiła w przeciwny prąd. Wykorzystała to, odpoczywając chwilę i pozwalając, aby rzeka ją niosła. Nurt zyskiwał na sile i po chwili Kim znowu zaczęła koziółkować. Nie mogła nad tym zapanować. Uderzyła w coś. Przed oczami zatańczyły jej światełka. Na biodrze poczuła szarpnięcie linki. Silny strumień wody naparł na nią, zdzierając jej maskę na czoło. Zachłysnęła się wodą i wpadła na płataninę konarów. Kawałki żelaza lub drewna wpiły się w jej brzuch. Rzeka próbowała porwać ją dalej, ale Kim złapała się czegoś z całych sił.

Pędząca woda ryczała w jej uszach. Strumienie uderzały w nią, wyciskając z płuc powietrze.

Zdołała ponownie założyć maskę. Zaczęła przez zawór pozbywać się wody ze środka, ale trwało zbyt długo, więc resztę wydmuchnęła sama. Maskę natychmiast zaczęła się ponownie napełniać.

– *Kim!* – Głos Sala dobiegał z bardzo daleka. – Co się stało?

Próbowała mu odpowiedzieć, ale skończyło się tym, że połknęła więcej wody.

Automatyczne opróżnianie maski nie działało. Rzeka wlewała się do środka.

– Kim, co się dzieje?

Ponownie opróżniła maskę i spróbowała odepchnąć się od drzewa, ale linka pociągnęła ją z powrotem.

Zaczepiła się.

Rzeka była zbyt silna, albo ona za bardzo osłabła. Nie miała sił dłużej walczyć z nurtem, nie mogła nawet myśleć o wysiłku, jaki kosztowałyby ją posuwanie się naprzód.

– ...utknęłaś... – Sal coś mówił. – Słyszysz mnie? Już do ciebie schodzę. Trzymaj...

Chciała się do niego odezwać, powiedzieć mu, żeby wezwał pomoc, żeby nie wchodził do wody, ale nie mogła opróżnić maski z wody, nie mogła mówić, nie mogła nawet krzyczeć.

Zerwała maskę, odłączyła przewód doprowadzający tlen, zacisnęła zęby wokół ustnika i odetchnęła głęboko. Uciekła w głąb siebie, z dala od szalejącego nurtu rzeki...

Tu nie możesz zostać.

Próbowała odczepić linkę, uwolnić się spomiędzy gałęzi, ale każdy ruch wymagał walki z prądem.

Sal pewnie szedł jej śladem. Wiedziała, że miał takie same szanse przetrwania, co ona.

Coś uderzyło ją w kostkę. Nurt szarpnął nią. Poczowała ból w ramionach i niemal straciła ustnik. Jedną dłoń zacisnęła na lince, na wypadek, gdyby rzeka zdołała oderwać jej koniec od pasa; drugą przytrzymała ustnik.

Teoretycznie mogła tak wytrzymać wiele dni. Tak długo, jak długo pracował konwerter.

Mogła zaczekać, aż Sal sprowadzi pomoc. Ale on nie zamierzał czekać; sam chciał ją uratować.

Gdyby nie zdobyła się na wysiłek, mogli zginąć oboje. A przynajmniej ona.

Latarka zgasła.

Kim ponownie spróbowała uwolnić linkę, ale była za bardzo zaplątana w konarach. W końcu podjęła decyzję, odpięła się i puściła. Odepchnęła się od drzewa.

Prąd porwał ją i uderzył nią o beton. Wyrwało jej ustnik. W betonie natrafiła na pęknięcia i przepusty. Nurt wepchnął ją w jeden z nich. Przycisnął ją do ściany i wdusił w niewielki rozłam, zadrapiując konwerter. W panice zaczęła szukać ustnika.

Rzeka pchała ją głową naprzód. Ustnik powinna mieć gdzieś przed sobą. Powinna, ale nie mogła go znaleźć.

Znajdowała się w przelewie zapory częściowo zablokowanym różnymi szczątkami.

Konwerter wciąż przyczepiony do jej pleców zakleszczył się w mule między kawałkami betonu.

Wreszcie natrafiła na ustnik, wsunęła go do buzi i z ulgą zaczerpnęła powietrza.

Smakowało wybornie. Paniczny strach nie puszczał jej jednak.

Nie mogła wydostać się tą samą drogą, którą zeszła pod wodę i nie mogła przecisnąć się na drugą stronę przelewu. Jeśli chciała trzymać się urządzenia, dzięki któremu mogła oddychać, nie mogła ruszyć się z miejsca.

Raz jeszcze spróbowała się uwolnić, wykręcając się we wszystkie strony.

Jak daleko musiała płynąć, żeby dotrzeć na drugą stronę zapory? Jak daleko? Nie więcej niż dwadzieścia metrów.

Wzięła głęboki wdech, wyjęła ustnik i zwolniła klamrę przytrzymującą uprząż konwertera. Nurt wciskał ją w szelki, ale zdołała się uwolnić z taśm. Rzeka wyrwała ją zza załomu, wpychając głębiej w przelew. Uniosła ją z prądem obijając o skały i betonowe ściany. Kim próbowała osłaniać twarz i

głowę. Raz, na rozpaczliwe kilka sekund ponownie uwięzła, ale przeszkoda niemal natychmiast złamała się pod jej ciężarem.

Nurt poniósł ją w zupełną ciemność. Od czasu do czasu wyciągała głowę w nadziei, że natrafi gdzieś na uwięziony bąbel powietrza, ale wokół miała tylko wodę i beton.

Uderzyła w jakiś metal, bramę, może kratę. Po omacku zdołała to ominąć i znowu płynęła z nurtem. Starła się myśleć o tym, że woda po przejściu przez zaporę trafiała do niższej części rzeki, która była tuż-tuż. Jeszcze kilka sekund, a znajdzie się na powierzchni.

Nagle ogarnął ją niezwykły spokój. Tak jakby coś głęboko w niej poddało się rezygnacji, pogodziło się z mrokiem i z rzeką.

Niespodziewanie napór nurtu ustał i Kim zaczęła spadać.

Trwało to bez końca. Wiry rzeki rozprysły się w fontannę kropli. Na moment Kim ujrzała pod sobą niższe koryto rzeki, spienioną kipieli i cienie. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, wyprostowała się i wpadła do wody nogami do przodu, zanurzając się w spokojną głębię.

Potem, szczęśliwa, że wszystkie części jej ciała wciąż działają sprawnie, machnęła nogami i zaczęła płynąć ku powierzchni.

Nie wierzę, że prawda wyjdzie kiedyś na jaw, a historią gardzę wielce.

George C. Meade, 1871 n.e.

Historia to bujdy.

Przypisywane Henry'emu Fordowi, 1915 n.e.

Mało brakowało.

Kiedy powietrzne ekipy ratownicze dotarły na miejsce, znalazły Sala uwięzionego przez bramę w kanale doprowadzającym do elektrowni. Tkwił w wodzie od niemal czterech godzin.

Nie był zadowolony.

Mimo to, razem z Kim wrócił w to samo miejsce następnego ranka, gdy policja wyciągała z wody zmumifikowane zwłoki. Zawinięto je w foliową płachtę.

Akcją kierował wysoki, ciemnoskóry i ciemnowłosy mężczyzna. Przedstawił się im jako inspektor Chepanga.

– Chcę o wszystkim wiedzieć – zakomunikował.

Miał na sobie czarny sweter z golfem. Brodę strzygł w szpic. Przyglądał się Kim z taką miną, jakby wyławiał ciała z Severin z przygnębiającą częstotliwością. W erze ogólnego dobrobytu i poszanowania prawa, zdarzało się to najwyżej raz na kilka lat.

– To Yoshi Amara – powiedziała Kim. Sal próbował gestami ostrzec ją, by milczała, ale uznała to za bezsensowne. Nie miała powodu, aby chronić Tripleya albo opóźnić dochodzenie, które policja i tak by przeprowadziła.

– Skąd to pani wie? Jak się pani domyśliła, że ciało znajduje się właśnie tutaj?

Kim opowiedziała mu wszystko o bucie, złocie i o tym, jak prowadzili poszukiwania.

Chepanga słuchał, od czasu do czasu kiwając głową i często marszcząc brwi. W końcu spojrzał na Sala, tak jakby przynajmniej on mógł się postarać o odrobinę zdrowego rozsądku.

– Oboje macie cholerne szczęście, że żyjecie – warknął, dając im do zrozumienia, że i tak ma dosyć problemów i nie potrzebuje, aby tacy jak Kim dokładali mu nowych.

Ciało ofiary długo leżało w wodzie obciążone kamieniami. Zostało z niego niewiele prócz zębów i kości. A także bransolety i łańcuszka.

– Była w domu Tripleya? – spytał Chepanga.

– Tak.

Inspektor zapatrzył się na rzekę.

– Tam już niczego nie znajdziemy.

Sal i Kim uczcili powrót z Severin, fundując sobie lunch w najdroższej restauracji, jaką zdołali znaleźć. Wznosili toasty za swoją odwagę i za sprzyjający los. Kim cieszyła się każdą minutą. Zapewniała go, że zachował się jak bohater, pomimo, że operacja ratunkowa nie poszła zgodnie z planem. Wzruszyła się po raz kolejny widząc, że bez wahania naraziłby się dla niej na niebezpieczeństwo. Sal, korzystając z okazji, wypomniał Kim jej ryzykanctwo, a ona przyznała, że tym razem postąpiła nieostrożnie. Nalegał, aby następnym razem, tak dla odmiany, spróbowała go

posłuchać, ale robił to w uroczy sposób. Uśmiechnęła się i ścisnęła jego dłoń, po czym napełniła jego kieliszek winem z karafki. Sal patrzył na nią tak surowo, jak tylko potrafił. Na swój sposób był najbardziej czarującym człowiekiem, jakiego znała. No, może nie tak czarującym, jak Mike Plymouth. Ale Sal był wyjątkowy.

Kiedy kończyli jeść, zadzwonił jeden z asystentów Chepangi i potwierdził, że rzeczywiście znaleźli ciało Yoshi Amary.

Po powrocie do hotelu Kim skontaktowała się z Sheyelem. Połączenie nie było najlepsze.

Mieli na linii jakieś zakłócenia. Gdy w końcu obraz jej byłego wykładowcy pojawił się na monitorze, wydawał się nieostry. Postać Sheyela rozmazywała się, zwłaszcza w pasie, na wysokości ramion. Od czasu do czasu obraz bladł i stawał się niemal przezroczysty. W

połączeniu z ponurym usposobieniem profesora, całość wyglądała dość spektakularnie.

– Przykro mi. – Kim wiedziała, że słowa te są zupełnie nieodpowiednie, jak zawsze w takich sytuacjach. Choć tym razem ofiara nie żyła od niemal trzydziestu lat.

– Zamordowano ją? – zapytał.

– Policja bada sprawę. Ale chyba możemy tak przypuszczać. – Kim powiedziała mu o kilku szczegółach. Prawdę mówiąc, niewiele ich było.

– W rzece – powtórzył za nią.

– Przykro mi. – Nie wiedziała, jak inaczej mu odpowiedzieć.

– Dziękuję, Kim. Doceniam to, co zrobiłaś. – Wydał się jej zgaszony. Zrozumiała, że aż do tej chwili miał nadzieję.

– Co teraz zamierzasz?

– Zaczekam na wyniki śledztwa.

– Nie chcę cię zniechęcać, Sheyel, ale główni sprawcy nie żyją. Wątpię, czy w ogóle będzie jakieś dochodzenie.

Obraz odzyskał ostrość.

– Na pewno będą chcieli zbadać, co naprawdę się wydarzyło – powiedział Sheyel.

– Może. Choć przyznam, że w to wątpię.

– Rozumiem. – Przekaz znowu się zamazał, tak że widziała tylko zarys sylwetki. – A co z tobą, Kim?

– Pytasz, czy zamierzam zostawić tę sprawę?

– Tak, o to mi właśnie chodziło. Bo, szczerze mówiąc, nie rozumiem – nie potrafię sobie wyobrazić – co tam się mogło zdarzyć. Zebrałem wiele danych na temat Tripleya i Kane'a.

Obejrzałem chyba wszystkie ogólnie dostępne materiały. Nie mogę uwierzyć, że któryś z nich byłby zdolny popełnić morderstwo.

– Ja też tak myślę.

– Zamierzasz dalej się tym zajmować?

– Na tyle, na ile będę mogła.

– W takim razie proszę cię, zachowaj ostrożność. Możliwe, że zabójca Yoshi wciąż się gdzieś tam kręci.

– Po tylu latach? – Próbowała się zdobyć na sceptycyzm.

– Czy ktoś ci towarzyszy?

– Tak. Kolega. Salomon Hobbs.

– To dobrze. Trzymaj się blisko niego.

Po południu Chepanga przeprowadził wirtualne przesłuchanie. Poprosił Kim, aby z najdrobniejszymi szczegółami powtórzyła swoją opowieść. Kiedy skończyła spytał, dlaczego zainteresowała się tą sprawą.

– Mamy koniec wieku – powiedziała mu. – Zaczęłam wspominać siostrę, którą straciłam dawno temu.

Miał chyba nadzieję dowiedzieć się więcej. Zapytał Sala, czy ma coś do dodania.

Nie miał.

– Ja tylko pomagałem przyjaciółce – wyjaśnił.

– Jak zginęła Yoshi? – chciała wiedzieć Kim.

– Miała złamany kark.

– Co pan teraz planuje?

– Przeprowadzimy dokładne śledztwo. Nie możemy jednak zapominać o realiach. To wydarzyło się dawno temu. Sprawa takiej natury... No cóż, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. – Inspektor podziękował jej i się wyłączył.

– Chyba próbował nam powiedzieć, że na tym koniec – stwierdził Sal.

– Uważa, że Tripley ją zamordował, a Tripley nie żyje. Przynajmniej oficjalnie uważa się go za zmarłego.

– Prawdę mówiąc, ja też stawiałbym na niego. – Sal rzucił jej dziwne spojrzenie.

– Co? – spytała.

– Obiecałaś Sheyelowi, że nie zrezygnujesz. Co zamierzasz?

– Nie wiem. Coś na pewno możemy zrobić. – Nadal czuła przyływ adrenaliny po bohaterskich wyczynach w rzece. Kto by przypuszczał, że małą Kimmy stać było na coś takiego? – Co powiesz na spacer po mieście?

– Z przyjemnością. – Sal zrobił drinki sobie i Kim, przełknął swój, przeprosił ją i wrócił do sypialni. Po kilku minutach wyszedł stamtąd ubrany w cytrynową kurtkę. – Oto nowy ja.

Co ty na to?

– Wyglądasz olśniewająco.

– Kupiłem ją w zeszłym tygodniu. Na specjalne okazje.

– Świetnie. Może stworzy ona nastrój odpowiedni, abyśmy zrobili następny krok.

– *My*? Jak to?

Przekrzywiła głowę i spojrzała spokojnie w jego wytrzeszczone oczy. Potrzebowała jego pomocy. Zdawała sobie z tego sprawę. Sal też to widział.

– Nie śmiałybym cię do niczego zmuszać – powiedziała.

– Rozumiem – odparł ostrożnie. – A jaki miałyby być ten następny krok?

– Dowiemy się, co się stało z uczuciem, które łączyło Kane'a i Emily.

Wieczorem poszli na przedstawienie. Tancerki, muzyka na żywo, zespół znanych piosenkarzy, komik. Widownia pękała w szwach. Potem wybrali się na spacer ponad miastem. Podziwiali

fontanny i bistra.

Na kolację wstąpili do Top of the World. Ale ledwie zdążyli usiąść przy stoliku, gdy otrzymali wiadomość od Matta: *Podobno policja znalazła ciało Amary w Severin. Niektórzy z nas zastanawiają się, jakim cudem personel Instytutu jest w to zamieszany.*

„Niektórzy z nas”, czyli Philip Agostino, niegdyś geniusz w dziedzinie fizyki, który dość szybko stwierdził, że władza interesuje go bardziej niż nauka i teraz pełnił funkcję dyrektora Instytutu.

– Będą kłopoty – powiedział Sal ponuro.

Po przeżyciach w rzece problemy z szefem wydały się Kim mało znaczące. Zamówiła butelkę drogiego wina, na które nie mogła sobie pozwolić, napełniła dwa kieliszki i podniosła swój, wznosząc toast za Sala.

– Za wszystko, co zrobiłeś – powiedziała.

Kiedy wrócili do hotelu, raz jeszcze obejrzała ostatnią rozmowę między Kanem i Emily.

Odbyli ją, gdy *Hunter* zbliżał się do Sky Harbor. Światło w kabinie pilota było przyciemnione. Oboje rozmawiali ze sobą swobodnie, jak starzy przyjaciele.

– *Dziękuję Markis.*

– *Za co?*

– *Za to, że dowiozłeś nas cało z powrotem. Przepraszam, że nalegałam, by nie przerywać misji.*

– *Nie ma sprawy. Spodziewałem się tego.*

– *Jak zawsze, miło spędziłam z tobą czas.*

Zatrzymała nagranie, cofnęła je i poszła po Sala, który w sąsiednim pokoju próbował coś czytać. Potem raz jeszcze odtworzyła ostatnie zdanie.

– *Jak zawsze, miło spędziłam z tobą czas.*

– Czekał. – Podzieliła ekran, wywołując w drugiej części Emili i Markisa w rozmowie, którą odbyli siedem tygodni wcześniej, wkrótce po tym, jak *Hunter* opuścił St. Johns. – Popatrz.

Oboje milczeli. Emili ścisnęła ramię Kane'a i przysiadła na fotelu po prawej stronie.

– *Wszystko idzie zgodnie z planem* – powiedział Markis.

Pochyliła się ku niemu tak blisko, jak pozwalały na to pasy.

– *Może tym razem nam się uda.*

– *Mam nadzieję, Emily. Naprawdę.*

– Posłuchaj jego głosu – powiedziała Kim. – Przyjrzyj się mowie ciała.

Dwójka z *Huntera* przez jakiś czas rozmawiała o błahych sprawach. Ale sposób, w jaki to robili i wzajemna chęć ciągłego dotykania tej drugiej osoby, zdradzały uczucie, jakie ich łączyło. Kim na moment zatrzymała nagranie w chwili, gdy patrzyli na siebie czule.

– Sam nie wiem – powiedział Sal. – Czego próbujesz dowieść?

– Braku spójności.

W myślach powtórzyła konwersację, patrząc przez okno na linię budynków rysujących się na tle nieba.

– Pozwól, że zmienię temat – zaczął Sal. – Jakiś czas temu dzwonił z Instytutu. Podobno Harvey poprosił o wolne. Muszą mieć pilota na zastępstwo.

– Dokąd?

– Taratuba.

Czarna dziura niedaleko Mirandy. Kandydatka na matkę nowego życia. *Thomas Hammer* ruszał za jedenaście dni.

Podejrzewano, że Taratuba stworzyła sztuczną próżnię i doszło do nowego wielkiego wybuchu. Maleński świat. Jeżeli rzeczywiście tak się stało, w tamtym rejonie powstałoby zupełnie inne kontinuum czasoprzestrzenne, na zawsze oddzielone od znanego im wszechświata. Teoretycy twierdzili, że gdyby naprawdę miało to miejsce, wokół dziury wykryto by promieniowanie Kung Che. Nadarzała się szansa *dotknięcia* życiodajnego ognia.

Poszerzenia wiedzy o tym, co było przed narodzinami znanego świata.

– Jak długo cię nie będzie? – spytała.

– Kilka miesięcy. – Spojrzał na nią. – Mam nadzieję, że to dla ciebie nie problem?

– Nie. Oczywiście że nie.

– W końcu ta sprawa czekała już trzydzieści lat.

– Tak.

– Myślisz, że naprawdę coś w tym jest? – zapytał.

– W czym?

Miała wrażenie, że czytał w jej myślach.

– W teorii o alternatywnych światach. Czy jest taki, w którym ja i ty siedzimy w tym samym pokoju, prowadzimy tę samą rozmowę, tylko, że już znamy rozwiązanie zagadki?

Wzruszyła ramionami.

– Nie moja działka, Sal. Ale chętnie porównałabym notatki z tą drugą Brandywine.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

– Zastanawiam się, czy jest taki świat, w którym jesteśmy kochankami – powiedział nagle.

Wyrzucił to z siebie, tak jakby musiał to powiedzieć, zanim poczuje jakiś wewnętrzny hamulec. Gdy tylko przebrzmiały te słowa, poczuł się niezręcznie i Kim wiedziała, że gdyby mógł, chętnie by je odwołał.

Wzięła go za rękę, nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć. Zawsze istniało między nimi niepisane porozumienie, dystans stworzony przez świadomość tego, że nie chcą narażać wieloletniej przyjaźni, decydując się na fizyczne zbliżenie. Ale Sal, któremu taki stan rzeczy nie do końca odpowiadał, od czasu do czasu pozwalał sobie na aluzje. Nie chciała go utracić.

Był jedyną rodziną jaką miała.

– Mam nadzieję – powiedziała z uśmiechem, ale zachowując neutralny ton.

Sal zadzwonił do recepcji, by zamówić bilety na porannego Snowhawka, a Kim ponownie usiadła przed monitorem i wróciła do oglądania dziennika pokładowego *Huntera*.

Emily i Kane.

Ich pierwsze spotkania mówiły: *kocham cię*. Uczucie było wzajemne. Bez wątplenia.

A potem: *Jak zawsze, miło spędziłam z tobą czas*.

Niewerbalne sygnały podczas rozmów stały się poprawne, jak na profesjonalistów przystało. Żadnego śladu erotycznego napięcia, żadnego dotyku, żadnych stęsknionych uśmiechów. Nic. Nawet

ich głosy, choć nadal przyjazne, zdradzały dystans. Coś w rodzaju: Proszę, podaj kawę.

– To wszystko jest nie tak – powiedziała Kim na głos.

– Jak coś wymyślisz, daj mi znać. – Sal przeciągnął się i wstał z kanapy. – Zobaczymy się rano.

Kim raz jeszcze wywołała na ekran dwa obrazy. Kane i Emily z początku wyprawy po jednej stronie, Kane i Emily żegnający się pod koniec z drugiej. Włączyła odtwarzanie obu sekwencji z normalną prędkością, potem cofnęła je i jeszcze raz odegrała je cztery razy wolniej. I wtedy to zauważyła.

Mój Boże.

Cofnęła nagranie i jeszcze raz je obejrzała. Nie miała wątpliwości.

Zastukała do drzwi sypialni.

– Sal.

Wyszedł, wzdychając ciężko i zawiązując szlafrok. Na twarzy miał wyraz anielskiej cierpliwości.

– Tak Kim? – powiedział przeciągle.

Wyłączyła dźwięk i odegrała mu oba fragmenty.

– Patrz na fotele.

Usiadł na sofie. Na stoliku obok paliła się nocna lampka.

– Na co mam zwrócić uwagę?

Po lewej stronie, rozmowa z początku podróży właśnie dobiegała końca i Emily zaczęła się podnosić z fotela. Kim zatrzymała obraz.

Po prawej konwersacja także się kończyła. Tutaj także Emily zaczęła wstawać. Kim ponownie włączyła pierwszą sekwencję synchronizując oba obrazy. Odtworzyła je w zwolnionym tempie. Na każdym Emily najpierw odpięła szelki bezpieczeństwa wdzięcznym ruchem lewej dłoni, a drugą ręką odepchnęła się od poręczy fotela.

Kim wcisnęła „pauzę”.

– Widzisz to?

– Poddaję się – stwierdził Sal.

– Spójrz na siedzenie. – W tkaninie z wcześniejszej sceny, pozostał wyraźny odcisk siedzenia.

Po prawej stronie, materiał był idealnie gładki.

– Dziwne – powiedział.

Obejrzeni pozostałe sekwencje. Zawsze, gdy ktoś siadał w fotelu po prawej stronie, pozostawiał odcisk, a dopiero po chwili poduszka wracała do pierwotnego kształtu.

Ktoś, ale nie Emily podczas podróży powrotnej.

Na początku ona także zawsze zostawiała odcisk. Kim obejrzała pierwszą rozmowę podczas lotu z powrotem:

– *Chyba się nie spodziewałaś, że od razu na coś trafisz* – powiedział Markis. – *Musimy być cierpliwi.*

– *Byliśmy cierpliwi.*

– *Wiem.*

Emily siedziała bez słowa kilka minut. W końcu odpięła szelki.

– Muszę iść.

Kane skinął głową widząc, że jego towarzyszka zamierza wstać.

Kim zatrzymała nagranie.

Brak odcisku.

– Powiedz mi, co teraz myślę, Sal. Jesteś w tym dobry.

Podrapał się w głowę.

– Przypuszczam, że w nagraniach z lotu powrotnego patrzymy na wirtualną Emilię.

– A zatem dzienniki zostały sfałszowane.

Sal odetchnął głęboko.

– Tak, chyba tak. Ale brak odcisku na siedzeniu jeszcze niczego nie dowodzi. Może to wina oświetlenia.

– Czy trudno jest sfałszować dziennik pokładowy?

– Na pewno niełatwo. Trzeba dokładnie dopasować wszystkie obrazy. No i dopilnować, żeby dane potwierdzały to, co się mówi. Kiedy *Hunter* robi skok, instrumenty muszą to pokazywać.

– Dałoby się to zrobić?

– Sfabrykować dziennik? – Zęby Sala błysnęły w świetle lampy. – Tak. Wydaje mi się, że bym potrafił. Wystarczyłoby trochę czasu i współpraca kolegów.

– Dlaczego towarzyszy im wirtualna Emily?

– Bo prawdziwa nie zgodziła się na współpracę.

– Albo jej nie było...

Popatrzyli na siebie.

– To możliwe – powiedział Sal. – Posłuchaj, każdy fałsz wychodzi na jaw w szczegółowym dochodzeniu. Jeśli więc masz rację, powinniśmy bez trudu tego dowieść.

Wszystko w wizualnym nagraniu musi być spójne. Światło jest zwykle mniej więcej takie samo, ale zmienia się pod wpływem osób poruszających się w pomieszczeniu. Trzeba to dopasować. Jest całe mnóstwo szczegółów i nie ma sposobu, aby zgrać je wszystkie idealnie.

Odwróciła się od monitora i spojrzała przez okno.

– Kane?

– O tak. Musiał to zrobić Kane. Osoba, która znała cały statek od podszewki.

– Czyli zostaje nam tylko ustalić, co się stało z Emilią.

– Powoli, Kim. Najpierw oddajmy to do analizy i upewnijmy się, czy masz rację.

Przytaknęła, usiadła przy telefonie i wywołała informację. Poprosiła o numer obsługi celnej w Sky Harbor. Potem zadzwoniła tam.

Na wizjerze pojawił się umundurowany oficer.

– Agencja Celna Greenway.

– Halo. Mówi Kim Brandywine. Czy mogłabym zadać panu hipotetyczne pytanie?

– Oczywiście.

– Chodzi mi o przylatujących pasażerów. Jeśli ktoś miał być na danym statku, ale go nie ma, od razu o tym wiadomo?

– Tak. Wszyscy muszą przejść przez kontrolę celną.

– A członkowie załóg?

– Oni także.

– Czyli że macie spis i sprawdzacie wszystkich według niego. A jeśli ktoś nie zejdzie z pokładu...

– Och, przepraszam. Źle panią zrozumiałem. Jeżeli ktoś nie schodzi ze statku, nie obchodzi nas to. Interesują nas jedynie te osoby, które przekraczają granicę celną Greenway.

Kim nie poddawała się tak łatwo.

– Czy agencja posiada rejestry osób opuszczających pokłady statków, które przyleciały na Greenway?

– Tak.

– Wszystkich przepytujecie?

– Nie osobiście. Deklaracje celne zwykle składane są drogą elektroniczną.

– Gdybym była na liście pasażerów i przesłała wam deklarację, ale nie zeszła z pokładu statku, czy wiedzielibyście o tym?

– Nie, proszę panią. Nie wiedzielibyśmy.

Kim podziękowała mu i rozłączyła się.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego Emily nigdy nie dotarła do hotelu. – Kim nałapała sobie drinka, ale zamiast go wypić, zapatrzyła się w szklankę. – Po prostu nie zeszła z pokładu

Huntera, mam rację?

– Tego nie wiemy.

– Sal, jaka jest kara za sfalszowanie dziennika?

– To zależy od okoliczności. Kodeks przewiduje nawet odebranie praw wykonywania zawodu. Dzienniki pokładowe to świętość.

– Czyli że nie zrobiłbyś tego z byle powodu.

– Właśnie.

– Rozumiem. Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie. Jeśli spreparowałeś fałszywe dzienniki, co zrobiłbyś z oryginałem?

Sal zmarszczył czoło i przez chwilę się zastanawiał.

– To zależy. Gdybym zamordował kobietę i wyrzucił jej ciało przez śluzę powietrzną, wtedy na pewno zniszczyłbym oryginał. Ale jeśli zrobiłby to ktoś inny, a mój udział w tym ograniczał się, powiedzmy, do pomocy w zacieraniu śladów, wówczas zatrzymałbym prawdziwe dzienniki, na wypadek, gdybym musiał udowodnić, że to nie ja jestem mordercą.

– Ja też tak myślę. Kogo możemy poprosić, aby to zbadał? Zależy mi na dyskrecji.

– Mam przyjaciela...

– W Seabright?

– Tak.

– Zabierz to do niego jutro, dobrze? Każ mu przysiąc, że nikomu o tym nie piśnie, ale spróbuj wyciągnąć od niego potwierdzenie. Jak długo to potrwa?

– Trudno powiedzieć. Zależy ile ma akurat roboty. Ile jesteśmy skłonni mu zapłacić?

– No tak, postaraj się, aby poczuł się doceniony. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz już coś

wiedział.

– A ty co zamierzasz?

– Zostanę tu jeszcze jakiś czas. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. – Wywołała połączenie z recepcją i odwołała rezerwację na poranny pociąg.

Wiele demonów kryje się w lasach, w rzekach i w ciemnych studniach...

*Martin Luther, Rozmowy przy stole,
DLXXIV, 1569 n.e.*

– Oczywiście, że panią pamiętam. – Jorge Gould uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął do niej dłoń. Widziała, że usilnie stara się przypomnieć sobie jej imię. – Jest pani siostrą modelki Markisa Kane'a. – Pokiwał na nią palcem wskazującym, tak jakby chciał powiedzieć: „kto mógłby panią zapomnieć”.

– Kim Brandywine – odpowiedziała mu. – Wpadłam tylko powiedzieć, jak bardzo jestem zadowolona z obrazu, który u pana kupiłam.

– Ach tak. To był dobry zakup. Doskonale pani wybrała. – Wyszedł zza biurka i rozejrzał się po wystawionych reprodukcjach. – Chciałaby pani obejrzyć inne jego prace?

– Może innym razem. Choć przyznam, że chętnie uzupełniłabym moją kolekcję o jeszcze jedną albo dwie z nich.

– Po co zwlekać. – Zatarł dłonie. – Mamy bardzo dogodny system spłat. Które chciała pani zobaczyć?

Kim zignorowała jego pytanie.

– Kane wspaniale malował – powiedziała.

– To prawda. Czy wspominałem, że znałem go osobiście?

– Owszem.

– Co mam pani pokazać?

– Panie Jorge, na dziś nie planowałam żadnych zakupów. Nie lubię gromadzić długów.

Zawsze uważam, że najlepiej kupować za gotówkę. Pan tak nie sądzi?

– No...

– Na pewno jest pan tego samego zdania. – Kim wspomniała *Jesień* i *Nocny lot*, zapewniając, że wkrótce będzie chciała nabyć oba obrazy. – To wspaniałe kompozycje. Kane był geniuszem.

– Bywa, że trzeba czasu, zanim świat pozna się na takim talencie.

Jorge uparł się pokazać jej inne prace Kane'a. *Blask świec* przedstawiał parę spożywającą kolację na tarasie obserwacyjnym międzygwiazdowego liniowca. Obok butelki z winem stała płonąca świeca, ścianę zasłaniały ciężkie, fioletowe draperie, a nad stolikiem pochylał się kelner trzymający tacę. Mężczyzna i kobieta byli całkowicie pochłonięci sobą. Wysoko nad ich głowami rozchodziły się pierścienie niedawnego wybuchu supernowej, rzucając dziwne światło na całą scenę.

W *Podróży* artysta uwiecznił statek badawczy na tle pulsara w chwili, gdy zmienne światło gwiazdy wyławia jego sylwetkę z mroku.

– Te obrazy byłyby doskonałą ozdobą każdej kolekcji – stwierdził Gould.

Przytaknęła mu.

– Znajomość z takim artystą musi być wspaniała.

– Tak. Prawdę mówiąc, byliśmy dość dobrymi przyjaciółmi.

– Zazdroszczę panu. – Uśmiechnęła się niewinnie. – Jak wyglądał jego dom? Poprzednim razem wspomniał pan, że Kane mieszkał w Severin.

Gould wskazał jej fotel i oboje usiedli.

– Owszem. Zgadza się. Tam właśnie mieszkał. Moja żona także miała tam wtedy dom. – Raz jeszcze opowiedział jej wszystko ze szczegółami. Kim wysłuchała go cierpliwie. W końcu Jorge spytał, czy wiedziała, że malarz był bohaterem wojennym.

– Tak – odparła. – Proszę mi opowiedzieć o willi.

Gould przypominał sobie, że salon wyglądał formalnie i surowo, a Kane spędzał większość czasu w pracowni i głównie tam zapraszał przyjaciół.

– Czasami do miasteczka przyjeżdżali ludzie, z którymi służył we flocie. Jego znajomi umieli się dobrze bawić.

– To piękne okolice. Na pewno miał wspaniałe widoki.

– Z boku domu znajdował się taras, z którego wieczorami można było patrzeć na słońce zachodzące za górami...

Przez następne kilka minut rozmowa toczyła się mniej więcej w tym tonie. W końcu Kim uznała, że może zadać jedno z pytań, które przywiodły ją do galerii.

– Wspomniał pan poprzednio o jakimś zamkniętym pokoju?

– Zamkniętym pokoju?

– Tak. Kiedy byłam tu ostatnim razem, opowiadał pan, że na ostatnie parę lat Kane zamknął część domu. Nie chciał tam nikogo wpuszczać.

– Ach tak. Zapomniałem. To był jego gabinet. Po tamtych wydarzeniach w Mount Hope przestał zapraszać tam gości. Przyjmował ich w salonie.

– Jak pan sądzi, dlaczego? Może robił remont?

– Nie, raczej nie. – Gould skrzywił się lekko, próbując sobie coś przypomnieć. – Miał stamtąd widok na Mount Hope. Może już nie chciał na nią patrzeć. Albo dawał o sobie znać jego ekscentryzm. Artyści już tacy są.

– Pewnie tak – odparła. – Naprawdę nikogo tam nie wpuszczał?

– Z tego co wiem, nie.

– Możliwe, że urządził tam pracownię malarską. – *Albo ukrył coś, czego nie chciał nikomu pokazywać. Na przykład dziennik pokładowy Huntera.*

– Wątpię. Pracował zwykle w pokoju od frontu.

– A gdzie znajdował się gabinet?

– Na tyłach.

– I nigdy pan tam nie był po tym, jak Kane zamknął tę część willi?

– Nie. Nigdy. – Jorge spojrział na Kim, po czym przeniósł wzrok na dwa obrazy Kane'a. – Może zastanówmy się lepiej, jak mogłaby pani zabrać te dwie piękne prace do domu?

Kim zapłaciła wypożyczalni Emporium za rozdarty skafander do nurkowania oraz za maskę i konwerter, które zostały w rzece. Nie zadawali jej żadnych pytań, ale śmieli się, kiedy powiedziała im, że chce wynająć gumową łódź i drugi strój nurka. Musiała wpłacić znacznie wyższą kaucję.

Godzinę później wystartowała wynajętym flyerem z dachu Gateway. Tak jak poprzednio, skręciła na południe. Było zimno i szaro. Przez kilka minut leciała nad pociągiem, ale ten szybko ją

wyprzedził i znikł w górskim krajobrazie.

Nie powiedziała Salowi o swoich zamiarach, bo nie pozwoliłby jej na samotną wyprawę.

W jego obecności czułaby się pewniej, ale chciała jak najszybciej zdobyć dziennik z *Huntera*.

Poza tym, poczuła nagłą potrzebę pokonania strachu przed miejscowym demonem.

Powtarzała sobie, że po tym, co przeżyła w rzece, nie musi się już niczego bać.

Sprawdziła rozkład pociągów. O tej porze kursował tędy Overland przewożący materiały sypkie, elektronikę, materiały budowlane i maszyny z Sorrentino na wybrzeże. Kim lubiła pociągi. Teraz także wolałaby siedzieć w przedziale.

Zakreśliła na mapie miejsce, w którym znajdowała się willa Kane'a. Niegdyś stała w północnej części miasteczka, która teraz znajdowała się pod wodą.

Wzięła namiary na zaporę, na ratusz miejski (wprawdzie woda miała w tym miejscu piętnaście metrów głębokości, ale wieża budynku wciąż dumnie sterczała z jeziora) i na dawne warsztaty remontowe pojazdów powietrznych, dawniej usytuowane na szczycie wzgórza, które po zburzeniu zapory zmieniło się w wyspę.

W ponurym świetle dnia rzeka wydawała się zimna. Kim przeleciała ślizgiem nad jeziorem i kilka minut później wylądowała na wybrzeżu Cabry.

Flyer stanął z jedną płożą w wodzie. Przebierając się w strój płetwonurka, Kim obserwowała skraj lasu. Gałęzie drzew kołysały się łagodnie na wietrze wiejącym od strony jeziora. W tej okolicy po niebie nie śmigały sójki, a jelenie nie schodziły na brzeg wody, żeby się napić.

Otworzyła właz i zsunęła się na piasek. Zachrząścił pod jej stopami. Wiał zimny wiatr.

Podwyższyła temperaturę pianki i naciągnęła wełnianą czapkę na uszy. Niebo było zachmurzone i ciężkie.

Z tylnego siedzenia Kim wyciągnęła łódź z przezroczystym dnem, nacisnęła pompkę, założyła silnik i zaciągnęła całość nad wodę. Do środka wrzuciła pagaj, płetwy i konwerter.

Zapakowała sporo zdjęć Severin zrobionych około 573 roku. Zabrała też czterdzieści metrów liny znakowanej co dwa metry i z kamienia zrobiła prowizoryczną kotwicę.

Do nadgarstka przypięła latarkę i aparat. Wokół talii zapięła pas i przytroczyła do niego torbę z kompasem i laserowym przecinakiem. Z zadowoleniem stwierdziła, że niczego nie zapomniała. Wypchnęła łódź na wodę i włączyła elektryczny silnik.

Powierzchnia jeziora była lekko wzburzona. Kim zrezygnowała z autopilota. Sama usiadła do steru i skierowała łódź na środek jeziora.

Wzięła namiar na zaporę i płynęła tym kursem, aż znalazła się na linii łączącej wieżę ratusza z dawnym warsztatem remontowym. Wyłączyła silnik i spojrzała przez dno łodzi.

Woda była dość przejrzysta. W dole Kim dostrzegła ławkę. Obok tkwił porzucony flyer.

Dalej dostrzegała kilka słupów i dziecięcą huśtawkę, która zakołysała się miarowo, gdy Kim przepłynęła nad nią.

Łódź miarowo podnosiła się i opadała.

Nieopodal znajdował się dom, ale nie była to willa Kane'a. Miał inny kształt. Patrząc na zdjęcia ustaliła, że sąsiadował z nią od południa. Dawniej mieszkał tam lekarz, który podczas katastrofy pomógł wielu osobom.

Popłynęła jeszcze kawałek prosto i zobaczyła to, czego szukała: łuk altany, kamienny murek i

budynek w kształcie ptaka.

Nie mogła się mylić. Dom miał skrzydła ustawione pod kątem, dwa dziedzińce i długi centralny korpus. Dach z charakterystyczną kalenicą też pasował do opisu.

Kim opuściła zastępczą kotwicę z burty łodzi i patrzyła, jak lina zanurza się do oznaczenia na czternastym metrze. *Głęboko*. Zaknagowała drugi koniec, zabrała sprzęt i wśliznęła się do wody. Od razu poczuła się bezpieczniej, tak jakby teraz już nikt nie mógł jej zobaczyć.

Skierowała się głową w dół i włączyła dysze wspomagające.

Z powierzchni sączyło się szare światło. Kim płynęła przez naprzemienne strefy ciepłego i zimnego prądu. Obok niej przemknął węgorz. Włączyła latarkę, płosząc kilka ryb. Nad sobą miała ciemny kształt łodzi.

Zatrzymała się na wysokości drugiego piętra i zajrzała do środka przez niewielkie okienko. We wnętrzu wszystko pokrywał szlam. Odróżniła kształt łóżka, szafki nocnej i dwóch foteli. Z szybu wentylacyjnego wypłynęła ryba, na moment odwróciła się w stronę światła, po czym uciekła z pomieszczenia.

Kim zeszła do drzwi frontowych. Elektrycznego zamka nie mogła otworzyć bez zasilania, a klamki nie było. Popłynęła dalej. Przesuwając się wzdłuż czoła budynku, natrafiła na otwarte okno i wpłynęła do środka.

Światło latarki wyłowiło z ciemności kanapę, kominek i nisko opuszczony płaski ekran na jednej ze ścian. To musiał być salon, o którym mówił Gould.

Zadziwiające. Kane nawet nie zabrał stąd mebli, po prostu zostawił wszystko w wodzie.

Przepełnęła do centralnego korytarza. Z jednej strony kończył się prowadzącymi na górę schodami. Wokół wałał się komplet krzeseł i stolików. Wśród szczątków leżało kilka belek.

Kim przedostała się do przeciwległego skrzydła domu. Z trudem otworzyła drzwi. Za nimi znajdowało się pomieszczenie wyglądające na pracownię Kane'a. Na podłodze leżał przewrócony drewniany stół. Jego nogi sterczały w górę jak u nieżywego zwierza. W mule tkwiły rozrzucone zwoje czegoś, co przypominało płótno malarskie. Wszędzie wałały się pędzle i kawałki sztalug.

Na ścianach zachowały się szkice lub ich fragmenty. Głównie twarze kobiet na tle drzew, latarni lub wnętrza przedziału pociągu. Ale kobieta zawsze była na pierwszym planie.

Większość pozostała niedokończona, tak jakby Kane wciąż wypróbowywał nowe pomysły. Twarze zdradzały zamyślenie, melancholię lub smutek. Żadna się nie uśmiechała.

Fryzury były różne, z włosów krótkich albo sięgających ramion, ale zawsze zgodne z modą lat siedemdziesiątych szóstego stulecia. Płynąc wzdłuż ściany i przyglądając się szkicom w świetle latarki, Kim ze zdumieniem stwierdziła, że wszystkie przedstawiały *Emily*.

Ją samą.

Poczuła zimny dreszcz.

Z torby przy pasie wyjęła aparat i zaczęła robić zdjęcia. Chciała uwiecznić wszystko.

Wybrała się tu z nadzieją, że odkryje prawdziwe dzienniki pokładowe *Huntera*, ale nagle prawdopodobieństwo, że Kane ukrył je w domu, wydało się jej bardzo niewielkie. Na wszelki wypadek sprawdziła szufladę stołu. Znalazła w niej tylko kilka szmat.

W głębi pokoju znajdowały się drzwi. Prowadziły na zabudowaną werandę, za którą znajdował się pokój kąpielowy. Przedostała się przez nie i zobaczyła plastikowe skrzynki po kwiatkach na podłodze werandy. W łazience znalazła apteczkę. Jeden z pojemników, które zawierała, nie stracił

szczelności. Gdy Kim otworzyła drzwiczki, wypłynął z szafki i uniósł się ku sufitowi.

Wróciła tą samą drogą, przez formalny salon, i popłynęła do drugiego skrzydła domu.

Metodycznie otwierała wszystkie szuflady i szafki. Jeśli zawiasy się zablokowały, wyłamywała drzwiczki.

Przeszukała wszystko na dole, potem sprawdziła także sypialnie i łazienki na piętrze. W kuchennym kredensie zostało kilka pobitych naczyń. Ze zdumieniem stwierdziła, że w mule leżało wiele trofeów Kane'a. Wśród nich znalazła Medal za Odwagę, najwyższe odznaczenie przyznawane w Republice. Dziwiła się, że nikt przed nią nie zabrał stąd takich pamiątek.

Tora powinna go mieć, pomyślała Kim wycierając medal i chowając go do torby.

Nagle wyczuła w wodzie jakiś ruch.

Odniosła wrażenie, że nie jest sama.

Przez chwilę nasłuchiwała, ale nie doszedł jej żaden dźwięk. Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając innego wyjścia. Gdyby musiała uciekać, mogła się wydostać przez okno, narażając się na skaleczenie odłamkami szkła nadal sterczącymi z ramy. Odwróciła się gwałtownie, próbując zaskoczyć podglądacza. W pokoju nie było nikogo. Tylko cienie poruszały się na ścianach.

Głupia.

Bez trudu mogła sobie wyobrazić, że duch Markisa Kane'a nawiedza to miejsce. Gdyby siedziała teraz w słońcu, na pewno wyśmiałaby taki pomysł. Ale tu na dole... *Pewnie jest w nas coś, co sprawia, że wierzymy w paranormalne zjawiska* – pomyślała. – *Nauka i doświadczenie na nic się zdadzą, kiedy gasną światła.*

Wróciła do holu, omiotła go światłem latarki i ruszyła na tyły domu. Na chwilę przystanęła, aby sprawdzić szafkę i niewielkie biurko. Eskortowała ją niewielka ławica ryb – długich, tęczyowych stworzeń, które płynęły za nią, ale rozpierzchały się za każdym razem, gdy odwracała się w ich stronę. Cieszyła się, że ma towarzystwo.

Następne drzwi z lewej strony prowadziły do kolejnej sypialni. Tutaj meble nadal stały mniej więcej na miejscu. Ubrania albo pościel – dokładniej nie dało się tego określić – leżały w stertach na podłodze.

Kim ruszyła dalej korytarzem ku ostatnim drzwiom, które znajdowały się po prawej stronie.

Były zamknięte.

Sanctum sanctorum.

Pchnęła je. Najpierw lekko, potem z całej siły. Ani drgnęły. Wyjęła laser i wycięła w panelu otwór na tyle duży, aby przedostać się na drugą stronę.

Wewnątrz zobaczyła biurko, kredens, jakieś regały, stół i fotel.

Wpłynęła do środka.

W przeciwległym końcu pokoju stała szafa. Ścianę po prawej stronie przesłaniała kotara.

W dwóch pozostałych były duże okna. *Z tego pewnie roztaczał się widok na Eagle Point* – pomyślała. To po lewej wychodziło na Mount Hope. Wyobraziła sobie Kane'a siedzącego w fotelu i patrzącego, jak słońce znika za pobrużdżonym szczytem. O czym wtedy myślał?

Przetrząsnęła wszystko, włamując się do szafek i wyjmując szuflady. Starła się nie rozsypać ich zawartości, tak jakby to jeszcze miało znaczenie. Przeszukała szafę z ubraniami, znajdując w środku stos ryz papieru rysunkowego. Potem przesunęła się na środek pokoju, na chybił trafił

świecąc wokół latarką.

Strumień światła padł na kotarę. Po tylu latach nadal wisiała na miejscu.

Zasłaniała wewnętrzną ścianę domu.

Kim przypomniała sobie szkice Emily w zachodnim skrzydle i freski, które Kane malował na ścianach miejscowych bibliotek. Przestraszył ją nagły dźwięk konwertera. Aparat mruczał cicho, uzupełniając jej zapas powietrza.

Co kryło się za kotarą?

Kim podniosła latarkę. Zrobiła to chyba zbyt gwałtownie, bo towarzyszące jej ryby umknęły. Dryfowała pośrodku pokoju, walcząc z naturalną wypornością, która pchała ją ku sufitowi. Zbliżyła się do zasłony i dotknęła jej. Chciała odciągnąć ją na bok, ale materiał rozpadł się jej w rękach. Spróbowała raz jeszcze i oderwała kolejny fragment.

Ścianę pokrywał rysunek.

Otoczona pierścieniami planeta.

Kim zerwała resztę kurtyny.

W słabym świetle nie widziała wszystkiego dokładnie. Planeta była częścią fresku przedstawiającego kobietę. Znowu *Emily*. Kim nie miała wątpliwości: uśmiechało się do niej jej własne odbicie. Na twarzy siostry śmiałość mieszała się ze zwątpieniem. Wyglądała tak, jak podczas wyprawy *Huntera*. Miała niebieski kombinezon z rozcięciem przy szyi, włosy do ramion i zamyślane oczy. Zamknięta w pierścieniach planeta tkwiła w jej lewej dłoni.

W prawej także coś trzymała.

Kim poświeciła bliżej latarką, próbując dokładniej obejrzeć rysunek.

Przypominało to skorupę żółwia.

Poczuła, jak chłód wody przenika ją do kości. Wybrzuszona łąza na eliptycznej platformie.

Statek–zabawka.

Szylkretowy model z biura Bena Tripleya.

To był *Valiant*!

Większą część rysunku zatarła woda, ale w tle Kim dostrzegała całe pola gwiazd i coś jeszcze. Co to było? Chmury? Nie miała pewności. W jednym rogu zachował się wyraźny obraz NGC2024. Końska Głowa.

Mgławica, otoczona pierścieniami planeta, szylkretowy statek i Emily. Kim nie mogła myśleć o niczym innym.

Miała wrażenie, że woda stała się chłodniejsza. Automatyczne podgrzewanie kombinezonu działało za wolno. Podniosła temperaturę o kilka stopni i zaczęła robić zdjęcia.

Valiant musiał być prawdziwym statkiem. Może Kane dawniej go pilotował? Tylko takie wyjaśnienie wydawało się jej logiczne. Nie mogła jednak uwierzyć, że Ben Tripley nie wiedział o tym, w końcu powinien znać wszystkie modele jednostek międzygwiazdnych. Na tym polegała jego praca.

Podpłynęła bliżej do ściany i uważnie przyjrzała się statkowi.

Nie miał dysz napędowych, podobnie jak model.

Jaki statek kosmiczny mógł nie mieć dysz?

Na moment zabrakło jej tchu: czyżby model z regału Tripleya był kopią statku innej cywilizacji?

Istot z kosmosu? Końska Głowa znajdowała się w Orionie. Planowany kurs

Huntera przebiegał obok mgławicy. A jeśli rzeczywiście doszło do kontaktu? Kane i Kil Tripley mogli utrwalić go na różne sposoby. Jeden namalował obraz, a drugi zlecił modelarni wykonanie kopii. Nagle wcześniejsze przecucia Kim wydały się bardzo realne. Model statku kosmicznego u Tripleya mógł być repliką obcej jednostki z innego świata.

Kątem oka coś dostrzegła. Jakiś ruch, drgnienie poza zasięgiem kręgu latarki, gdzieś w pobliżu otworu, który wycięła w drzwiach. Może to rybia łuska na moment odbiła światło.

Schowała aparat zastanawiając się, czy warto zlecić fachowcom wydostanie całej ściany, wydobyć jej na słońce. Willa była opuszczona, więc Kim nie musiała się obawiać konsekwencji prawnych.

Natychmiast o wszystkim zapomniała, gdy zobaczyła światło wpadające do pokoju z korytarza. Było przyćmione, ledwie zauważalne, ale nie mogła się mylić.

Zgasiała latarkę i wycofała się w kąt pomieszczenia. W myślach powtarzała sobie, że to na pewno jakiś morski stwór, węgorz elektryczny albo coś w tym rodzaju. Na wszelki wypadek ukradkiem zbliżyła się do jednego z okien. Rama naszpikowana była kawałkami pobitego szkła.

Kim po raz ostatni rozejrzała się po pokoju. Nie chciała się poddać strachowi. Jakby w nagrodę zobaczyła kubek niemal zupełnie zagrzebany w szlamie. Gdy go podniosła i wytarła, zobaczyła desygnator i pieczęć jednostki 376. Włożyła go do torby, w której wcześniej schowała medal.

Blask za drzwiami stał się bardziej intensywny. Delikatna, zielonkawa poświata przypominała świecący fosfor.

Kim odepchnęła się od ściany i bez wysiłku pokonała długość pokoju. Zbliżyła się do drzwi z boku, aby wyrzucić przez otwór na korytarz, nie podpluwając za blisko.

Zobaczyła parę oczu. Wielkich, zielonych, wytrzeszczonych. Wpatrzonych w nią.

Rozumnych.

Szalonych.

Nie widziała głowy, tylko te oczy. Unosiły się niemal niezależnie jedno od drugiego, tuż za drzwiami na korytarz. Były duże. Ogromne. Zbyt wielkie, jak na istotę, która mogłaby się bez trudu zmieścić w holu.

Serce Kim waliło jak oszalałe. Z wrażenia mało nie wypuściła ustnika. Jak najszybciej oddaliła się od drzwi, przepłynęła pokój, włączyła dysze i przedostała się przez pobite okno, zahaczając o kawałki szkła i drewna.

W panice płynęła ku powierzchni. Nie mogła zapomnieć, że prócz oczu nic tam nie było, żadnego ciała, żadnej istoty.

Kiedy wypłynęła na wierzch, na dworze było już ciemno. Rozejrzała się wokół, odszukała wzrokiem łódź i jak najszybciej popłynęła ku niej, spodziewając się, że za chwilę coś chwyci ją od dołu i wciągnie pod wodę. Błyskawicznie wspięła się przez burtę do środka, odcięła kotwicę, zerwała aparat tlenowy i włączyła silnik.

Łódź ruszyła potwornie ociężale.

Z jeziora Kim nie widziała flyera. Na niebie świeciło mnóstwo gwiazd, ale nawet ich blask nie wyławiał na brzegu żadnych kształtów. Musiała zwolnić. Sprawdziła kompas i skrzyła na południowy-wschód.

Usłyszała za sobą prychnięcie, ale nic nie wypłynęło na powierzchnię.

Gdy znalazła się w strefie brzegowej, musiała popłynąć kawałek wzdłuż lądu. Na tle lasu dostrzegła nieliczne budynki i pasy plaży. Od czasu do czasu między drzewami migało światło, poruszając się równoległe do niej, tak jakby ją śledziło.

Wreszcie latarka wyłowiła z ciemności znajomy kształt flyera. Kim szybko skręciła łodzią na brzeg, wjechała na piasek, porzuciła ją i pędem pobiegła do maszyny. Wpadła do kabiny i natychmiast wydała polecenie startu.

– *Dokąd?* – spytała SI.

– Dokądkolwiek – powiedziała – byle w górę.

Nie mam sposobu wybrać się do Smoka

*George Thomas i Livia Howe,
Arkturiańskie szaleństwa, akt II, 600*

– Nie powinnaś była tego robić. A na pewno nie sama. Przecież wiesz. – Sal był wściekły.

– Tak. Teraz wiem – odparła. – To był ostatni raz.

Oboje długo milczeli.

– To musiał być węgorz albo jakaś ryba – odezwał się w końcu Sal.

Kim nadal była w Eagle Point. Ubrana w szlafrok przysiadła z podkulonymi nogami na kanapie. Wirtualny Sal siedział w fotelu w obszarze projekcji. Za nim znajdowało się okno z widokiem na ocean. Rozmawiał z domu.

– To nie był węgorz – upierała się. – I nic sobie nie uroiłam. – Nie zdołała powstrzymać łez, choć bardzo wstydziła się płakać. – Naprawdę tam było, Sal. Przysięgam. Naprawdę.

– Rozumiem.

– Nie wiem, co to było. Na pewno nie człowiek. Ale oczy zdradzały inteligencję. Miałam wrażenie, że patrzyły przeze mnie.

– Czyli, że więcej nie wchodzimy sami do jeziora, tak?

Przełknęła łzy, próbując nad sobą zapanować.

– Tak – powiedziała. Jej głos drżał.

– Nie mogła to być jakaś ośmiornica? Coś co wpłynęło za tobą do domu?

– Jezioro jest słodkowodne.

Przez chwilę Sal nic nie mówił.

– Zrobiłaś zdjęcie tego czegoś?

– Nie. Nie miałam na to czasu.

– Co to mogło być?

– Chcesz znać moje zdanie? Naprawdę? Uważam, że Sheyel ma rację. Sądzę, że oni przyciągnęli coś ze sobą. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale wiem też, co widziałam. To znaczy nie wiem, co widziałam, ale jestem pewna, że coś tam było. Na pewno nie ośmiornica.

– Mam do ciebie przyjechać?

– Nie. Mam dość. Za kilka godzin wracam.

Sal odetchnął z ulgą.

– I nie na razie planujesz wracać nad jezioro?

– Nie. – Zdobyła się na uśmiech. – W żadnym wypadku.

– A co z łodzią?

– Powiedziałam w wypożyczalni, gdzie ją znajdują. Obciążą mnie kosztami transportu, ale trudno. Nie zamierzam się tym przejmować.

– To dobrze. – Sal wydawał się spokojniejszy. Kim z zadowoleniem pomyślała, że martwił się

o nią. – Zastanów się tylko. Jak to *coś* przeszło punkt kontrolny w porcie kosmicznym? Jak zjechało na dół windą?

– Nie mam pojęcia. Mogło być w kimś. Może opanowało Emily. Niewykluczone, że właśnie dlatego próbowali ukryć to, zmieniając dziennik lotu.

– Kim... – Sal na moment stracił ostrość widzenia.

– Czegoś ty się naczytała? Masz pojęcie, jak to brzmi?

– Nie potrafię tego wyjaśnić, wiem tylko, co widziałam.

– No dobrze. – Przyjrzał się jej badawczo. – Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

– Tak. – Była pewna.

– Domyślam się, że nie znalazłaś dziennika pokładowego *Huntera*? Tego prawdziwego?

Spojrzała przez okno. Słońce oświetlało szczyty. Świat na zewnątrz wyglądał normalnie.

– Nie – powiedziała. – Ale znalazłam coś innego.

– Podniosła jedno ze zdjęć malunku na ścianie.

Pochylił się do przodu i zmrużył oczy.

– Mój Boże. To znowu Emily.

– Chyba była jego ulubioną modelką.

– Na to wygląda. Co ona trzyma?

Kim pokazała mu zbliżenia i patrzyła, jak Sal przygląda się planecie i statkowi.

Zmarszczył brwi na widok *Valianta*.

– Co to takiego? – spytał. – Żółw?

– To jakiś statek. Ben Tripley ma u siebie w biurze taki model, dziwne co?

– Tej samej konstrukcji?

– Tak.

– Po co Kane go namalował?

– Możliwe, że to obcy statek kosmiczny. Kto wie, czy nie taki właśnie widzieli podczas wyprawy. – Kim poprawiła poduszki za plecami. – Sądzę, że wyszli z nadprzestrzeni w pobliżu jednej z tamtych siedmiu gwiazd i zobaczyli to. – Potrząsnęła zdjęciem. – Musimy go odnaleźć, przekonać się, czy taki statek w ogóle istniał. Tripley nic o nim nie wiedział, więc uznałam, że jest nieprawdziwy. Zresztą, nie ma dysz napędowych, przynajmniej na modelu.

Tutaj trudno stwierdzić... – Wskazała rysunek. – Z tego co wiem, wszystkie nasze mają dysze napędowe. Dlatego ten jest albo zupełnie fikcyjny, albo obcy. Gdyby był fikcyjny, jakim cudem znalazłby się i na fresku Kane'a, i w biurze Tripleya?

Sal zastukał palcami w poręcz fotela.

– Po co Tripleyowi – Kilowi Tripleyowi – był taki model?

– Nie wiem. Jeśli odpowiesz na to pytanie, być może wyjaśnią się pozostałe tajemnice.

– No dobrze. Zmieńmy temat...

– Tak?

– Nie myliłaś się co do dziennika. Jest sfingowany. Przynajmniej od miejsca, kiedy dochodzi do awarii silników.

– Może powinniśmy przede wszystkim wyjaśnić właśnie to. Sądysz, że naprawdę doszło do

awarii?

– Prawdopodobnie tak. Gdyby jej nie było i gdyby rzeczywiście doszło do kontaktu z obcą cywilizacją, oznaczałoby to, że spotkanie było wcześniej umówione. To chyba lekka przesada. Według mnie naprawdę mieli problem z silnikami.

– No dobrze. Jeśli tak rzeczywiście było, czy musieli opuścić nadprzestrzeń?

– O tak. Gdy coś się dzieje z silnikami skokowymi, musisz wrócić w normalną przestrzeń, zanim zaczniesz w nich grzebać. Standardowa procedura. Jeśli tego nie zrobisz, a coś pójdzie nie tak, nikt już o tobie więcej nie usłyszy.

– Wreszcie robimy jakieś postępy. Czyli że dziennik jest autentyczny do chwili, gdy pojawia się problem. Wirtualna Emily pokazuje się mniej więcej w tym samym czasie.

– Co teraz zamierzasz? – spytał Sal. Jego głos stał się głębszy. Kim wyczuła, że testosteron zmuszał go do tego, na co tak naprawdę nie miał ochoty. – Może powinienem pojechać do Severin i spróbować sfotografować to coś?

– Nie. Nie chcę mieć więcej nic wspólnego z tym potworem.

– Niezbyt naukowe podejście.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– W porządku.

Widziała, że czuł się niezręcznie. Uważał chyba, że powinien się z nią nie zgodzić, może nawet nalegać na wyprawę do Severin. Dlatego zmieniła taktykę.

– Podjąłeś już decyzję, czy przyjmiesz zlecenie na Taratubę?

– Jeszcze nie. Dlaczego pytasz? Chciałabyś się zabrać razem?

– Spróbuję pogadać z Mattem i namówić go, żeby wypożyczył mi *Maca*. Jeśli mi się uda, będę potrzebowała pilota. – *Mac* naprawdę nosił nazwę *McCollum* i był jednym z dwóch międzygwiazdowców Instytutu obecnie stacjonujących na Greenway.

– Po co ci statek kosmiczny? Dokąd chcesz lecieć?

– Chyba już czas wykonać brudną robotę.

– Przesadzasz. O co ci chodzi?

– Chcę się dowiedzieć, czy naprawdę doszło do spotkania między *Hunterem* i obcym statkiem.

– A jak zamierzasz to sprawdzić?

– Polecę tam i rozejrzę się po okolicy.

– Kim... – Sal przyglądał się jej uważnie, próbując pojąć sens jej słów. – Mówimy o czymś, co miało miejsce prawie trzydzieści lat temu...

– Jeśli znaleźli jakąś cywilizację, na pewno wciąż tam jest.

– Na razie mówimy tylko o obcym statku. Chyba nie liczysz na to, że wciąż tam jest, co?

– Może nie. Ale to nie ma znaczenia.

– Jak to?

– Na pewno znajdziemy ślady jego obecności.

Wysiadła z pociągu w Blanchet i taksówką pojechała do Tempest, siedziby Uniwersytetu Orlińskiego. Odwiedzała to miejsce po raz pierwszy od ukończenia uczelni i zdumiało ją to, jak bardzo miasto się zmieniło. Centrum sportowe MacFarlane wyglądało na opuszczone, większość

wschodniego campusu zamieniono w park, a z budynków tylko jeden lub dwa nie wyglądały na zniszczone.

Mimo to, cieszyła się, że znowu widzi znajome strony. Może dlatego, że wydawały się takie zwyczajne i jasne w blasku południowego słońca. Były częścią trwałego i przewidywalnego świata. Bez żadnych duchów. Widok znajomych miejsc ją uspokajał.

Centrum Astronomiczne Thompsona, do którego strumieniem napływały obrazy z obserwatoriów w całym gwiazdozbiornie Oriona. Budynek Picacci, siedziba ośrodka studenckiego i stołówki. Park Palfrey, w którym często czytała lektury, gdy dopisywała pogoda. Na północ, za niewielkim lasem znajdowało się jej dawne mieszkanie.

Na końcu spokojnej alei stał dom Sheyela Tollivera. Od czasu do czasu zbierali się tam absolwenci i wykładowcy. Organizowali wspólne lunche i dyskutowali na różne tematy. *W*

decyzjach dyplomatycznych nigdy nie należy się dopatrywać złożoności. Poza nielicznymi wyjątkami, czyny zawsze dewalują – tak, właśnie „dewalują” – z ludzkiej dbałości o własną korzyść. I wcale nie chodzi tu o dobro narodu. Mówimy o indywidualnych karierach.

Wówczas w to nie wierzyła. Przypisywała takie poglądy cynizmowi starzejącego się profesora. Wtedy jeszcze była idealistką. Teraz, choć zachowała silną wiarę w uczciwość zwykłego człowieka, była przekonana, że tym, którym zależało na władzy nie należało ufać, bo w działaniach kierowali się wyłącznie swoją ambicją.

Ostatnie spotkanie nieformalnej grupy dyskusyjnej Sheyela miało miejsce dwa dni przed wręczeniem dyplomów. Chcieli się w ten sposób pożegnać. Dla odmiany to studenci zadbali o poczęstunek. Dali wówczas Sheyelowi odznakę z napisem ZA WYJĄTKOWĄ

NIEPRZECIĘTNOŚĆ. Profesor zawsze twierdził, że ich grupa prezentowała tak wysoki poziom, iż nieprzeciętność nie była niczym niezwykłym.

Dom zbudowano z kamienia i szkła, w tradycyjnym stylu, z ogrodem na dachu i dużym wykuszowym oknem wychodzącym na drogę. Od wschodu znajdowała się duża weranda, a z tyłu basen. Sheyel zapalił niewielką lampę nad drzwiami by ją powitać.

Pamiętała, jak podczas ostatniego spotkania stała przy basenie, pijąc cytrynowy napój – dziwne, że taki szczegół zapadł jej w pamięć – w grupie, w której prym wiedli Sheyel i jeszcze jeden profesor. Rozmowa zeszła wówczas na temat godnej pożałowania historii ludzkości, która przypominała długą listę krwawych potyczek, rozpacz, korupcji, utraconych szans, okupacji, a nawet samobójczej polityki. Sheyel wyjaśnił wówczas, co według niego było główną przyczyną: – Istnieje odwrotne sprzężenie między władzą, jaką ktoś posiada, a sprawnością *funkcjonowania jego umysłu* – powiedział. – *Osoba o przeciętnej inteligencji, gdy dochodzi do władzy obojętnego rodzaju, rozwija w sobie przesadną wizję własnych możliwości. Skupia wokół siebie pochlebców. Jej decyzje spotykają się z nieznaczną krytyką lub z żadną.*

Tymczasem zdolność takiego człowieka do zakłócania życia innych ludzi stale rośnie.

Tendencje te zyskują na sile. Rezultatem jest taki na przykład Ludwik XIV, który sądzi, że przysłużył się Francji, choć zostawił po sobie zupełnie zrujnowany kraj.

Drzwi frontowe otworzyły się i stanął w nich Sheyel. Spojrzał w górę na podchodzącą do lądowania taksówkę i pomachał dłonią. Odpowiedziała mu tym samym. Pojazd opuścił się na lądowisko. Profesor pomógł jej wysiąść.

– Jak miło cię widzieć, Kim – powiedział. – Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

Stali w jasnym świetle popołudnia, przyglądając się sobie. Sheyel ubrał się w luźną, granatową koszulę z długim rękawem i w szare spodnie. Zauważyła bladość, której nie dostrzegала podczas wirtualnych rozmów.

Taksówka wystartowała.

– Jakie masz plany na resztę dnia? – spytał. – Czy zdołam cię namówić, żebyś została na kolację?

– Dziękuję za zaproszenie. Żałuję, ale nie mogę. Mam sporo spraw do załatwienia.

– Szkoda. – Przepuścił ją przodem. Kim nie pamiętała szczegółów umeblowania, ale stojące wzdłuż ścian półki z książkami nie zmieniły się, podobnie jak przeszklone drzwi prowadzące na patio. Ta sama była też oprawiona w ramy kopia paginy Mistrza, którego zbiór zasad dał początek prawom Republiki.

– Właśnie przypominałam sobie czasy, kiedy nas tu zapraszałeś – przyznała Kim.

Jej uwaga zaskoczyła profesora. Może zapomniał, że dawniej jego dom był otwarty dla studentów.

– Tak – powiedział w końcu. – Już tego nie robię.

– Jaka szkoda. To było wspaniałe doświadczenie.

– Nowe zasady zabraniają spotkań poza campusem. – Wzruszył ramionami. – Czego się napijesz?

Poprosiła o ciemne wino i oboje przeszli do gabinetu profesora.

– Przykro mi, że nie wyjaśniono do końca sprawy Yoshi – powiedziała. – Policja twierdzi, że badają okoliczności, ale jak już mówiłam, nie jestem przekonana o szczerości ich wysiłków.

Profesor sobie też przyrządził drinka. Napój miał kolor cytryny, ale pachniał miętą.

– Rozumiem, Kim. A dowiedziałaś się czegoś o siostrze?

Zawahała się. Nie była pewna, co wiedziała. Coś na pewno.

– Nie – odparła. – Nadal ani śladu.

– Dobrze się czujesz? Czytałem relacje. Podobno o mało nie zginęłaś.

– Rzeczywiście mało brakowało – przyznała.

Sheyel upił łyk drinka.

– Zawsze się zastanawialiśmy, czy Yoshi zabłądziła albo została ranna. Ale kto mógł przypuszczać?

W pokoju wisały dwa oprawione w ramki zdjęcia dziewczyny: na jednym mniej więcej czteroletnia Yoshi stała na patio, trzymając Sheyela za rękę; na drugim, z uroczystości wręczenia dyplomów, prezentowała się bardzo elegancko.

– Może to żadne pocieszenie, ale sędzę, że umarła szybko – powiedziała Kim. Wstępny raport policji nie został jeszcze podany do publicznej wiadomości. Kim tak naprawdę nie wiedziała, czy Yoshi nie cierpiała, ale uznała, że powinna tak powiedzieć.

Sheyel spojrział na nią załzawionym wzrokiem.

– To okropne, kiedy ścina się tak młode kwiaty.

Kim milczała.

Profesor wpatrywał na nią spokojnie.

– Rozumiem, że nie przyjechałaś tu wyłącznie po to, żeby sprawdzić, jak się trzymam. Co chciałaś mi powiedzieć?

Patrzyła na niego przez chwilę.

– Najpierw muszę ci zadać pytanie.

Pochylił się ku niej.

– Kiedy skontaktowałeś się ze mną po raz pierwszy, powiedziałaś, że w lasach Severin coś jest. Mówiłaś, że jeśli ci nie wierzę, mogę sama tam pojechać i się przekonać.

– Tak, zupełnie możliwe.

– Chyba wspomniałaś, że trzeba tam być po zmroku.

– Nie pamiętam szczegółów tamtej rozmowy.

– „Tam coś jest... Jedź i sama się przekonaj... Ale nie jedź sama”. Tak powiedziałaś.

– Możliwe.

– Zrobiłam to, Sheyel.

W pokoju nagle zrobiło się chłodniej.

– I?

– Miałaś rację. Rzeczywiście *coś* tam jest. Co o tym wiesz?

– Tylko tyle, że okolica jest ponura. Kilka razy widziałem w lesie światła. Ale nigdy nie zobaczyłem nic konkretnego. – Spuścił wzrok i zapatrzył się w podłogę. – Według niektórych opowieści, właśnie dlatego ludzie opuścili tamte strony.

– Przecież i tak nikt nie mógł zostać w miasteczku po rozebraniu zapory.

– Postanowili jej nie naprawiać właśnie dlatego, że ludzie masowo wyjeżdżali. Nie na odwrót. – Sheyel miał podkrążone oczy. – Jest na ten temat mnóstwo historii. Możesz sama je przeczytać. – Podeszedł do regałów i zdjął z półek kilka tomów. Postukał palcem w książkę z szarą okładką i rysunkiem przedstawiającym ducha oświetlonego przez księżyc. – Szczególnie polecam tę: *Duchy Severin* autorstwa Kathryn Kline. – Stwór z obwoluty w niczym nie przypominał zjawy, którą widziała Kim.

Profesor wyjął pozostałe tomy i układając je przed nią, opisał pokrótce.

– Ludzie jak zwykle przesadzają. Ale dowody rzeczywiście są niezwykle.

Kim obejrzała książki, podczas gdy Sheyel ponownie napełnił szklanki.

– Byłem tam sporo razy. Wiele lat po rozmowie z Kanem. Zapory już wtedy nie było, a okolica opustoszała. Widziałaś to na własne oczy, więc wiesz, o czym mówię. Dziwnie niepokojące miejsce. Może dlatego, że według mnie miało związek ze zniknięciem Yoshi.

Nie opuszczało mnie wrażenie, że coś porusza się w ciemnościach. Dolina mnie przerażała.

Nie tak łatwo mnie przestraszyć, ale tam się bałem. – Sheyel cofnął się we wspomnienia. – Ale lepiej ty mi powiedz, co tam widziałaś?

– Prawdę mówiąc nic takiego. Okolice jest dziwnie cicha. Też ci się tak wydawało?

Skinął głową.

– Dowiedziałaś się już czegoś o *Hunterze*? Doszło do kontaktu?

Kim pokazała mu zdjęcie.

– Sądzę, że spotkali obcy statek i prawdopodobnie wyglądał właśnie tak.

Pochylił się nad biurkiem, otworzył szufladę i wyjął z niej lupę. Przytrzymał ją nad fotografiami.

– Naprawdę tak myślisz? – Przygnębiający ton rozmowy w jednej chwili ustąpił fali podniecenia.

– Tak. Chyba tak. Nie mam dowodów. Nie mam nawet zwykłych poszlak. Ale owszem, sądzę, że to miało miejsce.

Jego oczy rozszerzyły się, gdy zobaczył fresk.

– Ależ to Emily.

Medal lśnił w słońcu. Tora Kane wzięła go od Kim i przyjrzała mu się uważnie. Na awersie przeczytała imię i nazwisko ojca.

– Skąd go masz, Brandywine?

– Z doliny Severin.

Kobieta wyraźnie sposępniała.

– Nie potrafisz zostawić tego w spokoju?

– Sądziłam, że chciałabyś go mieć.

– To zależy.

– Od czego?

Stały na plaży w Zatoce Wheeling, w tym samym miejscu, w którym odbyły poprzednią rozmowę. Kim schowała dłonie w kieszenie kurtki. Był odpływ. Kilka mew patrolowało strefę mokrego piasku.

– Od tego, co jeszcze masz mi do powiedzenia. Kiedy już skończysz węszyć, mam się spodziewać oskarżeń pod adresem mego ojca?

– Sądzisz, że zrobił coś złego?

– Posłuchaj Kim... – Zęby Tory przygryzły dolną wargę, gdy wymawiała jej imię. – Markis na pewno nie był ideałem. Miał gwałtowne usposobienie i nie należał do ludzi taktownych.

Czasem w ogóle zapominał, że miał córkę. Ale na pewno był uczciwy i wiem, że nie wplątałby się w żadną brzydką sprawę.

– Widziałaś kiedyś jego willę?

– Tę w dolinie? Oczywiście.

– Byłaś tam po wybuchu na Mount Hope?

– Tak. Od czasu do czasu odwiedzałam ojca. Mieszkałam tam, kiedy dorastałam. Potem moi rodzice zaniedbali małżeństwo. Ale przyjeżdżałam, gdy tylko mogłam.

– Mogłabyś mi powiedzieć, kiedy dokładnie to było?

– Wyprowadziłam się w 569. Potem odwiedzałam ojca od czasu do czasu, raz lub dwa razy w roku.

– Zauważyłaś może fresk w gabinecie?

– W gabinecie? Nie, nie przypominam sobie.

– Myślisz, że widziałabyś, gdyby tam był?

– Oczywiście. O co ci chodzi?

– Teraz ścianę pokrywa rysunek.

– I co z tego?

– Przedstawia moją siostrę.

– Ach tak. – Tora przez chwilę patrzyła w słońce. – Niestety, nie mam pojęcia, jakie z tego wyciągnąć wnioski.

– Słyszałam, że twój ojciec odgrodził część domu po ostatniej misji *Huntera*. Wiedziałaś o tym?

– Część domu?

– Gabinet.

– To był jego prywatny pokój. Nie widziałam w tym nic niezwykłego.

– Mogłaś tam wchodzić?

Kim zauważyła, że Tora zastanawia się nad odpowiedzią.

– Nie. W ostatnich latach nie mogłam. Zamykał go na klucz.

– Mówił dlaczego?

– Nie. Prawdę mówiąc nie przejęłam się tym. I nie rozumiem, dlaczego to takie ważne.

Kim pokiwała głową.

– Dziękuję za rozmowę – powiedziała.

– Muszę już wracać...

– Przykro mi – przyznała Kim. – Wiem, że nie pochwalasz tego, co robię.

Tora milczała.

– Nie wiem, czy to coś znaczy, ale bardzo podziwiam twego ojca.

– Dziękuję.

– Sądzę, że nie musisz się obawiać o jego reputację.

Tora westchnęła i odwróciła się.

Kim odprowadziła ją wzrokiem. Naprawdę wierzyła w to, co powiedziała.

Następnego dnia po południu miała spotkanie w Klubie Marynarskim. Wbrew nazwie, organizacja ta nie miała nic wspólnego z żeglowaniem. Skupiała starszych obywateli, którzy wierzyli, że po latach wreszcie trafili do bezpiecznej przystani i chcieli cieszyć się czasem, jaki im jeszcze pozostał.

W znaku klubu na sztandarze, znajdowała się kotwica i pięć gwiazd, po jednej dla każdej z pięciu głównych zasad organizacji, a także motto: *Oby wiatr wiał nam w plecy*. Kim uważnie przeczytała wszystkie pięć reguł i wplotła je w swoje przemówienie. Były to zwykłe, poprawiające samopoczucie truizmy. Seniorzy twierdzili, że „brodzić można tylko w płytkiej wodzie”, a „przegrywali tylko ci, którzy wcale nie próbowali”.

Powiedziała im, że Instytut bardzo przypomina Klub Marynarski.

– Także poszerzamy horyzonty i brodzimy w kosmosie. Nie zawsze wszystko udaje nam się przy pierwszej próbie. Takie jest życie. Taka jest nauka. Podobnie jak Marinersi nie obawiamy się porażki i właśnie dzięki temu się uczymy.

Jak zwykle zdołała zaskarbić sobie sympatię słuchaczy i kiedy skończyła przemawiać, nagrodzono ją entuzjastycznymi oklaskami. Mistrz ceremonii podziękował jej serdecznie za udział, a po uroczystości wiele osób zostało chwilę dłużej, aby o coś ją spytać lub po prostu wyrazić uznanie. Jeden z mężczyzn próbował nawet się z nią umówić. Przewodniczący organizacji odciągnął ją na bok i oznajmił, że 50 procent wiosennego funduszu Klubu Marynarskiego przekazywano zwykle

organizacji, która była tego warta, najczęściej ośrodkom kształcenia. Jej prezentacja zrobiła na nim ogromne wrażenie, a członkowie zarządu podzielali jego zdanie. Dlatego Instytut mógł oczekiwać, że właśnie jemu przypadnie tegoroczna darowizna.

Wiedziała, że chodziło o niebagatelną kwotę i z przyjemnością zaniosiła tę wiadomość do Instytutu.

Matt już na nią czekał. Po ogólnej atmosferze w biurze Kim poznała, że miał złe wieści.

Coś się stało. Jej współpracownicy nie znali szczegółów, ale wyczuli napięcie szefa.

– Chciałeś się ze mną widzieć? – spytała, stając w drzwiach jego gabinetu.

Akurat rozmawiał z SI o przewidywanych oszczędnościach. Nie przerywając dyskusji dał znak, by weszła. Udało mu się zrobić to, nie patrząc na nią, ale jego głos zabrzmiał chłodniej.

Kiedy skończył, odwrócił się i pokręcił głową, tak jakby chciał dać do zrozumienia, że wszyscy na tym świecie przysięgli się przeciwko niemu. Gestem nakazał zamknąć drzwi i bez słowa włączył WR.

Kim usiadła, patrząc jak obraz Bena Tripleya nabiera kształtu.

– Otrzymaliśmy to mniej więcej przed godziną – powiedział Matt.

Tripley siedział na krawędzi biurka. Sprawiał wrażenie przygnębionego.

– Phil – powiedział, najwyraźniej zwracając się do Philipa Agostino, dyrektora Instytutu. – Miałaś ostrzec doktor Brandywine, by nie mieszała się w moje sprawy. Doprowadziła do wszczęcia dochodzenia policyjnego. Mój ojciec został niesłusznie przedstawiony w złym świetle. – Ponad ramieniem Tripleya Kim widziała przednią część *Valianta*. – Jestem zmuszony poinformować, że postanowiłem raz jeszcze rozważyć wsparcie, jakiego dotąd udzielałem Instytutowi. Ludzie z twojej organizacji mają za dużo wolnego czasu i są skłonni gonić za fałszywymi pogłoskami. Ostrzegam, że jeśli w rezultacie tych działań ucierpi moja własność lub reputacja, będę zmuszony szukać zadośćuczynienia na drodze sądowej.

Obraz znikł.

– Chcesz obejrzeć to jeszcze raz? – spytał Matt.

– Tak – powiedziała. – Ale z wyłączonym dźwiękiem.

Spojrzał na nią zdumiony, myśląc że żartuje. Kiedy nie odwołała prośby, raz jeszcze puścił cały materiał. Podeszła do biurka, aby zatrzymać projekcję w wybranym momencie.

– Dyrektor poinstruował mnie, abym zażądał twojej rezygnacji – powiedział Matt ze złością.

– Tripley to dziwak – powiedziała.

– Ale wpływowy dziwak, Kim.

Zatrzymała obraz. Benton zastygł pochylony do przodu z otwartymi ustami i wycelowanym wprzód palcem wskazującym.

– Spójrz na to, Matt – powiedziała. Próbowała poszerzyć obraz tak, by zobaczyć więcej *Valianta*, ale projekcja już szła w pełnym powiększeniu.

– Wygląda jak podpórka do książek.

– To model statku.

Wzruszył ramionami.

– Co z tego?

– Matt, jestem niemal pewna, że *Hunter* spotkał obcych.

– Kim...

– Nie mogę tego udowodnić, ale założę się, że tak było. – Wskazała *Valianta*. – Ich statek wyglądał tak jak ten.

– Jak model?

– Tak. Posłuchaj, wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale jestem prawie przekonana, że to prawda.

– W takim razie dlaczego Tripley trzymał to w tajemnicy?

– Sądzę, że on nic o tym nie wie. Ani o misji, ani o modelu. Przypuszczam, że jego ojciec po powrocie z wyprawy zamówił kopię w jednej z tamtejszych modelarni. Po wybuchu babka Bena znalazła ją w willi i dała zabawkę wnukowi.

Matt miał minę, jakby cisnęły go buty.

– Jakie masz na to dowody?

Powiedziała mu o sfałszowanym dzienniku i pokazała zdjęcia ściany w zalanym domu Kane'a. Nie wspomniała nic o widmie na korytarzu.

– Skąd wiesz, że dzienniki są nieprawdziwe?

– Oddaliśmy je do analizy.

– Komu?

– Ekspertom.

– Nie chcesz mi powiedzieć.

– Nie za bardzo.

Przez chwilę milczał, próbując zapanować nad oddechem.

– Kim, bardzo mi przykro. Jesteś cennym członkiem organizacji i wolałbym cię nie tracić, ale nie dajesz mi wyboru. Masz teraz iść do swego biura i napisać rezygnację. Zaznacz w niej, że odchodzisz za miesiąc. Dzięki temu, będę ci mógł zapłacić dodatkową pensję. Ale nie pokazuj się tu więcej. – Wpatrywał się w nią, nie ruszając się z biurka. – Wiesz, że gdybym mógł, nie robiłbym tego, ale przecież sam cię ostrzegałem, do cholery. Uprzedzałem, że się tak stanie.

Spojrzał na nią gniewnie i machnięciem ręki nakazał wyjść, ale gdy ruszyła do drzwi, zatrzymał ją.

– Kim, jeśli będą ci potrzebne referencje, pamiętaj, aby zaadresować kopertę do mnie osobiście, nie do organizacji.

W ogóle nie dotarły do niej jego słowa.

– To nie fair, Matt. Nie zrobiłam nic złego. Nie złamałam żadnej zasady...

– Sprzeciwiłaś się nakazowi. Powiedziałem ci, żebyś trzymała się z dala od... – zająknął się kilka razy i z frustracją machnął ręką, zakreślając w powietrzu krąg.

Przeszła go wzrokiem.

– A ty nie chciałbyś poznać prawdy?

– Proszę bardzo. Słucham. Jaka jest prawda? Mamy ciało jednej kobiety i wiemy, że druga

znikła. Jeśli winny jest Kil Tripley i tak nie ma to znaczenia, bo on dawno temu odszedł do lepszego świata. Dlatego nie da się tego uzasadnić poszukiwaniem sprawiedliwości.

Znalazłaś jakiś model na półce z książkami i rysunek na ścianie, i na tej podstawie twierdzisz, że ktoś się spotkał z kosmitami. Gdyby tak się stało, dlaczego do diabła nic nikomu nie powiedzieli? Nikomu!

– Nie wiem, Matt. Ale po co fałszowali dziennik, jeśli nic się nie wydarzyło?

– Skąd mam mieć pewność, że rzeczywiście to zrobili.

– Możesz sprawdzić, jeśli chcesz. Kiedy już to zrobisz i stwierdzisz, że mówię prawdę, bardzo chciałabym pożyczyć *McColluma*.

Wytrzeszczył oczy.

– Jesteś niesamowita, Kim. Tyle ci powiem. Ale chyba wcześniej mnie nie dosłyszałaś.

Już dla nas nie pracujesz.

– Jak poszło? – spytał Sal.

– Zwolnili mnie. – Kim przypięła do ściany powiększenie zdjęcia *Valianta* z biura Tripleya.

– Cholera, Kim, mówiłem, że tak będzie.

Trzęsa się ze złości i z bezsilności. Uważała, że potraktowano ją niesprawiedliwie.

– Może jakoś się to rozejdzie po kościach – powiedział. – Przez jakiś czas siedź cicho. Daj im trochę czasu, żeby ochłonęli, a dojdą do wniosku, że cię potrzebują.

– Nie. Na to raczej nie ma szans.

Objęli się. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

– Posłuchaj – powiedział w końcu Sal – mam przyjaciół w Albestadt. Niczego nie mogę obiecać, ale mógłbym się tam za tobą wstawić. Sądzę, że szanse są spore. No i mogłabyś wrócić do badań naukowych. – Albestadt było sporym ośrodkiem badawczym na Pacyfice.

– Dzięki Sal. Może później. Najpierw muszę coś udowodnić.

– Zamierzasz to ciągnąć?

– Pewnie. W końcu teraz nie mam już nic do stracenia.

– Mogą cię pozwać. Poza tym, co jeszcze możesz zrobić?

– Chcę dowieść, że doszło do kontaktu.

– Jakim cudem?

– Nie zapominaj o radiu *Huntera*. Było dookólne, prawda? Ze wzmacniaczem sygnału.

Zauważyła, że się uśmiechnął.

– Naprawdę sądzisz, że to zadziała?

– A dlaczego nie? Musimy tylko mieć odpowiedni sprzęt.

Sal spojrzął jej w oczy.

– Będzie ci potrzebny statek kosmiczny. Zgaduję, że Matt nie zgodził się wypożyczyć *Maca*?

– Nie. Niezupełnie.

– I... Jak zamierzasz to załatwić?

– Zastanawiałam! się, czy by go nie ukraść.

– Kim..

– Mówię serio, Sal. Zrobię wszystko, co trzeba.

– W to wierzę.

– Nie mogę tego tak po prostu zostawić. Jeśli się nie mylimy, będzie to główne odkrycie naukowe wszech czasów. Staniemy się sławni, nieśmiertelni, jacy tylko chcesz.

– Bogaci? – wtrącił.

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo.

– Aha. To ostatnie mi odpowiada. Ale ryzyko jest trochę za duże. Tym razem będziesz musiała zrobić to sama, Kim. Przykro mi, ale większa kradzież nie wchodzi w grę. Bo o tym właśnie mówimy, prawda? – Miał zaczerwienioną twarz. Zaciskał wargi i patrzył na nią stanowczo. – Przykro mi. Ale to absolutnie nie wchodzi w grę.

No tak. Mogła się tego spodziewać.

– Rozumiem, Sal.

– Weź lepiej jakąś czarterową jednostkę? Albo wynajmij statek, a ja go popilotuję.

Zastanowiła się. Musiała mieć specjalistyczny sprzęt, jaki posiadały statki Instytutu.

– Pomogę ci za to zapłacić – zaoferował.

– Nic z tego. Musimy mieć WUNDZa. – Był to Wielofunkcyjny Układ Namiaru Dalekiego Zasięgu. Gdyby ktoś nadał transmisję o sto tysięcy lat świetlnych stąd, WUNDZ by ją wychwycił.

– Kim. Daj temu spokój.

Korporacja Hyperyacht dysponowała wieloma jednostkami międzygwiazdowymi, od eleganckich i luksusowych modeli po busy klasy ekonomicznej. Niestety, najtańsze nie miały licencji na wyprawy poza przestrzeń Dziewięciu Światów, a te lepsze były niemożliwie drogie. Co gorsza, nawet gdyby udało się jej jakoś za taki pojazd zapłacić i przekonać Instytut, aby wypożyczył jej sprzęt radiowy, nie mogła go w innych statkach zainstalować.

Postanowiła na jakiś czas zapomnieć o problemie i wróciła do domu popatrzeć na ocean.

Musiała wysłać życiorysy. Zaadresowała je do kilkanastu instytutów badawczych na całym globie, ale nie liczyła na pozytywną odpowiedź. Niewiele mogła wpisać w rubrykach:

„najnowsze projekty” i „osiągnięcia”.

Jestem o krok od kontaktu z inteligentnymi istotami z kosmosu.

Wierzyła w to.

Nie wątpiła, że dostałaby gdzieś pracę przy zbieraniu funduszy, ale nie chciała poświęcić reszty życia na błaganie innych o pieniądze. Już woląla zrezygnować zupełnie z pracy i poprzestać na wygodnej egzystencji, tak jak robiła to większość ludzi. Wystarczyło co miesiąc odbierać rządowy przydział i siedzieć na werandzie.

Bez końca spacerowała brzegiem. Zimowa plaża przyciągała ją. Bezbarwny piasek doskonale pasował do jej nastroju. Rzadko spotykała innych ludzi. Ubrana w ocieplany kombinezon codziennie okrążała wyspę szybkim marszem, od czasu do czasu przystając, żeby popatrzeć na muszle.

Wybrzeże należało do wyjątkowych miejsc. Zawsze tak uważała. Było jak skraj lasu albo podnóże górskiego łańcucha. Jak miejsca wyznaczające brzeg codziennego życia, z których patrzyło się na coś zupełnie odmiennego. Często zostawała nad morzem długo po zmierzchu.

Patrząc na przypyływ, pozwalała nocy wlewać się w jej duszę. Plaża była dla niej miejscem

świętym, jednym z tych, w których człowiek styka się z nieskończonością.

Miała przed sobą dwa oceany: wody i czasoprzestrzeni. Po zmroku obydwie zlewały się ze sobą. Wystarczyło, że znalazła się w odpowiednim miejscu, gdzie jedynym rzeczywistym dźwiękiem był pomruk fal, a mogła wędrować po mokrym piasku i czuć, jak krew krąży w niej w takt oceanicznych pływów.

Brzeg oceanu jest z definicji miejscem, w którym wspaniałość styka się ze zwyczajnością.

Wsluchujemy się w muszle, a słyszymy bicie naszych serc.

Każdego dnia, gdy wracała do domu, zastawała wiadomość od Sala: *Co u ciebie? Jak sprawy? Rozmawiałem z ludźmi z Albestadt. Mają dla ciebie miejsce, jeśli jesteś zainteresowana. Musisz oczywiście przejść rozmowę kwalifikacyjną, ale masz to jak w banku.*

Opowiedziałem im o tobie i chętnie cię do siebie wezmą.

Podziękowała mu uprzejmie: *Doceniam twoje wysiłki, ale chyba zrezygnuję.*

Centrum badań orbitalnych Moritami zaskoczyło ją zaproszeniem na rozmowę.

Oferowano jej stanowisko badawcze najniższego szczebla. Spotkanie odbyło się w biurach administracji w Maratonie i Kim dobrze się zaprezentowała. Rozmowy kwalifikacyjne były jej specjalnością. Kiedy spytano ją, czy mogłaby mieszkać poza macierzystą planetą, wiedziała, że dostała pracę. Obiecali, że się z nią skontaktują. Wychodziła stamtąd z mieszanymi uczuciami. Na zewnątrz świeciło ostre słońce. Zaletą było to, że znowu zajmowałaby się astrofizyką.

Znowu?

Tak naprawdę nigdy nie pracowała w swojej specjalizacji.

W domu czekał na nią Sal.

– Jak poszło? – spytał.

Nie zdziwiła się, że wiedział. W światowej społeczności fizyków i astronomów wszyscy się dobrze znali. Wieści roznosiły się bardzo szybko.

– W porządku – przyznała. – Chyba mnie zatrudnią.

Sal tego dnia ubrał swobodny marynarski strój. Miał też czapkę kapitana z symbolem kotwicy. Włożył ją na bakier. Pozwalał sobie na to tylko przy niej. Wiedział, że wygląda wtedy idiotycznie i że ją to śmieszyło.

– W końcu masz to, czego chciałaś.

– Tak.

– Koniec ze zbieraniem funduszy.

– Koniec.

– Może ta praca okaże się dla ciebie błogosławieństwem.

Zirytowało ją coś w tym stwierdzeniu, w tonie Sala, albo po prostu w tym, że ją odwiedził. Nagle poczuła złość, a do oczu zaczęły się cisnąć łzy. Tak bardzo pragnęła wyruszyć tropem *Huntera*. Chciała się przekonać, co czeka na nią w kosmosie i poznać prawdę o Emily.

– Już dobrze, kochanie – powiedział. Przytulił ją mocno i pogłaskał po włosach.

– Zamoczę ci policzek.

Trzymał ją, dopóki się nie uspokoiła. Potem się odsunął i spojrzał na nią niebieskimi oczami.

– Posłuchaj... – Zdjął czapkę, przeczesał palcami włosy i z powrotem ją włożył. Tym razem prosto. – Jeżeli nadal nie zmieniłaś zdania, możemy wziąć *Hammera*.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Może się przesłyszała.

– Przekonałeś ich, żeby pozwolili nam wziąć jeden ze statków?

– Niezupełnie. Ale chyba i tak moglibyśmy to zrobić.

Dwadzieścia minut później zadzwoniła do centrum Moritami.

– Dziękuję za wzięcie pod uwagę mojej kandydatury – powiedziała. – Ale na jakiś czas opuszczam Greenway.

*Chwyć plecak i chodź ze mną
Złapiemy pociąg do gwiazd...*

*Bud Webster,
„Ballada o Kansanie McGriffie”, 1998 n.e.*

– Wiesz ile zabrałoby nam dotarcie tam, gdzie był *Hunter*? – spytał Sal – Czterdzieści dni, siedemnaście godzin i dwadzieścia sześć minut.

– Jestem pod wrażeniem. Odrobiłaś pracę domową.

– Dziękuję.

– Czyli zostało nam tylko załatwić transport. – Sal zamyślił się. – Jeśli to zrobimy, postawimy na szali wszystko. Karierę, wolność, reputację, to co mamy. Dlatego pytam cię raz jeszcze: jesteś pewna?

– Sal, uda się nam. Wiem, że się uda.

– Nie o to pytałem.

– Czy wiem, że chcę zrobić wszystko co trzeba, by poznać prawdę? Tak. Bez cienia wątpliwości. Czy jestem pewna, że podążam właściwym tropem? – Nad tym pytaniem musiała się zastanowić. Zimne i szalone oczy zjawy pod wodą zapadły Kim głęboko w duszę.

Dzięki nim wiedziała, że *Hunter* coś znalazł w kosmosie i to coś trafiło w dolinę Severin, ale jednocześnie nie była pewna, czy chce się do tego zbliżyć. Wołała się do tego nie przyznawać nawet przed sobą.

A mimo to...

– Tak – powiedziała.

– W takim razie dobrze. Zrobimy to. Na szczęście *Hammer* jest gotowy, zapasy uzupełnione, zbiorniki świeżej wody pełne. W każdej chwili może wyruszyć do Taratuby.

Kim zauważyła, że westchnął.

– Sal, będzie dobrze. Na chwilę się wściekną, ale kiedy przywieziemy dowody, że doszło do kontaktu, przywitają nas fanfarami.

Sądziła, że zabranie *Hammera* okaże się dziecinnie proste. Instytut dokładnie pilnował przeglądów i przygotowań. Wszystkie prace przeprowadzano z dużym wyprzedzeniem. Sal, który zajmował się logistyką wyprawy, dopilnował, by wcześniej uzupełniono zapasy statku; przypuszczał, że wystarczy wejść na pokład, włączyć napęd, podać kontroli lotów jakąś wiarygodną bajkę i wyruszyć. Tymczasem firma *Worldwide Interior* zaproponowała zmianę wystroju kabin. Gratis. Kiedy Kim i Sal weszli na *Hammera* dwadzieścia godzin przed planowanym odejściem na Taratubę, nadal pracowało na nim sporo osób.

Kim nigdy wcześniej nie była na *Hammerze*. Sal po krótkiej inspekcji przyznał, że ludzie z *Worldwide* nieźle się spisali.

– Prawdę mówiąc, wszystko tu się nadawało do wymiany – stwierdził.

Czterech pracowników układało wykładzinę, instalowało meble i wprowadzało kosmetyczne zmiany na całym statku. Nawet ładownia doczekała się świeżej warstwy farby w kolorze mahoni.

Flota Instytutu liczyła pięć jednostek. Wszystkie trzymano w Orbitalnym Doku Marlin.

Sal i Kim dotarli tam ze Sky Harbor promem, odebrali bagaże z punktu obsługi i weszli z nimi na pokład, mijając szefa personelu stacji i kilka osób z kontroli lotów kosmicznych. Sal miał rację. Nikt nie zadawał im żadnych pytań.

Kim przyjrzała się wcześniej *Hammerowi* z promu. Był po przebudowie. Miał kształt zbliżony do pudła i trzy poziomy. Kwatery pasażerskie i kabina pilota znajdowały się na najwyższym pokładzie; laboratoria, dodatkowe kabiny prywatne i pomieszczenia rekreacyjne zajmowały środkową sekcję; a strefa gospodarcza, ładownia, system podtrzymywania życia i magazyn ulokowano na samym dole. Maszynownia zajmowała dwa niższe poziomy w rufie jednostki.

Możliwe, że w okresie świetności statek wyglądał inaczej, ale później zrezygnowano z wygod na rzecz użyteczności. Nawet świeża farba i nowe wykładziny nie usunęły atmosfery małego hoteliku, który trzeba było odnowić dla nowego właściciela. *Hammer* nadal wyglądał kiepsko, tak jakby żaden remont nie mógł usunąć oznak zapuszczenia.

Kadłub był najeżony antenami, talerzami czujników i mnóstwem urządzeń, o których Kim nic nie wiedziała. Nazwa i numer jednostki widniały na dziobie, a wzdłuż całego statku biegły duże, czarne litery: INSTYTUT SEABRIGHT.

Sal powiedział jej, że może sobie wybrać dowolną kabinę. *Hammer* miał w sumie osiem dwuosobowych kajut pasażerskich. W centralnej części pokładu, naprzeciwko siebie mieściły się kabina pilota i centrum kontroli lotu. Sala odpraw zajmowała rufową część najwyższego poziomu.

Kim przywitała się z mężczyzną mocującym panele. Zauważyła, że w pokoju rekreacyjnym pracowało jeszcze kilku innych. Wybrała kajutę sąsiadującą z kabiną pilota, pierwszą w stronę rufy. Zostawiła w niej bagaże.

Sal czekał w korytarzu, przeżuując tost.

– Jak nam idzie? – spytała.

Rozłożył ręce w geście wyrażającym bezsilność.

– Możemy ruszać, jak tylko Worldwide się stąd wyniesie.

– Czyli kiedy?

– Trudno powiedzieć. Sami nie wiedzą.

– Nie możemy ich poprosić, żeby opuścili statek?

– Nie, jeśli nie chcemy wzbudzać podejrzeń.

Kim wpisała kod zamówienia do maszyny. Poprosiła o ser i kawę.

– Ilu ich tu jest?

– Czterech z Worldwide i jeden technik z Marlin.

– Sal spojrzął na zegarek. – Pewnie wkrótce zrobią sobie przerwę na lunch. Wtedy się stąd zabierzemy.

Spojrzała z powątpiewaniem na dozownik żywności.

– Co będzie, jeśli to się zepsuje?

Sal przeszedł do kontroli lotów i otworzył panel w tylnej ścianie, odsłaniając w pełni zautomatyzowaną kuchnię.

– Możemy gotować sami, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Uśmiechnął się do niej. – Może chcesz tost do sera?

– Nie, dziękuję.

– Możemy przygotować dwadzieścia jednocześnie – stwierdził.

– Wystarczy nam jedzenia na kilka miesięcy?

– Nie ma strachu. Będziemy się dobrze odżywiać. *Hammer* został zaopatrzony na półroczny pobyt siedemnastu osób. Ale jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać. – Sal spoważniał.

– Tak?

– Wiem, że zakładamy, iż twój plan zadziała i gdy sławni wrócimy na Greenway, wszyscy natychmiast nam wybaczą kradzież tego wózka.

– Bo tak będzie, Sal. – Kim wzięła z maszyny kawę i ser.

– Może. Ale z doświadczenia wiem, że nic nigdy nie idzie zgodnie z planem. Zwłaszcza wyprawy takie, jak ta. – Przeszli przez korytarz i zajrzeli do kabiny pilota. Trzy fotele, kilka konsoli, wysoko zawieszony ekran, dwa dodatkowe z obu stron. Zamiast okien, dwa wielkie monitory w ścianie po lewej stronie. – Prawdę mówiąc, nie widzę tego w jasnych barwach.

Podejrzewam, że nie wzięliśmy czegoś pod uwagę. Po prostu trudno mi uwierzyć, że tak zwyczajnie wylecimy i wszystko nam się uda.

– Rozumiem. – Kim wolałaby, gdyby wierzył w ich sukces, ale od początku wiedziała, że był sceptycznie nastawiony. Nie dziwiło jej to. Nadal zastanawiała się, czy brał w tym udział tylko dlatego, że bez niego nie dałaby sobie rady. – Ale zobaczysz, że go znajdziemy – zapewniła.

– Może i tak. Mam taką nadzieję. Tymczasem powinniśmy się chyba zastanowić nad alternatywnym planem.

– Na wypadek, gdybyśmy mieli wrócić z niczym?

– Na wypadek, gdybyśmy stwierdzili, że lepiej tu nie wracać. – Sal odetchnął głęboko. – Posłuchaj, Kim, żadne z nas nie chce chyba stawać przed sądem.

– Jeszcze masz czas się wycofać.

– A ty co byś zrobiła?

W milczeniu wpatrywała się w kubek kawy.

– Właśnie. Dlatego się nie wycofam..

– Dzięki.

– Nie. Nie dla ciebie. Aż tak szalony nie jestem. Bardzo możliwe, że się nie mylisz i warto to sprawdzić. Nie chciałbym przez resztę życia zastanawiać się, co by było, gdyby. Dlatego jestem gotów zaryzykować. Ale jeśli nam się nie uda, to mam przyjaciół na Tigris.

– Dobrze.

– Już się z nimi kontaktowałem. Tak na wszelki wypadek.

Skinęła głową.

– Gdyby sprawy potoczyły się nie tak, jak chcemy, zamieszkamy na jakiejś górze na Tigris. Mają z Greenway umowę o ekstradycji, ale dotyczy ona tylko przestępstw, za które grozi najwyższa kara. Dlatego nic nam nie zrobią.

Technik z Marlin poszedł na lunch, ale ludzie z Worldwide robili sobie przerwy na zmianę. Południe minęło, a szansa na wylot się nie pojawiła.

Wczesnym popołudniem zjawił się młody, umięśniony mężczyzna z bagażem.

– Oo! – jęknął Sal.

– Kto to?

– Webley. Kosmolog zwerbowany do zespołu ruszającego na Taratubę. – Usłyszeli, jak przybysz mówi coś w korytarzu i Sal wyszedł się z nim przywitać. Kim ruszyła za nim.

Jeden z techników wskazał Webleyowi kabiny pasażerskie. Kosmolog uśmiechnął się z poczuciem wyższości. Na Kim spojrzał tylko przelotnie, tak jakby ją lekceważył.

– Dobrze, że cię widzę, Sal – powiedział. – Jest już ktoś z pozostałych?

Sal najpierw przedstawił ich sobie, a dopiero potem poinformował Webleya, że jeszcze nikt nie przyjechał.

Kosmolog miał na sobie marynarkę modną na Wyspach Kalipik, białą koszulę z puchatym kołnierzem, ciemne spodnie i czerwoną apaszkę. Mówił tak cicho, że trzeba było wyęczać słuch, żeby go zrozumieć. Za to sposobem bycia dawał do zrozumienia, że ten wysiłek się opłaci. Miał rozczochraną rudą brodę, która odcieniem tylko odrobinę różniła się od apaszki.

– Wszystko idzie zgodnie z planem? – spytał.

– Tak – odparł szybko Sal. – Co do minuty.

– Dobrze. – Webley poprawił rękawy i sprawdził, która godzina. – Chciałbym wiedzieć, która kajuta jest moja?

– Numer osiem – odparła Kim. Kabina w końcu korytarza.

Gdy kosmolog odszedł, Sal spojrzał na nią zaniepokojony.

– Niedobrze. Może będziemy musieli zrezygnować.

Kim pokręciła głową.

– Nie poddawajmy się tak łatwo. – Przeszła korytarzem, mijając drzwi do kabiny Webleya. Ze środka dochodziła muzyka. Ciężki utwór klasyczny. Prawdopodobnie Vorwerk.

Albo Benado.

Najpierw musiała się pozbyć robotników.

Grupa z Worldwide nadal montowała różne elementy, wykańczała ramy okien i zawieszała zasłony w sali konferencyjnej. W pokoju wypoczynkowym przykręcano do podłogi stół, a na najniższym pokładzie instalowano szafki. Ekipą kierował starszy mężczyzna, który nadawałby się na członka Marinersów.

– Jak idzie? – spytała Kim od niechcienia.

– Już niedługo kończymy. Brakuje nam jednego człowieka – odparł, wycierając rękawem usta. Wyglądał na zgrzanego. – Jest tak za każdym razem. Czekają z wszystkim do ostatniej chwili, a potem ktoś postanawia akurat wtedy wziąć sobie wolne.

– Dlaczego tak długo zwlekali?

Wykrzywił się.

– No, sama pani wie, tak to już bywa. – Cały czas unikał jej wzroku. Wiedziała, że kłamał.

Domyślała się, że chodziło o pieniądze. Wykonywali tę pracę tylko dlatego, że Worldwide mogło to sobie odpisać od podatku. Niewiele na niej zarabiali i dlatego nie była pierwsza na ich liście.

– Skończycie do piątej? – spytała.

– Trudno powiedzieć. – Mrugnął do niej okiem. – Jeśli nie zdążymy, będziemy musieli pracować po godzinach, sama pani rozumie.

W drugim końcu pomieszczenia technik z Marlin zamknął panel i zaczął zbierać narzędzia.

– Skończone? – spytała.

– Fajrant. – Poprosił ją, by potwierdziła wykonanie zlecenia. Zainstalował na pokładzie najnowszą wersję oprogramowania WR. Podpisała dokument. Mężczyzna podziękował jej i wyszedł.

Odwróciła się do Marinera i spytała, jak miał na imię.

– Leo Eastley – przedstawił się.

Kim zrobiła ważną minę.

– Leo, ty i twoi ludzie świetnie się spisaliście. Będziemy musieli zostawić wszystko tak, jak jest. Czas zacząć przygotowania. Sami zrobimy resztę.

Spojrzał na nią zdziwiony. Srebrne włosy opadały mu na oczy.

– Nie mamy już czasu – wyjaśniła.

– Jak to? Sądziłem, że jest na to cały dzień. Jeszcze nie skończyliśmy.

– Musimy przeprowadzić kilka prób.

– Proszę bardzo. Nie będziemy wam przeszkadzali.

– Niestety, chodzi o wyjątkowo precyzyjne urządzenia do pomiaru przyspieszenia.

Obecność większej liczby osób wpłynie na wynik.

– Jest pani pewna?

– Tak. Przykro mi, ale nie mamy innej możliwości.

– My już tu nie wrócimy. Praca miała zostać skończona dzisiaj.

– Rozumiem. Nic nie szkodzi.

Leo wyciągnął notatnik.

– Musi mi pani podpisać, że wszystko zostało wykonane i że rezultat jest zadowalający.

– Oczywiście. To mogę zrobić.

– Na dole umieszczę dopisek wyjaśniający, co się stało. Może to mieć wpływ na gwarancje, jakich udzielamy.

Uśmiechnęła się do niego.

– W porządku. Jakoś się z tym pogodzimy.

Z westchnieniem złożyła podpis pod uwagą. Leo zebrał swój zespół, a Kim odprowadziła ich wzrokiem do wjazdu. Jeden po drugim wchodzili w tunel. Gdy znikł ostatni, do doku podjechał wózek bagażowy.

– Czy to *Hammer*? – odezwał się elektroniczny głos.

– Tak – odparła Kim.

Wózek prześwietlił pakunki.

– *Gdzie mam je złożyć?*

– A gdzie są ich właściciele?

– *Według ostatniej informacji jaką otrzymałem, właśnie udawali się do Szczęśliwego Harry'ego.*

– Szczęśliwego Harry'ego?

– *To bar koktajlowy.*

– W Sky Harbor?

– *Tak.*

– Dzięki. Możesz zostawić wszystko tutaj.

– *W tunelu?*

– Tak. Dopilnuję, żeby trafiły na pokład. – Chwilę później, gdy została sama, skontaktowała się z Salem. – Zaraz zjawią się następni – powiedziała, sprawdzając przywieszki przy bagażach. – Wentworth, Mały Jeleń, Moritami i Henderson. Podobno po drodze wstąpili do baru.

– Mogą tu przyjechać lada moment. Albo zbieramy się natychmiast, albo o wszystkim zapominamy.

– W środku mamy jeszcze Webleya. Zamierzasz ciągnąć go ze sobą?

– Sądzisz, że chciałby polecieć?

– Raczej nie.

– No to zrób coś.

– Właśnie zamierzałam. – Znała takich jak Webley. Należał do tych naukowców, którzy święcie wierzyli, że nikt inny nie widział wyraźniej wnętrza atomu czy czegoś nad czym pracowali. Według takich ludzi wycinek nauki, którym się zajmowali, był najważniejszy i dlatego oczekiwali szacunku i podziwu dla swoich osiągnięć. Jak dzieci wierzyli, że cały kosmos kręcił się wokół nich. Przekonanie to przeważało nad wszystkimi innymi i było ich główną słabością.

Zastukała do jego kajuty. Otworzył drzwi. Zmierzył ją wzrokiem, tak jakby próbował sobie przypomnieć, kim była i po co przyszła.

– Profesorze Webley – zaczęła – musimy teraz przeprowadzić pewne testy w maszynowni.

Potrważą najwyżej godzinę. Będzie bardzo głośno, a poza tym podczas takich prób występują spore drgania.

– Ach tak? Wcześniej nigdy tego nie robiono.

– Być może nigdy nie stawił się pan aż z takim wyprzedzeniem.

– Wręcz przeciwnie, proszę pani.

– Skoro pan tak twierdzi. W każdym razie, musimy przeprowadzić próbę działania głównego napędu po montażu. Towarzyszy temu potworny hałas. Właśnie miałam się udać do Domino i tam przeczekać testy. – Westchnęła nieznacznie, przechyliła głowę i zdobyła się na wyjątkowo ujmujący uśmiech. – Byłoby mi miło, gdyby dotrzymał mi pan towarzystwa.

– Ależ doktor Brandywine, nie sądzę...

– Chętnie posłucham, czym się pan teraz zajmuje.

Webley zmarszczył czoło.

– Dziękuję pani za zainteresowanie, ale akurat teraz nie mam czasu. – Spojrzał na nią jak na krnąbrne dziecko, po czym życzył jej dobrego dnia i zamknął drzwi.

Ukloniła się lekko, odwróciła na pięcie i odeszła.

– Na nic mój wdzięk osobisty – powiedziała minutę później Salowi.

Uśmiechnął się.

– Kusicielka się poddaje?

– Chyba tak. Wyglądał na rozdrażnionego.

– Hamo – Sal wezwał SI. – Włącz główny napęd. Przygotuj się do odejścia.

– *Wykonuję* – odezwał się kobiecy głos.

Kim zmarszczyła brwi. Przecież nie chcieli porwać tego faceta.

– Prom odchodzący z portu o szóstej właśnie się zjawił – wyjaśnił Sal odpowiadając na pytanie, którego nie zadała. – Jeśli Moritami i pozostali na nim byli, za chwilę... – Urwał i wskazał jeden z monitorów. Trzech mężczyzn i kobieta właśnie pojawili się w wejściu do tunelu.

– O wilku mowa...

– Sal, co teraz zrobimy?

– Potrzebne nam coś łatwopalnego.

– Łatwopalnego? Po co?

– Pytania później. Co takiego mamy na pokładzie?

Statki kosmiczne raczej nie należały do miejsc, w których należało szukać palnych materiałów. Ubrania, panele, meble, wszystko było ognioodporne.

– Chwileczkę – powiedział, wstając. Przeszedł do kabiny kontroli lotów. Usłyszała, jak odsuwa panel wejścia do kuchni. Dwie minuty później poczuła dym.

– Tosty. – Sal uśmiechał się od ucha do ucha.

– Całe dwadzieścia. Teraz idź i stań pod kabiną Webleya. Kiedy się zaczniesz, pomóż mu opuścić pokład.

Sal prześcigał sam siebie. Kim zajęła miejsce na korytarzu i w tej samej chwili odezwał się sygnał alarmowy. Włączył się interkom.

– Tu kapitan. Nie ma powodu do paniki. W przedniej części statku mamy pożar.

Wszystkich pasażerów proszę o natychmiastowe opuszczenie statku. Tu kapitan. Powtarzam, nie ma bezpośredniego zagrożenia. Proszę zachować spokój...

Drzwi kabiny Webleya otworzyły się i kosmolog wystawił głowę na korytarz. Rozejrzał się w obie strony, zobaczył Kim i spojrzał na nią groźnie. Już miał coś powiedzieć, kiedy zauważył smugi dymu wydostające się z przejścia, przy którym stała. Smród przypalonych tostów stawał się coraz wyraźniejszy.

– Mamy pożar – powiedziała Kim.

– Na litość boską, dziewczyno – jęknął profesor – jak mogło do tego dojść?

– Później o tym porozmawiamy, profesorze. Proszę tędy. – Zamiast jej posłuchać, kosmolog cofnął się do pokoju, otworzył walizkę i zaczął wrzucać do niej ubrania.

– Nie ma na to czasu – ostrzegła Kim podniesionym głosem. Do głowy przyszedł jej szalony pomysł. – Za chwilę to wszystko może wylecieć w powietrze.

Więcej nie było trzeba. Webley zamknął wieko, podniósł walizę jedną ręką, drugą chwycił jeszcze kilka ubrań i wypadł z kajuty.

– Brak kompetencji – warknął. – Wszędzie ludzie są teraz tak potwornie niekompetentni!

– Tędy, proszę pana – Kim wskazała tunel łączący statek z dokiem. Kosmolog zniknął w nim.

Na zewnątrz rozdzwonił się alarm.

– Kłopot z głowy – zawiadomiła Sala.

– Dobrze. Zamknij właz.

– Jak?

– Po prostu go puść. Resztę zrobię sam z kabiny. Chodź tutaj i zapnij pasy. Za minutę odchodzimy.

– Ale Webley jeszcze nie wyszedł.

– Nadal jest w tunelu?

– Tak.

– Nic mu nie będzie. Tunel jest automatycznie zamykany, kiedy statek się odłącza. Nie przejmuj się nim.

Kilka chwil później Kim wpadła do kabiny pilota i zajęła miejsce obok Sala.

– Właśnie uświadomiłam sobie, że kiedy to wszystko się skończy, będę musiała przeprosić mnóstwo osób.

– Także mnie.

Wstała raz jeszcze i spojrzała na siedzenie.

– Widzisz? – Wskazała palcem materiał. – Jest odcisk.

– Kontrola – powiedział Sal do mikrofonu. – Tu *Hammer*. Musimy awaryjnie startować.

Proszę o instrukcje.

– *Hammer*, tu Kontrola. Proszę podać powód. Właśnie otrzymaliśmy zawiadomienie o pożarze.

– Błędna informacja. Błąd powstał w wyniku problemów z łącznością na statku.

– Powód awaryjnego startu?

Kim ponownie usiadła. Znad jej ramion wysunęła się uprząż bezpieczeństwa.

– Sztuczna próżnia wokół Taratuby powstała wcześniej niż przewidywano.

Kim spojrzała na niego zdumiona i bezgłośnie spytała: *Co?*

– Moment, *Hammer*.

– Sal, czy oni w ogóle wiedzą, co to Taratuba?

– Wątpię. To dobrze. Nie będą zadawali pytań.

Sprawdziła monitory wyświetlające obraz z kamer wokół statku. Z dokiem łączył ich już tylko przedni przewód startowy. Wystarczyło, aby Sal uwolnił przód i mogli odchodzić.

– Dlaczego po prostu nie wystartujemy? – spytała.

– Moglibyśmy w coś trafić. Poza tym od razu zawiadomiliby Patrol. Może uniknęlibyśmy aresztowania za kradzież, ale na pewno straciłbym licencję pilota.

– *Hammer*, tu Kontrola. Jest pozwolenie na start. Uruchamiam przekaz danych.

Sal potwierdził. Szereg lampek konsoli zamrugało, odbierając informacje.

– Hamo, odrzuć cumy i ruszamy.

– *Wykonuję* – odpowiedziała sztuczna inteligencja *Hammera*.

– „Ruszamy?” Tylko tyle? Wystarczy zwykłe „ruszamy”?

Statek zaczął odsuwać się od doku.

– Chyba właśnie zdradziłem ci zawodową tajemnicę, Kim. Kiedy już dotrzemy na miejsce, powiem tylko „O.K. ”

– Poważnie...?

– Poważnie. Piloci są na pokładzie tylko po to, by rozwiązywać problemy. Na wypadek awarii. Poza tym pasażerowie nie czuliby się dobrze w całkowicie zautomatyzowanych jednostkach.

– Taksówki są w pełni automatyczne – zauważyła Kim. – I nikomu to nie przeszkadza.

– Bo wiesz, jak tym latać, gdyby zaszła taka potrzeba.

Oddalali się od stacji orbitalnej, biorąc kurs na gwiazdy znacznikowe.

– *Za minutę zaczniemy przyspieszanie* – powiadomiła SI.

– *Hammer*, tu Kontrola. – Usłyszeli nowy głos, głębszy, bardziej władczy.

– Słucham Kontrola.

– Mówi główny kierownik zmiany. Macie nakaz powrotu do doku.

– Sal. – Kim wskazała jeden z ekranów, na którym widać było zbliżający się ponury ścigacz o wydłużonym kształcie.

– Widzę.

– Wiedzą już.

– Na pewno. Nasz pasażer już z nimi rozmawiał. – Sal włączył mikrofon. – Kontrola, nie możemy wykonać polecenia.

– Sal...

– Hamo, rozpocznij przyspieszanie.

– *Wykonuję.*

Kim poczuła, jak jakaś siła lekko wciska ją w fotel. Statek wszedł na wyznaczony kurs i ruszył do przodu.

– Nic nam nie będzie, Kim – powiedział Sal.

Siła wpychająca ją w fotel zwiększyła się. Stacja znikła z monitorów.

Usłyszeli jeszcze jeden głos, tym razem kobiecy.

– *Hammer*, tu Patrol Orbitalny. Macie natychmiast zawrócić do portu.

– Trzymaj się – uprzedził Sal. Prędkość stale rosła.

– Chyba powinniśmy od razu wykonać skok.

– Silniki skokowe zasilane są z głównego napędu. Musimy najpierw wytworzyć dość mocy, zanim będą się mogły uruchomić.

– Ile czasu potrzebujemy?

– Mniej więcej dwadzieścia pięć minut.

– *Dwadzieścia pięć minut?* – Beznadzieja. – Ci cholerni ludzie z Worldwide i ich panele.

Sal, nie mamy aż dwudziestu pięciu minut.

– *Hammer*, zawróć do stacji orbitalnej. Nie wykonanie polecenia zmusza nas do podjęcia odpowiednich kroków.

– Mogą nas zatrzymać?

– Tak. Na przykład wysadzając w powietrze.

– No tak. Oczywiście.

– Mają tylko pole Tursiego.

– Damper?

– Właśnie. Wyłączyłby nam główne zasilanie. Ale to tylko blef.

– Skąd wiesz?

– Jeśli zwiększysz moc silnika, a potem w jednej chwili ją redukujesz, powstaje ryzyko wybuchu. Szanse są pół na pół. Nie odważą się na to, zanim nie otrzymają pozwolenia od Instytutu. To potrwa. Zresztą, Agostino i tak nigdy by się nie zgodził. Nie chciałby stracić statku.

Z głośnika dobiegały różne głosy: patrol nakazywał im się zatrzymać, kierownik Kontroli upierał się, by zawrócili i nawet Webley nie dawał im spokoju dopytując się, co oni na Boga robią.

– Możesz się już odprężyć – powiedział Sal. – Ale najpierw chciałbym w końcu wiedzieć, dokąd się wybieramy.

– Zeta Orionus. Alnitak. A raczej dwadzieścia siedem lat świetlnych i jeszcze kawałeczek od Alnitaka.

– Sięgnęła do kieszeni i wyjęła dysk z danymi. – Proszę – powiedziała. – Wystarczy, że dowiesz nas do jakiegokolwiek punktu zaznaczonej strefy.

– Alnitak – powtórzył za nią. Była to najdalej na wschód wysunięta gwiazda w Orionie. – Dlaczego akurat tam? Strzelasz na ślepo czy może wiesz coś, o czym mi nie powiedziałaś?

– Pamiętasz, pytałeś mnie jak długo potrwa podróż?

– Aha. Odpowiedziałaś dość dokładnie.

– Czterdzieści dni, siedemnaście godzin i dwadzieścia sześć minut. Tyle trwała cała podróż powrotna według dziennika *Huntera*.

– Tego podrobionego?

– Tak. Ale nie widzę powodu, dla którego mieliby zmieniać czas trwania wyprawy. Jeśli więc ramy czasowe są poprawne, daje nam to rejon Alnitaka. I jest jeszcze coś... – Pokazała mu powiększenie rysunku Kane'a. – Widzisz to? – Wskazała Końską Głowę.

– No.

– Mgławica jest widoczna z Alnitaka.

Statek Patrolu wszedł na kurs równoległy po prawej burcie. Znajdował się zaledwie kilkaset metrów od nich.

Sal wyłączył łączność i głosy umilkły.

– Denerwują mnie – wyjaśnił.

– Sądzisz, że to dobry pomysł w takiej chwili?

– To zależy czy chcesz słuchać pogrózek.

Nastawił odliczanie do skoku. Kim wlepiła wzrok w licznik pragnąc, by cyfry szybciej przeskakiwały.

Kilka minut przed skokiem SI poinformowała o transmisji z nowego źródła, z jednego z satelitów.

– *Instytut*.

– Na pewno Agostino – powiedziała Kim.

– Chcesz z nim gadać?

– Nie. Porozmawiamy, kiedy wrócimy. Najpierw musimy mieć podstawy do negocjacji.

Statek patrolowy nadal im towarzyszył. W końcu silniki skokowe się włączyły i Sal

wyprowadził statek poza zasięg Patrolu.

Trudno określić, kiedy miłość się rozpoczyna; łatwiej stwierdzić, że już się kocha.

Henry W. Longfellow, Kavanaugh, XXI 1849 n.e.

Znajomi eksperci Sala uważali, że dziennik pokładowy *Huntera* był prawdziwy do momentu pojawienia się problemów z silnikami. Należało dodać mniej więcej dzień na naprawę, a to oznaczało, że Tripley i jego zespół znaleźli się w rejonie Alnitaka mniej więcej około siedemnastego lub osiemnastego lutego. Zgadzało się to także z czasem podróży powrotnej na Greenway.

– Jeśli się nie mylimy – powiedziała Kim – to znalezienie dowodu powinno być łatwe.

W Seabright mieli teraz 28 stycznia. Przyjmując 17 lutego 573 roku za datę kontaktu

Huntera z obcymi i zakładając, że jego załoga korzystała z łączności radiowej, Kim wyliczyła dokładnie, gdzie powinny się znajdować fale radiowe po takim okresie. Na tej podstawie wyznaczyła kurs *Hammera*. Wszystko wydawało się proste.

– Jest tylko jeden możliwy scenariusz – powiedziała Salowi. – *Hunter* natknął się na obcy statek właśnie tam. Na pewno próbował nawiązać z kosmitami łączność radiową.

– Strasznie dużo uzależniasz od tego, że na fresku pojawiła się ta żółwia skorupa. Mogą istnieć jeszcze inne wyjaśnienia. Możliwe, że na jednej z planet znaleźli jakąś cywilizację w fazie przedindustrialnej, bez światła, bez radia. Tylko pochodnie i tamtejszy odpowiednik koni. Jeśli tak...

– Tak nie mogło być – zaprzeczyła. Oboje siedzieli w centrum kontroli lotu, na odwróconych ku sobie fotelach i pili kawę.

– Dlaczego?

– Alnitak jest za młody, to po pierwsze. Nie ma nawet dziesięciu milionów lat. A zatem w tym rejonie nie mogło jeszcze powstać życie. Prócz tego jego promieniowanie jest zbyt wielkie. Milion razy większe od promieniowania Heliosa.

– Aha.

– Właśnie. Wszystko w jego okolicy natychmiast by się usmażyło. Jeśli się tam na kogoś natknęli, musiały to być istoty podróżujące w kosmosie.

Dwa wieki wcześniej statek badawczy sprawdził okolice Alnitaka. Jako system planetarny prezentował się mało okazale: jedna planeta, gazowy olbrzym uwięziony w polu grawitacyjnym potrójnej gwiazdy gdzieś na krańcach wszechświata.

– Od transmisji upłynęło sporo czasu – zauważył Sal. – Przez trzy dekady fale uległy sporemu rozproszeniu. WUNDZ jest wprawdzie dobry, ale być może nie wystarczy do wychwycenia tak słabego sygnału, albo do odróżnienia go od szumów.

Kim sporo czasu poświęciła zapoznaniu się z działaniem systemu.

– Jeśli tam jest, znajdziemy go – powiedziała.

Pierwszy dzień poświęcili organizacji życia na statku, urządzeniu kabin i zwiedzaniu

Hammera. Sal znał go dość dobrze, ale z przyjemnością oprowadzał Kim. Zastanawiała się, czy nie uraziła go wcześniej brakiem entuzjazmu dla wyglądu statku. Jednostka naprawdę przypominała jej kwatery Instytutu, w których lokowano mniej ważnych gości.

Po kolei oglądali każdy z pokładów. Sal zademonstrował Kim zalety urządzeń w

pomieszczeniach wypoczynkowych i kabinie WR. Obejrżeli obydwaj rodzaje silników, główne, które pchały *Hammera* do przodu w normalnej przestrzeni oraz napęd międzywymiarowy, czyli silniki skokowe. Te drugie były tak małe, że bez trudu sama by je podniosła.

Kim z zadowoleniem stwierdziła, że przejście w nadprzestrzeń nie wywołało u niej skutków ubocznych.

W locie nadprzestrzennym brała udział tylko raz, jako dziecko. Wtedy nie miała pojęcia, że niektórzy ludzie źle znoszą skoki. Jedni mieli dolegliwości fizyczne, u innych zmieniała się zdolność postrzegania perspektywy, ściany wydawały się mniej stałe, a sztuczna grawitacja nie tak skuteczna albo wręcz odwrotnie, bardziej przytłaczająca. Niektórzy skarżyli się, że wyczuwają myśli swoich towarzyszy. Mówiono też o nieziemskich snach i poważnych napadach depresji lub niewyjaśnionej euforii. Sal twierdził, że było w tym trochę prawdy.

Wszystkie promy międzygwiazdne woziły wielkie zapasy środków antydepresyjnych i uspokajających. Widywał pasażerów cierpiących na potworne bóle głowy, skurcze żołądka i bóle zębów, których przyczyn nie dało się określić.

– Ale dolegliwości, choć dokuczliwe, zawsze były niegroźne – powiedział. – Tak jak w przypadku morskiej choroby. Muszę jednak przyznać, że zdarzały się dziwne reakcje. Sny wydawały się niezwykle rzeczywiste. Sam byłem świadkiem różnych dziwactw. Pamiętam kobietę, której się wydawało, że znowu jest małą dziewczynką i mężczyznę, który rzekomo przeżył swoją śmierć. Czasami dają o sobie znać odmienne osobowości. Pewien starszy pasażer przysięgał, że był opętany. Inny zarzekał się, że za nim wszedł na pokład wilkołak.

– Wilkołak?

Niebieskie oczy Sala spojrzały na nią.

– Ty chyba jeszcze nie miałaś przywidzeń, co?

– Nic mi nie jest, dzięki za troskę. – Po cichu była z siebie dumna.

– Opowiedz mi o Alnitaku.

Kim usiadła wygodniej.

– To gwiazda typu widmowego O. Dość gorąca, jakieś trzydzieści pięć tysięcy razy jaśniejsza od Heliosa.

– Trzeba pamiętać o ciemnych okularach.

– Na pewno. Ma dwie gwiazdy towarzyszące, obie znajdują się dość daleko, ale nie na tyle, by mogły tu kiedyś powstać planety. A jeśli nawet do tego dojdzie, będą niestabilne.

– Ale mówiłaś chyba, że jest tam planeta.

– Uwięziona w polu grawitacyjnym gwiazdy potrójnej – przypomniała mu – Alnitak. – Sal zastanowił się nad brzmieniem tej nazwy.

– To po arabsku „pierścień”.

Pierwszy wspólny obiad na pokładzie zjedli w sali odpraw przy kilku świecach. Jeśli w miejscu ekranów znajdowałyby się prawdziwe okna, nie byłoby przez nie widać nic poza poświatą reflektorów statku, gdyby Sal je włączył. Wolał jednak zaprogramować widok Mlecznej Drogi obserwowanej z intergalaktycznej pustki.

Jedli w milczeniu. Sal, który zwykle brał na siebie ciężar rozmowy, tego wieczoru miał niewiele do powiedzenia. Świece, wino i widok galaktyki stworzyły wyjątkową atmosferę.

Jedzenie było smaczne. Kim jednak przez cały czas czuła ciężar swojej decyzji. Bała się, że

popęłniła błąd, coś przeoczyła i mogła przez to zniszczyć karierę Sala. Nie wspominając o własnej. Na Greenway już pewnie wydano nakaz aresztowania ich.

– Nie potrafię w żaden sposób wytłumaczyć, dlaczego utrzymali kontakt w tajemnicy.

Przecież to byłoby najważniejsze wydarzenie naszej ery.

– No nie wiem – stwierdził Sal.

Spojrzała na niego znad kolby kukurydzy.

– Pewnie niesłusznie przypuszczamy, że inni ludzie myślą o kosmitach to samo, co my.

Że jeśli obcy gdzieś są, to każdy chce ich odnaleźć. Może za wyjątkiem Kanona Woodbridge'a i Rady. Tymczasem wiele osób wolałoby zachować istniejący stan rzeczy. Nie chcą wiedzieć, czy mamy we Wszechświecie towarzystwo.

Twarz Sala oświetlał blask świec.

– Ja się do nich zaliczam – powiedział.

– Żartujesz.

– Nigdy nie żartuję. Życie jest dobre, jakie jest, Kim. Mamy wszystko, czego moglibyśmy zapragnąć. Bezpieczeństwo. Dobrobyt. Jeśli chcesz kariery, proszę bardzo. Wolisz przez całe życie leżeć na plaży, nie ma sprawy. Czy kosmici mogliby nam ofiarować coś, czego nie mamy? Poza zmartwieniami?

– Być może dzięki nim dowiedzielibyśmy się, kim jesteśmy.

– To stereotyp. Ja wiem, kim jestem. Nie potrzebuję filozofii jakichś tam stworów, które pewnie wyglądają jak wieprzowe kotlety. Poza tym, jak sama miałaś się okazać przekonana w Severin, takie spotkania mogą być niebezpieczne. Przykro mi, ale nie widzę w nich wielkich korzyści. Może odniesiemy je ty i ja, jeśli ten projekt wypali. Ale co na dłuższą metę zyska ludzkość?

Odsunęła talerz i spojrzała na niego.

– Skoro tak uważasz, nie rozumiem, dlaczego w ogóle chciałeś lecieć?

– Bo jeśli oni tam są, to spotkanie z nimi jest tylko kwestią czasu. Nie podoba mi się to i gdybym mógł, zapobiegłbym temu. Ale czuję, że jest nieuchronne. Jeśli do niego dojdzie, będzie to wielka chwila. Wolę w niej uczestniczyć. Poza tym, chyba lepiej wiedzieć, czego możemy oczekiwać.

– Instynkt myśliwego – stwierdziła Kim.

– Jak to?

– Ukrywanie się w zaroślach. Zwycięstwo lub śmierć. Czy właśnie tego naprawdę się spodziewasz po obcych cywilizacjach?

– Pewnie nie. Chodzi mi tylko o to, że takiej ewentualności nie możemy wykluczyć. A ponieważ ludziom wiedzie się teraz całkiem nieźle, nie rozumiem po co chcemy to zmieniać?

Po co ryzykujemy? Równie dobrze moglibyśmy dać sobie spokój.

– Jak sądzisz, dlaczego ludzie polecieli na Marsa?

Umoczył bułkę w zupie i odgryzł kęs. Przez chwilę żuł w zamyśleniu.

– Bo sądzili, że poznanie systemu słonecznego może przynieść długoterminowe korzyści ekonomiczne.

– Naprawdę sądzisz, że właśnie tym się kierowano? Długoterminowymi korzyściami ekonomicznymi?

– Tak napisano w podręcznikach historii.

– W podręcznikach piszą, że Kolumb wyruszył, aby wytyczyć szlak handlowy do Indii.

– Z tego, co słyszałem, właśnie tak było.

– To tylko oficjalna wersja, Sal. Miała pomóc Izabeli w podjęciu właściwej decyzji, skłonić do zastawienia klejnotów i dostarczyć argumentu w rozmowach z doradcami. Tak naprawdę chodziło o to, by mogła podążać za głosem swego DNA.

– Za głosem DNA? – Ten pomysł rozśmieszył go.

– Zawsze miałaś talent poetycki, Kim.

– Naprawdę nie chodziło o szlaki handlowe.

– To o co?

– O poszerzanie horyzontów. Odkrywanie. Chciała osobiście lub choć przez swego wysłannika dotrzeć w miejsca wcześniej nie odkryte.

– Rozumiem. Ale my już tego dokonaliśmy. W ciągu ostatnich kilku stuleci dotarliśmy w wiele miejsc. Co to ma wspólnego z kosmitami?

– Przyjeliśmy, że jesteśmy we wszechświecie sami.

– Bo pewnie jesteśmy. – Sal sięgnął po karafkę i napełnił oba kieliszki. – Może gdzieś tam ktoś jest, ale tak daleko, że dla nas nie ma to żadnego znaczenia. Dlatego, kierując się praktycznym punktem widzenia, twierdzą, że możemy postępować tak, jakbyśmy byli sami.

– Problem w tym, że wpadliśmy w samozadowolenie – stwierdziła. – Staliśmy się nudni.

Odcinamy się od wszystkiego, co czyniło nasz gatunek wartościowym.

– Chyba przesadzasz, Kim.

– Może, ale uważam, że potrzebujemy czegoś, co by nas pobudziło do działania.

Wszechświat stał się nudny. Odwiedzamy dziesięć tysięcy układów planetarnych, ale wszystkie są do siebie podobne. Zawsze puste. Zawsze sterylne.

– Myślisz, że dlatego Emily znalazła się na *Hunterze*? Myślała tak samo?

– Tak – przyznała Kim. – Próbowала mi to wyjaśnić, kiedy chodziłyśmy razem na plażę.

– Pamiętasz to?

– Spytała mnie raz czy wiem, dlaczego statki zawsze pływały wzdłuż wybrzeży?

Dlaczego nigdy nie płynęły w morze?

– Aha? Dlatego, że dalej nic nie było. Przez tysiące kilometrów nic tylko woda. Tak okrężało się glob i dobijało do brzegu po zachodniej stronie Equatorii. Z powrotem w punkcie wyjścia.

– My znajdujemy się właśnie w takim miejscu, Sal. Stoimy na plaży i patrzymy na ocean, który donikąd nie prowadzi. Tak nam się wydaje. – Przymknęła powieki. – Ale jeśli rzeczywiście brakuje nam już celu, to nie ma dla nas przyszłości.

Po kolacji obejrżeli *W biegu*, szaloną komedię o pościgu, której nieprawdopodobni bohaterowie odkrywają, że są klonami najgroźniejszych kryminalistów w historii, za którymi wysłano listy gończe. Można było wybrać wersję interaktywną, ale oboje byli zmęczeni i woleli obejrzeć film na siedząco.

Pod koniec Kim zasnęła i obudziła się dopiero po północy. Była w pokoju sama.

Projektor wyłączył się samoczynnie. Sal pewnie poszedł spać. Jakiś czas nie ruszała się z

miejsca, wpatrując się w Mleczną Drogę.

Jadalnię urządzili w centrum kontroli lotu. Pomieszczenie było małe i bardziej przytulne niż oficjalny pokój stołowy. Na jednej z konsol położyli serwetę i stwierdzili, że doskonale zastępuje stół.

Sal zmieniał widoki za oknem. Czasami Kim patrzyła na gwiazdne pola albo fantastyczne światy, a czasem na wodospady, górskie krajobrazy, a nawet na centrum Seabright.

– Jak naprawdę jest na zewnątrz? – spytała.

– Zupełnie czarno. – Oczywiście nie widać gwiazd. Światła statku wydają się słabsze.

– Czy ktoś kiedyś wychodził na zewnątrz w nadprzestrzeni?

– Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

W środowisku, które bardziej przypominało stan niż miejsce, ztracało się poczucie ruchu. Od Alnitaka dzieliło ich siedem tygodni. Taka podróż w towarzystwie jednej tylko osoby mogła się dłużyć, Nawet jeśli tą osobą był Sal.

Jednostki podróżujące w nadprzestrzeni były zupełnie odcięte od zewnętrznego świata.

Czujniki niczego nie rejestrowały, nie istniała łączność, brakowało wszelkich danych. Sal mógł opuścić nadprzestrzeń i zaspokoić ciekawość, sprawdzając czy misja na Taratubę wyruszyła zgodnie z planem. Sądził, że użyją *Maca*. Oboje zastanawiali się, czy informacje o kradzieży *Hammera* podano do publicznej wiadomości i czy Instytut próbował się z nimi skontaktować. Ale to zabrałoby sporo czasu. Trzeba by było zsynchronizować zegary, a Kim musiałaby potem wprowadzić korektę do programu wyliczającego dokładne współrzędne miejsca, gdzie mogli natrafić na fale radiowe. Woleli zrezygnować.

Za niezwykły aspekt nadprzestrzeni uważano to, że czas biegł tu zupełnie innym rytmem.

Podczas rejsów międzywymiarowych zawsze trzeba było później regulować zegary. Czasem się spóźniały, czasem spieszyły. Nikt nie wiedział, dlaczego się tak działo, ale na szczęście różnica nigdy nie przekraczała ułamka procentu i dlatego nie miała wpływu na nawigację.

Było to bardzo ważne, ponieważ podczas lotów w nadprzestrzeni piloci mogli polegać wyłącznie na wyliczeniach opartych o kierunek i prędkość, z jaką jednostki się poruszały.

Kim i Sal szybko wpadli w rutynę. Śniadanie jedli zaraz po przebudzeniu, a pozostałe posiłki w regularnych odstępach czasu, kończąc przekąską późnym wieczorem. Kim rankami czytała. Zakres jej lektur był ogromny. Znalazły się wśród nich biografie polityków i naukowców. Pochłonęła także dwie klasyczne powieści, do których chciała się zabrać jeszcze na studiach: *Mijając Pluton* Blackmana, opowieść o zmianach w kulturze, wynikłych z penetracji odległych układów planetarnych i *Wąskie horyzonty* Runningwatera, historię schyłku i upadku zorganizowanych form religii. Do tego dorzuciła kilka opowiadań i esejów.

Poza tym czytała mnóstwo książek z dziedziny, którą studiowała.

Po lunchu, w pierwszych dniach lotu często grywali w szachy, ale Sal zawsze wygrywał, więc zarzucili to i wybrali pokera z trzema lub czterema wirtualnymi przeciwnikami. Brali też udział w wirtualnych seminariach z Juliuszem Cezarem, Isaakiem Newtonem, Mikelem Kashvadym oraz innymi osobistościami z klasycznej historii. Do najświetniejszych momentów pierwszych tygodni wyprawy zaliczyli oglądanie tego, jak Henry Mencken i Martin Luther przekrzykują siebie nawzajem.

Szóstego dnia wypróbowali interaktywną wersję powieści o Weronice King. Wybrali „Śmiejącą się dzinkę”. Kim zasmakowała w przygodach panny King, ponieważ nie były zwykłymi

detektywistycznymi powieściami, w których poszukuje się sprawcy. Sztuka polegała na rozwiązywaniu zagadek, z którymi czasem wiązała się zbrodnia. Ofiara ginęła zwykle w zamkniętym pomieszczeniu albo podczas snu, pilnowana przez automatyczny system bezpieczeństwa, który nie zarejestrował żadnego intruza. W „Śmiejącej się dżince”

pewien archeolog poświęcał życie poszukiwaniu grobowca Makariosa Hunta, numiańskiego dyktatora i zbrodniarza z drugiego stulecia. Gdy go odnalazł, ponownie zasypał wejście i nikomu nie chciał zdradzić ani gdzie grobowiec się znajduje, ani co zawiera.

Historia tak bardzo im się spodobała, że następnego wieczoru spróbowali „Molekularnego Boga”, opowieść o fizyku, który wszedł w posiadanie zaginionych pamiątek Embry’ego Sickela, twórcy teorii działania silników skokowych. Ów fizyk, mając tak cenny, historyczny dokument, spalił go, a sam skoczył z siódmego piętra.

W obu opowieściach detektywi, grani przez Kim i Sala, mieli do dyspozycji świadków i dokumenty. Oboje chętnie wcielali się w coraz inne postacie. Kim szczególnie upodobała sobie olbrzymiego ochroniarza Archimedes Smitha.

Wiele czasu spędzali w wirtualnie stworzonych otoczeniach. Kim wolała wymyślne galerie sztuki, miejsca, które nigdy nie istniały, gdzie kolory i obrazy układały się w impresjonistyczne wzory, a dryfujące w powietrzu fontanny rozpryskiwały namacalne światło na tle lazurowego nieba. Sal był bardziej konserwatywny. Lubił morskie i górskie krajobrazy, a szczególnie upodobał sobie Egipt. Najczęściej wybierał piramidy i wielką świątynię z Doliny Królów. Czasem budowlę przedstawiał jako ruiny, a czasem tak, jak wyglądała w okresie największej świetności.

Żadne z nich nie szukało samotności, a ponieważ Sal tracił humor w otoczeniu abstrakcji, Kim w końcu się poddała i zaczęła wybierać bardziej zwyczajne miejsca.

Miała mnóstwo czasu na przemyślenia i wiele godzin poświęcała na udowadnianie samej sobie, że postąpiła słusznie. Niepokoiła się o Sala. Bardzo się bała, by przez nią nie miał kłopotów.

Miała u niego ogromny dług. Zawsze pomagał jej w najtrudniejszych chwilach, także wtedy, gdy straciła jedyne go mężczyznę, którego – jak wówczas sądziła – kochała. Rzucił ją dla księgowej zostawiając list, w którym życzył Kim, aby ułożyła sobie życie. Teraz wiedziała, że tamten związek i tak by nie przetrwał próby czasu, ale tamto doświadczenie nadal ją bolało, nawet po tylu latach. Sal i jego ówczesna żona, Ann, przyjęli ją wtedy do siebie.

Później, gdy Ann zdecydowała, że nie chce odnawiać przysięgi małżeńskiej, Kim była przy Salu, gdy tego potrzebował. Próbowwała nawet umawiać go z przyjaciółkami.

Łączyło ich wiele dobrych wspomnień i z dumą mówili, że byli sobie bliżsi niż większość kochanków. Razem świętowali, nawzajem się wspierali i cieszyli się zwycięstwami tej drugiej osoby. Gdy drużyna Kim zdobywała amatorskie mistrzostwo, Sal, którego sporty zespołowe śmiertelnie nudziły, przez cały czas siedział na trybunach.

Po odejściu Ann stali się sobie jeszcze bliżsi, ale istniała między nimi pewna granica, którą oboje szanowali.

Tak było, dopóki Kim nie zaczęła fantazjować o Salu. Pewnego wieczoru, w połowie trzeciego tygodnia w podróży, uznała, że nadszedł właściwy moment na wykonanie ruchu.

Akurat przypadała jej kolej na wybór wieczornych rozrywek. Zdecydowała się na *Kruka*, historyczny romans z drugiego stulecia Equatorii, w którym zawiodły prawo, porządek i cywilizacja. Kruk był czarnym klejnotem, reliktem nieznannej i prawdopodobnie obcej technologii. Dostał się w ręce Clei, młodej kobiety, której przypadło zadanie przeniesienia go przez wiele niebezpieczeństw i

oddania prawowitemu właścicielowi. Gonili za nią wszelkiego rodzaju piraci, łotry, skorumpowani przedstawiciele władz i najstraszniejszy ze wszystkich zbójów, Aranka.

Program pozwalał na selekcję poziomu nagości. Kim wybrała skromny. Gdy wszystko było już gotowe, a na stole czekały drinki i przekąski, włączyła projektor.

Clea oczywiście wyglądała tak, jak Kim. *Była* nią.

Dziewczyna właśnie wynajęła flyera i przygotowuje się do ostatniego odcinka podróży przez dżunglę do domu, gdy spośród drzew chwajnie wybiega ranny mężczyzna, któremu po piętach depcze cała banda. Ścigający mają broń i próbują trafić uciekiniera, który na widok Clei rzuca się w jej kierunku. Dziewczyna jest jego ostatnią nadzieją.

Clea przez chwilę się waha, po czym otwiera właz. Mężczyzna wskakuje na pokład, umykając przed laserowym deszczem. Flyer szarpie się niebezpiecznie, ale unosi się w powietrze.

Nieznajomy mocno krwawi.

Clea bada go, ale od razu widzi, że mężczyzna umiera. Robi dla niego, co może.

Tymczasem w pogoń za nimi wyrusza inny flyer. W widowiskowej scenie, dziewczyna zwabia intruzów do tunelu, gdzie wpadają pod jadący z przeciwka pociąg. Niestety, jej pojazd także ulega uszkodzeniu i Clea musi awaryjnie lądować.

– Co się stało? – pyta pasażera, gdy są już na ziemi. – *Czego oni chcieli?*

Nieznajomy wyjmuje Kruka. Kilka minut później już nie żyje. Clea dostrzega jakiś ruch w otaczającym ją lesie. Ukrywa klejnot pod siedzeniem. Zza drzew wychodzą Nomadowie, którzy biorą ją w niewolę.

Chcą ją sprzedać. Clea próbuje wkraść się w łaski barbarzyńców, wykonując dla nich taniec z pochodniami.

Właśnie ze względu na tę scenę Kim wybrała *Kruka*. Widz nie może się dokładnie przyjrzeć tancerce. Jej taniec to blask ognia i cienie, tempo i bicie bębna. Namiętność i pokusa.

Kim z satysfakcją i lekkim zdenerwowaniem patrzyła, jak jej sobowtór wił się i wirował.

Bynajmniej nie wyglądało to subtelnie. DNA Izabeli kiedyś otworzyło Kolumbowi drogę do Ameryki. Teraz DNA Kim otwierało Salowi drogę do niej. Jej wargi ułożyły się w uśmiech.

Niezmiennie kobieca, nieważne – prawdziwa czy wirtualna, cywilizowana czy barbarzyńska.

Ta gra nigdy się nie zmieniała.

Sal wpatrywał się w obraz. Na Kim nie spojrział ani razu.

Oczywiście wiedział, co się działo i prowadził własną grę, udając że scenariusz go średnio bawi. Kim widziała jednak napięcie na jego twarzy.

W tej chwili zupełnie zatraciła wątek opowieści. Cały świat – dziwne, że myślała o tym właśnie w takich kategoriach, skoro ich świat ograniczał się do wnętrza *Hammersa* – mieścił się w oczach Sala, zmrużonych, patrzących prosto przed siebie i przez cały czas świadomych jej obecności.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł – powiedział w końcu, nadal unikając jej wzroku.

Milczała przez prawie minutę. Wyglądali tak, jakby zastygli oświetleni migotliwym blaskiem projektora WR.

– W porządku – powiedziała wreszcie. – Jak chcesz.

Sal dotknął pilota i zgasił projektor. Ciemność w pokoju rozjaśniały tylko lampki bezpieczeństwa rozmieszczone w ścianach przy podłodze. Żadne z nich się nie poruszyło.

– Kim. – Jego głos był niski i miała wrażenie, że dochodził z bardzo daleka. – Myślę, że cię kocham.

Wreszcie powiedział to głośno. Podniosła się z fotela i stanęła przed nim. Oplotła ramionami jego szyję i przyciągnęła go do siebie.

– Zawsze cię kochałem – powiedział.

– Wiem. – Właśnie dlatego ta chwila wydała się jej wyjątkowo straszna i zarazem radosna.

Pociągnął ją w dół, ku sobie. Ich wargi otarły się lekko o siebie, cofnęły się, a po chwili spotkały się ponownie.

– To się nie miało stać – powiedziała Kim.

Czuła bicie jego serca. A może to było jej własne. Nie potrafiła ich rozróżnić.

Poczuła gorąco policzka Sala, przylgnęła do niego, poddając się namiętności chwili.

Poczuła, jak drgnął. Mimo to, nadal był niepewny.

– Wszystko w porządku, Sal – powiedziała.

Zwlekał, hamowany przyzwyczajeniami ostatnich dziesięciu lat. Odsunął się trochę i spojrzał na nią.

– Nie jestem pewien – westchnął.

– To bądź. – Wzięła jego dłoń i położyła ją na swojej piersi.

Koje nie były przenośne ani na tyle duże, by pomieścić dwie osoby. Przez pierwsze kilka nocy, które spędzili spleceni ze sobą na podłodze pokoju rekreacyjnego, po zaspokojeniu namiętności wracali każde do swojej kabiny. W *Hammerze* nie przewidziano miejsca dla kochanków. Kim taki układ zupełnie nie odpowiadał. Salowi też. Zdjął materace z dwóch łóżek, uzupełnił je poduszkami i ulokował wszystko w trzeciej kabine, którą zamienili we wspólną sypialnię. To zdało egzamin.

Jak się należało spodziewać, morale załogi znacznie wzrosło.

Salowi przypadkiem wymknęła się jakaś uwaga o początku podróży. Potem nie wytrzymał krzyżowego ognia pytań Kim i przyznał, że według niego, przez pierwszy tydzień się bała. Po namyśle przyznała, że miał rację. Pomimo jego obecności czuła się wówczas osamotniona, bo tylko ona upierała się nie rezygnować z wysiłków i wierzyła, że warto narazić kariery ich obojga. Gdyby niczego nie znaleźli, odpowiedzialność spoczęłaby na niej.

A w dodatku Salowi wyrwało się wtedy, że może byłoby lepiej, gdyby misja się nie powiodła.

Teraz przynajmniej mogła liczyć na jego poparcie.

Zaczęła uważać te dni za najszcześniejsze w swoim życiu. Pod koniec czwartego tygodnia nie miała pojęcia, jak mogła tak długo na niego czekać.

Trzydziestego drugiego dnia podróży, o północy, 30 lutego, miała wybuchnąć druga nowa.

– Jeśli dopisze nam szczęście, projekt Latarnia stanie się zbędny, zanim wysadzą Ozmę – powiedziała. Ozma miała być ostatnią z gwiazd w tej serii.

Pomimo euforii, jaka towarzyszyła zmianie relacji z Salem, zaczynała odczuwać rozdrażnienie spowodowane odcięciem od zewnętrznego świata.

– Nie chodzi mi tylko o dostęp do wiadomości – wyjaśniła. – Czuję się jak w kokonie.

– Może wystarczy więcej świec i muzyki – stwierdził Sal. – Pewnie z tego samego powodu pasażerowie mają halucynacje na liniowcach. Tam jest to mniej dokuczliwe, bo masz obok jakiś tysiąc ludzi. Są kasyna, spotkania i inne atrakcje, ale nawet tam poczucie skrajnej samotności nie daje człowiekowi spokoju. Tutaj jesteśmy tylko we dwoje.

– Pamiętam, że kiedyś czytałam opowiadanie o kobiecie, która tkwiła sama na jakiejś planecie przez trzy miesiące, zanim nadeszła pomoc. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by zostać przy zdrowych zmysłach, ale wiedziała, że jest na planecie sama.

Sal skinął głową.

– Ty też to czujesz? – spytała go.

– Pewnie. Na statku odpowiada ci echo. Jak w starym domu. Ale posłuchaj, jeśli zaczyna ci to dokuczać, możemy przeskoczyć w normalną przestrzeń i pogadać z kimś. Mogłabyś spytać Phila Agostino o zdrowie.

– Ile by to zajęło? Mam na myśli rozmowę z kimś z Instytutu?

– Na przekaz transmisji w obie strony trzeba czekać kilka dni.

– To chyba nie warto, co?

– Warto, jeśli tego właśnie potrzebujesz.

– Nie. Lepiej lećmy dalej.

Tej nocy, gdy wybiła północ, wzniesli toast za projekt Latarnia. Drinkami napełnili kryształowe kieliszki, które Kim zabrała ze sobą. Sal wyraził wielką nadzieję, że kiedy światło wybuchu nowych dotrze po wielu stuleciach do Greenway, mieszkańcy planety nadal będą pamiętali Kim Brandywine.

Zarumieniła się.

– Dlaczego mnie?

– Światło nowej przypomniałoby im czasy, gdy ludzie wierzyli, że są jedynymi inteligentnymi istotami w kosmosie. Zanim Kim Brandywine otworzyła drzwi wszechświata.

– Za to mogę wypić – powiedziała, napełniając ponownie oba kieliszki.

– Jest jeszcze jeden ważniejszy powód, który powinniśmy uczcić toastem.

Uśmiechnęła się, odstawiła kieliszek, pocałowała go i przysunęła się bliżej z zadowoleniem dostrzegając, jak w jego oczach zapala się światło.

– Co takiego jest ważniejsze niż to?

– Kim, wiem, że znaleźliśmy się w wyjątkowej sytuacji. Wolałbym nie wyobrażać sobie za wiele, ale pragnę ci powiedzieć, że kiedy znajdziemy się już w domu albo gdziekolwiek indziej, nie chcę, żeby wszystko było tak, jak dawniej.

Właśnie tej chwili się obawiała i zarazem na nią czekała.

– Chyba nie powinniśmy podejmować takich decyzji tutaj – powiedziała.

– Dlaczego? Chcesz powiedzieć, że nie zależy ci na tym?

Siedzieli na swoim zaimprovizowanym łóżku, oboje odziani tylko w bieliznę. Projektor wyświetlał film o przygodach Nelsona. Wielkie wojenne trójmasztowce strzelały z armat.

Wyłączyli dźwięk i zmniejszyli obraz, tak że statki unosiły się pośrodku pokoju.

– Nie, wcale nie. Po prostu sędzę, że nie powinniśmy się spieszyć. – Zastanawiała się, dlaczego tak mówiła, choć czuła zupełnie co innego.

– W porządku – powiedział.

– Sal, dajmy temu na razie spokój. Cieszymy się tym, co mamy.

– Dobrze. – Wyglądał na rozczarowanego.

– Zastanów się chwilę. Jak dawno odeszła Ann?

– Siedem lat temu.

– I tak długo czekałeś, żeby wykonać pierwszy ruch? – Z zaskoczeniem odkryła w sobie gniew.

Skąd on się do diabła wziął?

Sal przez kilka chwil się nie odzywał. Potem przeprosił ją i wyszedł z pokoju.

Cholera. Kłótnia kochanków.

Nie zwlekali z tym długo.

Nigdy nie wiedzieliśmy kim naprawdę jesteśmy, dopóki nie usłyszeliśmy szeptu gwiazd.

Chang Won To, Umysł a Stworzenie, 404

Nigdy nie należy kłaść się do łóżka w złości.

Tej nocy spali razem jak we wszystkie noce, odkąd obejrzelili *Kruka*. Ale kochali się bez namiętności, z rezerwą, niepewnie. Można było powiedzieć, że *poprawnie*.

– Co ci jest? – spytała, kiedy skończyli i leżeli spokojnie obok siebie. Czują, że napięcie między nimi nie spadło.

– Nic.

– Nieprawda. Sal, nie chcę, żebyś się na mnie gniewał.

– Nie gniewam się.

Mogli ciągnąć taką rozmowę bez końca. Kim nigdy wcześniej nie widziała go w podobnym stanie. Pamiętała, że czasem się dąsał, obrażał albo traktował innych chłodno.

Tym razem chodziło o coś głębszego, o niechęć, której siła zdumiała ją i zraniła.

Być może on także żałował straconych lat, ale winą za to obarczał ją. Fakt, że tkwili zamknięci na statku niczego nie ułatwiał. Wszystko wydawało się zbyt przytłaczające. Czuli się za bardzo samotni.

Rankiem się pogodzili. Sal przeprosił ją i powiedział, że powinni poczekać i nie spieszyć się ze składaniem obietnic, których być może żadne z nich nie było gotowe dotrzymać.

Przez kolejne dni uzupełniali pozbawione namiętności wieczory o namiastkę pasji, wyświetlając romanse, w których ich sobowtóry rzucały się w wir egzotycznych przygód. Ale zawsze byli tylko we dwoje. Nie dopuszczali udziału nikogo z zewnątrz.

Punkt kulminacyjny pierwszego etapu wyprawy przypadł na późne popołudnie 7 marca, trzydziestego dziewiątego dnia wyprawy. Automatyczne systemy *Hammera* ostrzegły ich o rychłym przejściu w normalną przestrzeń. Oboje czekali w centrum kontroli lotu, pijąc kawę i z niecierpliwością czekając na początek polowania.

– *Pięć minut* – oznajmiła SI.

Kim zapięła pasy bezpieczeństwa.

– Godzina zero nadeszła – powiedział Sal. – Powodzenia.

Statek stale tętnił odgłosami automatów konserwujących, systemu podtrzymywania życia i działającego napędu, nawet kiedy był przełączony w stan oczekiwania. Kim szybko się do nich przyzwyczaiła i słyszała je jedynie wtedy, gdy celowo starała się odróżnić ich dźwięk albo gdy zmieniał się ich ton. Teraz, gdy zbliżali się do celu wyprawy – miejsca oddalonego o 27 tysięcy lat świetlnych od Alnitaka – silniki skokowe zaczęły zwiększać moc, wprawiając ściany pomieszczeń w lekkie drzenie.

Kim przymknęła powieki. Wyobrażała sobie, jak wraca do domu, pokazuje Agostino dowody na to, że doszło do kontaktu, zwołuje konferencję prasową i przyjmuje gratulacje napływające z całego świata. Myślała, że za tysiąc lat ludzie będą po cichu mówili o wyprawie *Hammera*.

Podejrzewała, że prawdziwym wyzwaniem okaże się doprowadzenie do drugiego spotkania.

Wszystko wyglądało bardzo obiecująco. Właśnie kapłała się w wyimaginowanej sławie, gdy silniki skokowe przejęły kontrolę nad statkiem i po chwili znaleźli się w normalnej przestrzeni.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Sal. Na głównym ekranie wyświetlił się widok z przednich kamer, przed nimi roilo się od gwiazd.

– Czas zabrać się do pracy – stwierdziła Kim. Ledwie mogła wytrzymać, tak bardzo się niecierpliwiła.

Sal wziął ją za rękę.

– Powinniśmy mieć jeszcze jakieś trzydzieści godzin zanim dotrze tu sygnał. Ale skoro nie możemy do końca wierzyć zegarom, wybierzmy się na jego poszukiwanie.

Konstelacje mają zwyczaj rozplýwać się w powietrzu, kiedy się do niech zbliży. Rzadko się zdarza, by gwiazdy, które obserwowane z powierzchni globu wydają się położone blisko siebie, leżały tak blisko w rzeczywistości. Gwiazdozbiór Oriona stanowił wyjątek. Jego trzy superjasne obiekty zachowywały taki sam układ względem siebie, tyle że tutaj, w odległości niecałych trzydziestu lat świetlnych, wydawały się oślepiające i całkowicie dominowały na nocnym niebie.

Mintaka leżała najbardziej na lewo. Oficjalnie nazywano ją Delta Orionus. Świeciła najslabiej z wszystkich trzech, 20 tysięcy razy silniej niż Słońce lub Helios. Miała przyćmionego towarzysza, z tej odległości niewidocznego, który okrążał ją w odległości około pół roku świetlnego.

Epsilon Orionus, środkową gwiazdę, zwano też po arabsku *Alnilam*, „pas pereł”. Świeciła dwa razy jaśniej niż Mintaka. Otaczała ją chmura nieregularnej mgławicy NGC 1990, przypominająca zachmurzone niebo, w którym odbijały się światła miast.

I wreszcie położona na wschodnim krańcu Zeta Orionus, *Alnitak*.

Obręcz.

Kim patrzyła, jak przesuwa się ona na środek monitora w miarę, jak *Hammer* zwracał się ku Alnitakowi, a także obłokom mgławicy Flame oraz mgławicy pyłowej IC434.

– Kurs na Alnitaka – poinformowała SI. – *Przyspieszamy do trzydziestu czterech kilometrów na sekundę.*

– Wspaniale, *Hamo* – powiedział Sal.

Zwykłe anteny statku wzięły namiar na olbrzymią gwiazdę. Pozostałe czujniki wysunęły się z tuneli w kadłubie i ustawiły wzdłuż jego centralnej osi.

– Niesamowite – powiedziała Kim.

– Co takiego?

– Zawsze wyobrażałam sobie kapitana statku pochylonego nad konsolami, wciskającego tajemnicze guziki, wprowadzającego poprawki, ciągle zajętego. A tymczasem mógłby on sobie tu siedzieć z dobrą książką i nikt nie zauważyłby różnicy.

– Mamy dobrych specjalistów od wizerunku publicznego. Może powinnaś się zastanowić nad pracą dla stowarzyszenia pilotów.

Silniki wyłączyły się i statek zaczął dryfować.

– *Przyspieszanie zakończone, Sal* – powiedziała SI.

– Dobrze *Hamo*. Uruchom WUNDZ.

Z podwójnego portu, dawniej mieszczącego sondy, wyskoczyła para zestawów łącznościowych. Jedenaście minut później wysłana została druga para, a po niej trzecia i następna, aż w końcu

otaczało ich szesnaście urzędzeń.

Kilka godzin trwało, zanim ustawiły się kręgiem w jednej płaszczyźnie, obracając się ku docelowej gwiazdzie. Potem zaczęły się pojedynczo otwierać. Przypominały wielkie, białe kwiaty.

Przez cały ten czas Kim wychodziła z centrum kontroli lotu tylko do łazienki albo żeby coś przekazać. Około jedenastej Hama powiadomiła ich, że system jest gotowy. Mieli teraz antenę, której średnica odpowiadała rozmiarem zewnętrznej orbicie najdalszego księżyca Greenway.

Sal uśmiechnął się do Kim.

– Chcesz sama wydać polecenie?

– O tak. Hamo, uruchom WUNDZ.

Mrugnęły światełka.

– *WUNDZ uruchomiony.*

Z głośników popłynął cichy szum zakłóceń.

Z prawej strony Kim włączył się dodatkowy monitor. System wyświetlił identyfikator i zasygnalizował, że działa.

– Program aktywnego przeszukiwania – powiedział Sal.

– *Włączony.* – Głośność szumów zmalała.

– Co teraz? – spytała Kim.

Sal spojrział na główny ekran, który przez cały czas pokazywał Alnitaka i powiększył obraz. Gwiazda przypominała teraz dysk.

– Czekamy.

Przełączyła odsłuch na słuchawki. Przez kilka minut nasłuchiwała. Pustkę wypełniały fale radiowe – kakofonia jęków, pomruków, szumów, słabnących pisków emitowanych przez gwiazdy, które znikają w czarnych dziurach, głośne tykanie pulsarów i syk zderzających się chmur wodorowych. WUNDZ miał za zadanie wychwycić każdy koherentny sygnał. Gdyby *Hammer* odebrał transmisję z *Huntera* (a może przypadkiem także z innego źródła), SI miała natychmiast włączyć alarm.

Sal nakazał Hamie wyłączyć dźwięk.

Kim rozważała możliwości wykorzystania takiego systemu. Być może, kiedyś ludzie mieli podróżować w odległe miejsca i odbierać tam słynne transmisje radiowe. Oczywiście musieliby się znaleźć bliżej domu. Tysiąc pięćset lat świetlnych od Greenway i tysiąc sześćset od Ziemi to za daleko. Żaden przekaz radiowy nie dotarłby aż tutaj. Zafascynowana myślała o tym, co zobaczyliby na Ziemi, gdyby mieli teleskop o tak ogromnym powiększeniu. Pewnie na macierzystym globie mniej więcej w tym czasie Henryk VI zasiadał na brytyjskim tronie, a Joanna d'Arc chodziła do szkoły.

Sal wstał z miejsca.

– Na razie nic więcej nie możemy zrobić. Chcesz trochę odpocząć?

Zdumiała się, że chciał wyjść w takiej chwili, choć wiedziała, że jeszcze sporo musiała czekać, aż prawdopodobieństwo złapania jakiegoś sygnału wzrośnie.

– Nie – odparła. – Wolę zostać.

Gdy dwie godziny później Sal przyniósł pokrojoną w plastry wołowinę i owoce, Kim nadal tkwiła w swoim fotelu.

Leżeli, nasłuchując dzwonka alarmu. Noc ciągnęła się bez końca. Wokół widzieli gwiazdy, całe

gromady gwiazd. Gdy dotarli na miejsce, Kim nagle straciła pewność siebie.

Czuła, że to głupie, że niepotrzebnie się przejmuje. Wielokrotnie sprawdzała wyliczenia; mieli odpowiedni sprzęt, a prawa fizyki bardzo precyzyjnie określały, w jaki sposób fale radiowe rozchodzą się w próżni. Ale z perspektywy człowieka wyprawa *Huntera* miała miejsce tak dawno temu. Poza tym prócz rysunków Kane'a i sfałszowanych dzienników pokładowych Kim nie miała żadnych dowodów.

Sal próbował podtrzymać ją na duchu, ale zdradził go ton. On sam całe życie spędził wśród międzygwiazdnych podróżników, którzy wierzyli, że kosmos należał wyłącznie do ludzkości.

Większość dnia spędzili pochyleni nad przyrządami pomiarowymi. Kim wsłuchiwała się w kosmiczne szумы i patrzyła na zegarek. Zrezygnowała z lunchu. Próbowała czytać, ale na próżno otwierała książkę za książką. Sal zajął się kalibrowaniem instrumentów, które w ogóle tego nie wymagały.

Wieczorem zjedli lekką kolację i nastavili następną część przygód panny King. Tylko do oglądania, bez własnego udziału, ale Kim nie mogła się skupić. Nie położyli się spać. O

północy Kim leżała na kanapie, przesłaniając przedramieniem oczy i wsłuchując się w ciszę.

– To może potrwać jeszcze kilka dni – powiedział Sal. – Może nawet tydzień. Nie możemy przecież aż tak precyzyjnie określić naszego położenia.

Monitory świeciły pustką. Sal chciał coś jeszcze dodać, kiedy rozległ się głos Hamy.

– *Mamy namiar.*

Kim natychmiast szeroko otworzyła oczy.

– *Czas odbioru transmisji 24:03. Brak wizji. Tylko audio. Sygnał na standardowej częstotliwości.*

– Odtwórz go – powiedział Sal. Była 24:06. – Od początku.

Kim usiadła.

Z głośników rozległ się pojedynczy, krótki ton.

Chwilę później usłyszeli dwa dźwięki.

– To *Hunter*? – spytał Sal.

Trzy dźwięki.

Cztery.

– *Nie ma pewności co do źródła pochodzenia. Sygnał jest sztuczny, prawdopodobieństwo ponad 99 procent.*

Hama miała dane *Huntera* w bazie. Przy odpowiednio długim przekazie mogła ustalić tożsamość nadawcy. Potrzebowała tylko czasu.

– To nie mógł być nikt inny – powiedziała Kim podniecona. – Mamy ich.

Intensywnie nasłuchiwała dalszej części, ale głośniki milczały.

– To wszystko? – zapytał Sal.

– *Tak. Sygnał nadszedł przed czterema minutami*

– Jeśli odbierzesz coś jeszcze, natychmiast dawaj to na głośniki.

– Odliczyli do czterech – zauważyła Kim.

Po chwili znowu usłyszeli sygnał.

Jeden. Dwa.

– O co tu do diabła chodzi? – zdziwił się Sal.

Trzy.

– Coś zobaczyli.

Cztery.

Kim miała ochotę krzyczeć z radości.

– To coś, z czym nie mogą rozmawiać. Próbują się w ten sposób przywitać.

Transmisja powtórzyła się raz jeszcze. Jeden...

– Co to za powitanie?

– Jedyne wspólne język, jaki przyszedł im do głowy. Jeśli to naprawdę obcy, może odpowiedzieć licząc do pięciu. – Zaciśnęła dłonie i zaczęła się modlić do mocy, które rządziły takimi sprawami. Potem rzuciła się w objęcia Sala. – Sal, to się dzieje naprawdę.

– Może chwilę poczekajmy, zanim zaczniemy świętować...

Sygnal się urwał. Kim puściła Sala, złączyła dłonie i czekała.

– Jeśli rzeczywiście kogoś zobaczyli, usłyszymy tylko jedną stronę rozmowy. – Ich rozmówca na pewno przekazywał sygnał bezpośrednio, a nie na szerokim paśmie we wszystkich kierunkach, tak jak Tripley.

– Myślisz, że ktoś im odpowiada? – spytał Sal.

Sygnal rozległ się ponownie. Ten sam.

– Nie. Jeszcze nie. – Jej serce waliło z emocji. Sekwencja się skończyła i została powtórzona raz jeszcze.

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery.

– *Zakończono analizę charakterystyki sygnału* – poinformowała SI. – *Pochodzi z Huntera.*

Kim wyobraziła sobie scenę: gdzieś w pobliżu Alnitaka statek Tripleya staje, aby dokonać napraw... stanął, nie staje. W takich chwilach trudno było oddzielić przeszłość od teraźniejszości. Właśnie wtedy musieli coś znaleźć. Wybrzuszoną łzę. Żółwią skorupę.

Valianta.

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery.

– No dalej – powiedziała Kim błagalnie.

Sal nie spuszczał z niej oczu.

– Myślisz, że wciąż jeszcze nie otrzymali odpowiedzi?

– Tak. Jak tylko drugi statek się odezwie, zaczną nadawać co innego.

– Na przykład co?

– Nie mam pojęcia. Cokolwiek...

Jeden...

– Dlaczego obcy nie odpowiadają? – denerwowała się Kim.

– Może nie wiedzą jak. – Salowi nadal przeszłość mieszała się z teraźniejszością. W pewnym sensie cofnęli się w czasie.

– Muszą. Jak mogliby tego nie wiedzieć? – Modliła się o przekaz na wizji. Gdyby to ona była na pokładzie *Huntera*, zrobiłaby zdjęcie *Valianta* i wysłałaby je drugiemu statkowi, zachęcając, aby

postąpił tak samo. Miły, przyjazny gest. A przy okazji w transmisji znalazłyby się obrazy. Wówczas nie miałyby wątpliwości, co się wtedy stało.

Nadal odbierali sygnał odliczania do czterech. Przerwy między poszczególnymi dźwiękami były nierówne, co oznaczało, że nadawano je ręcznie. Całkowity przekaz trwał mniej więcej osiem sekund. Sekwencje pojawiały się w niemal minutowych odstępach.

– Odbieramy na wszystkich kanałach? – spytała Kim. Mogło się tak zdarzyć, że obcy przypadkiem ustawili antenę akurat w dobrą stronę. Wtedy Hama by ich usłyszała.

– Tak. Sprawdzamy wszystkie. Ale nie spodziewaj się niewiadomo czego.

Właśnie trwała przerwa między sygnałami. Kim próbowała – sobie wyobrazić, jak czuła się załoga *Huntera*. Co widzieli na ekranach? Co znaleźli? Gdyby mogła, własnoręcznie udusiłaby Markisa Kane'a. Dlaczego nie przyszło im do głowy, że takie wydarzenie zainteresuje przyszłe pokolenia, które zechcą wysłuchać pierwszych transmisji? Nie pomyśleli o zarejestrowaniu ich dla potomnych?

Sal spojrzął na licznik.

– Spóźniają się.

Cisza się przeciągała. Minęło pięć minut. Siedem.

– Może zrezygnowali – powiedział.

– Nie. – To niemożliwe. Nie rezygnuje się tak łatwo, jeśli przed sobą ma się obcy statek. – Nie zrobiliby tego.

– A jeśli obcy odlecieli?

Poczuła skurcz żołądka. Takiej możliwości nigdy nie brała pod uwagę. Zakładała, że podróżujące w przestrzeni kosmicznej obce istoty okażą w takiej sytuacji zainteresowanie równe jej ciekawości. W myślach nazwała to Błędem Brandywine.

Ale taki koniec spotkania nie tłumaczyłby późniejszych wydarzeń. Nie, to nie mogło być takie proste.

– Może wypróbują coś innego? – powiedziała. – Coś, czego my nie odbieramy.

– Na przykład?

– Gdybym ja nie otrzymała odpowiedzi na sygnał radiowy, zaczęłabym sygnalizować światłami. Niewykluczone, że w ten sposób nawiązano łączność. Wyobraź sobie, że w tej chwili obie strony szykują się do wymiany upominków i przyrzeczeń o wzajemnej przyjaźni.

Może otworzyli luki i machają do siebie. WUNDZ niczego takiego nie wyłapie.

– Ostatnią możliwość od razu skreśl. Nikt nie miałby czasu przebrać się w kombinezon. – Sal spojrzął jej w oczy i zmarszczył brwi. – Nic ci nie jest.

– Jeśli to potrwa dłużej, stanę się emocjonalnym wrakiem. – Kim z uporem wpatrywała się w obraz Alnitaka, tak jakby siłą woli mogła wydobyć z gwiazdy tajemnicę tamtych wydarzeń.

Obrazy *Huntera* i *obcych* kryły się gdzieś w jej blasku. – Mam do ciebie pytanie.

– Słucham.

– W jaki sposób można sprawdzić, czy na obcym statku są jakieś formy życia? Na przykład gdybyśmy my coś napotkali. Mamy czujniki, które stwierdziłyby czy ktoś jest na pokładzie?

– Nie. Każdy statek podróżujący w rejon Alnitaka musi posiadać silne osłony przed promieniowaniem. *Hunter* nie mógł wiedzieć czy obcy statek miał załogę, czy też pilotował go

automat. Jedynym sposobem było nawiązanie kontaktu. A nawet wtedy nie mieliby pewności, bo mogli przecież mieć do czynienia z SI. – Sal przez chwilę się zastanawiał. – Bez fizycznego spotkania i uścisku dłoni... – uśmiechnął się – albo czegoś innego zamiast dłoni, wszystko opiera się tylko na przypuszczeniach.

W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajdowała. *Hunter* znowu, nadawał. *Pip. Pip. Pip.* Tym razem według schematu jeden–trzy–pięć–siedem. Czekali aż obcy statek odpowie odliczając do dziewięciu. Zmienili sekwencję, czy to znaczyło, że otrzymali odpowiedź?

Zasnęła na kanapie. Sal przykrył ją pledem.

– To już trwa od jakichś dwóch godzin – powiedział.

– Tak?

– W połowie transmisji zrobili przerwę. Trwała czternaście minut. Może znaleźli się za czymś. Na przykład za tym gazowym olbrzymem, o którym mówiłaś.

Minęła już czwarta rano. Cztery godziny odkąd odebrali pierwszy sygnał *Huntera*.

– Chcesz iść już spać? – spytała.

– Aha. Chyba mam już dość jak na jedną noc. A ty?

– Ja zostaję.

– Dobrze. – Wstał, pochylił się nad nią i pocałował ją lekko. – Nigdy nie przypuszczałem, że mogli naprawdę na coś trafić, ale zostali zignorowani, *Hej, znaleźliśmy prawdziwych kosmitów, ale nie chcieli z nami gadać. Dokąd odlecieli? Nie mamy pojęcia.*

– Mam nadzieję, że my osiągniemy więcej. – Spojrzała na monitor, który błyskał nową serią odliczania. – Już widzę siebie siedzącą w biurze Agostino z nagraniem, na którym nie ma nic prócz sygnałów *Huntera*.

Sal przystanął w przejściu.

– Jeśli nie będziemy mieli nic więcej, możemy przynajmniej udowodnić, że Karne sfałszował dziennik pokładowy. Pomijając cel tych transmisji, wiemy, że żadna z nich nie została w dzienniku zarejestrowana. – Zaczął rozpinąć koszulę. – Zawołaj mnie, jeśli coś się stanie...

Gdy wyszedł, Kim ziewnęła i otuliła się na powrót pledem, słuchając radiowych dźwięków. Jeden, trzy, pięć, siedem. I tak w kółko.

Już nie chciało się jej spać. Wstała i naląła sobie kawy. W kontroli lotów zawsze było trochę chłodniej niż w innych pomieszczeniach. System podtrzymywania miał jakąś usterkę.

– No dalej *Valiancie*, odpowiedz.

Wypiła kawę. Załoga *Huntera* nadal nadawała.

Namiar radiowego sygnału wskazywał prosto na Alnitaka. Tak jak przypuszczała, musieli wyjść z nadprzestrzeni gdzieś w pobliżu gwiazdy, pewnie w sąsiedztwie gazowego olbrzyma.

I tam spotkali innego turystę.

Nadawany sygnał uległ zmianie.

Jeden. Dwa. Trzy. *Pięć.*

Pięć?

Potem *osiem.*

Kim włączyła interkom.

– Słyszę – odezwał się Sal ze swojej kabiny. – Co to oznacza?

System umilkł.

– To nowa sekwencja – powiedziała Kim. – Trochę bardziej skomplikowana. Sal, myślę, że otrzymali odpowiedź.

– Skąd wiesz?

– A po co mieliby odstępować od prostych serii? – Wyobrażała sobie scenę na pokładzie *Huntera*: podskoki, klepanie się po plecach, wzajemne gratulacje.

– Jaka jest następna liczba?

– Trzynaście – powiedziała. – To się naprawdę dzieje, właśnie teraz słuchają trzynastu dźwięków z drugiego statku.

– Przydałyby się jakieś bardziej konkretne podstawy do spekulacji. – Sal wrócił w piżamie do nawigacyjnej i wziął Kim za rękę. – Mam nadzieję, że się nie mylisz. – Przytulił ją.

Na pewno miała rację. Była o tym przekonana. Ogarnęła ją euforia.

Sal nie wypuszczając jej z objęć, zaczął kołysać nią w tył i w przód. Czekali na następną serię.

Kiedy się zaczęła, naliczyli jedenaście dźwięków. Tylko tyle: jedenaście.

– O co chodzi tym razem? – spytał Sal.

– Kto wie? Jedenaście to liczba pierwsza, ale powinna to być odpowiedź na coś, co wysłał tamten statek.

– Czyli na co?

– Jeden, dwa, trzy, pięć, siedem. Same liczby pierwsze. Mogli też nadać pierwsze pięć liczb nieparzystych.

Sal pokręcił głową i usiadł w fotelu.

– Kim, tak naprawdę nic tu nie mamy.

– A czego się spodziewałeś? – zapytała, odsuwając się od niego. – Wiedzieliśmy, że to będzie tylko jedna strona rozmowy. Bez obrazu. O więcej nie mogliśmy prosić.

System ponownie zamilkł. Czekali. Cisza trwała już ponad piętnaście minut.

– Może zastanawiają się, co dalej? – zasugerowała.

– A ty co byś wymyśliła?

– Spotkanie twarzą w twarz. Chciałabym przejść na wizję. Gdyby to także poszło nieźle, podjęłabym próbę osobistego kontaktu. Wysłałabym lądownik.

Sal skinął głową.

– Sądziś, że mógłby się pojawić jakiś problem przy wymianie transmisji wizualnych?

Zastanowiła się przez moment.

– Tak.

– Na przykład jaki?

– Co by było, gdyby obcy wyglądali obrzydliwie i zorientowali się, jak reagujemy na ich widok? Albo gdyby to nasz wygląd przyprawił ich o mdłości? No, ale kiedyś trzeba podjąć takie ryzyko.

Przerwała im SI.

– *Odbieramy rejestrację wideo* – oznajmiła słodkim głosem.

Sal spojrzał na Kim. Oczy obojga zdradzały całą gamę emocji.

Przełączył odbiór sygnału na główny ekran.

– *Poprawiam jakość.*

– Pokaż, co masz – powiedział Sal.

Zobaczyli logo *Huntera*, obcy statek i otoczoną pierścieniami planetę. Po chwili obraz się rozplątał, a pojawiła się Emily! Siedziała w fotelu. Kim poczuła ukłucie smutku. Jej siostra wyglądała tak młodo. Promieniowała. Włosy ściągnęła do tyłu, miała na sobie luźną, białą koszulę i uśmiechała się wesoło.

– *Wiemy, że nie rozumiecie naszych słów, ale (zakłócenia) chcieliśmy was przywitać.*

Pozdrowienia z Greenway. Czy możemy wam (zakłócenia)?

Serce Kim waliło jak oszalałe.

Jeden po drugim, członkowie załogi *Huntera* stawali przed kamerą i przedstawiali się.

Tripley wyrzucił z siebie cały potok słów. Pomimo fizycznego podobieństwa do Bentona, bardzo się od niego różnił. Wydawał się bardziej wrażliwy, pełen entuzjazmu i życia.

Yoshi była delikatną, cudowną dziewczyną o błyszczących oczach i czarującym uśmiechu. Życzyła nowym przyjaciom szczęścia i wyraziła nadzieję, że właśnie zaczyna się nowa era dla obu gatunków.

– Wreszcie coś mamy – powiedział Sal.

Kim pokręciła głową, zastanawiając się, jak załoga drugiego statku zrozumiała przekaz wizualny. O ile oczywiście go odebrała. Jakie było prawdopodobieństwo, że oba gatunki dysponowały na tyle kompatybilnym sprzętem, by obcy mogli odbierać wizję?

– To dość prosta technologia – stwierdził Sal. – Powiedziałbym, że niemal na pewno ją znają.

Wreszcie na ekranie pojawił się Kane. Nie silił się na wielkie słowa, ale mówił uprzejmie.

Powiedział, że cieszy się mogąc powitać załogę drugiego statku. Słyszac to, Kim po raz drugi zaczęła skakać z radości.

– Gratulacje – powiedział Sal.

Kane zapytał czy *Hunter* mógł w czymś pomóc. On jeden z całej czwórki mówił normalnie, bez sztucznej nadętości.

Patrzył z ekranu wprost na nich przez mniej więcej minutę, a potem znikł. Na monitorze ponownie pojawił się znak *Huntera*, a po chwili obraz się wyłączył.

– *Koniec transmisji* – poinformowała SI.

Kim nie mogła usiedzieć w miejscu. Była zbyt podekscytowana.

– Dałabym wszystko, żeby zobaczyć jak odpowiedzieli.

– Znajdź prawdziwy dziennik pokładowy – powiedział Sal.

Skinęła głową.

– Zajmiemy się tym po powrocie. To nasze pierwsze zadanie.

Sal stanął z założonymi rękami i zapatrzył się na ekran.

– Mam tylko nadzieję, że Kane go nie zniszczył.

– Na pewno nie. To najważniejszy moment w historii ludzkości. Niemożliwe, żeby zniszczył jego ślady. Nie. Musiał go gdzieś ukryć.

– Ale gdzie? I dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Dowiemy się.

Na następną transmisję czekali bardzo długo.

– Wiesz – odezwał się Sal – jedno z pytań Kane'a nie daje mi spokoju. Jak myślisz, dlaczego spytał czy *Hunter* mógłby pomóc obcym? Może ich statek był uszkodzony? Mogli mieć kłopoty.

– Możliwe. Cholerny Kane. Gdyby nie on, nie musielibyśmy się bawić w te zgadywanki.

– Chyba powinnaś mu okazać więcej szacunku.

– Niby dlaczego?

– Gdyby zrobił wszystko jak należało, cała ta sprawa znalazłaby swoje rozwiązanie dwadzieścia siedem lat temu, a ty nigdy byś tu nie trafiła. Tymczasem masz okazję rozwiązać interesującą zagadkę i zyskać nieśmiertelność. Bądź mu wdzięczna.

– *Przekaz wizualny* – oznajmiła SI.

Na ekranie pojawiła się Emily.

– *Witam ponownie* – powiedziała. – *Czy chcielibyście wejść do nas na pokład?*

– Co się dzieje? – zdziwił się Sal. – Chyba nie spodziewają się, że wśród obcych jest przypadkiem ktoś, kto mówi po angielsku, co?

– Nie chodzi o słowa – powiedziała Kim. Ważny jest ton. Przekaz niewerbalny. Ale i tak sądzę, że zupełnie obca kultura nie potrafiłaby zrozumieć naszych gestów.

Obraz podzielił się i obok Emily zmaterializował się *Hunter*. Unosił się na tle rzeki gwiazd. W tle lśniący pierścień planety w kolorze ciemnej pomarańczy łukiem przecinał niebo. Otwarto luk ładowni i zapalono światła rozjaśniające wnętrze. Drugi obraz z Emily zamrugał, zgasł i po chwili pojawiła się Yoshi. Wskazała załodze drugiego statku otwarty właz, tak że obcy musieli zrozumieć jej gest.

– Nieźle – oceniła Kim.

Sal zacisnął usta.

– Ja tak nie sądzę.

– Dlaczego?

– Gdybyśmy patrzyli z odległości powiedzmy kilkuset metrów pustej przestrzeni na statek, którym nie kierowali *ludzie*, tylko Bóg jeden wie co, i oni otworzyliby drzwi i zaprosili

mnie do środka... – Wyciągnął ręce ku górze. – Raczej bym nie skorzystał.

– Sal. – Kim udała oburzenie. – A pogoń za przygodą?

Hunter powtórzył transmisję od początku.

I jeszcze raz.

– Obcy długo się zastanawiają – stwierdziła Kim.

Sal przytaknął.

– Tripley za bardzo ciągnie szczęście za ogon. Powinien trochę odpuścić. Złożyć propozycję raz i zostawić ich w spokoju.

Zza kadłuba *Huntera* widoczny był fragment gwieździstego nieba.

– Sal, jak sądzisz, w jaki sposób zrobili te zdjęcia?

Przez chwilę się zastanawiał.

– Najłatwiej byłoby użyć obrazu z jednej z zewnętrznych kamer. – Spojrzał na gwiazdne pole

połyskujące za oknami statku. – A potem nałożyć na to obraz *Huntera*, tak jak zrobili to z Yoshi.

– Czyli, że tak właśnie w tamtą noc wyglądały gwiazdy widziane z ich pozycji?

– Chyba tak. Na pewno.

– I mógłbyś ustalić, co widzieli od frontu?

– Może. Pewnie jest na to jakiś sposób. Dlaczego? Jaka to różnica?

– Pewnie żadna. Ale przynajmniej mielibyśmy zamiar ich kursu w chwili, gdy doszło do kontaktu. – Kim porządkowała w myślach informacje.

– Którą mieli wtedy godzinę? – spytał Sal Kim zapisywała wszystkie transmisje. Pierwszy sygnał radiowy nadano z *Huntera* o 11:42, 17 lutego, 573 roku, według czasu Seabright. Teraz na *Hunterze* byłaby 16:12.

– Powinni wrócić do transmisji radiowych – powiedział Sal. – Przygotować się do następnego kroku.

Monitor WUNDZa ponownie zgasł.

– Zaproszenie chyba nie odniosło skutku – stwierdziła.

Przez następne dwie godziny nie działo się nic. Poilem *Hunter* ponownie nadał transmisję wideo otwartego luku, tym razem z obrazem Tripleya. Kil pomachał do oglądających, nie próbując nawet wskazywać ładowni.

– Przypuszczam, że stoją w miejscu – powiedział Sal.

Kim głośno wypuściła powietrze.

– Zupełnie ich nie rozumiem.

– Dlaczego?

– Tak wiele lat poświęcili na poszukiwania, a byli tak słabo przygotowani do kontaktu.

– Masz na myśli obrazy otwartego luku?

– Mówię o wszystkim. Nie uważasz, że cała ta sytuacja wygląda bardzo spontanicznie?

Tak jakby ich zaskoczyła. Może nigdy tak naprawdę nie spodziewali się sukcesu.

– A co według ciebie powinni zrobić?

– Przede wszystkim pamiętaj, że Emily i jej znajomi nie mają wielkich możliwości. I powinni zdawać sobie z tego sprawę. Nie zdołają opanować obcego języka; z grammi liczbowymi daleko nie zajdą, a poza tym oczywiste jest, że nie jest łatwo zaufać na przykład wielkim pająkom. Według mnie trzeba zespołu specjalistów, aby powiedzieć coś więcej niż zwykłe „Witajcie”.

– I?

– Powinni się skupić na jednym, czyli na ustaleniu daty następnego spotkania. Gdyby im się udało, osiągnęliby sukces, jakiego każdy by sobie życzył.

– Jak byś to zrobiła?

– Mają pod ręką planetę. Mogliby użyć jej do ustalenia daty. Pokazać obcym powiedzmy kilkaset obrotów. Sześć miesięcy. *Wrócimy za sześć miesięcy*. Znaczenie byłoby oczywiste.

– Dla ciebie to takie proste. Szkoda że nie poleciałaś wtedy z nimi.

Podciągnęła kolana w górę i otoczyła je ramionami. *Była z nimi Emily*.

Sal zaczął się niecierpliwić.

– Może byśmy tak zjedli śniadanie? – zaproponował.

- Nie, dziękuję. Chcę tu zostać.
- Niczego nie przegapisz. Sam wszystko przyniosę.
- Nie trzeba. Naprawdę nie jestem głodna.

Pokręcił głową.

– Zamierzam wykorzystać moją pozycję kapitana. Nalegam, żebyś coś zjadła. To może jeszcze potrwać dobę albo i dłużej i nie chcę, żebyś mi się rozchorowała.

Spojrzała na panel wyświetlający dane. Lampki świeciły.

– No dobrze – powiedziała w końcu.

Wrócił z dwoma talerzami szynki, biskoptów i plastrów ananasa. Kim jadła w milczeniu, apatycznie. Złościło ją to, że *Hunter* nie potrafił opracować skutecznej strategii. Sal zasugerował, że kosmici przestraszyli się otwartych drzwi. Albo mieli kulturowy zakaz nawiązywania kontaktów z innymi gatunkami.

– Sądysz, że to możliwe? – spytała. – Przecież te stwory potrafią podróżować w kosmosie.

Skoro trafiły w pobliże Alnitaka, na pewno rozwijają prędkość większą od światła. Nie wierzę, żeby powstrzymywały je jakieś przesady o innych myślących gatunkach.

– Może to problem natury religijnej. Może według nich nie powinniśmy istnieć i właśnie rozbiliśmy cały system ich wierzeń.

– Nie sądzę, aby istoty przemieszczające się w przestrzeni kosmicznej myślały w takich kategoriach.

– Naprawdę? U nas chrześcijanie i muzułmanie spierali się niemal bez końca. Nawet uniwersaliści patrzą z góry na wszystkich, którzy nie podpisują się pod ich oficjalną teologią.

– Która mówi, że nie ma żadnej oficjalnej teologii.

– Nieważne. Być może tu chodzi o to samo. Sam nie wiem. Niewykluczone, że wśród kosmitów nie ma takiej różnorodności jak wśród ludzi. Jeśli istnieje tylko jeden typ istot, pewnie nigdy nie musiały sobie radzić z różnorodnością ras.

Sal dokończył śniadanie, oparł głowę o zagłówek fotela i zasnął. Obudził się mniej więcej po godzinie. Poszedł do kabiny wziąć prysznic i zmienić ubranie. Kiedy wrócił, wydawał się świeży, ale nie zdołał zmyć zmęczenia.

– Nie mogę uwierzyć, że tak tam siedzieli i nic nie robili – powiedział.

– Mogli wysłać lądownik – zasugerowała Kim. – Może podjęli próbę spotkania.

– Nie. Słyszelibyśmy coś przez radio. *Hunter* musiałby im powiedzieć, a raczej pokazać, co zamierza.

Przez cały ranek ekrany niczego nie pokazały. Sal i Kim wciąż od nowa zaczynali dyskusję na ten sam temat. Wczesnym popołudniem Kim uznała, że sygnał prawdopodobnie uległ dezintegracji i czujniki już nie były w stanie go wychwycić.

– To niewykluczone – powiedział Sal. – Ale mało prawdopodobne.

Zeszli razem do sali rekreacyjnej, żeby poćwiczyć. Odzywali się rzadko. Kiedy skończyli trening, wykąпали się i przebrali. Sal spytał ją, czy sądziła, że to już koniec transmisji.

– Pewnie tak – odparła.

– I co teraz robimy?

– Posłuchamy jeszcze jakiś czas. Jeśli niczego nie usłyszymy, przemieścimy się w następne

miejsce i ponownie rozstawimy sprzęt. Dzięki temu otrzymamy drugi namiar i zdołamy określić ich położenie.

– Jak długo tu zostaniemy?

Hunter przebywał w rejonie Alnitaka niemal dwa dni.

– Wytrzymajmy do jutra do północy. Jeśli do tego czasu nic nie usłyszymy, zwijamy się.

Tego wieczoru kochał się z nią z taką czułością, że ogarnęło ją wzruszenie.

– Cieszę się, że wreszcie masz to, czego tak pragnęłaś – powiedział, gdy trochę ochłonęli.

– Jeszcze nie znamy szczegółów, ale przynajmniej wiemy, że naprawdę doszło do kontaktu.

– Pocałuj mnie, ty wariacie – westchnęła.

Prawie całą noc się śmiała, a raz się rozplakała zupełnie bez powodu. Nie potrafiła wyjaśnić łych łez sobie ani Salowi, po prostu pozwoliła im płynąć.

– Jestem w łóżku z nieśmiertelniczką – stwierdził Sal.

Wiedziała, że to prawda. Wkrótce mieli wszystkiego się dowiedzieć, poznać odpowiedzi na pytania, sprawdzić, co się stało z Emily, dlaczego Yoshi skończyła w rzece i co wysadziło cały stok Mount Hope. To była tylko kwestia czasu. Za tysiąc lat dzieciaki miały się uczyć w szkołach, jak się wymawia jej nazwisko.

Nigdy nie czuła się tak pełna życia jak wówczas. Bezlitośnie męczyła Sala i śmiała się, gdy wyczerpany błagał ją, by mu dała chwilę odpocząć.

Gdzieś o piątej nad ranem, gdy leżała na plecach, przykryta prawym ramieniem Sala, postanowiła, że zatrzyma go na zawsze. Stał się częścią tej cudownej przygody. Chciała trzymać się tego z całych sił. Połączyła ich radość wspólnych przeżyć. Późniejsza ceremonia miała być jedynie potwierdzeniem tego, co stało się na tym najwspanialszym ze statków kosmicznych.

Obudzili się późno, zjedli śniadanie, obejrzelili wirtualną projekcję i zajrzeli do nawigacyjnej, gdzie monitor WUNDZa nadal świecił pustką. Minęły ponad dwadzieścia cztery godziny bez żadnych sygnałów. Teraz mieli pewność, że nic więcej nie usłyszą. Mimo to czekali. Pospiesznie przełknęli obiad. Chcieli jak najszybciej ruszyć w następne miejsce, wyprzedzić fale radiowe, przemknąć przez próżnię, wskoczyć z powrotem w zwykłą przestrzeń i wziąć nowy namiar na Alnitaka.

– Nie wiążę z tym wielkich nadziei – przyznała Kim z rezygnacją. Odreagowywała emocje poprzedniego dnia. Myślała o starym powiedzeniu, że jeśli chce się, by ludzie uwierzyli w coś niezwykłego, trzeba im przedstawić niezwykle tego dowody. Czy miała takie?

Pamiętała teleskop, przez który chciała patrzeć na Henryka VI. Z całego serca pragnęła mieć taki instrument i popatrzeć na otoczoną pierścieniem planetę W systemie Alnitaka.

Mogłaby zobaczyć *oba* statki. Z irytacją myślała o tym, że ze wszystkich stron otaczały ją fotony, a rozbita na cząstki prawda o tym, co zaszło między *Hunterem* i *Valiantem*, przepływała obok, dostępna jedynie tym, którzy posiadali odpowiedni sprzęt, by ją odczytać.

– Czas ruszać – westchnęła po północy.

...Każde istnienie indywidualne gaśnie, rzucając w pustkę rozpaczliwy krzyk o pomoc.

William James, Doświadczenia religijne,

VI1902 n.e.

Przekład Jan Hempel

Hammer wszedł w nadprzestrzeń o 24:41, w sobotę, 10 marca. Sal i Kim planowali wydostać się poza granice stale rosnącego bąbla sygnałów radiowych. Mieli pozostać w płaszczyźnie systemu Alnitaka, ale nowa pozycja wobec gwiazdy znajdowała się pod kątem prostym w stosunku do poprzedniej. Chcieli pokonać mniej więcej trzydzieści lat świetlnych i dotrzeć do punktu docelowego po ósmej wieczorem.

Spali do późna. Kim obudziła się podekscytowana. Chciała, aby ten dzień minął jak najszybciej. Z niecierpliwością czekała, aż będą mogli ponownie uruchomić WUNDZa. Nie potrafiła sobie znaleźć zajęcia. Skończyło się na grze w szachy z SI, którą ustawiła na poziom początkującego, aby bez trudu wygrać partię.

Sal doskonale wyczuł jej nastrój i przygotował kolację przy świecach. Wypiła trochę więcej niż powinna i odrobinę kręciło jej się w głowie, kiedy *Hammer* wrócił w normalną przestrzeń.

Tym razem, ponieważ skok trwał znacznie krócej, wyszli z nadprzestrzeni bliżej wyznaczonego celu i godzinę później od początku słuchali, jak *Hunter* próbuje nawiązać kontakt z niewidzialnym towarzyszem. Krótco rozpoczęciu transmisji zgubili sygnał, po czym usłyszeli go ponownie po czternastu minutach, dokładnie według planu. Potwierdziło to ich domysły, że *Hunter* musiał się w tym czasie znajdować w cieniu gazowego olbrzyma.

Wiedzieli, że czekało ich wiele godzin bezowocnych prób *Huntera*, zanim *Valiant* odpowiedział. Przygotowali się na to. Na przemian czytali i drzemali, a czasem dokazywali jak dzieci.

– Właśnie tak powinny wyglądać podróże kosmiczne – stwierdził Sal.

Cztery godziny od nadania pierwszej transmisji prostych sekwencji liczbowych, *Valiant* prawdopodobnie odpowiedział. *Hunter* odezwał się trzynastoma sygnałami. Emily i jej towarzysze pojawili się na monitorze i wysłali obcym pozdrowienia. Pokazali otwarty właz.

I tak jak poprzednio, przekaz na tym się zakończył.

Ale przynajmniej mieli drugi zamiar. Wzięli poprawkę na ruchy gwiazd od czasu nadania transmisji i linie przecięły się w punkcie odległym o trzysta jednostek AU od Alnitaka.

Dokładnie na orbicie gazowego olbrzyma.

Zaczekali jeszcze dwa dni. W końcu, gdy nie mieli już wątpliwości, że przedstawienie się skończyło. Sal wsunął dysk do nagrywarki i wydał SI polecenie skopiowania sygnałów odebranych w obu miejscach. Potem oddał go Kim.

– Przy odrobinie szczęścia, dzięki niemu unikniemy rozprawy – powiedział.

– Zobaczymy. – Spojrzała na dysk. – Komuś łatwiej może będzie udowodnić, że cała załoga *Huntera* zwariowała, niż uwierzyć, że naprawdę coś widzieli. Mogą w ten sam sposób uzasadniać zniknięcie obu kobiet. Powinniśmy zobaczyć to, co oni widzieli. – Odetchnęła głęboko. – Czas na

drugi etap.

– Miejsce zbrodni?

– Właśnie.

– Po co sobie zawracać głowę? Jaki to ma sens? Przecież ich już dawno tam nie ma.

– Sal, wyobraź sobie, że jesteś na tym drugim statku. Z nieznanym nam przyczyn, nasi ludzie wrócili do domu i o niczym nie wspomnieli ani słowem. Może doszło między nimi do kłótni. Mogli się nie zgadzać co do sposobu ogłoszenia wiadomości albo tego, komu przypadnie zasługa...

– ...To nie ma sensu...

– No dobrze. Ale coś się stało. Może tamto doświadczenie ich przeraziło. Zobaczyli coś tak potwornego, że zupełnie potracili głowy...

– I my mamy tam lecieć?

– Będziemy ostrożni. I nie damy się zaskoczyć. Posłuchaj, obie załogi wiedziały, że doszło do kontaktu. Dla kosmitów musiało to być wydarzenie równie niezwykle, co dla nas.

Co więc zrobili potem? Jak ty i ja postąpilibyśmy na ich miejscu?

Oparł brodę na rękę i spojrzał na Kim spokojnie.

– Zakładając, że próba nawiązania rozmowy się nie powiodła, a ten drugi statek odleciał, pewnie utworzylibyśmy w tamtym miejscu punkt obserwacyjny.

– Przychodzi ci do głowy jakiś powód, który by nas przed tym powstrzymał? Coś, co sprawiłoby, że wolelibyśmy zapomnieć o całym wydarzeniu?

– Nie – powiedział Sal po chwili zastanowienia. – Nie, choć załoga *Huntera* właśnie tak postąpiła. Ja na ich miejscu dopilnowałbym raczej, by wysłano tu ekipę badawczą.

– Która miałaby tu zostać przez całe lata, tak?

– Chyba. Ale czy aż dwadzieścia siedem?

– No, może nie tak długo. Sama nie wiem. Ale zostawilibyśmy automatyczne satelity.

– Na pewno. Założona baza pozostałaby w tym systemie już na zawsze.

– Właśnie. I dlatego wystarczy, jeśli teraz pokażemy się przy Alnitaku i zaczekamy aż to, co zostawili po sobie obcy, samo nas znajdzie. Weźmiemy kurs na gazowego olbrzyma i postaramy się robić wszystko, by ściągnąć na siebie uwagę. Szukamy czegoś, co nie pasuje do otoczenia. Jeśli dopisze nam szczęście, kto wie, co znajdziemy.

Odległa o trzysta AU planeta leżała osiem razy dalej niż Endgame od Heliosa i sześć razy dalej niż Pluton od Słońca. Miała siedemnaście naturalnych satelitów i system pierścieni podzielonych na trzy odcinki. Nad południowymi szerokościami geograficznymi globu stale unosiły się sztormowe chmury, jakie nieodłącznie towarzyszyły gazowym olbrzymom. Pełny obieg po orbicie wokół głównej gwiazdy trwał dwadzieścia trzy stulecia, a sama gwiazda nawet z tak wielkiej odległości świeciła co najmniej z jedną trzecią siły słońca Greenway w południe.

Sal obrał kurs na planetę.

– Już kiedyś zbadano ten system – powiedziała Kim. – Odbyło się to w ekspresowym tempie. Naukowcy dosłownie wpadli tu na chwilę. Spędzili w tej okolicy dwa dni. Nie stwierdzono żadnych niezwykłych cech, poza zakłóceniami atmosferycznymi. – Miała na myśli wielkie międzygwiazdne chmury, niespokojne kolebki nowych gwiazd, świecące światłem własnym i odbitym blaskiem Alnitaka. Najbliższa mgławica NGC2024, zajmująca całe lata świetlne burzliwego nieba,

przypominała kalejdoskop z jasnych i ciemnych szkiełek, tworzących przemyślnie geometryczne kształty o lśniących powierzchniach i z płonącymi wewnątrz ogniami. Jej przestrzeń przecinały ogromne błyskawice wyładowań. Patrzyli na nie z tak wielkiej odległości, że sprawiały wrażenie zastygłych w miejscu.

– Powolne pioruny – powiedział Sal. – Tak jak nasza wyprawa.

Kim spojrzała na mgławicę.

– Co masz na myśli?

– Od dawna wiedzieliśmy, że kiedyś dojdzie do kontaktu, że być może jest on nieunikniony.

Miał wszystko zmienić: naszą technologię, tożsamość, wyobrażenie tego, czym jest świat. Przez 1100 lat patrzyliśmy na zbliżający się zygzak tego pioruna, zastanawiając się jednocześnie, jakie będzie miał dla nas znaczenie. Wyobrażaliśmy sobie istnienie innych rozumnych istot. Przedstawialiśmy je jako straszne lub przyjazne, dziwaczne lub podobne nam, boskie i odległe lub obojętne. Zastanawiam się, czy piorun ten uderzy już wkrótce, a ty i ja znajdziemy się w punkcie uderzenia.

Po przeciwnej stronie nieba ciągnął się długi, lśniący pas IC434. Górowała nad nim wielka, ciemna masa Mgławicy Końska Głowa.

– To miejsce odpowiednie dla artystów. – Kim stanęła przy oknie, obserwując wspaniały widok. Lśniące pierścienie gazowego olbrzyma obramowywały łukiem jej pole widzenia, niczym połyskujący most wiodący ku rodzinie księżyców. Wszystkie były w pierwszej kwadrze. Raz jeszcze spojrzała na powiększenie fresku Kane'a. Nie dało się stwierdzić, czy właśnie tę planetę trzymała w dłoni Emily. Ale Kim mogła się o to założyć.

W systemie były jeszcze dwie gwiazdy, jedna zbyt odległa, by widzieli ją ze swego miejsca, a druga na tyle jasna, że można było czytać przy jej świetle. Ta bliższa znajdowała się około 1300 AU od Alnitaka. Ona także zaliczała się do jaśniejszych gwiazd, ale daleko jej było do towarzyszki.

– Kiedyś ludzie myśleli, że gwiazdy podwójne nie mogły mieć układów planetarnych – powiedziała Kim. – Teraz wiemy o nich więcej. Ich planety często zmieniają pozycję, a bywa, że są zupełnie wyrzucane z orbit. Zwłaszcza, gdy obie gwiazdy mają dużą masę i leżą w stosunkowo niewielkiej odległości od siebie. – Usiadła na fotelu i zapatrzyła się na pierścienie i księżyce. – Ta nie zostanie zbyt długo na swojej orbicie. To tylko kwesta czasu, zanim coś ją z niej wyrwie.

Dysk planety miał jesienne barwy. Burze zaznaczały się na jej powierzchni ciemniejszą plamą, kręgiem nocy.

– O połowę większy od Jowisza – stwierdził Sal, odczytując pomiar masy gazowego olbrzyma. – Zaczynam rozumieć, dlaczego właśnie to miejsce wybrali na postój i przeprowadzenie napraw.

– Jest tu naprawdę pięknie. Przeglądałam rejestry poprzednich podróży Tripleya. Już wcześniej odwiedził to miejsce. Chciał zobaczyć Końską Głowę.

Sal przez dłuższą chwilę przyglądał się obłokom mgławicy i planecie. Potem odwrócił się do Kim.

– Od czego zaczniemy?

Dobre pytanie.

– Wejdziemy na orbitę, a potem zaczekamy.

– Oboje skrytykowaliśmy Tripleya za to, że nie miał gotowego scenariusza na wypadek kontaktu. Ale czy my jesteśmy przygotowani? Co zrobimy, jeśli coś się stanie?

Zrobiła minę profesjonalistki.

– Możesz być pewien, że nic się nie stanie – powiedziała.

Oboje się roześmieli. Gdyby rzeczywiście doszło do spotkania, Kim miała gotowy program wizualny. Zawierał on obrazy *Valianta* i *Huntera*, jej samej i Sala oraz wnętrza

Hammera. Dołączyła zdjęcia Greenway, lasów, mórz i ludzi odpoczywających na plażach.

Uzupełniła dane o anatomiczne rysunki człowieka, wielu zwierząt i roślin. Na koniec stworzyła obraz, na którym trzy *Valianty* i trzy *Hammary* unosiły się na tle jowiszowych pierścieni, a za nimi ciągnęło się czterysta linii pogrupowanych w dziesiątki. Pokazała to Salowi.

– Spotkamy się znowu, gdy planeta obróci się wokół własnej osi czterysta razy.

– Dobre – ocenił. Dzień na gazowym olbrzymie trwał jakieś siedemnaście, osiemnaście godzin, więc mówili mniej więcej o roku. To wystarczająco dużo czasu na przygotowanie ekspedycji, opracowanie strategii i powrót w ten rejon. – Kim, jak mam zaprogramować czujniki? Czego dokładnie szukamy?

– Ustaw je na maksymalny zasięg. Rozglądamy się za wszystkim, co nie powinno się tu znajdować. W grę wchodzi poddany obróbce metal, plastik i wszystko, co nie jest gazem, skałą lub lodem. Nie mówiąc o tym, co samodzielnie się porusza. Pierwsza misja badawcza w okolicy gazowego olbrzyma zarejestrowała niewiele danych.

Kim знаła obwód najdłuższego równoleżnika planety – 187 tysięcy kilometrów – i obwód południka – 173 tysiące kilometrów. Przeciętna gęstość wynosiła 1,2 gęstości wody, co wskazywało na obecność dużej ilości lżejszych pierwiastków, wodoru i helu. Odchylenie osi planety od pionu wynosiło 11,1 stopnia.

Najbardziej charakterystyczną cechą były pierścienie obiegające glob w płaszczyźnie równika. Miały one łączną średnicę 750 tysięcy kilometrów i układały się w trzy odrębne części. Ta najbliższa planety sięgała niemal wierzchołków chmur. Wszystkie miały grubość zaledwie kilometra, więc kiedy *Hammer* przeleciał tuż przy ich krawędzi, odnieśli wrażenie, że się rozproszyły.

Dwa spośród satelitów planety były większe od Greenway, a jeden – mały glob na samej krawędzi układu – miał średnicę zaledwie kilku kilometrów. Krążył po orbicie niemal prostopadłej do równika.

– Dobrze by było, gdybyśmy dokładnie wiedzieli, gdzie miało miejsce tamto wydarzenie – stwierdziła Kim.

– Jak mam to rozumieć?

– Mam na myśli odległość od powierzchni planety. Może współrzędne orbity, jeśli da się je obliczyć.

– Nie mam pojęcia, jak moglibyśmy to ustalić. W jednej z sekwencji widzimy pierścienie, ale sama planeta nie jest widoczna.

– Za to znamy dokładnie czas wydarzeń – zauważyła Kim. – Co do minuty. – Kontakt nastąpił 17 lutego o 11:42 czasu pokładowego. – Mamy zdjęcie pierścieni podczas transmisji i gwiazdy w tle.

– Gwiazdy wyglądałyby tak samo z każdego miejsca w systemie – zaproponował Sal.

– Gwiazdy tak – zgodziła się z nim.

Ale nie księżycy, a była pewna, że na zdjęciach zobaczą przynajmniej jeden księżyc.

Znaleźli dwa.

Ponownie odtworzyli sekwencję z *Hunterem* dryfującym na tle nocnego nieba, z otwartym włazem ładowni i włączonymi światłami, których blask wylewał się w pustkę. Kim pomyślała, że

wnętrze statku wyglądało bardzo przytulnie, zwłaszcza, gdy na monitorze pojawił się obraz Yoshi gestami zapraszającej gości do środka. Obraz wydał jej się bardzo intymny i zastanawiała się, jak odebrały to obce istoty.

Zbadali układ wszystkich satelitów, rejestrując ich wzajemne położenia. Potem cofnęli symulację do 16:12, 17 lutego, czyli do momentu nadania transmisji z otwartym włazem statku. Dopasowali położenia księżyców wobec pierścieni.

– Proszę bardzo. – Sal wyświetlił obraz na jednym z pomocniczych monitorów. – Aby wszystko było dokładnie tak jak na obrazie, *Hunter* musiałby się znajdować tutaj. – Wskazał punkt, jedenaście stopni na północ od płaszczyzny równika, na wysokości 45 tysięcy kilometrów ponad powierzchnią planety. – Niestety mamy tylko dwie minuty obrazu, a to nie wystarczy dla ustalenia pełnej orbity statku.

– Jest jeszcze drugie zdjęcie – przypomniała mu Kim. Zdjęcie Emily, które zrobiono dwie godziny później.

Sal wywołał je na ekran, znalazł więcej księżyców – tym razem trzy – powtórzył cały proces i uśmiechnął się triumfalnie.

– Chyba trafiliśmy w dziesiątkę – powiedział.

– Wspaniale. – Kim była zachwycona. – Wejźmy na tę samą orbitę. Ale chcę, żebyśmy lecieli trochę szybciej niż *Hunter*.

– Dlaczego?

– Abyśmy mogli wyprzedzić wszystko, co przemieszcza się z równą mu prędkością.

Sal zmarszczył brwi.

– Zrób to, dobrze? – poprosiła.

– W porządku, Kim.

– I postarajmy się jednocześnie jak najdokładniej przeszukać okolicę.

– Co spodziewasz się znaleźć?

– Niczego się nie spodziewam. – Kim czuła się jak Weronika King i dlatego zacytowała jej słowa. – Ale możliwości są nieograniczone. – Bała się mówić o drzemiącej w niej nadziei.

Być może obcy statek, a raczej jego wrak, nadal znajdował się gdzieś niedaleko. Wszystko było możliwe.

Sal podał SI instrukcje.

– Późnym wieczorem wejdziemy na orbitę – poinformował Kim. – Całkowite poszukiwania wzdłuż całego obiegu zajmą nam mniej więcej dwanaście godzin.

W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.

– Coś nie tak? – spytała Kim.

– Myślałem o tym jeszcze zanim wylecieliśmy, ale wtedy nie chciałem nic mówić.

– Powiedz teraz..

– Nie jesteśmy uzbrojeni. Przyszło ci do głowy, że jeśli coś tu jest, to wcale może nie mieć przyjaznych zamiarów?

– To mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

Spojrzała na obłoki gwiazd.

- Nawet gdybyśmy trafili na gatunek agresorów, strzelanie do kogoś na takiej pustyni miałooby się z sensem. Co by w ten sposób zyskali?
- Może po prostu nie lubią obcych. *Hunter* pewnie się o tym przekonał.
- Musimy zakładać, że obcy są rozsądni, Sal. W przeciwnym razie nigdy by tu nie dotarli.
- Lubiała być z nim sam na sam i czuć, że otacza ich tylko pusta przestrzeń. Wszystko wydawało się inne teraz, gdy patrzyli przez okna na rzeczywiste obrazy nieba. – Obcy nie strzelali do *Huntera*. A gdyby nawet, to nie są groźni, skoro *Hunter* dotarł do domu bez szwanku.
- Niewykluczone, że prowadzą jakąś wewnętrzną wojnę. Ben Tripley mógł się nie mylić, nadając obcej jednostce nazwę *Valiant*. Możliwe, że to okręt wojenny.
- Sal, przecież *Hunter* bezpiecznie dotarł do domu – powtórzyła Kim cierpliwie.
- Naprawdę? A skąd wiesz? Może jego załoga została pojmana, a zamiast nich na Greenway wróciło coś innego. – Zrobił straszną minę i zanucił kilka taktów serialu *Midnight express*. Roześmiała się, ale poczuła na plecach zimny dreszcz.

Po kolacji wprowadzili statek na orbitę *Huntera*, która obiegała planetę mniej więcej w płaszczyźnie równika, odchylając się tylko o kilka stopni powyżej lub poniżej wyznaczonej przez nią linii.

Niemal całe niebo przed nimi zajmowały pierścienie. Przypominały wielki, lśniący łuk, pod którym bez końca sunęły miedziano–złote chmury. Błyski piorunów macały przestrzeń, a od czasu do czasu przecinały ją ogniste ślady meteorów.

Miejsce to tchnęło ogromnym spokojem i pięknem, tak jakby stworzono je specjalnie po to, by cieszyło oko i wyobraźnię człowieka.

Kim uważała, że warto było latać w kosmos choćby dla takich wrażeń. Nawet jeśli naprawdę byliśmy sami, istnienie tak pięknych planet i wspaniałych gwiazdnych chmur, powinno wywabić ludzkość z siedziby przodków. Ogólny pęd za wygodą i rutyną oraz niechęć do opuszczania znajomych miejsc, miały w sobie element dekadencji. Podobnie jak brak zainteresowania tym wszystkim, co dawniej uważano za szlachetne i warte wysiłku.

Ludzie zaczęli się zadowalać życiem *wirtualnym*.

Nikt nie musiał pracować, więc niewielu się decydowało na coś więcej niż pogoń za przyjemnościami. Kim zawsze się uważała za ambitną, ale przez całe życie nie czuła potrzeby przekraczania granic znajomych światów, nawet gdy nadarzyła się okazja. Ludzie narzekali na uciążliwość podróży w spartańskich warunkach, na dolegliwości, jakie odczuwali podczas skoków i na koszty lotów międzygwiazdnych. Woleli wyimaginowane obrazy i maleńkie pokazy sztucznych ogni, które oglądali siedząc w wygodnych fotelach własnych salonów. W

jednej chwili dorzucali do kominka, a już w następnej zwiedzali Betelgeuse.

Patrząc na lśniące za oknami kolebki nowych gwiazd, na Końską Głowę i pierścienie wokół planety, Kim próbowała wyjaśnić Salowi, co czuła. Istnienie innych istot rozumnych nie wydawało się jej teraz tak ważne, jak przed kilkoma godzinami.

– Witaj w klubie – powiedział Sal, gdy skończyła. – Ludzie, którzy, tak jak ja, lotami w kosmos zarabiają na życie, wiedzą to od lat. Naprawdę nie jest ważne, czy w gwiazdozbiornie Oriona

znajdziemy kosmitów. Jak można czepiać się szczegółów, gdy wokół jest tyle do oglądania. Naprawdę nic się nie stanie, jeśli stwierdzimy, że w całym wszechświecie tylko my możemy podziwiać to, co nas otacza.

Dotąd zawsze miała wrażenie, że Sal nie zwracał uwagi na intelektualne aspekty życia.

Za mało czytał, za bardzo interesowały go praktyczne i przyziemne sprawy i rzadko zastanawiał się nad problemami natury filozoficznej. Podczas tej wyprawy jednak wielokrotnie ją zaskakiwał, zwłaszcza gdy mówił o zastygłym w czasie piorunie. Ale gdyby go spytała o sens istnienia, pewnie odparłby, że to dobry lunch w gronie przyjaciół. Albo kobieta.

Kim zawsze miała niejasne pojęcie, że życie powinno polegać na poszerzaniu horyzontów intelektualnych i na dążeniu do nowych osiągnięć. Teraz, patrząc przez okno, zrozumiała, że bez względu na to, jaki cel sobie wyznaczyła, osiągnęła go przybywając tutaj.

Gdyby miała wybrać miejsce spotkania z obcymi istotami, bez wahania wskazałaby właśnie to.

Górne warstwy atmosfery planety odbijały światło odległego słońca. Pomyślała, że tam, w dole na pewno jest ciepło. Bez trudu wyobraziła sobie wielkie oceany i kontynenty ciągnące się pod lśniącą mgłą. Temperatura ponad chmurami była całkiem ziemską, -17°C .

Planeta wytwarzała własne ciepło. Całkiem nieźle, gdyby jeszcze dało się oddychać wodorem i metanem.

Sal skierował skanery na łuk orbity, nie wyłączając funkcji ogólnego przeszukiwania przestrzeni w promieniu sześciu tysięcy kilometrów. Musiał na to poświęcić 30 procent mocy i zasięgu głównych czujników, ale wołał uniknąć niespodzianek. Kim nie protestowała.

Pełne okrążenie planety zabierało im godzinę i dwadzieścia dwie minuty. Robiło się późno, ale żadne z nich nie zamierzało kłaść się spać.

Przy trzecim obiegu rozdzwonił się alarm.

– *Przed nami organiczny obiekt* – poinformowała SI.

Przeszli do kabiny pilota. Sal wyświetlił znalezisko na monitorze w pełnym powiększeniu. Znajdowali się po zacienionej stronie planety, więc na razie nie widzieli nic prócz markera. System już rozpoczął analizę.

Wapń.

– Obiekt ma kształt zbliżony do prostokąta. Długość około dwóch metrów, niecały metr szerokości.

Węgiel.

Dzieliło ich tysiąc dwieście kilometrów.

Sal odetchnął. Zmienił kierunek na zbieżny z kursem obiektu. Kim poczuła, jak włączają się silniki. Statek zaczął przyspieszać.

Potas.

Większa część wielkiego łuku pierścieni pod nimi znajdowała się w cieniu, ale kilka księżyców dawało trochę światła.

Chlorowodór.

Przed nimi wschodziło słońce. Niestety, nie poprawiło ono widoczności.

– Jeszcze chwila – powiedział Sal.

Kim poczuła dziwnie przykre uczucie w dołku.

Czekali w milczeniu. Obojgu zrobiło się tak chłodno, że Sal podniósł temperaturę w kabinie.

Dziewięćset kilometrów i nadal się zbliżali.

Znaleźli się w zasięgu wschodu słońca.

Sód.

Obiekt zmieniał się z minuty na minutę. Na przemian był jaśniejszy i ciemniejszy.

– Wiruje – stwierdził Sal.

Błyskawicznie zbliżyli się do słońca, przelecieli pod nim i wreszcie, mając je za sobą, mogli dobrze się przyjrzeć znalezisku.

To był człowiek..

Kim prawie przestała oddychać. Zaciśnęła dłonie na poręczach fotela, świadoma tego, że Sal nie spuszcza z niej wzroku.

– Nic ci nie jest, Kim?

Sześćset kilometrów.

Niebieski kombinezon z naszywką na ramieniu. Nie widziała dokładnie znaku, ale wiedziała, że pod spodem widniał napis: WYTRWAŁOŚĆ.

Patrzyła, jak ciało bezładnie wiruje po samotnej orbicie.

Emily.

Zanim ją dogonili, ponownie znaleźli się po zacienionej stronie. Sal nakazał SI przyjęcie jej na pokład przez luk ładowni. Potem odwrócił się do Kim.

– Jesteś pewna, że...?

– Tak – odparła. – Nic mi nie jest.

Skinął głową.

– Zostań tu. Jeśli coś niespodziewanego się stanie, kiedy mnie nie będzie...

– Jak to niespodziewanego?

– Jeśli na przykład ktoś nas zaskoczy...

– Och.

– Natychmiast nakaż Hamie zabrać nas stąd.

– Posłucha mnie?

– Pewnie.

– Sal, uważaj na siebie.

– Możesz być tego pewna.

– Nie wyjdiesz na zewnątrz, prawda?

– Nie dalej niż będę musiał. – Włączył kamerę w ładowni, aby Kim mogła oglądać całą operację. Przytulił ją na moment, po czym zszedł na dół. Kilka minut później wszedł do ładowni ubrany w skafander ciśnieniowy z dyszami odrzutowymi. Pomachał do niej.

– Kim, słyszysz mnie?

– Słyszę cię, Sal.

– Właśnie włączyłem dekompresję ładowni. Jak tylko będziemy gotowi, możemy otwierać. – Stał przed włazem, który był w połowie tak wysoki jak Sal i miał sześć metrów szerokości.

– Co mam robić?

– Nic. Sam sobie poradzę stąd.

– A jeśli wypadniesz? – Kim wcale nie żartowała.

– Nie wypadnę – odparł. – Jestem przywiązany.

Silniki zwolniły. Zamiast miarowego pulsowania, *Hammer* modulował podejście, od czasu do czasu na krótko włączając silniki sterujące.

Obiekt znalazł się w kręgu światła statku i Kim zobaczyła go wyraźnie. Już teraz nie miała żadnych wątpliwości. To była Emily.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Sal. – Dlaczego ją tu zostawili?

– Bo nie chcieli nikomu wyjaśniać, w jaki sposób zginęła. – Kim poczuła, że krew zaczyna szybciej krążyć. Sukinsyny. A jednak ją zamordowali.

Dlaczego?

Ciało dryfowało w odległości zaledwie stu metrów. Zewnętrzne kamery pokazały otwierające się wejście ładowni. Kim zobaczyła Salę na tle blasku jowiszowych pierścieni.

Ponownie włączyły się na moment silniki sterujące. *Hammer* obrócił się nieznacznie i zwolnił niemal do prędkości równej tej, z jaką przemieszczało się ciało. Znikło z przednich wizjerów, a pojawiło się od strony burty.

– Wszystko w porządku, Sal?

– Tak. Za chwilę będę ją miał.

Patrzyła, jak wychyla się poza właz. Moment później wciągnął ciało Emily do środka, położył je delikatnie na pokładzie, tak, aby pozostało niewidoczne dla kamer.

– Chcę ją zobaczyć – powiedziała Kim.

– Wierz mi, nie chcesz – odparł.

Ona jednak się uparła i w końcu Sal przesunął Emily.

Ciało przypominało wyschniętą mumię. Za to uniform wyglądał świeżo. Emily miała na sobie czarne buty z przyczepną podeszwą i białe, odświeżone rękawiczki.

Ciemne włosy otaczały twarz, która nawet w tak zmumifikowanym stanie zdradzała zdumienie i szok. Śmierć ją zaskoczyła, pomyślała Kim.

– *Kim* – odezwała się SI – zarejestrowałam ruch w odległości dziewięciuset kilometrów.

– Jaki ruch?

– *Nie po orbicie.*

– Ku nam? – Poczła nagły przyływ nadziei zabarwionej odrobiną niepokoju.

– *Tak. Zbliża się z prędkością prawie jednego kilometra na sekundę.*

– Zamknij właz i rozpocznij proces wyrównania ciśnienia. Sal, słyszałeś?

– Tak. Hamo, czy obiekt jest na kursie zbieżnym?

– *Opisałabym to raczej jako kurs kolizyjny.*

– Zwalnia, czy utrzymuje stałą prędkość?

– *Przyspiesza.*

– Dobrze. Przygotuj się do opuszczenia orbity.

– Chwileczkę – wtrąciła Kim. – Przecież nie wiemy, czy ma wrogie zamiary.

– To pewne, skoro się tak zachowuje. Gdyby chcieli z nami porozmawiać, użyliby do tego radia.

– Sal, na litość boską, przecież właśnie po to tu przylecieliśmy. Jeśli we wszechświecie jest ktoś prócz nas, a my uciekniemy teraz do domu, wszystko pójdzie na marne.

– Zaufaj mi, Kim. To coś nas ściga.

Wiedziała, że miał rację i dlatego ogarnęła ją furia.

Musieli uciekać.

– Hamo, czy możesz pokazać nam ten obiekt? – poprosiła.

– *Nieemożliwe, Kim. Znajduje się za daleko. Mogę jedynie określić, że nie porusza go żaden znany mi system napędu.*

Kim przecięła pięścią powietrze.

– Słyszałeś, Sal? Nie ma dysz. Ta sama technologia. *Valiant* jest prawdziwy.

– Słyszałem. Od początku miałaś rację. Nie zmienia to faktu, że grozi nam niebezpieczeństwo. Hamo, czy możemy już ruszać?

– *Za piętnaście sekund.*

– Daj spokój, Sal. Pomyśl przez chwilę.

– Właśnie to robię.

– Tylko popatrz jaki jest mały.

– Właśnie to mnie niepokoi Kim. Małe są torpedy. Bomby atomowe. Statki z przyjaźnie nastawionymi kosmitami nie są małe.

– Sal...

– Zaufaj mi. Tak jak ty, chciałbym, żeby to się potoczyło inaczej. Ale nie chcę zginąć.

Hamo?

– *Jesteśmy gotowi, Sal.*

– Zabierz nas stąd. Na razie przyspieszenie 2 g. Obierz optymalny kurs jak najdalej od obiektu – poleciał Sal, po czym zwrócił się do Kim. – Jeśli to coś jest sterowane przez przyjaźnie nastawione istoty rozumne, zorientują się, że nas przestraszyły i zrezygnują. Jeśli nie zmienią kursu, więcej sygnałów nam nie trzeba. – Otworzył jeden z pojemników w ładowni, umieścił w nim ciało i zabezpieczył je.

– Być może oni nie myślą tak jak my – zaprotestowała Kim.

– Nikt nam przyjazny nie wysyłałby czegoś bez wcześniejszych prób porozumienia.

Hamo, czy odbieramy jakieś sygnały?

– *Nie, Sal.*

– Włącz nadawanie na wszystkich częstotliwościach – nakazała Kim. Sal spojrział na nią z politowaniem. – Może to jakieś nieporozumienie – stwierdziła.

Westchnął tak głośno, by go usłyszała.

– Tkwię Bóg wie gdzie z szalonym naukowcem – powiedział.

– Halo – odezwała się Kim do mikrofonu. – Mówi Kim Brandywine z *Hammera*.

Przybywamy w pokoju.

Trzaski.

– Czy ktoś mnie słyszy?

– Tylko my, potworki – odparł Sal. Domyślam się, że cała operacja jest sterowana automatycznie. Ty dostajesz się w zasięg czujników, uruchamiasz alarm, a oni strzelają.

– Niemożliwe. To przecież głupie.

– Może i tak, ale założę się, że tak właśnie jest. Ci kolesie to pewnie niezła banda.

Kim wielokrotnie powtórzyła komunikat, aż w końcu się poddała.

– Gdzie jest teraz obiekt, Hamo? – spytała.

– *Zbliża się szybko. Odległość tysiąc sześćset kilometrów.*

Sal niecierpliwie czekał w słuzie na wyrównanie ciśnień.

– Dlaczego nie możemy zaryzykować? – spytała Kim.

– Bo oni są wrogo nastawieni. Czego ci jeszcze trzeba, żeby to zrozumieć? Lepiej przyznajmy, jak jest naprawdę. – Rozległ się dźwięk dzwonka i Sal zdjął hełm. Po chwili zniknął poza zasięgiem kamery. – Hamo – odezwał się – co jeszcze możesz nam powiedzieć o obiekcie?

– *Jego powłoka odbija fale czujników. Niestety, mam niewiele danych. Mogę jedynie donieść, że zmienił kurs i przyspieszył. Nadal się do nas zbliża, ale teraz robi to ze stałą prędkością. Ponownie jest na kursie kolizyjnym.*

Kim słuchała tego z rosnącym zdumieniem. Obiekt rzeczywiście przypominał torpedę.

Dlaczego obcy zachowali się tak głupio? Zupełnie tego nie rozumiała.

Sal wszedł do kabiny, zajął miejsce i zapiął szelki bezpieczeństwa.

– Ekscytujące, co? – powiedział.

– Chyba się myliłam.

– Chyba tak. – Spojrzał na obraz ścigającego ich obiektu wyświetlony na głównym monitorze. – No dobrze, Hamo, bierzmy się do dzieła. Cała naprzód.

Hammer pomknął przed siebie.

– Ile do skoku? – spytał Sal.

– *Dwadzieścia jeden minut i dziesięć sekund. Obiekt nadal się zbliża.*

W prawym dolnym rogu zamrugał czas do zderzenia: 17:40.

– Nie damy rady – powiedziała Kim. – Równie dobrze moglibyśmy zawrócić i spróbować pogadać.

– Z torpedą?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Naprawdę nie mamy żadnych systemów obronnych?

– Możemy wyjść na zewnątrz i walnąć ich kijem. – Sal wyglądał na zdenerwowanego. – Szkoda, że to coś nie potrzebuje paliwa.

– Dlaczego?

– Jest małe. Szybko by mu się skończyło. Jaki ma napęd?

– Mogę tylko się domyślać – odparła Kim.

– Słucham.

– Pierwsza możliwość to pole magnetyczne. Druga to antimateria. Może ogniwa kwantowe.

– Jakim cudem poruszają się bez silników sterujących?

– Mogą korzystać z tej samej technologii, dzięki której my tworzymy sztuczną grawitację.

Tylko że w ich przypadku, pole powstaje na zewnątrz pojazdu z tej strony, w jaką chcą lecieć. Po prostu w nie wpadają.

– Tak czy inaczej mają nieograniczony zasięg – stwierdził Sal.

– Na pewno – potwierdziła. – Ale może nie zdołają dotrzymać nam kroku. Dosyp trochę do kotła.

– Masz więcej optymizmu ode mnie. To cholerstwo leci z prędkością siedmuset tysięcy.

Z każdą minutą tracimy do niego kolejne czterdzieści osiem kilometrów. Tempo zbliżania się jest stałe, niezależnie od naszego przyspieszenia.

– Możemy ich wymanewrować?

– Spróbujemy, kiedy się do nas zbliżą.

Obiekt znajdował się już na tyle blisko, że widzieli jego kształt. Miał hiperboliczne linie.

Przypominał latające siodło! Miał nawet dwa boczne panele przypominające strzemiona.

Hama podzieliła ekran siatką, aby pokazać rozmiar. Obiekt miał trzydzieści centymetrów długości i o połowę mniejszą szerokość. Grubość czterech centymetrów. Był o wiele mniejszy od siodła. Zewnętrzne poszycie przypominało gładką, szarą skorupę i tylko wzdłuż boku „siedzenia” widniał rząd czarnych soczewek. Kim nie dostrzegła żadnych oznaczeń.

– Nie wygląda jak bomba – stwierdziła.

– Miło to słyszeć.

– Zdążymy do pierścieni? Może się za czymś schowamy?

– Jesteśmy za daleko. Ale powiem ci, co możemy zrobić.

– Aha?

– Prześlemy podprzestrzenną transmisję do St. Johns. To samo otrzyma Matt. Powiemy im, co znaleźliśmy i opiszemy nasze położenie.

– Nie jestem pewna, czy chcę mówić światu, co tu robimy.

– Dlaczego?

– Bo stracimy kontrolę nad odkryciem.

Sal spojrział na nią.

– Już zaczynam rozumieć, co mogło się wydarzyć na *Hunterze*.

– Jeśli to coś nas stąd wypędzi, wrócimy z niczym, ale zaraz po nas zjawią się tu inni.

Mówię ci, Sal. Przygotujmy przekaz i trzymajmy go w pogotowiu. W najgorszym wypadku wyślemy go. Dobrze?

Zgodził się. Poinstruował Hame jakie informacje powinny się znaleźć w transmisji. Miała wspomnieć o wszystkim, co dotąd zrobili, także o odkryciu ciała Emily, oraz ostrzec, aby wszyscy wybierający się w rejon Alnitaka, posiadali systemy obronne.

Kiedy SI skończyła, Sal dołączył do przekazu materiał wideo i Hama spakowała wszystko w plik hiperkomu, którego nadanie trwałoby mniej niż sekundę.

Kim tymczasem obserwowała obraz na monitorze nawigacyjnym. Obiekt nadal się zbliżał.

– *Pięć minut do zderzenia* – poinformowała Hama.

– Może to coś szuka energii cieplnej – powiedziała Kim. – Co by było, gdybyśmy wyłączyli silniki?

Pokręcił głową.

– Pierwszy raport mieliśmy, gdy obiekt znajdował się dziewięćset tysięcy kilometrów od nas. To za daleko dla czegoś, co szuka ciepła. Poza tym to by było zbyt prymitywne, jak na obiekt, który nie potrzebuje masy reakcyjnej. Nie, to coś namierzyło nas wizualnie. Lepiej zabierajmy się stąd jak najszybciej.

Przed sobą mieli dwa zegary. Jeden odliczał czas do zderzenia, drugi – z mniej więcej trzyminutowym opóźnieniem – do chwili, gdy będą mogli wykonać skok w nadprzestrzeń.

– Moglibyśmy skorzystać z lądownika – zasugerowała.

– Porzucić statek? – Spojrzał na nią. – Jeśli to zrobimy, możemy liczyć najwyżej na to, że spędzimy tutaj resztę życia.

Dlaczego oni to robią, na litość boską? – spytała Kim. Przecież ta przeklęta rzecz nie może być aż tak głupia.

– Nie wiem. Mam zaległości w psychologii kosmitów.

Do zderzenia pozostały niecałe dwie minuty.

– Hamo, na mój znak, wykonasz skręt o trzydzieści stopni w lewo, manewr piętnasty.

– *Przy takiej prędkości ty i pasażerka poddani będziecie dużemu obciążeniu, a być może nawet pewnemu ryzyku.*

– Dziękuję, Hamo. Doceniam twoją troskę o nas.

– *Zawsze mam na uwadze dobro załogi i pasażerów.*

Obiekt znajdował się już tylko pięćdziesiąt kilometrów od nich. Jeszcze minuta. Sal patrzył, jak zegar odlicza ostatnie dziesięć sekund.

– Hamo, wykonaj.

Hammer mocno szarpnął się w lewo, podnosząc ostro dziób. Kim odrzuciło w prawą stronę. Poczula, jak jej wnętrzności zderzają się ze sobą. Poręcz fotela wbiła się w jej bok. Jej serce zabiło nieprzytomnie. Na moment pociemniało jej w oczach i zaczęła się bać, że straci przytomność. Huk w ścianach stał się głośniejszy. Próbowwała skupić uwagę na odliczaniu zegara.

– Minęło nas – powiedział Sal, spoglądając na nią. – *Źle wyglądasz.*

– Nic mi nie jest – odparła.

– *Obiekt zawraca* – oznajmiła Hama.

Kim siedziała z zamkniętymi oczami. Przez chwilę na niczym jej nie zależało.

– Zyskaliśmy jakąś minutę – stwierdził Sal.

Zdołała wyrwać się z odrętwienia.

– *Nadal się zbliża.*

Obraz nieznanego obiektu zajmował niemal cały główny monitor. Wyglądał nedorzecznie. Idiotyczne siodło.

– Wchodzi nam na ogon – stwierdził Sal.

– *Prędkość obiektu się zmniejsza* – poinformowała Hama. – *Przesuwa się na lewą burzę.*

Znikł im z głównego ekranu, a po chwili znalazł się w zasięgu jednej z bocznych kamer.

– *Obiekt obrał kurs równoległy. Nadal zmniejsza prędkość.*

– Daj mocno w prawo, Hamo.

Tym razem nie zgubili ścigającego.

– Może wcale nie ma wrogich zamiarów – powiedziała Kim. – Gdyby chciał, mógłby nam odstrzelić tył.

– Może.

Czujnik pokazał, że obcy znajduje się w odległości czterech metrów od lewej burty.

Cztery metry.

– *Obiekt dostosował kurs i prędkość* – oznajmiła Hama.

Wskaźnik gotowości do skoku zamrugał, sygnalizując, że za dwie minuty mogą przejść w nadprzestrzeń.

– Powstrzymaj się Sal – poprosiła Kim. – Daj im szansę.

– Masz skłonności samobójcze, kochana. Ale jeśli chcesz, zagramy po twojemu.

– *Obiekt w odległości dwóch metrów.*

Patrzyli jak rośnie na monitorze. Potem znikł.

– Gdzie on się podział? – spytała Kim po dłuższej chwili ciszy.

– Jest za blisko. Czujniki go nie wychwytyją.

– *Obiekt przyczepił się do powłoki* – powiedziała Hama.

Siedzieli nie ruszając się, nic nie mówiąc i nie oddychając.

Kim zacisnęła dłonie na poręczach fotela. Nie potrafiła przewidzieć kolejnego ruchu kosmitów.

– Co się stanie, jeśli teraz zrobimy skok? – spytała tak cicho, że Sal musiał się ku niej pochylić, by ją usłyszeć.

– Trudno powiedzieć – odpowiedział także szeptem. – Może się go pozbędziemy. Albo pociągniemy go za sobą.

Kim czuła bicie serca w gardle.

– Nadal myślisz, że to bomba?

– A co innego?

– *Stan gotowości do skoku* – powiadomiła SI.

– Do diabła – zachnęła się Kim – wracajmy.

Salowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy.

– Dokąd?

– Jak to dokąd?

– Na Greenway czy na Tigris?

– Wybrałeś zły moment na takie dyskusje.

– Twój wybór.

– Greenway.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Sal przez chwilę się zastanawiał, po czym poinstruował SI, aby zabrała ich do domu.

Silniki skokowe przejęły kontrolę nad statkiem i światła przygasły. Po chwili monitory wyświetliły pustkę. Znikł Alnitak, znikła planeta otoczona pierścieniami i znikły obłoki gwiazd.

- *Skok wykonany prawidłowo* – powiedziała Ham.
- A obcy?
- *Wciąż jest z nami.*

Dlaczego w poświacie ginącego promienia księżycy widzimy parę oczu ukrytego w cieniu obserwatora?

Sheyel Tolliver, Notatniki, 591

– Gdyby to miało nas wysadzić, sędzę, że już by to zrobiło – powiedziała Kim.

– Chyba masz rację. Jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

– Jak to „na razie”?

– Przecież nie możemy zabrać tego do domu.

– Dlaczego nie?

– Może to jakieś urządzenie naprowadzające.

– Chyba w to nie wierzysz?

– Jeśli nie bomba, to co?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Może prezent.

– Taki jak w Troi?

– Sal, mam wrażenie, że trochę przesadzasz.

– Aha. Dziwi cię to? Ktoś nas ścigał. Nie mamy pojęcia o ich możliwościach. Jak dotąd nie zdradzali szczególnie przyjaznych intencji.

– No dobra – zgodziła się. – Pozbądźmy się tego.

– Myślałem dokładnie o tym samym. – Sal pokiwał głową.

Obiekt przyczepił się do kadłuba blisko głównej śluzy powietrznej.

Sal wstał i ruszył do drzwi.

– Zajmę się tym – powiedział.

– Co zamierzasz?

Oboje opuścili kabinę pilota i zeszli na dół. Sal otworzył szafę w korytarzu głównego pokładu.

– Możemy zrobić tylko jedno. Wyjść na zewnątrz i przegonić go. – Zmarszczył brwi. – Chyba nie jest niebezpieczny. Gdyby obcy chcieli nas zaatakować, już by to zrobili. Może mają nadzieję, że nie zauważyliśmy pasażera na gapę.

Przytaknęła.

– Co mam robić?

– Siedź tu i nie marznij. – Wybrał izolowany pręt i zważył go w dłoni. – To powinno wystarczyć.

– Może tym razem ja powinnam wyjść?

– Jakie masz doświadczenie w pracach w przestrzeni kosmicznej poza statkiem?

– To chyba niezbyt trudne.

– Nie. Ale lepiej mieć pojęcie o tym, co się robi. – Pocałował ją.

– Sal, po co obcy mieliby przyczepiać coś do kadłuba wiedząc, że możemy wyjść na zewnątrz i

to usunąć?

- Masz jakiś inny pomysł?
- Myślę, że tego nie da się tak łatwo oderwać.
- Zobaczymy.

Kim grała w szachy dość razy, aby znać podstawową zasadę: zawsze należało się spodziewać, że przeciwnik wykona najlepszy z możliwych ruchów.

- Nie podoba mi się to – powiedziała.

Sal zrobił minę, którą chciał przekonać Kim, że nad wszystkim panuje.

– Może to tylko taka gra. Jeśli chodzi o coś więcej... Jeśli coś się stanie, kiedy wyjdę na zewnątrz, każ Hamie wziąć kurs na St. Johns, dobrze? Nie leć do domu. Skoro musimy ryzykować, że coś stracimy, lepiej niech to będzie stacja kosmiczna, a nie Greenway.

Ogarnięta bezsilnością patrzyła, jak Sal ubiera skafander ciśnieniowy. Nagle przypomniała sobie Latarnię. *Jeśli nas szukacie, jesteście tutaj.* Nie, to przecież nie mogło tak wyglądać. Musiało mieć jakieś inne wytłumaczenie.

– Wiesz, co mnie najbardziej w tym wszystkim drażni? – odezwała się przez komunikator, gdy Sal skończył się ubierać i wszedł do śluzy powietrznej. – Poczucie, że nic nie mogę zrobić.

- Jak dotąd to ty robiłaś wszystko, Kim. Teraz nie ruszaj się stąd. Wrócę za jakieś pół godziny.

Sprawdzili łączność radiową, wyłączyli sztuczną grawitację i zapalili wszystkie zewnętrzne reflektory z lewej burty. Kilka minut później konsola wyświetliła informację, że otwarto zewnętrzny właz. Kim poinstruowała SI, aby skierowała na Sala wszystkie kamery w jego otoczeniu.

- *Kim* – odezwała się SI – *on ma kamerę także na helmie.*

- Możesz ją uruchomić?

- *Oczywiście.*

- Zrób to.

Na trzech monitorach pojawiły się obrazy: widok Sala z boku, z tyłu i to, co rejestrowała kamera na jego helmie. Cztery obiektyw skierował się na obcy obiekt.

Sal przymocował koniec linki bezpieczeństwa do klamry znajdującej się tuż za śluzą powietrzną i ruszył w poprzek kadłuba, podtrzymywany przez magnetyczne buty.

Za zewnątrz nie było gwiazd, więc nie było też nieba. Przestrzeń i czas w tym podświecie wydawały się inne. Ta pierwsza sprawiała wrażenie sprasowanej, a ten drugi biegł zmiennym rytmem. Nie przypominało to nocy, podczas której niebo przesłaniają ciężkie chmury, bo nawet takie chmury są zwykle widoczne albo wyczuwalne, tak jakby ich masa oddziaływała na obserwującego. Tymczasem tutaj otaczała ich tylko pustka, brak czegokolwiek, wszechświat, który, jak mówiła teoria, nie zawierał żadnej materii ani energii poza tymi, które od czasu do czasu penetrowały jego próżnię z zewnątrz, pchane silnikami skokowymi.

Kim przypomniała sobie potworne chwile w przelewie spływowym zapory, gdy świat zamknął się wokół niej, przygniótł ją swoim ciężarem. Jedyne światełko jej latarki ginęło w ciemnościach myśli i ducha, których głębia nie miała końca.

Sal wyminął anteny, czujniki i osłony zaśmiecające kadłub *Hammera*. Kim patrzyła, jak zbliża się do obiektu i włącza latarkę.

Obcy przyczepił się między lukiem dla obsługi a podstawą czujnika.

– Co o tym sądzisz, Kim?

– Sama nie wiem. Lepiej uważaj.

Dotknął go końcem pręta. Żadnej reakcji.

– Szturchnę go mocniej.

– Ostrożnie – ostrzegła.

Widziała, że obiekt nie zareagował.

– Mocno przywarł – stwierdził Sal. – Pewnie jest namagnesowany.

Pochylił się, próbując wsunąć pręt pod obce ciało. Górna część siodła otworzyła się na kształt tęczęwki. Kim podskoczyła.

Sal też.

Obcy przedmiot przypominał teraz ciemne, wpatrujące się w nich oko.

– Sal – wyszeptała.

– Widzę. – Otwarcie miało średnicę długości ramienia. Czerń wydawała się namacalna, głęboka na kilka centymetrów.

– Uważaj.

Sal chwilę czekał, czy nie stanie się coś jeszcze. Gdy obiekt więcej się nie poruszył, ponownie spróbował wsunąć pod niego pręt. Kim miała na monitorach słabą widoczność.

Obrazy składały się z cieni, jasnego światła reflektorów i rąk Sala. Żałowała, że nie mogą zabrać obcego do środka, aby dokładnie go obejrzyć. Wiedziała, że to zbyt niebezpieczne.

Nie do wiary. Mieli prawdziwy produkt obcej cywilizacji i zamierzali go wyrzucić.

Z całego serca pragnęła, aby to wszystko już się skończyło i Sal mógł wrócić do środka.

Zdołał wsunąć pręt pod przedmiot i naciskając go stękał z wysiłku. Podstawa czujnika, słabo widoczna w przyćmionym świetle, nagle zafalowała.

Wrażenie to minęło tak szybko, że Kim nie miała pewności, czy naprawdę to widziała.

Obiekt oderwał się od powłoki statku.

– *W porządku* – powiedział Sal. Wsunął prawą dłoń pod spód i oderwał go tak, jak się zdejmuje skórę z pomarańczy. Potem podniósł go wysoko, aby kamera mogła dokładnie zarejestrować obraz. Ustawiał przedmiot w kilku pozycjach, by niczego nie ominąć. Potem odrzucił go. Patrzyła, jak wirując znika w ciemnościach.

– Niezły pokaz, Sal.

– Dzięki.

Zatknął pręt za pas i wycofał się z powrotem do śluzy. Przetawił komunikator na łączność z SI.

– Hamo, gdzie jest teraz obiekt?

– *Nadal na zewnątrz. Porusza się z prędkością trzech kilometrów na godzinę. Brak wewnętrznego zasilania.*

Kim spojrzała na monitor wyświetlający obraz z kamery na hełmie Sala. W śluzie powietrznej zapaliły się światła. Właz zamknął się i w całym statku na powrót włączona została grawitacja. Na ekranie widziała ławkę naprzeciwko tej, na której siedział Sal, część panelu kontrolnego, migającą pomarańczową lampkę, poręcz i stopę Sala.

– Hamo – odezwał się. – Śledź obcy obiekt tak długo, jak będziesz mogła. Jeśli pojawią się

jakieś zmiany, powiadom nas.

– *Oczywiście, Sal.*

Pomarańczowe światelko mrugało, dopóki ciśnienie w śluzie nie powróciło do normy.

Potem zmieniało się na zielone.

Kim zmagala się z myślami. Możliwe, że *Hunter* zaprzepaścił szansę pierwszego kontaktu, a ona właśnie popełniła ten sam błąd.

– Pewnie w przyszłości historycy będą się z nas śmiać – powiedziała.

– To co? Nie podoba mi się to wszystko. Ustaliliśmy, że tam coś jest. Teraz lepiej przekazać sprawę zespołowi, który będzie na to przygotowany...

Pomarańczowa lampka przygasła.

I błysnęła jasno.

Nie tak powinna działać.

– ...i zbada wszystko dokładnie – dokończył Sal.

Ściana i panel kontrolny za lampką zmarszczyły się tak jak asfalt w upalny dzień.

Wrażenie to ustąpiło tak szybko, że ledwo zdołał je wychwycić.

– Sal, czy mamy problemy z rejestracją obrazu?

– Nie. Ja też to widziałem.

Cisza panująca na statku wydawała się przytłaczająca. Kim opuściła kabinę pilota i zaczęła na Sala przy śluzie.

Gdy wyszedł, zapaliła światła w wejściu i zajrzała do środka. Wszystko wyglądało normalnie.

– Hamo, odtwórz sekwencję z kamery na hełmie, zaczynając od obrazu sprzed czterech minut – poprosiła. – Wyświetl obraz na jednym z monitorów w oknach korytarza.

W przejściu znajdowały się dwa duże ekrany. Na obu widniały projekcje nieba widzianego z Greenway. Jeden z nich zgasł, a po chwili rozbłysnął, pokazując Sala wchodzącego do śluzy powietrznej.

– Za daleko – stwierdziła. – Cofnij jeszcze o dwie minuty.

– To zwykły spadek mocy – powiedział Sal.

– Może.

Postać w skafandrze szybko ruszyła do tyłu, potem pojawiło się siodło dryfujące w kierunku kadłuba i ponownie do niego przytwierdzone. Sal raz jeszcze ujął pręt.

Sal z ekranu, zmagał się z siodłem. Okrągły otwór w górnej części obiektu zamknął się.

– Dobra – powiedziała. – Stop. Hamo odtwórz od tego miejsca.

Sal odłożył hełm, ściągnął skafander i usiadł, żeby zdjąć buty.

Podstawa czujnika ponownie zafalowała.

– Hamo, zatrzymaj obraz – poleciała.

Sal zmarszczył czoło. Odtworzyli tę samą sekwencję kilkakrotnie. Potem obejrzeni obraz ze śluzy powietrznej, patrząc jak pomarańczowe światelko przygasa i ponownie rozbłyskuje, a panel kontrolny traci ostrość kształtów i ciemnieje tak, jakby coś go przesłoniło lub jakby zajmowana przez urządzenia przestrzeń zmieniała się w nieokreślony sposób.

– Czy tak jest tu zawsze? – Kim wpatrywała się w ekran.

– Nie. – Sal przełączył monitor na obraz kamery w przedniej części kadłuba, cofnął nagranie i obejrzał wszystko raz jeszcze pod innym kątem.

Podstawa czujnika znajdowała się na pierwszym planie. Sal stał za nią. Tym razem to *jego* obraz zafalował.

– Zupełnie tego nie rozumiem – przyznał.

Serce Kim zabiło mocniej.

– Boję się, Sal.

Kiedy zdjęli skafander z Emily, stwierdzili, że coś przecięło ją w pasie prawie na pół.

Ciało było zwęglone, tułów częściowo rozerwany, ale nie znaleźli śladów krwi.

– Musieli wszystko wyczyścić, zanim umieścili ją w śluzie powietrznej – stwierdził Sal, zakrywając okaleczone ciało prześcieradłem.

– Co mogło zadać taką ranę? – spytała Kim.

– Może laser. – Sal miał niewyraźną minę.

Wspólnie włożyli ciało z powrotem do pojemnika.

Kim przez cały czas powtarzała sobie w myślach, że teraz przynajmniej zna prawdę. Ale nie czuła się wcale lepiej.

Analiza zarejestrowanych obrazów nie wyjaśniła zakłóceń na zewnątrz kadłuba i potem w śluzie powietrznej. Być może była to wina oświetlenia albo zaburzeń w kontinuum czasoprzestrzennym. Czy działo się tak dlatego, że Sal wyszedł poza statek? Niewykluczone, że tak właśnie wyglądały skutki uboczne otwarcia włazu w nadprzestrzeni. Inaczej nie potrafili tego wytłumaczyć. Próbowali w miarę możliwości o tym nie myśleć i wrócili do rutynowych czynności.

Dziwne zjawisko nie powtórzyło się więcej, więc z czasem zupełnie o nim zapomnieli.

Zastanawiali się, jakie powitanie czekało ich po powrocie na Greenway. Policja czy wiwatujące tłumy? Kim nie opuszczał optymizm. Przecież nie można było stawiać przed sądem ludzi, którzy znaleźli odpowiedź na najważniejsze w historii ludzkości pytanie, jakie od wieków stawiały nauka i filozofia. Sal, starszy i bardziej doświadczony, przypuszczał, że ich osiągnięcie jeszcze bardziej rozżłości Agostino.

– Być może przyszłe pokolenia ocenią nas lepiej, ale współczesne mogą mieć zupełnie inne zdanie. Pamiętasz Kolumba?

– Kolumba?

– Zmarł w hiszpańskim więzieniu.

Kim uważała, że Agostino zdoła obrócić wyprawę na swoją korzyść i przedstawić ją tak, jakby jej zamysł powstał z inicjatywy Instytutu. Ich karierom nic by nie groziło, gdyby zgodzili się na współpracę.

Zawsze wierzyła, że jej zainteresowanie nauką było podyktowane bezinteresownym pragnieniem poszerzania horyzontów wiedzy i uczestniczenia we wspólnym wysiłku.

Zaprzeczała, jakoby robiła to dla siebie. Jednocześnie jednak z niechęcią myślała o tym, że ktoś inny mógłby przypisać sobie zasługi po tym, czego doświadczyła.

Piątego wieczoru po opuszczeniu strefy Alnitaka, Kim, rozmyślając o tym, kąpała się przed kolacją.

Ponieważ na statku znajdowały się tylko dwie osoby, nie trzeba było oszczędzać zapasów wody.

Splukowała włosy i osuszyła ręcznikiem twarz, po czym otworzyła oczy. Wyczuła jakiś ruch w łazience.

– Sal? – spytała.

Kiedyś wśliznął się niepostrzeżenie, gdy brała prysznic. Wykorzystał okazję, owinał wokół niej prysznicową zasłonę i zaczął ją pieścić przez przezroczysty plastik.

Nie odpowiedział jej. Kim wyjrzała zza zasłony. Łazienka była pusta.

Zbagatelizowała ten incydent i wymazała z pamięci nieznaczące rozczarowanie. Ubrała się i poszła na kolację. Tego wieczoru przygotowali sobie kurczaka, owocową sałatkę i gorące pieczywo. Rozmawiali o błahych sprawach, gdy przerwała im Hama.

– *Sal, tracę kontrolę nad niektórymi funkcjami. Zostały przekierowane gdzie indziej. Do innego źródła*

– Niemożliwe. Stwierdzasz obecność wirusa?

– *Trudno mi dokładnie określić przyczynę, Sal.*

– Jakie systemy tracisz?

– *Mam problemy z łącznością, diagnostyką i systemem podtrzymywania życia. Sytuacja pogarsza się z każdą chwilą.*

– Co możemy na to poradzić?

– *Nie wiem. Zastanów się nad przejściem na ręczne sterowanie. Jeśli ten proces będzie postępował, wkrótce nie będziecie mogli na mnie polegać.*

– Czy to możliwe? – spytała Kim. – Możemy dotrzeć do domu na ręcznym?

– Pewnie. Oznacza to tylko tyle, że sami będziemy musieli wciskać wszystkie guziki.

Możliwe też, że dokując zedrżemy trochę farby z kadłuba. Poza tym, nie ma problemu. – Mimo to widziała, że się martwił.

Dokończyli kolację w większym pośpiechu i przeszli do kabiny pilota. Kim zabrała ze sobą resztę pieczywa.

Sal zdjął panel z napisem AUTO–OFF.

– Hamo, będę z tobą w stałej łączności – powiedział. – Spróbuj zlokalizować problem i usunąć go.

– *Tak Sal. Cały czas nad tym pracuję*

Palce Sala dotknęły dźwigni koloru dyni i przesunęły ją do przodu. Zapalił się szereg pomarańczowych lampek.

– Pilot wreszcie będzie miał okazję zapracować na wypłatę – powiedział do Kim.

– Co teraz? – spytała.

– Spokojnie czekamy. – Wskazał konsolę nawigacyjną wbudowaną w pulpit. – Jeśli zapali się jakieś czerwone światełko po moim wyjściu, zawołaj mnie.

– Gdyby coś się działo, to powinien nas chyba ostrzec dźwięk alarmu.

– Możliwe. Jeżeli jednak mamy w systemie wirusa, nie możemy na niczym polegać. – Dostrzegł zwątpienie na jej twarzy. – Ale nic się nie martw. Poradzimy sobie.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. Większość statku nadal jest zautomatyzowana. Nie zabraknie nam gorącej wody i żywności, a ogniwa zasilania stale się ładują. Jedyne różnica polega na tym, że teraz musimy

wcisnąć guziki, aby uruchomić różne procesy. – Na chwilę umilkł, zastanawiając się nad sytuacją. – Jeśli pojawi się odchylenie między warunkami rzeczywistymi, a przepisowymi, statek może tego nie zarejestrować. Oznacza to tyle, że od czasu do czasu sami musimy pokręcić termostatem. To banalnie łatwe, choć odrobinę uciążliwe.

Kim długo zwlekała z zadaniem pytania, które nie dawało jej spokoju.

– Sal, czy to możliwe, że...? – Zawahała się.

– Że co?

– Że wirus pochodzi z tamtego urządzenia?

– Nie – powiedział ostro i trochę zbyt pospiesznie. – To jakaś wada oprogramowania... – przerwał niepewnie – to się zdarza.

Kim starannie unikała później tego tematu. Wieczorem przenieśli się do pokoju rekreacyjnego i obejrzeli *Wesołą piątkę*, lekką komedię, w której główny bohater odkrywa, że ma za sąsiadów grupowe małżeństwo, dwóch mężczyzn i trzech kobiet. Tym razem oboje zrezygnowali z osobistego udziału w akcji.

Bawili się średnio. Kim przez większość czasu myślała o tym, jak pusty wydawał się teraz statek. Sal próbował sprawiać wrażenie rozluźnionego, ale stale śmiał się w niewłaściwych momentach.

Zanim poszli spać, Sal ponownie uruchomił SI, ale nie powierzył jej kontroli nad systemami statku.

– Hamo, jakieś postępy w usuwaniu wirusa?

Za oknem zobaczyli ocean. W oddali Kim dostrzegła wieloryba tryskającego fontanną wody.

– Hamo? – powtórzył Sal. – Odpowiedz.

Spojrzał na Kim kątem oka i spróbował raz jeszcze.

SI zwykle odzywała się w ciągu kilku sekund.

Kim wstała, wsadziła ręce w kieszenie i odwróciła się tyłem do oceanicznego krajobrazu.

– Wygląda na to, że siadła zupełnie – powiedziała.

– Chyba tak.

– Słyszałeś, aby coś takiego się kiedyś zdarzyło?

– Nie. Ale też po raz pierwszy musiałem wyłączyć SI. Może takie są tego skutki.

– Hamo? – odezwała się Kim. – Jesteś tam?

Przeszli na mostek. Sal usiadł za konsolą i włączył diagnostykę statku.

– To potrwa kilka minut.

Okna nadal wyświetlały ten sam morski krajobraz, ale już bez wieloryba.

– Kiedy wrócimy do domu, nie zostawisz mnie, prawda? – powiedziała nagle Kim.

– Nie. – Sal otoczył ją ramieniem. – Kocham cię.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Kim...?

– Tak?

– Wyjdiesz za mnie?

Zaskoczył ją.

– Tak – odparła, starając się zapanować nad głosem. – Bardzo tego chcę.

Rozległ się dźwięk sygnalizujący koniec diagnostyki. Nie stwierdzono żadnego problemu. Wszystko działało sprawnie.

– Niemożliwe – powiedział Sal. – Przecież nie możemy nawet uruchomić SI.

Sal wyciągnął z kapitańskich zapasów najlepsze trunki, aby uczcić zaręczyny. Kochali się przy świecach i łagodnej muzyce. Zaczęli w sali odpraw, w której pełnowymiarowe okna wyświetlały widoki ze szczytu góry Morghani. Na schodach wiodących na trzeci poziom zrobili dłuższy przystanek, po czym z niesłabnącym zapałem ruszyli do sypialni.

Choć byli na statku sami, Kim zawsze zamykała drzwi kabiny. Tym razem jednak Sal wniósł ją do środka na rękach i zakopał w pościeli, zostawiając otwarte wejście.

Noc nie miała końca. Gdy od czasu do czasu Sal musiał odpocząć, rozmawiali o przyszłości. Potem on ponownie po nią sięgał, a Kim chętnie mu się poddawała.

Był niestrudzony. Wprawdzie nadal miał organizm dwudziestolatka, ale i tak zadziwiał wytrzymałością. Kim dotrzymywała mu kroku. W pewnej chwili, Sal leżąc na plecach z głową w nogach łóżka, wciągnął ją na siebie i odwrócił tak, że dotykała plecami jego brzucha.

Dotyk jego ciała odurzał ją. Jego usta pieściły jej szyję, jego dłonie badały jej ciało.

Główne światła jak co wieczór przygasły. Mrok korytarza rozpraszała tylko łagodna poświata lampek bezpieczeństwa.

W upojeniu odchyliła głowę w tył, pojękując i wzdychając z rozkoszy. Lubiała to, a poza tym wiedziała, że jeszcze bardziej go tym podnieca. Na chwilę jej wzrok padł na otwarte drzwi.

Coś się poruszyło na korytarzu.

Jakiś błysk, cień, coś na krawędzi świadomości. Ale było tam.

Bezskutecznie próbowała powstrzymać Sala, który poruszał się jak w transie.

Coś za drzwiami zaczęło się materializować.

Para oczu. W mroku, pod framugą drzwi, tuż za wyjściem.

Nagle wróciło wspomnienie wyprawy do willi Kane'a, przerażający chłód spojrzenia tamtych oczu w holu na piętrze. Dłonie Sala nadal dotykały jej ciała, pieściły je. Odtrąciła je i zsunęła się na podłogę. Nie spuszczając wzroku ze zjawy, dała Salowi do zrozumienia, że coś jest nie tak i zaczęła po omacku szukać jakiejś broni. Znalazła tylko but.

– Co się dzieje? – spytał zdumiony.

Oczy miały ten sam szmaragdowy kolor, ale rozjaśniały je złote plamki. Pionowe źrenice.

Oczy kota. Chłodne, pozbawione uczuć, świdrujące. Tak jak tamte w willi Kane'a. Tylko że w tych nie widziała szaleństwa. Jedynie wrogość.

Prócz oczu nie było tam nic.

Unosiły się kilka centymetrów pod sufitem.

Sal wpatrywał się w nią zdumiony. Położyła dłoń na jego plecach, nakazując, aby się nie ruszał. Ręką wymacała leżące na stole pilota i dotknęła go. Zapaliło się światło.

Sal spojrzał na Kim, po czym wyjrzał na korytarz.

Był pusty.

– Kim? Co się stało?

Nie mogła się poruszyć.

– To było na zewnątrz.

– Na zewnątrz? Co było na zewnątrz? – Wyszedł bosy na korytarz i uważnie się rozejrzył.

– Nic tu nie ma – powiedział. – Co widziałaś?

Próbowała to opisać, ale jej wyjaśnienia brzmiały zupełnie bezsensownie.

– No dobrze – powiedział Sal, gdy porównała twój ze zjawą z jeziora. – Zobaczymy.

Włożyła ubranie. Sal wciągnął szorty i na wszelki wypadek zabrał ze stolika podstawę lampy, aby w razie czego użyć jej jako broni. Razem sprawdzili wszystkie pomieszczenia na trzecim poziomie. Właściwie przeszukiwał je Sal, podczas gdy Kim stała w korytarzu pilnując, aby nic nie zaszło ich od tyłu.

Zaglądał do szaf, szafek i za łóżka. Po kolei wszystko zbadali. Kim z zadowoleniem stwierdziła, że choć jej wyjaśnienia brzmiały absurdalnie, Sal potraktował je poważnie. Nie próbował ich bagatelizować i nie mówił, że coś jej się przywidziało, choć pewnie tak właśnie myślał.

Zeszli na drugi poziom i powtórzyli całą procedurę. W końcu dotarli na najniższy pokład statku. Przez podłużne okna zajrzeli do wszystkich magazynów, a nawet do doku. Sal zszedł do lądownika przez otwarty kokpit. Pojazd był przytwierdzony do dolnej części kadłuba *Hammera*. Razem sprawdzili pomieszczenia gospodarcze, systemy oczyszczania, zbiorniki z wodą i lądownicę. Zajrzeli do maszynowni.

– Nic się tu nie ukryło – powiedział Sal, kiedy skończyli.

Nie mogła się uspokoić.

– Widziałam to. – Chciała zapomnieć. Rozpaczliwie próbowała uwierzyć, że to tylko złudzenie. *Sen*. Omamy zrodzone z wina, które wypła do kolacji. Ale przecież nie spała. Sal dopilnował, by nie zasnęła te nocy.

– Było tam – powiedziała. – Znikło, kiedy zapaliłam światło.

– Tak jak odbicie?

– Tak.

– Ale to nie było odbicie?

– Nie. Nie było.

Do wewnętrznych instalacji i systemów można się było dostać przez wiele paneli na całym statku. Ale ich zdjęcie i ponowne założenie zabrałyby mnóstwo czasu. Sal sprawdził kilka. Przymocowano je solidnie.

– Widziałam to.

– Wierzę ci.

Wrócili do kabiny, cicho stąpając po wyłożonych wykładzinami korytarzach. Zgasili światła, pozostawiając tylko nocne oświetlenie. Kim wpatrywała się w półmrok, z uwagą śledząc rząd lampek bezpieczeństwa, włączających się automatycznie, gdy przyciemniano główne lampy statku na noc. Nie widziała nic, co choć trochę przypominałoby parę oczu i mogło ją zmylić.

Najbardziej przerażało ją to, że to coś tak bardzo przypominało zjawę z jeziora.

Zastanawiała się, czy tamto widziadło jakimś cudem zdołało dotrzeć za nią aż tutaj.

Wtedy zdołała odsunąć od siebie myśli o wydarzeniach w dolinie Severin, zamknąć je w odległym kącie pamięci. Wmówiła sobie, że to gra świateł albo za duża dawka tlenu sprawiła, że coś jej się przywidziało.

Teraz ponownie musiała stawić czoło strachowi. Po raz pierwszy w dorosłym życiu zwątpiła w swój światopogląd i w przekonanie, że wszechświat da się ogarnąć rozumem.

Kiedyś wierzyła, że rządził się stałymi prawami, które nie pozostawiały miejsca żadnym nadprzyrodzonym zjawiskom.

– Dobrze się czujesz, Kim? – Sal stał obok niej, wciągając na siebie ubranie. Widziała, że się martwił.

– Nic mi nie jest – odparła.

Istniało jeszcze jedno, bardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Usiadła za konsolą i odtworzyła obraz zarejestrowany przez kamerę w hełmie Sala, zatrzymując nagranie w chwili, gdy pojawiły się pierwsze zakłócenia. Na zewnątrz statku i w śluzie.

To coś miało związek z dziwnym siodłem. Obcy przedmiot nie był bombą, tylko *nośnikiem*.

Skoro tak, to czy ona i Sal mogli rozmawiać bez obaw, że ktoś ich stale podsłuchuje? Czy obcy dowiedzieli się już dość, by poznać ludzką mowę?

Powiedziała Salowi o swoich lękach.

– Dobrze – odparł. – Będziemy postępować tak, jakbyśmy mieli na statku intruza. To by wyjaśniło także problemy z Hamą.

– Przynajmniej możemy mieć pewność, że to coś nie zamorduje nas podczas snu.

– Nie chciałbym być pesymistą, ale dlaczego tak sądzisz?

– Bo chce z nami dolecieć do domu.

– Kim, chyba zapominasz, że już jesteśmy na kursie. – Sal zniżył głos. – Gdyby to coś chciało nas sprzątnąć, mogłoby bez przeszkód zaczekać, aż Hama dowiezie je na miejsce.

Siedzieli na łóżku, patrząc w stronę korytarza, który teraz wydawał im się obcym terytorium, przejściem z innego świata.

– Nie – powiedziała Kim. – To coś może nie wiedzieć, na jakim etapie podróży nas zaskoczyło. Pozostawi nas przy życiu, aż dotrzemy do domu. Dopóki nie zyska pewności.

– Mam taką nadzieję.

*ZA MĘSTWO W WARUNKACH EKSTREMALNYCH**Napis na przyznawanym przez Radę odznaczeniu za odwagę*

Rankiem ponownie przeszukali statek, wszystkie trzy pokłady, maszynownię, ładownik i wszelkie zakamarki, jakie tylko przyszły im do głowy. Sal kolejno zdejmował różne panele i zaglądał między kable i obwody. Niczego nie znaleźli.

– Trudno uwierzyć, że na pokładzie jest coś, czego nie powinno tu być – stwierdził.

Niechętnie powiedziała na głos to, o czym na pewno myśleli oboje.

– Może nie powinniśmy jeszcze wracać do domu.

Siedzieli w fotelach lotniczych na sali odpraw. Było późne popołudnie. Oboje czuli się zmęczeni długimi poszukiwaniami, którym towarzyszyło mnóstwo frustracji.

– Kim, w każdej chwili możemy przerwać lot i wezwać pomoc. Ale co potem? Skoro to coś dostało się na nasz statek tak, że tego nie widzieliśmy, to samo robi z każdą jednostką ratowniczą. – Sal przetarł oczy. – Zrobiliśmy wszystko co mogliśmy, aby się upewnić, że na pokładzie nie ma intruza. Teraz możemy albo ruszać do domu, albo siedzieć tutaj, aż skończy się nam jedzenie.

Podczas poszukiwań Kim wyczuła, że zaczął się odnosić do jej słów sceptycznie. W

pełnym oświetleniu włączanym podczas dnia, pomieszczenia *Hammera* wyglądały mniej groźnie, a niebezpieczeństwo wydawało się mało prawdopodobne. Gdyby rzeczywiście dostał się tu nieproszony gość, właściwie nie mieliby wyboru. Lepiej było zlekceważyć incydent, tłumacząc go przyćmionym światłem, zbyt dużą dawką emocji i za wielką ilością alkoholu.

– Posłuchaj – odezwał się Sal – w najgorszym przypadku wystarczy, abyśmy utrzymali kontrolę nad łącznością i nie pozwolili, by to coś skorzystało z nadajnika. Poza tym nie musimy się niczego obawiać. Reszta nie jest ważna.

– Myślisz, że nam się uda?

– Mam ciężki klucz maszynowy, jeśli nie wymyślimy lepszego rozwiązania.

Powrotna podróż upływała w dość pomnym nastroju. Kim zawsze zamykała drzwi sypialni, choć nie wiedziała czy to pomoże. Skarżyła się Salowi, że czuje się jak w nawiedzonym domu. Dni mijały spokojnie, ale ona czuła, że zjawa wciąż im towarzyszyła, dryfowała przewodami wentylacyjnymi i korytarzami, zawsze trzymając się tuż poza zasięgiem ich wzroku. Od czasu do czasu Kim dostrzegała ją kątem oka. Bywało, że dziwne oczy formowały się ze światła lampy lub z pary pod prysznicem. Czasem w ciemności coś się poruszało, zimny prąd powietrza mroził jej kostkę, a za grodziami słyszała szepty. Nawet zwykłe pomruki elektronicznych systemów statku czasami brzmiały złowrogo.

Jeśli Sal odnosił podobne wrażenie, nigdy o niczym nie wspominał.

Nic dziwnego, że kochali się rzadziej, a jeśli już, to ukradkiem i w pośpiechu, tak jakby na statku był ktoś, kto w każdej chwili mógł zaskoczyć kochanków.

Znikła spontaniczność. W okresie, który już teraz Kim zaczęła nazywać w myślach „starymi, dobrymi czasami”, było im wszystko jedno, gdzie się kochali. Teraz, bez względu na to gdzie zaczynali, zawsze kończyli w kabine sypialnej za zamkniętymi drzwiami. Poza tym, Kim za każdym razem zapalała światło i dokładnie sprawdzała pomieszczenie.

Kiedy oboje zasypiali, czuła się bezsilna. Raz wspomniała o tym Salowi, ale spojrzał wtedy na nią z takim niepokojem, że wołała nie prosić o włączenie systemu ochrony.

Pewnie uważał ją za przerażone dziecko i zastanawiał się, w jaki związek się wpackował.

Tymczasem ona naprawdę czuła się jak bezradny malec. Gdyby ich role się odwróciły i to Sal widział dziwne rzeczy w pustych korytarzach, ona na pewno zastanowiłaby się, czy warto się wiązać z takim mężczyzną. Bała się, że go straci, a to byłoby najgorsze. Nie potrafiła jednak inaczej się zachowywać. Groziło im niebezpieczeństwo, ale Sal nie do końca jej wierzył.

Zaczęła odczuwać niechęć do niego i do własnego strachu. Czuła też nie słabnącą nienawiść do zjawy, która się u nich zadomowiła. Czekwała i nawet modliła się, aby stwór wreszcie objawił im się w jakiejś bardziej materialnej formie.

Sal na próżno próbował uruchomić SI. Od czasu do czasu Hama wygłaszała dziwne twierdzenia, ostrzegała pasażerów, by przygotowali się do przyspieszenia albo zawiadamiała, że system przygotowujący posiłki został przeciążony i radziła wymienić jakiś element na nowy. Czasem sugerowała zmianę kursu albo poprawki w parametrach misji i o każdej porze dnia witała ich życzeniami miłego ranka.

– Przydałby się nam ktoś, kto się na tym zna – burczał Sal, ale nie zaprzestawał kolejnych prób.

Pozbawiony pomocy Hamy musiał od czasu do czasu pobrudzić sobie ręce. Przejął rutynowe obowiązki, do których należała między innymi regulacja przepływu mocy. Niektóre układy przestały działać, gdy SI uległa awarii, więc nie zawsze wiedział, kiedy pojawiały się jakieś usterki. Nie było też systemu, który informowałby go o naturze problemu. Dlatego kiedy siadła wewnętrzna łączność, wiele godzin spędził na czworaka, zanim zlokalizował i wymienił zepsuty przekaźnik. W procedurach samoczynnej kontroli silników skokowych doszło do aberracji, w wyniku której od czasu do czasu na całym statku rozdzwaniały się alarmy. Sal nie potrafił temu zaradzić, więc po prostu odłączył czujki, mając nadzieję, że nie dojdzie do żadnej poważnej awarii napędu.

Twierdził, że podczas tej wyprawy sporo się dowiedział.

Kim pomagała mu w miarę możliwości, czyli niewiele. Elektronika nie była jej mocną stroną, ale ona też się uczyła, zadając Salowi pytania.

Najpoważniejszy problem pojawił się w trzecim tygodniu powrotnej podróży, kiedy o trzeciej nad ranem rozwył się alarm ostrzegający, że mieszanka tlenu i azotu przekroczyła dozwolone parametry. Sal nie miał pojęcia, jak temu zaradzić. Ostrzegawcze sygnały rozlegały się jeszcze kilkakrotnie w ciągu kilku następnych godzin, informując o pogarszających się warunkach. Zdenerwowany burczał, że awarii uległ pewnie nie system podtrzymywanie życia, tylko alarmowy, ale niestrudzenie pracował, wymieniając każdą część, do której zdołał dotrzeć, aż w końcu hałas umilkł.

Dobry nastrój Kim już nie powrócił. Nie wybierała się więcej na samotne spacerunki po statku. Trzymała się blisko Sala. Dużo czytała, najwięcej uwagi poświęcając książkom i artykułom z dziedziny, w której się specjalizowała, ale nie gardziła też powieściami, a nawet zabrała się za dzieła Simona Westcotta, filozofa z klasyków drugiego stulecia, który podjął się próby wyjaśnienia, w jaki sposób w zmechanizowanym wszechświecie rozwijała się świadomość.

Od czasu do czasu, gdy zostawała sama, łapała się na tym, że rozmawia z przybyszem.

– Wiem, że tu jesteś – mówiła cicho, starając się, by nie usłyszał jej Sal.

– Dlaczego się nam nie pokażesz?

Więcej nie rozmawiali o obcym, ale ich myśli kipiały jak system oczyszczania ścieków, od czasu do czasu ziejąc trującymi oparami. Nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Przez ostatnie trzy tygodnie Kim nie zauważyła niczego niezwykłego. Próbowwała przekonać samą siebie, że powinna zapomnieć o zjawie, a przynajmniej zepchnąć ją w jakiś odległy zakamarek myśli, tak jak wcześniej usunęła w niepamięć to, co się wydarzyło w Jeziorze Żalu. Tylko że wtedy mogła wyjechać z Severin. Teraz była skazana na statek. Oboje odsuwali od siebie problem, z uporem unikając tematu ducha. Z ich rozmów znikła dociekliwość, zastąpiona ostrożnością, a niegdyś intymne konwersacje nabrały oficjalnego tonu. Czuli się tak, jakby na pokładzie mieli nosorożca, ale żadne z nich nie chciało przyznać, że go widzi.

Ostatniego dnia, gdy szykowali się do skoku, Sal odważył się poruszyć zakazany temat.

– Przykro mi, że tak wyszło – powiedział.

Z jego tonu wynikało, że nie miał jej za złe wcześniejsze zachowanie.

– To nie twoja wina – odparła, starając się nie dopuścić do głosu narastającego w niej gniewu.

– Musimy się zastanowić, czy zgłosimy ten incydent.

Przypuszczała, że chciał wiedzieć, czy przyznałaby się przed władzami, że miała halucynacje.

Oboje byli na mostku. Wszystko przebiegało w jak najlepszym porządku. Zegar odliczał minuty do skoku. Sal czekał, kiedy zapali się lampka gotowości. Potem wystarczyło włączyć przycisk z napisem WYKONAĆ i mogli przeskoczyć do ich świata.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedziała Kim w końcu.

– Słucham.

– Kiedy korzystamy z wewnętrznego nadajnika, skąd wiadomo, że jest używany?

Mięśnie jego zuchwy zadrgały.

– Zadaj to pytanie inaczej. Jak możesz nie wiedzieć, że go używasz?

Kim się nie poddawała.

– Jeśli korzystamy z wewnętrznej łączności, czy na tablicy kontrolnej coś się zapala?

– Tak, tutaj. – Wskazał dwie lampki na konsoli komunikacyjnej. – Kolor pomarańczowy oznacza, że Hama otwiera kanał, a zielony, że można mówić.

– Możesz to sprawdzić?

– Co sprawdzić?

– System. Zobaczyć czy działa.

– Po co, Kim? – zdziwił się.

– Zrób mi tę przysługę i sprawdź to. Proszę cię.

W normalnej sytuacji poprosiłby Hameę, aby otworzyła kanał, ale tym razem musiał sam zasiąść przed konsolą, zajrzeć do podręcznika i wcisnąć kilka guzików.

– I? – spytała Kim.

– Dziwne.

Nie zapaliło się żadne światełko.

– Jakiś problem?

– Powinna się zaświecić lampka oznaczająca gotowość.

– Czyli, że gdyby ktoś coś teraz nadawał, nie wiedzielibyśmy o tym?

Sprawił żarówki. Obie były przepalone.

– Skąd wiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Pomyślałam, że coś takiego mogło się stać.

Ze schowka przyniósł zapasowe żarówki.

– Pewnie uważasz, że to wina intruza, tak?

– Nie podoba mi się to, Sal. – Nagle ogarnęło ją potworne zmęczenie i zapragnęła znowu zobaczyć słońce i prawdziwy ocean. Wirtualne projekcje systemu *Hammera* nie wystarczały jej. Bez względu na to, jak wielkie plaże i morza widziała za oknem, przez cały czas miała świadomość, że znajduje się w zamkniętej komorze. – Kiedy dotrzemy na miejsce? – spytała.

– Około szóstej rano.

Dopiero dochodziła dziesiąta rano, a od skoku dzieliło ich kilka minut.

– Za prawie dwadzieścia cztery godziny? To okropnie długo.

– To z powodu dyferencji czasu w nadprzestrzeni. – Wyjaśnił. – Nigdy do końca nie wiadomo, gdzie się zmaterializujemy. Dlatego lepiej być jak najdalej od Greenway.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Sprawdź uprzęż.

Słyszała jak rośnie moc silników skokowych. Sal włączył zewnętrzne czujniki i teleskopy. Kim siedziała spokojnie, ale nie spuszczała wzroku z lampek łączności.

Gdy została im już tylko minuta, Sal westchnął.

– Naprawdę się boisz, że coś się stanie, prawda?

– Mam wrażenie, że już się stało – odparła. – Zresztą, jeśli chcesz znać moje zdanie, powinniśmy jak najszybciej skontaktować się z Mattem. Chcę mu powiedzieć, co się tu dzieje.

– I jak zamierzasz mu to wyjaśnić? Stwierdzisz, że masz na pokładzie coś, co nie powinno się tu znajdować?

– Właśnie.

Sposępniał.

– Jeśli to zrobisz, możliwe, że jeszcze długo nie będziemy mogli wrócić do domu.

Wystraszysz ich i następne kilka lat spędzimy zamknięci na starym *Hammerze*.

– Nie wiem jak powinniśmy postąpić.

Zegar skończył odmierzenie czasu i Sal włączył przycisk.

Kim poczuła falę zawrotów głowy. Próbowwała zapanować nad oddechem i myśleć o czymś innym. Na przykład o tym, jak dobrze czuła się z Salem, pomimo problemów. I o tym, że w ładowni znajdowało się ciało Emily i ktoś musiał zapłacić za jej śmierć.

Nieprzyjemne wrażenie szybko ustąpiło, a za oknami błysnęły znajome konstelacje. Na jednym z bocznych monitorów pojawiła się rodzinna planeta Greenway i jej księżyce.

– Przejście zakończone – powiedział Sal.

Skinęła głową, nadal wpatrując się w światełka hiperkomu.

Sal połączył się ze Sky Harbor.

– Tu *Hammer*. Podchodzimy na ręcznym sterowaniu. Siadł komputer. Potrzebujemy asysty.

Czekając, aż sygnał dotrze na Greenway i odezwą się kontrolerzy, sprawdził wskazania instrumentów.

– Wszystko wygląda normalnie – stwierdził.

Kim nie potrafiła dojść do ładu z własnymi uczuciami. Bardzo chciała, aby problem znikł. Pragnęła wrócić do domu jako odkrywczyni i cieszyć się z tego, co osiągnęła. Ale jednocześnie chciała udowodnić Salowi – a może też samej sobie – że miała rację, pokazać mu, że zjawy nie była tworem jej wyobraźni. Chciała usłyszeć *czyjeś* przeprosiny.

– *Hammer tu Sity Harbor* – odezwał się kobiecy głos.

– Czekaliśmy na was. Zaczekajcie na eskortę Patrolu. – Kontrolerka podała Salowi kurs i prędkość.

– Nie wygląda to dobrze – powiedział. Skierował statek na podany kurs i włączył główne silniki. Na monitorze nawigacyjnym dalekiego zasięgu pojawił się migający punkt.

– Oto i nasza eskorta.

– Jak są daleko?

– Kilka godzin.

Coś zwróciło uwagę Kim. Jakiś ruch, zmiana światła. Rozejrzała się po kabinie pilota.

Nic się nie zmieniło.

– Jakiś problem? – zapytał Sal.

– Sama nie wiem. – Sięgnęła do konsoli i dotknęła lampek hiperkomu. Były ciepłe! – Chyba znowu się przepaliły – powiedziała.

Zmarszczył brwi i sam je sprawdził. Zasepił się. Usunął pomarańczową żarówkę i obejrzał ją.

– Rzeczywiście.

– Czy jest jakiś inny sposób sprawdzenia, czy łączność jest w danej chwili używana?

– Tak. – Przycisnął jeden z guzików. – Patrol, tu *Hammer*. Czy mnie słyszycie?

– *Hammer*, tu Patrol, jednostka jeden–jeden. Potrzebujecie pomocy? Odbiór. – Tym razem usłyszeli głos mężczyzny. Mówił z akcentem bondolayańskim, silnie podkreślając każde „r”.

– Możecie stwierdzić, czy nadajemy coś na hiperkomie?

– Chwila. – Mężczyzna tonem dał im do zrozumienia, że jego cierpliwość zaraz się skończy. Kim wytarła usta, czekając na jego odpowiedź: Miała wrażenie, że trwa to nieskończenie długo. W końcu ponownie usłyszeli głos. – *Hammer*, potwierdzam. – Oficer wydawał się zaskoczony. Jakim cudem *Hammer* mógł coś nadawać, a pilot nic o tym nie wiedział? – Macie jakiś problem?

– Siadł nam komputer – powiedział Sal, wstając z fotela. – I mamy kilka niegroźnych awarii. – Rozłączył się i biegiem wypadł z kabiny pilota. Kilka minut później wrócił zupełnie błądy. – Miałas rację, Kim. Coś jest w systemie i ten sukinsyn próbuje się porozumieć ze swoimi.

– Po pierwsze na pewno poda im pozycję Greenway. Wyłącz nadajnik.

– Już to zrobiłem.

– Dobrze.

Ponownie wywołał Patrol.

– Tu Hammer, czy podprzeznaczona transmisja została przerwana?

– Nie. – Mężczyzna przez chwilę milczał. – *Hammer*, co się u was dzieje?

– Chyba powinniśmy im powiedzieć – stwierdziła Kim.

– Wolałbym nie. Gdyby nam uwierzyli, posłaliby nam pocisk w odbyt.

– Nie wierzę.

– To uwierz. Sytuacja nagle stała się niebezpieczna.

Nagle?

– Sal, od początku była niebezpieczna. – Kim nie zdołała usunąć z głosu nuty oskarżenia.

Próbował ją przeproszać, ale mu przerwała. Nie ma sprawy. Wszystko w porządku.

Oczywiście nic nie było w porządku, ale w głębi duszy czuła satysfakcję. W końcu się okazało, że to ona miała rację.

Sal ponownie połączył się z Patrolem szczegółowo opisując problemy z mechaniką.

– To się zmienia w koszmar – powiedział do Kim, po czym wyłączył silniki.

– Wspominałeś coś o kluczu maszynowym.

– I chyba będziemy musieli go użyć. Ale cały system znajduje się na niższym poziomie, za panelami. Dotarcie do niego zajmie mi pół godziny albo i dłużej. Nie mamy tyle czasu.

– To co robimy?

– Daj mi chwilę na zastanowienie. – Podał jej latarkę, kazał ją włączyć i otworzył szafkę w ścianie. Usłyszała, jak przestawia coś w środku, odsuwa jakiś panel. Po chwili w kabinie zrobiło się ciemno. Tym razem nie było tak jak zazwyczaj przy wyłączeniu światła, kiedy pomieszczenie rozjaśniał blask lampek konsoli. Zgasło wszystko: monitory, czytniki przyrządów pomiarowych, sygnalizatory, światła ostrzegawcze, cała elektronika. W kabinie zrobiło się zupełnie czarno i cicho. Kim chciała zmienić pozycję i poczuła, że się unosi z fotela. Nie działała sztuczna grawitacja.

Po chwili zaświeciło kilka lampek podłączonych do oddzielnego obwodu. Z tyłu niespodziewanie rozbrzysła latarnia zasilana z akumulatora.

– To go powstrzyma – powiedział Sal.

– Aż boję się pytać – odezwała się Kim – ale czy działa podtrzymywanie życia?

– Nie. Odcięte zostało wszystko prócz silników. Są na oddzielnym obwodzie. Powinno starczyć nam czasu na rozmontowanie nadajnika.

Założyli buty z przyczepnymi podeszwami i zeszli na niższy poziom. Przez podłużne wizjery widzieli ładownię i magazyny. Światło lamp doczepiło długie cienie stosom zapasów żywności, tajemniczego sprzętu, który miał trafić w rejon Taratuby, urządzeniom przetwarzającym odpady i maszynom kontrolującym sztuczną grawitację. Sal z jakiejś szafki wyjął potrzebne mu narzędzia, po czym poprowadził Kim na dziób statku.

Dwa zbiorniki wody mieściły się z przodu w komorach po obu stronach korytarza.

Skręcili do pomieszczenia z prawej burty i uklękli przy baku. Sal przymocował latarkę z małą

magnetyczną podstawą do ściany i zaczął zdejmować jeden z paneli; Kim przez chwilę patrzyła jak pracuje, po czym wstała i wyszła na korytarz. Ze swego miejsca widziała schody w tylnej części kadłuba, oświetlone rzędem lamp awaryjnych.

Poświeciła latarką do doku. Kokpit lądownika wyglądał w jej świetle jak wystająca z podłogi głowa ryby. Okrągłe wzierniki patrzyły prosto na nią.

Sal położył panel obok zbiornika i zajrzał w ciasną przestrzeń za ścianą.

– To chwilę potrwa – powiedział, nurkując za przegrodą. – Muszę usunąć z drogi kilka rzeczy, żeby się dostać do nadajnika. – Zabrał latarkę i znikł.

Otoczyła ją dusząca ciemność.

Słyszała szcęk narzędzi Sala. Od czasu do czasu rozlegał się zgrzyt metalu o metal.

Potem stukanie. Te hałasy podtrzymywały ją na duchu. Wołała trzymać się blisko niego.

Po kilku minutach dobiegł ją pomruk zadowolenia.

– To powstrzyma sukinsyna.

W tej samej chwili u szczytu schodów błysnął krąg światła. Jednocześnie Kim poczuła własny ciężar, który wrócił z siłą potężnego uderzenia w plecy. Choć obie jej stopy stykały się z pokładem, odniosła wrażenie, że wpada w niewidoczną dziurę. Wykręciła kolano i jęknęła.

– Sal – zawołała – następnym razem mnie uprzedź. – Jej głos odbił się echem od ścian.

– To nie ja – odkrzyknął.

Wszędzie ponownie zapaliły się światła. W korytarzu, w komorach, nawet w ciasnej przestrzeni za ścianą.

– Znowu mamy moc!

– Sam widzę. To cholerstwo mało nie wycisnęło ze mnie ducha.

Kim poczuła swąd spalenizny. Po chwili Sal znalazł się przy niej.

– Przynajmniej jeden problem mamy z głowy – oznajmił. – Już nikt się z nikim nie połączy.

– Sal – wyszeptała jak najciszej – dlaczego mamy zasilanie?

– Ktoś musiał je włączyć. – W prawej dłoni trzymał klucz maszynowy.

– I co teraz?

– Pozbędziemy się naszego gościa.

– Jak? Przecież nie potrafimy go znaleźć.

Wrócili na korytarz i przystanęli przy schodach.

Spojrzeli w górę, na podest. Właz na górze był otwarty, tak jak go zostawili.

– Potrzebna nam pomoc – powiedziała.

– Z tym raczej będzie trudno. Właśnie wykończyłem nadajnik.

– Czyli nie możemy się komunikować nawet z najbliższymi jednostkami?

– Tylko z tymi, które usłyszą nasz krzyk. Gdybym umiał, odłączyłbym sam hiperkom. Ale trzeba być pieprzonym inżynierem, żeby połapać się w tym sprzęcie.

– I co dalej?

Sal objął ją ramieniem i na moment przytulił.

– Trzymaj się mnie.

Ruszył schodami w górę i z wyraźną niechęcią wysadził głowę przez otwarte wejście,

rozglądając się we wszystkie strony.

– Niczego tu nie widzę – oznajmił.

Drzwi do wszystkich kabin były pozamykane. Tylko przejście do pomieszczenia rekreacyjnego jak zwykle pozostało otwarte. Zajrzeli do środka, ale niczego nie znaleźli, więc wspięli się na najwyższy pokład.

Z kabiny pilota dobiegł ich cichy pomruk urządzeń. Wszystko znowu działało.

Kim z przerażeniem stwierdziła, że kontrolki błyskały czerwonym światłem. Sal uspokoił ją, wyjaśniając, iż to ostrzeżenie o braku łączności.

Patrol mówił do nich. Pytał co się stało, ostrzegał, że zboczyli z kursu i wzywał, by się zgłosili, zapewniając, że pomoc jest już w drodze. Miała dotrzeć do nich za dwie godziny.

Sal wrócił do schowka i pokazał jej czarną dźwignię odcinającą zasilanie. Znajdowała się w górnym położeniu oznaczonym jako ON.

– Teraz wszystko jasne – stwierdził. – Naprawdę mamy intruza.

– Nie mogła sama się przestawić?

– Nie. Raczej nie powinna samoczynnie włączać i wyłączać zasilania.

– Może powinniśmy mrugnąć Patrolowi światłami? Zasygnalizować im, że nie mamy łączności?

– Sami się domyślą. – Sal opadł na fotel. – To coś niewidocznego, ale materialnego, tak?

W końcu przecież zdołało przesunąć dźwignię.

– Nie – sprzeciwiła się. – Wiemy tylko, że ma jakąś postać, ale nie możemy powiedzieć, że jest „materialne”.

– Wszystko jedno. Czas się tego pozbyć.

– Jak?

– To łatwe. – Ze schowka wyciągnął dwa skafandry ciśnieniowe i podał jej jeden z nich. – Wskakuj w to.

– Dlaczego? Co planujesz?

– Wysadzimy intruza za burtę.

Początkowo nie rozumiała, o czym mówił. Dopiero po chwili się domyśliła, co zamierzał.

– Chcesz rozhermetyzować statek?

– Właśnie. Tylko to przychodzi mi do głowy.

– Doskonale, Sal. Ja nigdy bym na to nie wpadła.

Wzruszył ramionami.

– Widziałem to na jakimś starym filmie.

Zdjęła wierzchnie ubranie i wsunęła się w skafander. Miała coś takiego na sobie po raz pierwszy i potrzebowała pomocy przy zakładaniu hełmu.

– Wszystko w porządku? – spytał ją Sal.

Czuła, że brakuje jej powietrza.

– Tylko spokojnie – powiedział i przestawił coś w urządzeniu przymocowanym do tyłu jej skafandra. – Jak teraz?

– Lepiej. Dzięki.

– Nic się nie bój. – Sal pokazał jej kontrolki w rękawicach, nauczył regulować temperaturę,

mieszankę powietrza i inne funkcje, po czym włożył swój skafander patrząc, jak Kim powtarza wszystkie czynności. Zabezpieczył hełm i sprawdził łączność radiową.

– A teraz pozbędziemy się szkodnika – powiedział.

Umocowali sprzęt osobisty, szczoteczki do zębów, mydło, ubrania i komunikatory. Potem przeszli przez cały statek otwierając każde przejście i każdą wewnętrzną śluzę. Kiedy skończyli, wrócili do kabiny pilota i zajęli miejsca. Kim rozejrzała się wokół i stwierdziła, że o niczym nie zapomnieli.

– Chyba jesteśmy gotowi – powiedziała.

Sal skinął głową, wyłączył nadmuch i odciął dopływ powietrza.

Kim dotknęła przycisku w poręczy fotela, mocując szelki bezpieczeństwa.

– Gotowa – poinformowała.

Sal pochylił się nad konsolą. Jego palce zamigały nad klawiaturą.

– Co się dzieje? – spytała Kim.

– Muszę ominąć kilka zabezpieczeń. Ale teraz już pójdzie z górki.

Ponownie usłyszeli głos oficera Patrolu, który pytał, czy go słyszeli.

– Mrugnijcie światłami, jeśli odbieracie sygnał – powiedział, a po chwili dodał, że ma dla nich komunikat z Instytutu Seabright. – Proszę odpowiedzcie w miarę możliwości.

– Sal, słyszałeś?

– Najpierw interesy.

– No dobrze – zgodziła się.

– Otwieram.

Usłyszała dźwięk dolnego wjazdu obracającego się na łożyskach. Po chwili cichy pomruk zmienił się w dźwięk huraganu. Poczowała wiry wiatru wokół. Silniejszy podmuch próbował wyrwać ją z fotela. Wokół krążyły przedmioty, których nie przymocowali.

Wszystko trwało mniej więcej dwie minuty. Skończyło się tak samo szybko, jak się zaczęło. Na statku zapanowała cisza.

– Mamy próżnię – powiedział Sal.

Odpięli szelki, zeszli na dół do śluzy i wyjrzeni na zewnątrz. Za sobą mieli Heliosa. Na nocnym niebie lśniły trzy jasne gwiazdy Oriona.

– Co ty na to? – spytał.

– Chyba zadziało. Nigdy nie słyszałam, aby jakaś forma życia mogła przetrwać całkowitą dekompresję.

– Jak długo powinniśmy zostawić otwarty wjazd?

– Ze dwie godziny. Mam nadzieję, że po drodze nie zauważyłeś niczego dziwnego?

– Nie.

– Szkoda.

Wrócili do kabiny pilota. Sal zamrugał światłami pozycyjnymi.

– Poinformujcie nas, czy słyszycie transmisję – usłyszeli odpowiedź. – Jedno mrugnięcie na tak. Dwa na nie.

Sal mrugnął raz.

– Czy jesteście w niebezpieczeństwie?

Dwa mrugnięcia. I tak nie miało to znaczenia. Kim wiedziała, że pomoc nie dotrze do nich szybciej.

Patrol spytał, czy pilot ma kontrolę nad statkiem.

Sal znowu raz błysnął światłami.

Czy mogli przejść na inny kurs?

Jedno mrugnięcie.

Obrali nowy kurs i dostosowali prędkość. Zaczęli też odpowiadać na pytania o stan *Hammera*. W końcu jednostka Patrolu z zadowoleniem orzekła, że nie ma bezpośredniego zagrożenia i przełączyła na odbiór transmisji z Instytutu.

– Halo – usłyszeli głos Matta. – Sal, nic ci nie jest? Kim? U was wszystko w porządku?

Sal błysnął raz światłami i usłyszeli jak Patrol odpowiada: *Tak*".

– Powiedzieli mi, że macie problemy z łącznością i nie możecie nadawać. – Matt mówił z wyraźną ulgą.

– Ale według nich nic wam nie grozi i wkrótce was stamtąd ściągną. Cieszymy się, że wróciliście. Dyrekcja chyba nie jest do końca zadowolona, ale przynajmniej odzyskała swój statek. Może nie wniesie przeciwko wam oskarżenia. Za kilka godzin wyjeżdżam po was.

Spotkamy się w Sky Harbor. Poszcęściło się wam?

– Nie masz wrażenia, że jest przygnębiony? – spytał Sal. – Co mam mu odpowiedzieć?

– *Że tak*.

Sal mrugnął raz.

– Czy to znaczy, że coś znaleźliście?

Tak.

– Inteligencję?

Wiedziała, że nie powinni o tym rozmawiać publicznie, ale Matt nie mógł się powstrzymać.

Tak.

– Spotkamy się w doku.

Rozłączył się.

– Pozew do sądu dostaniemy pewnie natychmiast, jeśli Phila nie zadowolą rezultaty – powiedział Sal.

– A tak będzie. Spotkaliśmy obcą istotę i zabiliśmy ją. – Przez chwilę milczała. – Może spróbujemy uruchomić SI – zaproponowała wreszcie. – Sprawdzimy czy działa.

– Hamo, jesteś tam? – spytał Sal.

– *Jestem, Sal*.

Kolejny dobry znak. Sal odetchnął.

– Dzięki Bogu – powiedział.

– Czy jesteś w pełni sprawna? – chciała wiedzieć Kim.

– *Tak. Tak sądzę*.

– Wiesz, co się z tobą stało?

– *Kontrolę...*

– Tak?

– *...przejęła nade mną...*

– Słuchamy cię, Hamo.

– *jakaś inteligencja.*

– Sztuczna?

– *Nie wiem.*

– Czy wciąż tu jest?

– *Nie stwierdzam jej obecności. Choć podejrzewam, że mogłaby się przede mną ukryć, gdyby chciała.*

– Co możesz nam o niej powiedzieć?

– *Nie mam jej w katalogu*

– Czy była to forma biologiczna? – Kim zadawała pytania, a Sal słuchał.

– *Nie sądzę. Można ją określić jako molekularną, zasilaną przez pola elektryczne, prawdopodobnie powstające w wyniku aktywności kwantowej. Była zupełnie unikalna.*

Domyślam się, że została stworzona do konkretnego celu.

– Jakiego?

– *Sądzę, że miała przejąć statek kosmiczny.*

– Zastanawiam się, czy nie miała nas zatrzymać zanim opuściliśmy system Alnitaka? – wtrącił Sal.

– Wszystko możliwe – przyznała Kim. – Musiałyby bardzo szybko działać.

– *Sądzę, że miała też inną funkcję. Związaną z nami.*

– Czyli jaką?

– *Pozostać przy statku i poinformować swego... – SI szukała odpowiedniego słowa – ...poinformować swego nadzorującego o tym, dokąd się udamy.*

– Kim jest jej nadzorujący?

– *Nie wiem.*

– Ten, kto za tym wszystkim stoi, musiał być kretyńcem – mruknęła Kim. – Po co przejmować statek, nie próbując się nawet przedstawić?

– Co jeszcze wiesz o strukturze istoty? – zapytał Sal.

– *Wykryłam wolne cząsteczki wodoru. Metan. Tlen. Ale istota nie miała żadnej spójnej postaci.*

– Duch – stwierdziła Kim.

– *Nie rozumiem odniesienia do ludowych opowieści.*

– Nic nie szkodzi – powiedział Sal. – My też nie.

– Jedna z tych istot krąży w okolicy Jeziora Żalu.

Sal przytaknął.

– Chyba masz rację.

– *Hammer* – odezwał się oficer Patrolu. – Czy prowadzicie jakieś prace na zewnątrz statku?

Sal mrugnął dwukrotnie. Nie.

– Macie otwartą śluzę.

Chyba już się pozbyli intruza... Sal zamknął właz, otworzył kanały powietrzne i włączył pompy. Czterdzieści minut później konsola zapaliła się na zielono i mogli zdjąć skafandry.

– Co teraz? – spytał, wciągając na siebie ubranie.

– Wracamy do domu – powiedziała. – I mówimy o wszystkim Mattowi. Instytut musi znaleźć jakiś sposób na dokładne przeszukanie statku, aby mieć pewność, że pozbyliśmy się obcego. Potem możemy bez przeszkód czekać na gratulacje świata.

Sal odpowiedział jej zwykłym *aha*.

Jednostka Patrolu znajdowała się teraz w zasięgu ich wzroku. Patrzyli, jak przechodzi z lewej burty na prawą, najwyraźniej przeprowadzając wizualną inspekcję. Była mniejsza niż

Hammer, ale sprawiała wrażenie szybkiej i groźnej. Talerz anteny obracał się powoli.

– *Hammer*, przygotujcie się do przyjęcia nas na pokładzie. Błyśnijcie raz światłami, na potwierdzenie.

– To nie jest rutynowe postępowanie – stwierdził Sal. – Pewnie mają rozkaz nas zatrzymać.

– Wszystko się wyjaśni, kiedy Matt... – Na twarzy Sala pojawił się wyraz zdumienia. – Co się stało? – spytała.

Uciszył ją i przytknął dłoń do ucha. Silniki zmieniły ton. Główne zaczęły pracować głośniej. Kim zagłębiła się – a raczej została wepchnięta – w siedzenie. Zmieniali kurs.

przyspieszali.

– Co do diabła...? – Sal przełączył kilka przycisków na konsoli kontrolnej.

Patrol zażądał, aby wrócili na wyznaczony kurs i zwolnili.

– Co się stało? – zapytała ponownie.

– Nie wiem. *Hamo*, co się dzieje? *Hamo*?

Główne silniki nadal zwiększały moc.

– Statek jest szykowany do skoku – stwierdził Sal.

– To cholera nadal tu jest – wyszeptała Kim ledwo dosłyszalnie.

Sal raz jeszcze przeszedł na ręczne sterowanie i pociągnął dźwignię awaryjnego wyłączenia silników. Bez skutku. Nadal przyspieszali.

– Zabiera statek. – Kim poczuła, jak strach zaciska się jej wokół żołądka. – Do siebie.

– Nie da rady. – Sal ponownie wszedł do schowka. Wiedziała, że chce raz jeszcze odciąć dopływ zasilania.

Usłyszała, jak zdejmuje panel i pociąga za dźwignię.

– Cholera. To nie działa. Sukinsyn ominął obwód.

– Co możemy zrobić?

Sprawdził panel kontrolny.

– Wraca do domu – stwierdził – i zabiera nas ze sobą.

– Możemy odłączyć silniki?

– Nie, jeśli nie uda się nam odciąć zasilania. Mamy za mało czasu.

Kim rozpięła pasy bezpieczeństwa.

– To może spróbujemy wałnąć je kluczem maszynowym?

– Prawdopodobnie natychmiast by wybuchły. Jest bezpieczniejszy sposób.

Wyszła za nim na korytarz. Zeszli w dół po schodach.

– Coś podobnego? To tutaj jest mechanizm autodestrukcji?

– Mniej więcej. Wystarczy tylko za wcześnie włączyć silniki skoku. Zanim będą gotowe.

Dojdzie do przeciążenia. Masz dyskietkę?

– Co? Co chcesz zrobić?

– Wysadzić statek w powietrze. Pospiesz się.

Miał na myśli dyskietkę z transmisjami *Huntera*. Wpadła po nią do kabiny.

– Weź też swój komunikator – powiedział.

Chciała zabrać jeszcze kilka innych rzeczy, ale wyglądało na to, że nie zdążą się spakować.

– Mówiłeś przecież, że są zabezpieczenia.

– Przecież musiałem je wcześniej ominąć. – Pospiesznie zeszli na dolny pokład.

– Jak to zrobić i nie dać się zabić?

– Z ładownika – wyjaśnił. – Ale musimy działać szybko.

Wyjęli ciało Emily. Sal poprowadził do doku i zatrzymał się przed tablicą kontrolną.

– Nigdy dotąd nie musiałem tego robić w ten sposób – powiedział wpisując komendę. W

ładowniku otworzyły się dwa włazy, jeden do kokpitu, a drugi do ładowni. W ładowni zabezpieczyli ciało Emily, a sami zajęli miejsca w kokpicie. Sal usiadł w fotelu pilota i zaczął włączać przyciski. Włączył zasilanie. Po chwili spojrzął na Kim zdenerwowany.

– Zapomniałem o czymś – powiedział. – Nie ruszaj się stąd. Zaraz wrócę.

Lekko ścisnął jej nadgarstek i wy dostał się z ładownika. Patrzyła, jak przebiegł przez dok i wypadł na korytarz. Co mogło być aż tak ważnego...?

Właz zamknął się i uszczelnił. Spojrzała na pusty dok.

– Sal?

Silnik ponownie zmienił ton.

Próbowała wezwać go przez komunikator.

– Sal, gdzie jesteś?

Wejście z doku na korytarz zamknęło się. Ogarnął ją potworny strach.

– *Sal!*

– Kim – usłyszała jego głos z komunikatora. – Kim, przepraszam.

– *Nie!* – wrzasnęła do niego. – *Nie możesz...*

– Nie mam wyboru, Kim, Posłuchaj mnie...

– Nie rozumiem, dlaczego?

– Nie mogę wysadzić *Hammera* z ładownika.

– Ale mówiłeś...

– Skłamałem, przepraszam. Skłamałem. Gdybym tego nie zrobił, uparłabyś się, żeby zostać, a ja nie mógłbym na to pozwolić.

– To się wycofaj. Pozwól, żeby zajął się tym Patrol. Oni przecież mogą rozwalić statek. –

Próbowała otworzyć właz i wydostać się z ładownika, ale mrugające czerwone światła oznaczały, że na zewnątrz zaczęło spadać ciśnienie. Ładownik był szczelnie zamknięty.

– Nie ma na to czasu, Kim. Nie zaatakują statku Instytutu na naszą prośbę. Obcy ucieknie, zabierając ze sobą *Hammera* i tamci się dowiedzą, gdzie jesteśmy.

– Proszę cię, Sal – zaszlochała. – Nie rób tego.

Poczuła, że ładownik się porusza, wysuwa poza statek.

– Ja nie potrafię tym kierować.

– Nie musisz. Zostaniesz automatycznie wyprowadzona z doku. Potem po prostu każ komputerowi, żeby cię zabrał do jednostki Patrolu. Albo zaczekaj na nich.

– Sal, ja nie chcę żyć bez ciebie.

– Wiem, kochanie. Zawsze to wiedziałem.

Zadudniła pięściami o właz.

– *Nie, Sal. Nie nie nie nie...*

– Żegnaj, Kim. Nie zapomnij mnie.

Zacisnęła powieki, spod których popłynęły łzy. Silniki ruszyły gwałtownie. Z cichym gwizdem włączyła się funkcja startu. Ładownik został wyrzucony z doku i po chwili Kim znalazła się wśród gwiazd.

Do kokpitu wdarł się obcy głos. Patrol.

– ...Ładownik. Co się dzieje? Proszę o informacje.

– Nie rób tego, Sal – wrzeszczała Kim. – Wracam do ciebie. Ładownik, zabierz mnie na *Hammera*.

W tej samej chwili kabinę rozjaśnił nagły błysk. Usłyszała głos oficera Patrolu.

– *Święty Boże.*

Prawdziwi przyjaciele są naszą największą radością i największym smutkiem. Aż żal, że wszyscy szczerzy i wierni przyjaciele nie odchodzą tego samego dnia.

Francois Fenelon,

w dzień śmierci Duc de Chevreuse, 1714 n.e.

Kim prawie nie pamiętała chwili, kiedy przejął ją Patrol. Dali jej coś na uspokojenie i zostawili przy niej policjantkę, żeby pilnowała jej, dopóki środek nie zacznie działać. Zapadła w koszmarne sen, w którym Sal żył, miał się dobrze i rozmawiał z nią, jakby nigdy się nic nie stało, ale miała świadomość tego, że zginął. Wiedziała, że to tylko chwilowa ulga przed powrotem do rzeczywistości.

Jak przez mgłę pamiętała nosze, windę w Sky Harbor i moment, gdy wsadzano ją do flyera.

Kiedy powróciła do prawdziwego świata, stwierdziła, że składał się z białej pościeli, niewygodnej poduszki i Matta Flexnera. Za nim dostrzegła rozmytą sylwetkę drugiego człowieka.

– Jak się czujesz, Kim?

Miała luki w pamięci. Przypominała sobie lądownik, ale nie wiedziała, jak się w nim znalazła. Pamiętała, że znaleźli Emily, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób ją namierzyli.

Wiedziała, że Sala nie ma. Świadomości tej towarzyszyło ogólne odrętwienie.

– Dobrze – odparła. – Czuję się dobrze.

– Powiesz nam, co się stało?

Osoba stojąca z tyłu nagle zbliżyła się, zyskując ostrość kształtów. Kanon Woodbridge.

Ubrany w luźne, czarne spodnie i szary pulower. Nie widziała go od tamtego wieczoru, kiedy inicjowali projekt Latarnia. Podszedł do niej, próbując się uśmiechnąć, przysunął krzesło do jej łóżka i przywitał się z nią.

Kim odpowiedziała mu uprzejmie, po czym odwróciła się do Matta.

– Sal nie żyje.

– Wiemy. Jak to się stało?

– Gdzie jesteśmy?

– W Szpitalu Przyjaźni. Nic ci nie grozi. Zostałaś zwolniona.

– Tam coś jest. Kosmici.

Woodbridge przyglądał się jej dłuższą chwilę.

– Co się stało? – zapytał. – Skąd wzięliście ciało Emily?

Powoli wszystko do niej wracało, choć szczegóły nadal jej umykały.

– Tamci ją zostawili – powiedziała.

– Gdzie?

– Przy Alnitaku.

– *Gdzie?* – zdumiał się Woodbridge.

– To jedna z gwiazd w gwiazdozbiornie Oriona – wyjaśnił Matt.

Widziała, jak Woodbridge'owi pulsuje żyła w szyi.

– Proszę cię Kim, wyjaśnij nam co zaszło – powiedział zaskakująco łagodnie.

Opisała wszystko. Opowiedziała, jak próbowali wydedukować, dokąd trafił *Hunter*. Jak na podstawie fragmentów transmisji między statkiem Tripleya, a nieznaną jednostką ustalili ich położenie. Pokazała dyskietkę. Scharakteryzowała obiekt, który ich ścigał i to, jak Sal wyszedł na zewnątrz, próbując się pozbyć intruza.

– Ale się nie udało – powiedziała. – Coś dostało się na pokład i próbowało przejąć kontrolę nad statkiem.

– Jesteś pewna Kim? – spytał Matt.

– Tak. Wszystko jest w dzienniku pokładowym statku.

– Niewiele z niego zostało – powiedział cicho.

No tak. Jej umysł wciąż pracował na pół gwizdka. *Hammer* zginął. A Sal razem z nim.

– W tej chwili nie ma to znaczenia – odezwał się Woodbridge. – Nieważne co się stało, już jest po wszystkim.

– Trzeba przestrzec ludzi przed wyprawami w rejon Alnitaka – powiedziała Kim. – I w ogóle w całą tamtą strefę. Objąć ją kwarantanną. Trzymać innych z dala.

Woodbridge zmarszczył brwi.

– To raczej niemożliwe.

– Dlaczego? Te istoty są wrogie, Kanon.

– I właśnie dlatego nie możemy tego zrobić. Posłuchaj... – Odwrócił krzesło, przysunął je bliżej łóżka, położył ręce na oparciu i wsparł na nich brodę. – Wierz mi, gdyby się dało, zrobilibyśmy to, ale nie mamy jak narzucić ludziom takiego zakazu. Nie możemy tego zrobić nawet wobec statków zarejestrowanych na Greenway, nie wspominając już o innych.

– No to opublikujcie ostrzeżenie.

– Jak sądzisz, co by się stało, gdybyśmy tak postąpili? – Zniżył głos na znak, że rozmawia z nią o sprawach poufnych.

– Każdy prywatny statek zdolny do dalekich podróży kosmicznych, od razu udałby się w tamten rejon – powiedziała.

– Właśnie. Dokładnie tak by było. – Spojrzał na Matta. – Twój obecny tu kolega już zastanawia się, czy samemu tam nie polecieć, mam rację Matt?

– Nie, jeśli te stwory rzeczywiście są takie groźne.

Woodbridge zdobył się na uśmiech.

– Ktoś w końcu dałby obcy nasz adres. Jeśli twoja wersja wydarzeń i ich interpretacja są właściwe, mamy poważny problem.

– Co więc zamierzacie?

– Nic.

– Słucham?

– Nic. Zupełnie nic. Chcemy trzymać ludzi z dala od tamtej strefy. Musimy się skupić głównie na tym.

– Przed chwilą powiedziałaś, że nie możecie tego zrobić.

– Powiedziałem tylko, że nie możemy wydać takiego zakazu. Ani nikogo ostrzegać. Tam i tak nikt nie podróżuje. Kiedy po raz ostatni prowadzono badania w rejonie Alnitaka?

– Dwieście lat temu – odparł Matt.

Woodbridge z satysfakcją spojrział w sufit.

– I właśnie o to mi chodzi. Alnitak leży daleko, nikomu się nie pali do podróży w tamte strony i nie jest to popularny region turystyczny. Jeśli nic nikomu nie powiemy, możemy śmiało przypuszczać, że w najbliższym czasie nikt się tam nie wybierze.

– A później? – spytała Kim.

– Rząd po cichu zacznie przygotowania. Przypuszczam, że wyślą tam jakieś zautomatyzowane sondy. Powinniśmy zbadać tamtą strefę, nie narażając się na niepotrzebne ryzyko. Oczywiście ważne jest, by poza tą salą nikt nie wspomniał o obcych istotach. – Spojrzał na Kim.

– Jestem pewien, że możemy liczyć na twoją dyskrecję.

– Spodziewałam się fanfar na powitanie – spróbowała zażartować.

Niepewny cień uśmiechu przemknął przez twarz Woodbridge'a.

– Coś się da załatwić. – Wstał i odwrócił się do Matta. – Oczywiście Instytut zrezygnuje ze stawianych zarzutów.

– Nie sądzę by Phil tak łatwo to przełknął.

– Będzie musiał. Trzeba zapomnieć o całym incydencie. Statek nie został skradziony, a pomyłka wynikła z awarii łączności.

– Powiem mu, czego oczekujesz – zgodził się Matt.

– Ale jak wyjaśnimy stratę *Hammera* naszemu zarządowi?

Woodbridge włożył marynarkę i ruszył ku drzwiom.

– Nie wiem. Jeszcze nie zakończyliśmy śledztwa. Powiedz Agostino, że dziś po południu do niego zadzwonię i powiadomię, co spowodowało wypadek. Bo to był wypadek. – Spojrzał na Kim, choć przez cały czas mówił do Matta. – Na kiedy planujecie detonację następnej nowej?

– Za kilka tygodni.

– To ma być już trzecia.

– Tak.

– Ta, która ustali sekwencję w czasie? Identyczne interwały między eksplozjami?

– Właśnie.

– Odwołajcie ją.

– Jak to *odwołajcie*? – Matt sprawiali wrażenie zdruzgotanego. – Nie możemy tego zrobić.

– Sądzę, że Rada przyzna mi rację, iż w obecnych okolicznościach obwieszczenie naszej obecności nie jest rozsądne.

– Ale Kanon, światło nowych dotrze do Alnitaka za tysiąc lat.

– Matt. – Atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się gęsta. – Za kilka dni otrzymasz nakaz sądowy odwołujący operację z przyczyn zagrożenia dla środowiska. Znajdziesz tam tylko słowo „zawieszenie”, ale nie powinieneś planować kolejnych eksplozji.

Matt spojrział na Kim. Widziała, że obarcza ją winą za wszystko.

– Powinieneś wiedzieć coś jeszcze, Kanon – odezwała się. – Na statku była obca istota...

– Tak?

– Jest jeszcze jedna taka sama, albo bardzo do niej podobna, w dolinie Severin.

Zmarszczył czoło.

– Duch z Severin?

– Tak. – Kim zauważyła, jak Woodbridge zerka na Matta. Za wiele dziwacznych historii jak na jeden dzień.

– Sprawdzimy to – obiecał.

– To się wcześniej nie zdarzyło, prawda Kanon? Mam na myśli zatuszowanie wydarzeń?

Pogłaskał się po podbródku, najwyraźniej zdumiony jej pytaniem.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– O tym, co miało miejsce dwadzieścia siedem lat temu.

– Ach tak. *Hunter*. Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. – Dostrzegł powątpiewanie na jej twarzy. – Tobie bym nie kłamał, Kim.

– Rozumiem.

W drzwiach zatrzymał się na chwilę.

– Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa. I przykro mi z powodu Sala.

W domu entuzjastycznie powitał ją Shepard. Cieszył się, że znowu ją widzi po tak długiej nieobecności. Powiedział, że się zmartwił na wieść o nieszczęśliwym wypadku. No i ogromnie jej współczuł z powodu śmierci Sala, którego lubił.

Czekały na nią wiadomości.

Większość zostawili przyjaciele i krewni. Niektórzy udzielali jej rad, inni cieszyli się, że nie okazała się złodziejką. Instytut już wydał oświadczenie wyjaśniające, że cała sprawa z porwaniem *Hammera* była zwykłym nieporozumieniem. Znalazło się kilku prawników, którzy się upierali, że powinna kogoś pozwać do sądu. Przeważnie winili Instytut, jako że dopuścił do użytkowania statek z wadliwymi silnikami albo radzili wszcząć proces o zniesławienie. Sheyel się o nią niepokoił i uważał, że incydent miał związek z *Hunterem*. Był zdumiony i wdzięczny jej za to, że posunęła się aż tak daleko, próbując spełnić jego prośbę.

Niecierpliwie oczekiwał wieści od niej. Chciał usłyszeć, czego się dowiedziała.

Władze podały, że Emily zmarła w wyniku poważnych ran brzucha i klatki piersiowej.

Prawdopodobnie zostały zadane laserem. Cała planeta plotkowała o skandalu. Przypuszczano, że na pokładzie doszło do kłótni kochanków i dziewczynę wyrzucono przez śluzę powietrzną.

Kane i Tripley mieli rzekomo działać w zмовie i zamordować obie kobiety, podobno dlatego, że odmówiły udziału w jakimś dziwaczny rytuale seksualny. Pisano, że życie na

Hunterze przypominało wielką orgię, a morderstwo popełniono w noc, gdy załoga oddawała się rozpuście. Tripleya i Kane'a posądzano o homoseksualizm i twierdzono, że obaj panowie zmęczeni spełnianiem zachcianek kobiet, zabili jedną z nich, pokazując drugiej, co ją czekało w razie nieposłuszeństwa. Władze obiecywały przeprowadzić drobiazgowo dochodzenie.

Tymczasem reputacja obu mężczyzn legła w gruzach. Kim było z tego powodu niezmiernie przykro.

Benowi Tripleyowi także. Stale musiał się bronić przed dziwaczny zarzutami, które spadły na niego istną ulewą. Tora Kane opublikowała zwięzłe oświadczenie, w którym zaprzeczała, jakoby jej

ojciec kiedykolwiek celowo skrzywdził drugiego człowieka.

Następnego dnia w gazetach pojawiły się domniemania o tym, ilu obrońców Pacyfiki zginęło z ręki Kane'a podczas ostatniej wojny.

Według oficjalnej wersji, Emily zginęła w miejscu oddalonym o setki lat świetlnych od Alnitaka. Nie chciano wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania tą strefą.

Kim nadal nie miała pojęcia, jak i dlaczego zginęły obie kobiety. Czuła się odpowiedzialna za zarzuty wysuwane przeciwko Tripleyowi i Kane'owi, ale nie mogła wykluczyć tego, że popełnili czyny, o które ich obwiniano. Przecież Emily i Yoshi nie zabiły się same.

Po powrocie do Instytutu spotkała się z chłodnym przyjęciem. Przyjaciele Sala – a miał ich mnóstwo – zastanawiali się głośno, nawet w jej obecności, jaka sprawa była tak ważna, że musiał zapłacić za nią życiem. Dziwili się, jakim cudem ona zdołała wyjść z opresji cało, bezpiecznie siedząc w ładowniku, podczas gdy on został na statku, na którym według oficjalnej wersji doszło do „przeciążenia” silników skoku. Stale zarzucali ją pytaniami. Jej wyjaśnienia, że ona i Sal chcieli sprawdzić pogłoski o pierwszym kontakcie, uznali za mało przekonujące. Zaczęto ją traktować jak trędowatą.

Agostino ponownie ją zatrudnił, ale nie wpuścił do swego gabinetu, gdy chciała z nim porozmawiać. Dowiedziała się, że winił ją za odwołanie projektu Latarnia. Mattowi powiedziała, że przecież projekt i tak nie miał już sensu.

– Nie o to chodzi – odparł. – Wiele osób poświęciło mu całe życie. Poza tym dzięki Latarni zdobywaliśmy fundusze. Nikt inny nie wie tego lepiej od ciebie. Publika nie ma pojęcia o tym, że projekt stał się niepotrzebny. Uważają, że okazał się niewypałem.

Gdy Kim otrzymała pozwolenie zabrania ciała Emily, zorganizowała skromny pogrzeb.

Ceremonia odbyła się w piękne kwietniowe popołudnie, pod pogodnym niebem. Na jej miejsce Kim wybrała gaj niedaleko od Instytutu. Przyszło mnóstwo przyjaciół i krewnych.

Stawili się Rycerze Głębin, oferując jej wsparcie, pytając, jak się czuła i składając kondolencje.

Dwa dni później odbyła się podobna uroczystość pożegnania Sala.

Miała miejsce na odsłoniętym wzgórzu, blisko oceanu. Przyszła rodzina Sala. Większość osób Kim widziała po raz pierwszy. Tym razem Rycerze Głębin zebrali się pod powiewającym proporcem ze znakiem ich klubu, trójzębem na białym polu. Przybyło mnóstwo ludzi z Instytutu. Nawet Agostino się pokazał.

Zgodnie z obyczajem, przyjaciele Sala występowali przed tłum, by powiedzieć o nim kilka słów. Pozostali słuchali ich, wycierając oczy.

Znad oceanu wiał wiatr. Kompozytor, którego Sal kiedyś wiozł z Ziemi, i z którym później się zaprzyjaźnił, napisał dla niego pieśń „Choć jutro nigdy nie nadejdzie”.

Przyprowadził ze sobą śpiewaczkę, która wykonała utwór. Kim słuchała melodii czując, jak po policzkach płyną jej łzy.

W końcu, tak jak się spodziewała, wywołano jej nazwisko.

Wskazał ją brat Sala, stojący wśród Rycerzy.

– Kim Brandywine – powiedział – kobieta, za którą Sal oddał życie. – Wszyscy spojrzeli na nią wyczekująco. – Kim, może podejdziesz do nas i powiesz kilka słów.

Miała nadzieję, że zostawią ją w spokoju, ale nie mogła tego uniknąć. Choć tyle była mu winna i

dlatego przygotowała krótkie pożegnanie. Wcześniej wzięła środek uspokajający, mając nadzieję, że dzięki temu zdoła nad sobą zapanować, ale nie zmniejszył on jej żalu i rozgoryczenia. Przez chwilę miała w głowie pustkę. Zapomniała wyuczoną na pamięć mowę.

Zamiast niej, jękając się, wygłosiła jak automat kilka banałów.

– Był najbardziej bezinteresownym mężczyzną, jakiego znałam... – Na horyzoncie dostrzegła znikający żagiel. Wydał się jej mniej realny niż morskie krajobrazy, które obserwowała w oknach *Hammera*, gdy Sal był przy niej.

Słońce świeciło jasno na pustym niebie.

– ...nie byłoby mnie tu dzisiaj...

Powstrzymała łzy cisnące się do oczu i na koniec podniosła głos, aby pokonać szum wiatru.

– Boże pomóż mi, kochałam go...

Para mew poszybowała nad falami.

Usłyszała głos dziecka stojącego na przedzie.

– To dlaczego go zostawiła, mamusiu?

Gdy skończyła, brat Sala podziękował jej uprzejmie, wezwał jeszcze kilku mówców, po czym ogłosił, że w południowym pawilonie przygotowano poczęstunek. Uroczystość dobiegła końca.

Kim stała długo w miejscu, nie mogąc się ruszyć. Wielu spośród Rycerzy Głębin podchodziło do niej i składało kondolencje. Nagle ze zdumieniem zauważyła w tłumie bystre, niebieskie oczy Sala. Należały do młodej kobiety o długich, ciemnych włosach.

– Nazywam się Patrycja Case – przedstawiła się nieznajoma. – Jestem siostrą Sala.

Chciałam tylko przyjrzeć się pani. – Wyrzucała z siebie słowa jak kawałki lodu, starając się powstrzymać od płaczu. Po chwili odeszła.

Po raz pierwszy w życiu Kim widziała w oczach drugiego człowieka tak wielką pogardę dla niej.

– To nie jest tak, jak pani myśli – zawołała za kobietą. – Wcale nie tak...

Media przedstawiły ją w podobnym świetle: jako bezradną pasażerkę misji naukowej, którą trzeba było ratować, kiedy wkrótce po opuszczeniu nadprzestrzeni doszło do nagłej awarii silników.

Kontaktowano się z nią prosząc o wywiady, proponując udział w programach dyskusyjnych i składając lukratywne oferty w zamian za wyłączność na opowieść o tym, co się wydarzyło na *Hammerze*. Wszystkim odmawiała.

W domu zastała wiadomość od Bena Tripleya. Odtworzyła ją i zdumiała się. Tripley patrzył na nią ze smutkiem i życzył jej jak najlepiej. Spodziewała się, że obarczy ją winą za zniszczenie reputacji jego ojca i przypomni, iż przestrzegał do czego mogą doprowadzić jej działania. Tymczasem on przemilczał zarzuty i powiedział tylko, że wszystkim w takich chwilach jest trudno. Wyrzucił też żal z powodu tego, co spotkało Emily. – Nie wiem, co się stało – powiedział – i nie potrafię sobie tego wyobrazić. Ale jest mi niezmiernie przykro. Żałuję, że nie da się tego zmienić.

Jak miała mu odpowiedzieć? Od początku miałaś rację? Ja też nie wiem, co wówczas zaszło, ale może twój ojciec jest niewinny. Co się stało, to się nie odstanie. Może gdyby Kil Tripley i Kane

wyjaśnili po powrocie do domu, co się wtedy stało, wszystko byłoby w porządku. *To nie moja wina.*

Długo nad tym myślała, aż w końcu nagrała wiadomość, dziękując Tripleyowi i mówiąc, że po zakończeniu śledztwa imię jego ojca na pewno zostanie oczyszczone. Potem obejrzała nagranie, stwierdziła, że jest potworne i skasowała je.

Długo zwlekała z telefonem do Sheyela. Po raz kolejny nie wiedziała, co mu powiedzieć.

Nie miała ochoty kłamać, ale umowa z Kanonem Woodbridgem zabraniała jej zdradzać, co się wydarzyło. Mimo to, musiała z kimś porozmawiać, a został jej tylko Sheyel.

Wystukała na klawiaturze jego kod. Po chwili zobaczyła na monitorze fotel z poręczami rzeźbionym w smoki. Potem Sheyel wszedł w zasięg kamery i usiadł.

– Kim, cieszę się, że cię widzę. – Miał na sobie ciemnobrązową opończę.

Przez chwilę rozmawiali o błahych sprawach. Wiedziała, że niecierpliwie czeka na informacje o wyprawie *Hammera*. Wydał jej się bardziej blady i wychudzony niż ostatnim razem. Zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością.

– Niewiele mogę ci powiedzieć. Chciałam tylko dać znać, że nic mi nie jest.

– Rozumiem. Jego srebrne włosy i broda wyglądały nieporządnie. Przypuszczała, że nie potrafił pogodzić się ze smutną wieścią o Yoshi. – Straciłaś przyjaciela – powiedział.

– Sala Hobbsa. Tak.

– Czytałem o tym, co zrobił. Tacy przyjaciele rzadko się trafiają. – Sięgnął w bok i podniósł kubek. Unosiła się z niego para. – Co teraz zamierzasz?

Dobre pytanie.

– Powinam przeprosić Bena Tripleya – przyznała.

– Kiedy to zrobisz?

– Może jutro, jeśli uda mi się z nim umówić.

– Wybierzesz się tam osobiście?

– Tak. Chyba powinnam. Zresztą, chcę się bliżej przyjrzeć *Valiantowi*?

– *Valiantowi*?

Nie chciała o tym wspominać, ale skoro i tak już wiedział...

– Statkowi z fresku – powiedziała. – Pamiętasz model, o którym ci wspominałam?

– O tak. Jak mógłbym zapomnieć?

Wydawało jej się, że w jego oczach dostrzegła coś dziwnego, ale pomyślała, że to tylko odbicie światła.

Sekretarka Tripleya powiedziała, że może ją umówić na spotkanie następnego dnia po południu, pod koniec pracy. Kim się zgodziła. Potem połączyła się z Torą Kane.

Tora odebrała od razu. Tylko na audio.

– Słucham Kimberly. Czego chcesz?

Kim sądziła, że córka kapitana *Huntera* powinna wiedzieć, gdzie znajdował się dziennik pokładowy. Tylko ona została.

– Chcę cię przeprosić. Wiem, że to był dla ciebie trudny okres.

– Chciałam tylko, żeby ktoś mi wyjaśnił, co zaszło.

– Tora na moment przerwała i Kim usłyszała w tle szum oceanu. – Masz do mnie coś jeszcze?

– Tak. Nie wierzę, że twój ojciec był odpowiedzialny za śmierć mojej siostry i Yoshi.

– Trochę na to za późno. – Tora z trudem powstrzymywała gniew. – Zdążyłaś zrujnować jego dobre imię. Wiesz o tym, prawda? Zniszczyłaś go. – Jej głos załamał się niespodziewanie. Przełknęła łzy i odetchnęła głęboko. – Ideały, dla których żył, jego osiągnięcia, wszystko przepadło. To, co o nim teraz mówią, to kłamstwo.

– Może zdołamy dotrzeć do prawdy.

– Pewnie. Chcesz prawdy? Wstąp do muzeum i sama zobacz, jak wygląda. – W głosie Tory usłyszała jad.

– Coś jeszcze?

Tak! Gdzie są dzienniki z Huntera?

– Może masz materiały, które dowiodłyby, co naprawdę się wydarzyło podczas tamtej misji albo wiesz gdzie tego szukać?

Tora milczała. Kim żałowała, że nie widzi jej twarzy.

– Nie – usłyszała w końcu, ale wahanie w głosie rozmówczynie zdradziło, że nie mówiła prawdy.

– Toro, niczego nie osiągnę bez twojej pomocy.

– Zrób mi przysługę i nic już nie rób, dobrze? Nie potrzebuję twojej pomocy – powiedziała Tora i przerwała połączenie.

Kim podeszła do okna i wyjrzała przez nie na ocean. *Ona wie.*

– Shep?– *Słucham Kim.*

– Chcę porozmawiać z Salem. Ile czasu zabierze ci...?

– *Zebranie danych i odtworzenie psychiki? Niedługo. Wystarczy, że podasz mi szczegóły ostatniej misji. Ale odradzam ci procedurę.*

– Zrób to.

– *Kim, sama często sprzeciwiałaś się...*

– Ile czasu, Shep?

– *Będę wiedział dopiero, gdy zobaczę co mam. Jeśli otrzymam wszystkie informacje z sieci, możesz z nim porozmawiać jeszcze dziś wieczorem.*

Godzinę później Kim wchodziła po stopniach Muzeum Wielkiej Trójki.

Domyślała się, co tam zastanie. Markisa Kane'a zastąpił inny bohater bitwy o Armagon.

Nie pokazywano już ataku na *Hammurabiego*. Szklana gablota wcześniej zawierająca pamiątki z jednostki 376 stała pusta. Napis informował, że przygotowywano nową wystawę o dokonaniach floty lekarzy.

Znikły nawet zdjęcia Kane'a pomagającego personelowi muzeum w przygotowaniu ekspozycji.

Kim rozejrzała się za Mikelem i znalazła go w symulatorze. Demonstrował VIP-om przebieg ataku laserowego ścigacza na okręt wojenny. Zauważył ją i dał znak, żeby zaczekała w jego gabinecie. Wołała jednak wrócić do pustej gabloty. Nadal tam stała, gdy dołączył do niej piętnaście minut później.

– Cieszę się, że jakoś się trzymasz – powiedział. – To musiało być dla ciebie okropne przeżycie.

– Rzeczywiście, było źle.

Mikel usiadł na otomanie.

– Napijesz się czegoś? – spytał. – Może kawy?

– Nie, dziękuję. Mikel, co się stało z wystawą Kane'a?

– Usunęliśmy ją.

– To widzę. Mogę wiedzieć dlaczego?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Chyba nie mówisz poważnie? Akurat po tobie się tego nie spodziewałem. Przecież ten człowiek to morderca. Co według ciebie miałem zrobić?

– Na razie nie wiemy nic na pewno.

– Albo sam jest mordercą, albo krył Tripleya mordercę. Szczegóły nie mają znaczenia. – Spojrzał na nią z wyrzutem. – Dziwię się tobie. Przecież to twoją siostrę wyrzucili ze statku.

Sądziłem, że będziesz zadowolona z usunięcia wystawy.

– Nie wiemy, co naprawdę się wydarzyło.

– Kim – Mikel odezwał się urzędowym tonem. – Przykro mi, ale nie rozumiem twojego stanowiska w tej sprawie. Kane jest czemuś winny. Morderstwo, współudział albo przynajmniej ukrywanie przestępcy. Wszyscy to wiedzą.

Wsadziła ręce w kieszenie i spojrzała przez okno biura na salę wystawową, wizerunki okrętów wojennych i zdjęcia kapitanów. Po lewej stronie, w kinie wyświetlano projekcję Armagonu.

– Przychodzą tu dzieci – ciągnął Mikel. – Jak by to wyglądało, gdybyśmy oddawali hołd zabójcy?

– Kiedy prawda wyjdzie na jaw, przypuszczam, że będzie ci wstyd.

Sprawiał wrażenie znudzonego.

– Nie sądzę. Ile osób było na statku? Zresztą, jeśli nawet się mylę i okaże się jakimś cudem, że Kane jest niewinny, po prostu ustawimy wszystko na powrót i nikomu nie stanie się krzywda.

– Nikomu?

– Kim, czy wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia?

– Nie – odparła.

Wziął głęboki wdech.

– Posłuchaj, ja tego nie chciałem. Wiadomość o Emily była potworna. O Kilu Tripleyu wiedziałem niewiele, ale Kane... Niewielu mamy bohaterów. Nie powinniśmy ich tracić.

Zwłaszcza nie tego.

– Nie spisuj go tak od razu na straty.

– Witaj Sal.

Miał na sobie zieloną, rozpiętą pod szyją koszulę; granatowe spodnie i czapkę z daszkiem, którą zwykle wkładał, kiedy żeglowali. Shep posadził go w kapitańskim fotelu z jachtu.

– *Cześć Kim. Cieszę się, że cię widzę.*

Natychmiast poczuła łyzy na policzkach. Od początku wiedziała, że to nie był dobry pomysł.

Psychoanalicycy wprawdzie utrzymywali, że w ten sposób człowiek najlepiej radził sobie z utratą bliskiej osoby, o ile oczywiście nie posuwał się za daleko.

– To co zrobiłeś, było potworne – powiedziała.

– *Nie było sensu, żebyśmy zginęli oboje.* – Uśmiechnął się. Shep doskonale to uchwycił. – *Jak sobie radzisz?*

– Bywało lepiej. – Spojrzała na niego żalując, że nie może go ożywić siłą woli. Zatrzymać jego obraz, przytulić go i nigdy nie pozwolić odejść. W tej chwili wydawało się to takie proste. Wystarczyło sięgnąć i przeciągnąć go do realnego świata.

– *Jak zareagowali na wieści, które przywiozłaś? Kiedy usłyszysz swoje fanfary?*

– Postanowiliśmy utrzymać wszystko w tajemnicy. Rozmawiałam z Woodbridgem.

Obawia się, że ciekawscy mogliby tam polecieć.

– *Nie dziwi mnie to.*

– Gdybym mogła zrobić to po swojemu, dowiedziałabym się, skąd te gnojki pochodzą i wysłałabym za nimi całą armię.

– *Gdzie się podziela pokojowo nastawiona Kim Brandywine, którą kiedyś znałem?*

– W tej chwili daleko mi do pokojowego nastawienia. Oni zabili Emilię. I ciebie. – Pokiwał głową przytakując jej. – Zabrali wszystko, na czym mi zależało.

– *Nie wszystko. Przesadzasz...*

– Jak możesz tak mówić?

– *Masz przed sobą długie życie. Przykro mi, że nie będę go z tobą dzielił. Mieliśmy swoją szansę. Zaryzykowaliśmy, ale nie wyszło nam tak, jak planowaliśmy.* – Włożył czapkę na bakier. – *Co powiedział Woodbridge?*

– Zgodził się, że obcy są niebezpieczni i że powinniśmy unikać kontaktu z nimi.

– *Są niebezpieczni, to prawda. Ale, Kim...*

– Tak?

– *Obawiam się tego Woodbridge'a. Za bardzo stara się postępować w zgodzie z zasadami.*

– Nie mam mu nic do zarzucenia.

– *Mam nadzieję, że nie wspomniałaś mu o Archiwach?*

– Nie.

– *To dobrze. Nie rób tego.* – Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. – *Co teraz zamierzasz?*

– Spróbuję jakoś wyprostować relacje z Benem Tripley'em.

– *Wybierasz się do niego?*

– Tak, jutro.

– *Ach tak.*

– Nie pochwalasz tego?

– *To palant. Nie jesteś mu nic winna.*

– Mimo to...

– *Dobrze, ale bądź ostrożna wobec tych ludzi. Nie ufaj im.*

– Sal, Ben jest w porządku. Może wydaje się trochę zapalczywy. Zresztą, czuję się winna.

Wszyscy myślą, że jego ojciec i Kane zamordowali Emilię.

- *Może tak było. Kto jeszcze był z nimi na statku?*
- I tak w to nie uwierzę.
- *Sama wiesz, co masz robić, prawda?*
- Tak – powiedziała. – Muszę znaleźć dziennik pokładowy *Huntera*.

To, co znajome, może być niezauważalne, bo to dwie strony tego samego medalu.

Olan Kabel, Ślady pamięci, 116

Wypolerowany i lśniący *Valiant* stał na swoim miejscu. Jego obecność i fakt, że Tripley nie miał pojęcia o znaczeniu statku, bawiły Kim. Pomyślała, że to złośliwa reakcja, ale nic nie mogła na nią poradzić.

– Nie miałam pewności, czy zgodzisz się ze mną spotkać – powiedziała. Znajdowali się w jego gabinecie sami.

Tripley krył emocje i mówił obojętnym tonem.

– Dlaczego miałbym się nie zgodzić, Kim? – Nie podniósł się zza biurka i nie poprosił jej by usiadła.

– Nie chciałam, aby sprawy tak się potoczyły.

– Rozumiem. – Odsunął się z fotelem od stołu. – Ale wszyscy wiemy, jak to jest z dobrymi intencjami. Zniszczyłaś dobre imię mego ojca. – Jego głos nadal brzmiał oschle. – On nikogo nie zabił. Nie byłby w stanie skrzywdzić człowieka.

– Wierzę w to. Przypuszczam, że podczas lotu *Huntera* wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Coś, co przyczyniło się do tragedii. – Kim przysiadła na krześle. Wiele razy ćwiczyła to, co chciała mu powiedzieć, ale w jego obecności wszystko wyparowało z jej głowy. – To naprawdę nie moja wina.

– Wiem. W zasadzie nie twoja. Teraz już nic na to nie poradzimy. Rozumiem, że nie kierowałaś się chęcią zemsty. Wolałbym, abys posłuchała mnie na samym początku, kiedy próbowałem cię ostrzec, co się może stać. Ale teraz... – Wzruszył ramionami. – Trochę na to za późno.

– Ben, naprawdę nie mogłam zostawić tego w spokoju. Chodziło o poznanie prawdy.

– I poznałaś ją?

Jej wzrok powędrował ku *Valiantowi*.

– Częściowo.

– Częściowo – powtórzył za nią. Rozległ się dźwięk jego interkomu. Tripley przerwał rozmowę, wysłuchał wiadomości, poinformował automat, że później zajmie się tą sprawą i spojrzał na Kim. – Czego się dowiedziałaś?

Właśnie. Czego? Tego, że Valiant jest kopią prawdziwego statku, jaki załoga Tripleya napotkała daleko od St. Johns? Że na pokład Huntera dostał się obcy stwór? Jak miała Benowi wyjaśnić, co się wówczas zdarzyło? Patrzyła na Valianta jak na świętość.

– Opowiedz mi jeszcze raz, skąd go masz? – poprosiła.

Spojrzał na model ze zdziwieniem.

– A co to ma do rzeczy?

– Zrób mi tę przyjemność, Ben.

Wzruszył ramionami.

– Dała mi go babcia.

Kim wstała i podeszła do statku. Obejrzała go z bliska i przesunęła palcami wzdłuż kadłuba.

– Mogę?

– Proszę bardzo.

Podniosła model.

– Chciałabym dać go do skopiowania Miałabym prezent dla mego siostrzeńca.

Spojrzał na *Valianta*.

– Mogę ci dać jego szkice, jeśli chcesz.

– Byłabym ci wdzięczna. To naprawdę piękna rzecz.

– Chyba mówiłem ci, że należał do mego ojca?

Skinęła głową.

– Przekazała ci go babcia.

Kim widziała, jak napinają się mięśnie jego szczęki.

– Tak. Pewnie wiesz to od niej?

– Za to też cię przepraszam – powiedziała.

– W porządku. Dziś jestem łaskawy i wszystko wybaczam. – Zmiękł odrobinę. – Dlaczego tak cię to interesuje? Po co się tym zajmujesz?

– Zdobądź się na chwilę cierpliwości, a wszystkiego się dowiesz. – Przytrzymała model pod lampą, badając palcami lśniący, gładki kadłub. – Czy kiedy byłeś chłopcem nie dziwiło cię to, że nie ma w nim dysz napędowych? Nie ma silników? Żadnego sposobu na przemieszczanie się z miejsca na miejsce?

– Kim, o co ci chodzi? – spytał zdziwiony.

Postawiła model przed nim na biurku, a potem pokazała mu zdjęcie fresku Kane'a. Wziął od niej fotografię, przyjrzał się jej pobieżnie, po czym wpatrzył się w szylkretową powłokę skorupy statku, który Emily trzymała na dłoni. Przeniósł wzrok na *Valianta*, zmarszczył brwi i zapalił lampę na biurku.

– Skąd to masz? – zapytał.

– Jest na ścianie willi Markisa.

Spoglądał to na zdjęcie, to na model.

– Ten sam, prawda?

– Na to wygląda.

– Jak do diabła znalazł się w rysunkach Kane'a? – Szczerze zdumiony odłożył fotografię i wsunął obie dłonie pod skorupę statku. Uniósł ją i spojrzał na model tak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Patrzyła, jak przyglądał się *Valiantowi*, badał jego anteny, talerze czujników i luki. Wzdłuż kadłuba znajdował się długi właz, który najprawdopodobniej prowadził do ładowni albo do pokładowego doku z ładownikiem. *Tu* był znajomy pierścień anteny używanej do transmisji podprzestrzennych. *Tam* wykusz, który według wyobraźni małego chłopca krył rząd pocisków.

Nagle jego twarz zmieniła wyraz. Sposepniała. Zważył wehikuł w dłoniach i zmarszczył czoło.

Jego oczy zwęziły się.

– Tył kadłuba powinien mieć wgłębienie. Ale niczego tu nie widzę.

– Nie rozumiem.

– W kadłubie było wgniecenie. Widoczne tylko przy dokładnych oględzinach. – Zapatrzył się na model. – Lufa też wygląda inaczej.

Kim po raz pierwszy dostrzegła krótki, metalowy słupek wystający z przodu *Valianta*.

– Jak to inaczej?

Dotknął końcówki palcem wskazującym.

– Jest zaokrąglona – powiedział.

– I?

– Powinna mieć wypustkę. Kiedyś chyba została odłamana.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że ktoś naprawiał model? Albo, że...?

– Ten nie jest mój. To kopia.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. – Odstawił statek na biurko, wciąż się wpatrując w jego kadłub. – Niech mnie diabli wezmą, jeśli coś z tego rozumiem. – Podniósł zdjęcie fresku Kane'a. Potem włączył interkom. – Mary, czy mogłabyś tu przyjść na moment?

Głowa Mary pojawiła się w wejściu. Kim poznała ciemnoskórą kobietę z biura.

– Tak, panie Tripley?

Wskazał *Valianta*.

– To duplikat – powiedział. – Czy wiesz, co się stało z oryginałem? Czy ktoś się tu włamał i je podmienił?

– Nie, proszę pana. Nic mi o tym nie wiadomo.

– Niech mnie cholera. Nic nie rozumiem – powiedział, kiedy sekretarka wyszła. Spojrzał na Kim. – Może ty masz z tym coś wspólnego?

– Nie. – Badała palcami model, próbując znaleźć wgłębienie. – Czy od początku był uszkodzony? – spytała.

– Odkąd pamiętam.

– Dziwne – przyznała. Popatrzyła na zegarek i wstała. – Nie chcę zabierać ci całego dnia, Ben. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu kłopotów, jakich nawarzyłam. Jestem pewna, że kiedy poznamy całą prawdę, twój ojciec odzyska dobre imię.

Zatrzymał ją wzrokiem.

– Powiedz mi, co wiesz o *Valiancie*.

Pokręciła głową.

– Już to zrobiłam. Widziałam go na fresku. Sądziłam, że może ty wiesz, skąd się tam wziął.

– Nie mam pojęcia – odparł z rezygnacją.

– Dziękuję, że poświęciłeś mi trochę czasu, Ben. – Ruszyła ku drzwiom.

– Nie ma sprawy. – Tym razem wstał. – Dzięki że wpadłaś. Daj mi znać, kiedy się czegoś dowiesz, dobrze? Mam na myśli mój model.

– Oczywiście – obiecała.

Idąc do windy, czuła na plecach jego wzrok.

Jadąc w dół, do głównego holu, gorączkowo szukała w myślach wyjaśnienia tego, co przed chwilą usłyszała. Po co ktoś miałby kraść oryginał? Powoli wyszła z budynku i dołączyła do tłumu

ludzi spacerujących promenadą, wzdłuż której znajdowały się punkty widokowe ze wspaniałymi panoramami oceanu.

Po co?

Powoli mijala sklepy w centrum handlowym, rozważając różne możliwości. Na większości stoisk sprzedawano pamiątki albo odzież. Znajdował się tu Translux oferujący podróże w obrębie ich świata i poza nim. Swoje usługi oferował też kosmetolog. Kim minęła sklep Lokiego, specjalizującego się w grach i łamigłówkach. W witrynie wywiesili plakat przedstawiający grafikę z rodzaju tych, które zmieniają perspektywę. Na rysunku schody pięły się w górę z poziomu na poziom wewnątrz budynku, łącząc się z dolnymi stopniami tej samej klatki schodowej. Można było nimi wędrować bez końca i nigdzie nie dotrzeć. Trudno było zauważyć, w którym punkcie zmieniała się perspektywa i jakim cudem schody idące w górę, wiodły w dół.

Nagle zrozumiała, dlaczego *Valiant* został zabrany. I przez kogo.

Dziesięć minut później była z powrotem w biurowcu Interstellar. Miała nadzieję, że w sekretariacie zastanie tylko Mary, ale na wszelki wypadek przygotowała wymówkę gdyby wpadła tam na Bena.

Asystentka siedziała przy biurku sama. Podniosła głowę, gdy Kim weszła do biura.

– Dzień dobry, doktor Brandywine. Zapomniała pani o czymś?

– Zostawiłam pióro – powiedziała Kim, przeszukując kanapę, na której wcześniej siedziała. – O, jest. – Wyciągnęła je z rękawa i podniosła w górę, pokazując sekretarce.

– No proszę. Miała pani szczęście – stwierdziła Mary.

– Tak. – Kim powoli ruszyła do drzwi, celowo zmagając się z kieszenią na piersi, w której zwykle trzymała pióro. Przy biurku zatrzymała się na moment. – Mary, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

– Oczywiście, jeśli tylko zdołam.

– Chodzi mi o tę sprawę z modelem pana Tripleya. Czy mieliście jakieś problemy z systemem alarmowym?

– Nie, nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Po raz pierwszy zdarza się, aby coś zabrano. Jestem pewna, że model się znajdzie. Ktoś pewnie przestawił go podczas sprzątania albo coś w tym rodzaju.

– A kiedy przychodzi ekipa sprzątająca?

– W nocy.

Wreszcie wszystko zaczynało nabierać sensu. Wystarczyło spojrzeć na sprawy z innej perspektywy. Dotąd była równie ślepa, co Tripley. Kto by pomyślał?

Wsiadała do windy w dobrym nastroju. Udała się na dworzec i wsiadła w pierwszy pociąg do Blanchet Preserve. Stamtąd wzięła taksówkę do Tempest, podając adres Sheyela.

Po drodze zastanawiała się, co mu powie. Chciała go zganić i jednocześnie pogratulować.

Miała świetny humor i ochotę na uczczenie okazji. Spodziewała się, że profesor triumfalnie wyjdzie jej na spotkanie. Widząc ją domyśliłby się, że odgadła jego tajemnicę i od razu chciałby się pochwalić zdobyczą.

Oczywiście postąpił nieetycznie, ale Kim postanowiła się tym nie przejmować.

Zmartwienia odłożyła na później. Taksówka sunęła spokojnie w ciepłym, popołudniowym

słońcu. Przecież Sheyel nie chciał niczego ukraść. Szukał tego samego, co ona – rozwiązania dawnej zagadki. I chciał coś udowodnić.

Wiedziała, że teraz im się to uda!

Wierzchołki drzew rozstąpiły się i taksówka zatoczyła krąg nad domem profesora.

Wewnątrz SI na pewno informowała go właśnie o zbliżającym się gościu, ale drzwi domu pozostały zamknięte.

Gdy wylądowali, Kim zapłaciła i wysiadła.

Taksówka odleciała.

Kim ruszyła w stronę werandy od frontu. Okna domu wpatrywały się w nią pusto.

– Gratulacje, Sheyel – powiedziała na głos.

Popołudnie było pogodne i spokojne. W trawie bzyczały owady; a niebieska sójka przyglądała się gościowi ciekawie, siedząc na fontannie.

– Sheyel?

W wierzchołkach drzew westchnął łagodny podmuch wiatru.

Spojrzała w puste okna. Sójka odfrunęła i wylądowała na dachu.

Kim spróbowała złapać gospodarza przez komunikator. Usłyszała kobiecy głos:

– *Przykro mi, ale doktor Tolliver jest nieobecny. Czy chce pani zostawić mu wiadomość?*

– Tu Kim Brandywine – przedstawiła się. – Załatwiałam coś dla doktora Tollivera. Na pewno chciałby poznać rezultaty. Proszę mnie z nim połączyć.

– *Przykro mi, doktor Brandywine. Prosił, by mu nie przeszkadzać. Kiedy sam się zgłosi, powiadomię go, że próbowała się z nim pani skontaktować.*

SI się wyłączyła.

Gdzie on się podziewał? Powinna była zadzwonić, zanim się tu wybrała. Przypuszczała, że zastanie go w domu. Chciała go zaskoczyć i razem uczcić jego zdobycz. Osobiście.

Obeszła dom dookoła, ale nie zauważyła nikogo ani na zewnątrz, ani w środku.

Dokąd mógł pojechać?

Przychodziło jej do głowy tylko jedno miejsce.

Sheyel zawsze twierdził, że niewiele czynów da się uzasadnić rozumowo. Ludzie kierowali się w działaniu emocjami, przecuciami i uprzedzeniami. Wierzyli w to, w co chcieli wierzyć, nie dopuszczając do głosu dowodów na to, że mogło być odwrotnie.

Reflektowali się dopiero, gdy zapędzali się za daleko i wpadali na skały rzeczywistości.

Jeśli nie myliła się co do Sheyela, on także miał wkrótce twardo wylądować w realnym świecie.

Wezwała przez komunikator Shepa.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– *Oczywiście, Kim.*

– Zaprojektuj istotę.

– *Słucham?*

– Potraktuj to jako ćwiczenie intelektualne. – Opisała mu wszystko, co wiedziała na temat intruza. I zjawy z jeziora. Brak wyraźnej formy. Zielone oczy. Zielona poświata. Pola elektryczne.

Wolne molekuly wodoru. Metan. Tlen.

– *Mogę ci przedstawić model – odezwał się po kilku minutach – ale nie sądzę, aby to była forma życia, która powstała w drodze naturalnej ewolucji* Kim wezwała drugą taksówkę. Pojazd właśnie zbliżał się do lądowiska.

– Nie szkodzi. Daj, co masz.

– *Niejednorodne rozłożenie ładunków elektrycznych w pojedynczych komórkach.*

– Wyjaśnij.

– *Tego typu żyjący system nie musi mieć koherentnej powłoki. Takiej na przykład jak skóra, czy skorupa. Możliwe, że strefy o przeciwnych ładunkach elektrycznych, zamknięte powiedzmy w kieszeniach jonizowanego gazu, mogą doskonale sobie radzić, manipulując wewnętrznym, wzajemnym oddziaływaniem.*

– Mam wrażenie, że mówisz o żyjącej baterii.

– *Zbyt upraszczasz. Pozwól, że wyjaśnię ci to bardziej szczegółowo...*

– Nie. To mi wystarczy. Czy taki system może być inteligentny?

– *Nie jestem pewien, jak zdefiniować inteligencję. Ale sądzę, że mógłby on wykonywać dość skomplikowane zadania.*

– Takie jak pilotowanie statku kosmicznego?

– *Prawdopodobnie.*

– Skąd czerpałby energię?

– *Wspomniałaś o zielonkawej poświacie i zielonych oczach. To wskazywałoby na obecność chloroplastów. Dzięki nim twór mógłby przetwarzać światło.*

Podawała taksówce adres.

– Jak można byłoby go pokonać?

– *Zwabić go w strefę bardzo silnych wiatrów. Rozdzielić molekuly. Poddać działaniu zewnętrznego ciśnienia na tyle silnego, aby byt nie mógł utrzymać wewnętrznej integralności.*

– Czyli po prostu rozdmuchać go?

– *Tak. Dokładnie tak.*

– Może się okazać, że nie będę miała pod ręką huraganu. Jakie są inne możliwości?

– *Przypuszczam, że twór byłby także nieodporny na wyladowania elektryczne.*

Wróciła taksówką do miasta i zajrzała do sklepu ze sprzętem technicznym, w którym klientów obsługiwała starsza kobieta w czarnym, opiętym kostiumie. Miała srebrne włosy i spokojną twarz. Nie pasowała do otoczenia. Sprawiała wrażenie osoby o wyrobionym smaku artystycznym, która powinna prowadzić w galerii dyskusje o sztuce.

– W czym mogę pani pomóc? – spytała z idealną dykcją.

– Chciałabym wiedzieć, czy przypadkiem ktoś ostatnio nie prosił o wykonanie modelu statku? – Kim pokazała zdjęcie *Valianta*. – Tak wyglądał.

Kobieta przyjrzała się fotografii.

– Ach tak. Rzeczywiście mieliśmy tu taki model. Prawdę mówiąc, nadal mamy matrycę.

Mam cię Sheyel.

– Czy mogłaby pani wykonać podobny dla mnie? – spytała Kim – Ten sam wzór?

– Tak, proszę.

– Skoro pani sobie tego życzy. – Kobieta sprawdziła na monitorze plan prac. – Może być na jutro? Mniej więcej o tej samej porze?

– Och, niestety nie. Jestem tu tylko przejazdem i miałam nadzieję, że da się to załatwić na poczekaniu.

Kobieta chwilę potakiwała, wpatrując się w monitor.

– Może być gotowy mniej więcej za godzinę – powiedziała.

– Dobrze. Proszę się tym zająć. Wrócę po niego.

– Doliczymy dodatkową opłatę.

Trzecia kopia *Valianta* wyglądała tak dobrze, jak dwie pozostałe. Kim pomyślała, że będzie kiedyś wspaniałą pamiątką.

Właścicielka modelarni zamknęła duplikat w szczelnym pudełku, przyjęła płatność i Kim mogła bez przeszkód ruszać na stację. Dotarła tam akurat w chwili, gdy obok terminalu przejeżdżał pociąg towarowy zmierzający na wschód. Kiedy jego tylne światła znikły, zza zakrętu wyjechał pasażerski, na który czekała.

Podróż z Preserve do Eagle Point trwała niecałe dwie godziny. Kim próbowała się zdrzemnąć, ale była za bardzo spięta. W końcu zrezygnowała i patrzyła przez okno na ciemniejący krajobraz.

O ósmej dwadzieścia czasu miejscowego, weszła do lobby hotelu Gateway, zgłosiła się do recepcji, po czym udała się do pokoju i uruchomiła telefon.

– Będę potrzebowała na dziś flyera.

– *Oczywiście, doktor Brandywine* – odpowiedział jej elektroniczny głos, nie kobiecy i nie męski. – *Czy życzy pani sobie jakiś szczególny model?*

– Proszę o ten sam, z którego korzystałam poprzednim razem, jeśli to możliwe.

– *Tak. Czy coś jeszcze?*

Kim zastanowiła się chwilę.

– Tak – powiedziała w końcu. – Krucyfiks, drewniany kołek i srebrną kulę.

– *Słucham?*

– Nic takiego. Tylko żartowałam.

Chwilę później skontaktowała się z wypożyczalnią sprzętu turystycznego i zamówiła przenośną kuchenkę mikrofalową.

– Wybieram się w strefę chronioną, gdzie nie można używać ognia – wyjaśniła.

– *Rozumiem.* – Głos należał do automatycznej obsługi. – *Mamy mnóstwo modeli. Jakiej wielkości kuchenki pani szuka?*

– Jak największej.

– *Mamy specjalny model dla dużej rodziny. Bardzo dobry. Pomieści całego bażanta.*

– Doskonale. Właśnie tego mi trzeba.

Miała jeszcze czas na szybki posiłek, zanim obsługa hotelowa powiadomiła ją, że flyer jest gotowy i przysłała przesyłkę z wypożyczalni sprzętu. Kim włożyła kurtkę i rozejrzała się po pokoju. Podczas ostatniej wizyty w Gateway towarzyszył jej Sal. Prosił wtedy, żeby nie wracała do Severin bez niego.

Do kieszeni wrzuciła laserowy przecinak, zabrała kopię *Valianta* i ruszyła na dach.

Dziesięć minut później leciała na południe. Nocne niebo raz po raz rozjaśniały odległe wylądowania atmosferyczne przesywające mrok nad górami na zachodzie. Wieczór był piękny, rześki i spokojny. Nad warstwą mgły wisiały dwa księżycy. Trzeci znajdował się dokładnie nad nią.

Patrzyła na blaknące światła miasta. Próbowwała się odprężyć i jednocześnie zastanawiała się, jak profesor zareaguje na jej widok. Przypuszczała, że się ucieszy i z dumą pokaże zdobycz. Może chciał mieć świadka spotkania z istotą, którą planował wywabić z jeziora. Ale do końca nie była pewna jego zamiarów. Sheyel stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny.

Na monitorach dostrzegła inny wehikuł na wschód od niej, nieco z tyłu. Poruszał się równoległym kursem. Był to czarno-biały Cloudrider, luksusowy pojazd, z którego korzystali dyrektorzy korporacji i ważne osobistości.

Obserwowała go przez kilka minut, dopóki nie zmienił kursu i nie oddalił się.

– *Pani doktor* – odezwał się automatyczny pilot, który miał na imię Jerry – *nie podała pani punktu docelowego* – Jeszcze go nie znam – powiedziała. – Kieruj się na południowy-zachód. W stronę Mount Hope.

Przyszło jej do głowy, że Sheyel nie zechce oddać *Valianta*.

Czy w takiej sytuacji powinna się domagać zwrotu statku? Nalegać, by go oddał? Chyba tak. W głębi duszy cieszyła się jednak, że profesorowi się udało. Nie chciała, aby *Valiant* trafił z powrotem do Tripleya. Jakie miał prawo do tak wielkiego skarbu? Przypadkiem znalazł się w jego posiadaniu i nigdy nie pojął jego znaczenia.

– *Jesteśmy na miejscu, pani doktor* – poinformował Jerry. – *Czekam na dalsze instrukcje.*

Nic nie widziała w ciemnościach. Nawet Jezioro Żalu tonęło w mroku.

– *Zatocz krąg* – powiedziała. – Trzymaj się na wysokości sześciuset metrów, nad linią brzegu. Szukamy na ziemi flyera.

– *Dam znać, jeśli go wykryję.*

Ruszyli wzdłuż wybrzeża. Kim szukała wzrokiem jakiegoś światła, ale widziała tylko ciemność. Po chwili Jerry powiadomił ją, że skończyli poszukiwania.

– *W okolicy nie ma innego pojazdu* – stwierdził – *ani w powietrzu, ani na ziemi.*

– Jesteś pewien?

– *Tak. Czy życzy sobie pani poszerzyć obszar poszukiwań?*

– Nie. – Sheyela jeszcze tu nie było, ale wiedziała, że zjawi się nim minie noc. – W dawnym miasteczku jest kawałek otwartej przestrzeni. Posadź nas tam, ale nie otwieraj drzwi.

– Nie lądowała się, że zamknięty wjazd powstrzymałby nieproszonych gości, ale przynajmniej czuła się trochę bezpieczniej.

Dotknęła kuchenki mikrofalowej. Po chwili ponownie spróbowała się skontaktować z Sheyelem, ale usłyszała tylko nagraną wiadomość.

Domyślała się, co zamierzał zrobić z *Valiantem* chciał wykorzystać statek jako przynętę, zwabić ducha, dziwny byt, który zamieszkał w tej okolicy po katastrofie na Mount Hope.

Sheyel Tolliver chciał jako pierwszy porozumieć się z istotą. Tak jak Kim, wierzył, że można z nią pertraktować. Wystarczyło tylko zachęcić ją do rozmowy.

Taka naiwność była śmiertelnie niebezpieczna.

Jerry wylądował między ruinami budynków. Niebo było bezchmurne, a gwiazdy ciągnęły się w nieskończoność.

Kim zgasiła światła, ale nie wyłączyła silnika.

Dziwne, że ci, którzy rzekomo patrzą na świat przez pryzmat nauki, lekceważą wszelkie dowody i uparcie zaprzeczają, jakoby duchy istniały, potrafiły się objawiać i szczególnie chętnie odwiedzały siedziby w pobliżu oceanu.

Amy Conn, Słynne duchy Seabright, 591

Ruiny budynków rzucały w księżycowym świetle długie cienie. Chłodny, ostry wiatr smagał brzeg jeziora. Z wyciem przemykał wśród ruin opuszczonego miasta i kołysał flyerem. Kim z zażenowaniem pomyślała, że zamknęła się w kabinie, jak przestraszone dziecko. W końcu odważyła się otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz. Cały czas była jednak czujna.

Tuż przed północą Jerry przerwał jej zamyślenie.

– *Zbliża się pojazd.*

Na monitorze pojawił się migający punkt. Zbliżał się od południa, od strony Wyspy Terminal.

Kim wróciła do kabiny.

– Czy możemy się z nimi połączyć?

– *Sprawdzam.*

Sięgnęła do tyłu po kopię *Valianta* i postawiła go obok siebie, na przednim siedzeniu.

– *Mam łączność, doktor Brandywine.*

– Sheyel – odezwała się – to ty?

– Kim. – W jego głosie brzmiało szczere zdziwienie i radość. – Gdzie jesteś?

– Wstyd mi za ciebie. Zabrałeś statek.

Długa pauza.

– Tak, to prawda.

– Co planujesz z nim zrobić?

– Chcę porozmawiać z jego pilotem. Jeśli to oczywiście możliwe. Będzie mi przyjemnie, jeśli zechcesz mi towarzyszyć. Gdzie jesteś?

– Na ziemi. W mieście.

– Na wschodnim brzegu jest pas pustej plaży. Chcę tam wylądować.

Zobaczyła zbliżające się światła.

– To co planujesz jest niemożliwe, Sheyel.

– Dlaczego? – Usłyszała nutę zaskoczenia i rozczarowania.

– Nie wiem, czym jest miejscowa zjawka, ale nie zdołasz się z nią porozumieć.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Uwierz mi na słowo. To jakiś rodzaj bezpostaciowej sztucznej inteligencji. Z tego co wiem, stworzono ją do wykonywania konkretnych zadań. Może to coś w rodzaju automatycznego pilota. Na pewno nie zajmuje się negocjowaniem.

– Nie spieszmy się z wnioskami, Kim. – Flyer Sheyela zaczął obniżać lot. – Wszystko wskazuje na to, że posiada zdolność rozumowania.

– To obłąkany stwór. A do tego niebezpieczny.

– Jest zagubiony i samotny. Tkwi tu od niemal trzydziestu lat. Nie możemy o tym zapominać.

– Sheyel...

– Jeśli chcesz się przywitać z nieznanym, musisz się liczyć z ryzykiem. Wziąłem pod uwagę taką możliwość. Ale przyznam, że nigdy dotąd nie spotkałem wroga nastawionej SI.

– A ja tak.

– Dajesz się ponosić wyobraźni, Kim.

– Nie, do cholery. Wiem, co mówię. Zostaw ją w spokoju, przynajmniej do chwili, gdy...

– Myślę, że się boisz. Rozczarowujesz mnie. No cóż, po tym, co przeżyłaś, twój strach jest zrozumiały...

– Nie bądź głupi, Sheyel. Możliwe, że właśnie ten stwór zabił Emily i Yoshi.

Porozmawiajmy najpierw o tym. Wróćmy do Eagle Point. Posłuchasz, co mam ci do powiedzenia. Jeśli jutro wciąż będziesz chciał tu wrócić, nie ma sprawy, wtedy cię poprę.

Patrzyła na światła jego flyera znikające za drzewami.

– Kim, czy wiesz o kimś, kogo ta istota zaatakowała?

– Nie, ale...

– Sama widzisz. Dziś w nocy zapiszemy się na kartach historii, ty i ja. Idziesz ze mną?

– Sheyel...

– Wiesz, co mam na pokładzie?

– Tak – odparła. – Wiem.

– Nie sądzę. Myślisz, że mam kopię obcego statku.

– Nie. Masz prawdziwy statek.

– Och. – Usłyszała w jego głosie podziw. – Doskonale, Kimberly. Naprawdę doskonale.

Od jak dawna wiesz?

Kusiło ją, żeby skłamać. Chciała powiedzieć, że uświadomiła to sobie już w chwili, gdy stwierdziła, że statki na fresku i w biurze Tripleya były identyczne.

– Od jakiegoś czasu. Nie powiedziałaś mi całej prawdy, mam rację?

– Chodzi ci o moją rozmowę z Yoshi? Rzeczywiście, trochę pomiąłem. Powiedziała mi, że przywieźli ze sobą statek, ale nie chciała odpowiadać na żadne pytania. Twierdziła, że wkrótce poznam szczegóły.

– Co wtedy myślałeś? Że ukryli go w jakimś zewnętrznym układzie planet?

– Prawdę mówiąc, Kim, sam nie wiedziałem, co myśleć. Podejrzywałem, że mogli sprowadzić coś zupełnie innego, niż się spodziewaliśmy. Nie miałem pewności czy nie ukryli tego w jeziorze. Dlatego tak często tu przyjeżdżałem. – Usłyszała, jak wyłącza silnik i otwiera drzwi. – Muszę się teraz przygotować. Możesz do mnie dołączyć, jeśli chcesz.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił, Sheyel. – Wydała polecenie startu, odszukania drugiego pojazdu i wylądowania obok niego. Jerry oderwał wehikuł od ziemi i ruszył wzdłuż linii wschodniego brzegu.

Pojazd Sheyela stał na plaży Cabry, tam gdzie kiedyś wylądowała razem z Salem.

– Ostrożnie – ostrzegła automatycznego pilota. Mieli niewiele miejsca.

– Nie wiemy do czego zdolna będzie ta istota jeśli dostanie się do mikrostatku – powiedziała do Sheyela.

– Tym nigdzie nie polecisz. – Profesor właśnie wyciągał z ładowni flyera skrzynię.

– Dlaczego? – Jerry posadził pojazd w chaszczach i wysokiej trawie. Kim błyskawicznie otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz.

– Bo go dokładnie prześwietliłem. Źródłem zasilania jest antimateria. Ale nie ma jej na pokładzie.

– Aha.

– Teraz już wiemy, co wysadziło cały stok Mount Hope.

– Pewnie tak.

Wydobył z pojazdu składany stolik i rozstawił go na piasku przy samym brzegu jeziora.

Nacisnął blat sprawdzając stabilność.

Potem otworzył skrzynię, usunął ochronne opakowanie i wyjął *Valianta*. Popatrzył na statek z czułością i czcią, po czym ustawił go na stoliku.

Kim powinna odebrać mu statek siłą. Mogła wrzucić go na tył swego flyera i odlecieć.

Coś ją jednak powstrzymało. Może nie umiała się przeciwstawić dawnemu nauczycielowi albo chciała zobaczyć, co się stanie. Albo po prostu nie potrafiła podjąć decyzji.

Wolała zaczekać.

Sheyel wyjął lampę na baterie, postawił ją obok statku i włączył. Kadłub *Valianta* zaśnił.

Kim podeszła bliżej, próbując zrozumieć to, co już wiedziała. Miała przed sobą statek zbudowany przez obcą cywilizację. Wehikuł, który podróżował wśród gwiazd. Mieścił w sobie istotę taką jak ta, która kryła się w korytarzach *Hammera*.

Sheyel obserwował ją uważnie. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach nieufność.

– Piękny, prawda? – spytał.

– Mówiłeś, że go prześwietliłeś. Co jest w środku?

– Pomijając rozmiary i układ napędowy, a raczej jego brak, wygląda podobnie do naszych. Kabina nawigacyjna, prywatne kwatery, coś w rodzaju kabiny pilota. Nie ma foteli.

Nic, na czym dałoby się siedzieć.

– A co z napędem?

– Niczego nie znalazłem, statek musieliby obejrzeć nasi eksperci.

Kim przypomniała sobie, że Kane proponował obcym pomoc.

– Chyba mieli kłopoty, gdy znalazł ich *Hunter*.

– Skąd...? – Coś daleko na jeziorze zwróciło jego uwagę. Spojrzała w tę samą stronę i dostrzegła błysk. Przypominał odległe wyładowanie atmosferyczne. Popatrzyła w przeciwnym kierunku i zobaczyła błyski wokół szczytu Mount Hope.

– Masz zdjęcia wewnątrz? – spytała.

Powoli odwrócił się ku niej.

– Tak.

– Mogłabym je zobaczyć?

– Oczywiście – powiedział, ale nie ruszył się, by je przynieść. Jego uwagę ponownie przykuła

powierzchnia jeziora.

Kim zobaczyła świecącą plamę. Nadal odległą, ale dużo jaśniejszą niż wcześniej.

Oo!

Prawa ręka Sheyela uniosła się powoli w triumfalnym geście.

Plama na wodzie przypominała chmurę świetlików, ale poruszała się z przerażającą precyzją.

Kim patrzyła, jak unosi się spiralnie w górę niczym dziwny obłok, mgła albo dym.

Sheyel podniósł obie ręce witając istotę.

– Cofnij się – ostrzegła Kim. – Wróć do flyera.

Chmura ożyła rojem maleńkich gwiazd, które dryfowały, ruszały się i wirowały.

Stawała się coraz większa i jaśniejsza.

– Idzie ku nam – powiedziała Kim.

– Witaj – zawołał profesor. Noc powtórzyła echem jego głos. – Wiem, że mnie nie rozumiesz.

Ale musimy porozmawiać.

Chmura wyglądała przepięknie, ale pewność, z jaką parła ku nim, zaalarmowała Kim.

– Przywieźliśmy twój statek. – Sheyel wykonał półobrót, wskazując *Valianta* Wzmagający się wiatr zatrzęsł drzewami. Kim nagle zauważyła, że za ich zasłoną wylądował jeszcze jeden flyer. Cloudrider. Pilot zgasił światła i wyłączył silnik. Sheyel był zbyt przejęty, by to dostrzec.

Kilka chwil później z lasu wyszły trzy postacie. Dwóch mężczyzn i kobieta. Rozejrzeli się po plaży i rozeszli się półkołem. Kim miała wrażenie, że dostrzegła broń. Po chwili zza drzew wyszła czwarta osoba.

Tripley.

– Chcemy z tobą porozmawiać. – Sheyel nadal zwracał się do zjawy. – Jesteśmy twymi przyjaciółmi.

Chmura była coraz bliżej.

Kim oceniła odległość między *Valiantem* a swoim flyerem, zastanawiając się, czy zdołałaby umknąć intruzom, gdyby złapała statek i rzuciła się do ucieczki.

Tripley stał, spoglądając to na Sheyela, to na chmurę. Nie był aż tak głupi, za jakiego go uważała.

Chmura znajdowała się już tylko kilka metrów od plaży. Unosiła się na wodzie, jakby czerpała z niej siłę. W jej wnętrzu powstało wiele plam luminescencji, czasem wydostających się poza obręb istoty. Kim patrzyła, jak światło staje się oczami, tymi samymi, które widziała w zatopionej willi Kane'a.

Wszyscy na plaży zamarli w bezruchu.

Oczy zdradzały obłęd. Nie było w nich chłodnej wrogości, którą widziała na *Hammerze*.

Tylko czyste szaleństwo.

Nieznacznie wycofała się w stronę flyera.

Tam, gdzie zjawy dotykała powierzchni jeziora, woda zachodziła mgłą i układała się w wiry. Kim przypomniała sobie znikające ślady podczas swojej pierwszej wizyty w tej okolicy.

Tripley zbliżył się do niej.

– Mój Boże, Kim – wyszeptał – co to takiego?

Ludzie, którzy przylecieli razem z nim, trzymali broń w gotowości. Mieli na sobie szare mundury i wyglądali na doskonale wyszkolonych. Kobieta zatrzymała się zaledwie kilka metrów od nich. Na naszywce identyfikacyjnej widniało nazwisko: BRICKER.

– Sądzę, że to była załoga *Valianta* – odparła Kim uznając, że skoro Tripley trafił tu za nimi, prawdopodobnie wiedział już, czym naprawdę był jego model. Z zadowoleniem stwierdziła, że jej głos brzmiał prawie normalnie. – Cieszę się, że sprowadziłeś pomoc.

– Na wszelki wypadek. Myślałem, że złodziej może się okazać niebezpieczny.

– Śledziłeś mnie?

– Oczywiście. Masz wiele talentów Kim, ale udawanie do nich nie należy.

Sheyel niepewnym krokiem wszedł do wody i ruszył ku zjawie. Przez cały czas do niej przemawiał, podnosząc ręce w powitalnym geście. Szmaragdowy blask na przemian rozjaśniał się i przygasał, tak jakby we wnętrzu chmury biło wielkie serce.

– Odsuń się od niej, Sheyel – zawołała.

Zjawa przypominała całun, przejrzysty, blady i pozbawiony formy. Sheyel z pluskiem szedł w jego stronę. Chmura otworzyła się i otoczyła go. Nagły podmuch wiatru sprawił, że cała struktura na moment straciła spójność, tak jakby jej obraz się zamazał. Ale szybko wróciła do poprzedniej postaci.

Strażnicy towarzyszący Tripleyowi porozumieli się szeptem i podnieśli broń.

Sheyel nagle zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Krzyknął i upadł do tyłu. Jednym, gładkim ruchem zjawa uniosła się nad nim i pochłonięła go.

Oficerowie ochrony czekali na sygnał do otwarcia ognia. Tripley się wahał.

Wśród fałd całunu widział sylwetkę Sheyela. Jego ciało skręcały konwulsje. Przez zjawę przebiegały fale zielonego światła.

Po chwili profesor zawisł bezwładnie, a istota z sykiem opuściła go do wody i wy dostała się na plażę. Kim domyśliła się, że zmierzała w stronę stolika, na którym stał *Valiant*.

Tripley dał sygnał i jego ludzie zaczęli strzelać. Las nagle ożył. Przerazone zwierzęta rzuciły się do ucieczki.

Strażnicy ustawili się tak, by wziąć zjawę w krzyżowy ogień. Promienie lasera z cichym szumem przebijały mrok. Trafiając w całun rozchodziły się w nim strumieniami jaskrawych barw. Zadrzał. Niektóre strzały uderzały w drzewa lub fale jeziora. Spokój nocy zmąciły opary wodne, gejzery światła i krzyki. Nagle z zaskakującą szybkością zjawa rzuciła się w bok, pochłaniając jednego z mężczyzn.

Kim ruszyła mu na pomoc, ale Bricker zatrzymała ją jednym ruchem.

– Trzymaj się od tego z daleka, kochana – powiedziała. – Możesz przypadkiem zginąć.

Tripley odciągnął ją z linii ognia. On także nie miał broni.

Strefa przy brzegu rozbłysła kaskadą światła, jak podczas pokazów pirotechnicznych.

Krzyki mieszały się z brzęczeniem laserów i skrzeczeniem ptaków.

Kim przypomniała sobie o broni, którą zabrała ze sobą i wyrwała się Tripleyowi. Biegiem wróciła do flyera.

Na plaży w powodzi błysków toczyła się walka. Całun wypuścił drugą ofiarę. Mężczyzna padł bez ruchu na piasek, a zjawa zwróciła się ku Tripleyowi. Kim odniosła wrażenie, że istota

rozpoznała go. Zignorowała dwójkę strzelających strażników i ruszyła ku niemu.

Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni, ale pod ręką miał jedynie deskę.

Strzelający zwiększyli siłę ognia do maksimum. Zjawa zadrżała i wydała z siebie dziwny dźwięk. Mimo to w ciągu kilku sekund otoczyła Tripleya, wessała go w amebowe fałdy.

Kim wyciągnęła mikrofalówkę z opakowania. Wyglądała jak złożone, blaszane pudełko.

Szarpnęła je i po chwili rozłożyło się w sześcian o krawędzi długości pół metra.

Istota znikła z Tripleyem za drzewami. Strażnicy rzucili się pędem za nią, nie przestając strzelać. Strzały padały rzadziej i z mniejszą siłą, bo baterie zasilające broń zaczynały się wyczerpywać. Las zapłonął światłami. Pień drzewa rozerwała eksplozja. Rozległ się przeraźliwy krzyk. Kim nie potrafiła określić czy krzyczał mężczyzna, czy kobieta.

Postawiła mikrofalówkę na ziemi i odwinęła magnetron. Przypominał pomarańczową kulę wielkości piłki do baseballu. Wsunęła go na miejsce.

Za nią, w lesie, rubinowe błyski laserów pojawiały się sporadycznie. Potem zupełnie ustały. Pozostał tylko pulsujący, szmaragdowy blask.

Wśród drzew zapadła zupełna cisza. Kim słyszała tylko własny, ciężki oddech.

Zielona poświata ruszyła w jej stronę.

Zastanawiała się czy nie powinna wszystkiego rzucić, wskoczyć do flyera i umknąć, ale wtedy musiałaby zostawić innych. I *Valianta*.

Całun przeniknął przez zarośla i zatrzymał się.

Obląkane oczy spoczęły na Kim.

Mój Boże.

Rozpoznaje mnie.

Myśli, że ja to Emily.

Wydostała z opakowania pilota mikrofal i system zasilania. Pilota wsunęła do kieszeni i w panice, niemal jak automat przejrzała instrukcję na zasilaczu. Urządzenie mogło wytwarzać moc tysiąca watów przez mniej więcej cztery godziny. Niezdarnie zabrała się za podłączanie zasilacza do mikrofalówki, upuściła go i po omacku odnalazła, nie spuszczając wzroku z całunu.

Istota obserwowała ją. Zwlekała.

Głupia oślica.

Chmura jakby czytała w jej myślach, nagle otworzyła się w kształt wielkiego kwiatu i przygotowała do wchłonięcia jej w zielonkawe zwoje. Przejrzyste woale błyskały wyładowaniami elektrycznymi.

Kim podłączyła zasilacz, wyciągnęła laserowy przecinak i zabrała się za wycinanie dziury w przednim panelu urządzenia. Zjawa zbliżyła się, odcinając jej dopływ powietrza.

Oczy znikły. Kim nagle poczuła, że robi się jej ciepło i miło. Mgła zamknęła się wokół niej.

Pięścią wybiła wycięty krążek, ustawiła kuchenkę na podstawie, wycelowała prosto przed siebie, trochę przechyliła w górę i wcisnęła pilota.

Istota szarpnęła się konwulsyjnie.

Kim nie zdejmowała kciuka z przycisku patrząc, jak całun pęka i trzaska. W ramię trafił ją elektryczny impuls. Poczowała swąd przypieczonej skóry, ale zagryzła wargi powstrzymując krzyk i podniosła mikrofalówkę. Obróciła się wkoło. Mgła szarpnęła się spazmatycznie i cofnęła przed

niewidzialnym promieniowaniem.

Noc zadrżała od wyładowań elektrycznych. Całun odsunął się. Zaczął wirować z dźwiękiem przyprowadzającym o zawroty głowy. Nagle Kim miała przed sobą tylko strzępy mgły i gasnące skry unoszące się ku niebu, jak iskry z ogniska, na które ktoś wylał wiadro wody.

– Pozdrowienia od Sala – powiedziała, nie puszczać włącznika kuchenki.

Całun dryfował pod wiatr w stronę jeziora.

Pod wiatr.

Sukinsyn nadal żył.

Potykając się ruszyła za nim, z pluskiem wchodząc do jeziora i niezdarnie podnosząc nadal włączoną mikrofalówkę. Woda sięgała już jej ud. Nagle Kim trafiła na uskok i runęła do przodu. Kuchenka znikła w wodzie.

Kim wyciągnęła ją, podniosła wyżej i nacisnęła pilota. Urządzenie zasyczało i wypuściło kłąb czarnego dymu.

Rzuciła je, pospiesznie wróciła na brzeg i wyciągnęła Sheyela z wody. Potem odszukała w lesie Tripleya przyciśniętego do pnia drzewa. Bricker leżała twarzą do dołu na małej polance, dwaj pozostali padli nieopodal. Wszyscy wyglądali na martwych.

Daleko od brzegu świetliki zbierały się na nowo.

Kim zabrała *Valianta* do flyera i postawiła go na tylnym siedzeniu, obok kopii, którą wykonano dla niej w Blanchet.

– Jerry, ruszamy. Z powrotem do hotelu – poinstruowała pokładowego pilota.

Całun odzyskiwał dawną postać. Patrzyła, jak staje się coraz większy i jaśniejszy. Flyer wystartował. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że chmura odrywa się od powierzchni jeziora i rusza za nią.

– Jak najszybciej – nakazała.

Wspięli się między rzadkie obłoki. Nocne niebo pełne było księżyców.

Poniżej, całun ciągnął za sobą wąsy, wspinając się za flyerem w górę. Dostosowywał się, zmieniał kształt, układał się w kulę. Za nim dryfowały smugi mgły. Przypominał teraz *kometę*.

Chce *Valianta* – pomyślała Kim. – Tylko na nim mu zależy.

Może wróciły dawne wspomnienia? Kim była pewna, że zjawą pomyliła ją z Emily. A wcześniej celowo ruszyła na Tripleya, który spokojnie trzymał się na uboczu.

– Jerry, połącz się z Pogotowiem Lotniczym.

– *Mamy jakieś kłopoty, doktor Brandywine?*

Z całych sił powstrzymała wybuch hysterii.

– Niewielkie – odparła.

Jerry uruchomił łączność i po chwili Kim usłyszała męski głos.

– Pogotowie Lotnicze. Proszę o identyfikację.

– Kim Brandywine. Lecę flyerem Redbird. – Jerry przesłał ratownikom swój numer i opis.

– Mamy problemy.

Całun zbliżał się szybko.

– O co chodzi, Kim?

– Trochę trudno mi to wyjaśnić. Na brzegu Jeziora Żalu, nieopodal dawnego miasteczka znajdziecie ciała pięciu osób. Odszukacie je bez trudu, bo leżą w pobliżu dwóch flyerów.

To zaalarmowało mężczyznę.

– Co się z nimi stało?

Czujniki pokładowe wychwyciły obecność całunu i Kim zobaczyła na monitorze migający punkt.

– Zostały zamordowane.

Po dłuższej chwili milczenia odezwał się inny głos, tym razem kobiecy.

– Kim, mówi kierowniczka zmiany. Zgłaszasz morderstwo?

– *Pięć morderstw.*

– *Doktor Brandywine* – odezwał się Jerry. – *Za nami znajduje się jakieś źródło energii. Nie potrafię określić jego natury.*

– Nic dziwnego.

– Kim, proszę opisz swoje położenie. Co się stało? Jesteś ranna?

– *Zbliża się* – powiedział Jerry. – *Czy jest niebezpieczne?*

– Śmiertelnie – odparła. – Trzymaj się od tego jak najdalej.

– *Poruszamy się z maksymalną prędkością.*

– Nie jestem ranna – Kim odpowiedziała na pytanie ratowników. Poparzone lewe ramię bolało jak diabli. Prócz tego skręciła lewą nogę w kolanie, kiedy padała z mikrofalówką.

– Co się stało z tamtymi ludźmi? Kto ich zabił?

– *Źródło energii jest coraz bliżej. Przy obecnej prędkości dogoni nas mniej więcej za dziewięćdziesiąt sekund.*

– Nie możemy przyspieszyć?

– *Lecimy z maksymalną mocą, doktor Brandywine.*

– Pogotowie – powiedziała – tutaj robi się trochę gorąco. Gdyby coś mi się stało, musicie użyć mikrofal.

– Powtórz, Kim?

– Nie ma czasu.

– W tej chwili startuje do ciebie jednostka ratownicza. Możesz nam pomóc, opisując swoje położenie. Postaraj się zachować spokój.

Kim wyłączyła radio.

– Jerry, czy możemy przesłać im zdjęcie całunu?

– *Czego?*

– Tego, co nas ściga.

– *Możemy, doktor Brandywine.*

– Wykonaj.

Pod nimi fale jeziora błyskawicznie umykały. Brzeg ginął w ciemnościach. Musiała podjąć decyzję.

– *Co robimy?* – spytał Jerry.

Na tylnym siedzeniu leżał *Valiant*. Czarny kadłub połyskiwał pięknie. *Jakie miejsca odwiedziłeś, mały przyjacielu?*

Otworzyła pudełko z duplikatem i włączyła światło, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Nawet kopia była warta fortunę.

– *Kim. Zawiadamiam, że wysłałem zdjęcie do Pogotowia, a mego dyspozytora powiadomiłem o przebiegu tego lotu.*

– Dobrze. Zobaczymy, co on na to. – Podniosła kopię statku i postawiła ją na siedzeniu obok siebie. – Jerry, otwórz drzwi.

– *Przykro mi, ale nie mogę wykonać polecenia. Otwieranie drzwi podczas lotu jest niebezpieczne.*

– To konieczne, abyśmy mogli uniknąć kontaktu ze ścigającym. Otwieraj.

– *Nie chcę pani urazić, doktor Brandywine. Wiem, że ten drugi wehikul zachowuje się dziwnie, ale nie mogę polegać wyłącznie na pani zapewnieniu, że jest niebezpieczny.*

Westchnęła i spojrzała w dół, szukając panelu, który kiedyś pokazał jej Sal. Bez trudu znalazła go i otworzyła. Żółty przewód.

– Przepraszam Jerry – wyszeptała wyciągając wtyczkę. Przypomniała sobie resztę procedury, wcisnęła te same guziki co Sal i włączyła ręczne sterowanie.

Wyprzedzała całun tylko o kilka sekund. W jego mglistych fałdach widziała gwiazdy.

Była pewna, że są tam trzy olbrzymy gwiazdozbioru Oriona: Mintaka, Alnilam i Alnitak.

Północny brzeg zbliżał się w błyskawicznym tempie. Kim zeszła tuż nad wodę.

Całun podążył za nią.

Zaciskając w dłoniach duplikat statku rozpięła szelki bezpieczeństwa i pchnięciem otworzyła drzwi. Wiatr z wyciem próbował na powrót je zatrzaskać. Zatrzymała je stopą.

Chciała przytrzymać statek tam, gdzie istota mogłaby go zobaczyć, ale w chwili, gdy wysunęła kopię *Valianta* za drzwi, wiatr wyrwał go jej z rąk.

Widziała, jak koziołkując wpadł do wody.

Ku jej przerażeniu, całun nie zwolnił ani na chwilę i był już bardzo blisko.

Albo nie dostrzegł przynęty, albo zwietrył podstęp. Kim wymamrotała przekleństwo, jakiego nigdy dotąd nie używała, sięgnęła po prawdziwego *Valianta* i położyła go sobie na kolanach. Chciała wybrać jak najlepsze miejsce. Sto metrów od brzegu. Trzydzieści stopni od zniszczonego pomostu. Na lewo miała wąski półwysep wcinający się w wodę. Z bijącym sercem wyrzuciła za burtę najcenniejszy skarb obcej istoty.

Chmura i tym razem nie zawróciła.

Mój Boże, ścigała ją.

Kim przemknęła nad wodą, wypadła na brzeg i śmignęła tuż nad wierzchołkami drzew.

– Ty głupia pokrako – wrzasnęła w chwili, gdy zatrzaskiwały się drzwi. – Przecież wrzuciłam go do jeziora.

Odwaga rośnie stosownie do okoliczności.

William Shakespeare, ok. 1596 r n.e.

Flyer był za wolny.

Chmura stale się zbliżała. Była już tak blisko, że Kim bez trudu odróżniała oczy, dwie pary w przedniej części całunu. Przypominały okna w kokpicie samolotu.

Stwór wsiadł flyerowi na ogon, wypełniając cały tylny monitor i wpatrując się w nią, tak jakby potrafił przeniknąć przez system kamer i mógł ją widzieć. Dotknął Redbirda, zaczął otaczać stery i dysze. Kim szarpnęła dźwignię gwałtownie skręcając i próbując wspiąć się wyżej. Całun próbował za nią nadążyć, ale nawrót okazał się dla niego za ostry. Stracił spoistość i rozsypał się po niebie. Kim pogratulowała sobie, wyrównała lot na dwóch tysiącach metrów, po czym zawróciła do Eagle Point. Najszybciej jak mogła.

Ratownicy nadal próbowali się z nią połączyć. Pytali, co się stało, gdzie były ciała i jaki miała problem. Jednocześnie ostrzegali przed konsekwencjami, jakie groziły za przesyłanie wirtualnych zdjęć.

– Są prawdziwe – powiedziała im.

– Co na nich jest?

Z tyłu flyera świetliki ponownie zaczęły się grupować.

Sukinsyn.

– Kim, co się tam dzieje?

– Coś mnie goni. Nie wiem, co to takiego.

– W porządku. Trzymaj się z dala od tego. Pomoc jest już w drodze.

– Powiedźcie im, żeby byli ostrożni. Ten stwór jest śmiertelnie niebezpieczny.

– Co możesz nam o nim powiedzieć?

– Jego struktura rozpada się pod wpływem mikrofal.

– Mikrofal? – powtórzył ratownik, po czym zamienił z kimś kilka zdań. – Skąd się to wzięło?

– Nie wiem. Widzę, że już się zdążyło pozbierać i rusza w moją stronę.

– Dotrzemy tam za kilka minut.

Kim zobaczyła światła zbliżające się od strony Eagle Point.

– Dzięki – powiedziała.

Miała teraz wiele kilometrów przewagi, a zjawa przypominała na razie mglistą plamę na tle księżyca. Ale głowa komety już się na nowo formowała, mknąc szybko na tle innych chmur.

Na odczytach czujników Kim widziała, że istota błyskawicznie przyspiesza. Mknęła już z ogromną szybkością.

Czekała i patrzyła, jak całun znowu się zbliża, przesłaniając niebo za nią. Szalone, wrogie oczy znajdowały się gdzieś poza zasięgiem monitorów. Gdy nie mogła go już znieść, gdy ponownie zaczął wsiadać jej na ogon, raz jeszcze gwałtownie zawróciła, rozpraszając chmurę po niebie.

Przeklęty, głupi potwór.

Wstęgi ogona zahaczyły o prawe skrzydło flyera. Zgasły światła, a na konsoli gwałtownie zaczęła mrugać czerwona lampka. Silnik umilkł. Flyer runął w dół. Nocne niebo umykało w górę, a żołądek Kim próbował wspiąć się do gardła. Awarie silników się nie zdarzały. A gdyby coś takiego mimo wszystko miało miejsce, procedura wymagała oczekania minuty przed ponownym uruchomieniem. Automaty potrzebowały czasu na wyzerowanie. Oczekała tyle, ile mogła. Potem wcisnęła guzik startu. Magnetyka zadziałała i silnik zaskoczył.

Drzewa i wzgórza zbliżały się w zawrotnym tempie.

Szarpnęła jarzmo steru, wyprowadziła pojazd na wysokość wystarczającą, by ominąć przeszkody, ale nie wspinała się wyżej. Wołała się trzymać nisko, w gęstszym powietrzu.

Tutaj całun mógł mieć większe problemy.

Nie widziała na monitorach głównej jego części, ale miała wrażenie, że dostrzega długie smugi mgły na tle gwiazd.

Czerwona lampka nadal mrugała.

Akumulatory.

Poprosiła o odczyt wskazań zapasu mocy.

PRZY OBECNYM STOPNIU UŻYTKOWANIA, WEHIKUŁ MOŻE POZOSTAĆ W POWIETRZU TRZYDZIEŚCI CZTERY MINUTY.

– Kim – usłyszała nowy męski głos. – *Skieruj się na północny wschód i zwiększ wysokość.*

Tam zdejmujemy ci go z ogona.

Po prawej stronie, nad nią pojawił się policyjny krążownik.

– Dobrze was widzieć – powitała ich. – Uważajcie. To niebezpieczny przeciwnik.

Całun odzyskiwał kształty.

Obok pojawiła się druga jednostka pogotowia. Kim próbowała znaleźć ich częstotliwość, mając nadzieję, że usłyszy, o czym między sobą rozmawiają, ale bez Jerry'ego nie mogła sobie poradzić.

Ostrzegawcze światełko migotało wściekle. Ląduj, zanim spadniesz. W innej sytuacji zaczęłaby się natychmiast rozglądać za najbliższym kawałkiem płaskiego terenu. Ale nie tej nocy. Zawróciła do Eagle Point.

Policyjne jednostki otworzyły ogień. Strzelały laserami o znacznie większej mocy rażenia niż w ręcznych modelach, jakich używała ochrona Tripleya.

Zaskoczony nagłym atakiem całun zabłysł pomarańczowymi i białymi falami. Niewielkie fragmenty oderwały się od głównej struktury. Strumienie mgły trysnęły fontanną i stwór zaczął się rozpraszać.

Policyjny krążownik przystąpił do ataku, zbliżając się na odległość bezpośredniego strzału.

– Zły pomysł – ostrzegła Kim.

Z jej pozycji chmura wyglądała jak mała burza z wyładowaniami elektrycznymi.

Niespodziewanie ogień ustał i zgasły światła. Krążownik znikł w ciemnościach. Po chwili zobaczyła kulę ognia tuż nad ziemią.

Radio milczało.

Miała rezerwę mocy na trzydzieści minut lotu. Trochę za mało. Gdzie mogła wylądować i uniknąć spotkania z tą przeklętą istotą?

– Kim – znowu usłyszała pogotowie lotnicze. – Nie zatrzymuj się. Jak najszybciej opuść

okolice.

– Właśnie próbuję. – Niebo za rufą było ciemne. – Przestali strzelać – zauważyła.

– Wiemy.

Jej czujniki znowu wychwyciły obecność całunu.

– Musicie mieć coś skuteczniejszego od laserów. Macie coś, co może przesyłać skoncentrowane wiązki mikrofal?

– Właśnie to sprawdzamy. Czy możesz przyspieszyć, Kim?

– Tracę moc. Nie jestem pewna, czy zdołam dotrzeć do miasta.

– W takim razie kieruj się na wschód. Z dala od gór. Szukaj miejsca do lądowania. W drodze są już następne jednostki.

Na wschód.

– Jeśli nie macie nic lepszego niż poprzednio, zginie więcej ludzi – powiedziała. – Ja także. Może powinniście wezwać flotę.

– Zaufaj nam. Zajmiemy się wszystkim.

Akurat.

Całun znowu się zbliżał. Pokonywał przestrzeń z coraz większą szybkością.

Cholerny, głupi Sheyel. Nikt jej nigdy nie słuchał.

Rząd światła mknął po niebie na zachód, w stronę gór. Noc była spokojna, senna, zwyczajna. Jeśli jakaś jednostka wyruszyła Kim na pomoc, jeszcze nie pojawiła się na monitorze radaru. W martwym powietrzu poruszały się tylko pociąg i ścigający ją stwór. Ale Kim nadal miała znaczną przewagę.

Całun zamierzał ją zabić, a ona nie wiedziała, jak przed nim uciec.

Układające się w szereg światła zaczęły jedno po drugim gasnąć, poczynając od frontu.

Pociąg wjeżdżał w tunel Culbertson.

Patrzyła za nim, aż znikł zupełnie.

– Pogotowie lotnicze? Jaką długość ma Culbertson?

– Dwadzieścia sześć kilometrów, Kim. Dlaczego pytasz?

Kiedyś nim jechała. Próbowała sobie przypomnieć jego wnętrze, ale pamiętała tylko, że było za ciemno, by cokolwiek widzieć.

Sprawdziła rozkład pociągów przyjeżdżających do Eagle Point. Codziennie jeździło tędy kilka lokalnych pospiesznych dowożących ludzi do pracy i osiem dalekobieżnych pasażerskich. Towarowych było więcej, ale ich rozkład jazdy okazał się mniej precyzyjny.

Wkrótce miał przyjechać „304” z Worldend na zachodnim wybrzeżu. Frachtowiec. Wiózł flyery, meble i materiały budowlane. Dziewięć wagonów. W pełni zautomatyzowany. Ani jednego człowieka. Według rozkładu przyjeżdżał za dwadzieścia minut.

Połączyła się z Pogotowiem Lotniczym.

– Możecie sprawdzić, czy „304” dziś kursuje, a jeśli tak, to czy nie ma opóźnienie?

– Pewnie – odparł jeden z ratowników. – Po co?

– Zróbcie to dla mnie. Później wyjaśnię.

Wywołała na monitor mapę tras magnetycznej lewitacji. Frachtowiec miał nadjechać linią

zachodnią. Przez Culbertson. Na otwartej przestrzeni jeździł z szybkością niemal 400 kilometrów na godzinę, ale przed przejazdem pod górą zwalniał do 220.

– Potwierdzam informacje o pociągu, Kim – odezwał się ratownik Pogotowia. – Dziś jedzie o czasie.

– Co do sekundy?

– Dlaczego pytasz?

Wyjaśniła mu, co zamierzała zrobić. Z gwizdem wciągnął powietrze. Zaczął mówić, że nie mogła, że to zbyt niebezpieczne. Nikt by jej nie pozwolił. Kazał jej lecieć dalej i czekać, aż oni zdołają wyeliminować całun.

– Nie uda się wam. Lasery tego nie zniszczą, a mnie się kończy moc i za chwilę znajdę się na ziemi zdana na łaskę tego potwora.

– Dlaczego cię goni?

– Nie podobają mi się moje poglądy polityczne.

– Kim spojrzała na radio z wściekłością. – Skąd mam wiedzieć. – Na niebie pojawiło się kilka par świateł.

– Wasi ludzie już tu są – powiedziała.

– Dobra. Leć dalej.

Naliczyła cztery policyjne krążowniki. Tym razem trzymały się z dala, strzelając z broni dalekiego zasięgu i cofając się, gdy całun ruszał w stronę któregoś z nich. Z podziwem patrzyła na doskonałą koordynację atakujących. Ostrzeliwali wroga z różnych pozycji. Mimo ich wysiłków całun nie odnosił jednak żadnych poważniejszych szkód.

Kim skrzyła pochylając flyera na skrzydło i ruszyła w stronę tunelu.

Za nią czerwone i białe promienie laserów błyskały niczym ostrza szabli. Po chwili zmieniła kierunek i znikły z jej pola widzenia.

Jakiś czas leciała w ciemnościach. Niespodziewanie niebo z tyłu rozbłysło światłem.

Kanał Pogotowia lotniczego milczał przez kilka minut. Potem znowu usłyszała głos tego samego mężczyzny.

– Wygląda na to, że miałaś rację, Kim. Spróbujemy czego innego.

– Czyli czego?

– Ataku z kosmosu. Będzie szybciej, gdybyś najpierw wylądowała.

Spojrzała na rozciągający się pod nią las.

– Nie – powiedziała.

– To całkowicie bezpieczne.

Poczuła, jak żołądek przewraca się jej na samą myśl o tym.

– Na pewno tak, ale temu czemuś chodzi o mnie, nie o flyera. Nic wam nie pomoże, jeśli mnie gdzieś przeniesiecie.

– Jesteś pewna?

– Tak. Nie mam czasu teraz o tym dyskutować.

– Przepraszam, wiem, że sytuacja jest trochę napięta.

– Właśnie.

- Po raz pierwszy mamy do czynienia z czymś takim.
- Czyli, że nie macie instrukcji, jak sobie z tym radzić.
- Posłuchaj, Kim, robimy wszystko co w naszej mocy.

– Aha – powiedziała trochę łagodniej. – Wiem, ale uważam, że numer z tunelem to jedyne wyjście.

- Według nas nie jest to dobry pomysł.
- Macie lepszy?

Rozmówca zamilkł.

- Potrzebna mi będzie wasza pomoc – powiedziała.
- Chwila.
- Tylko szybko. Kończy mi się czas.

Właśnie przelatowała ponad południowym torem, z którego korzystały pociągi podróżujące między Eagle Point a Terminal City. Tworzyło go magnetyczne pasmo nie szersze niż długość jej ramienia. Na terenach zalesionych zwykle znajdowało się ono na wysokości wierzchołków drzew, podtrzymywane przez solidne, metalowe wsporniki. Kiedy patrzyła na szlak pod odpowiednim kątem, tor odbijał światło księżycowe.

Gdyby świeciło słońce, widziałaby całą trasę magnetycznej lewitacji przecinającą las.

Poruszającym się z ponaddźwiękową prędkością pociągom towarzyszyły dźwiękowe gromy i potężne wichry spychające na bok wszystko, co znalazło się w pobliżu toru. Po obu stronach drzewa i krzewy pochylały się mocno do ziemi, jak najdalej od przejeżdżających wagonów.

W rezultacie przypominało to rozstępujące się Morze Czerwone, tylko że wodę zastąpiły rośliny.

Kim odszukała zachodni tor i ruszyła wzdłuż niego w stronę gór. Za Eagle Point wierzchołki gór zbijały się, tworząc wielką zaporę. Był to najwyższy łańcuch górski planety.

Majestatyczne szczyty pokrywał śnieg. Bez tunelu nie dałoby się ich pokonać. Podnóże gór naznaczyły ślady pradawnych ruchów górotwórczych: głębokie kaniony, ostre urwiska i przepaście.

- Halo? Pogotowie? Jesteście tam?

Cisza. Wyobraziła sobie rękę zakrywającą mikrofon i kłócących się między sobą ludzi.

Pewnie dokądś telefonowali.

– Przede wszystkim musicie wyłączyć wszelkie systemy bezpieczeństwa – powiedziała. – Gdyby włączone detektory stwierdziły obecność przeszkody w tunelu, pociąg zostałby automatycznie zatrzymany.

- W porządku, doktor Kimberly. Skoro się przy tym upierasz...

Znali jej tytuł. Już zdążyli ją sprawdzić.

- Tak. Posłuchajcie, potrzebuję szczegółowych informacji. Jaką długość ma tunel?

Dokładnie. Jakie wymiary? Czy się zakrzywia, a jeśli tak, to w jakim stopniu? O której wjedzie do niego pociąg? Muszę znać czas co do sekundy.

- To może być trudne.
- Dlaczego? Powciskaj tam trochę guzików. Według mnie to proste.
- Nie w czasie, jaki nam został.

- Jak się nazywasz?
- Tom. Tom Pace.
- Tom, mogę liczyć tylko na ciebie.
- Kim – odezwał się Pace – pomyślałem, że powinnaś o czymś wiedzieć. Wezwaliśmy wojsko.
- Dobrze. Kiedy tu będą?
- Najpóźniej za godzinę.
- Czyli trochę za późno. Masz dla mnie dane, o które prosiłam?
- Właśnie próbuję je zdobyć.

Przed sobą miała szarą ścianę. U jej podstawy dostrzegła czarną gardziel tunelu. Dotarła tu za wcześnie. Zrobiła ciasny nawrót i skierowała się na północ. Musiała zyskać na czasie i pozwolić, by zjawą się zbliżyła.

Sprawdziła rezerwę mocy. Zostało jej trzynaście minut.

- Kim, mam te dane.
- Słucham.
- Po pierwsze, tunel biegnie prosto.

Dzięki Bogu.

- Szerokość waha się w różnych miejscach od dziewiętnastu do dwudziestu jeden metrów.

Wysokość wynosi osiemnaście metrów, ale tor biegnie trzy metry nad ziemią, więc tak naprawdę zostaje tylko prześwit wysoki na piętnaście metrów. Dokładna długość wynosi 26

kilometrów i sto metrów. Towarowy wjedzie w tunel od zachodu o 9:42:45. Plus minus trzydzieści sekund. Przepraszam, ale dokładniej nie potrafią tego określić. Przy wjeździe zwalnia do 220 kilometrów na godzinę. Mam powtórzyć?

Kim sprawdziła zegar kontrolowany przez satelitę. Właśnie minęła 9:31. Wpisała dane do komputera, otrzymała wynik i nastawiła odliczanie czasu.

- Kim, to mi się nie podoba.

– Wiem, Tom. – Widziała całun nadciągający od południa. Wyglądał jak świecąca plama poruszająca się na tle gwiazd.

Zamknęła pierwsze koło i ponownie zawróciła na zachód, próbując tak zgrać wszystko w czasie, żeby wejść do tunelu dokładnie o 9:35. Czujniki odszukały tor i Kim naprowadziła flyera na odpowiedni kurs.

– Powodzenia – powiedział Tom. – Systemy zabezpieczające są wyłączone – dodał, a potem, na szczęście, zamilkł.

Według zegara miała jeszcze minutę do wejścia w tunel. Spojrzała przed siebie, na szybko zbliżające się szyty i oceniła, że doskonale mieściła się w czasie.

Całun nadrobił już większość dystansu i znowu się zbliżał. Wokół Kim wyrosły góry. Już nie miała odwrotu. Mogła uciec tylko do tunelu. Ścigający ją stwór trzymał się za nią.

Czterdzieści sekund przed wejściem w korytarz podłączyła Jerry'ego.

Od razu zaczął odbierać sygnały z różnych czujników flyera.

- *Kim, coś ty zrobiła?* – odezwał się oskarżycielsko.
- Musimy przelecieć przez tunel – poinformowała. – Ty musisz się tym zająć.

Nie marnował czasu na dyskusje. Zszedł trochę niżej, dokładnie naprzeciw wejścia i zwolnił.

– Z drugiego końca o 9:42:45 wjedzie pociąg – powiedziała. – Możliwe odchylenie, trzydzieści sekund.

Jerry nie odpowiedział, więc uznała, że sprawdzał rozkłady jazdy.

– *Nie mylisz się. Poza tym, zamierzam złożyć skargę*

– W porządku. Tylko najpierw nas przez to przeprowadź.

Niebo przesłoniła granitowa ściana.

– *Wiesz, że pociąg może nie jechać zgodnie z rozkładem?*

– Jedzie.

– Zero – odliczył zegar dokładnie w chwili, gdy wpadli w światło tunelu. Reflektory oświetliły kamienne ściany. Tor biegł tuż pod nimi.

– *Chyba rozumiesz, że odłączenie automatycznego pilota jest wykroczeniem, karalnym grzywną, więzieniem, albo jednym i drugim.*

– Proszę, zajmij się teraz tym, co robisz – powiedziała.

– *Wiedziałaś, że wyczerpują się akumulatory?*

– Tak.

– *Widzę, że doszło do wypadku. Jak mogłaś dopuścić do zwarcia w systemie?*

– Daj spokój, Jerry. Dowieź nas na drugą stronę, a wszystko wymienię. Obiecuję.

– *To dziwne.*

– Co takiego.

– *Inny wehikuł właśnie wleciał do tunelu za nami*

– To dobrze. – Wiedziała, że całunowi trudno będzie utrzymać się za flyerem. – Mam cię, ty sukinsynu.

Światła pojazdu wkuwały się w mrok. Kim zamknęła dłonie na poręczach mocno wciskając się w fotel. Ściany wokół zwolniły biegu.

Spojrzała na liczniki. Zmniejszyli prędkość do 170 kilometrów na godzinę. I nadal zwalniali.

– Jerry...

– *Kim, nie możemy utrzymać stabilności przy tej prędkości.*

– Nie możesz teraz zwalniać. Musimy lecieć dwieście na godzinę. W przeciwnym razie nie dotrzemy na drugą stronę.

– *Nie damy rady. Uderzymy w ścianę.*

– Jerry...

– *Nie ja doprowadziłem do tej sytuacji* – W głosie brzmiał wyrzut. Automat miał do niej pretensje.

Dochodziła 9:37. Mieli pięć minut na opuszczenie tunelu.

– Jerry, musimy spróbować...

– *Przykro mi. Mogę tylko zwolnić do prędkości, w której możliwe będzie manewrowanie pojazdem.*

Lecieli już mniej niż 150 na godzinę.

– *To kwestia prawdopodobieństwa. Szansa, że pokonamy tunel przy maksymalnej prędkości,*

jakiej wymagasz jest równa zero. Natomiast istnieje cień możliwości, że pociąg się spóźni. Jeśli tak...

Wyłączyła go i próbowała przejąć stery, ale ściany tunelu przesuwały się obok tak szybko, że musiała jeszcze bardziej zwolnić, aby odzyskać kontrolę nad flyerem. 120. 100.

Całun znajdował się daleko z tyłu, ale nadal nie rezygnował.

O 9:40 Kim znajdowała się zaledwie w połowie długości tunelu.

Zwolniła do osiemdziesięciu i wyrównała lot. Świat przestał pędzić bez opamiętania. Z ukłuciem żalu pomyślała o Salu, o tym, że miała młodo umrzeć i nie poznać rozwiązania zagadki.

Zegar wyświetlił 9:42:45. Pociąg właśnie wjechał do tunelu albo miał to wkrótce zrobić.

Oba pojazdy zbliżały się do siebie z szybkością 300 kilometrów na godzinę.

Niedobrze.

Szyna prowadząca uderzyła w podwozie flyera. Kim zapanowała nad sterem i zwolniła jeszcze bardziej.

W oddali zamigotało światło. Pojedynczy strumień przedniego reflektora pociągu.

Koniec zabawy.

Odpaliła wsteczne i flyer przysiadł na torze, wpadł w poślizg, obrócił się, przechylił na bok, spadł poniżej szyny i uderzył w ścianę. Kim poczuła ostre szarpnięcie pasów bezpieczeństwa. Światło w kabinie zgasło, coś trzasnęło i zaczęło się palić. Flyer przekoziółkował tak, że zawisła głową na dół.

Ściany tunelu, sufit, wsporniki, szyny, wszystko znikło w oślepiającym blasku zbliżającej się przedniej latarni.

Kim znalazła się na niższym poziomie. Flyer zaklinował się dziobem w dół. Jego ogon zagradzał pociągowi drogę. Znalazła przycisk i wypięła się z siedzenia.

Kopnięciem otworzyła drzwi i wydostała się na zewnątrz. Tunel drżał.

Zataczając się, przeszła kilka metrów, próbując odejść jak najdalej od flyera. Po raz ostatni spojrzała na zjawę widoczną w świetle zbliżającego się towarowca.

Tor wspierał się na kolumnach rozmieszczonych mniej więcej co dziesięć metrów. Kim przypadła do podstawy najbliższej z nich, chwyciła się jej mocno i schowała głowę. Pociąg przemknął nad nią i wpadł na rozbitego flyera. Zacisnęła powieki, próbując przytrzymać się betonu. Nad nią pędził huragan wiatru i zgrzytającego metalu. Ziemia się zakołysała.

Jeśli artefakty naprawdę są fragmentami zaginionych światów, równie prawdziwe jest twierdzenie, że są odbiciem naszej rzeczywistości.

Tala Dellaria,

Krótki wstęp do archeologii Minagwany, 588

Obudziła się w ładnym, zalanym słońcem pokoju. W oknie wisały żółte zasłony, a z głośnika płynęła cicha muzyka. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do środka. Osoba ta miała na sobie lekarski kitel.

Kim nie mogła sobie przypomnieć, jak się tu znalazła. Nie pamiętała nic z tego, co się wydarzyło po pożegnalnej ceremonii Sala. Próbowwała skupić uwagę na gościu. Dopiero po chwili zorientowała się, że nie ma czucia w prawej nodze.

– Niestety złamana – powiedział lekarz, wysoki, ciemnoskóry mężczyzna o głębokim głosie. Nie widziała wyraźnie rysów jego twarzy. – Ale za kilka dni będziesz już mogła wstać – dodał.

– Jestem w szpitalu? – spytała.

– Tak. – Miał ciemne oczy i sprawiał wrażenie zadowolonego. – Jak się czujesz?

– Niezbyt dobrze. – Była w pociągu do Eagle Point. Tak, właśnie tak. Była w Eagle Point.

Szukała Sheyela.

Lekarz zastukał piórem w monitor i pokiwał głową.

– Wracasz już do siebie – powiedział. – Przez jakiś czas możesz się dziwnie czuć, ale nie odniosłaś żadnych poważniejszych obrażeń.

– To dobrze.

Na krawędzi świadomości pojawiło się wspomnienie walki nad brzegiem jeziora.

– Kim?

Sheyel nie żył. Wszyscy nie żyli.

– Kim? Słyszysz mnie?

– Tak, doktorze.

– Chciałbym ci zadać kilka pytań. Po pierwsze, muszę mieć twoje pełne dane.

Przysunął sobie krzesło i zaczął wypytywać ją o zawód, dlaczego zajęła się zdobywaniem funduszy i czy była w tym dobra. Chciał znać jej datę urodzenia i dowiedzieć się, jakie książki ostatnio czytała, gdzie chodziła do szkoły i co studiowała. Pytał, czy pamiętała, jak trafiła do szpitala, a kiedy zająknęła się próbując mu odpowiedzieć, powiedział jej, że to nic, żeby się nie martwiła, że wszystko sobie przypomni.

Uciekła z *Valiantem*.

Lekarz wypytywał ją o zdanie w różnych kwestiach politycznych. Chciał wiedzieć czy miała flyera i czy lubiła mieszkać nad morzem. Prosił też, by wyjaśniła jak to możliwe, że wszechświat nie jest nieskończony.

Policyjny krążownik znowu podleciał za blisko. Próbowwała wyrzucić to wspomnienie z pamięci, przypisać je delirium, zapomnieć o nim. Ale to się zdarzyło naprawdę.

A potem była w tunelu.

– Aha, jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. Prosił, aby połączono go natychmiast, gdy odzyskasz przytomność. Masz dość siły?

– Kto to?

– Niejaki Woodbridge.

Nie zwlekał.

– Porozmawiam z nim. – Spojrzała na lekarza. Uśmiechnął się, na moment ujął jej przegub, po czym zapewnił, że wkrótce odzyska siły.

– Co się stało z całunem? – spytała.

Zmarszczył czoło.

– Z jakim całunem?

– Z tym czymś. Tym, co chciało mnie zabić.

– Przykro mi Kim, ale nic o tym nie wiem. Zastanawiam się, czy powinnaś teraz z kimkolwiek rozmawiać. Może najpierw trochę odpoczniesz?

Wrzuciła *Valianta* do jeziora. O Boże, naprawdę to zrobiła?

– Nie. Nic mi nie jest. – Spróbowała podnieść się trochę wyżej na poduszki. Pomógł jej. – Proszę go połączyć – powiedziała.

– Dobrze. Ale tylko na pięć minut. Nie więcej. Czy chciałabyś coś jeszcze?

– Coś do jedzenia – przyznała.

– Zaraz każę ci przynieść śniadanie – obiecał i wyszedł z sali. Kim zamknęła oczy.

Po chwili włączył się projektor i miała przed sobą wirtualnego Woodbridge'a.

Siedział w staromodnym dębowym fotelu. Ponieważ leżała w dziwnej pozycji, projektor ustawiono pod kątem. Woodbridge patrzył na nią z góry, spod sufitu. Wyglądał na zmartwionego.

– Kim, jak się czujesz?

– Będę musiała trochę poleżeć. Poza tym, czuję się źle.

– Co się stało?

Zawahała się.

– Możesz mówić – powiedział. – Jesteśmy na bezpiecznym łączu.

Nie dlatego się wahała. Gdyby powiedziała mu o *Valiancie*, straciłaby statek. Przejąłby go rząd albo laboratoria badawcze. Mógł też trafić z powrotem do rodziny Tripleya jako część jego majątku. Cholera. Po tym wszystkim, przez co przeszła, jeśli ktoś miał go dostać, to przede wszystkim ona. Uważała, że nie miała żadnych długów wobec nikogo.

– Zadzwoił do mnie Sheyel Tolliver – powiedziała. – Poprosił, żebyśmy się spotkali w Severin. – Wyjaśniła, że profesor musiał się skontaktować także z Benem Tripleyem, bo on także się zjawił nad jeziorem. Zanim zdążyli porozmawiać, to *coś* zaatakowało ich.

Opisała walkę nad jeziorem i swój późniejszy lot.

– Ciekawe – stwierdził Woodbridge. – Po co Tolliver tam pojechał? Dlaczego chciał się tam spotkać z tobą i Tripleyem?

– Nie mam pojęcia.

– I dlaczego to *coś* nagle wpadło w szal? Podobno tkwiło tam już od wielu lat, mam rację?

Co się wydarzyło? – Spojrzał na nią, marszcząc brwi. – Kim, czy o wszystkim mi powiedziałaś?

Próbował przeniknąć ją wzrokiem Mefistofelesa, ale się zawzięła. Pomyślała, że ostatnio oszukiwanie ludzi przychodziło jej bez trudu.

– Tak, jestem tak samo zdumiona, jak ty.

– Otrzymałem informację, że nie znaleziono żadnego śladu tego *całunu*.

– To dobrze.

– Uderzyło mnie podobieństwo tej zjawy do istoty z *Hammera*.

– Jestem pewna, że to była taka sama bestia, Kanon.

– Czy możliwe, że mamy ich więcej?

– Z tego co wiem, nie.

Spojrzał na nią surowo.

– Dobrze. Mam nadzieję, że się nie mylisz. A tak przy okazji, władze czekają, żeby z tobą porozmawiać. Uważaj, co im powiesz. Nie wspominaj o powiązaniach z *Hunterem*. Ani z

Hammerem. Żadnych historii o obcych światach. Rozumiemy się? Po prostu miałaś się spotkać z przyjaciółmi i nie masz pojęcia, co was zaatakowało.

– Dlaczego im nie powiesz, że nie mogę teraz rozmawiać?

– Nie mogę. Pomyślą, że coś ukrywamy. Bądź spokojna, Kim. Jestem pewien, że powiesz im tylko tyle, ile będziesz chciała. – Uśmiechnął się i przerwał połączenie. Do pokoju weszła salowa ze śniadaniem. Towarzyszyła jej pielęgniarka.

– Doktor Brandywine, przyszło kilka osób z policji. Chciałyby się z panią zobaczyć...

– Naprawa tunelu będzie kosztowała pół miliona. – Matt Flexner był zrozpaczony. – Przez rok wszystkie pociągi mają korzystać z objazdu. W tej chwili ludzie z transportu nie myślą o tobie z sympatią. Podatnicy też nie.

– Naprawdę mi przykro. W takiej sytuacji nie miałam wielkiego wyboru. – Prócz złamania kości, odniosła też sporo wewnętrznych obrażeń, była poparzona i wykrawiłaby się na śmierć, gdyby nie szybka akcja Pogotowia Lotniczego. Los jej sprzyjał, ratownicy zdołali wydostać ją zachodnim wejściem do tunelu.

– Kim, możemy chyba rozmawiać bez sarkazmu. Jesteś pracownikiem Instytutu, więc teraz wszyscy zbieramy cięgi.

– Postaraj się mnie zrozumieć, Matt. Próbowałam przeżyć. Nie myślałam wtedy, co pomyśli na ten temat Instytut.

Uspokoił się.

– Wiem. Problem w tym, że kazali ci się trzymać z dala od tunelu. Ale mimo wszystko, cieszę się, że wyszłaś z tego cała.

– Miło mi to słyszeć.

Pokiwał głową.

– Chyba sobie na to zasłużyłem.

– Właśnie.

Miał przed sobą stertę zdjęć chmury, ściągniętych z mediów.

– Co to jest tak naprawdę?

– Prawdopodobnie sztucznie stworzona forma życia. Przypuszczam, że przyleciała na gapę z *Hunterem*.

Otworzył szeroko oczy.

– Jak to możliwe?

Matt nie należał do osób, na które można było liczyć w krytycznych chwilach, ale potrafił trzymać język za zębami. Kim musiała w końcu z kimś porozmawiać. Zwłaszcza jeśli chciała oddać *Valianta* do zbadania.

Jeszcze nie zdecydowała, co zrobi po wyłowieniu go z jeziora. Mogła zabrać go do siebie i ukryć, utrzymując jego istnienie w tajemnicy, dopóki sama nie dowie się o nim jak najwięcej. Gdyby wybrała inne wyjście, natychmiast straciłaby statek.

– Matt, powiem ci wszystko co wiem, ale coś za coś.

– W porządku. – Skrzyżował ręce w obronnym geście, tak jakby za chwilę ktoś zamierzał poddać w wątpliwość jego honor. – Słucham.

– Bez mojej zgody nikomu nie powiesz nic z tego, co za chwilę usłyszysz. Absolutnie nic.

– Najpierw muszę wiedzieć, o co chodzi.

– Nie. Jeśli się nie zgodzisz na ten warunek, nic nie powiem.

Widziała, jak napinały się mięśnie jego szczęki. Długo milczał.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Co masz?

– Statek kosmiczny. Mikrostatek. Z innego świata.

Ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

– Mówisz poważnie?

– Czy ja kiedyś żartowałam w takich sprawach? – Nigdy dotąd nie widziała go tak zmieszanego.

– Podobno mają mnie stąd wypuścić za kilka dni – Zabiegi rekonstrukcyjne znacznie przyspieszały gojenie. – Spotkajmy się, a pokażę ci go.

– *Pokażesz?* Gdzie on jest?

– Będziemy musieli wynająć łódź.

Wypożyczyli także sprzęt do nurkowania. Matt nie umiał pływać i niepokoił się, że nie będzie mógł pomóc Kim, jeśli coś się jej stanie pod wodą. Martwił się, że jeszcze nie zakończyła rekonwalescencji, ale ona zapewniła go, że da sobie radę. Musiała tylko pamiętać, żeby zbytnio nie obciążać nogi.

Z poprzedniej rozmowy Matt wyciągnął oczywisty wniosek.

– Chcesz powiedzieć, że on jest w jeziorze? – spytał gdy odbijali od północnego brzegu.

– Oczywiście.

– Nawet jeśli to prawda, utonę, próbując się mu przyjrzeć.

– Nie będziesz musiał schodzić pod wodę.

– Zobaczę go z łodzi?

– Mam nadzieję, że nie.

– To jak...?

– Bądź cierpliwy. – Wprawdzie miała ze sobą czujnik, ale i tak dwie godziny szukała właściwego miejsca. Przez ten czas cierpliwość Matta się wyczerpała. – Jest mały – powiedziała mu

w końcu.

Zmarszczył brwi.

– Jak mały?

Rozsunęła dłonie na pół metra.

– To naprawdę mikrostatek – dodała.

Wreszcie czujnik coś wychwytał. Kim ześliznęła się do wody z burty i korzystając z silników zeszła na dno. Woda była dość przejrzysta i Kim bez trudu znalazła statek.

Wydobyła go z mułu, wróciła na powierzchnię i podała Mattowi. Skrzywił się sceptycznie biorąc *Valianta* w ręce, po czym dokładnie go obejrzał.

– Przestań zakładać, że kosmici muszą mieć taki sam rozmiar, co my – powiedziała mu.

Powoli przyzwyczajając się do tej myśli. W drodze powrotnej do Eagle Point trzymał statek na kolanach powtarzając stale: „wydaje mi się, że to możliwe” albo „może rzeczywiście”.

– Kim, lepiej, żeby to nie był żart.

Zawinęli mikrostatek w papier, wsadzili go do pojemnika i umieścili we flyerze.

– No dobra – powiedział Matt. – Przede wszystkim musimy zebrać odpowiedni zespół, który to zbada. Rozbierzemy go, przekonamy się jak działa. Może nawet zdołamy wydedukować, jaką miał załogę. – Spojrzał na Kim znacząco. Wiedziała, o czym myślał. Jeśli się myliła, oboje wyszliby na głupców.

– Jest tylko jeden problem – powiedziała, kiedy oderwali się od ziemi.

– O co chodzi tym razem, Kim?

– Jak zaczniesz ściągać ekspertów, wieść rozniesie się w mgnieniu oka.

– Mam rozumieć, że Woodbridge nic o tym nie wie?

– Gdyby wiedział, to chyba nie siedzielibyśmy tutaj z mikrostatkiem, nie sądzisz?

Poruszył szczęką.

– Kim, tego nie damy rady obejść. Trzeba go zawiadomić.

– No to możemy się pożegnać ze statkiem.

– Nie wierzę...

– Matt, zastanów się. Kiedy Rada dowie się, że mamy coś takiego, natychmiast nam to odbierze. Pewnie powiedzą, że to zagrożenie dla bezpieczeństwa planety, albo coś w tym rodzaju. Nawet nie zdążysz wyjąć statku z pojemnika.

Długo się nie odzywał. Spoglądał to na mikrostatek, to na niebo.

– Masz rację – powiedział wreszcie. Zastanówmy się najpierw, komu możemy zaufać.

Ograniczymy liczbę ekspertów do absolutnego minimum. Wynajmiemy gdzieś laboratorium, z dala od Instytutu.

– To już lepiej.

– Możemy powiedzieć Philowi.

– Nie.

– Kim, to sukinsyn, ale umie dochować tajemnicy. Możemy mu zaufać.

– Nie dbam o to, czy można mu ufać. Nie musi o niczym wiedzieć.

Sprzeczali się jeszcze jakiś czas. W końcu Matt się poddał, gdy Kim zwyczajnie się nie zgodziła

na jego propozycję.

Przez całą drogę do hotelu siedział wyglądając przez okno i ściskając przed sobą

Valianta. Nie odzywał się ani słowem, zaciskał zęby, a jego oczy wyrażały na przemian radość i niepokój.

– Kim, chcę ci zadać jedno pytanie – powiedział, gdy wylądowali na dachu hotelu. – Dlaczego tak bardzo się tym przejmujesz? Rada na pewno uznałaby twój udział w odzyskaniu statku. Stałabyś się sławna, nie musiałabyś się martwić o pieniądze. Czego więcej chcesz?

– Chcę być w zespole, który będzie badał statek. Chcę być obecna, gdy coś się zacznie dziać... – Zawahała się.

– Chcę poznać prawdę o Emily. Jak doszło do tego, że została zabita i wyrzucona w przestrzeń kosmiczną? Kto to zrobił?

Popołudnie spędzone nad wodą zaostriło ich apetyty.

– „Błękitna płetwa”? – zaproponowała Kim. Była to restauracja w pasażu handlowym, specjalizująca się w kuchni zachodniego wybrzeża.

– A co zrobimy z tym? – spytał Matt.

– No tak, lepiej zabierzmy go ze sobą – stwierdziła.

Na kolację wybrali się wcześniej niż zwykle. Restauracja była prawie pusta. Zajęli stolik w kącie sali. Pojemnik z *Valiantem* postawili na krześle przy ścianie. Kim zamówiła *shonji* –

koktajl z rumem i truskawkami. Matt niezmiernie rzadko pił alkohol, ale tym razem postanowił zrobić wyjątek i poprosił o Tyrolski Rewolwer. Oboje wybrali na główne danie specjalność dnia.

Matt miał donośny głos. Wyjątkowo głęboki bas. Kiedy przestawał się kontrolować, słycać go było z dużej odległości. Tym razem jednak starał się mówić cicho.

– Jak sądzisz, co w tej sytuacji robi Rada? – spytał.

– Nie wiem. Obawiam się, że ci kosmici są psychiczni. Woodbridge słusznie się ich obawiał. Kiedy już wyciągniemy z tego – spojrzała na pojemnik – wszystko co chcemy, prześlemy go Kanonowi.

– Jak zamierzasz to wyjaśnić?

– Nie musimy niczego wyjaśniać. Oddamy mu statek. Publika też na tym skorzysta, bo poznamy nowe rozwiązania techniczne. – Przyniesiono drinki i oboje wzniesli toast na swoją cześć. – Przypuszczam, że nikt nie zdoła wiele tu zdziałać. Woodbridge pewnie będzie zły, że go nie dopuściliśmy, ale domyśli się dlaczego. Zresztą, wtedy nie będzie to już miało znaczenia.

Tego wieczoru, w pokoju hotelowym Kim połączyła się z Shepem i kazała mu przywołać Sala. Pojawił się natychmiast.

– *Igrasz z ogniem, Kim.*

– Wiem.

– *Nie wierzę, że ci twoi eksperci zdołają utrzymać to w tajemnicy.*

– Nie wiem co mam robić, Sal. Myślałam nawet o tym, żeby porozmawiać z Woodbridgem...

Nie. Twoje pierwsze przecucie co do niego było słuszne. Jeśli oddasz mu statek, nigdy go już nie zobaczysz.

– Ale co dalej?

– *Nie możesz nic planować, dopóki nie dowiesz się, co naprawdę wtedy zaszło.*

– Mówisz o dzienniku pokładowym.

– *Właśnie.*

– Nadal nie wiem, gdzie go szukać, Sal.

– *Ktoś musi wiedzieć.*

– Aha. – Spojrzała mu w oczy. – Przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba.

Ku konsternacji Matta, po powrocie do Seabright Kim odebrała mu *Valianta*. Pozwoliła mu trzymać statek w pociągu i pilnować go, gdy ze stacji zabrali go na Uniwersytet Capital.

Tam Kim wymogła na przyjaciółach, by zostawili ją w laboratorium bez świadków, po czym zrobiła kompletną dokumentację wirtualną wewnątrz i zewnętrznej powłoki. Potem udała się do budki telefonicznej i zamówiła skrzynkę w United Distribution w Maratonie podając się za Kay Braddock.

– Nie jestem pewna, kto będzie odbierał moją pocztę – powiedziała urzędnikowi, prosząc o numer identyfikacyjny. Następnie umieściła mikrostatek w plastikowym pojemniku z miękkim wypełnieniem i wysłała go na adres swojej nowej skrzynki.

Rano zgłosiła się do pracy i otrzymała zlecenie napisania serii artykułów o działalności Instytutu dla Paragon Media. Matt przez cały dzień zaglądał do jej pokoju, pytając czy

Valiant był bezpieczny. Stale się niepokoił i z poważną miną nazywał statek „bibelotem”.

Gdzie go ukryła? Czy ktoś go pilnował? Jakie miała plany?

Zapewniła go, że *Valiant* miał się dobrze i bezpiecznie leżał sobie tam, gdzie nikt go nie mógł znaleźć. Nigdy. Sama nie była o tym do końca przekonana, ale osiągnęła zamierzony efekt, uspokajając Matta i jednocześnie go niepokojąc. A gdyby coś jej się stało, to co wtedy?

– dopytywał się bez końca.

Wzruszyła ramionami i obiecała, że będzie na siebie uważała.

Matt przygotował listę nazwisk osób, które według niego powinni wtajemniczyć. Wzięła ją i obiecała później się do niego odezwać.

Zamierzała raz jeszcze złamać prawo. Westchnęła na myśl o tej perspektywie. Jak bardzo się różniła od bardzo porządnej i przyzwoitej młodej kobiety, która przemawiała do gości przed wybuchem pierwszej nowej. Spytała Matta, czy chciał jej pomóc.

– Nie, dziękuję. I uważam, że powinnaś dać sobie spokój. Nieważne o co chodzi. – Spojrzył na nią z dezaprobatą. – Nic mi nie mów – dodał. – Nie chcę wiedzieć.

Po południu udała się do sklepu z elektroniką w pasażu handlowym w Seabright.

– Potrzebna mi jest uniwersalna pluskwa – powiedziała automatycznemu sprzedawcy.

Gadzet ten należał do standardowych narzędzi używanych przez Weronikę King.

– *Przykro mi, ale nie posiadamy tego rodzaju sprzętu* – odpowiedział.

– A gdzie mogłabym to dostać?

– *Niestety nie wiem. To nielegalne urządzenia. Dostępne tylko agencjom rządowym.*

Kim spróbowała szczęścia w punkcie zaopatrującym policję. Oferował wszelkiego rodzaju mundury, wielki wybór mało groźnej broni i rozmaite urządzenia komunikacyjne.

Znalazła tu mikronadajnik, popularnie zwany *tagiem*. Od niechcienia zagadnęła sprzedawcę o uniwersalną pluskwę. Potwierdził, że są to zastrzeżone urządzenia.

– Trzeba wypełnić odpowiedni formularz – wyjaśnił. Zwykle tak było w przypadku sprzętu niedostępnego obywatelom, a za taki uważano aparaturę inwigilacyjną.

Instytut finansował laboratorium elektroniki w Hastings College, znajdującym się mniej więcej czterdzieści kilometrów od Seabright. Filią w Hastings kierował Chad Beamer, dobry znajomy Kim, który darzył ją wielką sympatią.

– To może mnie kosztować posadę – powiedział, kiedy wyjaśniła mu czego potrzebuje.

– Nikomu nie powiem – odparła.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy. Cieszył się opinią kobieciarza, podobno zasłużoną. Ale znał się też na technice.

– Po co ci to?

– Nie chciałabym kłamać, Chad – powiedziała. Był niższy od większości mężczyzn z jego pokolenia. Jego rodzice uznali, że długość życia jest ważniejsza niż wzrost. Dzięki temu mógł żyć kilkadziesiąt lat dłużej.

– Rozumiem. Chcesz przyłapać jakiegoś faceta?

– Doskonały powód.

Pokiwał głową.

– Daj mi kilka dni.

Matt nie był zadowolony z jej poczynań. Poprosił, by wstąpiła do niego na moment, zamknąć drzwi i nakazał, by im nie przeszkadzano. – To za długo trwa – powiedział. – Kiedy dasz mi do niego dostęp?

– Gdy będę mogła – odparła bez zająknięcia. – Jak tylko laboratorium będzie gotowe.

– To zajmie jeszcze kilka tygodni, Kim.

Nie ustąpiła. W końcu się poddał i wypuścił ją, kiedy go zapewniła, że zabezpieczyła wszystko na wypadek, gdyby coś jej się stało. Rzeczywiście to zrobiła. Spisała wskazówki jak odszukać *Valianta*, włożyła je do koperty i dała ją Rycerzom Głębin z poleceniem, aby w razie konieczności przekazali ją Mattowi.

Fakt, że sama próbowała dopilnować, by ważne informacje nie przepadły, utwierdził ją w przekonaniu, że nie myliła się co do Markisa Kane'a. Na pewno chciał zachować dziennik pokładowy. Gdzieś musiał zostawić jakiś ślad. Nawet jeśli rzeczywiście był potworem, za jakiego obecnie uważały go media, mógł zachować zapis swoich wyczynów z myślą, że wyjdą na jaw, gdy on się znajdzie poza zasięgiem prawa.

Trop musiał prowadzić do jego jedyne dziecko, Tory.

Kim wcześniej wróciła do domu, przyrządziła sobie drinka i poprosiła Sheparda o przygotowanie wirtualnej symulacji Sheyela.

– *Mam o nim mało danych* – zaoponował Shep.

– Zrób co możesz. I zaktualizuj dane.

Usłyszała elektroniczny pomruk. Shepard zwykle w ten sposób dawał jej do zrozumienia, że nie czuł się wystarczająco przygotowany do zadania, jakie mu wyznaczała. Po chwili obraz Sheyela pojawił się przed nią. Profesor siedział w swoim rzeźbionym w smoki fotelu, z półprzymkniętymi powiekami, w stosownie melancholijnym nastroju.

– *Dobry wieczór, Kim – powiedział. – Miło cię znowu widzieć.*

– *Ciebie też, Sheyel. Przykro mi, że odszedłeś. Żałuję, że sprawy nie potoczyły się inaczej.*

– *Ja też. Chyba okazałem się głupio uparty.*

Spojrzeni na siebie.

– *Nie rozumiem, dlaczego ta istota okazała się mściwa – powiedział. – Przez tyle lat nikogo nie skrzywdziła.*

– *Spodziewałeś się, że widok Valianta wywoła reakcję i tak się stało.*

– *Żałuję, że nie da się już nic zmienić. Ale cieszę się, że przynajmniej tobie nic się nie stało.* – Poprawił jedną z poduszek za plecami. – *Gdzie ona teraz jest?*

– *Wyeliminowana. Ogromnym kosztem.* – Podciągnęła nogi na kanapę i otoczyła kolana ramionami. – *Chciałam, żebyś wiedział, że nie zrezygnowałam. Chyba już wiem, co się wydarzyło. Mam wrażenie, że Yoshi zginęła tak, jak ty.*

– *Tak. To ma sens. Wiesz już, jak do tego doszło?*

– *Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że za kilka dni będę znała prawdę.*

– *To dobrze. Kiedy rozwiążesz resztę układanki, byłbym ci wdzięczny, gdybyś się odezwała i powiedziała mi o wszystkim.*

– *Tak – odparła. – Oczywiście.*

Tora Kane mieszkała w samotnej chatce w dębowym lesie, jakieś dziesięć kilometrów od Seabright. Kim przez wiele dni z rzędu jeździła tam i spacerowała po okolicy wczesnie rano, zapamiętując kiedy Tora wychodziła – kwadrans po dziewiątej – i kiedy wracała – około wpół do siódmej. Zanotowała, że córka Kane'a miała flyera i że domu nie pilnował pies. Z tego, co zdołała ustalić, pani archeolog mieszkała sama.

Za chatką Kim znalazła szopę z narzędziami, z której mogła wypożyczyć drabinę.

Ucieszyła się, że los jej sprzyjał, bo bała się, że będzie musiała wchodzić na drzewo.

Spacery kosztowały ją sporo wysiłku. Pomimo osiągnięć nowoczesnej medycyny, nie doszła jeszcze do pełni sił. Wiedziała, że lekarze zganiliby ją, gdyby wiedzieli, co robiła.

W domu, razem z Shepardem stworzyli wirtualnego prawnika, który byłby w miarę wiarygodny i przekonujący. Kim wybrała z bazy Aquilla Selby'ego, słynnego adwokata z poprzedniego stulecia. Selby nie wierzył w karę śmierci i specjalizował się w sprawach uważanych z góry za przegrane. Uratował szereg morderców i sadystów przed najwyższym wymiarem kary, a czasem nawet doprowadzał do wypuszczenia ich na wolność, pomiędzy niczego nie spodziewających się obywateli.

Selby celowo nie krył wieku. Uważnie zaplanował proces starzenia, siwe włosy i naznaczone zmarszczkami czoło, zyskując dojrzały wygląd, który tak bardzo się liczył na sali sądowej, a jednocześnie utrzymując zdrowie i kondycję trzydziestolatka.

Kim trochę go poprawiła, zmieniając kolor oczu z niebieskich na brązowe, dając mu fryzurę zgodną z najnowszymi trendami, pozbywając brody i zmniejszając o kilka centymetrów obwód jego pasa. Postanowiła także odrobinę wyostrzyć rysy jego twarzy, decydując się na szczupłe policzki i wąski nos.

– *Co o nim sądzisz?* – spytała Shepa, gdy stanął przed nią skończony efekt jej wysiłków.

– *Wygląda niezłe – odparł. – Ja na pewno zwróciłbym na niego uwagę.*

Po dopracowaniu wyglądu, zajęła się głosem, usuwając akcent charakterystyczny dla mieszkańców Terminal City i melodyjność, którą w siódmym stuleciu uznano by za mdłą.

Dodała cień chryпки i wyregulowała rytm mowy. Kiedy skończyła, prawnik mówił jak rodowity mieszkaniec greenwayowskiego Archipelagu Rubinowego.

Następnie zajęła się sprzętem.

W paczce z mikronadajnikiem znajdował się też odbiornik i antena dalekiego zasięgu.

Kim zamontowała ją na wynajętym flyerze, po czym położyła się do łóżka i spała spokojnie całą noc.

Rano skontaktował się z nią Chad.

– Twoje zamówienie jest gotowe – powiedział.

Po południu poleciała do niego i odebrała pluskwę.

– Pamiętaj – przestrzegł ją przyjaciel po krótkiej demonstracji działania urządzenia – jeśli wpadniesz, ja nic o tym nie wiem.

Obiecała, że nie wyciągną z niej niczego.

Wieczorem poleciała w okolice domu Tory Kane i wylądowała w odległości kilometra od chatki. Resztę odległości przeszła pieszo. Kiedy dotarła na miejsce, wewnątrz paliły się światła. W środku ktoś się ruszał. Tora miała gościa. A nawet wielu. Na lądowisku stały trzy flyerzy.

Kim wiedziała, że smukły, czarno–pomarańczowy Kondor należał do pani archeolog.

Przez kilka minut obserwowała dom, aby mieć pewność, że na zewnątrz nikt się nie kręcił, potem, zataczając spory krąg, zbliżyła się do lądowiska i przyczepiła mikronadajnik do górnej części płozy, tak, że schował się w kanale. Z zadowoleniem przyjrzała się rezultatowi, wycofała się do lasu i włączyła odbiornik. Otrzymała głośny i wyraźny sygnał.

Żaden skarb nie jest bezpieczny przed złodziejami, jeśli choć jedna osoba wie, gdzie się znajduje.

Notatniki Colina Colina, 2440 r n.e.

Następnego dnia Kim wstała wcześniej rano. Zjadła lekkie śniadanie, po czym zmieniła swój wygląd, stając się szczupłym, młodym mężczyzną z wąsikami, który uznała za fantastyczny. Wynajętym flyerem dotarła w okolice domu Tory Kane. Tak zgrała wszystko w czasie, aby znaleźć się tam, zanim pani archeolog wyjdzie z domu. Tora pojawiła się z kubkiem w jednej ręce i skórzaną teczką pod pachą. Wsiadła do flyera i odleciała.

Kim monitorowała jej lot, dopóki kobieta nie dotarła na miejsce wykopalisk. Dopiero potem ślizgiem wylądowała nieopodal chatki. Wołała unikać lądowiska przy domu Kane, ponieważ nie chciała, aby domowa SI zarejestrowała obecność pojazdu. W okolicy znajdowało się kilka willi, ale kryły się za zasłoną lasu. Na zewnątrz nie było nikogo.

Nie miała pewności, czy system bezpieczeństwa nie zarejestruje jej obecności. Gdyby tak się stało, Tora zobaczyłaby młodego mężczyznę i choć plan by się nie powiódł, przynajmniej nie domyślono by się, że stała za nim Kim.

Z szopy za domem wyciągnęła drabinę i po niej wspięła się na dach. Z kieszeni kurtki wyciągnęła uniwersalną pluskwę i przyczepiła ją do gzymsu. Miała ten sam brunatny kolor i była niemal niewidoczna z góry.

Kim, zadowolona z rezultatu, odstawiła drabinę na miejsce i wróciła do siebie.

W domu zajęła się przygotowaniem roli Aquilla Selby'ego, ale ledwie zaczęła, gdy zadzwonił Matt z pytaniem, czy nic jej się nie stało. Domyślała się, że chciał prawdopodobnie wiedzieć, czy jeszcze jej nie aresztowano. Powiedział, że znalazł laboratorium odpowiednie do zbadania *Valianta*, ale mogli do niego wejść dopiero za dwa tygodnie.

Raz jeszcze spytał, czy nie mogłaby ustąpić i udostępnić mu „bibelotu” wcześniej. Mówił tak zagadkowo, że gdyby ktoś ich podsłuchiwał, od razu by się domyślił, iż rozmawiali o jakiejś tajemnicy.

– Lepiej zostawmy wszystko tak, jak jest – powiedziała.

– Nie rozumiem, dlaczego mi nie ufasz.

Powiedziała to, co zwykle mówi się w takich sytuacjach. Nie chodziło o to, że mu nie ufała, takie tajemnice miały zwyczaj się wymykać i dlatego musieli bardzo uważać.

W końcu się poddał i poinformował ją, że ograniczył liczbę potencjalnych ekspertów do sześciu.

– Najwyżej trzech – uparła się Kim. Wiedziała, że nawet tylu to zbyt wiele.

Uzgodnili, że nikomu nic nie powiedzą, dopóki laboratorium nie będzie gotowe.

Kiedy Matt się rozłączył, Kim przez chwilę siedziała, wpatrując się w reprodukcję

Ostrzeżenia przed sztormem Kane'a. Przedstawiała złowrogi krajobraz, ruiny wież w oddali i zbliżające się burzowe chmury.

Wielokrotnie sprawdzała scenariusz wypowiedzi Selby'ego, zanim uznała, że jest zadowalający.

Potem skopiowała go na kompa, zjadła obiad i przed zmierzchem poszła na długi spacer. Falom pływowym oceanu na Greenway brakowało rytmiczności przyływów i odpływów sterowanych obecnością pojedynczego satelity. Stale się zmieniały, ustępując w różnych kierunkach pod wpływem Heliosa i czterech księżyców.

Tego wieczoru woda opadła wyjątkowo nisko. Ocean oddalił się znacznie, odsłaniając szeroki pas plaży. Kim szła brzegiem wody pozwalając, by fale obmywały jej stopy i patrząc na pojawiające się gwiazdy. Wydawały się bardzo odległe. Zastanawiała się, jak istota zdolna przemierzać tak ogromne przestrzenie mogła się zachowywać równie irracjonalnie. Ale wystarczyło sobie przypomnieć wojnę z Pacyfiką.

Jak widać, takie rzeczy się zdarzały. Inni ludzie wymyślili teorię działania i zbudowali silniki skoku, a inni podejmowali polityczne decyzje, kierowali się medialnym szaleństwem czy ulegali wiekowym tradycjom, które niegdyś spajały nacje, ale teraz dawały odwrotne skutki.

Nie należało nazywać gatunku inteligentnym tylko dlatego, że wywodziły się z niego inteligentne jednostki. Teoria Kim Brandywine.

Może przyszłe pokolenia miały zapamiętać ją jako autorkę takiej sentencji, a nie odkrywczynię *Valianta*. Uśmiechnęła się, myśląc, że nie miałaby nic przeciwko temu.

Następnego ranka poleciała do Parku Bayside, gdzie mogła swobodnie skorzystać z komkabiny. Dzięki temu, nawet gdyby coś poszło źle, nikt nie zdołałby jej namierzyć.

Kabina znajdowała się w ciągu sklepików stojących wzdłuż zwirowej ścieżki niedaleko od oceanu. Sezon wakacyjny jeszcze się nie zaczął i niewiele osób odpoczywało na zewnątrz: kilku studentów mających przerwę w zajęciach i niewielu spacerowiczów. Na turystów było za wcześnie. Ranek był jasny i bezchmurny, powietrze jeszcze chłodne. Znad oceanu wiała świeża bryza.

Kim zainstalowała program Selby'ego i wstukała kod Tory.

Usłyszała sygnał połączenia.

Para dzieci z balonami ganiała się wśród kiosków. Kim spojrzała na długą linię grzywiastych fal zmierzających ku plaży.

– Halo? – Tora włączyła tylko audio.

– Doktor Kane? – Odezwała się Kim, wiedząc, że Tora usłyszy głos, który opracowała dla Selby'ego. – Nazywam się Gabriel Martin. Przed laty byłem prawnikiem pani ojca.

Wreszcie pojawił się obraz. Tora miała na sobie jasnoniebieską koszulę i luźne, niebieskie spodnie. Strój roboczy. Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Martin?

Kim wyświetliła obraz Selby'ego, wiedząc, że w tej samej chwili postać prawnika zmaterializowała się w strefie projekcyjnej u Tory Kane. Był wysoki, o arystokratycznym wyglądem.

– Pani doktor, pozwolę sobie na wstępie zaznaczyć, że Markis był moim bliskim przyjacielem, nie tylko klientem. Wiele mu zawdzięczam. Nie chcę teraz się wdawać w szczegóły, bo nie mają one znaczenia dla sprawy. Niestety, jemu nie mogę się już odwdziżyć, niech Bóg ma w opiece jego duszę. Mogę za to przekazać pani pewne, być może użyteczne informacje.

„Niech Bóg ma w opiece jego duszę”. Brzmiało to całkiem nieźle, kiedy Kim przygotowywała mowę. Tak prawnicy mówili do klientów. Ale teraz zwrot ten wydał się jej zbyt sztuczny. Przygryzła wargę i z niepokojem wpatrzyła się w Torę zastanawiając się, czy domyśliła się podstępu. Na szczęście nie.

– Dziękuję, panie Martin? O jakie informacje chodzi?

Tora widziała prawnika stojącego przy sporym biurku, na którym leżały dyskietki, pióra i grube notatniki. Na ścianach gabinetu wisiały oprawione w ramki dyplomy, odznaczenia i zdjęcie Martina ściskającego dłoń samego premiera.

– Nie wiem od czego zacząć, bo choć to tylko plotka, ma dość solidne podstawy i pochodzi z wiarygodnego źródła.

Tora czekała, aż prawnik przejdzie do rzeczy.

Kim zwlekała z tym jak najdłużej, najpierw pouczając córkę Kane'a, że informacja, którą za chwilę miała usłyszeć, była poufna i gdyby komuś ją powtórzyła, Martin musiałby się wszystkiego wyprzeć i wycofać swój udział w dalszych przedsięwzięciach.

– Dobrze – powiedziała w końcu Tora, zdradzając oznaki zniecierpliwienia. – Rozumiem.

O co chodzi?

– Z tego co wiem, rząd znalazł się w posiadaniu dziennika pokładowego *Huntera*. Tego prawdziwego.

Tora zbladła, ale po chwili nad sobą zapanowała.

– Nic o tym nie wiem – powiedziała. – Jakiego prawdziwego dziennika? Słyszałam, że dokumenty trafiły do archiwum wiele lat temu.

– Doktor Kane. – Kim pozwoliła sobie na ton, który zdradzał współczucie, ale jednocześnie sugerował, że prawnik doskonale wiedział, o czym mówi. – Rozumiem pani obawy przed omawianiem tej kwestii. W końcu chodzi przecież o naruszenie prawa, nieprawdaż? A pani jest temu współwinna.

– Słucham? – Głos Tory stał się lodowaty. Na pewno zastanawiała się teraz, jak dużo wiedział jej rozmówca, a przede wszystkim, jak wiele z tego przekazał rządowi.

– Wszystko w porządku – ciągnęła Kim kryjąca się po postacią Martina. – Znalazłem się w posiadaniu tej informacji, ponieważ pani ojciec miał przyjaciół na najwyższych szczeblach.

Są osoby, które nie chcą beczynie patrzeć jak szarga się jego imię. Nie chcą też, by ucierpiała na tym jego córka, ani majątek uwikłany w kosztowny proces sądowy, a tak by się stało, gdyby udowodniono zasadność pewnych zarzutów. Albo gdyby wzbudzone dostateczne wątpliwości co do roli, jaką odegrał w incydencie w Mount Hope, a może także w śmierci Yoshi Amary i Emily Brandywine. Wiem, że pani jest jedyną spadkobierczynią ojca. Powinna pani wiedzieć, że majątek, jaki pani odziedziczyła, mógłby zostać pani odebrany.

Tora Kane sprawiała wrażenie przypartej do muru. Kim poczuła nagły skurcz wyrzutów sumienia. Pomyślała, że nie ma innego wyjścia. Córka Kane'a mogła uniknąć tej szarady, godząc się na współpracę.

– Pomimo tego, że upłynęło tak wiele czasu? – spytała Tora. – Czy reguła przedawnienia nie ma tu zastosowania?

– Obawiam się, że nie. Gdy w grę wchodzi utrata życia i celowe fałszowanie dokumentów w celu uniknięcia odpowiedzialności... – Prawnika ze smutkiem pokręcił głową. Kim nie wiedziała, jak było naprawdę, ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że Tora uwierzyła w jej słowa.

– Jak pewne są pana informacje, panie Martin?

No tak, czas kończyć. Cel został osiągnięty.

– Są zgodne z prawdą, doktor Kane.

Tora przyjrzała się prawnikowi.

– Gdybym potrzebowała pana pomocy, czy mogę na nią liczyć?

– Oczywiście. Chętnie zrobię dla pani wszystko co w mojej mocy.

– Dziękuję. – Jej głos zabrzmiał niepewnie.

– Mam nadzieję, że się pani przysłużyłem. Do widzenia. – Kim się rozłączyła.

Wyszła z kabiny i korzystając z prywatnego komunikatora połączyła się z domem i z systemem monitorowania. Nadajnik umieszczony na flyerze miał ją poinformować, w razie gdyby Tora dokądś poleciała, a pluskwa na dachu umożliwiała podsłuchiwanie rozmów telefonicznych.

Kim przeszła pasażem handlowym. Tylko kilka sklepów było otwartych. Jeden z nich sprzedawał sprzęt sportowy. Właśnie oglądała kostiumy kąpielowe, gdy zadzwieczał jej alarm.

– Tak Shep? – odezwała się do komunikatora.

– *Właśnie dzwoni do Wielkiej Trójki. Do muzeum. Chcesz posłuchać?*

– Tak, proszę.

Usłyszała daleki sygnał. Po chwili odezwał się automatyczny głos.

– *Dzień dobry. Muzeum Pamięci Wielkiej Trójki.*

– Proszę z Mikelem Alaamem.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Torę Kane.

– *Chwileczkę. Zaraz sprawdzę, czy jest u siebie*

Czekając, Kim przypomniała sobie, że Markis należał do Bractwa Szkarłatnego Rękawa.

Weronika King.

Skrytka na widoku wszystkich.

„Skradziony list”.

Gdyby ktoś ją w tej chwili obserwował, zobaczyłby, jak w kącikach jej ust pojawia się uśmiech. *A niech mnie*, powiedziała do siebie.

– Halo, Tora. Miło cię słyszeć. Jak sobie radzisz? – Kim rozpoznała uprzejmy tenor Mikela.

– Całkiem nieźle, dziękuję Mikel. – Na moment umilkła. – Dawno się nie widzieliśmy.

– To prawda. – Jego głos zdradzał zakłopotanie. Prawdopodobnie rozmawiał z Torą po raz pierwszy, odkąd zdjęto wystawę jej ojca. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chciałam wiedzieć, czy będziesz w muzeum przed południem.

– Tak. Mam konferencję o dziesiątej trzydzięci. Zamierzasz wpaść?

– Aha. Pomyślałam, że zajrzę do ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Tora, przykro mi ze względu na to, co się stało.

– Rozumiem, Mikel. To nie twoja wina. – Jej ton świadczył, że myślała co innego. – Kiedy będziesz miał wolną chwilę?

– Spotkanie potrwa najwyżej godzinę. Potem jestem do twojej dyspozycji. – Kim wyczuła w jego głosie niechęć. Mikel pewnie myślał, że chciała interweniować w sprawie wystawy ojca.

– Możemy się umówić na lunch? – Wypadło to bardziej jak polecenie niż jak zaproszenie.

– Tak, chętnie. Będzie mi bardzo miło.

Jeszcze chwilę rozmawiali. Mikel tłumaczył, że i tak zamierzał do Tory wkrótce zadzwonić. Potem oboje zgodnie stwierdzili, że zobaczą się w porze lunchu i rozłączyli się.

Dobrze. Co dalej?

Skrytka na widoku wszystkich.

Kim chciała, idąc śladem Tory, dotrzeć do dziennika pokładowego *Huntera*. Bała się, że córka Markisa Kane'a zniszczy dokument. Miała wprawdzie nadzieję, że przeważy w niej charakter archeologa, ale nie mogła być tego pewna. I tak dotąd dopisywało jej szczęście. Nie musiała śledzić sygnału nadajnika, tak jak się spodziewała. Miała szansę dotrzeć na miejsce pierwsza. Mogła zaaranżować wszystko tak, żeby mroczne ostrzeżenie Gabriela Martina wydało się uzasadnione.

Brakowało jej tylko czasu.

Skontaktowała się z Shepardem.

– *Co mogę dla ciebie zrobić, Kim?*

– Przygotuj list z Muzeum Wielkiej Trójki. Skorzystaj z wzoru ich firmowego papieru. W treści napisz, że Jay Braddock ma dziś zbierać materiały o Wojnie z Pacyfiką. W liście masz jasno dać do zrozumienia, że Braddock ma pozwolenie na dostęp do wszystkich dokumentów.

– *Jakie materiały o Wojnie z Pacyfiką masz na myśli?*

– Tym się nie przejmuj. Zadanie jest fikcyjne.

– *Mam też złożyć podpis?*

– Przenieś sygnaturę Mikela Alaama. Jest tam dyrektorem.

– *Kim, to fałszerstwo.*

– Nie znam innego sposobu na umieszczenie jego nazwiska na dokumencie.

Elektronika Shepa wydała śmieszny odgłos.

– *Wiesz, stałaś się zawodową kryminalistką.*

– Nic na to nie poradzę.

– *Dokąd się teraz udajesz?*

– Po rzeczy. Muszę się przebrać.

Kim dotarła do muzeum o dziesiątej czterdzieści. Tym razem także skorzystała z męskiego wizerunku, nie zapominając o wąsiku. Włożyła obcisłą bieliznę, spłaszczając piersi, a na wierzchu luźną, wyszywaną koszulę, która ukryła to, czego nie udało się spłaszczyć. Tym razem wybrała jaskrawo rude włosy, nieznacznie zmieniła barwę skóry i włożyła ciemne szkła kontaktowe. Była pewna, że nawet Mikel by jej nie rozpoznał. W kieszeni schowała dwa dyski z dokładnym opisem na naklejkach.

Uśmiechnęła się sympatycznie do młodej kobiety z administracji i starając się nadać głosowi inne brzmienie, spytała o dyrektora.

– Nazywam się Jay Braddock – powiedziała. – Jestem członkiem zespołu naukowego profesora Teasdale'a. – Teasdale był wielokrotnie nagradzany historykiem specjalizującym się w okresie wojny z Pacyfiką.

– Przykro mi, panie Braddock... – odparła młoda kobieta.

– Doktorze Braddock... – poprawiła ją Kim uprzejmie.

– Oczywiście, doktorze Braddock. Niestety, dyrektor właśnie ma konferencję. – Na wizytówce Kim przeczytała imię i nazwisko kobiety: Wilma LaJanne. Wyglądała na stażystkę.

– A to pech. – Nie miała zamiaru się poddawać.

Wilma sprawdziła coś w komputerze.

– Będzie wolny dopiero po południu.

– Niemożliwe. – Kim z godnością wyjęła list, który przygotował dla niej Shepard. – Jestem z nim umówiony. Za kwadrans jedenasta.

Wilma spojrzała na list, zmarszczyła brwi i zagryzła dolną wargę.

– Zupełnie nie wiem, co mam panu powiedzieć, doktorze Braddock. Gdy tylko pan dyrektor wyjdzie z sali konferencyjnej, poinformuję go, że pan przyszedł. Tylko tyle mogę dla pana zrobić.

– Jak pani sądzi, o której skończy się to spotkanie?

– Około jedenastej trzydzieści. Ale nie na pewno.

– To za późno – powiedziała Kim. – O wiele za późno. Muszę dotrzymać terminu, sama pani rozumie. Profesor Teasdale nie będzie zadowolony. – Zrobiła urażoną minę, a po chwili z nadzieją spojrzała na Wilmę, czekając, aż dziewczyna zaproponuje pomoc. Gdy tak się nie stało, Kim splótła ręce i uśmiechnęła się do niej. – A może pani mogłaby mi pomóc. To naprawdę nic wielkiego.

– Chciałabym – odparła niepewnie. – Ale pracuję w muzeum dopiero od dwóch tygodni.

Kim zabrała list, złożyła go i wsunęła do kieszeni.

– Wie pani, kim jest profesor Teasdale, prawda?

Kiwnięcie głową.

– Na pewno słyszała też pani, że pracuje nad ostateczną wersją historii Wojny z Pacyfiką.

– Tak – odparła urażona – słyszałam o tym.

– Do niedawna muzeum prezentowało wystawę jednostki 376 i bitwy o Armagon. We wschodnim skrzydle.

– To prawda. Zdjęliśmy ją jakiś tydzień temu. Po tym, jak wyszły na jaw prawdziwe postęпки Markisa Kane'a.

Kim nie kryła oburzenia.

– To było okropne, prawda?

Wilma miną dała do zrozumienia, że wstydzi się za tych pracowników muzeum, którzy przygotowali wystawę na cześć takiego człowieka.

– No cóż – podjęła Kim. – Rzecz w tym, że wśród wystawianych materiałów znajdowały się dane, które bardzo by nam pomogły. Zastanawiałem się, czy nie wie pani, dokąd przeniesiono te dokumenty? Może mogłaby mi je pani na chwilę udostępnić?

Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kogo mogłaby spytać o zdanie lub obarczyć problemem. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu.

– Nie jestem pewna, czy mam do tego prawo.

Kim postarała się o uśmiech zdradzający desperację.

– Obiecuję, że niczego nie przestawię. Bardzo by mi pani pomogła, gdybym mógł zajrzeć do dokumentów. Wystarczy mi kilka minut.

Wilma próbowała rozsądzić, czy wyrażając zgodę nie narobi sobie kłopotów.

– Profesor Teasdale jest zaprzyjaźniony z Mikelem – dodała Kim w nadziei, że przełamie opór dziewczyny.

Usta Wilmy ułożyły się w uśmiech. Kim podejrzewała, że Jay Braddock zrobił na niej spore wrażenie. Zabawna myśl.

– Oczywiście – odparła Wilma. – Proszę poczekać, poszukam klucza.

Weszła do jednego z pokojów i Kim usłyszała jakieś głosy. Po chwili zza drzwi wyrzał śniadoskóry mężczyzna o niebieskich oczach. Przyjrzał się gościowi, zmarszczył brwi i z powrotem się schował. Wilma wróciła z pilotem zdalnego sterowania.

– To był doktor Turnbull – wyjaśniła krótko, tak jakby nazwisko to było znane przez wszystkich i wszędzie.

Poszła przodem, kierując się do windy towarowej i razem zjechali w czeluście budynku.

Wilma niepewnie stała w kącie, dopóki dźwig się nie zatrzymał. Otworzyły się drzwi.

Automatycznie zapaliły się światła i Kim stwierdziła, że są w magazynie podzielonym na boksy. Wilma potrzebowała chwili na orientację, ale w końcu znalazła to, czego szukała.

– Tędy – powiedziała idąc w głąb pomieszczenia. Zapalały się kolejne lampy. Wilma nacisnęła pilota i drzwi dwóch boksów się otworzyły. – To są materiały z wystawy poświęconej jednostce 376.

Fotel pilota, części wyrzutni pocisków, zbiór pamiątek z bitwy o Armagon, wszystko pokrywała cienka warstwa kurzu. Ktoś ustawił obok pojemniki, ale jeszcze nie zaczęto pakowania.

– Czego dokładnie pan szuka, doktorze Braddock?

Kim chciała się pozbyć dziewczyny, ale Wilma trzymała się blisko. Pewnie miała dopilnować, by gość niczego nie zabrał. Trudno, skoro musiała.

– Danych o dowodzeniu i kontroli poszczególnych funkcji na jednostce, po przystąpieniu do ataku.

Wsunęła dłoń do kieszeni upewniając się, czy dwie zastępcze dyskietki nadal tam są.

Podpisała je tak samo, jak oznaczono dwie dyskietki z wystawy: 376 DZIENNIK

POKŁADOWY, REJESTRACJA WIDEO, 17 CZERWIEC 531 i 376 DANE SYSTEMOWE, 17 CZERWIEC 531. Były to najlepiej znane daty w burzliwej historii Greenway.

Znajdowały się tu także materiały wcześniej nie wystawiane, głównie elementy wewnątrz jednostki 376 i innych statków, które brały udział w bitwie o Armagon: szafki, fotele, replika kwatery dowódcy, rozmaite kubki z insygniami oddziałów, uniformy i kopie listów, które Rada wysłała członkom rodzin żołnierzy poległych na wojnie.

Kim w myślach przywołała się do porządku. Musiała się skupić na szukaniu dzienników pokładowych.

– Może mogę panu w czymś pomóc, doktorze Braddock? – spytała Wilma.

– Mów mi Jay – powiedziała Kim. Nie pomyliła się co do wrażenia, jakie wywarła na młodej kobiecie. Wilma uśmiechała się do Braddocka zachęcająco. I tak nie wiedziałyby, gdzie czego szukać. Miała kłopoty nawet ze znalezieniem właściwego boksu. Poza tym lepiej było nie zwracać jej uwagi na dyskietki. – Nie, dziękuję. Sądzę, że sam dam sobie radę.

Wilma cofnęła się trochę, a Kim znalazła owiniętą w folię paczkę z naklejką DZIENNIKI. Miała odpowiedni kształt i znajdowała się na stole, z którego opisu wynikało, że stał kiedyś w centrum strategii bojowej na 376. Kim przeglądała inne materiały, dopóki Wilma się nie odwróciła. Potem wzięła pakunek i zdjęła folię.

Dwie dyskietki.

REJESTRACJA WIDEO i DANE SYSTEMOWE, 17 CZERWIEC 531 rok.

W tej samej chwili usłyszała świst windy. Ktoś zjeżdżał na dół.

Wilma spojrzała w tamtą stronę, a Kim szybko wsunęła dyskietki do kieszeni, wyjmując stamtąd zastępcze.

Winda stanęła i otworzyły się drzwi.

Rozległy się głosy.

Mikela i kobiety.

Tory.

– Och, jest doktor Alaam – powiedziała Wilma z ulgą.

Spotkanie musiało się skończyć wcześniej.

– Wie, że tu jestem?

– Zostawiłam mu wiadomość.

Kim udała, że przygląda się zastępczym dyskietkom, potem szybko zawinęła je w folię i odłożyła na stół.

Mikel i Tora stanęli w wejściu. Oboje wyglądali na zaskoczonych.

– Co tu się dzieje? – spytał Mikel, przenosząc wzrok z Wilmy na Kim. – Czy to jest Braddock?

– Tak – odparła Wilma.

– Sądziłem, że czeka pan na górze. – Przyjrzał się uważnie gościowi. Na moment serce Kim przestało bić. Bała się, że Mikel ją rozpozna. – Czy my się znamy?

– Spotkaliśmy się raz czy dwa – odparła niskim głosem. – Profesor Teasdale nadal pracuje nad historią tego okresu, a ja pomagam mu zbierać materiały.

– Ach tak, pamiętam. Miło cię znowu widzieć, Braddock. Oczywiście zawsze chętnie służyliśmy pomocą. Tylko na przyszłość sugerowałbym, abyście uprzedzali nas o swoich wizytach.

– Zrobili to – wtrąciła Wilma. – Pan Braddock miał list od nas – dodała dyplomatycznie.

Na szczęście dla Kim nie powiedziała „od pana”.

– Och. – Mikel przez chwilę się nad tym zastanawiał, ale przerwała mu Tora Kane.

– Chciałabym to jak najszybciej załatwić – powiedziała.

– Tak, oczywiście – odparł Mikel.

Kim uśmiechnęła się uprzejmie.

– Ja już chyba mam wszystko, czego potrzebuję.

– Naprawdę? – zdziwiła się Wilma. – Szybko pan działa.

– Miałem jedynie zweryfikować kilka danych. – Ukłoniła się Torze, która stała nieopodal z założonymi rękami udając, że interesuje ją konsola nawigacyjna. Kim ledwie zdołała się powstrzymać od złośliwego uśmiechu: czekali, aż ona wyjdzie, żeby usunąć dyskietki.

Nie, raczej nie. Mikel pewnie o niczym nie wiedział. Tora grała w te same karty, co Kim.

Ciekawe, jaką historyjkę opowiedziała dyrektorowi muzeum. A może zwyczajnie go przekupiła, niczego mu nie wyjaśniając. Tak czy inaczej, nie zamierzała działać dopóki Kim i Wilma znajdowały się w pobliżu.

Kim się pożegnała i w towarzystwie stażystki wróciła do windy. Wilma najwyraźniej

próbowała zachęcić Jaya do zrobienia pierwszego ruchu. Widząc, że się do tego nie kwapi, rozczarowana wysiadła w głównym holu. Kim pojechała na dach.

Kondor Tory stał w zatoczce obok lądowiska dla taksówek. Kim podeszła do niego, usunęła mikronadajnik, po czym wsiadła do taryfy i w dobrym nastroju wróciła do siebie.

Wsunęła dysk z nagraniem wideo w czytnik i poinstruowała Shepa, by uruchomił odtwarzanie.

Ściana naprzeciwko kanapy zmieniła wygląd. Pojawił się na niej płaski ekran i po chwili Kim miała przed sobą kabinę pilota na *Hunterze*. Pracował w niej jakiś technik. Widziała naszywkę na jego ramieniu: OBSŁUGA ST. JOHNS.

Przełożyła datę na czas Greenway: 2 lutego 573 roku.

Specjaliści wchodzili i wychodzili, kalibrując czujniki, sprawdzając podprzestrzenne łącza i wykonując mnóstwo innych czynności.

Sekwencja wyglądała identycznie do tej, którą pamiętała z wersji skradzionej z Archiwów. Przewinęła nagranie do przodu. Obsługa w ekspresowym tempie wykonała swoje zadania i znikła. Obraz zgasł. Zegar przeskoczył do przodu o ponad dwie godziny i na ekranie pojawił się Kane.

Kim ponownie włączyła odtwarzanie w normalnym tempie. Kane odwrócił się i spojrzał w kamerę. Patrzył z ekranu wprost na Kim. Wysunął brodę do przodu i zacisnął wargi.

Sprawdził jakąś listę, wstał z fotela i znikł. Rejestrator się wyłączył. Szesnaście minut później, według czasu pokładowego, ponownie się uruchomił.

– *Hunter gotowy do odejścia* – poinformował kontrolę St. Johns.

– *Hunter masz pozwolenie na start.*

Kane uprzedził pasażerów, że za trzydzieści sekund odchodzą. Pas bezpieczeństwa zapiął się automatycznie.

Kim oglądała wszystko od początku: start *Huntera* – Kane ostrzegający na samym początku Kila, że statek po powrocie powinien przejść gruntowny przegląd; skok w nadprzestrzeń. Patrzyła, jak pasażerowie pojawiali się po kolei na ekranie i słuchała rozmów, które już знаła. Na podglądzie przewinęła te odcinki, gdy Kane był w kabinie pilota sam.

Członkowie załogi *Huntera* mówili o tym, co spodziewali się znaleźć w gwiazdozbiorze Żłoty Kielich. Czekali, aż spełnią się ich marzenia.

Wszystko inne nie miało znaczenia.

Tripley raz po raz powtarzał: „Tym razem nam się uda, Markis. Jestem pewien”.

Tym razem jego słowa nabrały szczególnego znaczenia.

Kim raz jeszcze dostrzegła, że Kane był zauroczony Emily. A ona nim.

Oglądała nagranie spokojnie. Sądziła, że do chwili gdy *Hunter* dotarł w pobliże Alnitaka, rejestracja będzie się niewiele różniła się od tej, którą już oglądała. Potem też nie oczekiwała większych zmian, aż do momentu tuż przed spotkaniem z obcym statkiem. Myliła się.

Była prawie trzecia nad ranem, szóstego dnia wyprawy. Kane, ubrany w szlafrok, pojawił się w kabinie pilota z kubkiem kawy. Usiadł, sprawdził przyrządy, spojrzał, która godzina i uruchomił automatyczne zamocowanie pasów bezpieczeństwa.

– *No dobra, wszyscy się pozapinajcie.*

Z interkomu rozległy się głosy.

– *Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje?* – spytała Yoshi.

- *Mamy dla ciebie niespodziankę* – odparła Emily.
- *W środku nocy?* – zdziwiła się najmłodsza uczestniczka wyprawy.
- *Zobaczysz, że będzie warto* – wtrącił Tripley.
- *O co chodzi? Markis, co robimy?*

Kim zatrzymała obraz, usiadła w fotelu i wpatrzyła się w twarz Kane'a oświetloną zielonkawym blaskiem przyrządów. W spreparowanej wersji to się nie wydarzyło.

Nic nie zaskoczyło Yoshi.

Teraz Kim wiedziała, dlaczego Walt Gaerhard, inżynier Interstellaru, niechętnie mówił o dokumentacji naprawy silników, pod którą się podpisał. Nie było żadnej naprawy. Nie było też awarii.

Prawdę cenimy powodowani nie uczciwością, lecz ciekawością. Chcemy wierzyć, że nie dopuścilibyśmy do manipulowania faktami. Ale wiedza na temat prawdziwych zdarzeń często powoduje więcej szkód niż pożytku. Tajemnice i mity są bezpieczniejszymi ścieżkami dążenia do prawdy właśnie dlatego, że są podatne na manipulacje. Prawda, panowie i panie, jest przereklamowana.

**E. K. WHITLAW: Mowa końcowa z procesu
Masona Singha oskarżonego o zdradę, 2028 r n.e.**

Dziennik Pokładowy HUNTERA: 17–19 LUTY, 573

– *To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam* – rozległ się głos Yoshi. Na ekranie Kim nadal widziała tylko Kane'a wygodnie rozpartego w fotelu. Patrzył w prawą stronę, gdzieś poza strefę rejestrowaną okiem kamery. Kim pamiętała wygląd wnętrza *Huntera* i wiedziała, że spoglądał przez duże, podwójne okno. Na głównym monitorze wyświetlił się obraz rejonu Alnitaka: ogromne, wzburzone chmury międzygwiazdowego pyłu, ciemny kształt Końskiej Głowy, jasna plama mgławicy NGC2024, olbrzymia gwiazda i wielkie łuki pierścieni wokół planety podobnej do Jowisza.

– *Sądziliśmy, że nie będziesz chciała tego przegapić* – powiedziała Emily. – *Nigdzie nie widzieliśmy nic tak wspaniałego.*

Pojawiła się na ekranie i usiadła w fotelu po lewej stronie.

– *Uważam, że powinniśmy dziś zjeść kolację na jednym z tarasów* – powiedziała.

– *Myśleliśmy dokładnie o tym samym* – odparł Tripley. Zachowanie Emily i Kane'a mówiło Kim, że ich kolegów nie było w kabinie pilota. – *Prawdę mówiąc, stało się to już tradycją. Jemy uroczystą kolację za każdym razem, kiedy tu przylatujemy.*

Coś na konsoli zwróciło uwagę Kane'a. Wprowadził kilka poprawek, spojrzął na monitory i zmarszczył brwi.

– *Dziwne.*

– *Co takiego, Markis?* – Kim usłyszała głos Tripleya.

– *Sam nie wiem. Mamy odczyt...*

– *Jaki odczyt?*

– *Czujniki wykryły metal. Porusza się niemal prostopadle w stosunku do płaszczyzny układu.*

Emily pochyliła się do przodu, aby uważniej się przyjrzeć obrazowi na ekranie.

– *Czy to coś ważnego? Nie sądziłam, że kawałek żelaza ma aż takie znaczenie.*

– *Ten chyba ma jakiś kształt.* – Chwila milczenia. – *Ale nie ciesz się za wcześnie. To na pewno nic takiego.*

Mimo jego słów, twarz Emily rozjaśniła nadzieja.

– *Markis* – znowu odezwał się Tripley.

– *Masz to na monitorze, Kil. Jesteśmy za daleko, aby stwierdzić, co to takiego.*

– *Sądziysz, że to może być sztuczny obiekt?*

– *Raczej kawałek żelaza.* – Kane wcisnął guzik na konsoli kontrolnej. – *Wiecie, że Fundacja wymaga, abyśmy w takich okolicznościach rejestrowali wszystko, co się dzieje na statku, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Oczywiście nie dotyczy to prywatnych kabin. Za minutę przejdziemy w tryb pełnego nagrywania. Lepiej wrzucicie coś na siebie, dzieciaki.*

– *Czy możemy zobaczyć to coś dokładniej?* – spytała Yoshi.

– *Jest jeszcze za daleko.*

– *Czyli?*

– *Siedemset tysięcy kilometrów. Znajduje się na orbicie. Niedługo wejdzie w cień planety. Za kilka minut stracimy go.*

– *Mam nadzieję, że nie do końca* – odezwała się Emily.

– *W żadnym razie* – zapewnił Kane. Patrzyli, jak obiekt przesuwa się w dół i w końcu znika za wielką planetą.

– *Kil, domyślam się, że chcesz się temu bliżej przyjrzeć?*

Tripley się roześmiał.

– *Pewnie. Czemu nie, skoro i tak tu jesteśmy.*

– *Kiedy znowu to zobaczymy?* – spytała Yoshi.

– *Nie wiem. Rejestracja wizualna trwała za krótko, aby ustalić orbitę.*

– *Postaraj się tego nie zgubić* – powiedział Tripley.

– *W porządku.* – Kane wydał polecenia SI. – *Jeśli mamy za tym lecieć, powinniśmy ruszać.*

Wszyscy się przypnijcie. – Hunter obrócił się i obrał kurs. Uruchomiły się główne silniki.

Czekali mniej więcej trzy kwadranse, zanim obiekt ponownie pojawił się w polu widzenia. Kane bez powodzenia próbował uzyskać zbliżenie.

– *Nadal jest za daleko.*

– *Markis* – odezwała się SI. – *Obiekt okrąża planetę po długiej i nieregularnej orbicie, która szybko ulega zacieśnieniu. Oceniam, że nastąpi to mniej więcej za sześć tygodni.*

– *Kiedy to dogonimy?* – spytał Tripley.

Kane przekazał pytanie SI.

– *Najpóźniej jutro rano* – dobiegła ich odpowiedź.

W kabinie pilota paliły się dwie słabe lampki.

Za oknami widać było głównie pierścienie i księżyce. 02:17 nad ranem SI obudziła Kane'a.

– *Mamy ostrość, Markis.*

Obiekt był *gładki*. Nie przypominał nieregularnego kawałka żelaza, jaki spodziewali się ujrzeć. Miał kształt trochę podobny do skorupy żółwia.

Kane przyglądał się mu przez niemal dziesięć minut, powiększył go, postukał palcami w konsolę i pokiwał głową sam do siebie. W końcu włączył interkom.

– *Przyjaciele* – powiedział – *mamy anomalię.*

Jedno po drugim zjawili się w kabinie pilota, wszyscy boso i w szlafrokach. Wszyscy niepewni, ale podekscytowani. Emily spojrzała na główny ekran. Pozostali odwrócili się do okien, na których Kane wyświetlił obraz z zewnętrznych kamer.

– *To powiększenie* – wyjaśnił. – *Ale myślę, że tak to właśnie wygląda.*

Patrzyli na obraz w milczeniu. Yoshi, która stała obok Tripleya, przysunęła się do niego jeszcze bliżej. Twarz Emily jaśniała.

– *Obiekt nie jest duży* – powiedział Kane.

– *Jaką ma wielkość?*

– *Trochę ponad pół metra długości, może siedemdziesiąt parę centymetrów szerokości.*

Kim niemal, czuła jak temperatura w kabinie spada o kilka stopni.

– *Wygląda jak zabawka, którą ktoś wyrzucił na zewnątrz* – stwierdziła Yoshi.

Obiekt koziółkował powoli.

Tripley wyłączył lampę, żeby mogli lepiej go widzieć.

– *Tak przy okazji, czy w tej strefie mogą istnieć jakieś formy życia?* – spytał.

Emily pokręciła głową.

– *Alnitak wysyła za wiele promieni UV.*

– *Ale nie możemy tego wykluczyć?*

– *Wszystko jest możliwe* – odparła Emily. – *Myślę, że nie powinniśmy za wiele się spodziewać.*

Zarysy anten i czujników stawały się coraz wyraźniejsze. Kane postukał palcem w okno.

– *To coś ma pierścień Klaysona.*

Niemal minutę trwało, zanim dotarło do nich znaczenie tego odkrycia. Pierścień Klaysona umożliwiał skoki w nadprzestrzeń.

– *Pomijając rozmiary, czy ktoś kiedyś widział statek takiego projektu?* – spytała Emily.

Kane pokręcił głową.

– *Nakazałem sprawdzić dane. Nie pasuje do żadnej ze znanych nam jednostek*

– *W takim razie to sonda* – stwierdziła Emily. – *Prawdopodobnie zostawiona przez grupę badawczą, która odwiedziła ten rejon.*

– *Niemożliwe* – sprzeciwił się Kane.

– *Dlaczego nie?*

– *Ze względu na pierścień Klaysona.*

– *Niektóre sondy je mają* – upierała się Emily.

– *Nie takie jak ta. Jest za mała. Nie potrafimy jeszcze zmieścić układu umożliwiającego skoki w tak małym opakowaniu. Chyba że w ostatnich miesiącach nastąpił jakiś przełom.*

– *Sugerujesz, że obiekt jest obcego pochodzenia?* – Yoshi wypowiedziała to ledwo dosłyszalnie.

Kane wstał, podszedł do okna i przyjrzał się obrazowi.

– *Nie chcę nikomu robić nadziei, ale sądzę, że nie zostawił tego tutaj nikt, kogo znamy.*

Spojrzeli po sobie. Na twarzach pojawiły się nieśmiałe uśmiechy. Emily zasłoniła dłonią usta. Tripley rozejrzał się po kabinie, tak jakby się obawiał, że za chwilę ktoś przedstawi prostsze i bardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Yoshi stała bez ruchu przy oknie, obok Kane.

– *Niech was nie zmyli jego rozmiar* – stwierdził Kane.

– *Może uda się nam z nim skontaktować. Być może na pokładzie jest coś w rodzaju naszej SI.*

– *Pozwólcie, że was o coś spytam* – odezwał się Tripley. – *Czy inteligentne formy życia muszą być duże?*

Emily skinęła głową.

– *Teoretycznie tak. Muszą mieć duże mózgi.*

– *Teoretycznie. Ale czy tak jest w rzeczywistości?*

Nikt nie wiedział.

Kane podniósł głowę znad konsoli. Był sam w kabinie pilota.

– *Kil* – powiedział do komunikatora.

Tripley i obie panie zjawili się w ciągu kilku sekund.

– *Mamy odczyt utraty mocy* – poinformował ich. – *To coś nadal działa.*

– *Wspaniale!* – Tripley przeciął prawą pięścią powietrze i odwrócił się do kobiet. – *Kochane panie, wierzę, że odnieśliśmy sukces!*

Objęli się wszyscy. Emily pocałowała Kane'a w policzek, a on udał, że go to złości.

Yoshi objęła go za szyję.

– *Od tej chwili kierujemy się założeniem, że załoga obcego obiektu żyje* – oznajmił Tripley.

Kiedy mijali żółtą skorupę, patrzyli w dół na pierścienie, z pozycji mniej więcej nad północnym biegunem planety. Kane zbliżył się do obiektu na czterdzieści metrów. Tak zaplanował podejście, aby Alnitak znalazł się za *Hunterem* i nie oślepił kamer.

Wszyscy prócz Kane'a zbrali się w kabinie nawigacyjnej. Pilot został na mostku. Tripley zasiadł przed konsolą systemów łączności, spojrzął na pozostałych i dał sygnał Kane'owi, którego wirtualna projekcja zajmowała sąsiedni fotel. Kane skinął głową i Tripley położył palec na przycisku transmisji. Wcześniej Kane powiedział im, że SI mogła się tym zająć, ale uznali, że to zbyt historyczna chwila, by ustępować pola automatom.

– W porządku – powiedział Kane. – *Zaczynaj, kiedy będziesz gotowy...*

Tripley wcisnął klawisz raz. Potem dwa razy. Spojrzął na kolegów i uśmiechnął się szeroko.

– *Może właśnie w tej chwili...*

Lekko uderzył w przycisk *trzy razy*.

– *...pierwszy komunikat między ludźmi a braćmi z kosmosu...*

Cztery.

– *...został wysłany.*

Spojrzeli na siebie wyczekująco. W oknach żółtą skorupa wirowała powoli na tle księżyców.

– *Brak odpowiedzi* – stwierdził Kane.

Emily pokręciła głową.

– *Jest za mały. Trudno. Sądzę, że to tylko zabawka.*

– *Za szybko się poddajecie* – zaprotestowała Yoshi.

– *Spróbuj jeszcze raz, Kil.*

Tripley ponowił komunikat. Jeden, dwa, trzy, Cztery.

Kabinę rozjaśniał blask kolorowych pierścieni.

– *Emily chyba ma rację* – powiedział. – *Gdyby ktoś tam był, na pewno chciałby odpowiedzieć.*

Wystukali sygnał po raz trzeci. Potem Yoshi zajęła miejsce za konsolą i cierpliwie ponawiała transmisję.

– *Powinniśmy chyba nad czymś się zastanowić. Spójrzcie tu* – powiedział Kane, wskazując na

fragment w przedniej części żółtwej skorupy. Przypominało to małe widełki. – *Obiekt może mieć zdolność ataku.*

– *Dlaczego mieliby nas atakować?* – spytała Emily.

– *Bo to jak szturchanie zwierzaka, którego nigdy dotąd się nie widziało. Po prostu nie możemy tego wykluczyć i powinniśmy chyba rozważyć taką ewentualność.*

– *Nie strzelą do nas* – powiedział Tripley. – *Po co? Nawet nas nie znają.*

Głos Kane'a nie zdradzał emocji.

– *Porównaj nasze rozmiary. Jesteśmy jakieś kilkaset razy więksi od nich. Jeśli w tej skorupie jest coś żywego, przypuszczam, że teraz bardzo się denerwuje. Gdyby sytuacja była odwrotna, sam trząsnąłbym portkami jak nie wiem co.*

– *Co sugerujesz?* – spytała Emily.

– *Przygotujmy się do natychmiastowego odwrotu. Jeśli powiem, że się stąd zbieramy, chcę, żeby wszyscy natychmiast i bez sprzeciwu się pozapinali. Wątpię, czy do tego dojdzie, ale nie chcę żadnych dyskusji, gdyby tak się stało.*

– *W porządku* – odparła Emily, nawet nie próbując ukryć rozbawiania. – *Jeśli zaczną strzelać, uciekamy. Z tym na pewno nikt się nie będzie spierał*

– *I co dalej?* – chciała wiedzieć Yoshi. – *Myślę, że mają wyłączone radio. Co jeszcze możemy zrobić?*

– *Zamrugać światłami pozycyjnymi* – zaproponowała Emily.

Tripley skinął głową.

– *Dobrze.*

Kane wyłączył i włączył światła. Zaczekali kilka sekund. Ponownie je zgasili i zapalili.

Jakiś czas powtarzali ten sygnał. Po kilku minutach Tripley spytał, czy ktoś miał jeszcze jakiś pomysł.

– *Tak* – odparła Yoshi – *Może się wycofajmy, żeby nie myśleli, że jesteśmy zbyt natarczywi.*

Pozwólmy, aby teraz oni wykonali ruch, jeśli się na to zdecydują. Na pewno są tak samo ciekawi, jak my.

Wszyscy zgodzili się, że warto spróbować. Kane wycofał statek na odległość pięciu kilometrów i wszedł na orbitę równoległą.

Przez kilka następnych godzin toczyła się między nimi bezsensowna i nie prowadząca do żadnych wniosków dyskusja. Skorupa żółtwa raczej nie była statkiem wojennym, ponieważ rejon Alnitaka uważano za „ziemię niczyją”, miejsce, które nie miało żadnego znaczenia strategicznego. Z tych samych powodów obca jednostka nie była statkiem handlowym.

Zostawały tylko badania. Jeśli nie mieli przed sobą w pełni zautomatyzowanego statku, i jeśli *rzeczywiście* był to statek, na jego pokładzie mogli się znajdować naukowcy. Ale skoro tak, dlaczego nie odpowiedzieli?

Tripley zaproponował, aby jeszcze raz spróbować transmisji radiowej. Zmienili treść sygnału na sekwencję jeden–trzy–pięć–siedem i włączyli automatyczne nadawanie. Poddali się dopiero po dwóch godzinach i wyłączyli urządzenia.

– *Musimy się zacząć zastanawiać, co zrobimy, jeśli nam nie odpowiedzą* – powiedziała Emily.

– *To proste* – odparł Kane.

Pozostali spojrzeli na niego zaskoczeni. Kane miał zwyczaj unikać sugestii w kwestiach, które dotyczyły celów misji i wykraczały poza sprawy techniczne i operacyjne.

– *Zrobimy mnóstwo zdjęć i odlecimy.*

– *Nie* – sprzeciwił się Tripley. – *To wykluczone.*

– *Przede wszystkim musimy wziąć pod uwagę to, że oni są w dryfie i krążą po zacieśniającej się orbicie* – wtrąciła Yoshi. – *Jeśli w środku są jakieś istoty, a my je zostawimy, na pewno zginą.*

– *Poza tym, jeżeli wrócimy tylko ze zdjęciami, możemy się spodziewać, że zostaniemy skrytykowani i zlekceważeni przez naukowców* – dodał Tripley.

– *Do głowy przychodzą mi tylko trzy powody, dla których mogą nam nie odpowiadać* – powiedział Kane.

– *Po pierwsze, jednostka jest sterowana automatycznie. Po drugie, wszyscy na jej pokładzie nie żyją. Po trzecie, udają martwych. Dryfowanie w tej strefie po zacieśniającej się orbicie sugeruje, że mają uszkodzony statek. Nie są w stanie uciec i prawdopodobnie nie mogą też walczyć. Mają przed sobą jednostkę monumentalnych rozmiarów, prawdopodobnie największą jaką w życiu widzieli. Mają więc nadzieję, że odlecimy. Albo...*

– *Albo co?*

– *Że przybędzie pomoc.*

– *Sądysz, że wysłali sygnał SOS?*

– *Pewnie. Jeśli tylko mogli.*

– *Czy mamy możliwość odebrania go?*

– *Nie wiemy nic o sprzęcie, z jakiego korzystają. Jeśli to łączność podprzestrzenna, a tak najprawdopodobniej jest, musielibyśmy mieć astronomiczne szczęście, żeby trafić akurat na ich sygnał.*

Emily zaproponowała, aby jeszcze raz nadali transmisję przez radio.

– *Dlaczego sądzisz, że tym razem zadziała?* – spytał Tripley.

– *Mieli czas się przekonać, że nie chcemy ich skrzywdzić. Może teraz chętniej podejmą ryzyko.*

Kane wydał polecenie, aby SI zaczęła nadawać odliczanie do czterech.

– *Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłoby się przydarzyć coś takiego* – powiedział Tripley. – *Zawsze zakładaliśmy, że gdy dojdzie do kontaktu z kosmitami, będą tacy jak my: ciekawi, skorzy do nawiązania rozmowy i przyjaźnie nastawieni.*

Z głośników rozległ się nowy ton.

Pojedynczy pisk.

Potem dwa.

I trzy.

– *Nadaje żółt* – powiedział Kane.

Cztery.

I pięć.

Tripley plasnął otwartą dłonią w konsolę.

Obcy kontynuowali odliczanie do ośmiu.

Załoga *Huntera* nie posiadała się z radości. Wymachiwali rękami, obejmowali się, ściskali sobie nawzajem dłonie. Pojawiło się nawet kilka łez.

– *Mój Boże, oni naprawdę tam są* – powiedział Tripley.

– *Rejestrujemy to?* – Emily spytała Kane'a. – *Do dziennika?*

Kapitan spojrział wprost w oko kamery.

– *Tak* – powiedział. – *Za tysiąc lat dzieci będą oglądać to na zajęciach w szkole.*

Tripley wyciągnął cztery kieliszki i butelkę wina.

Ponownie rozległ się pojedynczy pisk

Potem dwa.

– *Znowu odliczają* – powiedział Tripley.

Trzy. Pięć.

Osiem.

Spojrzeni po sobie wyczekująco.

– *Osiem, co ma być po ośmiu?* – spytał Tripley. – *Czekają na naszą odpowiedź.*

Emily wzruszyła ramionami.

– *Trzyście* – stwierdziła.

– *Jak do tego doszłaś?*

– *Każda kolejna liczba jest sumą dwóch poprzednich.*

– *To mi wystarczy* – stwierdził Tripley. Przełączył transmisję na manualne nadawanie i wystukał odpowiedź.

Znowu rozległy się sygnały: jeden, dwa, trzy, pięć, siedem.

– *Liczby pierwsze* – zauważyła Emily.

Tripley uśmiechnął się szeroko. Taka gra bardzo mu się podobała.

– *Jedenaście* – powiedział.

Emily stanęła przy oknie i spojrzała na mały statek.

– *Chyba już czas na obraz.* Tripley jej przytaknął.

– *Aha. Ale co im pokażemy?*

– *Co ich najbardziej zainteresuje?*

– *My* – powiedziała Yoshi.

– *Tak.* – Tripley promieniał. – *Niech ktoś z nas przywita się z nimi. Jedna z pań...*

– *Dlaczego akurat jedna z nas?* – spytała Emily. – *Uważam, że wszyscy powinniśmy to zrobić.*

Niech zobaczą, kogo mają przed sobą.

– *No dobrze. Zrobimy, jak mówisz. Emily, ty ich szukałaś najdłużej. Wystąpisz jako pierwsza.*

Emily wyglądała na szczerze poruszoną.

– *Dobrze. Na to mogę się zgodzić.* – W pośpiechu zaczęła coś notować.

Kane nie krył wielkiego zadowolenia.

– *Ich umiejętności porozumiewania się mogą się różnić od naszych.*

– *Nie robimy tego dla nich, tylko dla tych dzieci, które przyjdą na świat za tysiąc lat.*

– *...I które będą mogły słyszeć, jak to wszystko przygotowujemy* – przypomniała Yoshi.

– *To nic. Na pewno zrozumieją.*

Emily usiadła i dała znak, że była gotowa. Tripley ustawił obraz i włączył transmisję.

– *Jesteś na wizji* – powiedział.

Spojrzała prosto w kamerę i uśmiechnęła się najpiękniej jak potrafiła.

– *Wiemy, że nie rozumiecie naszych słów, ale mimo to, chcieliśmy was przywitać.*

Pozdrowienia z Greenway. Czy możemy wam w czymś pomóc?

Pozostali zabrali głos po niej. Tripley ciepło mówił o nadziejach, jakie zrodziło to przypadkowe spotkanie i o korzyściach, jakie mogło przynieść obu gatunkom. Yoshi tyczyła „gwiazdny przyjaciół” szczęścia i wyraziła nadzieję, że według niej był to początek nowej ery dla wszystkich.

W końcu przyszła kolej Kane'a. Wyglądał tak, jakby się nie spodziewał, że jego również wciągną w to przedsięwzięcie, ale kiedy Yoshi przedstawiła go jako kapitana statku i oznajmiła, że także miał im coś do powiedzenia, poradził sobie doskonale.

– *Cieszymy się z tego spotkania. Jeśli możemy wam w czymś pomóc, dajcie nam sygnał.*

Po tych słowach wyłączył nadawanie.

– *No i jak nam poszło?* – spytał Tripley.

– *Według mnie byliście niesamowici* – przyznał Kane.

– *Czy odbieramy jakąś odpowiedź?* – spytała Emily.

– *Jeszcze nie.*

Kane ponownie zagłębił się w fotel. Tripley chciał wiedzieć, czy żółwia skorupa mogła posiadać sprzęt umożliwiający odbiór obrazu. Kane zapewnił go, że tak.

Czekali. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. W końcu błysnęła biała lampka.

– *Mamy odbiór* – powiedział Kane.

Istota przypominała motyla

Kim zdumiona pochyliła się do przodu. Spodziewała się zobaczyć mglistą zjawę. Jej serce zaczęło bić szybciej.

Motyl patrzył na nich chłodnymi, złotymi oczami. Nie miały one złożonej budowy.

Przypominały trochę oczy ziemskich ssaków. Istota miała tułów, wyraźną zuchwę i kilka par kończyn, w sumie chyba sześć, ale trudno było je dokładnie policzyć. Nakrapiane, czerwono–złote skrzydła poruszały się powoli.

Obcy nie miał fizjonomii zdolnej odzwierciedlać uczucia tak, jak robili to ludzie. Skądś – choć nie dało się dokładnie określić skąd – dobywał się dźwięk, melodyjny, niemal śpiewny, przerywany szybkimi seriami piknięć.

Obraz wyświetlały monitory w nawigacyjnej i na mostku, a także ekrany w oknach.

Istota wspierała się o konstrukcję, prawdopodobnie odpowiednik krzesła. Za przegrodą dało się dostrzec kilka przyrządów pomiarowych. Kabina pilota, jeśli tym właśnie było pomieszczenie, miała przeciętne rozmiary. Zadziwiająca iluzja. Każdy oglądający tę transmisję doszedłby do błędnych wniosków. Motyl wydawał się odpowiadać rozmiarem człowiekowi.

Podniósł lewą kończynę w geście, który prawdopodobnie oznaczał pozdrowienie. Zastygł w tej pozycji na minutę i siedemnaście sekund. Potem ekran zgasł.

– *Co się stało?* – spytał Tripley.

Kane pokręcił głową.

– *Najwidoczniej skończyli transmisję. Pewnie nie lubią rozmów towarzyskich.*

– *Możemy wyświetlić obraz głównego włazu z zewnątrz?* – spytała Emily Kane'a. – *Naszego włazu.*

– *Nie. Żadna z kamer nie ma aż takiego zasięgu. Dlaczego pytasz?*

– *A wejście do ładowni?*

– *To się da zrobić.*

– *Co wymyśliłaś?* – chciał wiedzieć Tripley.

– *Sądzę, że powinniśmy im wysłać zaproszenie.* – Wyjaśniła o co jej chodziło. Tripley nie wyglądał na przekonanego.

– *Uważasz, że to rozsądne?*

– *A co mamy do stracenia? Jeśli Markis się nie myli i ten statek naprawdę jest uszkodzony, możemy zacząć znajomość od dobrego uczynku.*

– *W porządku. Spróbujmy.*

Kane skierował jedną z kamer po lewej burcie na luk ładowni, otworzył służbę powietrzną i włączył światła w środku. Emily wygładziła bluzkę i poprawiła fryzurę. Kiedy była gotowa, Markis wyświetlił na monitorze dwa obrazy, z jednej strony Emily, a z drugiej otwarty luk.

– *Witajcie ponownie. Czy chcielibyście do nas dołączyć?*

Obraz miniaturowego statku ponownie pojawił się w okiennych ekranach. Pojazd sunął spokojnie na tle gwiazdnych chmur.

Emily odczekała chwilę i spróbowała znowu.

I jeszcze raz.

– *Czuję się urażona* – powiedziała w końcu.

– *Nie wiem. W końcu chodzi o motyle. Sądzisz, że miały jakieś przykre doświadczenia z pająkami?*

– *I co teraz?* – spytała Emily.

– *Znak otwartych drzwi powinien być uniwersalny*

– Tripley nie dawał za wygraną. – *Sygnalizuje tylko jedno: że ktoś jest mile widziany.*

Może spróbujmy jeszcze raz?

– *Teraz niech Yoshi do nich pomacha* – powiedziała Emily. – *Może będzie miała więcej szczęścia.*

Yoshi zajęła miejsce przed kamerą, uśmiechnęła się słodko i starając się wyglądać jak najłagodniej, zaczęła wykonywać przyjazne gesty.

Ich wysiłki pozostały bez odpowiedzi.

– *Właśnie przyszło mi coś do głowy* – powiedziała.

– *Oni pewnie nie mają pojęcia o naszej wielkości. Mam na myśli ludzi. Pewnie sobie*

wyobrażają, że są nas tu tysiące.

– Masz rację – zgodziła się Emily.

– Czyli co...?

– Bezpośrednie spotkanie nie jest najlepszym pomysłem. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Odbieram sygnał – powiadomił pozostałych Kane.

– Tylko audio. – Przekazał odbiór na głośniki.

Znowu rozległy się piski. Jeden. Dwa. Trzy. I czternaście.

– Czternaście? – zdziwił się Tripley.

– To nie jest sekwencja – stwierdziła Yoshi.

Emily odetchnęła głęboko.

– Zgadzam się. Ale co próbują nam w ten sposób powiedzieć?

Sygnał rozległ się ponownie. Jeden. Dwa. Trzy.

Czternaście.

I od nowa.

– Mówią nam, żebyśmy odlecieli – powiedziała Emily. – Czternaście nie pasuje do serii.

Chcą zakończyć spotkanie.

– I co teraz zrobimy? – spytał Tripley.

– Wrócimy do domu – zaproponował Kane. – Posłuchamy ich i odlecimy. Nic tu nie pomożemy, więc lepiej nie pogarszajmy sytuacji.

– Nie możemy tak postąpić – odezwał się Tripley. – To szaleństwo.

Emily wyglądała na zmęczoną.

– Co proponujesz, Kil?

– Markis, czy nadal uważasz, że oni dryfują?

– Tak, nie mam co do tego wątpliwości.

– W takim razie nie możemy tak po prostu odlecieć – Męczył się, nie mogąc podjąć decyzji. – Nie wiemy, jak są daleko od domu. Nie mamy pojęcia czy ktoś przybędzie im na pomoc. – Spojrzał na Emily. – Chcielibyście zostawić ich tutaj, pozwolić, żeby ich wciągnęło w to... – Wskazał gazowego olbrzyma. – ... Będziecie mogli później z tym żyć?

– Może zaczekajmy i przekonajmy się, czy ktoś przyleci im z pomocą – zasugerowała Yoshi. – Jeśli nikt się nie pokaże w sensownym czasie, możemy spróbować wziąć ich do nas na pokład.

– Co to znaczy „w sensownym czasie”? – spytał Tripley. – Możliwe, że ich system podtrzymywania życia przestaje działać, a my tu sobie gadamy. Bóg wie, od jak dawna tu tkwią.

– Ale dali nam sygnał, żebyśmy odlecieli – powiedziała Emily.

Yoshi zmarszczyła brwi.

– Nie jestem tego taka pewna. To mogło być raczej SOS. Jeśli sekwencja zostaje przerwana, może to być znak, że coś jest nie tak. Niewykluczone, że oni właśnie tak to pojmują. Pewnie sądzili, że i my to zrozumiemy. Tak jak my traktowaliśmy symbol otwartych drzwi jako zrozumiałą dla nich.

Tripley zaczynał się niecierpliwić.

– Posłuchajcie, co złego mogłoby się stać, gdybyśmy ich zabrali i wrócili na Greenway...?

– *St. Johns jest bliżej.*

– *...na Greenway. Potrzebna nam będzie pomoc. Jeszcze zanim tam dotrzemy, zbiorą zespół specjalistów. Zrobimy dla tych biedaków, co się da. Potem wręczymy im symboliczne klucze do miasta i wyślemy w powrotną drogę.*

– *Jeśli to się uda, mielibyśmy doskonały początek wzajemnych relacji* – dodała Yoshi.

– *No to zgoda. Markis, masz jakieś zastrzeżenia?*

– *Ja trzymałbym się od tego z daleka. Ale decyzja należy do ciebie, Kil. Podporządkuję się temu, co postanowisz.*

– *W takim razie robimy to.*

– *Jak?* – spytała Yoshi.

Tripley wziął głęboki wdech.

– *Rozumiem, że żółwia skorupa nie ma zdolności manewrowania. Po prostu weźmiemy ich na pokład*

Emily i Tripley przebrali się w skafandry, zeszli na niższy pokład i uruchomili dekompresję ładowni.

– *Na mój znak otworzycie właz* – poinstruował ich Kane. – *Tylko nie wcześniej. Nie chcę, żebyście się wystawiali bezpośrednio na promieniowanie. Gwiazdę będziemy mieli po przeciwnej stronie statku. Mimo to operacja i tak jest ryzykowna, dlatego trzeba ją przeprowadzić jak najszybciej. Gdy właz zostanie otwarty, wy nie będziecie musieli niczego robić. Sam wprowadzę skorupę do ładowni. Jeśli jednak obcy zareagują i będę zmuszony manewrować, pamiętajcie, żeby się czegoś przytrzymać. Jak tylko statek znajdzie się w środku, zamykamy. Zrozumiano?*

– *W porządku, Markis* – odparł Tripley.

Silniki sterujące przy prawej burcie odpaliły i *Hunter* zaczął bokiem sunąć w stronę celu.

Z hełmami w dłoniach Emily i Kil weszli do śluzy powietrznej i usiedli na ławce.

Monitor w zewnętrznym wejściu spełniał wszystkie funkcje okna. Kim jednak nie widziała tego, na co patrzyli.

– *Jak dotąd nie mamy żadnej reakcji* – poinformował Kane.

Pokonanie dzielącej ich odległości zajęło niemal godzinę. Gdy pilot uznał, że czas zaczynać, dał znak i Tripley otworzył najpierw wewnętrzny właz do śluzy, a potem zewnętrzny.

– *Nadal nic* – stwierdził Kane. – *Za dwie minuty zrównamy się z nim.*

Opuścili śluzę, dając Kane'owi możliwość działania.

– *Za chwilę wyłączę grawitację. Trzymajcie się z dala od obiektu. Jeśli zrobi coś nieoczekiwanego, zostawcie go. W przypadku śmierci członka załogi jest kupa papierkowej roboty, a w takiej sytuacji niewiele trzeba.*

– *Wszystko w porządku?* – Emily spytała partnera.

– *Jasne* – odparł Tripley.

– *Uwaga* – Kane mówił monotonna. – *Wyłączam grawitację. Proszę bez żadnych gwałtownych ruchów.*

Obcy statek pojawił się na zewnątrz otwartej śluzy.

– *Nie zbliżać się* – ostrzegł Kane. – *Żółw przejdzie przez właz bez waszej pomocy. Kiedy bezpiecznie znajdzie się w środku, zamknijcie właz. I dajcie mu sporo miejsca.*

Zewnętrzne reflektory *Huntera* oświetliły żółwią skorupę. Kim zauważyła coś, czego wcześniej nie dostrzegła: mikrostatek przypominał kształtem hiperboliczny pojazd, który przyczepił się do *Hammera*.

– *O nas się nie bój* – powiedziała Emily. – *Nic nam nie będzie.*

– *Wiem, ale trzymajcie się od niego na dystans, dopóki nie zyskamy pewności, że jest bezpieczny. Potem musimy znaleźć sposób na przymocowanie go na czas podróży do domu.*

– *Może powinniśmy jednak jeszcze raz to wszystko przemyśleć* – zauważyła Yoshi.

Żółwia skorupa znalazła się w wejściu do śluzy powietrznej. Kane powoli przesunął *Huntera* w jej stronę. Tripley stał nieruchomo, obserwując operację. Znajdował się za blisko.

Być może zastygł zahipnotyzowany widokiem. Kim nie widziała jego twarzy zasłoniętej hełmem. Emily wzięła go za rękę i delikatnie odciągnęła na bok.

Mikrostatek wszedł do śluzy. Minął ją i podryfował do ładowni. Ku światłom.

– *Hej, odbieramy przekaz wizualny* – stwierdził Kane.

Tripley zdziwiony spojrział na jeden z monitorów.

Obraz statku znikł, a pojawił się motyl. Jego czułki splatały się, a melodyjny głos brzmiał o oktawę wyżej.

– *Chyba jest przerażony* – powiedziała Emily.

– *Może.* – Tripley przeniósł wzrok z ekranu na maleńki statek. – *Wkrótce będą nam wdzięczni* Zaczął się przesunąć w stronę śluzy zamierzając ją zamknąć, ale mikrostatek się poruszył. Obrócił się o kilka stopni wokół własnej osi, dziobem wycelował w otwarte niebo za włazem i ruszył do przodu. Wyglądało to jak nagłe szarpnięcie. Pilot najwyraźniej nie miał całkowitej kontroli nad statkiem.

– *Trzymajcie się z daleka* – ostrzegł Kane. – *Chce się wydostać.*

Emily próbowała odciągnąć Tripleya.

– *Są przerażeni* – tłumaczyła. – *Właśnie odkryli jak jesteście wielcy. Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów* – dodała, po czym zrobiła niebywałą rzecz. Weszła przed mikrostatek i podniosła do góry rękę. – *Nie bójcie się* – powiedziała. – *Chcemy wam pomóc.*

Wszystko stało się niemal w jednej sekundzie. Tripley wcisnął klawisz i śluza zaczęła się zamykać. Kane krzyknął, próbując ostrzec Emily, że istoty jej nie słyszą i żeby zeszła im z drogi. Obraz motyla znikł z ekranu.

Emily z głupim uporem nie ustąpiła, blokując statkowi drogę przez szybko zamykający się właz.

– *Proszę* – powiedziała. – *Dajcie nam szansę.*

Dwa strumienie czerwonego światła wystrzeliły z rozwidlenia na dziobie statku. Trafiły ją na wysokości brzucha. Dostała się w przestrzeń śluzy i koziółkując, wypadła na zewnątrz.

Tripley wrzasnął i próbował ją złapać, ale zdołał jedynie zmienić jej kurs. Mało brakowało, a sam także znalazłby się poza statkiem. Zdumiony patrzył, jak Emily się oddala, po czym rzucił się na mikrostatek. Kane nakazał mu się zatrzymać. Ale było już za późno. Dowódca wyprawy pochwycił obcą jednostkę i wraz z nią poszybował przez ładownię. Wpadli na ścianę. Nieważkość spowodowała, że Tripley odbił się od niej. Nie puścił statku.

Zewnętrzny właz się zamknął.

– *Włączam 1g* – uprzedził Kane.

Tripley wraz z mikrostatkiem opadli na podłogę.

Na monitorach Emily nadal się oddalała, zostawiając za sobą ślad czerwonych bąbli.

– *Monitor pokazuje...* – Kane zająknął się. Potrzebował chwili, aby się opanować. – ... *brak pulsu.*

Yoshi obstawała przy swoim. – *Powinniśmy ich wypuścić. Zostawić ich tu, zabrać się stąd i zapomnieć, że to się w ogóle wydarzyło.*

– *Zabili Emily* – powiedział Tripley. – *Nie możemy tak po prostu pozwolić im odlecieć.*

– *Bali się. Chcieli się wydostać.*

– *Mimo to nie musieli.*

Wtrącił się Kane.

– *Ja mam najwięcej powodów, żeby chcieć śmierci tych małych bandytów.* – Na moment zamilkł. Mięśnie jego szczęki napięły się. – *Ale to wyjątkowa sytuacja. Yoshi ma rację.*

Pchnijmy ich w stronę planety i zostawmy. – Kane miał na myśli gazowego olbrzymia.

Tripley pokręcił głową.

– *To by znaczyło, że Emily zginęła na próżno. Co powiemy ludziom po powrocie do domu? Spotkaliśmy kosmitów, ale nie bardzo chcieli z nami gadać. Nie wiemy, jak porusza się ich statek, nie było okazji spytać. Nie wiemy skąd pochodzą. Poza tym, możecie nas pytać, o co chcecie. Aha, tak przy okazji, straciliśmy Emily.*

– *To co chcesz zrobić?* – spytał Kane.

– *Uważam, że powinniśmy ich zabrać ze sobą. Nie mamy wyboru. W końcu zapłaciliśmy za to słoną cenę, Markis. Jesteśmy jej to winni.*

– *Gdybyśmy się wcześniej zastanowili...*

– *Za późno na wzajemne oskarżenia. Chcesz, żebym wziął to na siebie? W porządku, to moja wina.*

– *To nam jej nie wróci, Kil.*

– *Wiem. Postąpiliśmy głupio. Zaryzykowaliśmy. Ale teraz musimy dopilnować, aby nie poszło to na marne. Nie możemy tak po prostu tego zostawić.*

– *Kil?* – Yoshi mówiła z wysiłkiem. – *Mam wrażenie, że nikt nam za to nie podziękuje.*

– *Jak to? Jak możesz tak mówić? Przecież wreszcie coś osiągnęliśmy. Znaleźliśmy nasz Święty Graal.*

– *Ludzi ucieszy odkrycie, ale my staniemy się pośmiewiskiem.*

Tripley z rozpaczą potrząsnął głową.

– *Chcieliście wciągnąć ich na pokład tak samo jak ja.*

– *Zastanów się tylko* – powiedziała Yoshi. – *Nie wiemy, jakie sygnały podprzestrzenne zdążyli wysłać. Uważajcie na olbrzymów z otwartymi włazami. Strzelajcie, gdy tylko ich zobaczycie. Co ludzie powiedzą, gdy zobaczą, jak rzucasz się na statek i walisz nim o ścianę?*

– *To trafiło do dziennika, Markis?*

– *Niestety tak.*

– *O Boże. Ale przecież oni zamordowali Emily.*

– *Tylko dlatego, że porwaliśmy ich statek – nie ustępowała Yoshi. – Tak właśnie to pojęli. I tak przedstawią to media. Posłuchaj, nie chcę nikogo obwiniać, ale musimy się nad tym zastanowić. Możemy pożegnać się ze wszystkim, z dobrą opinią, z karierą. W podręcznikach historii będziemy figurowali jako pierwszorzędni krety. Przez całe stulecia będą się z nas śmiali.*

Znajdowali się w kabinie nawigacyjnej. Ciało Emily zostało z powrotem wciągnięte na pokład i umieszczone w jej kajucie. Na monitorach widzieli obcy statek przyszpilony grawitacją do podłogi ładowni.

– *Nie możemy tak po prostu tego odrzucić* – powiedział Tripley błagalnie.

Nikt mu nie odpowiedział.

Człowiek światły bardziej dbać powinien o prawdę niż o opinię ludzi.

Arystoteles, 340 r p n.e.

Kim jeszcze raz odtworzyła sekwencję z ładowni. Zatrzymała obraz w chwili, gdy promień lasera trafił Emily. Powiększyła go, skupiając się na twarzy siostry, widocznej przez wizjer hełmu. Zdradzała bardziej zaskoczenie, niż ból.

Na szczęście nie cierpiała długo. Kilka sekund po ataku, gdy w Emily gasło życie, Kim miała wrażenie, że czyta w myślach siostry: *Miałam go w rękach, statek obcej cywilizacji. I nigdy się nie dowiem, kim oni są...*

Towarzysze Emily od tej chwili zachowywali się jak bohaterowie greckiej tragedii.

Postanowili zabrać żółwią skorupę na Greenway i dowiedzieć się jak najwięcej o samym statku i o jego załodze. Najpierw jednak musieli zyskać pewność, że obcy nie wyrządzą więcej szkód.

Stwierdzili, że bronią, która zabiła Emily był „dwuząb” wystający z dziobu. Przy pomocy pręta odłamali go, a następnie umieścili wehikuł w zamykanej szafce.

Potem wdali się w gorączkową dyskusję, po której doszli do wspólnego, choć nie przez wszystkich w pełni akceptowanego wniosku, aby zatuszować wynik misji.

– *Zaczekamy na odpowiednią chwilę, by wyjawić to, co odkryliśmy* – powiedział Tripley. – *Jeśli w ogóle do tego dojdzie.*

Kane najbardziej się sprzeciwiał takiemu planowi, być może dlatego, że nie akceptował oszustw, ale także, a może przede wszystkim dlatego, że to on musiał sfałszować dziennik pokładowy *Huntera*. W końcu jednak uległ argumentom pozostałej dwójki. Wiedział, że jeśli opowiedzą, co się naprawdę wydarzyło, stracą dobre imię i zrujną sobie kariery. Ludzie na zawsze zapamiętaliby popełnioną przez nich głupotę.

Dlatego chcieli zabrać mikrostatek na Greenway i samodzielnie go zbadać. Przede wszystkim jednak mieli nadzieję, że jedno z nich znajdzie wyjście z potwornej sytuacji, która coraz bardziej ich przygnębiała.

Plan wymagał pozostawienia Emily przy Alnitaku, ponieważ nie mogli w żaden sposób wyjaśnić jej śmierci. Tripley wymyślił, jak mogła „wrócić” do Terminal City. Mieli zarezerwować dla niej hotel i korzystając z jej identyfikatora stworzyć iluzję, że wsiadła do taksówki, a potem pozwolić, aby władze się zastanawiały, dlaczego nigdy nie dotarła na miejsce.

Po dopracowaniu szczegółów planu, pozostało im jeszcze przed opuszczeniem orbity wysłać Emily w próżnię.

Wszystko zarejestrował dziennik pokładowy, tak jakby Kane chciał uwiecznić wydarzenia dla kogoś z przyszłości. Tylko dla kogo? Historyka? Sędziego?

Dziennik pokładowy kończył się pożegnaniem Emily. Ekran zgasł i projektor się wyłączył.

Kim jeszcze długo siedziała, otoczona wydłużającymi się cieniami i wsłuchiwała się w szum oceanu.

– *Kim, Kanon Woodbridge chce się z tobą skontaktować.*

– *Połącz go, Shep.*

Zamiast niego, Kim zobaczyła asystenta, młodego, poważnego i zarozumiałego mężczyznę.

– Doktor Brandywine?

– Tak? To ja. – Kim nie zauważyła nawet, czy nieznajomy się przedstawił.

– Doktor Woodbridge chciałby panią jutro widzieć w Salonice. Prosił, abym w jego imieniu przeprosił za to, że nie może osobiście z panią porozmawiać, ale jest niezwykle zajęty.

– Dlaczego? – spytała.

– On zawsze jest zajęty, pani doktor.

– Pytam, dlaczego mam jechać do stolicy?

– Przypuszczam, że chodzi o jakąś ceremonię rozdania nagród. Nalegał, by pani była obecna.

– Nie może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Przykro mi. Nie znam szczegółów. Już zorganizowaliśmy pani transport. Jutro rano ktoś po panią przyjedzie. Mam nadzieję, że to pani odpowiada.

Dziesięć minut później Shep zgłosił jeszcze jeden telefon.

– *Tora Kane.*

Kim westchnęła. Siedziała na kanapie bezskutecznie próbując skupić się na lekturze ostatniego numeru *Cosmic*. Nie miała ochoty na nieprzyjemną rozmowę. Mimo to, usiadła prosto i kazała Shepardowi łączyć.

– Brandywine – odezwała się Tora. Wiedziała, jak grać innym na nerwach.

– Witam – odparła Kim.

Córka Kane'a stała obok jakiejś antycznej wazy.

– Czy mam rację przypuszczając, że to ciebie widziałam wczoraj w Muzeum Wielkiej Trójki?

– Nie sędzę.

– Proszę cię, nie marnuj mego czasu. Nie jestem głupia.

Kim wzruszyła ramionami.

– Ostrzegałam go, że to nie jest najlepsza kryjówka.

O kim mówiła? O ojcu czy o Mikelu?

– O co ci chodzi? – spytała Kim.

– Muszę wykonać pewne polecenie. – Spojrzała na Kim z odrazą.

– Polecenie? Czyje?

– Markisa.

– Ach tak?

– Najpierw muszę mieć pewność, że rozmawiam z właściwą osobą. Ukradłś coś wczoraj z Muzeum, czy nie?

– Chwileczkę. – Kim wyłączyła fonię. – Shep, czy ta rozmowa jest nagrywana? – spytała.

Potrzebował chwili, by to sprawdzić.

– Nie – odparł.

– Jeśli ona zacznie nagrywać, natychmiast nas rozłącz – poleciła.

– *Tak jest, Kim.*

– Włącz dźwięk.

Tora patrzyła na nią spod przymkniętych powiek.

– Mam nadzieję, że czujesz się teraz dość bezpiecznie, by powiedzieć mi prawdę.

– Mam dziennik – przyznała Kim.

– Jest jeszcze coś, co powinnaś zobaczyć.

– Co?

– Przyjedź do mnie jutro wieczorem. O siódmej.

– Nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Tora Kane przerwała połączenie.

Rządowy flyer wylądował przed domem Kim dokładnie o dziewiątej rano. Wsiadła do środka, przytknęła identyfikator do czytnika i pojazd wystartował, kierując się na północ. Na niebie wisiały ciężkie, burzowe chmury.

Kim była wyczerpana. Obrazy z ładowni *Huntera* nie dawały jej spokoju. Stale widziała oczy Emily i szalony skok Tripleya chwytającego *Valianta*.

Co powinna teraz zrobić?

Odpowiedź wydawała się prosta: ogłosić to, co odkryła. Wiedziała, że wywoła tym ogromne zamieszanie i choć załoga *Huntera* nie miała co liczyć na chwałę, przynajmniej niektórym posądzeniom można było położyć kres. Problem polegał na tym, że nie mogła nic opublikować, nie wyjawiając przy tym, że doszło do pierwszego kontaktu. A tym naruszyłaby porozumienie z Woodbridgem.

Jeśli ludzie się dowiedzą, nic ich nie powstrzyma. Każdy, kto ma dostęp do statku kosmicznego, natychmiast wyruszy w rejon Alnitaka. Ale kogo *Hunter* tak naprawdę tam spotkał? Przedstawiciele gatunku, których zmienił w swych wrogów, porywając jeden z ich statków?

Flyer wylądował na dachu Centrum Bezpieczeństwa Narodowego. Padał gęsty deszcz.

Wehikuł przemieścił się pod zadaszenie i Kim zobaczyła czekającą na nią młodą kobietę.

Razem zjechały kilka pięter w dół i Kim poproszono do małego gabinetu. Po kilku chwilach otworzyły się drzwi i stanął w nich Woodbridge. Ucisnął jej dłoń pytając, czy w Instytucie wszystko szło jak należy. Zanim zdążyła odpowiedzieć, do pokoju zajrzała asystentka i poinformowała, że wszystko jest gotowe.

– Doskonale – powiedział Woodbridge. Zupełnie zapominając o sprawach Instytutu, poprowadził Kim korytarzem do sali konferencyjnej, w której czekało mniej więcej dwadzieścia osób. Wszystko wyglądało uroczyście. Na stołach stały talerze z serami, ciasta i wino. Woodbridge zaczął przedstawiać ją zebranim. Wszyscy mieli jakieś tytuły – dyrektor tego, komisarz tamtego. Gdy otworzyły się boczne drzwi, wszyscy zamilkli. Kilkoro siedzących wstało.

Kim nie widziała, kto wszedł do środka, ale słyszała głosy dobiegające z korytarza. Po chwili na sali zrobiło się małe zamieszanie i ludzie zaczęli się rozstępować przed Talbottem Edwardem, jednym z członków Rady. Edward wyszedł przed zebranych i stanął za mównicą.

Zaczekał, aż wszyscy znajdą sobie siedzące miejsca.

– Panie i panowie – zaczął – miło mi was znowu widzieć. Nieczęsto tu zaglądam. – Był wysoki, niezwykle szczupły i nieskazitelnie ubrany. Na obu przegubach nosił bransoletki.

Jego wzrok miał dziwną właściwość odbijania się od obecnych, tak jakby Edward nikogo wokół siebie nie widział.

– Dziś mam do wykonania niezwykle przyjemne zadanie. – Spojrzał na słuchających i wyłowił Kim spośród zebranych. Odniosła wrażenie, że ją rozpoznał. Nie było to trudne, wystarczyło, że odszukał wzrokiem kobietę, która towarzyszyła Woodbridge'owi. – Doktor Brandywine, czy zechciałaby pani tu podejść? Poproszę też ciebie, Kanonie.

Powitał ją serdecznym uściskiem dłoni, jednocześnie uciekając wzrokiem do góry. Do Woodbridge'a uśmiechnął się ciepło, po czym przez kilkanaście minut mówił o postępie nauki i technologii oraz o tym, jak ważne było to, by Republika przodowała w dziedzinie badań naukowych.

– Od czasu do czasu, Komisja Postępu, dostrzega potrzebę uhonorowania ludzi, którzy swoją postawą dają przykład przyszłym pokoleniom. – Chyba uważał to określenie za wyjątkowo ważne, bo powtórzył je raz jeszcze.

– Dają przykład przyszłym pokoleniom. Dziś chcemy wyrazić nasze uznanie dla doktor Kimberly Brandywine za szczególny wkład w rozwój kosmologii. – Woodbridge wyciągnął skądś niewielkie, białe pudełko i podał je mówcy.

Edward otworzył je i wyjął srebrny medal z czerwoną wstążką. Podniósł go tak, by zobaczyli go wszyscy zebrani.

– Oto nagroda imienia Braysa Stilwella przyznawana za szczególne osiągnięcia. – Dłoń Edwarda zakreśliła wdzięczny łuk, zatrzymując się na klapie zakietu Kim, do którego przypiął medal. – Gratulacje – powiedział i uściśnął dłoń najpierw jej, a potem Woodbridge'owi.

Kim nigdy dotąd nie słyszała o Braysie Stilwellu. Wdzięczna za wyróżnienie podziękowała i uśmiechnęła się do Kanona i Edwarda.

Przedstawiciel Rady powiedział, że jest pewien, iż będzie kontynuowała doskonałą pracę.

Potem uściśnął dłonie jeszcze kilku osobom, spojrzął na zegarek i wyszedł.

Niektórzy spośród zebranych podeszli do niej z gratulacjami.

– To miłe – powiedziała Woodbridge'owi. – Dziękuję ci.

– Otrzymałaś naprawdę wysokie odznaczenie – stwierdził. – Najwyższe, jakie możemy przyznać. Ale nikt nigdy się nie dowie, dlaczego je dostałaś. Poza oczywiście mną, Edwardem i kilkoma osobami z personelu.

Kim sama do końca nie wiedziała, za co ją odznaczono.

Kanon położył dłonie na jej ramionach, tak jakby za chwilę miał ją posłać na wojnę.

– Czy zdołam cię teraz namówić na lunch w moim towarzystwie?

Zaczynało się już ściemniać, kiedy Kim dotarła do domu Tory Kane. Tora czekała na nią na lądowisku, popijając drinka. Taksówka wylądowała i Kim wysiadła.

– Dobry wieczór, Brandywine.

Kim skinęła na powitanie głową i obejrzała się na taksówkę.

– Mam ją zatrzymać?

– Nie zaszkodziłoby.

Wieczór zapowiadał się przyjemnie. Kwiecień dobiegał końca. Właśnie zaszło słońce.

Powietrze przepełniał zapach lasu. Para wiewiórek przerwała gonitwę wokół pnia prastarego dębu, aby popatrzeć na dwie kobiety.

Weszły na werandę. Tora poprosiła gościa, by usiadł. Kim wybrała rozchybotane, drewniane krzesło. Gospodyni przysiadła na huśtawce. Na małym stoliku czekał dzbanek i dodatkowa szklanka.

– To niebieski takielownik – powiedziała gospodyni. – Napijesz się?

– Tak, proszę. – Kim starała się odpowiadać uprzejmie, nie zważając na opryskliwość gospodyni.

Tora napełniła szklankę i podała ją gościowi.

– Jak się domyśliłaś, gdzie go szukać?

– Dziennika? – Kim wzruszyła ramionami. – Pomyślałam, że on wybrałby właśnie takie miejsce.

– Kryjówka w muzeum? Tam, gdzie wszyscy mogli to zobaczyć? O tak, to w jego stylu.

Niebieski takielownik był smaczny.

Kim spojrzała gospodyni w oczy.

– Od początku wiedziałaś, prawda? O tym, co się wydarzyło na *Hunterze*?

– Tak.

– Widziałaś dziennik?

– Nie. – Tora odstawiła szklankę. Zakołysała się do tyłu i do przodu i wpatrzyła w gęstniejący mrok. – Nie chciałam oglądać szczegółów. Ale wiedziałam, co zaszło. Ojca cały czas to gnębiło.

– Katastrofa w Mount Hope? Czy reszta?

Tora otworzyła szufladę stolika i wyjęła dyskietkę.

– Przypuszczałam, że kiedyś komuś uda się dotrzeć do części prawdy. Gdybyś nie była to ty, znalazłby się ktoś inny. – Wewnątrz domu, w oknie paliła się lampa. – Polecił mi, że gdyby ktoś znalazł dziennik, mam przekazać władzom to oświadczenie. Wiem, że nie chodziło mu o ciebie, ale mimo to chyba powinnaś tego wysłuchać.

Kim wzięła dyskietkę.

– Chcesz obejrzeć ją razem ze mną?

– Już to widziałam.

Kim wsunęła dysk do kieszeni.

– Powinnaś wiedzieć, że jeszcze nie postanowiłam czy podam coś do publicznej wiadomości.

Tora wzruszyła ramionami.

– Mów im, co chcesz. Niech cię diabli.

Kim wstała i odwróciła się.

Gospodyni została na huśtawce.

– Ty też powinnaś o czymś wiedzieć – powiedziała. – Dyskietka, którą ci dałam jest kopią.

Nie możesz ujawnić prawdy o *Hunterze*, jeśli nie zamierzasz ujawnić wszystkiego. Dopilnuję tego, jeżeli ty nic nie zrobisz.

Po powrocie do domu Kim wyświetliła materiał na płaskim ekranie.

Najpierw pojawił się obraz *Valianta*. Zegar w prawym dolnym rogu pokazywał datę 3

kwietnia, 573 roku, 18:48. Pamiętała, że do wybuchu na Mount Hope doszło właśnie tego dnia, po siódmej wieczorem.

Valiant stał na stole. Był jasno oświetlony. Kim dostrzegła nad nim część urządzenia, które wyglądało na czujnik. Poza tym nie widziała nic. Stół przypominał te, które widziała w laboratorium w piwnicy willi Tripleya..

Na ekranie pojawiła się ręka, poprawiła czujnik.

– *Teraz lepiej, Yoshi?* – rozległ się głos Tripleya. Ramię było w białym rękawie. Cofnęło się i Kim znowu widziała tylko mikrostatek i blat stołu.

– *Dobrze. To wystarczy.*

– *Markis, możemy zaczynać* – znowu odezwał się Tripley.

– *Zaraz schodzę.*

Zegar odliczał kolejne sekundy.

– *Gotowi?* – spytał Tripley.

– *Wszystko przyszykowane* – odezwała się Yoshi.

– *Hej, Kil, co to?* – Jej głos zabrzmiał o kilka tonów wyżej.

Kim niczego nie widziała.

– *Nie jestem pewien.* – Ramię znowu pojawiło się na ekranie, sięgnęło za statek od strony lewej burty i na moment zasłoniło obiektyw. – *Mamy tu otwarty luk!*

Stół i statek zafalowały.

Z kilkunastu miejsc *Valianta* uniosła się mgła, tak jakby statek był odpowietrzany.

Ramię szarpnęło się do tyłu.

Po chwili rozległy się niespokojne głosy.

– *Co to?*

– *Oni żyją.*

– *Boże, Kil, odsuń się od tego.*

– *Szybko, na górę!*

Nagle światło się zmieniło, tak jakby lampę zakryła zasłona. Coś, co przypominało wielką ważkę pojawiło się za statkiem i po chwili wysunęło się poza zasięg obiektywu.

Kil krzyknął do Yoshi, by uważała. Potem Kim usłyszała kolejne krzyki. Ktoś ciężki – musiał to być Tripley – przebiegł po podłodze i zadudnił po schodach. Znowu wrzask. Tym razem dobiegł ją głos Kane'a i po chwili rozległ się potworny chrzęst miażdżonego ciała i kości.

Yoshi.

Ciężkie kroki wróciły na dół. Kim domyśliła się, że Yoshi spadła lub została zepchnięta ze schodów. Tripley próbował jej jakoś pomóc, ale po chwili zaczął kłąć i przyrzekać, że zabije sukinsynów – tak właśnie ich nazwał – po czym znowu wbiegł na górę.

Valiant pozostał na stole aż do końca rejestracji.

Kim zobaczyła nowy obraz: Markis Kane ubrany w czarną, luźną koszulę. Data przeskoczyła do 11 sierpnia, 575 roku. Minęły ponad dwa lata.

Jego twarz przecinały zmarszczki. Przez wiele sekund patrzył na nią z ekranu. Kim pomyślała, że wyglądał niepewnie. Zupełnie nie przypominał Kane'a, jakiego dotąd знаła.

„Nie wiem i nie mogę wiedzieć, kto pozna historię *Huntera* i zniszczenia Severin. Winę ponosimy wszyscy czworo, cała załoga, która brała udział w misji. Dla dobra pozostałych i być może także ze względu na własną reputację, wolałbym aby pierwsze wydarzenie pozostało nieznaną, a drugie niewyjaśnione. Ale muszę założyć, że ten, kto tego słucha wie dość, by poznać resztę prawdy.

Przede wszystkim, powinienem wyjaśnić, że to ja ponoszę odpowiedzialność za katastrofę, do której doszło w Severin 3 kwietnia, 573 roku. Wbrew temu co nakazywała mi ocena sytuacji,

zgodziłem się na przejście obcego statku kosmicznego. Zaproponowałem i zrealizowałem plan wprowadzenia go na nasz pokład, w wyniku czego życie straciła Emily Brandywine. Później nie zdołałem odwieść Kila Tripleya od zamiaru zabrania statku na Greenway, choć wiedziałem, że istnieje ryzyko katastrofy, do której później doszło.

Postąpiłem niegodnie nie ujawniając później tych faktów. Mam nadzieję, że zanim prawda wyjdzie na jaw, a tak musi się stać, nie będę już żył. Znajdę się tam, gdzie potępienie publiki i żadna sprawiedliwość prócz boskiej, już mnie nie dosięgną.

Po przejściu obcego statku kosmicznego nic nie wskazywało na to, że jego załoga żyła.

Uznaliśmy, że Kil atakując go zabił tych, którzy znajdowali się w środku. Targały nami sprzeczne uczucia. Nie tak człowiek wyobraża sobie pierwszy kontakt. Ale obcy odebrali życie Emily.

Kil zamierzał przez jakiś czas utrzymać nasze odkrycie w tajemnicy, a do badań dopuścić kilku zaufanych naukowców. Planował wykorzystać jedno z laboratoriów dostępnych Fundacji, rozebrać statek na części i poznać jego tajemnice. Problem polegał na tym, że wszystkie laboratoria znajdowały się w gęsto zaludnionych regionach.

Nie wiedzieliśmy, skąd pojazd czerpał moc, ale wydedukowaliśmy, że korzystał z jedynego znanego nam paliwa, które umożliwiało podróżowanie w wielu wymiarach przestrzeni: antimaterii. To stwarzało problem wyjątkowej natury. Jeśli rzeczywiście obcy używali antimaterii, istniało ryzyko, że obudowa systemu uległa rozszczelnieniu. W takim przypadku, gdyby moc spadła poniżej bezpiecznego poziomu, uniemożliwiając utrzymanie efektu butli magnetycznej, statek by eksplodował, wysadzając w powietrze nas i znaczną część okolicy. Dlatego potrzebowaliśmy laboratorium gdzieś na uboczu.

Powinienem chyba dodać, że sądziliśmy, iż dysponujemy nieograniczonym czasem.

Każdy z przeprowadzonych testów wskazywał, że na statku utrzymuje się stały poziom mocy, a systemy zabezpieczające wydawały się stabilne. Oczywiście, jak się później okazało, nasze przypuszczenia były błędne.

Aby zmniejszyć ryzyko, Kil postanowił, że Fundacja stworzy laboratorium na Shimmerze. Gdyby doszło tam do wypadku, nie ucierpiałby nikt prócz osób, które świadomie zgodziły się na udział w przedsięwzięciu. Jeszcze zanim opuściliśmy rejon Alnitaka, korzystając z hiperkomu wysłał wiadomość, aby natychmiast rozpoczęto przygotowania.

Niestety, musieliśmy zaczekać jeszcze kilka miesięcy.

Na własną obronę powinienem dodać, że przez cały czas nalegałem, aby zostawić obcy obiekt na orbicie wokół jednej z dalszych planet w układzie słonecznym, gdzie jego obecność nikomu by nie zagrażała. Ale dla Kila było to zbyt wielkie poświęcenie. Jak najszybciej chciał się znaleźć gdzieś, gdzie mógł dokładniej obejrzeć znalezisko. Twierdził, że przede wszystkim nie należało zwlekać z badaniem ciał załogi.

Postanowił zabrać obiekt do letniej willi w Severin, był to swego rodzaju kompromis, ponieważ potencjalna katastrofa nie miałaby rozmiarów tej, do jakiej mogło dojść w Terminal City lub w Maratonie. Wówczas uznaliśmy ten argument za zasadny.

Uważałem wtedy, że ryzyko katastrofy było niewielkie, choć dziś nie potrafię stwierdzić, na czym opierałem to przekonanie. Sądziliśmy, że w ciągu kilku dni zdołamy określić rodzaj paliwa i stan osłon zabezpieczających. Niestety, okazało się, że nie mieliśmy kilku dni.

Bez trudu przenieśliśmy mikrostatek przez cło. Yoshi zabrała go jako zabawkę dla siostrzeńca.

Podala skromną wartość i zmiescila się w dozwolonym limicie.

Zabralismy obiekt do domu Kila. Okazalo się, że sprzęt, jakim tam dysponowal, był znacznie skromniejszy, niż wynikało z wcześniejszych zapewnien gospodarza. Musielismy najpierw zdobyć potrzebne przyrzady. W rezultacie zmarnowalismy na to tę odrobinę czasu, która nam zostala. Przez cały dzień szukalismy czujnika Vanovera, który umozliwilyby nam zajrzienie do środka.

Nie do końca znam szczegoly wydarzen, do których doszlo 3 kwietnia, poniewaz byłem na górze w chwili, gdy okazalo się, że mamy problem. Kil i Yoshi znajdowali się w laboratorium na dole. Kiedy uslyszalem ich krzyki, popedzillem do schodów i zobaczylem wbiegajaca na góre Yoshi. Byla potwornie przerazona.

Potem ujrzałem jak stwór, przypominajacy zywa chmure, wydostaje się ze statku. W mgnieniu oka zaatakowal Yoshi. Kiedy Kil i ja rzucilismy się jej na pomoc, puscił dziewczynę. Yoshi spadla ze schodów i uderzyla się w głowę. Prawdopodobnie nie zyła juz, gdy Kil do niej dopadł. Tymczasem twór ruszył na mnie. Poczulem wstrzas elektryczny, który na jakis czas mnie ogłuszyl. Kiedy w końcu zszedłem na dół, zobaczylem jak za chmura rusza mały wehikul, cos w rodzaju ladownika. Nie mialem stuprocentowej pewności, poniewaz jeszcze nie doszedłem do siebie. Poza tym, padajac, rozciałem sobie ramie i krew dostala mi się do oczu. Cos wyrwalo dziure w oknie i chmura z ladownikiem, jeśli tym wlasnie był pojazd, znikly w mroku.

Mniej więcej wtedy Kil stwierdzil, że nie zdoła juz pomóc Yoshi. Wrocił na góre i spytal mnie, gdzie się podziali intruzi.

Wskazalem okno, a on bez slowa rzucil się za nimi w pościg. Probowalem go od tego odwieść, ale kiedy wypadłem z domu, on wlasnie startowal z ladowiska. Na próżno wołalem, żeby nie lecial.

Wywołalem go przez komunikator. Poinformowal mnie, że ściga kosmitów, że ma ich na monitorze i tym razem im nie przepuści. Potem powiedzial, że skontaktuje się ze mną, gdy będzie po wszystkim i się rozlaczył. Nie poddawalem się, raz po raz probujac się z nim polaczyc, ale nie odpowiadal.

Wrociłem do domu, sprawdzic stan Yoshi, ale ona juz nie zyła. Kilka minut później uslyszalem huk eksplozji, która wysadzila w powietrze cale zbocze Mount Hope. Dom się zatrzasal. Lamy zamigotaly i zgasly. Gdy wyszedłem na zewnatrz, na miasto padal deszcz szczatków wybuchu.

Wszedzie widzialem požary. Wśród ruin krzyczeli ludzie.

Boże, wybac mi. Wiedzialem, że to ogniwa paliwowe, które kosmici jakimś cudem przeniesli do ladownika, i że to Kil i ja ponosilismy odpowiedzialność za katastrofe.

Zrobilem co w mojej mocy, żeby pomóc. Oddzialy pogotowia z Eagle Point i z innych miejsc zjawily się błyskawicznie. Raz jeszcze spróbowalem wywołac Kila, ale juz się do mnie nie odezwal.

Wtedy sądzilem, że ludzie się domysla, kto za to odpowiadal. Jak mogli tego nie wiedziec? Przeciez dopiero co wrociłismy z wyprawy, a do eksplozji doszlo w wyniku destabilizacji antimaterii. Kil na pewno zginal w wybuchu. Jedna z kobiet znikla, a druga lezala martwa w willi. Od razu bylo widać, że cos kombinowalismy.

Mimo to nie potrafilem stawic czoła publicznemu upokorzeniu. Zrobilem wszystko, aby władze nie dowiedzialy się, co zaszlo. Pozostaly jeszcze tylko dwie rzeczy.

Po pierwsze, musialem się pozbyc ciala Yoshi, aby nie znaleziono go na miejscu katastrofy. Jego odkrycie zrodiloby mnóstwo pytan. Zawinalem ją w plastik, obciazylem i wrzucilem do rzeki za zaporą, w najgłębszym miejscu.

Po drugie, chciałem usunąć statek. Postanowiłem zakopać go w górach, a potem jakoś przeczekać burzę podejrzeń, która rzeczywiście się potem rozpętała. Niestety, gdy wróciłem do Willi Kila, ku memu przerażeniu zastałem tam jego matkę. Przepadła szansa zabrania mikrostatku, więc zostawiłem go, mając nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy, czym był naprawdę. Kiedy odwiedziłem ją jakiś czas później, powiedziała, że wyśle go wnukowi.

Stwór, który zaatakował Yoshi nadal przebywa gdzieś w górach. Ludzie opowiadają o nim historie i dziwadło już się stało sławne. Na szczęście niewielu bierze je na poważnie, a ci którzy to robią, są uważani za szaleńców.

Współczuję tej istotce. Jest zagubiona i samotna w obcym świecie. Nie wierzę, że chciała skrzywdzić Yoshi. Próbowwała jedynie oczyścić drogę ucieczki kapsule ratunkowej. Raz nawet chciałem ją odszukać. Jeśli wciąż jest w tamtej okolicy i jeśli mnie poznaje, trzyma się z dala.

Załogę mikrostatku, pomimo tego co się stało, darzę wielkim szacunkiem. Zabili dwie, a prawdopodobnie trzy osoby. Na pewno wiedzieli, że lada chwila mogło dojść do eksplozji, a jednak zabrali ogniwa paliwowe ze sobą. Czy postąpili tak z jakiegoś niezrozumiałego powodu? A może wiedzieli, że znajdowali się w zaludnionej okolicy i poświęcili się, próbując ratować istoty, które niczym sobie nie zasłużyły na ich współczucie?"

Trzy wielkie gwiazdy Oriona wyłoniły się znad morza około dziewiątej. Kim siedziała na tarasie i patrzyła na nie. Sąsiedzi obchodzili czyjeś urodziny. Grała głośna muzyka i strzelały fajerwerki. Gdy hałas ucichł, a światła pogasły, ona nadal nie ruszyła się z miejsca.

*Życzliwość przyjaciół jest zupełnie naturalna;
Ale życzliwość obcych, To zupełnie inny rząd wielkości...*

Sheyel Tolliver, Notatki, 573

– A ty sądziłaś, że to babka Tripleya wrzuciła ciało do rzeki? – Oczywiście Matta zdradzały entuzjazm.

– Nie wiedziałam, kto jeszcze mógłby to zrobić. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to Kane.

– Sądzisz, że Tora wie?

– Na pewno. – Siedzieli na tarasie domu Kim. Było odrobinę chłodno, ale dzień zapowiadał się pięknie, a fale szumiały uspokajająco.

– Ciekawe, co powiedzą celnicy, kiedy się dowiedzą, że ktoś im przesmugłował pod nosem statek kosmiczny. – Matt zamknął oczy. – I co teraz zamierzasz? Przecież nie możesz trzymać w tajemnicy czegoś takiego.

– Co proponujesz?

– Przekaż sprawę Woodbridge'owi.

– A potem co?

– Nic. Nasza rola się skończy.

– Matt...

– Posłuchaj Kim, wiem, jak się czujesz. Stawką jest dobre imię Kane'a i Tripleya. Ludzie uważają ich za morderców. Ale to przecież oni do wszystkiego się przyczynili. Masz z Woodbridge'em umowę i uważam, że on ma rację. Powinniśmy jak najwięcej zataić.

Kim patrzyła na ocean.

– Matt, przecież już nie chodzi o czyjeś dobre imię. Ani o politykę. Pomyśl, co się zdarzyło tam, w rejonie Alnitaka.

– Wpadka.

– Owszem. Spotkali statek obcych istot i porwali go.

– Właśnie.

– To jedno z najważniejszych wydarzeń w historii ludzkości. Musimy znaleźć jakiś sposób na naprawienie popełnionych błędów.

– Masz na myśli kosmitów?

– Tak. Właśnie o nich mi chodzi.

– Jak mielibyśmy tego dokonać, Kim? Stało się. *Finito*. Już za późno.

– Może nie. Moglibyśmy przygotować jeszcze jedną misję. Wrócić w rejon Alnitaka i raz jeszcze spróbować się z nimi porozumieć.

– Proszę, proszę. Czy to nie ty nazwałaś ich niedawno sukinsynami i mordercami? Kto chciał ich wszystkich pozabijać? Sama podburzałaś Woodbridge'a. Ostrzegałaś, że nikt nie powinien się zbliżać do tych małych drani. Chyba nawet użyłaś dokładnie tego określenia.

– Matt...

– Kto namawiał go do odwołania Latarni? Dyrektor był dumny z tego projektu, a twoi koledzy pracowali nad nim przez lata.

– Matt, myliłam się. Pomyśl o tym, co się wydarzyło. Załoga *Valianta* poświęciła się, aby uratować istoty z gatunku, który ją porwał i pozbawił pomocy. Jak sądzisz, dlaczego to zrobili?

– Nie wiem, może byli mało inteligentni.

– A ja sądzę, że warto ich poznać.

Para biegająca po plaży pomachała do nich, mijając taras. Kim i Flexner podnieśli ręce w pozdrowieniu.

– Wóz albo przewóz – powiedział Matt. – Kosmici są niebezpieczni czy nie?

– Oczywiście, że są. Ale pomyśl tylko, jak z ich perspektywy wyglądał incydent z

Hunterem. Wiemy, że *Valiant* miał możliwość podróżowania w nadprzestrzeni. To oznacza, że mieli też hiperkom. Jeśli znaleźli się w tarapatach, a na to wyglądało, na pewno wysłali do swoich wezwanie o pomoc. Jak myślisz, co zrobili, gdy pojawił się *Hunter*? Nadali kolejną wiadomość, tak? „Rany, szkoda, że nie widzicie tego olbrzymiego sukinsyna, który się właśnie pokazał”.

– Rozumiem.

– A co powiedzieli potem?

– Obcy próbują nas przechwycić.

– Właśnie. Transmisja pewnie została przerwana w połowie i dlatego, kiedy Sal i ja znaleźliśmy się w tamtej strefie, czekało nas niemiłe powitanie. Zastanów się, jak my byśmy zareagowali, gdyby olbrzymi statek pojmał jedną z naszych jednostek. Nic dziwnego, że chcieli się dowiedzieć skąd pochodzimy. – Przez chwilę Kim wsłuchiwała się w oddech towarzysza, zastanawiając się, czego tak się bał. Dlaczego na górnych szczeblach organizacji nie było nikogo takiego, jak Sal?

Flexner pokręcił głową.

– Już za późno na naprawianie szkód. Zresztą, jak to sobie wyobrażasz? Obcy na nasz widok pewnie od razu otworzą ogień. Nie możemy się z nimi porozumieć.

– Właśnie że możemy.

– Akurat. Dwa–cztery–sześć–osiem. Sądzisz, że to wystarczy?

– Matt, musimy użyć czegoś poza językiem. Czegoś, co oni rozumieją.

Wstał, podszedł do krawędzi tarasu i spojrzał na ocean.

– Co proponujesz?

– *Valiant*. Sądzę, że powinniśmy tam wrócić i zdobyć się na ten gest.

– Czyli?

– Oddać im *Valianta*. Powiedzieć, że jest nam przykro i pozwolić, aby sami się domyślili, co znaczą te słowa. Najważniejszy jest gest. Zajmiemy taką pozycję, że mogliby nas bez trudu trafić, damy im do zrozumienia, że im ufamy i zwrócimy im ich statek.

– Według mnie to doskonały przepis, jak się dać zabić.

– Może – przyznała – ale istoty, które poświęcają się dla obcych... – Para dzieciaków bawiących się w berka, ze śmiechem przebiegła przez trawnik przy domu, mijając flyer Instytutu. Kim przez chwilę śledziła je wzrokiem.

– Pozwól mi się zastanowić – powiedział Flexner.

– Łatwiej będzie podjąć decyzję, gdy dokładniej zbadamy tę rzecz. Dowiemy się, jaką technologią dysponują obcy. – Spojrzał na nią niepewnie. – Coś nie tak? – spytał.

– Uważam, że badania laboratoryjne są zbyt ryzykowne.

Rysy jego twarzy zastygły na moment.

– Dlaczego?

– Bo sekret się wyda. Nie wierzę, że zdołamy utrzymać wszystko w tajemnicy. Jeśli inni się dowiedzą, stracimy statek i niczego nie osiągniemy.

– Możemy działać dyskretnie – Matt był uparty.

– Ostrożnie wybierałem ludzi, których wtajemniczymy.

– W jego głosie usłyszała nutę strachu.

– Nie. Mamy tylko jedną szansę, żeby wszystko naprawić.

– Kim, to co my myślimy, nie ma tak naprawdę znaczenia. Woodbridge nigdy się nie zgodzi.

– Wiem. Dlatego nic mu nie powiemy.

– Nie. – Flexner pokręcił głową. – To niemożliwe.

Daj spokój Matt, choć raz okaż odrobinę odwagi

– W takim razie możesz zapomnieć o *Valiancie*. Zostanie tam, gdzie jest.

– Kim, bądź rozsądna.

Wolała wykorzystać przewagę.

– Musimy działać szybko, zanim się rozniesie, że mamy kosmitę. Zaplanujemy spotkanie tak, żeby ryzyko dotyczyło jedynie statku i załogi. Wyczyścimy banki danych. Po żadnym śladzie obcy nie będą mogli trafić tutaj, nawet gdyby wydarzenia potoczyły się według najgorszego scenariusza. Możemy nawet dać wszystkim truciznę na wszelki wypadek.

– Kim, stawiasz mnie w okropnej sytuacji.

– Wiem. – Spojrzała na niego. – Tylko ty możesz zmienić to w rzeczywistość, Matt.

– Phil nigdy się nie zgodzi.

– To jemu też nie mów.

– Co? Jak mógłbym nie powiedzieć Philowi?

– Matt, tym razem decyzja należy do ciebie.

Wstał, wyjął pilota i uruchomił flyera.

– Dam ci znać – powiedział na pożegnanie.

Zaczekała, aż pojazd odleciał, po czym wyjęła dyskietkę Kane'a, na naklejce napisała RACHUNKI i zostawiła ją na stoliku. Na widoku. Potem przez kilka minut siedziała w milczeniu, patrząc na przyplływ.

– Shep, daj Sala.

– *Nie pochwalam tego, Kim. Stan twojej psychiki wyklucza...*

– Shep...

Usłyszała elektroniczny jęk. Tym razem trwało to trochę dłużej niż zwykle. W końcu pojawił się Sal ubrany w skafander nurka. Zmarszczył brwi, powiedział kilka mało pochlebnych słów o Shepardzie, zdjął płetwy i konwerter, po czym usiadł na wirtualnej ławce i spojrzał na Kim.

– *Hej maleńka* – powiedział.

– Witaj Sal. – Nagle opuściły ją siły. – Żałuję, że nie możemy zrobić tego jeszcze raz.

– *Czego?*

– Zanurkować – odparła. – Zejść naprawdę głęboko.

Skinął głową.

Kim wsłuchiwała się w szum morza.

– Tęsknię za tobą, Sal.

– *Wiem. To musi trochę potrwać. Będą inni, zobaczysz.*

– Proszę cię, nie...

– *Przepraszam. Nie powinienem tu zostawać.*

– To słowa Shepada, nie twoje.

– *Nie. To ja.* – Sal długo patrzył jej w oczy. Pokój nagle wydał się zbyt cichy. – *Mam propozycję.*

– Tak?

– *Tylko się nie obraż.*

Wiedziała, co za chwilę usłyszy.

– Nie ma mowy, Sal.

– *Lepiej by było, gdybyś mnie nie przywoływała. Przynajmniej przez jakiś czas, dopóki nie uporządkujesz swoich spraw.*

Spojrzała na niego. Jego postać się zamazała.

– Sal, nie mogę tego znieść, brakuje mi ciebie.

– *Wiem.*

– Nic nie wiesz. Nigdy niczego takiego nie przeżyłeś.

– *Kim, byłaś najwspanialszą częścią mego życia. Za nic nie cofnąłbym naszej podróży w rejon Alnitaka. Warto było.*

Stracił ostrość i powoli znikł. Shep nigdy dotąd nie używał takiej techniki. Gdy Sal odszedł zupełnie, Kim wstała i ruszyła do sypialni. U podnóża schodów zatrzymała się.

– Shep?

– *Tak, Kim?*

– Skąd wiedziałeś, co się wydarzyło na *Hammerze*?

Nie odpowiedział.

Dwa dni później zadzwonił Matt z wiadomością, że już rozpoczęły się przygotowania do misji na Alnitak i że jest dobrej myśli. Spytała, czy mogła w czymś pomóc.

– Unikaj kłopotów – powiedział.

Było wczesne popołudnie. Kim właśnie wróciła do domu po uroczystym lunchu Towarzystwa Literackiego w Seabright. Na wyspie padał rześisty deszcz. O tej porze roku ulewy zdarzały się codziennie za kwadrans trzecia. Pojawiały się równie punktualnie, co pociągi.

Leżała na otomanie, wsłuchując się w bębnienie kropli i rozmyślając o *Valiancie*, kiedy usłyszała Shepa.

– *Kim* – powiedział – *Tora Kane chce z tobą rozmawiać. Mówi, że to pilne.*

Kim rozejrzała się po pokoju. Wyglądał trochę nieporządnie.

- Połącz ją, Shep. Tylko na audio. – Usłyszała klik. – Halo, Tora. Co mogę dla ciebie zrobić?
- Jestem w domu, Kim. Czy mogłabyś przyjechać? Jest coś, co chciałabym ci pokazać.
- Pewnie. O co chodzi?
- Nie mogę o tym mówić na ogólnodostępnym kanale. Wyjaśnię wszystko, kiedy przyjedziesz.

Pospiesz się, proszę.

Pani archeolog wreszcie zaczęła mówić jej po imieniu. Kim, zdumiona, wezwała taksówkę. Dziesięć minut później leciała na północ. Deszcz bębnił w pojazd, a wiatr kołysał nim, uprzykrzając jazdę. Kiedy zbliżała się do willi Tory, zaczynało się przejaśniać. Flyer zszedł nad lądowisko. Kim wysiadła, kładąc na siebie czekać. Z pluskiem przeszła przez kałuże i weszła na werandę.

- *W czym mogę pomóc?* – spytała domowa SI.
- Doktor Kane prosiła mnie bym przyjechała.
- *Przykro mi. Doktor Kane nie ma w domu.*
- To niemożliwe. Na pewno?
- *Nie ma jej tu, ale chętnie przekażę jej wiadomość, jeśli pani sobie tego życzy.*

Kim spojrzała na frontowe drzwi. Miała wrażenie, że dom się jej przygląda. Korzystając z komunikatora odszukała numer Tory Kane i połączyła się z nią. Zadzwięczał dwukrotnie.

- Kane.
- Tora, mówi Kim Brandywine.
- Witaj Brandywine. O co chodzi?
- Jestem u ciebie. Prosiłaś, żebym przyjechała.
- Gdzie jesteś?
- U ciebie.
- U mnie? Nic o tym nie wiem. Z kim rozmawiałaś?
- Nieważne. – Kim przełączyła się na częstotliwość Shepa, ale się nie zgłosił.

Niedobrze. Szybko wróciła do taksówki i kazała się zawieźć z powrotem do domu.

Dwie godziny później weszła do bura Matta. Spojrzał na nią zaskoczony. Zdumiał się jej wyglądem.

- Nic ci nie jest? – spytał.

Zamknęła za sobą drzwi i usiadła.

- Ktoś grzebał w Shepie.
- Oo! Co wyciągnęli?
- Przypuszczam, że wszystko.
- Dysk Kane'a?
- To też.

Rozejrzał się po gabinecie, tak jakby nagle przyszło mu do głowy, że nie jest tu bezpieczny.

- Dlaczego? Kto mógł to zrobić?
- Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba.
- Woodbridge?

- Właśnie.
- Co rozumiesz przez „wszystko”? Wiedzą, o czym rozmawialiśmy dziś rano?
- Nie mam pewności. Shep tego nie rejestrował, ale możliwe, że ktoś nas podsłuchiwał.

Matt powoli pokiwał głową.

- Dostali coś, o czym jeszcze nie wiedzieli?

– *Valianta*.

- Wiedzą, gdzie jest?

– Wiedzą, że istnieje.

- Niedobrze. – Powoli wciągnął powietrze i ze świstem je wypuścił. Wyglądał niepewnie.

– Miałem do ciebie zadzwonić.

– Z czym...?

– Rozmawiałem z Agostino.

– Ustaliliśmy chyba, że go w to nie włączysz.

– Daj spokój, Kim. Bądź rozsądna. On doskonale rozumie sytuację i chętnie zbierze ekipę na wyprawę.

– To pewnie przez niego włamali się do mnie.

– Nie wierzę. Kiedy to się stało?

– Około trzeciej.

– Rozmawiałem z nim zaledwie przed godziną. – Dochodziła piąta.

– W porządku. Posłuchaj, oni na pewno spróbują dotrzeć do *Valianta*. Musimy działać szybko.

– Według planu mieliśmy wylecieć w następnym tygodniu. Nawet ten termin uznaliśmy za ekspresowy.

– Za późno. Musimy wyruszyć jutro.

– To nierealne.

– Zapomnij o realnym. Najlepiej byłoby ruszyć jeszcze dziś w nocy. Powiadom wszystkich, że jutro start. Jeśli ktoś nie może, zostaje.

– Potrzebne nam będą zapasy. Tego się nie da załatwić w jedną noc.

– Tym razem musi się dać. Albo damy radę na jutro, albo o wszystkim zapominamy.

– Zrobię co w mojej mocy – powiedział. – Weźmiemy *McColluma*. Stoi w doku gotowy do odejścia. Musimy tylko zebrać ludzi.

– No to zaczynaj. Mamy pilota?

– Ali Kassem. Znasz go?

– Spotkałam go raz czy dwa. – Sal miał o nim dobre zdanie. To wystarczyło jej za referencje.

Późnym wieczorem Matt zadzwonił do niej do domu.

– W ostatniej chwili otrzymaliśmy prośbę o udział w spotkaniu – powiedział. – Wciśniesz gdzieś jutro Izbę Handlową Terminal City?

To był sygnał. Startowali następnego dnia wieczorem.

Kim zaczęła narzekać, że ma za mało czasu. Matt ją przeproszał, powiedział, że początkowo chciał to sam załatwić, ale coś mu nagle wyskoczyło. Zapewniał, że będzie jej ogromnie wdzięczny.

– W porządku – zgodziła się. – Pomyślę, jak możesz mi się zrewanżować.
Kładła się spać szczęśliwa.

Pusta dłoń, nic w rękawie...

***Standardowy zwrot używany przez Iluzjonistów
w dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu na Ziemi***

Kim spała głęboko całą noc. Wstała o szóstej, zjadła solidne śniadanie i dokończyła pakowanie. W oddzielną torbę włożyła strój pletwonurka i wykrywacz metalu. Shepowi kazała mówić wszystkim, że na cały dzień pojechała w interesach do Maratonu. Potem miał zawiadamiać interesantów, że wyjechała na wakacje i przez jakiś czas miała być nieosiągalna.

Maraton był miastem ogrodów. Mieszkali tu głównie ludzie, których zadowalało życie z przydziałowej pensji i woleli poświęcać czas rozrywkom i sztuce. Nigdzie na świecie nie było tylu teatrów, co tu. Maratończycy mieli więcej sal gier, bibliotek, basenów i przypuszczalnie więcej seksu.

Według legendy, nazwa miasta upamiętniała rekord w sferze przygód na jedną noc.

Podobno Anna Muldoon, znana postać z marginesu historii, zebrała wszystkich dorosłych mężczyzn z okolicy i przez jedną noc ich wszystkich wymęczyła. Na dziedzińcu ratusza stał pomnik Anny z kłocią bananów na ramieniu. Kim dostrzegła go z okna pociągu, gdy wjeżdżali do miasta.

Po lunchu wynajęła konia i wybrała się na przejażdżkę lasem. Ściółka nadal była wilgotna po porannym deszczu. Kim minęła wodospady i boiska do gry w siatkówkę, a zatrzymała się w siedzibie UD. Biura United Distribution mieściły się na górnym piętrze niewielkiego budynku z drewnianych bali. Dolny poziom zajmował punkt z urządzeniami komunikacyjnymi i sklep monopolowy. Weszła po schodach na górę, kierując się do działu obsługi i przystawiła identyfikator do czytnika.

System wy dostał jej paczkę, kładąc ją na ladzie tak, aby widziała naklejkę, którą zaadresowała z Eagle Point.

– *Czy to ta?* – usłyszała pytanie.

– Tak.

– *Proszę nacisnąć tutaj.* – Automat chciał mieć odcisk jej kciuka na potwierdzeniu odbioru. Spełniła prośbę, zniosła paczkę na dół i załadowała ją na konia. Mężczyzna śpiący przy biurku się przebudził. Widząc ją, ukłonił się. Kim pozdrowiła go, dosiadła konia i ruszyła z powrotem do stacyjny.

Jechała powoli. Dzień był piękny, wiosenny, ale ona nie zwracała na to uwagi. Uważnie obserwowała otoczenie, gotowa rzucić się do ucieczki na pierwszy sygnał zbliżającego się niebezpieczeństwa. W lesie czuła się bezbronna. Za późno przyszło jej do głowy, że wybierając konia zamiast taksówki, popełniła błąd.

Na szczęście nikt się nie pojawił i bezpiecznie dotarła do stadniny. Oddała konia i pieszo przeszła na stację. Usiadła na ławce, żeby zaczekać na pociąg do Terminal City.

Prócz niej na peronie było niewiele osób: dwie rodziny z dziećmi, kilkoro ludzi ubranych w narciarskie kombinezony i dwaj mężczyźni, podróżujący chyba służbowo.

Pociąg do Terminal City powoli zbliżył się do stacji łukiem od wschodniej strony. Jechał tuż nad gęstym lasem. Przy małych prędkościach poruszał się bezszelestnie. Ponieważ dach stacji przesłaniał widok, pojawił się niespodziewanie. Po prostu wyłonił się zza zakrętu, ślizgiem

podjechał do peronu i osiadł w kanale. Kilku pasażerów wysiadło; ludzie czekający na peronie zaczęli wsiadać. Kim dołączyła do nich, niosąc paczkę.

Połowa miejsc w pociągu była pusta. Kim znalazła przedział tylko dla siebie, zasunęła przeszkłone drzwi i usiadła. Niemal natychmiast opuścili stację i zaczęli zwiększać prędkość.

Na moment zwolnili, manewrując między łańcuchami górskimi na zachód od Maratonu, po czym wspięli się ponad drzewa i przyspieszyli.

Rzeki i jeziora zostały z tyłu. Pierwszym przystankiem na trasie była Mała Marsylia, oddalona o 150 kilometrów od Maratonu. Wprawdzie w regionie tym nie brakowało miast, ale ze względu na szybkość, jaką pociąg rozwijał, tor poprowadzono z dala od terenów zamieszkanym. Pasażerowie rzadko widzieli ludzi z okien wagonów jadących z pełną prędkością, a jeśli już, to przeważnie tacy osobnicy leżeli płasko na ziemi i trzymali się czegoś kurczowo.

Kim rozwinęła pakunek, otworzyła pudełko z jednej strony i zajrzała do środka. Na moment zabrakło jej tchu. W środku znajdował się mały statek, ale to nie był *Valiant* Raz jeszcze sprawdziła oznaczenia na naklejce: te same, które napisała w Eagle Point.

Jej serce zaczęło bić jak szalone. Wyjęła statek z pudła. Był to model jednostki 376.

Woodbridge miał poczucie humoru.

W korytarzu usłyszała jakiś dźwięk. Drzwi przedziału otworzyły się i do środka wszedł blondyn w czarnej marynarce. Spojrzał na nią i usiadł naprzeciwko. Rozpoznała w nim jednego z pasażerów czekających na stacji w Maratonie.

Zamknęła pudełko. Drzewa za oknem zmieniły się w kolorowe smugi. W oddali płynęły majestatyczne wzgórza.

– Czy coś się nie zgadza, doktor Brandywine? – spytał mężczyzna.

Nie podniosła wzroku.

– Sam pan wie, że nie.

Nieznajomy milczał kilka chwil. Potem pokazał jej identyfikator. Nie dostrzegła jego nazwiska, ale zobaczyła biegnące kręgiem słowa NARODOWE BIURO PORZĄDKU

PUBLICZNEGO.

– Chciałbym, żeby poszła pani ze mną – powiedział.

– Dokąd?

– Proszę. – Wstał i otworzył przed nią drzwi.

Wyminęła go.

– W prawo, pani doktor – poinformował.

Szła przed nim korytarzem. Przeszli do następnego wagonu. Na polecenie nieznajomego zatrzymała się przed zamkniętym przedziałem. Okna zakryto zasłonami. Blondyn zastukał.

Drzwi się otworzyły.

Kim zajrzała do wnętrza i zobaczyła Kanona Woodbridge'a. I *Valianta*. Stał na siedzeniu przesłonięty materiałem. Poznała statek po kształcie.

– Proszę, wejdź Kim – powiedział Woodbridge, gestem zapraszając ją, by usiadła. – Przykro mi, że się spotykamy w takich okolicznościach. Rozumiem, że to dla ciebie trudne. – Drzwi zamknęły się za nią cicho.

– Witaj Kanon. – Zdołała się uśmiechnąć. – Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

– Tak przypuszczałem. – Popatrzył na *Valianta*. – Powiedz mi, to naprawdę jest statek kosmiczny?

Próbowała udać zdumienie. Nie przychodziło jej to łatwo pod jego baczny spojrzeniem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Kim. – W głosie Woodbridge'a brzmiało rozczarowanie. Swoim zachowaniem dawał jej do zrozumienia, że może mu zaufać. Przecież zamierzał postąpić tak jak należało, dopilnować, by wszystko było w porządku. Nie musiała się obawiać. – Pójdzie nam łatwiej, jeśli będziemy wobec siebie szczerzy. – Odsunął materiał. – Czy to jest statek z gwiazdozbioru Oriona?

– Na to wygląda – powiedziała tonem pokonanego.

– Niewiarygodne. – Dotknął lekko powłoki, tak jakby się bał, że mogła się rozpaść. – Jest taki mały.

Założyła ręce i wygodniej usiadła, wpatrując się w siedzenie naprzeciwko.

– Przykro mi, że miałaś tak cenny przedmiot i nie powiadomiłaś mnie o tym.

– Wolałam nie mówić nikomu.

– No tak. A ja sądziłem, że mogę ci ufać.

– Wiedziałam, że mi go odbierzesz.

– Kim. – Pociąg zaczął się kołysać i Woodbridge przytrzymał statek dłonią. – Zupełnie nie pojmuję motywów twoich działań. Przecież sprawa jest daleko poważniejsza niż troska o moje czy twoje dobro. Co planowałaś z tym zrobić?

– Uznałam, że ma wielką wartość. – Spuściła wzrok, tak jakby chciała powiedzieć: do wszystkiego się przyznaję, ty sukinsynu. – Zamierzałam go zatrzymać.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Dla okupu? – spytał po chwili.

– Nie, po prostu zatrzymać.

– Stale mnie zaskakujesz, Kim. Kradzieże statków stały się twoją profesją. – Ponownie zasłonił *Valianta*. – Jesteś małą kryminalistką, chyba się ze mną zgodzisz?

– Statek jest mój – powiedziała. – Mam do niego prawo jako znalazca.

– Och, chyba oboje wiemy, jak jest naprawdę. Teoretycznie powinien się dostać zstępnym Tripleya. Możesz być pewna, że zwrócimy go im, gdy przeprowadzimy wszystkie badania.

– Pewnie niewiele po tym z niego zostanie.

– Być może nie. – Westchnął. – Ale nie da się tego uniknąć. Kto wie, jaką technologię kryje? Słyszałem, że młody Tripley miał go u siebie w biurze przez tyle lat i nigdy się niczego nie domyślił.

– Ben? Tak, to prawda.

– Trudno w to uwierzyć. – Jakiś szczegół krajobrazu zwrócił jego uwagę. Odwrócił głowę w stronę okna. Kim podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła odległy most na rzece. Siedziało na nim dwoje dzieci z wędkami. – Ach te proste przyjemności, co Kim?

Nie odpowiedziała.

– Przynajmniej nie wracasz do domu z pustymi rękami. O nie. Wkrótce przygotujemy publiczne oświadczenie i dopilnuję, aby wspomniano o twoich zasługach.

– Kolejny medal – stwierdziła.

– Tak. Tym razem odznaczenie przyznawane przez premiera. To wielki honor.

Oczywiście wszystko zależy od tego, czy zechcesz z nami współpracować.

– Dzięki.

– Wiąże się z tym znaczna pensja. Poza tym będziesz mogła sama decydować o wynagrodzeniu za wygłaszane referaty i przemówienia.

– Kiedyś na pewno spotkamy te istoty. I co wtedy zrobisz?

– Szczerze mówiąc, Kim, mam nadzieję, że to było ostatnie spotkanie z nimi. Nie podobają mi się. Na szczęście znajdują się gdzieś daleko i nie powinniśmy mieć trudności z unikaniem kontaktów. Rzadko kto podróżuje w strefę Alnitaka. Pozwoliłem sobie przygotować zestawienie statystyczne. Jak sądzisz, ile statków udało się tam w ciągu ostatniego stulecia? Oczywiście pomijając ekipę badawczą i kilka wizyt Kila Tripleya. No i twoją wyprawę.

– Nie mam pojęcia.

– Odpowiedź brzmi *zero*. Żaden. Dlatego sądzę, że nie będziemy mieli problemu, jeśli sami się o to nie postaramy.

– Zamierzasz tak po prostu zignorować fakt, że istnieje obca cywilizacja rozumnych istot? Chcesz dopilnować, by cała sprawa ucichła?

– Kim, dziwi mnie twoja nagła zmiana frontu. Kilka dni temu chciałaś posłać za nimi flotę.

– Dobrze wiesz, dlaczego zmieniłam zdanie.

– Mówisz o oświadczeniu Kane'a.

– Wynika z niego, że moglibyśmy się porozumieć z tymi istotami.

– O, pewnie że tak. Ale najpierw przeszlibyśmy okres braku stabilności. Ryzyka.

Niepewności. Kto wie, jakie skutki miałyby interakcja z obcą kulturą. Żyje nam się dobrze.

Nie mamy problemów. Obecna sytuacja jest zadowalająca, nie sądzisz? Wszystkim nieźle się powodzi. Mam wrażenie, że nie mamy tu nic do zyskania, za to wiele możemy stracić.

– Przypuszczam, że przy takim nastawieniu nigdy nie opuścilibyśmy powierzchni Ziemi.

– Kim, bądź realistką. Czy zastanawiałaś się w ogóle, z czym może się wiązać taki kontakt? Nawet jeśli założymy, że obce istoty nie są nam wrogie, choć według mnie na razie wszystko świadczy, iż jest akurat odwrotnie. Pomyśl tylko o potencjalnym ryzyku. Nie możemy wykluczyć, że kosmici dysponują bardziej zaawansowaną technologią. Co się stanie, gdy zetkną się dwie kultury o nierównych możliwościach? Pamiętasz historię mieszkańców Wysp Morza Południowego? Albo Azteków? Jeśli chcesz, możemy przyjrzeć się temu od drugiej strony. Jeżeli to my mamy przewagę, oni poniosą szkody. Tak dzieje się zawsze, bez względu na intencje bardziej zaawansowanego społeczeństwa.

– Możemy zachować ostrożność.

– Naprawdę? Szczerze wątpię.

– Kanon, mamy szansę poznać inne spojrzenie na świat. Zobaczyć go oczami rozumnego gatunku. Potencjału nowej wiedzy nie da się przecenić. Ale przecież nie o to w tym wszystkim chodzi. Oni przypominają nas w kilku bardzo ważnych aspektach. Teraz to wiemy...

– Tak naprawdę nie wiemy nic, Kim. Nie twierdzą, że się mylisz. Po prostu *nie wiem*. Po co więc ryzykować?

– Jesteśmy im coś winni – powiedziała. – Musimy przynajmniej przesłać im pozdrowienie.

Jesteśmy tą częścią wszechświata, która *myśli*. Jak możemy nie skorzystać z takiej sposobności tylko dlatego, że chcemy wyeliminować ryzyko? Mówisz o istniejącym stanie rzeczy. Czy naprawdę tylko na tym nam zależy?

– To co mówisz, jest dla mnie abstrakcją. – Woodbridge westchnął. – Poszłoby nam dużo łatwiej, gdybyś była osobą praktyczną. No cóż, być może historia w odległej przyszłości dowiedzie, że to ty miałaś rację, a ja się myliłem. A może nie. Na razie życie w Dziewięciu Światach jest przyjemne, a w gwiazdozbiornie Oriona czeka nas tylko wielka niewiadoma.

Dlatego zachowamy bezpieczną odległość.

– Chyba rozumiesz, że to oznacza zerwanie naszej umowy – powiedziała. – Nie mam obowiązku dłużej milczeć.

Wzruszył ramionami.

– To wskazał mikrostatek – zupełnie zmienia postać rzeczy. Jestem pewien, że za kilka dni rząd wyda oświadczenie.

Pociąg zwolnił, pokonując długi łuk wąwozu.

– Zamierzacie to podać do publicznej wiadomości? Dlaczego?

– Och, takich spraw nie da się utrzymać w tajemnicy. Kiedy zaczniemy sprowadzać ekspertów, wieść szybko się rozniesie. Nie jesteśmy wcale tak dobrzy w pilnowaniu sekretów, jak ludzie sądzą.

– Czyli, że będą następne misje na Alnitak...

– Nie, raczej na Zeta Tauri. Bo właśnie tam miał miejsce incydent z obcymi istotami. Taki będzie przeciek do mediów. My oczywiście wszystkiemu zaprzeczymy, przez co wszyscy zaczną w to wierzyć. W tamten rejon mogą sobie bez przeszkód podróżować.

– Chyba, że im powiem co innego.

– Właśnie o to mi chodziło, kiedy wspomniałem o współpracy z twojej strony. Jeśli będziesz się upierała przy swoim, zupełnie wykreślimy cię ze scenariusza. Mamy już przyszykowaną alternatywną wersję. Ty w niej nie występujesz, więc nikt nie miałby powodów tobie wierzyć. – Złączył dłonie. – Nie chcę, żebyś sobie pomyślała, że ci grożę. Po prostu próbuję przedstawić jakie są realne możliwości. Zrozum, że nie czerpię z tego osobistej przyjemności. Istotne jest jednak, abyśmy w przyszłości uniknęli kontaktu z tymi istotami. A ty chyba powinnaś najlepiej to zrozumieć.

Woodbridge zastukał w drzwi. Do przedziału weszły dwie kobiety z pojemnikiem.

Zapakowały do niego *Valianta* i spytały Woodbridge'a, czy miał jeszcze jakieś polecenia.

Odparł, że nie, więc wyszły zabierając ze sobą mikrostatek.

– Jeśli dojdiesz do wniosku, że możesz pójść nam na rękę, Kim, spróbuję dopilnować, abyś była obecna, kiedy go zaczniemy kroić.

Jej czas dobiegł końca. Woodbridge wstał i otworzył przed nią drzwi.

– Jesteś utalentowaną kobietą – powiedział. – Jeśli zechcesz, w służbach rządowych znajdzie się dla ciebie odpowiednie zajęcie.

Kim wróciła do swego przedziału, opadła na siedzenie i wpatrzyła się w umykające za oknem krajobrazy. Las stopniowo ustępował miejsca mokradłom. Pociąg zwolnił przed zakrętem na zachód i Kim dostrzegła podniebny hak.

Po chwili wagony znowu pomknęły do przodu, przejechały pod kilkoma górami i ponad jeziorem. Fala uderzeniowa rozpruła tafnię niczym dziób łodzi. Siedzący na brzegu krokodyl odwrócił

głowę w ich stronę.

Ponownie zwolnili, opadli ku ziemi i przez gąszcz cyprysów wyjechali na teren parku.

Kilkoro dzieci przerwało grę w piłkę i zaczęło machać rękami. Siedzący na ławkach ludzie podnieśli na moment głowy, po czym wrócili do lektury lub rozmów.

Na wysokości zatoki Morgantown pociąg wjechał na główny szlak wschód–zachód. Minął klify, jezior morskiej zatoki i kilka wysp, po czym przekroczył granice Terminal City. Powoli pokonał odcinek przez centrum miasta, ślizgiem wsunął się na stację końcową i osiadł w kanale. Drzwi się otworzyły.

Kim zniechęcona wysiadła na peron. Nie zauważyła ani Woodbridge'a, ani jego ludzi.

Zabrała bagaż, zatrzymała torbę ze skafandrem pletwonurka i wykrywaczem metalu, a resztę nadała do Sky Harbor, zaznaczając, że „ktoś się zgłosi po odbiór”.

Nikt jej nie śledził. Sprawdziła rozkład pociągów. Następny do Eagle Point odchodził za pięćdziesiąt pięć minut.

Pociąg, z którego wysiadła, ponownie zapełniał się pasażerami. Rozległ się sygnał dzwonka, drzwi się zamknęły, wagony uniosły się na magnetycznym torze i powoli opuściły stację, kierując się z powrotem na wschód.

Kim poszła na dach terminalu, wezwała taksówkę i kazała się zawieźć do hotelu Beachfront. Pojazd wystartował, zawracając na południowy–wschód i gładko ruszył po niebie.

W hotelu Kim zjechała windą do lobby. Otaczał je rząd sklepów. Weszła do jednego z nich, kupiła grzebień, po czym poszła do recepcji i wzięła pokój. Potem wsiadła ponownie do windy, minęła swoje piętro i pojechała na dach. Właśnie lądowały na nim dwie taksówki.

Wsiadła do jednej z nich i zamówiła kurs na dworzec kolejowy.

Nadal nic nie wskazywało na to, by ktoś ją śledził. To dobrze. Miała nadzieję, że dostali już to, czego chcieli i nie zamierzali dłużej zawracać sobie nią głowy. Na dworcu podeszła do automatu, wsunęła do niego swój identyfikator i wzięła bilet do Eagle Point. Potem znalazła wolną ławkę i obejrzała fragment programu dyskusyjnego w holoobsadzie.

Dziesięć minut później nadjechał jej pociąg. Wsiadła, zajęła miejsce i od niechcienia zaczęła przeglądać podręczną bibliotekę. Drzwi się zamknęły. Pociąg o czasie opuścił stację, kierując się nad parkami i domami ku północnej stronie Terminal City. Mostem VanderMeer przejechał na kontynent i zaczął przyspieszać. Las się przeredził, a po chwili jechali nad polami.

Spokojne kołysanie uspiło ją. We śnie zobaczyła całun, ale jakimś cudem wiedziała, że to tylko sen i zdołała się obudzić. Wagon był pełen słonecznego światła, nart i dziecięcego śmiechu. Wszyscy jechali chyba na wakacje.

Podjechał wózek z napojami i Kim poczęstowała się mrożonym ananasem.

Kiedy dotarli do Eagle Point, popołudnie zbliżało się do końca. Kim wysiadła z pociągu i udała się do punktu informacji turystycznej. Tam sprawdziła coś w rejestrze firm i skierowała się do podniebnego chodnika. Po dziesięciu minutach znalazła się przed sklepem „Wszystko dla Domu”. Kupiła w nim białą wstążkę, którą pocięła na dwudziestocentymetrowe odcinki.

Następnie odwiedziła punkt wielobranżowej wypożyczalni Emporium w sąsiednim pasażu. Zamówiła ponton, konwerter, komplet dysz sterujących i kilka linek bezpieczeństwa, jakich używano podczas wspinaczki. Poprosiła, by dostarczono wszystko do firmy transportowej Wings, skąd wynajęła flyera. Godzinę i piętnaście minut później leciała już na południe. Krajobraz przywoływał

bolesne wspomnienia. Kim odnalazła rzekę Severn. Lecząc wzdłuż jej koryta wyminęła kaniony i zaporę, docierając nad brzeg Jeziora Żalu.

Gładka tafla wody lśniła w popołudniowym słońcu. Na jeziorze nie było żadnej łodzi.

Kim myślała o okolicy jak o odrębnym świecie, nie należącym do Greenway, tak jakby Jezioro Żalu stało się częścią obcej planety, z której pochodził żywy całun.

Z torby wyjęła wykrywacz metalu i połączyła go z systemem czujników flyera. Raz jeszcze prześledziła wzrokiem brzegi. Może chciała mieć pewność, że jest sama, a może próbowała znaleźć najdogodniejszą pozycję do ucieczki, gdyby spomiędzy drzew nagle coś na nią wypadło. Na samo wspomnienie tamtej nocy poczuła dreszcz i świadomie starała się o tym nie myśleć.

Na plaży Cabry ktoś umieścił płytę z nazwiskami Sheyela, Bena Tripleya i trójki strażników. Na moment zawisała nad tym miejscem. Kusiło ją, żeby na chwilę wylądować i oddać cześć zmarłym. Niestety, czas nieubłaganie uciekał. Obiecała sobie, że tu wróci.

Zawróciła na północ, obierając ten sam kurs, którym uciekała przed całunem. Przecięła w poprzek taflę jeziora. Znalazła kępę martwych drzew, wzięła namiar na miasto i na zbocze góry. Podczas tamtego lotu cisnęła *Valianta* w jezioro, gdy znajdowała się mniej więcej sześćdziesiąt metrów od brzegu.

Dokładnie tutaj!

Zeszła na wysokość kilku metrów od powierzchni i zaczęła powoli badać teren, nie spuszczać oczu z czujnika. Kilka razy zamigotał, ale pozycja się nie zgadzała. Za bardzo na wschód. Za daleko od brzegu.

W końcu trafiła na to, czego szukała. Zaznaczyła miejsce boją, znalazła kawałek płaskiego brzegu i wylądowała. Kiedy poprzednim razem wróciła nad jezioro z Mattem, nie czuła nic prócz odrętwienia. Dziś była sama. Okolica znowu wydała się jej przygnębiająca.

Próbowała myśleć o Salu, wyobrażała sobie, że jest przy niej, powtarzając, żeby się nie przejmowała, że nie ma się czego bać.

Wyciągnęła ponton z flyera, pociągnęła uchwyt i przez chwilę patrzyła, jak łódź napęlnia się powietrzem. Wysoko nad jej głową pojawił się jastrząb. Ucieszyła się, że ma towarzystwo.

Powiązła linki bezpieczeństwa w dwie liny, jedną o długości mniej więcej dwudziestu, a drugą czterdziestu metrów. Włożyła je do pontonu. Obok położyła paski wstążki i z brzegu wzięła dwa kamienie, biały i szary. Je także wsadziła do łodzi.

Kiedy uznała, że wszystko gotowe, wróciła do flyera i przebrała się w skafander pletwonurka. Przymocowała dysze i konwerter, po czym odłączyła wykrywacz metalu i włożyła go do niewielkiej torby, którą przytroczyła do pasa.

Wprawnie uruchomiła silnik łodzi i podpłynęła do boi. Głębokościomierz wskazał dwanaście metrów. Głębiej niż myślała. Ale nie poza zasięgiem. Włączyła wykrywacz. *Tam*, bliżej brzegu.

Przesunęła się nad wskazane miejsce, owiązała krótszą linę wokół szarego kamienia i wyrzuciła go za burtę zamiast kotwicy.

Byłoby jej łatwiej, gdyby miała partnera, jak wtedy, gdy z Salem sprawdzali zaporę.

Teraz za pomocnika musiał jej wystarczyć monitor naprowadzający. Przymocowała czujnik do latarki, którą przypięła do przegubu. Z burty opuściła się do jeziora.

Woda była chłodna i przejrzysta, ale na większej głębokości było ciemno. Kim zeszła do samego dna. Potem powoli wykonała obrót o 360 stopni, obserwując czujnik i czekając, aż sygnał

stanie się wyraźniejszy. Gdy to nie poskutkowało, spróbowała z innej pozycji, ponownie zataczając krąg. Niemal od razu pomieszały się jej kierunki. Łatwa metoda nie zdała egzaminu.

Wróciła do łodzi i jeszcze raz wszystko przemyślała. Nad jeziorem przeleciał flyer, kierując się na południe. Śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Robiło się późno. Popołudniowe niebo zaczynało zmieniać barwy.

Wzięła drugą linę i przywiązała do niej wstążki w pięciometrowych odstępach. Kiedy skończyła, przerzuciła cały zwój przez ramię, włożyła biały kamień do torby przy pasie, ponownie opuściła się do wody i zeszła do kotwicy.

Połączyła linę z wstążkami do kotwicznej, odmierzyła pięć metrów po dnie i miejsce to oznaczyła białym kamieniem.

Jakieś stworzenie o twardej skorupie – prawdopodobnie żółw – wpadło na nią i pospiesznie umknęło. Dobry znak.

Trzymając się liny przy pierwszej wstążce, żeby nie wyjść poza wyznaczoną strefę, przeszukała najbliższą okolicę kotwicy. Kiedy wróciła do białego kamienia, raz jeszcze zatoczyła koło, tym razem skupiając się na zewnętrznej stronie kręgu. Potem przeniosła kamień na odległość dziesięciu metrów i powtórzyła wszystko od początku.

Przy następnym okrążeniu znalazła *Valianta*. Leżał do góry dnem w plątaniu wodorostów. Podniosła go delikatnie, przycisnęła do piersi, pogratulowała sobie i powoli wypłynęła na powierzchnię.

Uwielbiam żeglować po zakazanych morzach...

Herman Melvill, Moby Dick, 1851 rok n.e.

Flexner czekał na nią w tunelu celnym. Przyniosła *Valianta* zapakowanego w pudełko po dużym misiu, z wizerunkiem popularnego bohatera filmów dziecięcych.

– To on? – spytał Flexner.

– To on. – Zdziwiła się na widok Matta. Wyglądał jak człowiek prowadzony na egzekucję.

– Coś się stało?

– Nic. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Miło, że przyszedłeś nas odprowadzić.

– Jak to odprowadzić? Lecę z wami.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Matt zechce podjąć takie ryzyko.

– Świetnie. Przyda nam się każda pomoc. O której odchodzimy?

– Czekamy jeszcze na dwie osoby. Jak tylko się tu pojawią, mniej więcej za godzinę...

– Im wcześniej, tym lepiej. Proponuję ruszać, jak tylko znajdą się na pokładzie.

Wziął od niej pudełko i ruszyli tunelem w stronę statku.

– Czy coś się stało?

Opowiedziała mu o Woodbridge'u. Jego mina z każdym jej słowem stawała się coraz bardziej poważna.

– Mamy jakąś przykrywkę dla tej misji? – spytała.

– Jest zarejestrowana jako powrót w rejon Taratuby. Nic szczególnego. Ale on wiedział, że się wybierasz do Terminal City.

– Często tu przyjeżdżam. Nie ma w tym nic niezwykłego. Poza tym, zarezerwowałam pokój w hotelu Beachfront. Dzięki temu powinniśmy zyskać kilka godzin. – Musieli wyruszyć zanim Woodbridge odkryje, że ma zwykły model i zacznie jej szukać. Gdyby Patrol znowu robił im problemy, tym razem nie miała Sala w kabinie pilota.

– To dobrze – powiedział Matt. – Spróbujemy wyruszyć jak najszybciej. Ale nie chciałbym nikogo zostawić. Ci ludzie rzucili wszystko, żeby tu być...

– Mam nadzieję, że nie znają prawdziwego celu?

– Powiedziano im tylko, że nie będą żałowali.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

O ile *Hammer* przypominał tani hotel, *McCollum* wyglądał jak podniszczony biurowiec z tymczasowymi kwaterami dla ludzi, którzy zagubili się podczas śnieżycy. Był szary, mroczny i przygnębiający. Kiedy Kim chciała zademonstrować sponsorom, jak bardzo Instytut potrzebował funduszy, pokazywała im zdjęcie *Maca*.

Kształtem statek przypominał pudełko z zaokrąglonymi brzegami. Kajuty urządzone bardzo skromnie. W każdej mieściły się dwie koje. W sumie, statek mógł zabrać dwudziestu czterech pasażerów. Wyposażenie nie prezentowało się tak źle: pomieszczenia wypoczynkowe wyglądały

przyzwocie, statek miał nowoczesną kabinę nawigacyjną i porządną salę odpraw, a piloci uważali go za najsolidniejszą jednostkę skromnej floty Instytutu. Choć to pewnie niewiele znaczyło.

Pomieszczenia gospodarcze znajdowały się na najwyższym poziomie, a na zewnątrz zamontowano teleskop długości 8,6 metra.

– Zabieramy automatycznego wykidajkę – powiedział Matt.

– Co?

– Automatyczny system, który możemy wysłać na zewnątrz, aby pozbył się tego, co się przyczepi do kadłuba.

Wielu spośród członków załogi zebrało się w kabinie pasażerskiej. Był wśród nich matematyk, biolog, lingwista i wielu innych specjalistów. Matt przedstawił wszystkim. Kim znała kilkoro. Wymienili uściski dłoni i wszyscy zaczęli zadawać pytania. Jaki jest cel misji?

Dokąd się udajemy?

Stawili się tutaj dlatego, że ufali Agostino. Oby nie żalowali.

Kim powiedziała wszystkim, że musi chwilę pobyć sama. Czekali jeszcze na dwie osoby, które miały się zjawić lada chwila. Potem obiecała wrócić i wyjaśnić wszystkim, o co chodziło.

Przeprosiła obecnych i poszła do swojej kabiny, prosząc wcześniej Matta, aby dał jej znać, gdy wszyscy znajdą się już na pokładzie. Dziesięć minut później rozległo się pukanie do jej drzwi. Otworzyła i zobaczyła przed sobą uśmiechniętą twarz Alego Kassema, kapitana jednostki.

– Hej Kim – powiedział. – Co się dzieje?

– Witaj Ali. – Usunęła się, robiąc mu miejsce i zamknęła za nim drzwi. – Miło cię znowu widzieć.

– Ciebie też. O co chodzi z tą tajemnicą?

– Ile wiesz?

– Tylko tyle, że nie wybieramy się na Taratubę.

– Usiądź Ali – poprosiła. – Zaproponowali ci płacę za udział w niebezpiecznej misji?

– A powinni?

– Tak.

– Mówisz poważnie.

– Bardzo.

– Rozumiem. W takim razie powinienem wiedzieć więcej.

Streściła wszystko w trzyminutowym sprawozdaniu, pomijając to, że Woodbridge próbował przejąć *Valianta*. Kiedy skończyła, Ali wyglądał na wstrząśniętego.

– Nadal chcesz z nami lecieć? – spytała.

– Co zrobisz, jeśli postanowię, że to nie dla mnie?

– Będę miała spore kłopoty.

Reszta ekipy dotarła na statek bez przeszkód. Prócz Kim, Matta i Alego na pokładzie było jeszcze osiem osób.

Wszyscy zebrali się na sali odpraw. Matt najpierw wyjaśnił, że chciał zaprosić także innych, a nawet to zrobił, ale część chciała najpierw wiedzieć, o co chodziło, a inni nie mogli zorganizować wyjazdu w tak krótkim czasie. Stwierdził, że ośmioro specjalistów to trochę mało, jak na zadanie,

które ich czekało, ale musieli jakoś sobie radzić. Potem oddał głos Kim.

– Mamy tylko kilka minut do odejścia powiedziała.

– Dlatego nie chcę marnować czasu nikogo z nas. – Weszła na niewielkie podium. – Doszło do kontaktu.

Na sali zapadła cisza. Wszyscy zamarli bez ruchu.

– Z obcym gatunkiem. To się wydarzyło naprawdę. Nawet dwukrotnie.

Wreszcie dotarło do nich znaczenie jej słów. Wszyscy naraz zaczęli zadawać pytania, ale Kim podniosła rękę. Opisała odkrycia *Huntera* i *Hammera*, i powiedziała wszystkim, co naprawdę się wydarzyło w Tunelu Culbertson. Wyjaśniła, że Rada postanowiła na razie utrzymać całą rzecz w tajemnicy i dlatego nikt nie mógł im wcześniej zdradzić celu misji.

Pokazała zebranym *Valianta*, ale nie pozwoliła na bliższe oględziny.

– Możecie to zrobić później – powiedziała. – Teraz musicie wiedzieć, że mamy nadzieję ponownie się porozumieć z obcymi i naprawić błędy popełnione dwadzieścia siedem lat temu.

Niestety, nie wiemy nic o tym, co nas czeka. Jesteśmy prawie pewni, że istoty są do nas wrogo nastawione i przypuszczamy, że bez wahania mogłyby zniszczyć *McColluma*.

Będziemy tam sami. Dlatego możliwe, że zechcecie zmienić zdanie, co do udziału w tej wyprawie. – Zwróciła się do Alego. – Każdy, kto chce zrezygnować, teraz ma okazję. Gdy ruszymy, nie będzie już odwrotu.

– O jakim stopniu niebezpieczeństwa mówimy? – spytał antropolog, Maurie Penn.

– Wiecie teraz tyle, co i ja. Przypuszczam, że o znacznym.

– Ja w to wchodzę – powiedział matematyk. – Szansa porozmawiania z innym inteligentnym gatunkiem? Nie muszę się nawet zastanawiać.

Nikt nie dyskutował. Po pierwsze, nie mieli na to czasu. Po drugie, nagroda wydawała się zbyt wielka. Nawet ci, którzy zwykle byli przeciwni narażaniu życia z jakiegokolwiek powodu, tak jak specjalista w dziedzinie sztucznej inteligencji, Gil Chase, widzieli przede wszystkim ogromne możliwości, jakie niosła sytuacja. Wszyscy chcieli zostać. Jak mogli postąpić inaczej?

Formalna część spotkania się skończyła. Fotele ustawiły się w bezpiecznych pozycjach, a Ali przeszedł do kabiny pilota.

Do Kim przysiadł się Maurie Penn.

– Nie tak sobie wyobrażałem taką wyprawę – powiedział. – Powinniśmy się lepiej przygotować.

– Nie pozwoliły na to okoliczności – odparła.

Głos Alego ostrzegł wszystkich, że za chwilę mają odcumować. Światła w kabinach przygasły.

Fotele w sali odpraw wyposażone były w monitory, które dało się ustawić na odbiór obrazu z dowolnej zewnętrznej kamery. Kim włączyła ogólny widok Greenway i spojrzała na Equatorię. Śniegi na północy już stopniały i cały kontynent był zielony. Na zachodzie, na krawędzi widzialnego świata, dostrzegła linię Archipelagu Mandan.

Podniebny hak, długi i łukowaty, tak jakby wygięty siłą wiatru, zwieszał się w dół między chmury, w których znikał jego koniec.

Kim poczuła lekkie szarpnięcie.

– Odchodzimy – powiedział Ali.

Czterdzieści kilka minut później, nie zatrzymani przez Patrol, weszli w nadprzestrzeń.
Kim odetchnęła swobodniej.

- To niezbyt dobry pomysł – powiedział jej Matt.
- Dajesz zespołowi do zrozumienia, że im nie ufasz.

Wiedziała o tym. Przeprosiła członków ekipy i wyjaśniła, że robi to, ponieważ dla naukowców takich jak oni, pokusa mogła się okazać zbyt silna.

– Statek musi pozostać nietknięty – powiedziała. Nadszedł czas wyjawienia prawdziwego celu misji.

- Chcemy oddać go właścicielom.

Dostrzegła zdziwione spojrzenia. Zebrani zaczęli protestować. Tesla Duchard, biolog, wyglądała tak, jakby za chwilę miała dostać ataku.

Kim musiała bronić swego stanowiska, a Matt na szczęście ją poparł.

– Misja *Huntera* wyrządziła spore szkody – powiedział. – Jeśli zdołamy je naprawić i nawiązać poprawne relacje z obcymi, zyskamy o wiele więcej niż jeden zniszczony statek.

Niektórzy mruclili z niezadowoleniem, ale w końcu przyznali mu rację.

Sandra Leasing, zajmująca się projektowaniem i konstrukcją napędów statków kosmicznych, oceniła, że *Valiant* poruszał się między wymiarami korzystając z systemu, który niewiele się różnił od znanego ludziom.

- Prawdopodobnie innego sposobu nie ma – powiedziała.

– Według mnie najciekawszym zagadnieniem jest brak dysz napędowych – zauważyła Mona Vasquez, psycholog. – Jak taki pojazd może się poruszać w normalnej przestrzeni?

– Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób – odparła Terri Taranaka ekspert w dziedzinie fizyki. – Jeśli nie wyrzuca się nic z tyłu, coś musi się pojawiać z przodu, coś co „ciągnie” statek.

- Czyli co? – spytał Maurie.

– Pole grawitacyjne. Wystarczy stworzyć pole grawitacyjne na obranym kursie, podobnie, jak my tworzymy je wewnątrz statku. Potem po prostu się w nie „wpada”.

- Czy my też potrafilibyśmy tego dokonać? – chciała wiedzieć Tesla.

– Tak – powiedział Matt. – Tylko nie możemy stworzyć pola na tyle silnego, by ten rodzaj napędu był praktyczny. Ale sądzę, że z czasem nauka będzie zmierzała właśnie w tym kierunku. Choćby z tego powodu, że usunie się konieczność zabierania olbrzymiego ładunku ogniwo paliwowych.

Kim odtworzyła dla ekipy dziennik pokładowy *Huntera* i z przyjemnością patrzyła jak na widok kosmicznego pilota wiele osób wstrzymało oddech.

- *Cho-cho-san* – powiedziała Terri. – Motyl.

Wspólnie omówili reakcję *Huntera* na nieoczekiwane znalezisko i zastanawiali się, co czekało na nich i jak powinni zareagować.

Kim uznała, że powinna im opowiedzieć o tym, że Woodbridge próbował odebrać jej *Valianta*.

Wiedzieli, że gdy wrócą w normalną przestrzeń w rejonie Alnitaka, zastaną tam oficjalną wiadomość nakazującą im zwrócić statek. Kim musiała ich uprzedzić, a przede wszystkim musiała mieć Alego po swojej stronie.

Czekała tylko na właściwy moment. Połowa podróży wypadła w czwartek i z tej okazji urządzili przyjęcie. Grupa okazała się wyjątkowo skora do wszelkiego rodzaju imprez. Kim się to podobało. Na statku stale świętowano i bez końca mówiono o zderzeniu epok. Tak określił to Gil, który był zwykle powściągliwy i oficjalny, i szybko zyskał sobie opinię bardziej opanowanego niż sztuczne inteligencje, jakie tworzył. Kim znała go od dawna i zawsze uważała go za wyjątkowego samolubnego zainteresowanego wyłącznie własnymi sprawami. Na szczęście tym razem mieli podobne priorytety.

Pod koniec przyjęcia Paul McKeep przyznał, że Instytut postąpił rozsądnie, trzymając w tajemnicy istnienie statku.

– Rząd jest potwornie konserwatywny – powiedział.

– Nigdy nie pozwoliliby nam wyruszyć. – Paul był matematykiem.

Kim spojrzała kątem oka na Alego, sprawdzając, czy słuchał.

– Jest coś, o czym powinniście wiedzieć – powiedziała, podnosząc odrobinę głos.

– Jeszcze coś? – roześmiała się Mona.

– Tak. Nie udało nam się ukryć przed wszystkimi istnienia *Valianta*. Woodbridge dowiedział się o nim i próbował mi go odebrać.

– Jak ci się udało nie dopuścić do tego, by dostał go w swoje łapska? – zdziwił się Ali.

– Dałam mu kopię.

Jej wyznanie rozśmieszyło ekipę.

Ale Ali nawet się nie uśmiechnął.

– Wiesz, co to oznacza – powiedział.

– Tak. – Kim spojrzała prosto w jego ciemne oczy. – Kiedy przeskoczymy w normalną przestrzeń, zastaniemy tam nakaz powrotu.

Pilot zmarszczył brwi i wyszedł z sali. Pozostali zamilkli. Kim spojrzała na Matta.

Chciała iść za Alim, upewnić się, czy zdoła się przeciwstawić naciskom Greenway.

Matt pokręcił przecząco głową, tak jakby chciał powiedzieć: *Nie, nie tym razem*.

Przez całą podróż Kim towarzyszyło dziwne echo. Nie mogła się pozbyć wspomnień z wyprawy, w której towarzyszył jej Sal. Odległości się zacierały, tak jakby jechała pociągiem przez mroczny, ale znajomy teren. Mijane punkty orientacyjne wydawały się abstrakcyjne i tymczasowe. Jak miejsca, które kiedyś odwiedziła. Tutaj grali w szachy, Sal stale wygrywał, a ona się złościła. A tutaj wreszcie udało im się rozwiązać tajemnicę morderstwa przed Weroniką King w interaktywnej wersji „Nawiedzonego balkonu”.

Dokładnie wiedziała, kiedy znaleźli się w miejscu, w którym poprzednim razem wyglądająca jak Kim Clea wykonała taniec z pochodniami.

Głupia. Okazała się głupia. W którymś momencie popełniła błąd i pozwoliła, by to wszystko jej umknęło.

Większość czasu ekipa spędzała na obmyślaniu strategii kontaktu. Zamierzali rozpocząć transmisję od razu po przybyciu na miejsce, aby mieć pewność, że zostaną zauważeni. Coś w rodzaju nowej Latarni – pomyślała Kim.

Bez końca dyskutowali nad najlepszym sposobem przygotowania składni i słownictwa.

– Nie chcemy już się bawić w numerki – przypomniał im Gil Chase.

Wiedzieli, że obie cywilizacje miały zbliżone systemy wymiany sygnałów audio i wideo.

– Na początek możemy użyć obrazów – powiedział lingwista Eryk Climer. – Ale szkoda, że wcześniej nie znałem celu wyprawy – poskarżył się Kim. – Mógłbym zabrać odpowiednie oprogramowanie.

Przygotowali listę pytań, które chcieli zadać już po ustaleniu wspólnego języka. *Jak daleko w przeszłość sięga udokumentowana historia waszego gatunku?* Aby w ogóle myśleć o zadaniu tego pytania musieli najpierw opracować wspólny system mierzenia czasu.

Skąd pochodzicie?

– Nie – sprzeciwił się Maurie – o to nie pytajcie. To tak, jakby wywiad próbował jak najwięcej z nich wyciągnąć.

– A co zrobimy, jeśli sami usłyszymy takie pytanie? – spytała Sandra.

– Pamiętając o tym, co już się stało, lepiej unikajmy podawania im tego rodzaju informacji – stwierdził Paul.

Kim zgodziła się z nim. Nie chciała się przyczynić do ściągnięcia ludziom na głowy inwazji kosmitów, gdyby spotkanie odbyło się według najgorszego scenariusza.

– A co, jeśli uznają, że im nie ufamy? – spytał Matt.

– Jak w takiej sytuacji możemy się spodziewać, że nam zaufają?

– Nie możemy – odparła Mona. – Ale wzajemne zaufanie nie jest potrzebne. Przynajmniej nie na samym początku. Z pewnością zrozumieją, dlaczego nie chcemy zdradzać takich informacji. Sądzę, że przede wszystkim powinniśmy być wobec nich uczciwi.

– Jakie inne pytania chcecie im zadać? – spytał Terri.

– *Czy jest ktoś jeszcze?* – zaproponował Ali. – *Czy spotkaliście innych?*

– *Wasze statki są uzbrojone. Dlaczego?*

– *Jak wyjaśnacie porządek wszechświata? Jak według was powstał? Dlaczego nie ma po prostu pustki?*

– *Czy odkryliście istnienie alternatywnych światów? A jeśli tak, czy zdołaliście się o nich czegoś dowiedzieć?*

– *Czy wierzycie, że życie ma wymiar duchowy?*

– Jak zdefiniować „duchowość”? – spytała Mona. Nikt nie wiedział.

– *Co robicie w wolnym czasie?*

– Czy to takie ważne? – spytała Terri. – Po co mamy wiedzieć, czy na przykład grają w brydża?

Maurie, który zaproponował pytanie, z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To, co ludzie robią w czasie wolnym, bardzo wiele mówi o naturze społeczności, w jakiej żyją i o wartościach, jakimi się naprawdę kierują, a nie tylko o nich.

– A jeśli nas zapytają o to samo? Przyznamy, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji tkwi w świecie elektronicznych fantazji? – spytała Mona.

– Lepiej nie – odparł Gil. – Jeśli *oni* są wrogo nastawieni, tylko sprowokujemy atak.

– Więc mamy kłamać – stwierdził Matt.

– Oczywiście. – Gil wyglądał na sfrustrowanego.

– Nie chcemy stwarzać problemów na przyszłość. Może powinniśmy raczej zastanowić się, o co oni mogą spytać nas, zamiast debatować nad tym, co my chcemy wiedzieć. Oni mogą podchodzić do tego tak samo jak my. Co na przykład odpowiemy na pytania, które miałyby sprawdzić naszą wiedzę technologiczną?

– Przypuszczam, że o to nie będą pytać – powiedział Paul. – Wystarczy, że zaczną do nas strzelać i sprawdzą, jak szybko potrafimy uciekać.

Nikt tak naprawdę nie wierzył, że w strefie Alnitaka zostaną biologiczne formy życia.

Przypuszczano raczej, że *Mac* natrafi na jakąś zautomatyzowaną stację albo skaner czekający na ponowne pojawienie się gigantycznych statków. Ludzie tak właśnie by postąpili. Nikt nie potrafił sobie wyobrazić, aby rozumne istoty tak po prostu przestały się interesować miejscem, w którym w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat doszło do dwóch spotkań z obcymi.

Choć Kim przyszło do głowy, że Woodbridge wymusiłby właśnie taką strategię, gdyby to od niego zależało. W jakim świetle przedstawiało to ludzkie rządy?

Siedmioma głosami w stosunku do trzech ustalili, że próbę przyczepienia czegokolwiek do kadłuba uznają za wrogie działanie i natychmiast zaprzestają wysiłków nawiązania kontaktu. Ali powiedział później Kim, że i tak by się nie przejął wynikiem tego głosowania, ponieważ jego obowiązkiem było pilnowanie bezpieczeństwa. Uprzedził ją, że nie zamierza czekać na niczyje pozwolenie na odwrót, gdyby nie spodobał mu się jakikolwiek aspekt zachowania potencjalnych rozmówców.

Gdyby jakiś obiekt zdołał, mimo ich wysiłków, przyczepić się do skorupy *Maca*, zamierzali wysłać robota, by go oderwał. Aby zabezpieczyć się przed powrotem obcego, robot miał go porazić ładunkiem elektrycznym, a dopiero potem odrzucić. Od początku operacji obowiązywał zakaz otwierania luków i włazów. Po zakończeniu zadania, robot nie był już potrzebny.

Po przybyciu w rejon Alnitaka i stwierdzeniu, że nikt tam na nich nie czeka, zamierzali nadać transmisję pozdrowień i zaczekać. *Mac* miał zapasy na dziesięciodniowy postój.

Gdyby w tym czasie nic się nie zdarzyło, zostawiliby na orbicie automatyczną sondę z nadajnikiem i wróciliby do domu.

Podczas podróży, jak zwykle, nawiązało się kilka pokładowych romansów. Paul i Terri stworzyli parę, a Eryk podgrzał atmosferę, interesując się jednocześnie Moną i Teslą. Matt, jako żonaty mężczyzna, nie zamierzał wykorzystać oczywistej sympatii, jaką darzyła go Sandra Leasing. Choć może robił to tak dyskretnie, że Kim nic nie zauważyła.

Ali zachowywał się profesjonalnie i uprzejmie wobec wszystkich, ale nie rezygnował z dyskretnego dystansu wobec pań. Pewnego wieczoru, gdy rozmawiali o błahych sprawach, wspomniał, że emocjonalne związki kapitanów i pasażerek nie wpływają dobrze na dyscyplinę.

Kim była dużo młodsza od pozostałych. Wiedziała, że towarzysze traktowali ją trochę jak starsze dziecko. Nie przeszkadzało jej to. Nadal czuła zbyt silną więź z Salem, by myśleć o kolejnym związku. Zresztą, w ciasnocie *Maca* wszystko się roznosiło w ciągu kilku godzin.

Przez ostatnie dni przed dotarciem na Alnitak napięcie zaczęło wzrastać.

Znany psycholog dwudziestego czwartego stulecia, Edmund Trimble, twierdził, że wydłużenie

życia człowieka odbyło się ze szkodą dla postępu ludzkości. Przede wszystkim twierdził, że wielu ludzi postrzegało życie jako serię utraconych szans i możliwości. W

rezultacie po siedemdziesiątce czy osiemdziesiątce stawali się niechętni zmianom, a w dodatku pogłębiał się ich cynizm. Na szczęście obawy psychologa nie do końca znalazły potwierdzenie w rzeczywistości, ale nie były zupełnie bezpodstawne. Przeciętna wieku wszystkich członków ekipy kontaktu, nie licząc Kim i Alego (który miał dopiero 41 lat) wynosiła 126 lat. Powołując się na lata doświadczeń, większość twierdziła, że coś się na pewno nie powiedzie. Przewidywali, że przy Alnitaku nikt nie będzie na nich czekał, że szansa bezpowrotnie przepadła, i że po powrocie będą mieli do pokazania tylko *Valianta*, dziennik pokładowy *Huntera* i może jeszcze zdjęcia tego, jak ściga ich kolejny intruz.

Ostatniego wieczoru przed skokiem uczcili trzydzieste szóste urodziny Kim. Otworzyli kilka butelek wina i wzniesli toast na jej cześć. Gil przygotował tort, zawiesili wstęgę z życzeniami i bawili się w znacznie bardziej uroczystej atmosferze, niż wymagała tego okazja.

*Statki mijające się w nocy pozdrawiają się,
Tylko światłem i krzykiem dobiegającym z dala.
Tak jak na oceanie tycia, my się mijamy i pozdrawiamy,
Tylko spojrzeniem i głosem, po których znowu cisza i ciemność.*

Longfellow, Opowieści z przydrożnej gospody, 1863 n.e.

Podczas powrotu w rzeczywistą przestrzeń Kim siedziała z Alim w kabinie pilota. Z dołu dobiegły ich ogólne „ochy” i „achy”, gdy wszyscy ujrzeli Alnitaka.

Kapitan przez całą podróż trzymał się na dystans i nie zdradzał emocji. Właśnie takiego zachowania oczekiwano od pilotów w trudnych sytuacjach. Dlatego Kim z zadowoleniem zobaczyła, jak Ali wstrzymał oddech na widok wielkich, lśniących chmur gwiazd, które pojawiły się w oknach. Wyłączył lampę i wstał z fotela.

- Właśnie dlatego *Hunter* się tu zatrzymał, Ali.
- Dotyk Wszchemogącego – powiedział. – Nadal działa.

Kim podczas poprzedniej wyprawy dokładnie poznała przyrządy pomiarowe na *Hammerze*. Tym razem także nie przegapiła okazji i zaznajomiła się z instrumentami *Maca*.

Interesowały ją zwłaszcza skanery dalekiego zasięgu, które miały sygnalizować wykrycie obiektu przemieszczającego się po orbicie wbrew naturalnemu ruchowi ciał niebieskich. Po przejściu w normalną przestrzeń spojrzała na nie, szukając jakiegoś znaku, ale niczego nie znalazła.

Przez kilka minut Ali stał w krystalicznym świetle, po czym nakazał SI obrać kurs na gazowego olbrzyma i odwrócił się do Kim.

- Powodzenia – powiedział.
- Liczę na nie.

Wezwał całą ekipę do kabiny nawigacyjnej, gdzie raz jeszcze przestudiowali plan. Matt spytał, czy odebrali już jakąś wiadomość.

Teraz, gdy znaleźli się u celu, wydawało się to nieuniknione.

- Nie – odparł Ali. – Jeszcze nic nie mamy.

Zaczęli nadawać program wizualny. Zaczynał się wymianą sygnałów między *Hunterem* a *Valiantem*, potem Mona Vasquez miłym tonem mówiła: „*Witajcie. Cieszymy się, że możemy was pozdrowić i powiedzieć witajcie.*”

Celowo powtórzyli słowo „witajcie”, sygnalizując obcym jego użycie.

- To będzie stosowny początek – oznajmił Maurie trochę zbyt pretensjonalnym tonem.
- *Mamy nadzieję, że uda nam się nawiązać długą i owocną współpracę* – ciągnęła Mona. – *Przy pierwszej sposobności pragniemy z wami porozmawiać.*

Potem dodała, że ona i jej przyjaciele są daleko od domu i przebyli długą drogę, pragnąc spotkać istoty, które widziano w rejonie Alnitaka dawno temu. Powtórzyła nazwę gwiazdy.

Obok niej pojawiło się opisane zdjęcie.

Kiedy transmisja dobiegła końca, rozległy się żartobliwe brawa. Po sześćdziesięciu sekundach

rozpoczęto nadawanie od początku.

Nikt nie spodziewał się reakcji od razu, ale Kim na początku nie opuszczała nadzieja.

Kilka godzin później, gdy wszyscy wiedzieli już, że nieprędko otrzymają odpowiedź, ponarzekła trochę w duchu i walcząc z rozczarowaniem poszła na lunch.

Członkowie zespołu snuli się beczynnym po statku z niepokojem myśląc o tym, co ich czekało. Większość skupiała się przy oknach. Przy jednym z nich Kim zastała Monę robiącą wykład Terri i Mauriemu.

– Tutaj możemy lepiej poczuć „głębię” nieba. Wygląda inaczej niż z Greenway czy z Ziemi, gdzie nocą widać tylko gwiazdy i księżycy, tak jakby siedziało się w środku podziurawionej skorupy. Tutaj wyglądając za okno, widzimy te wspaniałe chmury i wiemy, że one się ciągną bez końca. To musiałyby wywrzeć zupełnie inny wpływ na rozwój cywilizacji.

– Gdyby taka tu była – wtrącił Maurie.

– Właśnie – dodała Terri. – Ale jej nie ma. Życie nie mogłoby się tu rozwijać. Za duże promieniowanie.

– Nie musiałyby krążyć wokół Alnitaka – powiedziała Mona. – Mogłaby się znajdować nieco dalej. Wystarczy trochę większa odległość. Promieniowanie słabnie, a widok pozostaje ten sam.

Siedzieli kręgiem. Kim zagłębiła się w jeden z foteli.

– Ciekawe, jakie społeczeństwa powstałyby na Ziemi, gdyby miała widoki takie, jak ten – powiedział Maurie.

– Fanatycy religijni – stwierdziła Kim.

Terri zachichotała.

– Tych i tak nie uniknęliśmy.

Mona pokręciła głową.

– Nie wierzę, że w takich warunkach zrodziłby się fanatyzm religijny. Łatwiej tu dostrzec mechaniczne aspekty środowiska, które u nas nie są aż tak oczywiste.

– *Kim* – Ali wezwał ją z kabiny pilota – *wiadomość do ciebie.*

– Już idę.

Gdy tam dotarła, zobaczyła nagłówek na monitorze:

Do: GR 717 McCollum Od: DSP

Dotyczy: obcego obiektu Osobista wiadomość do doktor Brandywine.

Skrót DSP oznaczał Departament Spraw Pozaświatowych.

– Daj tekst, Ali.

– Możesz przeczytać to w swojej kabinie. – Pilot wyglądał na zmartwionego. – Sądzisz, że to odpowiedź na twój numer z Woodbridge'em?

– Pewnie tak. – Uśmiechnęła się. – Teraz już niewiele mogą. Puść tekst.

Doktor Brandywine:

Jeśli posiada pani obcy obiekt, zawiadamiam, że ma go pani natychmiast oddać go w ręce władzy. W przeciwnym razie czeka panią postępowanie sądowe. To ostatnie ostrzeżenie.

Talbott Edward.

Zwierzchnik Woodbridge'a. Człowiek, który wręczył jej odznaczenie Braysa Stilwella.

– Jak według niego mielibyśmy to zrobić? – Spytał Ali. – Przecież wie, gdzie jesteśmy.

– Wysłał to, żeby mu nie wyciągnęli stołka spod tyłka.

– Nie jestem tego pewien. – Jego ciemne oczy kryły się w półmroku.

– Jak to?

– Sądzę, że będziemy mieli towarzystwo. – Obrócił się z fotelem w jej stronę. – Naprawdę zamierzasz oddać mikrostatek właścicielom? Pierwotnym właścicielom?

– Tak.

– Jak?

– To łatwe. Kiedy ich już znajdziemy.

– Powiedz mi jak.

– Wystarczy podać im go przez drzwi.

– Czy to nie jest niebezpieczne? Przecież to te sanie istoty, które próbowały cię zabić w dolinie Severin.

– Sądzę, że to był wyjątek. Tamta za długo była sama na obcej planecie i wpadła w obłąd.

– Mam nadzieję, że nie wszystkie są obłąkane.

– Muszą się kierować rozsądkiem, Ali. Inaczej nie dotarłyby tutaj.

Kassem wydał z siebie dziwny dźwięk.

– Może i tak – powiedział – ale dla mnie brzmi to jak epitafium.

Po kilku dniach wszyscy wrócili do rutynowych czynności. Pracowali nad indywidualnymi projektami albo obserwowali monitory czujników. Maurie i Terri stale wystawiali w oknach, podziwiając widok. Kim miała wrażenie, że otacza ją pustka. Na początkowym etapie podróży wszyscy sądzili, że kontakt był nieunikniony, bo kosmici tylko czekali na pojawienie się następnego olbrzymiego statku. Stopniowo przekonanie to zaczęto uważać za zbyt optymistyczne. Potem uznano je za wątpliwe, a w końcu za beznadziejnie naiwne. Członkowie zespołu zaczęli wierzyć, że szansa przepadła. Zaprzepaściła ją niezdarność pierwszej ekspedycji. Kim przypadkiem usłyszała, jak ktoś mówił, że ona i Sal też mogliby się lepiej spisać, gdyby najpierw wszystko przemyśleli.

Winiono ją za sytuację, w jakiej znalazł się cały zespół i za ciszę na pustym niebie.

Gdyby skontaktowała się z nimi w styczniu i zamiast wybierać się tu w pojedynkę o wszystkim opowiedziała, być może udałoby się naprawić błędy.

Widziała to w ich oczach, słyszała w głosach. Dni ciągnęły się wolno, a gazowy olbrzym zajmował coraz większą część widoku w oknach. Z czasem członkowie wyprawy zaczęli zmieniać stosunek do *Valianta*. Na początku uważano go za unikalny obiekt, ogniwo łączące ludzi z inną cywilizacją, ale teraz stał się jedynie osobliwością pozostawioną na brzegu przez historyczny odpływ, jako symbol niekompetencji człowieka.

– Przynajmniej wiemy, że nie jesteśmy sami – powiedział Paul.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy ich w ogóle nie znaleźli – przyznał Maurie.

Na te słowa wszyscy zmarszczyli brwi.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała Gil.

– Jak sądzicie, ile lat istnieje ich cywilizacja?

– Skąd mamy wiedzieć – zniecierpliwiał się Matt.

– Może milion lat. Albo sześć milionów. Jak może wyglądać cywilizacja, która rozwijała się tak długo? Czy naprawdę chcemy się z nimi skontaktować?

– Dlaczego nie?

Maurie odetchnął głęboko.

– Czym moglibyśmy ich zainteresować?

Kim grała w szachy z Moną, kiedy Ali wezwał ją przez komunikator.

– Proszę, przyjdź tu na chwilę.

Zostawiła szachownicę i ruszyła po schodach na najwyższy poziom. Kiedy weszła do kabiny pilota, dostrzegła dziwny wyraz jego twarzy.

– Ktoś nas skanuje – powiedział.

– Kto?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Gdzie oni są?

– Tego też nie wiem. Nie mogę namierzyć sygnału. Ale wiem, że ktoś ma nas na oku.

– Myślisz, że to flota?

– Może. Ale wątpię czy to nasi. Musieliby być naprawdę dobrzy. Nie mam żadnych odczytów na wskaźnikach.

Monitory nic nie pokazywały.

– Co im powiemy? Że znaleźliśmy to, po co tu przylecieliśmy?

– Mogę jedynie stwierdzić, że technologia, której używają jest bardzo zaawansowana.

– Wspaniale – powiedziała, klepiąc go w plecy. – Czego mogą się o nas dowiedzieć?

Ali podparł podbródek dłonią.

– Przede wszystkim, w którą stronę lecimy. Jakie mamy silniki. Może potrafią też przeprowadzić analizę utraty energii. Trudno mi spekulować na temat ich możliwości. Jeśli rzeczywiście są to kosmici, wiedzielibyśmy więcej po rozebraniu i dokładnej analizie mikrostatku.

Kim zignorowała ostatnią uwagę.

– Czy mają możliwość zajrzenia do środka?

– Żadne z urządzeń, które posiadamy lub potrafilibyśmy skonstruować, nie zdołałoby spenetrować kadłuba *Maca*. Został zaprojektowany tak, by przetrwać w środowiskach wysokiego promieniowania. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy zbliżyć się znacznie do Alnitaka i się nie usmażyć. Nie, nie sądzę, by mogli nam zajrzeć do środka. Za to prawdopodobnie mogą spekulować na temat naszej elektroniki, uzbrojenia, a raczej jego braku, budowy silników i tego typu rzeczy.

– Dzięki – powiedziała. – Masz coś jeszcze?

Wzruszył ramionami.

– Tylko nie daj się ponieść i nie zapominaj, że potrafią gryźć. Dobrze?

Wróciła do kabiny nawigacyjnej, zwołała wszystkich i przekazała im wiadomość. *Ktoś nas obserwuje*. Reakcja była mieszana: podniecenie pomieszane z odrobiną niepokoju. Paul zaproponował, by przesłać drugą transmisję. Pozostali się zgodzili i Kim przekazała instrukcje Alemu. Minutę później zgłosił, że rozpoczęło się nadawanie.

Komunikat drugiej fazy zawierał listę 166 słów opatrzonych obrazami i wymową. Ekipa miała nadzieję, że były to rzeczy wspólne obu gatunkom. Znalazły się tam „gwiazda”, „planeta”, „chmura”, „rzeka”, „statek”, „deszcz”, „las”, „lampa”. Eryk, który chwalił się, że uczył się do szkoły aktorskiej, a przy tym miał doskonałą dykcję, wystąpił w roli lektora.

Do listy dołączyli także czasowniki z przykładami ich użycia, kilka zaimków osobowych oraz pytańników *kto, co, gdzie, kiedy i dlaczego*. Eryk przypuszczał, że wyjaśnienia tych ostatnich – które także uzupełniono obrazami i przykładami użycia – prawdopodobnie nie zostaną zrozumiane, ale bardzo pomogłyby one w komunikacji, więc uznano, że warto spróbować.

Transmisja poszła w czasie rzeczywistym. Nie próbowali jej pakować bojąc się, że technologia obcych okaże się niekompatybilna. Przekaz trwał pięćdziesiąt sześć minut i powtarzano go co godzinę.

Ali zszedł ma dół w trakcie pierwszego przekazu z wiadomością, że już nie są monitorowani. Całkowity skan trwał mniej więcej siedemnaście i pół minuty.

Kim wpadła na pomysł, by do nagrania dołączyć obraz *Valianta*. Już w trakcie pierwszej transmisji ponownie przejrzała zdjęcia, które wgrała do transmittera: mikrostatek widziany od przodu, oświetlony promieniami Alnitaka; sylwetka mikrostatku na tle niebieskiej planety i kilkanaście innych. Uznała, że powinna wysłać tylko jedno zdjęcie.

W końcu wybrała *Valianta* widzianego od strony lewej burty, w pełnym świetle słońca.

Wyglądał majestatycznie. Piękny wehikuł podróżujący na tle nieba. Tchnął optymizmem i siłą. Miała nadzieję, że na obcych zdjęcie zrobi tak samo wielkie wrażenie, co na niej.

– To powinno sprowokować ich do odpowiedzi – stwierdził Matt, który niepostrzeżenie stanął za nią.

– Dlatego, kiedy chce się doprowadzić do pierwszego kontaktu, zawsze trzeba mieć ze sobą specjalistę od publicznego wizerunku.

Kim się uśmiechnęła. Twierdzenie Flexnera. Miał rację.

Próbowała sobie wyobrazić, co pomyślą obce istoty. Na pewno pragnęły się dowiedzieć, jaki los spotkał statek, który zaginął tak wiele lat temu. Oto miały przed sobą tych, którzy o tym zaginięciu wiedzieli i najwyraźniej chcieli o nim porozmawiać. Jak mogły się oprzeć takiej pokusie?

Kiedy Ali powiadomił ją, że ma wolne łącze transmisyjne, poprosiła, by to Matt wcisnął klawisz.

– Z przyjemnością – powiedział i posłał obraz *Valianta* w próżnię.

– Powinniśmy otrzymać odpowiedź w ciągu kilku godzin – stwierdziła.

Wrócili do nawigacyjnej, gdzie cała ekipa czekała na odzew ze szczerym przekonaniem, że to historyczna chwila.

– W takiej sytuacji na pewno lepiej nie wychodzić do łazienki – powiedziała jej Tesla.

Wkrótce po zakończeniu transmisji Ali poinformował ich, że ponownie byli skanowani.

– Tylko kilka sekund – dodał.

Czekali, prawie się nie odzywając. Wpatrywali się w ekrany, spodziewając się zobaczyć na nich wizualną odpowiedź obcych i śledzili postęp własnych transmisji.

Chwilę po powtórzeniu przekazu po raz drugi Ali ponownie zgłosił skanowanie.

Po następnej godzinie, jeszcze jedno.

– Wygląda na to, że sprawdzają nas co sześćdziesiąt trzy minuty – powiedział.

Popołudnie mijało. W końcu Tesla musiała iść do łazienki.

Kolację zjedli o szóstej. Mówili mniej niż zwykle. Powtarzali tylko stale, że muszą być cierpliwi. Tym razem dołączył do nich Ali, który zwykle jadał posiłki w kabinie pilota.

Skany powtarzały się przez cały wieczór, przedzielone przerwami, które trwały sześćdziesiąt trzy minuty i siedemnaście sekund.

– Prawdopodobnie musimy poczekać, aż to coś skontaktuje się ze swoją bazą – powiedział Matt.

– Jeśli nie dysponują niczym lepszym niż hiperkom, trochę to potrwa.

Taka możliwość nikogo nie cieszyła. Ale Kim uważała, że sytuacja, w jakiej się znaleźli i tak wyglądała o wiele lepiej, niż ta, której musieli stawić czoło z Salem.

O jedenastej trzydzieści poddała się i położyła się do łóżka. Przez godzinę czytała zbiór esejów politycznych, aż w końcu zapadła w sen. Obudziła się około trzeciej, wyszła na korytarz i poszła do łazienki. Na dole, w nawigacyjnej usłyszała głosy Sandry, Eryka i kogoś jeszcze.

Sandra się śmiała.

Kilka minut później, gdy wracała do kabiny, usłyszała trzeszczący głos Alego.

– Kim, nie chcę cię budzić...

– Słucham Ali, jestem tutaj.

– Nie mamy odpowiedzi, ale powinnaś chyba coś zobaczyć. Czy możesz tu przyjść na minutę?

Narzuciła szlafrok i przeszła korytarzem do kabiny pilota.

Ali siedział przy jednym z dodatkowych monitorów. Kiedy weszła, odwrócił się ku niej.

– Przybyła kawaleria – powiedział.

Nie tego się spodziewała. Poczowała ukłucie rozczarowania.

– Nasza flota?

– Tak jest. Banshee i dwa eskortowce.

– Lecą w naszą stronę?

Skinął głową.

– Ile mamy czasu?

– Zanim tu dotrą? Jakies osiem godzin.

– Niedobrze – przyznała.

– Dopiero kilka minut temu pojawiły się na monitorze.

– Ale to nie oni nas skanowali, prawda?

– Nie. W żadnym wypadku.

No cóż – pomyślała – przynajmniej ktoś chce z nami porozmawiać.

Cisza dorównuje głębią Wieczności.

Thomas Carlyle, Sir Walter Scott, 1838 n.e.

Do rana nic się nie zmieniło.

– Muszę przyznać, że bycie obserwowanym przez coś, czego się nie widzi, nie jest przyjemne – powiedział Ali. – Cieszę się, że mamy za sobą banshee. Przynajmniej czuję się bezpieczniej.

Kim bez słowa piła kawę. Teraz już wszyscy na *Macu* wiedzieli o przybyciu floty.

Niektórzy przyznawali, że czuli się podobnie, jak Ali. Wiedzieli jednak, że to oznaczało koniec ich misji.

Lampka ostrzegająca, że są skanowani zapaliła się, świeciła przez trzy sekundy i zgasła.

Teraz z idealną regularnością powtarzały się trzysekundowe błyski.

– Myślisz, że banshee traktują podobnie? – spytała.

– Pewnie tak.

– Ciekawe, co na to nasi.

– Jestem pewien, że ich to nie zachwyciło. Prawdopodobnie trzymają wszystkich na stanowiskach bojowych.

– *Transmisja floty* – poinformowała SI.

Ali spojrzał na Kim.

– Może zaraz się dowiemy. Słuchamy, Mac.

– *Tylko audio. Odtwarzam.*

Kim wcisnęła się głębiej w poduszki fotela.

– *McCollum*, mówi dowódca *Dauntless*. – Dudniący głos brzmiał bardzo pewnie. – Macie nakaz natychmiastowego opuszczenia tej strefy.

Popatrzyła na Alego.

– Tutaj nie mają nad nami władzy, tak?

– Teoretycznie nie. – Ali się skrzywił.

– To im powiedz, żeby znaleźli sobie inną ofiarę. Przeszkadza w cywilnym przedsięwzięciu. Sama mu zaraz powiem...

Sięgnęła po hełmofon, ale Ali podniósł dłoń.

– Przykro mi, Kim. Muszę z nimi współpracować. Od tego zależy moja licencja.

– Ale mówiłeś...

– Powiedziałem, że *teoretycznie* nie mają nad nami władzy. Ale jesteśmy w greenwayowskim rejestrze. Mają dobrych prawników.

– Wszyscy się martwią o posady – mruknęła.

– A czego się spodziewałaś? – spytał sfrustrowany. – Siedzimy tu od prawie tygodnia. Co tu takiego jest, że warto tak wiele poświęcać? – Włączył mikrofon. – Kapitanie, natychmiast rozpoczniemy przygotowania do odejścia.

– Nie tak od razu, kapitanie Kassem – odezwał się *Dauntless*. – Macie na pokładzie doktor Kimberly Brandywine?

Ali spojrział na nią.

– Przejdź na wizję – powiedziała Kim.

Dowódca jednostki wojennej był wysokim blondynem z szeroko rozstawionymi, niebieskimi oczami i idealnie przystrzyżonym wąsem. Jego surowe rysy zdradzały nieugiętość. Nie należał do osób, z którymi dało się negocjować.

– Słucham kapitanie. Mówi doktor Brandywine.

– Poinformowano mnie, że jest pani w posiadaniu czegoś, co należy do rządu. Czy ma to pani przy sobie?

Popatrzyła na Alego.

Pokręcił głową. Nie było sensu kłamać. Tylko zmusiłaby ich do wejścia na pokład i przeszukania statku.

– Tak – odparła.

– Doskonale. Proszę ostrożnie się z tym obchodzić. Niedługo dokonamy abordażu.

Oczekuję, że przygotuje to pani do przekazania.

Wyłączył się.

– To i tak nie ma już chyba znaczenia – powiedział Ali. – Skoro nie możesz oddać *Valianta* właścicielom, bo nie chcą się nawet przywitać... – Wydawał się przygnębiony.

– Czy nadal transmitujemy słownik?

– Co sześćdziesiąt minut.

Wszystko się waliło. *Valiant* miał powędrować gdzieś do wojskowego laboratorium.

Wysłęk, jaki dotąd włożono w odszukanie obcej cywilizacji, zamierzano wykorzystać w niewłaściwym celu, a Kim mogła już na zawsze zapomnieć o motylach i całunach. Świat miał się nigdy nie dowiedzieć o poświęceniu obcej załogi na Mount Hope. A jeśli kiedyś, w kto wie jak odległej przyszłości, obie rasy ponownie by się spotkały, byłyby potencjalnymi antagonistami.

– Co godzina? – spytała. – To głupie. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Jak dotąd nie mamy przecież odpowiedzi.

– To prawda.

– Zakończ to, Ali. Wciąż jeszcze mamy czas. Spróbujemy czego innego. – Wywołała na monitor zdjęcia *Valianta* pod sierpami księżyców, unoszącego się ponad zacienioną stroną planety, oświetlonego szerokimi strumieniami światła, uciekającego przed wybuchającą nową. Przygotowała wszystko doskonale. Statek wyglądał zarazem po królewsku, egzotycznie i dumnie. Brakowało jedynie czystego, pomarańczowego płomienia dobywającego się z dysz silników sterujących. – Wyślij je wszystkie – powiedziała.

Ali przekazał instrukcje SI.

– *Anuluję transmisję drugiej fazy. Rozpoczynam transmisję Valianta.*

Obserwowali konsolę. Światła zamrugały i zdjęcia powędrowały w przestrzeń.

Na drugim poziomie statku, od rufy znajdował się taras. Nikt z niego nie korzystał, więc Kim wyszła popatrzeć na niebo. Gdzieś tam znajdowała się banshee w towarzystwie dwóch eskortowców. Dzielili ich niecałe dwie godziny.

– Warto było spróbować, Kim. – Podskoczyła na dźwięk głosu. To był Matt. Na jego twarzy dostrzegła troskę. – Nie możesz winić siebie.

– Nie robię tego.

Jego głos się zmienił. Zabrział bardziej optymistycznie.

– Potwierdziłaś prawdziwość odkrycia o ogromnym znaczeniu. Wiemy, że oni istnieją. I mamy mikrostatek. Całkiem niezła robota.

– Wiemy także, o co nas przede wszystkim zapytają, jeśli kiedyś zdołamy się porozumieć.

– Będziemy musieli jakoś to wyjaśnić.

– Zabiliśmy załogę i zabraliśmy statek. Życzę naszym potomkom powodzenia, Matt.

– Kim..

– Daj spokój.

Matt usiadł na krześle.

– Nasi są przerażeni. Nie możesz winić Woodbridge'a. On tylko posłuchał twojej rady.

Wielkie chmury gwiazd lśniły na nocnym niebie.

– Nie prowokuj mnie lepiej – powiedziała. – Zmęczyła mnie ta cała gra. On wie tyle samo, co ja. Wie, co się zdarzyło na Mount Hope. Wie, co zrobiła załoga *Valianta*.

– Ale spoczywa na nim większa odpowiedzialność, niż na tobie. Jeśli ty się mylisz, to cóż, możemy stracić statek. Zginie kilka osób. Jeżeli on popełni błąd, może dojść do katastrofy.

Bóg jeden wie, co ściągnęlibyśmy sobie na głowę. Nigdy nie przeprowadzaliśmy badań, które pozwoliłyby ocenić znaczenie takiego kontaktu. Pomijając Latarnię i wszystkie misje, nigdy tak naprawdę nie przemyśleliśmy potencjalnych konsekwencji. – Krzesło zaskrzypiało, gdy zmienił pozycję. – Dajmy temu spokój. Na dłuższą metę tak będzie lepiej.

– Naprawdę w to wierzysz, Matt?

Z pobliskiego korytarza dobiegł ich dźwięk oznaczający rozpoczęcie skanu. *Coś* znowu ich sprawdzało. Upewniało się, czy nie zmienili kursu. Kim zastanawiała się, co obcy pomyśleli o jednostkach bojowych. Obecność floty, choć uspokajała Alego i kilkoro jej kolegów, mogła odstraszyć to coś, co znajdowało się w okolicy.

– Wiesz – powiedziała – jeśli teraz nie zrobimy tego jak należy, następna szansa może się już nie pojawić.

– Robimy, co w naszej mocy.

Kim spojrzała najpierw na gwiazdy, a potem na Matta, który siedział z zamkniętymi oczami, kryjąc rozczarowanie i robiąc to, co zawsze: próbując znaleźć pozytywne strony sytuacji. *Na dłuższą metę tak będzie lepiej.* Zostawił otwarte drzwi. Za nimi widziała korytarz.

Wyobraziła sobie, że prowadził aż do Instytutu.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie odpowiedzieli. Sądziłam, że zechcą porozmawiać przynajmniej o *Valiancie*.

Wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Może myślą, że chcemy porwać następny statek, gdy tylko się pokaże. A może wysyłanie samych obrazów nie wystarcza.

– A co powinniśmy zrobić?

– Nie wiem. Co chcemy im powiedzieć?

– Witajcie. Przykro nam.

– W takim razie może powinniśmy poinformować ich, że mamy *Valianta* tutaj? Przecież oni o tym nie wiedzą...

– Tak. – Zastanawiała się tylko chwilę. – Chyba masz rację. Jak dotąd wysyłaliśmy jedynie...

– Mnóstwo zdjęć. Powinniśmy im pokazać statek.

Kim przez komunikator porozumiała się z kapitanem.

– Ali, kiedy nastąpi następny skan?

– Dopiero co się skończył.

– Nadal powtarzany jest co sześćdziesiąt trzy minuty?

– Zgadza się.

– Kiedy pojawi się flota?

– Za jakieś półtorej godziny.

– Mamy jeszcze czas.

– Na co? – Matt i Ali spytali jednocześnie.

– By wyjść na zewnątrz. Ali, możesz tak nas ustawić, żebyśmy podczas następnej sondy znaleźli się w cieniu planety? Przyda nam się każda osłona przed słońcem.

Mattowi nie spodobał się jej pomysł, ale nie potrafił się sprzeciwić jej determinacji.

– Idę z tobą – powiedział.

– Byłeś kiedyś na zewnątrz w takich warunkach?

– A ty?

Korytarz kończył się schodami prowadzącymi do śluzy powietrznej. Kim i Matt wyjęli *Valianta* z przezroczystej skrzyni. Postawili go na podłodze, a Kim ostrożnie zawinęła go w folię.

Siedzący w kabinie pilota Ali próbował ją zniechęcić. Powtarzał, że brak jej doświadczenia, że nie wie, jak postępować w przestrzeni kosmicznej. Upierał się, że to zbyt niebezpieczne. Bezsensowne. I wolałby, żeby tego nie robiła.

Kim podziękowała mu za troskę.

– Muszę spróbować – powiedziała. – Tylko to nam pozostało. – Wnieśli mikrostatek po schodach do śluzy. Wzięli parę skafandrów ciśnieniowych i ubrali je.

Ali zszedł do nich, aby się upewnić, czy wszystko zrobili jak należy. Przez chwilę pomstował na Kim, ale w końcu powiedział, że gdyby był na jej miejscu, postąpiłby tak samo.

– Może to i dobrze – stwierdził. – Taka okazja już się nie powtórzy.

Potem cofnął się na podest schodów, a Kim uruchomiła dekompresję śluzy.

– Przynajmniej zmieściłaś się w czasie – usłyszała jego głos przez radio skafandra. – Następny skan ma nastąpić za osiem minut. Jak myślisz, co się stanie?

– Mam nadzieję ucisnąć dłoń kosmitom – odparła.

Zewnętrzny właz śluzy się otworzył i oboje wydostali się na zewnątrz. Czuli się tak, jakby nocą wyszli na dach domu.

Górna część kadłuba była płaska i prostokątna, ograniczona barierką sięgającą do pasa.

Nadal znajdowali się w obrębie sztucznego pola grawitacyjnego statku.

Kim postawiła *Valianta*, podeszła do krawędzi i spojrzała w dół. Widok przyprawił ją o

zawroty głowy. Czuła się tak, jakby stała na szczycie nieskończonego wysokiego budynku, którego fundamenty ginęły w pustce. Po lewej stronie miała gazowego olbrzyma otoczonego pierścieniami i księżycami. Dawał osłonę przed słońcem.

– Co się stanie, jeśli spadnę? – spytała Alego.

– Nic – odparł. – Nie spadniesz. Mogłabyś najwyżej „odfrunąć”. Lepiej nie podchodź za blisko krawędzi.

Matt został na środku dachu, obok *Valianta*.

– Minuta do następnego skanu – poinformował Ali.

Kim podeszła do Matta i położyła mu dłoń na ramieniu. Wydawał się zagubiony.

– Chcesz mi pomóc? – spytała.

– Pewnie.

– Świetnie, – Zdjęła folię z mikrostatku. Matt naśladując ją, wziął jeden koniec *Valianta* i razem go podnieśli. – Jak najwyżej – powiedziała. Unieśli go na wysokość ramion, a potem ponad głowy.

Ali odliczał sekundy.

– No to już. Mamy światło. Skanują nas.

Kim wyobrażała sobie, że czuje mrowienie sondy przenikającej trzy poziomy *Maca* i ją, i zatrzymującej się na *Valiancie*.

– To nic nie da – powiedział Matt. – Mam wrażenie, że biorę udział w ceremonii religijnej.

– Bo to jest religijna ceremonia. – Obróciła statek, próbowała podnieść go wyżej i niemal wypuściła go z rąk.

– Uważaj – ostrzegł Matt.

– Nadal nas sondują – poinformował Ali. – Tym razem dłużej.

Kim pamiętała, że wcześniej skany trwały trzy sekundy. Zaczęła liczyć.

– Chyba udało nam się zwrócić ich uwagę – powiedziała.

– Mam taką nadzieję.

Doliczyła do dziewiętnastu.

– Znacznik zgasł – powiadomił Ali. – Koniec.

Opuścili *Valianta* i postawili go na dachu.

– Kim – znowu usłyszeli głos Alego.

– Tak?

– W sumie trwało to dwadzieścia sześć sekund.

Matt rozejrzał się, szukając świateł wśród gwiazd.

Ale obraz nieba się nie zmienił.

– Możemy chyba wrócić do środka – powiedział. – Tu już nic nie zdziałamy.

Kim z trudem zdołała usiąść przy *Valiancie*. Skafander był wyjątkowo niewygodny.

– Zostanę tu jeszcze chwilę.

– Kim..

– Nic mi nie jest. Po prostu jeszcze nie jestem gotowa się poddać. – Właz śluzy pozostał otwarty. Światło wylewało się na dach. – Jeśli tam wrócę, będzie to oznaczało koniec.

Podszedł do niej i stanął obok.

Spoglądała w wieczność, poza wielki otoczony pierścieniami glob, poza rozsypane diamenty gwiazd, poza rzeki światła. Myślała o Emily, która zginęła w chwili triumfu.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Alego.

– Wykrywamy jakiś ruch.

Terri Taranaka obserwowała monitory w nawigacyjnej.

– Kim, mamy coś!

Kim z wysiłkiem wstała.

– To nie *Dauntless*?

– Nie. – Po głosie Alego poznała, że jest podekscytowany. – *Dauntless* nadal jest za nami.

– Skąd mamy sygnał? Z jakiego kierunku?

– Namiar zero–sześć–zero – poinformował Ali. – Jakies trzydzieści stopni w górę.

Musiała spojrzeć na właz śluzy, aby zorientować się, z której strony znajdował się dziób statku. Tu na górze, rozpoznawanie kierunków nie było łatwe.

– Właśnie się pojawiło – ciągnął Ali. – Nie mam pojęcia, skąd się wzięło.

Choć znajdowali się w cieniu planety, blask Alnitaka i tak był silny. Matt dłonią w rękawicy przesłonił wizjer w hełmie i spojrzał we wskazanym kierunku.

– Nic nie widzę, Kim.

Ona też nic nie widziała.

– Mamy odczyt anomalii – powiedział Ali. – Konfiguracja stale ulega zmianie. Nie sądzę, by był to statek.

– Jeśli nie statek, to co? – spytała Sandra.

Serce Kim zaczęło bić szybciej.

– Czy to nie zmienia kształtu? – spytała.

– Kim, mamy *Dauntless* na linii. Mam wrażenie, że u nich też robi się trochę gorąco z emocji.

– Jak daleko znajduje się to coś o zmiennej konfiguracji?

– Jakies osiem kilometrów. I stale się zbliża. Nie rozumiem, jak mogło znaleźć się tak blisko i nie pokazać się na żadnym z czujników.

– Kim. – Usłyszała głos Eryka. – Mamy wizję.

– Wiadomość tekstowa – powiedział Paul, a po chwili krzyknął. – Od *nich*.

– Jesteś pewien? Przecież to angielski – odezwał się Maurie.

Kim usłyszała brawa, które po chwili umilkły.

– Nie rozumiem, o co im chodzi – ponownie usłyszała Eryka.

– Oo! – westchnęła Mona.

– Podajcie mi treść – zażądała Kim.

– Pytają: *Gdzie oni są?*

– Gdzie jest kto? – zdziwił się Matt.

Kim poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Chyba chcą wiedzieć, co się stało z załogą *Valianta*.

– Kim. – Głos Alego. – To coś rzeczywiście przypomina chmurę. Jest tworem spoistym. Porusza się nieprzypadkowo.

– Mów dalej.

– Myślę, że to następny całun. Lepiej wróćcie do środka.

– Matt, ty idź. Zamknij śluzę i nie otwieraj jej, dopóki nie dam ci znaku.

– To zły pomysł – stwierdziła Terri.

– Kim, macie oboje wejść do środka. Pospieszcie się. Za kilka minut będzie tutaj.

Matt szybko podszedł do śluzy. Stał w plamie światła, czekając na nią. Kim spojrzała na *Valianta*, a potem popatrzyła w stronę prawej burty i mniej więcej trzydzieści stopni w górę. Nie zobaczyła tam nic.

– Kim, pospiesz się – powiedział Matt. – Tutaj nic nie zdrażamy, tylko damy się zabić.

– Kim – odezwał się Maurie. – Według mnie masz rację. Chcą wiedzieć, co się stało z załogą.

Co im odpowiemy?

Moment decyzji.

– Powiemy im, że nie żyją. Że przepraszamy, ale zginęli. To był wypadek.

– W słowniku nie mamy słów „martwy” ani „zginąć”. Ani „wypadek”.

Ali przerwał im.

– Kim wchodź do środka. Kończy nam się czas – powiedział rozkazująco.

– Matt...

Matt pokręcił głową i pchnął właz zamykając go. Potem się odwrócił i podszedł do niej.

– Postąpiłaś nierozsądnie – powiedziała.

– Nie zostawię cię tutaj samej.

Próbowała sobie przypomnieć słownik. Zawarli w nim mnóstwo słów takich jak kamień, trawa, drzewo, liść, woda, ziemia, światło i mrok. Znalazły się tam też chmura, słońce, statek i silnik. Pomyśleli nawet o kolorach. Jak mogli opisać śmierć?

– Odpowiedzcie, że „ich silniki zgasły”, że „oni są w mroku”.

– Jesteś pewna?

– Tak, Maurie.

– Dobra. Już się robi.

– Musimy znaleźć jakiś sposób na wyrażenie naszego żalu. Ktoś ma jakiś pomysł?

– Smutno nam, że tak się stało – zaproponowała Mona.

– Nie mamy słowa „smutno” – zauważył Gil. – Nie potrafimy też oddać bardziej złożonych konstrukcji składniowych.

Kim przez cały czas obserwowała ścieżkę, którą zbliżała się niewidzialna chmura.

Dyskusja, jak zwrócić się do kosmitów, skończyła się frustracją i milczeniem.

– Braki słownikowe – orzekła Terri.

– Zrobiliśmy co w naszej mocy – zaproponował Eryk. – Najpierw trzeba ustalić podstawowe założenia, zanim zbuduje się całą filozofię.

Niebo zafalowało. Wiele gwiazd znikło.

– Jest tutaj – powiedziała Kim.

– Dlaczego nadal tam tkwicie? – W głosie Alego usłyszała złość.

– Eryk – odezwała się Sandra. – Spróbuj powiedzieć im, że „liście naszych drzew spadają na ziemię”.

– Tak – powiedziała Kim. – To dobre.

– Trzeba było zabrać z nami poetę – stwierdził Paul.

Kim widziała zbliżającą się chmurę, dostrzegła przez nią gwiazdy.

– A może: „nasze rośliny są suche”?

– Tak. Dobrze. To też nadajcie. Powinniśmy dać im do zrozumienia, jak bardzo jest nam żal.

Kim i Matt stali obok siebie bez ruchu. Chmura wyglądała tak jak zjawa w Severin, tylko wydawała się mniejsza.

– Ten sam podstawowy model – powiedziała Kim do Matta.

Ale tym razem bez oczu.

Mimo to wiedziała, że chmura mogła ją widzieć albo rejestrować jej obecność w jakiś inny sposób, nie wymagający impulsów wizualnych.

– Nasze życie jest teraz ciemne – powiedziała, jednocześnie próbując zapanować nad chęcią ucieczki. Z zaskoczeniem i zadowoleniem stwierdziła, że Matt jej nie odstępował.

– Nie mamy sposobu na wyrażenie czasu, Kim. Jak wyrazić „teraz”?

– Wyślij to bez słowa „teraz”. – Z bijącym sercem podniosła *Valianta*.

Chmura otworzyła się, rozkwitła podobnie jak ta nad jeziorem, zanim pochłonęła ofiary.

Wyciągnęła mikrostatek przed siebie.

– Bez gwałtownych ruchów – ostrzegł Ali.

Kim w ogóle nie mogła się poruszyć. Miała wrażenie, że skafander ją przytłacza.

– Odpowiadają – powiedziała Tesla.

– Mówią: „Jesteśmy wami” – odczytał Eryk.

– Bez sensu.

– Co chcą przez to powiedzieć?

– Że czują to samo – zasugerował Matt drżącym głosem. – Może rozumieją, co próbujemy zrobić.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytała Tesla.

Kim miała nadzieję, że się nie mylił.

– Nic wam nie jest? – dopytywał się Ali.

Poczuła, że coś ciągnie *Valianta*. Puściła go i patrzyła, jak zaczął powoli opadać, nadal więziony polem grawitacyjnym statku. Wokół lśniącego kadłuba zawirowała mgła, otoczyła go i całun wnikał do wnętrza.

Kim, próbując zapanować nad walącym sercem, usłyszała brawa.

Po chwili ona i Matt zostali na dachu sami.

Przez kilka godzin zmagaliśmy się ze zdaniem: „Być mały czerwony ołówek pudełko”. W końcu zdołaliśmy sobie jakoś poradzić ze składnią. Eryk zdołał nawet nauczyć się trochę ich mowy, którą mogliśmy odtworzyć na syntezatorze i w końcu zaczęliśmy rozmowę.

Maurie Penn, Notatniki, XXVII, 611 rok

Kim nie miała okazji uczyć się sukcesu. Godzinę po tym, jak *Valiant* odpłynął w ciemność, znikając z radarów i monitorów *Maca* i statków floty, została aresztowana przez kapitana

Dauntless pod zarzutem celowego nadużycia własności rządu. Wbrew oburzeniu i protestom wszystkich pozostałych uczestników wyprawy, zabrano ją na *banshee*, by odwieźć ją na *Greenway*.

Ale tym się nie przejmowała. Przynajmniej nie za bardzo. *McCollum* otrzymał rozkaz natychmiastowego odejścia. Matt używał wszelkich argumentów, próbując nakłonić dowódcę, by to odwołał. Ali celowo uszkodził ważny układ nawigacyjny, dzięki czemu zyskali dwanaście godzin. W tym czasie zespół kontaktu w pocie czoła pracował nad nawiązaniem poprawnych relacji z obcymi istotami.

Kim potraktowano przyzwoicie. Miała ograniczone możliwości poruszania się po statku, ale przydzielona jej kwatery prezentowała się lepiej niż ta, którą zajmowała na *Macu*. Załoga odnosiła się do niej uprzejmie, choć z dystansem. Powiedziano im, jak przypuszczała, że dopuściła się poważnego naruszenia prawa, woleli więc trzymać się z daleka. Kapitan odmówił przesłuchania jej. Nie chciał jej nawet odwiedzić, wyjaśniając przez pośrednika, że nie chce by go później wzywano do sądu i wypytywano o to, co mówiła lub czego nie mówiła.

Niewielki oddział, z *Dauntless* na czele, opuścił rejon *Alnitaka* dopiero wtedy, gdy *Mac* był już w drodze do domu. Oni także weszli w nadprzestrzeń i rozpoczęli długą podróż na *Greenway*.

Kim głównie czytała, ćwiczyła i spała. Dwukrotnie przekazała kapitanowi prośby, wyjaśniając, że właśnie ruszył naukowy projekt epoki, a może nawet wszechczasów. Pytała czy *Dauntless* nie mógłby chociaż na godzinę wyjść z nadprzestrzeni, by mogła przedstawić raport zwierzchnikom.

– To zbyt cenne – odpowiedział uprzejmie kapitan przez pośrednika. Chętnie spełniłby jej prośbę, ale już wysłał stosowny raport. *McCollum* także. Otrzymała kopię tego drugiego.

Zawierał elektryzującą wieść, że kosmici wyrazili zgodę na następne spotkanie, które miało się odbyć podczas pięćsetnego obrotu gazowego olbrzyma, czyli za kilka miesięcy.

W drugim tygodniu sierpnia *Dauntless* wskoczył z powrotem w zwykłą przestrzeń i Kim po raz drugi wracała do *Sky Harbor* obawiając się, że zostanie aresztowana. Tym razem znowu czekała ją niespodzianka. W doku powitał ją sam premier. Grała orkiestra, ludzie wiwatowali, a media rejestrowały wszystko dla potomności.

– Przecież powtarzałem ci wielokrotnie – powiedział Matt, witając ją z uśmiechem. – Nigdy nie lekceważ potęgi kreowania wizerunku publicznego.

Wiadomość była zbyt ważna i za dobra. Żaden z polityków nie odważyłby się jej zignorować. Gdyby później się okazało, że kosmici są niebezpieczni, każdy miał nadzieję, że stanie się to, gdy kto inny będzie pełnił wachtę.

Jadąc windą na dół, Kim obejrzała raport specjalny zatytułowany „Spotkanie przy *Alnitaku*”. Przede wszystkim przedstawiał *Agostino* jako człowieka, który nie zrezygnował z rozwiązania

tajemnicy Mount Hope nawet gdy inni się poddali, i który w końcu poskładał kawałki układanki. O Kim wspomniano tylko pobieżnie.

Wieść zelektryfikowała cały świat. Kim dowiedziała się później, że Rada próbowała początkowo wszystko zatuszować, ale okazało się to niemożliwe.

Rozpoczęto już przygotowania do kolejnego spotkania. Agostino przesłał jej wiadomość, gratulując dobrze wykonanego zadania i obiecując, że jeśli nie trafi do więzienia, będzie mogła wziąć w nim udział.

Analiza serii zdjęć, które zrobiła, dowiodła, że Terri miała rację. Statek poruszał się dzięki manipulowaniu grawitacją. Metoda ta była znacznie bardziej skuteczna od rodzajów napędu znanych w Dziewięciu Światach. Niestety, bez oryginalnego statku nie dało się określić, jak system działał. Niektórych to irytowało, zwłaszcza gdy kosmici w trakcie kolejnych spotkań niechętnie wyjaśniali rozwiązania techniczne. Mniej więcej w tym samym czasie coraz więcej zaczęto mówić o roli, jaką w przedsięwzięciu odegrała Kim. Na krótko stała się celem dziennikarskich prób odtworzenia przebiegu wydarzeń. Ktoś nawet napisał książkę, w której przedstawiał ją jako zdrajczynię.

Konstrukcja *Valianta* wskazywała także na potrzebę obecności na pokładzie czegoś w rodzaju chmury. Części wymagające stałej konserwacji i regulacji znajdowały się w miejscach, do których nie dałoby się dotrzeć nie rozbierając przy tym sporych partii statku.

Dostęp do nich zapewniała sieć kanałów. Problem polegał na tym, że kanały te były za wąskie nawet dla miniaturowej załogi. Okazało się, że każdy z jej członków mierzył mniej więcej pięć centymetrów, bez względu na to, czy mierzono ich od góry do dołu, czy od końca jednego skrzydła, do końca drugiego.

Nadal niewiele wiedziano o żywych chmurach. Na samym początku debatowano nawet, który z poznanych gatunków był nadrzędny. Później zakwalifikowano chmury jako sztuczne formy życia, biologiczną sztuczną inteligencję stworzoną do różnych celów. Twory te potrafiły pilotować i naprawiać statki, a w razie potrzeby, także ich bronić.

Kim otrzymała propozycje udziału w wielu programach dyskusyjnych, napisania wspomnień, a nawet ubiegania się o stanowisko w rządzie. *Midnight Lace* poprosił, by pozowała do magazynu na tle pomnika na plaży Cabry.

Kolejna misja się udała. Kim także wzięła w niej udział. Oba gatunki założyły stałe bazy w rejonie Alnitaka i podjęto próby pierwszych rozmów „twarzą w twarz”. Ludzkość reprezentował Eryk Climer. Zyskał sławę głównie dzięki zdjęciu przedstawiającym go z motylem na ramieniu.

Po powrocie do domu, Kim otrzymała zaproszenie od Kanona Woodbridge'a. Była to ich pierwsza rozmowa od czasu, gdy próbował odebrać jej *Valianta*.

– Świetnie sobie poradziłaś – powiedział. Spotkali się późnym, jesiennym wieczorem. Od wyprawy *McColluma* upłynęło szesnaście miesięcy. Przez większą część dnia padało i na niebie nie było widać gwiazd.

– Miło mi, że tak uważasz, Kanon.

Siedział przy stole, a jego przenikliwe oczy błyszczały w świetle niewielkiej lampy rozjaśniającej pokój Kim.

– Zaryzykowałaś narażając nas wszystkich, ale wygląda na to, że miałaś rację.

– Mam wrażenie, że jest ci z tego powodu przykro.

– Nie. Cieszę się, że nic nam nie zagraża. – Pochylił się ku niej i palcem podparł brodę. – Kim,

nie zrozum mnie źle. Naprawdę cieszę się, że istoty z Oriona są łagodne. Bo na to wygląda. Rzecz w tym, że nie wiemy jeszcze, jak ten kontakt wpłynie na nasze życie na dłuższą metę. Zawsze darzyłem cię ogromnym szacunkiem, ale powinnaś wiedzieć, że to co zrobiłaś było najbardziej aroganckim i nieodpowiedzialnym postępkim, jaki w życiu widziałem.

W końcu pokazał się także Mike Plymouth. Strażnik Archiwów.

Pewnego zimowego popołudnia czekał na nią przed Instytutem. Minęły niemal trzy lata od włamania do Archiwów.

– Mike – powiedziała zawstydzona i zdenerwowana.

Uśmiechnął się.

– Witaj, Kay.

– Naprawdę mam na imię Kim.

– Wiem. – Skinął głową. – Zadałaś sobie sporo trudu, żeby zdobyć moje DNA.

W jego głosie nie usłyszała nienawiści.

– Przepraszam – powiedziała. Stali przez chwilę, przyglądając się sobie. – Musieliśmy mieć próbkę. Jak mnie znalazłeś?

– Nie było to trudne. Należysz do najślawniejszych osób w Republice.

– No tak... – zająknęła się – przepraszam cię, ja...

– Wiem – przerwał jej. – Nie musisz. Wszystko w porządku.

Otaczały ich wysokie zasy. Nadciągała kolejna śnieżycyca.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Zamierzałam się do ciebie odezwać, ale było mi głupio.

– Rozumiem. – Zawahał się. – Tak sobie myślałem... Skoro wtedy umówiliśmy się na kolację. Byłoby mi miło...

Zająknęła się, zaczęła tłumaczyć, że ma zajęty wieczór, zastanawiając się, dlaczego chce się wywinąć. W końcu pomyślała, że raz się żyje.

– Oczywiście, Mike – powiedziała. – Z miłą chęcią.

Poszli do „Oceanu”. Zamówili białe wino. Sączyli je powoli przy blasku świec. Było jeszcze wcześnie i w restauracji znajdowało się niewiele osób. Z głośników płynęła cicha muzyka.

Rozmawiali o jej podróżach do gwiazdozbioru Oriona, a kiedy próbowała zmienić temat i spytała go, jak szła praca w Archiwach, tylko się roześmiał.

– Tak samo jak zawsze – odparł. – Od włamania nie wydarzyło się nic interesującego.

Spytał ją, co czuła, kiedy otrzymali pierwszą wiadomość: „Gdzie oni są?”, i o czym myślała, kiedy chmura się zbliżała, a ona stała na *McCollumie*, i jak to jest przebywać w jednym pokoju z *Cho-Choi*. Tak zwano teraz obcy gatunek. Określenie Terri przyjęło się.

Odpowiedziała po kolei: szczęśliwa, przerażona, a to ostatnie nigdy się nie wydarzyło.

– Tylko Eryk osobiście spotkał jednego z nich. Są tak mali, a przy tym istnieje tak wiele komplikacji, że osobiste spotkania przedstawiają sporo trudności. Tamto miało mieć znaczenie symboliczne. Przypuszczam, że my i oni nigdy nie będziemy spędzać razem wolnego czasu.

Spytał dlaczego obce statki były uzbrojone.

– Ach, to nieporozumienie – odparła. – To, co zabiło Emily, nie było bronią. Jest używane do projekcji pola grawitacyjnego przed statkiem. Służy do zmian układu przestrzeni. Albo materii i energii, jeśli znajdą się na drodze.

Powszechnie uważano, że nowo poznany gatunek ustępował ludziom w sferze inteligencji. W końcu ich cywilizacja była niemal trzydzieści tysięcy lat starsza od ludzkiej, a mimo to ich technologia nie wyprzedzała naszej aż tak znacznie.

– Problem w tym, że rozwój następuje cyklicznie – wyjaśniła Kim. Wieki zacofania i oświecenia. To w przód, to znów w tył. – Wygląda na to, że nie możemy liczyć na stały postęp. Sami też mamy za sobą kilka okresów uwstecznienia. Mroczne średniowiecze, po świetności Rzymu na Ziemi. Droga nie zawsze wiedzie do przodu. – Spojrzała na niego. – Okresowe kryzysy nie powinny być postrzegane wyłącznie jako odchylenia. I sądzę, że sama ta świadomość warta była ceny, jaką zapłaciliśmy.

– Co zamierzasz dalej robić? – spytał.

Właśnie. Co? Miała oferty z różnych miejsc w Dziewięciu Światach. Mogła zrezygnować ze zbierania funduszy i zostać poważnym astrofizykiem.

– Do wyboru, do koloru – odparła. – Mogę robić to, o czym zawsze marzyłam.

Sięgnął ponad stołem i ujął jej dłoń.

– Nigdy cię nie zapomniałem – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– To widzę.

– Wyjedziesz stąd?

– Prawdopodobnie.

– Mógłbym cię jakoś przekonać, żebyś została?

Przysunęła się do niego i położyła dłoń na jego policzku.

– Wygląda na to, że zawsze zmierzamy w przeciwnych kierunkach, co Mike?

Po kolacji odwiózł ją na wyspę. Zaprosił go do domu. Właśnie zaczął padać śnieg.

– Nie – powiedział. – Nie tym razem. Wolę, żebyś została moją dłużniczką. Dzięki temu będę pewny, że jeszcze cię zobaczę.

Epilog

18 styczeń, 623 rok

Kamień umieszczono w zakątku plaży Cabry. Był niemal niewidoczny dla tych, którzy go nie szukali. Na wierzchu wyryto prosty napis PAMIĘCI... i wymieniono pięć osób: Sheyela Tollivera, Bentona Tripleya, Amy Bricker i dwóch pozostałych strażników.

Kim wiedziała, że zawdzięczała życie Amy i jej towarzyszom.

Od tamtej okropnej nocy na plaży upłynęły ponad dwie dekady. Do Severin powróciło życie. Miasto odbudowano, na jeziorze pojawiły się łodzie, a nieopodal wybudowano dworzec kolejowy. Nawet budka z napojami wróciła na dawne miejsce, a latem niedaleko brzegu cumowała nowa tratwa ratunkowa. Teraz mieli początek grudnia, po sezonie, ale miejsce nie wydawało się tak mroczne, jak pamiętała. Światła miasta przebijały się przez zasłonę drzew, a z samego brzegu widziało się nową wieżę ratusza.

Wysoko po niebie płynęły światła.

Niektóre z nich należały do statków wiozących dyplomatów ze wszystkich Dziewięciu Światów. Lecieli na powitanie pierwszych gości z obcego świata. No, niezupełnie pierwszych.

Nazajutrz wszyscy mieli przybyć do Severin. Goście i gospodarze. W planie były przemówienia, orkiestra i odsłonięcie drugiego pomnika poświęconego załodze *Valianta*, która oddała życie za ludzi, których nie знаła.

Słowo „załoga” dotyczyło także chmury. Kim nie dbała o nazwy. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, przez co przeszła ta opuszczona istota, dlatego wołała o tym zapomnieć.

Mimo to, nie mogła przestać myśleć o kamieniu, który znajdował się za nią.

Cho-Choi nie nadawali swym statkom nazw, a ich symbole źle brzmiały w ludzkiej mowie, dlatego wszyscy ustalili, że imię, które ludzie nadali mikrostatkowi, było bardzo stosowne do okazji. Do Sky Harbor przybyło już sporo jednostek tej samej klasy co *Valiant*, szykując się do uroczystości upamiętniających tamte wydarzenia.

Ich dom znajdował się trzysta lat świetlnych od Złotego Kielicha. Ludzie odwiedzili ich światy rok wcześniej i wrócili, przywożąc opowieści o cudownych widokach.

Cho-Choi, podobnie jak ludzie, długo uważali, że są we wszechświecie sami. I tak jak ludzie wydawali się zachwyceni odkryciem towarzyszy w kosmosie, który wcześniej raził pustką i odzywał się tylko echem ich własnych głosów.

Kim spojrzała na przeciwległy brzeg jeziora. Tam też wyrastały już domy.

Jej taksówka zatrzymała się niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym pewnej styczniowej nocy, zaraz po rozpoczęciu nowego stulecia, wylądowała z Salem.

Przyjrzała się linii lasu. O, właśnie tam po raz pierwszy weszli między drzewa. A do Willi Tripleya szło się wtedy, kilka stopni na południe od kierunku zachodniego. Teraz już nie istniała, rozebrano ją wiele lat temu.

– Wszystko skończyło się naprawdę dobrze. – Niemal powiedziała te słowa na głos, tak jakby nie była tu sama.

Sal na pewno śmiałby się, gdyby wiedział, że nadal się zajmowała zbieraniem funduszy.

Kim była teraz starsza i musiała pogodzić się z tym, że po prostu brakowało jej zdolności do matematyki i abstrakcyjnego myślenia, które musiał posiadać astrofizyk pierwszej klasy.

Jakoś by sobie dała radę, ale wolała wrócić do zajęcia, które – co ze zdziwieniem odkryła – sprawiało jej przyjemność, i w którym była dobra. Potrafiła rozmawiać z ludźmi i przekonywać ich, by wpłacali pieniądze na szczytne cele. Nie było to najwspanialsze z zajęć, ale uważała je za bardzo istotne. Mogła się przyłożyć do sukcesów i wspierać wspólne wysiłki jedynym talentem, jaki posiadała.

Obecnie szukano sponsorów dla Gwiazdnych Badań. Pieniądze napływały zewsząd.

Budowano i wysyłano w kosmos statki. Ludzie złapali drugi oddech. W rejonie Triangle, w odległości dwóch tysięcy lat świetlnych, daleko za gwiazdozbiorem Oriona, natrafiono na interesujące ruiny. Nowy teleskop Changa zarejestrował coś, co prawdopodobnie było cywilizacją drugiego rzędu na Andromedzie.

Tydzień wcześniej załoga „Solomona Hobbsa” zgłosiła znalezienie pozostałości prastarych konstrukcji statków kosmicznych w Lutni.

Pojawiały się nowe tajemnice. Cho–Choi twierdzili, że ich odlegli przodkowie kiedyś skonstruowali tunel do alternatywnego wszechświata. Niestety, zagubiono wszelkie dane technologiczne.

Ku zadowoleniu Kim, Emily i jej towarzysze także znaleźli swe miejsce w historii, głównie dlatego, że szkody przez nich spowodowane zostały naprawione. Teraz pamięta się ich jako inicjatorów kontaktu.

Ludzie chyba się czegoś nauczyli. Ekipy badawcze, przemierzające kosmos w poszukiwaniu innych cywilizacji dokładnie szkolono, jak postępować w przypadku kontaktu z obcymi istotami. Podobny trening musiał przejść każdy, kto chciał kupić lub pilotować statek kosmiczny.

Rozejrzała się po plaży. Teraz wydawała się mniejsza.

Usłyszała sygnał komunikatora. Szukał jej Flexner.

– Tak, Matt?

– Gdzie się podziewasz? – Wydawał się zirytowany.

Westchnęła.

– Już wracam.

– To dobrze. Musimy dokładnie ustalić, co powiesz jutro, żeby tłumacze mogli się przygotować. Trzeba to zrobić dziś wieczorem.

Miała przemawiać nie we własnym imieniu, lecz jako siostra Emily.

– Będę tam za dziesięć minut – powiedziała.

– Dobrze. Aha, Kim?

– Tak?

– Pamiętaj, że masz się trzymać scenariusza, rozumiesz?

– Rozumiem. Oczywiście. – Po raz ostatni rozejrzała się wokół i wsiadła do taksówki. – Severin – powiedziała. – Hotel Lakeside.

Pojazd wystartował. Plaża Cabry została w tyle, a Kim wspięła się między gwiazdy.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Prolog.	4
1.	5
2.	16
3.	26
4.	33
5.	40
6.	48
7.	60
8.	66
9.	76
10.	82
11.	90
12.	100
13.	112
14.	119
15.	125
16.	136
17.	144
18.	152
19.	164
20.	176
21.	184
22.	196
23.	205
24.	212
25.	219
26.	226
27.	234
28.	242
29.	254
30.	261
31.	266
32.	273
33.	280
34.	285
35.	291
Epilog.	295